

Dean R. Koontz

Nieśmiertelny

Przełożył: Romuald Szoka

*Książkę tę dedykuję
Dickowi i Ann Laymonom, tak sympatycznym,
że aż trudno w to uwierzyć.
Specjalne ukłony dla Kelly...*

*Oddech nieświeży
I trup już leży.
Tak zaczyna się bajka...*

Księga znaczącego smutku

Część pierwsza

Mrok

*Ci, co poznali mrok, światło kochają.
Oczekują świtu, nocy się lękając.*

Księga znaczącego smutku

Jasność poranka wypełniła przestrzeń. Była niemal tak fizyczna jak bijące o szyby krople deszczu. Mokre maski i bagażniki zaparkowanych na ulicy samochodów błyszcząły kolorowo. Deszcz przydał blasku zieleni i chromowanym karoseriom znajdujących się w ruchu aut. Kalifornijskie słońce odbijało się w każdym skrawku lśniącej powierzchni, a całe centrum miasta Santa Ana skąpane było w jaskrawym świetle czerwcowej jutrzenki.

Rachael Leben opuściła biurowiec głównymi drzwiami i znalazła się na chodniku. Promienie letniego słońca spływały na jej odsłonięte ramiona niczym strumień ciepłej wody. Zamknęła oczy i zwróciła twarz ku niebu, by przez chwilę z rozkoszą poddać się ich działaniu.

– Jesteś z siebie tak zadowolona, jakby dzisiaj był najszczęśliwszy dzień w twoim życiu – powiedział gorzko Eric, który wyszedł za nią z budynku i zobaczył, że kobieta rozkoszuje się czerwcowym upałem.

– Proszę – rzekła Rachael z twarzą wciąż wystawioną do słońca – nie róbmy scen.

– Zrobiłaś tam ze mnie głupca.

– Nie masz racji.

– A zresztą, co chcesz przez to udowodnić?

Nie odpowiedziała. Postanowiła, że nie pozwoli zepsuć sobie pięknego dnia. Odwróciła się i ruszyła przed siebie.

Eric wyprzedził ją i zastąpił jej drogę. Jego szaroniebieskie oczy płonęły, choć zwykle były lodowato zimne.

– Nie zachowujmy się jak dzieci – powiedziała kobieta.

– Nie wystarczy ci, że mnie opuszczasz. Musisz jeszcze obwieścić całemu światu, że nie tylko nie potrzebujesz mnie, ale również wszystkiego, co mogę ci dać.

– Nie, Eric. Nie dbam o to, co ludzie o tobie pomyślą, niezależnie od tego, czy mieliby pomyśleć dobrze czy źle.

– Chcesz mi wreszcie dać nauczki.

– To nieprawda, Eric.

– Akurat! – wykrzyknął mężczyzna. – Tak właśnie jest, do cholery! Znajdujesz przyjemność w upokarzaniu mnie. Wprost tarzasz się w tym.

Widziała go teraz takim, jakim go dotąd nie знаła: płaczącym. Eric zawsze wydawał się silny, tak fizycznie, jak emocjonalnie i umysłowo. Miał silną wolę i nigdy nie zmieniał zdania. Potrafił zachować rezerwę i nie angażować uczuć. Bywał okrutny. W ciągu siedmiu lat ich małżeństwa zdarzały się chwile, gdy Eric był od niej tak daleko jak księżyc. Ani razu, aż do tej pory, nie okazał słabości, nie budził politowania.

– W upokarzaniu? – zdziwiła się Rachael. – Eric, ja wyświadczyłam ci niebywałą przysługę. Każdy inny człowiek na twoim miejscu kupiłby butelkę szampana i uczcił to.

Oboje wyszli właśnie z biura adwokata Erica, gdzie uzgodniono zapis do aktu rozwodowego. Szybkość, z jaką się to odbyło, zdumiała wszystkich, z wyjątkiem Rachael. Kobieta zaskoczyła zgromadzonych przybyciem bez swojego adwokata i odstąpieniem od wszelkich roszczeń, do jakich była upoważniona na mocy kalifornijskiego prawa wspólnej własności. Gdy prawnik Erica przedstawił pierwszą ofertę, Rachael oświadczyła, że są dla niej zbyt wspaniałomyślni i podała inną sumę, która wydawała jej się rozsądniejsza.

– Co, szampana? Zamierzasz wszystkim opowiadać, że wzięłaś dwanaście i pół miliona mniej, niż ci

się należało, tylko dlatego, żeby szybko dostać rozwód i uwolnić się ode mnie? I ja mam mieć jakiś powód do radości? Boże...

– Eric...

– Nie możesz się doczekać, żeby się ode mnie uwolnić. Gotowa byłabyś uciąć sobie rękę. I ja miałbym celebrować moje upokorzenie?!

– Eric, mam swoje zasady. Nie mogę wziąć więcej niż...

– Do dupy z zasadami!

– Wiesz, że ja bym...

– Każdy, kto spojrzy na mnie, powie: „Boże, ależ z tego gościa musi być potwór, skoro zrezygnowała z dwunastu i pół miliona dolarów tylko dlatego, żeby się jak najszybciej od niego uwolnić!”

– Nie zamierzam nikomu zdradzać szczegółów – powiedziała Rachael.

– Gównu!

– Jeśli myślisz, że kiedykolwiek źle o tobie mówiłam lub plotkowałam na twój temat, to znasz mnie mniej, niż sądziłam.

Kiedy wychodziła za Erica, miał trzydzieści pięć lat i wart był cztery miliony. Starszy od niej o dwanaście lat, teraz liczył ich czterdzieści dwa, a jego fortuna przekraczała trzydzieści milionów. Nie istniały więc żadne co do tego wątpliwości, że zgodnie z prawem stanu Kalifornia Rachael przysługiwało trzynastu milionów z tytułu podziału majątku zgromadzonego w okresie małżeństwa. Zamiast tego kobieta zażądała jedynie czerwonego mercedesa 560 SL i pięciuset tysięcy dolarów, nie chciała żadnych alimentów. Łącznie stanowiło to jedną dwudziestą szóstą majątku, o który mogła wystąpić. Wyliczyła sobie jednak, że otrzymana suma pozwoli jej spokojnie i niezależnie od nikogo zastanowić się nad tym, co zrobić z resztą życia, i następnie zrealizować te plany.

Rachael uświadomiła sobie, że przechodnie patrzą na nich, kłócących się na skąpanej w słońcu ulicy, i powiedziała cicho:

– Nie wyszłam za ciebie dla pieniędzy.

– Ciekawe – odrzekł Eric kwaśno i bezsensownie.

Jego zuchwała, wykrzywiona gniewem twarz nie była w tej chwili przystojna. Zmieniła się w brzydką, głęboko pobrużdżoną maskę o ostrych rysach.

Rachael mówiła spokojnie, bez cienia goryczy w głosie. Nie zamierzała przywoływać Erica do porządku ani w jakikolwiek sposób go ranić. Już wszystko skończone. Nie czuła gniewu, jedynie trochę żalu.

– A teraz, gdy nie jesteśmy już razem, nie oczekuję od ciebie finansowego wsparcia w wielkim stylu na resztę mych dni. Nie muszę opływać w dostatki. Nie chcę twoich milionów. To ty je zarobiłeś, nie ja. To owoc twojego geniuszu, twojego żelaznego uporu, nie kończących się godzin spędzonych w biurze i w laboratorium. Ty sam, i nikt inny, zbudowałeś to wszystko i należy to wyłącznie do ciebie. Jesteś ważnym człowiekiem, w swojej dziedzinie może nawet wybitnym, Eric, a ja to tylko ja, Rachael, i nie zamierzam podszywać się pod twoje sukcesy.

W miarę jak kobieta sypała pochwałami, gniew na twarzy Erica rysował się coraz wyraźniej. Przyzwyczyił się do tego, że we wszystkich układach – tak zawodowych, jak i towarzyskich – odgrywał dominującą rolę. Z pozycji władcy absolutnego żądał od otoczenia bezwzględnego posłuszeństwa, a tych, którzy nie chcieli mu się podporządkować, po prostu niszczył. Rządzenie sprawiało mu przyjemność. Siły żywotne czerpał zarówno z interesów przynoszących mu miliony dolarów zysku, jak i ze sporów w kręgu znajomych, które zawsze rozstrzygał na swoją korzyść. Rachael przez siedem lat robiła to, czego sobie

zyczył, aż wreszcie postanowiła z tym skończyć.

Śmieszne, ale teraz właśnie opanowanie i rozsądek Rachael sprawiły, że odebrała mu całą władzę, z której czerpał radość. Oczekiwał długiej walki o podział łupów, a ona tymczasem po prostu odeszła. Rozkoszował się już perspektywą zjadliwej utarczki na temat płatności alimentacyjnych, ale Rachael pomieszała mu szyki, odrzucając takie wsparcie. Delektował się myślą, że zrobi przed sądem ze swojej byłej żony interesowną, pozbawioną godności dziwkę, skłoną zadowolić się ułamkiem tego, co się jej należało. I tak byłaby bogata, ale wtedy czułby, że wygrał wojnę i zmusił ją do uległości. Kiedy jednak Rachael oznajmiła, że jego miliony nic dla niej nie znaczą, stracił resztę władzy, którą jeszcze mógł nad nią mieć. Zrobiła to tak stanowczo, że – gdyby w przyszłości mieli się jeszcze spotkać – z pewnością występowałyby z pozycji równej mu, a może nawet miałyby nad nim jakąś moralną przewagę. Ta świadomość zrodziła w nim gniew.

– No cóż – zaczęła Rachael. – Z mojego punktu widzenia straciłam z tobą siedem lat i chcę tylko rekompensaty za ten okres. Mam dwadzieścia dziewięć lat, prawie trzydzieści, i można powiedzieć, że dopiero zaczynam swoje życie, aczkolwiek później niż większość ludzi. Zapis da mi wspaniały start. A jeśli stracę ten szmal i pewnego dnia będę żałować, że nie walczyłam o całe trzynaście milionów, będzie to moje, a nie twoje zmartwienie. Z nami już koniec, Eric. Klamka zapadła.

Ruszyła w bok, starając się ominąć mężczyznę, ale ten złapał ją za rękę i zatrzymał.

– Pozwól mi odejść, proszę – powiedziała łagodnie.

Spojrzał na nią i rzekł:

– Jak to możliwe, że tak bardzo myliłem się co do ciebie? Myślałem, że jesteś grzeczną, nieśmiałą słodką idiotką, a tymczasem siedzi w tobie prawdziwa ważniaczka, czyż nie?

– Zupełnie oszalałeś, jeśli tak sądzisz. I zupełnie nie przystoi ci taka gburowatość. A teraz pozwól mi przejść.

Eric zacisnął chwyt jeszcze mocniej.

– A może to wszystko jest częścią twojej strategii, co? Kiedy papiery zostaną przygotowane i w piątek przyjedziemy je podpisać, ty nagle zmienisz zdanie i zażadasz więcej.

– Nie, to nie jest z mojej strony żadna gra.

Uśmiechnął się okrutnie zaciśniętymi ustami.

– Założę się, że tak jest. Jeśli zgadzimy się na tak skandalicznie niski zapis i przygotujemy papiery do podpisania, odrzucisz je, a w sądzie użyjesz ich jako dowodu na to, że chcieliśmy cię oszukać. Będiesz udawała, że to my zaproponowaliśmy tę sumę i próbowaliśmy cię zmusić do podpisania aktu. Będiesz próbowała stworzyć mój niekorzystny obraz – prawdziwego skurczybyka o sercu z kamienia. Tak? Czy to jest ta twoja strategia? Czy na tym polega gra?

– Już ci powiedziałam, że to nie jest żadna gra. Jestem wobec ciebie szczerą.

Eric wbił palce w jej ramię.

– Mów prawdę, Rachael!

– Przestań!

– Czy to jest twoja strategia?!

– To boli.

– No, ale jak już zaczęliśmy, to opowiedz mi teraz o Benie Shadwayu.

Rachael zamrugnęła ze zdziwienia, gdyż nie przypuszczała, że Eric wie o Benie.

Jego twarz zdawała się twardnieć w gorących promieniach słońca i pękać coraz większą liczbą głębokich, gniewnych bruzd.

– Jak długo cię rznął, zanim wreszcie zdecydował się wystąpić przeciwko mnie?

– Jesteś niesmaczny – powiedziała i zaraz tego pożałowała, bo zauważyła, że sprawiło mu przyjemność, iż udało mu się wreszcie wyprowadzić ją z równowagi.

– Jak długo? – nalegał, zaciskając palce na jej ramieniu.

– Spotkałam Benny’ego dopiero sześć miesięcy po naszej separacji – odparła, starając się mówić obojętnym tonem. Nie chciała dać się wciągnąć w awanturę, do której wyraźnie zmierzał.

– Jak długo Benny kłusował na moim terenie?

– Jeśli wiesz o nim, to znaczy, że mnie śledziłeś, choć nie miałeś do tego prawa.

– Tak, chcesz zachować dla siebie swoje nieczyste tajemnice.

– Jeśli wynająłeś kogoś, żeby za mną chodził, to powinieneś wiedzieć, że widujemy się dopiero od pięciu miesięcy. A teraz pozwól mi odejść. To mnie wciąż boli.

Mijał ich właśnie młody człowiek z brodą. Zatrzymał się i po chwili podszedł.

– Czy pomóc pani?

Eric odwrócił się do niego z taką wściekłością, że słowa, które wypowiedział, zabrzmiały jak splunięcie:

– Zjeżdżaj, facet! To moja żona, więc nic ci do tego!

Rachael spróbowała wyswobodzić się z żelaznego uchwytu, ale bez powodzenia.

– Fakt, że jest to pańska żona – powiedział brodaty nieznajomy – nie upoważnia pana do zadawania jej bólu.

Eric puścił Rachael, zacisnął pięści i zbliżył się do intruza. Chcąc ratować sytuację, Rachael odezwała się szybko do swego niedoszłego zbawcy:

– Dziękuję, ale wszystko w porządku. Naprawdę. Nic mi nie jest. To tylko mała sprzeczką.

Młodzieniec wzruszył ramionami i oddalił się, oglądając się co chwila za siebie.

Incydent ten uświadomił wreszcie Ericowi niebezpieczeństwo, że wzbudzi niezdrową ciekawość ludzi, co przy jego pozycji było niepożądane. Jednakże nie mógł opanować emocji. Na twarz wystąpiły mu rumieńce, a wargi pobladły. Oczy patrzyły groźnie.

– Nie martw się, Eric – powiedziała Rachael. – Zaoszczędziłeś wiele milionów dolarów i Bóg jeden wie ile na adwokatach. Wygrałeś. Wprawdzie nie udało ci się sponiewierać mnie przed sądem ani popsuć mi opinii, jak miałeś nadzieję, ale i tak wygrałeś. Musisz się tym zadowolić.

Eric zakipiał z wściekłości.

– Ty stara, głupia dziwko! Zaraz jak mnie opuściłaś, chciałem cię dopaść i zatłuc na śmierć. Powinienem był to zrobić. Żałuję, że tego nie uczyniłem. Myślałem jednak, że przyczołgasz się do mnie z powrotem. Dlatego ci nic nie zrobiłem. A powinienem był. Powinienem był zatłuc cię na śmierć.

Rachael była zaszokowana wybuchem jego nienawiści. Eric podniósł rękę, jak gdyby chciał ją uderzyć. Cofnęła się przed spodziewanym ciosem, ale on opanował się, odwrócił gwałtownie i odszedł szybkim krokiem.

Rachael, patrząc na niego, nagle zrozumiała, że chorobliwe dążenie jej męża do dominowania nad wszystkimi stanowiło potrzebę dużo silniejszą, niż jej się wydawało. Pozbawiając go władzy nad sobą, odwracając się tyłem tak do niego, jak i do jego pieniędzy, nie tylko zrównywała go z sobą, ale również – w jego oczach – raniła jego męską dumę. To właśnie o to musiało teraz chodzić, bo przecież nic innego nie wyjaśnia jego szalonej nienawiści oraz trudnego do pohamowania pragnienia, by zadać jej fizyczny ból.

Z biegiem lat coraz bardziej go nie lubiła, jeśli nie nienawidziła. Trochę się go również bała. Ale aż

do obecnej chwili nie zdawała sobie w pełni sprawy z tego, jak bardzo on jej nie cierpi. Dopiero teraz uświadomiła sobie, że ten człowiek był naprawdę niebezpieczny. Choć wciąż oślepiały ją złociste promienie słońca i zmuszały do mrużenia oczu, choć przypiekały jej skórę, poczuła nagle, że przeszywa ją zimny dreszcz. Wywołała go myśl, iż mądrze postąpiła, rzucając Erica w odpowiednim czasie, bo dzięki temu uniknęła zapewne cięższych obrażeń niż siniaki, które jego palce niewątpliwie pozostawią na jej ramieniu.

Odetchnęła z ulgą, widząc, jak Eric schodzi z chodnika na jezdnię. Chwilę później uczucie ulgi przerodziło się w przerażenie.

Mężczyzna szedł w stronę swego mercedesa, zaparkowanego po przeciwległej stronie alei. Był zapewne oślepiiony wściekłością, a może jego wzrok poraziło jaskrawe światło czerwcowego słońca, odbijające się we wszystkich błyszczących powierzchniach. Gnał przez Main Street, nie oglądając się na boki. Pokonał prowadzące w kierunku południowym pasy ruchu, po których nie poruszał się w tej chwili żaden samochód, i przeszedł na drugą połowę jezdni, którą – z prędkością ponad sześćdziesięciu kilometrów na godzinę – nadjeżdżała ciężarówka miejskiego przedsiębiorstwa oczyszczania.

Rachael krzyknęła, by go ostrzec, ale było już za późno.

Kierowca wcisnął hamulec do oporu, ale pisk opon zablokowanych kół śmieciarki rozległ się prawie jednocześnie z przerażającym odgłosem uderzenia.

Eric – wyrzucony w powietrze – przeleciał ponownie nad pasami prowadzącymi w kierunku południowym, jak gdyby uniósł go podmuch fali uderzeniowej powstającej podczas wybuchu bomby, po czym – koziołkując jeszcze kilka metrów – spadł na chodnik. Z początku ciało jego było sztywne, potem jednak sflaczało niczym szmaciana lalka i znieruchomiło twarzą ku ziemi.

Żółty subaru zahamował z przeraźliwym piskiem opon i monotonnym wyciem klaksonu i zatrzymał się metr przed ciałem Erica. Jadący za nim chevrolet, nie zachowawszy bezpiecznej odległości, uderzył w tył samochodu i popchnął go w stronę zwłok.

Rachael pierwsza dobiegła do Erica. Z sercem bijącym jak młot, wołając go po imieniu, rzuciła się na kolana i instynktownie dotknęła ręką jego szyi, by zbadać tętno. Skóra mężczyzny była mokra od krwi i jej palce ślizgały się po gładkim ciele, gdy desperacko szukała pulsującej arterii.

Nagle zauważyła straszliwe wgniecenie, które zdeformowało jego czaszkę. Rana zaczynała się nad rozerwanym prawym uchem i biegła wzdłuż skroni aż do krawędzi bladego czoła. Głowa Erica była tak odwrócona, że Rachael mogła dostrzec jedno oko, które w szoku otwarło się szeroko i tak pozostało, choć było już ślepe. Z pewnością kawałki pękniętej czaszki musiały dostać się głęboko do mózgu. Śmierć była natychmiastowa.

Kobieta wstała szybko, ale nogi ugięły się pod nią i poczuła mdłości. Zakręciło jej się w głowie i byłaby upadła, gdyby kierowca śmieciarki nie złapał jej i nie podtrzymał. Następnie podprowadził ją do subaru, by mogła oprzeć się o samochód.

– Nic już nie mogłem zrobić – powiedział z żalem.

– Wiem – odpowiedziała Rachael.

– Nic a nic. Wybiegł mi prosto pod maskę. Nawet nie spojrział, czy droga wolna. Nie mogłem nic zrobić.

Z początku kobieta miała trudności z oddychaniem. Potem zauważyła, że nieświadomie wyciera zakrwawioną ręką o sukienkę. To właśnie widok tej wilgotnej, rdzawoczerwonej plamy na pastelowym błękitnie bawełnianej tkaniny sprawił, że jej oddech stał się szybki, zbyt szybki, i do krwi dostała się nadmierna ilość tlenu. Rachael ciężko oparła się o subaru, zamknęła oczy, objęła się ramionami

i zacisnęła zęby. Zawzięta się, by nie zemdleć. Starła się oddychać bardzo płytko i przetrzymywać powietrze w płucach możliwie jak najdłużej. Już sama zmiana rytmu podziałała na nią kojąco.

Ruch uliczny został zahamowany i Rachael słyszała wokół siebie głosy kierowców, którzy wysiadali z unieruchomionych w korku samochodów. Niektórzy pytali ją, czy dobrze się czuje, a wtedy ona kiwała potakująco głową, inni dopytywali się, czy nie wezwać lekarza, a wówczas kręciła nią w bezgłośnym „nie”.

Nawet jeśli kochała kiedyś Erica, to sam spowodował, że jej miłość obróciła się w pył. Wiele wody upłynęło od czasu, kiedy go jeszcze trochę lubiła. A tuż przed śmiercią wyzwolił w niej przerażającą nienawiść w najczystszej postaci. Rachael przypuszczała więc, że nie powinna być szczególnie poruszona wypadkiem, a jednak czuła się do głębi wstrząśnięta. Gdy tak stała, obejmując się ramionami i trzęsąc, uświadomiła sobie, że jej wewnątrz wypełnia zimna pustka, próżnia, trudne do zdefiniowania uczucie jakiejś straty. Tak, nie było to uczucie smutku, lecz po prostu straty...

Usłyszała syreny wyjące gdzieś w oddali. Stopniowo odzyskiwała kontrolę nad swym oddechem.

Drgawki stały się mniej gwałtowne, ale nie ustąpiły jeszcze całkowicie. Syreny rozległy się bliżej i głośniej.

Otworzyła oczy. Jaskrawe czerwcowe światło słoneczne nie wydawało jej się już ani czyste, ani świeże. Śmierć położyła swój cień na tym dniu. Żółte promienie poranka nabrały teraz gorzkiego odcienia, który bardziej kojarzył jej się z siarką niż z miodem. Po przeciwnym pasie ruchu nadjeżdżały, migając czerwonymi światłami, dwa pojazdy – policyjny radiowóz i karetka reanimacyjna. Syreny przestały wyć.

– Rachael?

Odwróciła się i zobaczyła Herberta Tulemana, prywatnego adwokata Erica, z którym widziała się dziesięć minut temu. Zawsze lubiła Herba i on również darzył ją sympatią. Był to dobroduszny, starszy pan o krzaczastych brwiach, które połączyły się właśnie na czole.

– Jeden z moich współpracowników... wracał właśnie do biura... i zobaczył, co się stało – powiedział Herbert. – Szybko powiadomił mnie o wszystkim. Mój Boże.

– Tak – odparła tępo.

– Mój Boże, Rachael.

– Tak.

– To... to... nie mieści się w głowie.

– Tak.

– Ale...

– Tak – powtórzyła Rachael.

Wiedziała, o czym myślał Herbert. W ciągu minionej godziny tłumaczyła im, iż nie będzie ubiegać się o większą część majątku Erica, lecz zadowoli się sumą, która w stosunku do tego, co jej się należało, stanowiła nędzny ochłap. Teraz, z racji tego, że Eric nie miał rodziny ani dzieci z pierwszego małżeństwa, całe trzydzieści milionów plus nie oszacowany jeszcze kapitał w postaci przedsiębiorstwa automatycznie przejdzie na jej wyłączną własność.

Trwoga

Suche, gorące powietrze wypełnione było trzaskami policyjnych krótkofalówek, bezbarwnymi głosami dyspozytorów i załóg radiowozów oraz zapachem miękącego na słońcu asfaltu.

Lekarz i sanitariusze nie mogli uczynić dla Erica już nic więcej, jak tylko odtransportować jego zwłoki do kostnicy miejskiej. Tam miały spocząć w lodówce do chwili, aż koroner znajdzie czas, by się nimi zająć. Ponieważ Eric zginął w wypadku, przepisy wymagały przeprowadzenia sekcji zwłok.

– Ciało będzie można odebrać w ciągu dwudziestu czterech godzin – powiedział do Rachael jeden z policjantów.

Kobieta usiadła na tylnym siedzeniu jednego z radiowozów, a tymczasem stróże porządku sporządzali krótki raport. Potem wyszła z samochodu i znów znalazła się na słońcu.

Czuła się już lepiej, wciąż jednak była odrętwiała.

Sanitariusze załadowali owinięte płótnem zwłoki do karetki. W kilku miejscach tkanina była ciemna od krwi.

Herbert Tuleman czuł się zobowiązany do zapewnienia Rachael opieki i nalegał, by wróciła z nim do biura.

– Musi pani usiąść i wziąć się w garść – powiedział, trzymając dłoń na jej ramieniu i marszcząc z troskaniem swą dobrotliwą twarz.

– Czuję się dobrze, Herb. Naprawdę. Jestem tylko trochę wstrząśnięta.

– Napije się pani trochę koniaku. To dobrze pani robi. Mam w barku butelkę Remy Martina.

– Nie, dziękuję. Sądzę, że będę musiała zająć się pogrzebem, trzeba więc zacząć już coś robić.

Dwóch sanitariuszy zamknęło tylne drzwi karetki i bez pośpiechu ruszyło w stronę szoferki. Już nie istniała potrzeba włączania sygnału ani czerwonego „koguta” na dachu. Czas nie odgrywał dla Erica żadnej roli.

– Jeśli nie chce pani koniaku, to może kawy...? – zaproponował Herb. – Albo po prostu odpocznie pani chwilę. Nie sądzą, aby szybko mogła pani sięść za kierownicą.

Rachael z czułością dotknęła twardego jak podeszwa policzka mężczyzny. Tuleman cały swój wolny czas poświęcał żeglarsztwu, stąd jego skóra była zahartowana i pomarszczona bardziej przez wiatr i słońce niż przez lata życia.

– Doceniam pańską troskę. Naprawdę doceniam. Ale nic mi nie jest. Wstyd mi tylko, że tak dobrze to znoszę. To znaczy... wcale nie czuję żalu.

Mężczyzna ujął jej dłoń.

– Proszę się nie wstydzić. Eric był moim klientem, stąd wiem, że... potrafił być nieznośny.

– Tak.

– Nie dał pani żadnego powodu do żalu.

– Ale cały czas wydaje mi się, że to nie wypada pozostawać tak obojętną. A ja przecież... nic nie czuję.

– Eric nie tylko był trudnym człowiekiem, Rachael. Był również głupcem, skoro nie poznał się na tym, jaki klejnot ma w pani osobie, i nic nie zrobił, żeby panią zatrzymać.

– Jest pan bardzo miły.

– Nie, Rachael, to prawda. Gdyby nie była to najszczęśliwsza prawda, nie mówiłbym tak o swoim kliencie. Zwłaszcza że odszedł już z tego świata.

Karetką odjechała z miejsca wypadku, zabierając ze sobą ciało. Zaprzeczając wrażeniu, które

sprawiły do tej pory, czerwcowe promienie słońca odbiły się od białego lakieru i błyszczących chromowanych powierzchni zderzaków chłodnym, zimowym wprost światłem, jak gdyby zwłoki Erica unosił pojazd wykuty z lodowej bryły.

Herb ruszył wraz z Rachael przez tłum gapiów w stronę jej czerwonego mercedesa 560 SL. Kiedy mijali jego biuro, powiedział:

– Mogę poprosić kogoś, by odprowadził samochód Erica do jego domu, zamknął w garażu i zostawił kluczyki u pani.

– Bardzo by mi pan tym pomógł – odparła.

Rachael usiadła za kierownicą, zapięła pasy, a wtedy Herb nachylił się do niej i powiedział:

– Wkrótce będziemy musieli porozmawiać o domu.

– Za kilka dni – odrzekła.

– I o przedsiębiorstwie.

– Przez kilka dni wszystko jeszcze będzie biegło swoim torem, prawda?

– Oczywiście. Mamy poniedziałek. Czy możemy się umówić, że przyjedzie pani do mojego biura w piątek rano? Będzie więc pani miała cztery dni na... dostosowanie się do nowej sytuacji.

– W porządku.

– O dziesiątej?

– Dobrze.

– Czy na pewno nic pani nie jest?

– Na pewno – odrzekła Rachael i ruszyła.

Dojechała do domu bez przeszkód, aczkolwiek wszystko widziała zamglone jak we śnie.

Mieszkała w oryginalnym parterowym domu w Placentia. Były tam trzy sypialnie i mnóstwo atrakcji, takich jak francuskie okna, wykuszowe ławeczki, kasetonowe sufity oraz kominek. Wynajęła go, płacąc z góry, rok temu, kiedy odeszła od Erica. Jej dom bardzo różnił się od tego w Villa Park, który wybudowano na półhektarowym obszarze wypielęgnowanych do przesady gruntów i w którym nie brakowało żadnych luksusów. Jednakże Rachael wolała swój przytulny domek niż jego okazałą rezydencję w stylu hiszpańskim nie tylko dlatego, że rozmiarami wydawał się dużo bardziej dostosowany do potrzeb człowieka, ale również w związku z licznymi złymi wspomnieniami, które kładły się cieniem na Villa Park.

Kobieta zdjęła poplamioną krwią błękitną sukienkę, umyła ręce i twarz, uczesała się i poprawiła delikatny makijaż. Przyziemne czynności doprowadzania się do porządku zaczęły powoli działać na nią uspokajająco. Ręce już się jej nie trzęsły. Choć w głębi duszy czuła zimną pustkę, to jednak drgawki ustąpiły.

Ubrała się w jeden z nielicznych u niej ciemnych kompletów – szary kostium o odcieniu węgla drzewnego i jasnoszarą bluzkę. Nie był to najodpowiedniejszy strój na gorący letni dzień. Następnie zadzwoniła do firmy pogrzebowej braci Attison, która cieszyła się w okolicy najlepszą renomą. Upewniła się, że będą ją mogli przyjąć, i zaraz pojechała do imponującego architektonicznym rozmachem domu pogrzebowego w Yorba Lirida.

Nigdy przedtem nie załatwiała tego typu spraw i nigdy nie wyobrażała sobie, że w takim doświadczeniu mogą się kryć elementy komiczne. Ale gdy weszła do biura Paula Attisona i usiadła w jego łagodnie oświetlonym wnętrzu, wyłożonym ciemną drewnianą boazerią, o podłodze pokrytej pluszową wykładziną, w którym panowała niesamowita cisza, gdy usłyszała, że mówi on o sobie „żałobny doradca”, zakwalifikowała całą sytuację jako tragicomiczną, zabarwioną czarnym humorem.

Każdy szczegół był tu dopracowany i z założenia ponury, a atmosfera tak pełna szacunku i skrepowania, że aż sztuczna. Uprzejmość Attisona była służalcza i niezręczna, stanowcza i wykalkulowana, ale ku swemu zdziwieniu Rachael zauważyła, że mimowolnie podjęła grę, odpowiada na jego kondolencje i frazesy, a nawet sama wygłasza komunały. Poczła się jak schwyty w pułapkę przez kiepskiego dramaturga aktor, który w złej sztuce musi wypowiadać swe drewniane kwestie, gdyż mniej żenujące jest dotrwanie do końca trzeciego aktu niż zejście ze sceny w trakcie przedstawienia. W dodatku, jakby chcąc uwiarygodnić swój tytuł „żałobnego doradcy”, Attison nazywał urnę na prochy „wiecznym schronieniem”, garderobę wkładaną na nieboszczyka przed spaleniem zwłok – „ostatnimi szatami”, balsamowanie – „przygotowaniami do zachowania w dobrym stanie”, grób zaś – „miejscem spoczynku”.

Chociaż to, w czym uczestniczyła, wypełnione było po brzegi makabrycznym humorem, Rachael nie była zdolna uśmiechnąć się nawet wtedy, gdy wreszcie po dwóch godzinach opuściła zakład pogrzebowy i znów siedziała w swym aucie. Zwykle przepadała za czarnym humorem, gdyż pozwalał drwić ze śmiertelnie poważnych aspektów życia. Ale nie dzisiaj. Dzisiaj daleko jej było do żartów. Jej ponury nastrój nie był spowodowany ani żalem, ani rodzajem smutku, ani troską, jak poradzi sobie jako wdowa. Przyczyną stanu jej ducha nie był także przeżyty szok czy niemiła konstatacja, że śmierć czyha na człowieka nawet w słoneczny, jasny dzień. Przez cały czas, gdy zajmowała się szczegółami dotyczącymi pogrzebu, a także później, gdy wróciła do domu i dzwoniła do znajomych oraz współpracowników Erica, aby przekazać im tragiczną wiadomość, nie mogła zrozumieć, dlaczego wciąż zachowuje taką powagę.

Wreszcie, a było już późne popołudnie, dotarło do niej, że nie należy się dłużej oszukiwać, że przyczyną przygnębienia jest... strach. Starła się odrzucić przeczucie tego, co miało nadejść, próbowała nie myśleć o tym i nawet jej się to udawało. Ale w głębi duszy wiedziała... Wiedziała...

Obeszła dom, sprawdzając, czy okna i drzwi są dobrze zamknięte. Potem opuściła żaluzje i zaciągnęła zasłony.

O wpół do szóstej przełączyła telefon na automatyczną sekretarkę. Zaczynali bowiem dzwonić dziennikarze i domagać się wypowiedzi od wdowy po Wielkim Człowieku. Nie miała do nich cierpliwości, bez względu na to, czy byli z prasy, z radia czy z telewizji. W domu panował nieprzyjemny chłód, włączyła więc ogrzewanie. Ale zapadła tak głęboka cisza, że nie mogła jej znieść. Przedtem monotony szum klimatyzatora i okazjonalne dzwonięcie telefonu wystarczały, by nie czuła się jak w głuchym, ponurym biurze Paula Attisona.

Teraz brak dźwięków przyprawiał ją o gęsią skórę. Włączyła więc wzmacniacz i tuner, a następnie złapała stację, która nadawała muzykę lekką. Przez chwilę stała z zamkniętymi oczami przy kolumnach i kołysała się w takt śpiewanej przez Johnny'ego Mathisa piosenki *Chances Are*. Później przekreśliła potencjometr tak, by muzykę było słychać w całym domu.

W kuchni odpakowała tabliczkę deserowej czekolady, ułamała kawałek i położyła go na białym spodku. Następnie otworzyła małą butelkę wytrawnego szampana, wyjęła z szafki kieliszek i zabrała to wszystko ze sobą do łazienki.

W radiu Sinatra śpiewał *Days of Wine and Roses*.

Rachael puściła do wanny gorącą, taką jaką najbardziej lubiła, wodę i dodała do niej niewielką ilość olejku jaśminowego. Potem rozebrała się. Ale gdy chciała wejść do wanny, poczuła przyspieszone bicie serca. Powróciła trwoga, która w ostatnich minutach jakby się oddaliła. Kobieta zamknęła oczy i zaczęła powoli, głęboko oddychać, starając się uspokoić. Mówiła sobie, że zachowuje się jak dziecko, ale nie skutkowało.

Naga wyszła do sypialni i z górnej szuflady szafki nocnej wyjęła pistolet kalibru 32. Sprawdziła

magazynek, by upewnić się, czy jest naładowany. Odbezpieczyła go i wzięła ze sobą do łazienki, gdzie położyła na wykładanej granatowymi płytkami podłodze, tuż obok szampana i czekolady.

Andy Williams śpiewał *Moon River*.

Krzywiąc z bólu twarz, weszła do gorącej kąpieli i usiadła, a woda zakryła większą część wypukłości jej piersi. Z początku szczypała ją skóra, potem przyzwyczaiła się do temperatury. Gorąca woda działała kojąco, przenikała do wnętrza jej kości i w końcu Rachael pozbyła się tego chłodu, który dręczył ją już od ośmiu prawie godzin, od chwili kiedy Eric wyskoczył wprost pod nadjeżdżającą ciężarówkę.

Odgryzła kawałek czekolady i trzymała go w ustach tak długo, aż się powoli rozpuścił.

Starła się nie myśleć. Próbowała skupić się wyłącznie na nie angażującej umysłu przyjemności kąpieli w gorącej wodzie. Chciała pozostać bierna i tylko czuć, że istnieje.

Oparła się plecami o ściankę wanny, rozkoszowała smakiem czekolady i zapachem jaśminu, który unosił się wraz z parą wodną. Po upływie kilku minut otworzyła oczy i z zimnej jak lód buteleczki naląła sobie do kieliszka szampana. Jego gorzki smak był wspaniałym uzupełnieniem słodczy, którą wciąż miała na języku, oraz głosu Sinatry, nucącego nostalgiczne, łzawo-melancholijne strofy *It Was a Very Good Year*.

Ten relaksujący rytuał stanowił dla Rachael ważną, może nawet najważniejszą, część dnia. Czasami zamiast czekolady ułamywała sobie kawałek ostrego sera, a szampana zastępowała kieliszkiem Chardonnaya. Nierzadko zadowalała się garścią orzeszków ziemnych, które kupowała w ekskluzywnym sklepie w Costa Mesa, i butelką mocno schłodzonego piwa marki Heineken lub Beck's. Niezależnie jednak od tego, na co miała danego dnia ochotę, zawsze spożywała to powoli, po kawałku, małymi łydkami, delektując się swoimi przysmakami, rozkoszując się ich smakiem, zapachem i wyglądem.

Była kobietą, która lubiła czerpać przyjemności z dnia powszedniego.

Benny Shadway, mężczyzna, którego Eric uważał za kochanka Rachael, twierdził, że w zasadzie istnieją cztery rodzaje ludzi: żyjący przeszłością, teraźniejszością, przyszłością oraz niezdecydowani. Ci żyjący przyszłością nie dbają o sprawy doczesne, nie interesują się też tym, co minęło. Martwią się za to o dzień jutrzejszy, antycypują problemy i katastrofy, które mogłyby się na nich zważyć, chociaż niektórzy z nich to bardziej niezaradni marzyciele niż pesymiści. Wyglądają tego, co przyniesie przyszłość, gdyż są bezpodstawnie przekonani, że już wkrótce los się do nich uśmiechnie, bo tak być powinno. Zdarzają się wśród nich tytani pracy, urodzeni po to, by wyznaczać sobie wciąż nowe cele i osiągać je, ludzie, którzy wierzą, iż przyszłość oraz szansa na sukces to jedno i to samo.

Do nich zaliczał się Eric. Wciąż rozważał jakieś problemy i wynajdywał sobie różne zadania i wyzwania. Absolutnie nudziła go przeszłość, a gdy czasami miał do czynienia ze sprawami dnia codziennego, tracił cierpliwość.

Z kolei ludzie żyjący teraźniejszością przeznaczają większość swojej energii i zainteresowań na radości i smutki chwili. Niektórzy z nich to zwykli próżniacy, zbyt leniwi, by pomyśleć o jutrze, a co dopiero, by zaplanować przyszłość. Nieszczęścia często ich zaskakują, gdyż mają trudności ze zrozumieniem, iż sukces nie trwa wiecznie. A doznawszy niepowodzenia, zwykle wpadają w czarną rozpacz, ponieważ nie są zdolni do podjęcia działań, które kiedyś, w przyszłości, uwolniłyby ich od trosk. Jednakże według tej klasyfikacji istniał jeszcze drugi typ ludzi żyjących teraźniejszością – pracusie, którzy byli niezwykle wydajni, uczciwie wykonywali swoją robotę i dochodzili w niej do mistrzostwa. Człowiekiem tego pokroju mógł być na przykład stolarz wykonujący meble artystyczne i dbający o swą markę. Taki nie będzie niecierpliwie wyglądał ostatecznego zmontowania wszystkich elementów, ale całkowicie i z lubością poświęci się precyzyjnemu formowaniu oraz wykańczaniu każdej drewnianej nogi

lub poręczy krzesła, frontowej części szuflady, każdej gałki czy framugi drzwi w chińskiej altanie. Największą satysfakcję czerpać będzie z samego procesu tworzenia, nie zaś z jego rezultatów.

Zgodnie z tym, co twierdził Benny, ludzie żyjący terażniejszością łatwiej niż inni znajdują proste rozwiązania różnych problemów, gdyż nie roztrząsają tego, co było lub może nadejść, lecz myślą wyłącznie o tym, co jest w danej chwili. Oni również najbardziej reagują na doznania zmysłowe i „chwytając dzień”, mają przeważnie więcej przyjemności i radości z życia niż osobnicy zorientowani na przeszłość lub przyszłość.

– Należysz do najlepszej podgrupy ludzi żyjących terażniejszością – powiedział kiedyś Benny do Rachael, gdy jedli obiad w chińskiej restauracji. – Przygotowujesz się na to, co może nastąpić, ale nigdy kosztem utraty łączności z tym, co jest aktualne. I z takim wdziękiem potrafisz zostawić przeszłość za sobą.

A wtedy ona odrzekła:

– Och, zamknij się i jedz swoje *moo goo gai pan*.

Właściwie to, co powiedział Benny, było prawdą. Porzuciwszy Erica, zapisała się na pięć popularnych kursów dokształcających z zakresu organizacji i zarządzania. Zamierzała podjąć własną działalność gospodarczą. Na początek może otworzyłaby sklep z damską odzieżą niewymiarową. Byłoby to miejsce jednocześnie dramatyczne i komiczne. Byłby to butik, o którym mówiłoby się, że jest nie tylko miejscem, gdzie można nabyć porządne ubrania i bieliznę, lecz również ciekawym doświadczeniem. W końcu Rachael studiowała teatrologię na Uniwersytecie Kalifornijskim w Los Angeles i na krótko przedtem, zanim na jednej z akademickich uroczystości poznała Erica, uzyskała tytuł magistra nauk humanistycznych. I chociaż nie interesowało jej aktorstwo, to jednak miała prawdziwy talent, jeśli chodzi o projektowanie kostiumów i dekoracji. Mogło to być bardzo przydatne w stworzeniu niezwykłego wystroju wnętrza sklepu i osiągnięciu dzięki temu lepszych wyników handlowych. Na razie jednak nie mogła się zdecydować ani na podjęcie studiów doktoranckich, ani na otworzenie własnego interesu. Tkwiła korzeniami w terażniejszości, zbierała doświadczenia i pomysły i czekała cierpliwie na chwilę, kiedy jej plany po prostu... się skryształizują. Co do przeszłości – no cóż, oglądanie się na przyjemności dnia wczorajszego groziło rozminięciem się z przyjemnościami chwili, rozmyślanie zaś nad minionymi cierpieniami i tragediami było niepotrzebną stratą czasu i energii.

Teraz, gdy ocieżała odpoczywała w gorącej kąpieli, Rachael zaczerpnęła głęboko powietrza, w którym wciąż unosił się zapach jaśminowego olejku.

Zaczęła cichutko nucić wraz z Johnnym Mathisem śpiewającym *I'll Be Seeing You*.

Znów wzięła do ust kawałek czekolady. Popiła szampanem.

Nieprzerwanie starała się być odprężona, bierna, odizolowana od rzeczywistości, w nastroju typowym dla kalifornijskiego lekkoducha.

Przez jakiś czas wydawało jej się, że jest całkowicie zrelaksowana, i dopiero gdy zadźwięczał dzwonek u drzwi, zdała sobie sprawę, że jej ucieczka od rzeczywistości była pozorna. Kiedy tylko przez usypiającą muzykę dotarło do niej dzwonienie, usiadła prosto w wannie, serce zabiło jej mocno i w takiej panice złapała pistolet, że przewróciła przy tym kieliszek z szampanem.

Następnie wyszła z kąpieli, włożyła błękitny szlafrok i powoli, trzymając w ręce pistolet lufą skierowany w dół, poszła przez pełen cieni dom do drzwi wejściowych. Myśl o tym, że ma je otworzyć, napawała ją przerażeniem, jednocześnie nie mogła oprzeć się sile, która pchała ją w kierunku drzwi. Czuła się jak w transie, jak gdyby przyzywał ją hipnotyzujący głos jakiegoś medium.

Zatrzymała się przy spręcie stereofonicznym, by go wyłączyć. Cisza, która zaległa, miała

złowieszczy charakter.

W przedpokoju, już z ręką uniesioną w kierunku zamka, zatrzymała się jeszcze i zawahała. Znów rozległ się dzwonek. Drzwi frontowe pozbawione były okienka czy wziernika. Rachael zamierzała zamontować w nich wizjer, przez który mogłaby sprawdzać, kto chce się do niej dostać, i teraz bardzo żałowała, że zawsze odkładała to na później. Wpatrzyła się w ciemne dębowe drzwi, jak gdyby oczekiwała, że stanie się cud i wyraźnie zobaczy, kto za nimi stoi. Trzęsła się cała.

 Nie wiedziała, dlaczego tak wielkim lękiem napawa ją perspektywa przyjęcia gościa.

No, może to nie całkiem prawda. Rachael przeczuwała, dlaczego się boi. Ale wzbraniała się przyznać przed samą sobą, co jest źródłem jej przerażenia, obawiając się, że mogłoby to zmienić straszliwą możliwość w niebezpieczną rzeczywistość.

 Znów rozległ się dzwonek.

Po prostu zniknął

Ben Shadway jechał właśnie ze swojego biura w Tustin do domu, kiedy w wiadomościach radiowych usłyszał o nagłej śmierci doktora Erica Lebena. Nie wiedział dokładnie, co czuje. Na pewno był to dla niego szok. Ale nie czuł smutku, chociaż świat stracił tego dnia genialnego naukowca. Leben był bardzo błyskotliwy, więcej – to był bez wątpienia geniusz, jednocześnie jednak uważano go za człowieka aroganckiego, zarozumiałego, może nawet niebezpiecznego.

Ben odczuł głównie ulgę. Bał się, że Eric pojmie wreszcie, iż nigdy już nie uda mu się odzyskać żony, i wtedy zrobi jej krzywdę. Ten człowiek nie znośił przegrywać. Zwykle wpadał w szewską pasję, gdy spotykały go niepowodzenia zawodowe, ale mogło ją również wywołać głębokie upokorzenie, którego zapewne dozna po odrzuceniu przez Rachael.

Ben jeździł pieczołowicie odrestaurowanym białym Thunderbirdem, model 1956, o błękitnym wnętrzu. Miał w nim telefon i natychmiast zadzwonił do Rachael. Aparat w jej domu przełączony był na automatyczną sekretarkę. Nie podniosła słuchawki nawet wtedy, gdy się przedstawił.

Przed światłami na skrzyżowaniu Siedemnastej Ulicy i alei Newport zawahał się, po czym skręcił w lewo, zamiast pojechać prosto do siebie, do Orange Park Acres. Może nie było jeszcze Rachael w domu, ale kiedyś przecież wróci i będzie zapewne potrzebować pomocy. Postanowił, że zaczeka na nią przed jej domem w Placentia.

Przednia szyba Thunderbirda pokryła się pomarańczowymi cętkami, rzucanymi przez promienie czerwcowego słońca. Utworzyły one falujące wzorki, które znikaly, gdy auto wjeżdżało w nieregularnie występujące strefy cienia. Ben wyłączył radio i włożył do odtwarzacza kasetę z nagraniami Glenna Millera. I gdy tak jechał przez słoneczną Kalifornię, a wewnątrz pojazdu wypełniała melodia *String of Pearls*, trudno mu było uwierzyć, że ktoś mógł umrzeć w taki piękny, złocisty dzień.

Zgodnie z własnym systemem klasyfikacji osobowości Benjamin Lee Shadway był przede wszystkim człowiekiem żyjącym przeszłością. Stare filmy wolał od nowych. Mniej interesowali go De Niro, Streep, Gere, Field, Travolta i Penn niż Bogart, Bacall, Gable, Lombard, Trący, Hepburn, Gary Grant, William Powell, Myrna Loy. Uwielbiał książki z lat dwudziestych, trzydziestych i czterdziestych; twarde i bezkompromisowe „kawalki” Chandlera, Hammetta, Jamesa M. Caina oraz wczesne powieści Nera Wolfe’a. Jego ulubiona muzyka pochodziła z epoki swingu: Tommy i Jimmy Dorseyowie, Harry James, Duke Ellington, Glenn Miller i nieporównywalny z nikim Benny Goodman.

Dla relaksu konstruował działające modele lokomotyw i zbierał wszelkie możliwe eksponaty związane z kolejnictwem. Żadne chyba hobby nie trąci tak nostalgią i nie pasuje lepiej do ludzi zorientowanych na przeszłość niż kolekcjonowanie kolejowych memorabiliów.

Ale Ben nie był całkowicie nastawiony na przeszłość. Mając dwadzieścia cztery lata, uzyskał licencję na obrót nieruchomościami, a gdy przekroczył trzydziestkę, założył własne biuro pośrednictwa. Teraz, w sześć lat później, należało do niego już sześć agencji, zatrudniających łącznie trzydzieści osób. Częściowo tajemnica jego sukcesu leżała w tym, że traktował pracowników oraz klientów ze staromodną kurtuazją i rewerencją. To doskonale działało na ludzi zagubionych we współczesnym świecie pośpiechu, grubiaństwa i tworzyw sztucznych.

W ostatnim czasie pojawił się drugi, oprócz pracy zawodowej, element zdolny oderwać Bena od jego pociągów, starych filmów, swingu i tęsknot za przeszłością. Była to Rachael Leben. Zielonooka, długonoga, o włosach jak z obrazów Tycjana, dobrze zbudowana Rachael Leben.

Dziwne, ale łączyła ona w sobie cechy dziewczyny z sąsiedztwa i eleganckiej piękności w typie tych,

które w latach trzydziestych występowały w każdym filmie z życia wyższych sfer. Stanowiła skrzyżowanie Grace Kelly z Carole Lombard. Miała łagodny charakter. Była zabawna, rezolutna. Była wszystkim, o czym Ben Shadway kiedykolwiek marzył. Pragnął, by wehikuł czasu przeniósł go wraz z Rachael w rok tysiąc dziewięćset czterdziesty. Wykupiliby wtedy dla siebie cały przedział w ekspresie „Superchief” i przemierzyli pociągiem całe Stany, kochając się przez półtora tysiąca kilometrów w miarowy takt stukających kół.

Przyszła do jego biura, by pomógł jej znaleźć dom, ale na tym się nie skończyło. Spotykali się już regularnie od pięciu miesięcy. Najpierw był nią zafascynowany tak, jak mężczyzna może być zauroczony wyjątkowo atrakcyjną kobietą, zaintrygowany, jak smakuje jej usta, czy jej ciało pasowałoby do jego ciała, podniecony fakturą jej skóry, gładkością nóg, kształtnością bioder i piersi. Jednakże już wkrótce poznał ją bliżej i uznał jej błyskotliwy umysł i dobre serce za równie pociągające jak wygląd zewnętrzny. Cudownie było obserwować, jak intensywnie chłonęła zmysłami otaczający ją świat. Tyle samo przyjemności czerpała z czerwonego zachodu słońca czy ciekawego układu cieni, co z siedmiodaniowego obiadu za sto dolarów od osoby w najbardziej eleganckiej restauracji w okręgu. Pożądanie Bena szybko zmieniło się w najprawdziwszą miłość. Sam nie wiedział, kiedy to się stało.

Był raczej pewny, że Rachael również go kocha. Ale nie osiągnęli jeszcze w pełni stadium, w którym mogliby sobie wzajemnie otwarcie i bez pośpiechu wyznać głębię uczuć. Jednakże w czułości, którą mu okazywała, Ben wyczuwał miłość, podobnie jak w tkliwym spojrzeniu, jakim go ukradkiem obdarzała.

Choć zakochani w sobie, nie kochali się jeszcze fizycznie. Rachael bowiem, mimo iż żyła terazniejszością i zawsze potrafiła zręcznie wycisnąć każdą kropelkę przyjemności, to jednak w tych sprawach była ostrożna. Swych uczuć nie wyrażała wprost, coś nakazywało jej iść do przodu powoli, małymi kroczkami. Niespieszny romans zapewniał dosyć czasu, by mogła odkryć i zasmakować wszystkich nowych odcieni uczucia, które łączyło ją z tym mężczyzną. I gdy wreszcie oboje nie będą już mogli oprzeć się pożądaniu, radość spełnienia będzie tym większa, im dłużej trwała zwłoka.

Gotów był poświęcić na to tyle czasu, ile będzie od niego wymagała. Czuł jednak, jak z dnia na dzień coraz bardziej jej pragnie. Wyobrażał sobie, z jaką niesamowitą siłą i namiętnością będą się kochać, gdy wreszcie dojdzie do zbliżenia. Czerpał z tego wzruszające emocje. Doszedł do wniosku, że pozbawiliby się mnóstwa niewinnych przyjemnostek, gdyby już w pierwszej fazie znajomości, wyłącznie dla zaspokojenia zmysłów, poszli „na całość”.

Z drugiej strony Ben, jako człowiek zakochany w minionych, lepszych i szacowniejszych czasach, był w sprawach damsko-męskich nieco staroświecki i nie dążył do łatwej, szybkiej satysfakcji z dopiero co napotkaną kobietą. Ani on, ani Rachael nie byli prawiczkami, ale Ben uważał, iż seks powinien być zwieńczeniem romansu, jego ostatnim etapem, w którym zbiegną się wszystkie nitki rozwijanego uczucia. Dopiero wtedy osiągnie pełnię emocjonalnej i fizycznej radości.

Zaparkował swój samochód na podjeździe koło domu Rachael, tuż przy czerwonym mercedesie, którego nie chciało jej się nawet wprowadzić do garażu.

Jedna ze ścian pokryta była tropikalnymi pnączami z mnóstwem barwnych przylistków, które sięgały aż na dach. Na tarasie przed domem ustawiono drewniane kratki, po których również pięła się roślina, tak że razem tworzyły rodzaj żywej czerwono-zielonej altanki.

Ben zatrzymał się w cieniu pnączy, plecami odwrócony do miło grzejącego słońca, i zadzwonił kilka razy. Rachael nie otwierała i mężczyzna zaczął się niepokoić.

W środku słychać było muzykę. Nagle ktoś ją wyłączył.

Gdy wreszcie Rachael otworzyła drzwi, spostrzegł, że są zabezpieczone łańcuchem. Kobieta

spojrzała na niego ostrożnie przez wąską szparę. Poznała go i uśmiechnęła się, aczkolwiek był to bardziej uśmiech odprężenia nerwowego aniżeli radości.

– Och, Benny, tak się cieszę, że to ty.

Zdjęła metalowy łańcuch i wpuściła go do środka. Była boso, w błękitnym, niedbale przewiązanym jedwabnym szlafroku. W ręce trzymała pistolet.

– Po co ci to? – spytał zbity z tropu.

– Nie wiedziałam, kto dzwoni – powiedziała, zabezpieczając broń i odkładając ją na szafkę przy lustrze.

Potem, spostrzegłszy zachmurzone czoło przyjaciela, zrozumiała, że nie jest to wystarczające wyjaśnienie.

– Och, sama nie wiem. Myślę, że... jestem roztrzęsiona.

– Usłyszałem o Ericu w wiadomościach radiowych. Kilka minut temu.

Wtuliła się w jego ramiona. Jej włosy były w niektórych miejscach wilgotne. Skóra słodko pachniała jaśminem, a oddech miała czekoladowy. Ben wiedział, że musiała przed chwilą zażywać ulubionej, długiej i leniwej kąpieli w wannie.

Przytulając ją mocno, poczuł, że cała się trzęsie.

– Wiem z radia, że byłeś przy tym – powiedział.

– Tak.

– Współczuję ci.

– To było straszne, Benny. – Przyłgnęła do niego. – Nigdy nie zapomnę tego trzasku, gdy uderzyła go ciężarówka. Ani tego, jak leciał w powietrzu i upadł na chodnik.

Przeszedł ją gwałtowny dreszcz.

– Uspokój się – rzekł. – Nie musisz teraz o tym mówić.

– Muszę – odparła. – Muszę o tym mówić, jeśli mam wyrzucić to wspomnienie z pamięci.

Ben ujął ją za podbródek i zwrócił ku sobie śliczną buzię Rachael. Pocałował ją raz, ale z czułością. Jej usta smakowały czekoladą.

– Dobrze – zgodził się. – Usiądźmy więc w pokoju i opowiesz mi, co się stało.

– Zamknij drzwi na zamek – poleciła Rachael.

– Nie ma potrzeby – odparł i zaczął wyprowadzać ją z przedpokoju.

Rachael zatrzymała się i nie chciała iść dalej.

– Zamknij drzwi na zamek – powtórzyła.

Zakłopotany Ben cofnął się i spełnił jej życzenie. Kobieta wzięła broń z szafki, by zabrać ją do pokoju.

Coś złego wisiąło w powietrzu, coś więcej niż śmierć Erica, ale Ben nie wiedział co.

W salonie zaciągnięto wszystkie zasłony, panował więc w nim głęboki mrok. To było bardzo dziwne. Zwykle Rachael uwielbiała słońce i z rozkoszą oddawała się kąpielom w jego ciepłych promieniach, na podobieństwo kotki wygrzewającej się na parapecie. Ben nigdy, aż do tej pory, nie widział, żeby w domu Rachael były zaciągnięte zasłony.

– Nie odsłaniaj okien – zażądała kobieta, gdy Ben zbliżył się do nich.

Zapaliła lampę, która rzuciła delikatny pomarańczowy blask. Następnie usiadła na obitej brzoskwiniową tkaniną sofie. Salon urządzony był modnie – wszystko w odcieniach brzoskwiniowych, z biało-granatowymi akcentami. Stały w nim mosiężne lampy i ława ze szklanym blatem. Rachael, w swym błękitnym szlafroku, świetnie harmonizowała z wystrojem wnętrza.

Położyła broń na stoliku przy lampie. Miała ją w zasięgu ręki.

Ben zajrzał do łazienki i zabrał stamtąd resztę czekolady oraz szampana. Następnie poszedł do kuchni, skąd wziął jeszcze jedną, dobrze schłodzoną buteleczkę szampana i kieliszek dla siebie.

Wreszcie usiadł koło niej na sofie i wtedy Rachael powiedziała:

– Coś mi się tu nie podoba. Mam na myśli czekoladę i szampana. To wygląda jak oblewanie jego śmierci.

– Biorąc pod uwagę, jak ten sukinsyn cię traktował, oblewanie dałoby się usprawiedliwić.

Gwałtownie potrząsnęła głową.

– Nie. Czyjaś śmierć nigdy nie może być powodem do radości. Niezależnie od sytuacji, Benny. Nigdy.

Jednakże mimowolnie przebiegła opuszkami palców po kilkucentymetrowej, bladej i cienkiej jak nitka, bliznie. Ledwo widoczna, znajdowała się na prawym policzku Rachael i była pamiątką po nagłym wybuchu wściekłości Erica. Zdarzyło się to rok temu. Wtedy właśnie zdecydowała, że go opuści, aby już nigdy nie miał okazji do wyrządzenia jej krzywdy. Eric rzucił w nią tego feralnego dnia szklaneczką z whisky. Chybił, ale naczynie uderzyło o ścianę, rozprysnęło się, a ostry odłamek szkła ugodził kobietę w twarz. Aby nie dopuścić do powstania widocznej blizny, lekarze musieli natychmiast założyć piętnaście mistrzowskich szwów. Dlatego wiadomość o śmierci męża musiała wywołać u niej uczucie ulgi, choćby tylko na poziomie podświadomości.

Zacząła opowiadać Benowi, czyniąc raz po raz pauzy, by napić się szampana, o porannym spotkaniu u adwokata Erica i o późniejszej sprzeczce na ulicy, kiedy to mąż chwycił ją mocno za ramię i stracił nad sobą kontrolę. Potem opisała wypadek i straszliwy wygląd zwłok, a wszystko w najdrobniejszych szczegółach, jak gdyby tylko w ten sposób mogła wyzwolić się od tych krwawych obrazów. Następnie zaczęła opowiadać o poczynionych przygotowaniach do pogrzebu i w miarę upływu czasu stopniowo uspokajały się jej drżące dłonie.

Ben usiadł blisko niej i patrząc na nią, położył rękę na jej ramieniu. Co pewien czas delikatnie masował jej kark lub głaskał ją po miedzianych włosach.

– Trzydzieści milionów dolarów – podsumowała na koniec i pokręciła głową, uśmiechając się z gorzką ironią. Pragnęła przecież tak niewiele, a dostanie wszystko. – Ja naprawdę nie chcę tych pieniędzy – oznajmiła. – Mam wielką ochotę wydać je, a przynajmniej dużą ich część.

– Są twoje, możesz więc zrobić z nimi, co tylko zechcesz – odpowiedział Ben. – Ale nie rób teraz nic, czego później mogłabyś żałować.

Rachael spuściła wzrok, zerkając na trzymany oburącz kieliszek. Zmarszczyła brwi w zatroskaniu i powiedziała:

– Oczywiście, Eric wściekłby się, gdybym je wydała.

– Kto?!

– Eric – powtórzyła spokojnie.

Ben pomyślał, że to dziwne, iż Rachael reaguje tak, jakby Eric żył. Wytłumaczył to sobie szokiem, który przeżyła. Widocznie nie przyszła jeszcze do siebie.

– Poczekaj trochę, aż dostosujesz się do nowych warunków.

Rachael westchnęła i kiwnęła głową.

– Która godzina?

Ben spojrzał na zegarek.

– Za dziesięć siódma.

– Po południu dzwoniłam do różnych ludzi, informując, co się stało i kiedy będzie pogrzeb. Ale zostało mi na liście jeszcze trzydzieści albo czterdzieści nazwisk. Eric nie miał rodziny, jedynie kilku kuzynów. I ciotkę, której nienawidził. Przyjaciół też nie miał wielu. Nie był człowiekiem, któremu zależało na przyjaźniach, nie potrafił ich zresztą nawiązywać. Jest jednak mnóstwo ludzi, z którymi łączyły go interesy. Rozumiesz? Nie mam ochoty na te męczące rozmowy.

– W samochodzie mam telefon – powiedział Ben. – Mogę pomóc ci w kontaktowaniu się z nimi. Wtedy pójdzie szybciej.

Uśmiechnęła się delikatnie.

– Jak by to wyglądało? Przyjaciel wdowy dzwoniący do pogrążonych w smutku...

– Nie muszę się im przedstawiać. Mogę powiedzieć, że jestem przyjacielem rodziny.

– No cóż, skoro jego rodzina to tylko ja – rzekła Rachael – nie będzie to kłamstwem. Jesteś moim najlepszym na świecie przyjacielem, Benny.

– Więcej niż przyjacielem.

– O, tak.

– Mam nadzieję, że dużo więcej.

– Też mam taką nadzieję – odparła.

Pocałowała go lekko i przez chwilę trzymała głowę na ramieniu mężczyzny.

Po dwudziestej trzydzieści dodzwonili się do wszystkich znajomych i współpracowników Erica. Wtedy też Rachael ze zdziwieniem stwierdziła, że jest głodna.

– Po takim dniu, po takich przeżyciach... Czy nie jestem aż nazbyt nieczuła, skoro mam w takiej chwili apetyt?

– Ależ skąd! – uspokoił ją Ben. – Życie toczy się dalej, kochana. Żywi muszą jeść. Zresztą, czytałem gdzieś, że towarzyszenie nagłej i gwałtownej śmierci wyzwala w człowieku zwiększony apetyt. Trwa to od kilku dni do kilku tygodni od chwili wypadku.

– Człowiek udowadnia sobie w ten sposób, że sam żyje.

– Cieszy się z tego.

– Obawiam się, że nie przyrządzę ci nic ciepłego – powiedziała. – Ale mogę zrobić sałatkę. Ugotujemy jeszcze dwie porcje rigatori, a do tego otworzymy słoik sosu ragu.

– Iście królewska uczta!

Zabrała ze sobą pistolet do kuchni i położyła go na bufecie koło kuchenki mikrofalowej.

Opuściła żaluzje w oknach wychodzących na tył domu, na pokryte bujną roślinnością obejście. Ben lubił patrzeć na znajdujące się tam klomby azalii, bogato ulistnione krzewy wawrzynu oraz bezładnie splecione tropikalne pnącza o czerwonych i żółtych przylistkach, które całkowicie przykrywały mur otaczający posiadłość. Wyciągnął więc rękę w stronę linki, chcąc podnieść żaluzje.

– Proszę cię, nie rób tego – powiedziała Rachael. – Chcę... mieć święty spokój.

– Ale przecież z zewnątrz nikt nie zajrzy do środka. Obejście jest ogrodzone murem, a furka zamknięta.

– Proszę...

Zostawił więc żaluzje opuszczone, tak jak sobie tego życzyła.

– Czego się boisz, Rachael?

– Boję? Nie, niczego się nie boję.

– A broń?

– Mówiłam ci, że nie wiedziałam, kto stoi za drzwiami, a tyle już dzisiaj przeżyłam...

– Teraz już wiesz, że to ja stałem za drzwiami.

– Tak.

– A do rozmowy ze mną broń nie jest ci potrzebna. Żeby trzymać mnie na dystans, wystarczy obietnica jednego albo dwóch pocałunków.

Uśmiechnęła się.

– Myślę, że powinnam odłożyć ją na miejsce. Czy bardzo cię rozzłościłam?

– Nie, ale...

– Zaniosę ją do sypialni, gdy tylko rigatori zaczną się gotować – obiecała, ale w jej głosie wyczuwało się bardziej grę na zwłokę niż przyrzeczenie.

Zaintrygowany i nieco speszony Ben dyplomatycznie nie odezwał się słowem.

Rachael postawiła na gazie duży garnek z wodą. W tym czasie Benny przełożył ze stoika do rondelka sos ragu. Następnie wspólnie pokroili zieloną sałatę, seler, pomidory, cebulę i czarne oliwki – składniki sałatki.

Pracując rozmawiali, głównie o kuchni włoskiej. Rozmowa jakoś się nie kleiła, zapewne dlatego, że oboje za bardzo starali się być beztroscy i na siłę odsunąć myśli o śmierci. Rachael, siekając jarzyny, prawie cały czas wpatrywała się tylko w niego, starając się skoncentrować wyłącznie na tej czynności. Każdy kawałek selera kroić w kosteczki o jednakowych wymiarach, jak gdyby symetria była najważniejszym elementem dobrej sałatki i podnosiła jej smak.

Oczarowany jej urodą Benny spoglądał na nią równie często, jak ona patrzyła na to, co robi. Rachael zbliżała się do trzydziestki, ale wyglądała na dwadzieścia lat. Cechowała ją jednak elegancja i postawa wielkiej damy, żyjącej na tyle długo, by poznać wszelkie tajniki wdzięcznego zachowania. Nigdy nie miał dość patrzenia na nią, i nie chodziło tu tylko o to, że go podniecała. W jakiś tajemniczy sposób, którego nie potrafił wyjaśnić, jej widok działał na niego odprężająco. Czuł wtedy, że wszystko ma się ku dobremu, a on sam, po raz pierwszy w swym samotnym życiu, jest pełnowartościowym człowiekiem, który może jeszcze osiągnąć trwałe szczęście.

Powodowany nagłym impulsem wyjął jej z ręki nóż, którym kroić pomidora, odłożył go na bok i przyciągnął ją do siebie. Następnie objął Rachael mocno ramionami i pocałował głęboko. Teraz jej delikatne usta nie smakowały już czekoladą, lecz szampanem. Wciąż pachniała lekko olejkiem jaśminowym, choć przez jego woń przebijał zmysłowy aromat jej czystego ciała. Ben przesunął dłonią po ciele kobiety, kreśląc ostry łuk i zatrzymując palce na łonie Rachael. Przez jedwabny szlafroczek czuł jej prężne, mistrzowsko wyrzeźbione ciało. Nie miała nic pod spodem. Ciepłe ręce Bena zrobiły się gorące, a po chwili wprost zaczęły go palić, gdy przez delikatną tkaninę dotarł do niego żar jej talii.

Przyłgnęła do niego na moment w desperackim odruchu, jak gdyby była rozbitkiem, a on tratwą ratunkową na wzburzonym morzu. Palce wbiła mocno w jego ramiona i kurczowo zacisnęła, jej ciało było sztywne. Po jakimś czasie odprężyła się i jej dłonie rozpoczęły wędrówkę po plecach i ramionach Bena, badając je i masując. Potem szerzej otworzyła usta. Ich pocałunek był jeszcze bardziej żarliwy niż przedtem, a oddech przyspieszony.

Czuł, jak pełne piersi kobiety napierają na jego pierś. Zaczął jeszcze wnikliwiej penetrować zakamarki jej ciała, w przeświadczeniu, że i ona tego pragnie.

Zadzwoił telefon.

Ben uświadomił sobie, że kiedy skończyli informowanie ludzi o śmierci i pogrzebie Erica, zapomnieli przełączyć telefon na automatyczną sekretarkę. Na potwierdzenie tego faktu telefon zadzwonił ponownie, ostro i przeraźliwie.

– Cholera! – zaklęła Rachael, odsuwając się od mężczyzny.

– Ja odbiorę.

– Pewnie jakiś dziennikarz.

Ben podniósł słuchawkę aparatu, który wisiał na ścianie w kuchni koło lodówki. To nie był dziennikarz, lecz Everett Kordell, koroner miasta Santa Ana. Dzwonił z kostnicy. Powstał pewien poważny problem, dlatego koniecznie chciał rozmawiać z panią Leben.

– Jestem przyjacielem rodziny – przedstawił się Ben. – Odbieram wszystkie telefony do pani Leben.

– Ale ja muszę rozmawiać z nią osobiście – nalegał koroner. – To sprawa nie cierpiąca zwłoki.

– Myślę, że rozumie pan, iż pani Leben miała dziś bardzo ciężki dzień. Dlatego nie może z panem rozmawiać. Bardzo mi przykro.

– Ale ona musi przyjechać do miasta – powiedział płacząco Kordell.

– Do miasta? To znaczy, do kostnicy? Teraz?

– Zgadza się. I to natychmiast.

– Dlaczego?

Kordell zawahał się. Potem wyjaśnił:

– To bardzo żenująca i niemiła sprawa... Zapewniam pana, że prędzej czy później wszystko się wyjaśni... Może już niedługo... No cóż, zniknęły zwłoki Erica Lebena.

Ben był przekonany, że się przesłyszał.

– Zniknęły?

– No... może tylko gdzieś się zapodziały – odrzekł nerwowo Everett Kordell.

– Może?!

– A może je... skradziono.

Ben usłyszał jeszcze kilka szczegółów, potem odwiesił słuchawkę i wrócił do Rachael.

Kobieta obejmowała się mocno ramionami, jak gdyby nagle zrobiło się jej niezwykle zimno.

– Dzwonili z kostnicy?

Mężczyzna skinął głową.

– Wygląda na to, że ci cholerni nieudolni biurokraci zgubili ciało.

Rachael bardzo pobrała, a w jej oczach pojawił się wyraz prześladowanego zwierzęcia. Ale, o dziwo, elektryzujące wiadomości nie wydawały się dla niej niespodzianką.

Ben miał dziwne wrażenie, iż Rachael czekała na ten telefon przez cały wieczór.

Tam gdzie przechowują śmierć

Wygląd biura Everetta Kordella stanowił dla Rachael dowód, że koroner był człowiekiem obowiązkowym i starannym aż do przesady. Biurka nie zawałały żadne papiery, książki czy akta. Bibularz był nowy, czysty, nie używany. Wszystkie akcesoria – uchwyty na długopisy, nóż do otwierania korespondencji, pojemnik na papiery i oprawione w srebrne ramki zdjęcia rodzinne, miały na biurku swoje starannie dobrane miejsce. Na półkach za plecami Kordella widniało dwieście czy trzysta książek, ustawionych tak równo, że wyglądały jak atrapy. Dyplomy i dwa schematy anatomiczne zdobiące pozostałe ściany były również tak względem siebie dopasowane, że Rachael zastanowiła się, czy koroner nie sprawdza co rano z pomocą linijki i pionu, czy na pewno wiszą prosto.

Dbałość Kordella o ład i porządek widoczna była także w jego własnym wyglądzie. Ten wysoki, trochę zbyt szczupły, męczyzna około pięćdziesiątki miał twarz ascetyczną, o ostrych rysach i jasnobrązowych oczach. Jego szpakowate włosy były krótko ostrzyżone i starannie uczesane. Długie palce rąk, osobliwie wychudłe, kojarzyły się z kościotrupem. Biała czysta koszula nasuwała przypuszczenie, że prano ją pięć minut temu, a kanty ciemnobrązowych spodni były tak ostre, że prawie świeciły odbitym światłem lampy jarzeniowej.

Gdy Rachael i Benny usadowili się w krzesłach z ciemnej sosny o zielonych skórzanych obiciach, Kordell obszedł swoje biurko i usiadł za nim.

– Jest mi bardzo przykro, pani Leben, że muszę do tego, co pani dzisiaj przeżyła, dołożyć jeszcze to brzemie. Wiem, że nie mam dla siebie usprawiedliwienia. Proszę jednakże pozwolić, że jeszcze raz wyrażę swój żal i przeproszę panią, choć doskonale rozumiem, że to nie zmieni pani ciężkiej sytuacji. Czy dobrze się pani czuje? Może szklankę wody lub czegoś innego?

– Czuję się dobrze – odpowiedziała Rachael, choć w rzeczywistości nigdy nie czuła się gorzej.

Ben wyciągnął ramię i objął ją, by dodać jej otuchy. Słodki Benny, można na nim polegać. Była wdzięczna, że siedział teraz przy niej. Ze swoimi siedemdziesięcioma kilkoma kilogramami wagi i stu siedemdziesięcioma centymetrami wzrostu nie należał do kolosów. Miał ciemne włosy, brązowe oczy i sympatyczną, choć pospolitą twarz. Reprezentował typ człowieka, który łatwo może zniknąć w tłumie, a na przyjęciu nikt nie zwróci na niego uwagi. Jednakże kiedy tylko zaczynał coś mówić swoim łagodnym głosem, gdy poruszał się z niezwykłym wdziękiem albo po prostu patrzył przenikliwym wzrokiem, natychmiast stawały się widoczne jego wrażliwość i inteligencja. Mimo całej łagodności tkwiła w nim lwia moc i przy jego boku wszystko wydawało się łatwiejsze. Wahala się tylko, czy należy wciągać go w całą tę historię.

– Nie bardzo rozumiem, co się tutaj stało – powiedziała do koronera.

Obawiam się, że wiem więcej niż Kordell, pomyślała.

– Będę z panią absolutnie szczerzy – odrzekł koroner. – Nie mam innego wyboru. – Westchnął i pokręcił głową z niedowierzaniem, że coś takiego było w ogóle możliwe. Potem zamrugnął oczami, zmarszczył brwi i zwrócił się do Bena. – Pan jest może adwokatem pani Leben?

– Jestem tylko starym przyjacielem – odpowiedział Benny.

– Naprawdę?

– Jestem tu, by podtrzymać ją na duchu.

– Tak, mam nadzieję, że adwokaci nie będą nam potrzebni – oznajmił Kordell.

– Może mi pan wierzyć, że nie mam najmniejszego zamiaru radzić się w tej sprawie prawników – zapewniła go Rachael.

Koroner kiwnął posępnie głową, najwyraźniej nie przekonany co do jej szczerości.

– Zwykle nie ma mnie w biurze o tej porze. – Był poniedziałek, dwudziesta pierwsza trzydzieści. – Kiedy praca nieoczekiwanie przedłuża się i trzeba jeszcze wykonać wieczorem jakąś sekcję, zwykle powierzam ją jednemu z moich asystentów. Wyjątek czynię, gdy chodzi o zwłoki jakiejś ważnej osobistości lub przypadek dziwnej, niezwykłej śmierci. W takich sytuacjach, ze względu na zainteresowanie zarówno środków przekazu, jak i polityków, wolę nie polegać na swoich podwładnych. I jeśli trzeba sekcję zrobić w nocy, zostaję po godzinach. Pani mąż był oczywiście bardzo ważną osobistością.

Rachael kiwnęła głową, gdyż wydało jej się, że Kordell oczekuje reakcji. Nie odważyła się cokolwiek powiedzieć. Przez cały czas, od kiedy dowiedziała się o zniknięciu zwłok, strach pulsował w niej ze zmienną siłą. Teraz odczuwała największe jego natężenie.

– Ciało przywieziono do kostnicy o dwunastej czternaście – kontynuował Kordell. – Ponieważ zakończyliśmy już przyjęcia, a ja miałem po południu wygłosić odczyt, poleciłem jednemu z moich asystentów, by zajął się zmarłymi według kolejności zapisów w książce przyjęć, a sam zaplanowałem sekcję zwłok pani męża na osiemnastą trzydzieści. – Dotknął kciukami skroni i pomasaował je, krzywiąc się przy tym, jak gdyby powrót do tych wydarzeń przyprawiał go o ból głowy. – Kiedy przygotowałem już stół, posłałem asystenta, by przywiózł ciało doktora Lebena z chłodni... ale on nie mógł go znaleźć.

– Może zostawiono je w innym miejscu? – spytał Benny.

– Odkąd tu pracuję, takie rzeczy zdarzały się nadzwyczaj rzadko – powiedział Kordell z lekkim przebłyskiem dumy. – Ale nawet w tych kilku wypadkach, gdy zwłoki zostawiono w innym miejscu, na niewłaściwym stole, nie w tej co trzeba szufladzie lub pomyłono identyfikatory, zawsze odnajdywaliśmy je w ciągu pięciu minut.

– Tylko nie dziś – dorzucił Benny.

– Szukaliśmy prawie godzinę. Wszędzie. Absolutnie wszędzie. – Kordell był wyraźnie zmartwiony. – Nic z tego nie rozumiem. Nic a nic. Zgodnie z naszą procedurą taka historia nie miała prawa się wydarzyć.

Rachael zdała sobie nagle sprawę, że tak mocno zaciskała w garści torebkę, aż pobiełały jej paznokcie. Rozluźniła uchwyt, starając się odprężyć. Potem zamknęła powieki i opuściła głowę, obawiając się, że z jej oczu obaj mężczyźni mogą wyczytać straszliwą prawdę. Miała nadzieję, iż zrozumieją to jako reakcję na zatrważającą wieść, która ich tutaj sprowadziła.

Przez oddzielającą ją teraz od reszty świata ciemność usłyszała głos Bena:

– Doktorze Kordell, czy istnieje taka ewentualność, że ciało doktora Lebena zostało przez pomyłkę dostarczone do prywatnego zakładu pogrzebowego?

– Powiedziano nam, że przygotowaniem do pogrzebu zajmuje się firma braci Attisonów i oczywiście zadzwoniliśmy do nich w sprawie zwłok. Podejrzewaliśmy, że może ktoś od nich przyjechał po ciało doktora Lebena, a nasz pracownik przez roztargnienie wydał je bez zaświadczenia o wykonaniu sekcji. Jednakże Attisonowie twierdzą, że nie odbierali od nas zwłok, czekając, aż sami po nich zadzwonimy.

– Miałem na myśli sytuację, kiedy – w związku z mylną identyfikacją zwłok – wydawane są one zakładowi pogrzebowemu jako należące do kogoś zupełnie innego – powiedział Benny.

– To kolejna ewentualność, którą – zapewniam pana – sprawdziliśmy z należytą dokładnością. Zaraz po tym, jak o dwunastej czternaście dostarczono zwłoki doktora Lebena, wysłaliśmy do prywatnych zakładów pogrzebowych cztery inne ciała. Razem z nimi pojechali nasi pracownicy, by potwierdzić tożsamość zmarłych dla uniknięcia pomyłki. Żadne z tych ciał nie należało do doktora Lebena.

– A więc coś pan podejrzewa? – spytał Benny.

Rachael słuchała ich makabrycznej rozmowy z zamkniętymi oczami. Pogrzyżała się w absolutnej ciemności i stopniowo zaczynała jej się wydawać, że śpi, a głosy obu mężczyzn są mesmerycznymi głosami zjaw ze złego snu.

– To brzmi niewiarygodnie, ale nie pozostało nam nic innego, jak przyjąć, że ciało zostało skradzione – powiedział Kordell.

Rachael wielkim wysiłkiem i raczej bez powodzenia starała się nie dopuszczać do siebie przerażających obrazów, które zaczęła właśnie widzieć oczyma wyobraźni.

– Dzwonił pan na policję? – spytał Benny.

– Tak. Kiedy tylko doszliśmy do przekonania, że jedynie kradzież wchodzi w rachubę, powiadomiliśmy ich o wszystkim. Są teraz na dole, w chłodni, i oczywiście chcą z panią rozmawiać, pani Leben.

Od strony Everetta Kordella dobiegł Rachael delikatny, rytmiczny odgłos tarcia. Otworzyła oczy. Koroner wsuwał i wysuwał z futerału nożyk do otwierania korespondencji. Znów spuściła powieki.

Ponownie odezwał się Benny:

– Czy wasze środki bezpieczeństwa są tak niedoskonałe, że ktoś z ulicy mógł się tu wśliznąć i ukraść zwłoki?

– Ależ skąd! – zapewnił Kordell. – Jeszcze nic takiego się nie zdarzyło! Doprawdy trudno mi to wyjaśnić. Oczywiście, ktoś, komu bardzo by na tym zależało, zapewne znalazłby sposób, by ominąć nasze zabezpieczenia, ale nie byłoby to łatwe do wykonania. Proszę mi wierzyć.

– Ale nie wyklucza pan takiej możliwości – powiedział Benny.

Tarcie ucichło. Po dźwiękach, które teraz do niej docierały, Rachael zorientowała się, że Kordell w zdenerwowaniu przesuwając po blacie biurka oprawne w srebrne ramki zdjęcia.

Skoncentrowała się na tym wyobrażeniu, by odegnać od siebie szalone obrazy, które niestrudzenie podsuwała jej chytra wyobraźnia.

– Proponuję – oznajmił Everett Kordell – żebyście państwo zeszli ze mną do chłodni. Sami zobaczycie, jak szczelny jest nasz system zabezpieczeń i jak trudno byłoby go przełamać. Pani Leben, czy czuje się pani na siłach, by obejrzeć kostnicę?

Rachael otworzyła oczy. Obaj mężczyźni patrzyli na nią zatroskani. Skinęła głową.

– Czy jest pani tego pewna? – spytał Kordell, wstając i wychodząc zza biurka. – Proszę zrozumieć, że ja nie nalegam. Ale bardzo by mi ulżyło, gdyby się pani osobiście przekonała, jak jesteśmy zapobiegliwi i jak sumiennie wykonujemy nasze obowiązki.

– Czuję się dobrze – zapewniła Rachael.

Koroner dostrzegł na swym rękawie krótką czarną nitkę, strzepnął ją i ruszył w kierunku drzwi.

Rachael podniosła się z krzesła i chciała pójść za nim, ale nagle zakręciło jej się w głowie. Zachwiała się.

Benny wziął ją pod ramię i przytrzymał.

– Ta wycieczka nie jest konieczna.

– Jest – powiedziała ponuro. – Jest konieczna. Muszę to obejrzeć. Muszę wiedzieć.

Benny spojrzał na nią zdziwiony, ale nie mógł spotkać jej wzroku. Czuł, że coś jest nie tak, coś więcej niż śmierć Erica i zniknięcie jego zwłok. Nie rozumiał jednak, o co chodzi, i jego zaintrygowanie rosło.

Rachael chciała pokonać strach i nie angażować Bena w tę przykrą sprawę, ale nie potrafiła

przekonująco kłamać, a poza tym wiedziała, że Benny już od pierwszej chwili, gdy do niej przyjechał, jest świadom jej lęku. Ten wierny przyjaciel był tyleż zaintrygowany, co zaniepokojony. Postanowił, że zostanie przy niej, co akurat najmniej jej w tej chwili odpowiadało, ale nic nie mogła na to poradzić. Później jednak będzie musiała jakoś pozbyć się Bena. Wprawdzie jego pomoc byłaby nieoceniona, jednakże nie miała prawa wciągać go w tę niebezpieczną historię i ryzykować jego życie, tak jak ryzykowała swoje.

A teraz trzeba zobaczyć, gdzie leżały zmasakrowane zwłoki Erica. Miała nadzieję, że lepsze zrozumienie okoliczności ich zniknięcia rozproszy jej najgorsze obawy. Musiała zebrać w sobie wszystkie siły, by ruszyć na obchód kostnicy.

Wyszli z biura i zeszli na dół, gdzie przechowywana jest śmierć.

Szeroki, pokryty jasnoszarymi płytkami korytarz kończył się ciężkimi metalowymi drzwiami. We wnęce po prawej stronie siedział ubrany w biały fartuch człowiek. Gdy zobaczył nadchodzących Kordella, Rachael i Bena, wstał i wyciągnął z kieszeni komplet dzwoniących głośno kluczy.

– To jest jedyne wewnętrzne wejście do chłodni – powiedział Kordell – Drzwi są zawsze zamknięte. Zgadza się, Walt?

– Absolutnie – odparł mężczyzna. – Czy chce pan wejść do środka, doktorze?

– Tak.

Kiedy Walt wsuwał klucz do zamka, Rachael zobaczyła małą iskierkę wyładowania elektrycznego.

– Cały czas, dwadzieścia cztery godziny na dobę przez siedem dni w tygodniu, Walt albo ktoś inny z pracowników siedzi na warcie. Nikt nie może sam wejść do środka. Wszystkich wchodzących zapisuje się w zeszycie.

Szerokie drzwi otwały się i Walt przytrzymał je, by mogli przejść. W chłodni zimne powietrze pachniało środkami odkażającymi i czymś nieokreślonym, w każdym razie czymś ostrym i gryzącym. Ten drugi zapach był mniej intensywny. Drzwi zamknęły się za nimi, skrzypiąc lekko, a dźwięk ten zdawał się przenikać Rachael do szpiku kości. Usłyszeli jeszcze za plecami głucho huknięcie, gdy wejście zamknęło się automatycznie.

Dwoje podwójnych otwartych drzwi prowadziło do dużych pomieszczeń po obu stronach chłodnego korytarza. Na jego końcu znajdował się czwarty, metalowy portal, taki sam jak ten, przez który właśnie weszli.

– Państwo pozwolą, że teraz pokażę jedyne wejście do chłodni z zewnątrz. Tutaj podjeżdżają karawany i karetki – powiedział Kordell, prowadząc ich w stronę drzwi.

Rachael szła za nim, choć samo przebywanie w miejscu, gdzie przetrzymywano śmierć, gdzie do niedawna jeszcze znajdowało się ciało Erica, sprawiło, że nogi miała jak z waty, a na czole i plecach czuła obfity pot.

– Proszę chwilę zaczekać – odezwał się Benny.

Odwrócił się w stronę drzwi, którymi weszli, nacisnął kłamek i otworzył je. Walt, który właśnie wracał na swoje miejsce po drugiej stronie, spojrział na niego zdziwiony. Ben puścił drzwi i pozwolił, by ponownie zamknęły się z hukiem.

– Chociaż zawsze są zamknięte od zewnątrz, to jednak można je otworzyć od wewnątrz?

– Zgadza się. Oczywiście – odpowiedział Kordell. – To byłoby zbyt skomplikowane, gdyby przy wychodzeniu należało wzywać strażnika do otwarcia drzwi. Zresztą nie możemy ryzykować zamknięcia tu kogoś na dobre w jakiejś awaryjnej sytuacji, jak na przykład pożar czy trzęsienie ziemi.

Ich kroki odbijały się złowrogim echem od świeżo wypolerowanych płytek, gdy zaczęli kontynuować

obchód kostnicy i zbliżali się do drugiego wejścia na końcu korytarza. Minęli dwa pomieszczenia i w sali po lewej stronie Rachael ujrzała kilka osób. Stali, poruszali się i rozmawiali przyciszonymi głosami w blasku ostrego, zimnego światła lamp jarzeniowych. Byli to pracownicy kostnicy ubrani w białe fartuchy, tęgi mężczyzna w beżowych spodniach i sportowej marynarce w beżowo-żółto-czerwono-zieloną kratę oraz dwóch ludzi w czarnych garniturach, którzy również spojrzeli na Rachael.

Kobieta dostrzegła także trzy martwe ciała, leżące pod białymi prześcieradłami na stołach z nierdzewnej stali.

Gdy znaleźli się na końcu korytarza, Everett Kordell szeroko otworzył metalowe drzwi. Wyszedł na zewnątrz i skinął na swych gości.

Rachael i Benny poszli za nim. Kobieta spodziewała się ujrzeć jakieś podwórko, a tymczasem – choć opuścili budynek kostnicy – niezupełnie jeszcze byli na dworze. Zewnętrzne wejście do chłodni znajdowało się bowiem na jednym z podziemnych pięter wielokondygnacyjnego parkingu, który przylegał do kostnicy. Był to ten sam garaż, w którym Rachael zaparkowała niedawno swojego mercedesa, tyle że zostawiła go kilka pięter wyżej.

Podłoże z szarego betonu, nagie ściany oraz grube kolumny wspierające również szary betonowy strop sprawiały, że podziemny parking wyglądał jak ogromna awangardowa wersja grobowca faraona. Sodowe lampy u sufitu, rozmieszczone w dużych odstępach i rzucające snopy żółtawego światła, stwarzały – jak pomyślała Rachael – atmosferę godną przedsionka Komnaty Śmierci.

Teren w pobliżu wejścia do kostnicy objęty był zakazem parkowania, ale sporo samochodów pozostawiono na rozległej betonowej powierzchni z namalowanymi „kopertami”, gdzie na wpół tonęły w zgniętym przytłumionym świetle i głębokich czarnych cieniach.

Rachael spojrzała na samochody i odniosła dziwne wrażenie, że coś kryło się między nimi i obserwowało ich, a ją w szczególności.

Benny spostrzegł, że przeszedł ją dreszcz, i objął ją ramieniem.

Everett Kordell zamknął ciężkie drzwi do kostnicy, po czym chciał je otworzyć, ale rygiel nie ustępował pod naporem jego ręki.

– Widzicie państwo? Zamykają się automatycznie. Karetki i karawany podjeżdżają z ulicy na rampę i muszą się tutaj zatrzymać. Jedyne sposobem, żeby się dostać do środka, to nacisnąć ten guzik – tu wduśił biały przycisk w ścianie obok drzwi – a następnie porozumieć się ze strażnikiem przez interkom. – Przynął usta do drucianej siateczki przykrywającej mikrofon. – Walt? Mówi Kordell. Jestem na zewnątrz. Czy możesz nas wpuścić? Z głośniczka dobiegł ich głos strażnika:

– Już się robi, doktorze.

Odezwał się brzęczyk i Kordell mógł znów otworzyć drzwi.

– Rozumiem, że strażnik nie otwiera każdemu, kto o to prosi – powiedział Benny.

– Oczywiście – potwierdził Kordell, stojąc w otwartych drzwiach. – Jeśli rozpoznał głos i zna osobę, wpuszcza ją. Jeśli zaś nie, jeśli przyjechał ktoś nowy albo gdy istnieje jakikolwiek inny powód, żeby zachować czujność, strażnik idzie korytarzem tak jak my szliśmy, od swojego stanowiska aż tutaj, żeby sprawdzić osobiście, kto chce wejść.

Rachael straciła zainteresowanie tymi szczegółami, zajmował ją tylko spowity mrokiem parking, gdzie istniało mnóstwo świetnych kryjówek.

– Ale w tym miejscu nie spodziewający się napaści strażnik mógłby zostać obezwładniony i intruz dostałby się do środka – dociekał Benny.

– Teoretycznie jest to możliwe – przyznał Kordell, a jego szczupła twarz zwięzła się jeszcze bardziej

– tylko że dotychczas nigdy się to jeszcze nie zdarzyło.

– Czy strażnicy, którzy dzisiaj mieli dyżur, mogą przysiąc, że zarejestrowali wszystkich wchodzących i wychodzących i że nie było wśród nich osób nie upoważnionych?

– Tak – powiedział Kordell.

– A pan im ufa?

– Bezwarunkowo. Każdy, kto tutaj pracuje, doskonale zdaje sobie sprawę, iż znajdujące się pod naszą opieką ciała to szczątki drogie rodzinie, krewnym. Wiemy, że spoczywa na nas poważny – nawet święty – obowiązek chronienia ich tak długo, jak długo u nas pozostają. I sędzę, że najlepszym tego dowodem jest nasz system zabezpieczeń, który właśnie państwu pokazałem.

– W takim razie – rzekł Benny – ktoś otworzył zamek wytrychem...

– Tych zamków nie można otworzyć wytrychem.

– ...albo ktoś przedostał się do środka, gdy drzwi zewnętrzne były otwarte, ukrył się, odczekał, aż wszyscy żywi wyszli, a następnie porwał ciało doktora Lebena.

– Na to wygląda. Tylko że to takie nieprawdopodobne...

– Czy możemy już wejść do środka? – spytała Rachael.

– Jasne – odpowiedział skwapliwie Kordell, gotów spełnić każde jej życzenie, i puścił ją przodem.

Rachael weszła i znów znalazła się na korytarzu chłodni, gdzie w zimnym powietrzu unosił się gryzący zapach środków dezynfekcyjnych oraz mdły smród gnicia.

Pytania bez odpowiedzi

W przechowalni, gdzie zwłoki czekały na autopsję, powietrze było jeszcze zimniejsze niż na korytarzu. Ostre światło lamp jarzeniowych, odbijające się pełnym niepokojem blaskiem od wszystkich metalowych powierzchni, przydawało stołom do sekcji oraz klamkom i zawiasom stojących wzdłuż ścian gablotek chłodnej jasności. Pomalowane białym błyszczącym lakierem ścianki tych gablotek oraz skrzynek z przyborami, choć nie grubsze od innych, wyglądały jednak, jakby były bezdenne. Dziwny to widok, podobny do tajemniczej, połyskującej głębi, jaką światło księżyca nadaje śnieżnemu krajobrazowi.

Rachael starała się nie patrzeć na przykryte prześcieradłami ciała ani nie myśleć o tym, co znajduje się w tych olbrzymich szufladach-chłodniach.

Grubas w sportowej marynarce nazywał się Ronald Tescanet i był prawnikiem reprezentującym władze miejskie. Oderwano go od kolacji, by znajdował się pod ręką, kiedy policja będzie rozmawiać z Rachael, a później, by sam omówił z nią sprawę zniknięcia zwłok. Miał głos tak słodki, że aż mdły, a kondolencje złożył tak wylewnie, iż trąciło to wazeliniarstwem. Podczas gdy Rachael odpowiadała na pytania policji, Tescanet stał za nimi i nie odzywał się. Co pewien czas przyglądał tylko swe gęste czarne włosy, a wtedy na jego tłustych palcach błyskały złote pierścienie z brylantami, po jednym na każdej dłoni.

Dwaj mężczyźni w ciemnych prostych garniturach byli, jak słusznie Rachael podejrzewała, policjantami. Pokazali legitymacje i odznaki. Na szczęście nie męczyli jej wyrazami współczucia.

Młodszy z nich, detektyw Hagerstrom, miał krzaczaste brwi i mocną sylwetkę. Nic nie mówił, pozostawiając sprawę przesłuchania swojemu koledze. Stał w zupełnym bezruchu, jak stuletni dąb – w przeciwieństwie do nieprzerwanie kręcącego się prawnika – i małymi brązowymi oczkami wpatrywał się w Rachael. W pierwszej chwili sprawił na niej wrażenie głupka, ale po chwili zrozumiała, że policjant obdarzony był ponadprzeciętną inteligencją, co jednak starannie ukrywał.

Bała się, że Hagerstrom mógłby za pomocą jakiegoś tajemniczego szóstego zmysłu przejrzeć ją na wylot i odkryć wszystko, co przed nim ukrywała. Dlatego ostrożnie, by nie wzbudzić podejrzeń, ale konsekwentnie unikała jego wzroku.

Starszy glina, detektyw Julio Verdad, był niskim mężczyzną o latynoskich rysach i intensywnie czarnych oczach, które połyskiwały purpurowym blaskiem niczym dwie dojrzałe śliwy. Najwyraźniej przywiązywał wagę do elegancji: miał na sobie letni ciemnoniebieski, dobrze skrojony garnitur, białą, może nawet jedwabną, koszulę z mankietami spiętymi złotymi spinkami z masą perłową, krawat w kolorze burgunda ze złotym łańcuszkiem zamiast spinki oraz ciemnowiśniowe trzewiki firmy Bally.

Chociaż Verdad mówił krótkimi zdaniami i był raczej szorstki w obejściu, jego głos brzmiał spokojnie i miękko. Kontrast między łagodnym tonem a pełnym werwy zachowaniem policjanta zbijał z tropu.

– Obejrzała pani zabezpieczenia?

– Tak.

– Czy jest pani usatysfakcjonowana?

– Chyba tak.

Potem zwrócił się do Bena.

– Pana nazwisko?

– Ben Shadway. Jestem starym znajomym pani Leben.

– Ze szkoły?

– Nie.

– Z pracy?

– Nie. Tak po prostu...

Czarne oczy rozbłyły.

– Rozumiem. – Potem zwrócił się do Rachael. – Mam kilka pytań.

– Na jaki temat?

Zamiast odpowiedzieć, Verdad rzekł:

– Zechce pani usiąść, pani Leben?

– Krzesło, ależ oczywiście...! – wyrwał się Everett Kordell i wraz z prawnikiem Ronaldem Tescanetem pospieszyli wyciągnąć krzesło dosunięte do biurka w rogu pomieszczenia.

Widząc, że nikt inny nie zamierza usiąść, a więc w obliczu znalezienia się w gorszej pozycji, kiedy wszyscy będą na nią patrzeć z góry, Rachael powiedziała:

– Nie, dziękuję, postoję. Chyba nie potrwa to długo. Rozumieją panowie, że nie jestem w nastroju, by siedzieć tu całymi godzinami. A zresztą, czego mają dotyczyć te pytania?

– Niezwykłej zbrodni.

– Porwania zwłok? – zapytała ironicznie, udając, że jest jednocześnie zmieszana i oburzona tym, co zaszło. To pierwsze uczucie było raczej udawane, lecz drugie mniej więcej szczerze.

– Kto mógł to zrobić? – spytał Verdad.

– Nie mam pojęcia.

– Nikt nie przychodzi pani do głowy?

– A któż miałby kraść zwłoki Erica? Nie znam nikogo takiego – odpowiedziała.

– Czy miał wrogów?

– Niezależnie od tego, że w swojej dziedzinie był nieprzeciętny, to jeszcze wiodło mu się w interesach. Geniuszów często otacza zawiść kolegów. Na pewno niejednen zazdrościł mu sukcesów. Niektórzy mogli nawet czuć się przez niego... utraceni na drodze do kariery.

– Czy on utracał ludzi?

– Tak. Kilku. Był narwany. Ale wątpię, by którykolwiek z jego wrogów należał do typu ludzi, którym sprawiłaby satysfakcję tak bezsensowna i makabryczna zemsta.

– On nie tylko był narwany – powiedział Verdad.

– Taak?

– Był bezlitosny.

– Dlaczego pan tak mówi?

– Czytałem o nim – rzekł Verdad. – Bezlitosny.

– No, może był... Miał trudny charakter. Nie zaprzeczam.

– Brak litości rodzi u innych chęć zemsty.

– Na tyle silną, by porwać zwłoki?

– Może... Proszę podać mi nazwiska wrogów pani męża, wszystkich, którzy mogliby mieć motyw, chcieli wyrównać rachunki.

– Takie informacje może pan uzyskać od ludzi, którzy pracują w Geneplan – odparła.

– W przedsiębiorstwie pana Lebena? Ale przecież pani była jego żoną.

– Nie mam rozeznania w jego sprawach zawodowych. Nie chciał, żebym je miała. Wyznawał określone poglądy na temat... miejsca żony. A zresztą już od roku żyliśmy w separacji.

Verdad udawał zaskoczonego, ale Rachael domyślała się, że policjant dobrze przestudiował jej życiorys i znał fakty, które mu teraz podawała.

– Rozwodzili się państwo? – spytał.

– Tak.

– W zgodzie?

– Z mojej strony tak.

– A więc to wyjaśnia...

– Co wyjaśnia?

– Fakt, że nie jest pani smutna.

Rachael zaczęła podejrzewać, iż Verdad był dwa razy bardziej niebezpieczny niż cichy, spokojny, wpatrzony w nią Hagerstrom. Po chwili była już o tym przekonana.

– Doktor Leben źle ją traktował – wtrącił Benny w obronie przyjaciółki.

– Rozumiem – odparł Verdad.

– Dlatego nie ma powodu, by się smucić.

– Rozumiem.

– Tak się pan zachowuje, jakby chodziło tu o zabójstwo – powiedział Benny.

– Doprawdy? – rzekł Verdad.

– Traktuje ją pan jak podejrzaną.

– Tak pan sądzi? – spytał spokojnie Verdad.

– Doktor Leben zginął w nagłym wypadku – oznajmił Benny – i jeśli ktoś ponosi za to winę, to tylko on sam.

– My też tak uważamy.

– Było wielu świadków.

– Czy jest pan adwokatem pani Leben? – zapytał Verdad.

– Nie. Mówiłem panu...

– Ach, tak. Jest pan jej starym znajomym – rzekł Verdad z przekąsem.

– Gdyby pan był adwokatem, panie Shadway – odezwał się Ronald Tescanet, poruszając się tak gwałtownie, aż zatrzęsły mu się policzki – to zrozumiałby pan, że policja nie ma wyboru i nie może odstąpić od nieprzyjemnej procedury przesłuchania. Niewykluczona jest przecież i taka ewentualność, że ciało zostało skradzione, by nie dopuścić do przeprowadzenia sekcji. Dla ukrycia czegoś przed nami.

– To brzmi bardzo melodramatycznie – powiedział szydlerczo Benny.

– Ale przekonywająco. Co znaczy, że okoliczności śmierci pana Lebena wcale nie są takie jednoznaczne, jakby się mogło wydawać – dodał Tescanet.

– Dokładnie tak – przytaknął Verdad.

– Nonsens – odrzekł Benny.

Rachael doceniała determinację, z jaką przyjaciel bronił jej honoru. Nie zawiodła się na nim. Był bardzo pomocny, a przy tym taki słodki. Woląca jednak, by Verdad i Hagerstrom traktowali ją jak potencjalną morderczynię lub przynajmniej współsprawczynię zabójstwa. Wprawdzie nikogo nie potrafiłaby zabić, a śmierć Erica była naprawdę przypadkowa (co kiedyś stanie się oczywiste dla najbardziej nawet podejrzliwego detektywa), ale dopóki policjanci podążali tym tropem, nie zachodziła obawa, że znajdą inny, bliższy straszliwej prawdy ślad. Sami wpuścili się w te maliny i Rachael nie zamierzała wyprowadzać ich z błędu.

– Poruczniku Verdad – powiedziała – oczywiście najprostszym wyjaśnieniem byłoby, że ciało po

prostu umieszczono w innym miejscu, mimo wszystkich zapewnień doktora Kordella. – Chudy jak bocian lekarz sądowy oraz Ronald Tescanet zaprotestowali. Rachael spokojnie, ale stanowczo ich uciszyła. – Albo to jakiś makabryczny kawał grupy gówniarzy. Próba odwagi czy coś takiego. Nasza młodzież jest zdolna nie do takich rzeczy.

– Myślę, że znam już odpowiedź na to pytanie – oznajmił Benny. – Ale czy jest w ogóle możliwe, że Eric Leben nie był martwy? Może jego stan oceniono niewłaściwie? Czy jest możliwe, że – oszołomiony – sam stąd wyszedł?

– Nie, nie, nie! – wykrzyknął Tescanet poblądłszy, a na czoło, mimo chłodu, wystąpiły mu kropelki potu.

– Nie, to niemożliwe – odrzekł w tej samej chwili Kordell. – Widziałem go. Poważne uszkodzenia czaszki. Żadnych oznak życia.

Ale ta *ad hoc* wysunięta hipoteza chyba zaintrygowała Verdada.

– Czy nikt nie zbadał doktora Lebena zaraz po wypadku?

– Pogotowie ratunkowe – odpowiedział Kordell.

– To fachowcy, ludzie, którym można zaufać – dodał Tescanet, wycierając chusteczką pot z czoła. Musiał teraz, jako reprezentant władz, szybko dokonać kalkulacji, które z oskarżeń przeciwko miastu miałyby przed sądem poważniejszą wymowę i gorsze skutki – wpadka w kostnicy czy niekompetencja komunalnego pogotowia ratunkowego. Ta druga możliwość wydała mu się bardziej niebezpieczna. – Niezależnie od okoliczności, nigdy nie pomylili by żywego człowieka z umarłym – zapewnił.

– Po pierwsze, nie było jakichkolwiek oznak pracy serca – powiedział Kordell i zaczął na palcach wyliczać wszystkie dowody na to, że Eric Leben jednak nie żył. Palce miał tak długie i delikatne, że powinien być raczej pianistą niż lekarzem sądowym. – Zapis EKG przedstawiał linię prostą; pogotowie ma aparaturę w karetce i sprawdzają to na miejscu. Po drugie, brak oddechu. Po trzecie, gwałtownie obniżająca się temperatura ciała.

– Bez wątpienia oznaki śmierci – mruknął Tescanet.

Porucznik Verdad zaczął się teraz przyglądać miejskiemu prawnikowi oraz szefowi kostnicy tak samo ostro i drapieźnie, jak do tej pory patrzył na Rachael. Zapewne nie podejrzewał, żeby Tescanet i Kordell – albo ktoś z pogotowia – kryli wydanie mylnego orzeczenia lekarskiego albo zgoła przestępstwo. Jednakże instynkt i doświadczenie nakazywały mu zachować czujność wobec każdego, kto mógłby dać najmniejszy choćby powód do takich podejrzeń, niezależnie od czasu, miejsca i okoliczności.

Everett Kordell spojrział spode łba na Tescaneta, niezadowolony, że ten mu przerwał, i po chwili kontynuował:

– Po czwarte, zanikła elektryczna aktywność mózgu. W kostnicy mamy elektroencefalograf. Regularnie używamy go do ostatecznego potwierdzenia śmierci ofiary wypadku. Wprowadziłem tę procedurę zabezpieczającą, gdy tylko zacząłem kierować tym zakładem. Zaraz po przywiezieniu do nas ciała doktora Lebena podłączyliśmy je do aparatury. Nie zarejestrowaliśmy żadnych fal mózgowych. Byłem przy tym obecny. Widziałem wykres. Mózg denata nie pracował. Jeśli w ogóle istnieje jakiś powszechnie uznawany sposób stwierdzenia zgonu, polega on właśnie na jednoczesnym orzeczeniu przez lekarza całkowitego zatrzymania akcji serca i braku oznak pracy mózgu. Ponadto źrenice doktora Lebena nie rozszerzały się w ostrym świetle. Z całym szacunkiem, pani Leben, muszę stwierdzić, że pani mąż był równie martwy jak wszyscy zmarli, których oglądałem. Za prawdziwość tego orzeczenia jestem gotów ręczyć swoją reputacją.

Rachael również nie miała wątpiwości co do tego, że Eric nie żył. Gdy tak leżał na spryskanym

krwią chodniku, aż nazbyt dokładnie widziała jego wygasłe oczy i głęboką wklęsłość biegnącą znad ucha do skroni – wskazującą na to, że doznał pęknięcia czaszki, a odłamki kości mogły się dostać do mózgu. Jednakże wdzięczna była Benowi, że nieświadomie zagmatwał sprawę i podsunął detektywom inny, fałszywy trop.

– Jestem pewna, że nie żył – powiedziała. – Nie mam co do tego żadnych wątpliwości. Widziałam, jak wyglądał tuż po wypadku, i wierzę, że orzeczenie lekarza pogotowia było prawdziwe.

Kordell i Tescanet odetchnęli z ulgą. Verdad wzruszył ramionami i rzekł:

– A więc wycofujemy tę hipotezę.

Ale Rachael wiedziała, że skoro podejrzenie co do nieprawdziwości diagnozy raz pojawiło się w umysłach obu policjantów, to nie będą żałować czasu ani energii, by pójść dalej tym śladem. A o to jej właśnie chodziło. O czas. O to, by ich przetrzymać. Należało grać na zwłokę, zwodzić i gmatwać. Rachael potrzebowała czasu, by znaleźć potwierdzenie swych najgorszych przeczuć i by zdecydować, co musi sama zrobić, żeby uchronić się przed wieloma zagrożeniami.

Porucznik Verdad poprowadził kobietę wzdłuż trzech stołów, na których spoczywały przykryte prześcieradłami zwłoki, do czwartego, pustego. Leżało na nim tylko zmięte przykrycie i gruby kartonik na dwóch plastikowych paskach, również pognieciony.

– To wszystko, co po nim zostało. Bardzo mi przykro. Tu leżały zwłoki. A ten identyfikator przyczepiony był do palców u stopy denata.

Detektyw znajdował się teraz tylko kilka centymetrów od Rachael i spojrzał na nią przenikliwie swymi czarnymi oczami. Były równie srogie jak jego twarz i nieprzeniknione.

– Dobrze, ale jeśli to było porwanie, to dlaczego sprawca tracił czas na odczepianie od stopy zmarłego tego identyfikatora?

– Nie mam najmniejszego pojęcia – odrzekła kobieta.

– Złodziej bałby się przecież, że może zostać złapany. Powinien się spieszyć. Odwiązywanie identyfikatora zajęłoby kilka drogocennych sekund.

– To niewiarygodne – powiedziała drżącym głosem.

– Tak, niewiarygodne – zgodził się Verdad.

– Ale cała sprawa jest niewiarygodna.

– Tak.

Rachael spojrzała na zmięte i poplamione czymś prześcieradło. Zaczęła sobie wyobrazać, jak przykrywało zimne, nagie zwłoki jej męża. Nie mogła opanować drżenia całego ciała.

– Dosyć tego – powiedział Benny, obejmując Rachael ramieniem, by ogrzać ją i dodać jej otuchy. – Spływamy stąd.

Everett Kordell i Ronald Tescanet towarzyszyli Rachael oraz Benowi aż do windy, cały czas usiłując przekonać oboje, że zarówno kostnica, jak i władze miejskie nie ponoszą żadnej winy za zniknięcie ciała Erica Lebena. Choć kobieta kilkakrotnie zapewniła, że nie zamierza nikogo skarżyć, to jednak nie byli o tym przekonani. Rachael zaś niepokoiło tyle innych rzeczy i tyle jeszcze musiała przemyśleć, że nie miała ani ochoty, ani siły, żeby uspokajać obu mężczyzn. Chciała tylko, żeby już sobie poszli, by mogła wreszcie zająć się sprawami, które były dla niej naprawdę ważne i pilne.

Kiedy w końcu drzwi windy zamknęły się, oddzielając ją i Bena od chudego koronera i tłustego prawnika, jej przyjaciel powiedział:

– Na twoim miejscu podałbym ich do sądu.

– Procesy, apelacje, zeznania, spotkania z adwokatem, sale rozpraw – to wszystko nuda, nuda, nuda –

odparła Rachael i gdy winda ruszyła, otworzyła torebkę.

– Verdad to kawał cynicznego sukinsyna, nie sądzisz? – spytał Benny.

– Na tym chyba polega jego praca – Rachael wyjęła z torebki pistolet kalibru 32.

Benny spoglądał na podświetlone cyferki oznaczające mijane kondygnacje, nie zauważył więc broni w jej ręku.

– Tak, ale może przecież wykonywać swoje obowiązki z większym współczuciem dla innych, mniej jak maszyna, a bardziej jak człowiek.

Wzniesli się już o półtorej kondygnacji i właśnie zapalała się „dwójka”. Mercedes Rachael zaparkowany był piętro wyżej.

Benny chciał wziąć swój samochód, ale Rachael nalegała, że pojedzie mercedesem. Przynajmniej prowadząc auto, jej ręce będą miały zajęcie, a uwaga skupi się głównie na drodze. Na krótko przestanie myśleć wyłącznie o tej zatrważającej sytuacji, w jakiej się znalazła. Jeśli nie znajdzie nic innego do roboty jak tylko obsesyjne rozpamiętywanie ostatnich wypadków, na pewno szybko straci resztki panowania nad sobą. Trzeba więc koniecznie wymyślić jakieś zajęcie, bo w przeciwnym razie ulegnie panicznemu strachowi.

Minęli drugie piętro i jechali dalej.

– Ben, odsuń się od drzwi – odezwała się Rachael.

– Co?! – Ben oderwał wzrok od migających cyferek na tablicy nad drzwiami i zamrugał oczami zaskoczony, bo dopiero teraz zauważył pistolet.

– Cholera, skąd to masz?

– Wzięłam ze sobą z domu.

– Po co?

– Cofnij się. Szybko, Benny – powiedziała drżącym głosem, celując w drzwi.

Benny skonsternowany, mrugając oczami, posłuchał jej.

– O co chodzi? Nie chcesz chyba nikogo zastrzelić?

Serce waliło jej tak mocno, że prawie zagłuszało głos Bena dobiegający jak z wnętrza studni. Dojechali na trzecie piętro. Rozległ się pojedynczy dzwoneczek i zapaliła się „trójka”. Winda, lekko drgając, zatrzymała się.

– Rachael, odpowiedz mi, o co tu chodzi?

Nie odpowiedziała. Broń kupiła po odejściu od Erica. Samotna kobieta powinna mieć broń... zwłaszcza kiedy rzuciła takiego mężczyznę. Gdy drzwi się otworzyły, Rachael odtworzyła w pamięci wszystko, co zapamiętała na kursie strzelania: nie szarp za spust, naciskaj powoli, bo poruszyś pistoletem i nie trafisz.

Ale za drzwiami nikt na nich nie czekał, a przynajmniej nie na wprost windy. Podłoga była tu też z szarego betonu, podobnie jak ściany, kolumny i stropy. Wszystko wyglądało dokładnie tak jak na kondygnacji, gdzie wsiedli do windy. Nawet cisza brzmiała tak samo – grobowo i jakoś złowieszczo. Powietrze było mniej wilgotne i dużo cieplejsze niż trzy piętra niżej, choć równie nieruchome. Niektóre z wiszących u sufitu lamp były wypalone, inne zaś potłuczone. Stąd w tej wielkiej hali zamieszkiwało więcej cieni niż w suterenie, były intensywniejsze i lepiej nadawały się na kryjówkę dla napastnika. A może tylko w wyobraźni Rachael cienie zawierały więcej czerni aniżeli w rzeczywistości?

Benny wyszedł za nią z windy i spytał:

– Rachael, kogo ty się boisz?

– Później ci powiem. Teraz musimy się stąd wydostać.

– Ale...

– Później.

Ich kroki odbijały się od betonowych płyt pustym, zwielokrotnionym echem. Rachael czuła się tak, jakby szli przez komnaty jakiejś niezziemskiej świątyni, nie zaś przez zwykły piętrowy parking, jakby obserwowało ich nieznanne kosmiczne bóstwo.

O tak późnej porze jej czerwony mercedes 560 SL był jednym z ostatnich samochodów na całym piętrze. Stał na uboczu, około trzydziestu metrów od windy, i połyskiwał. Rachael ruszyła w jego stronę, szła jednak ostrożnie i jakby nieco bokiem. Ale za pojazdem nikt się nie ukrywał. Przez szyby mogła również zobaczyć, że i w środku nie ma nikogo. Otworzyła drzwi i szybko wsiadła. Skoro tylko Benny zrobił to samo, zablokowała drzwi, włączyła silnik, wrzuciła bieg, odciągnęła hamulec i ruszyła, trochę zbyt szybko, w stronę zjazdu.

Prowadząc samochód jedną ręką, drugą zabezpieczyła pistolet i schowała go do torebki.

Gdy wyjechali na ulicę, Benny odezwał się:

– Dobra, a teraz powiedz mi, co to za zabawa w ciuciubabkę.

Rachael nie była skora do szczerości i żałowała, że wciągnęła go tak głęboko. Powinna przyjechać do kostnicy sama. Ale była słaba, chciała się na nim oprzeć, teraz zaś, jeśli nie odsunie go od tego, jeśli pozwoli, żeby dalej wikłał się w to wszystko, narazi jego życie na niebezpieczeństwo. A do tego nie miała prawa.

– Rachael?

Zatrzymała się na czerwonym świetle przy skrzyżowaniu Main Street i Czwartej, gdzie ciepły podmuch letniego wiatru wywiał na środek jezdni różne śmieci. Tańczyły przez chwilę w kółko, po czym zostały zdmuchnięte.

– Rachael? – nie dawał za wygraną Ben.

Na rogu, kilka kroków od nich, stał obszarpany bezdomny człowiek. Był brudny, nie ogolony i pijany. Miał szkaradny ospowaty nos, na wpół zżarty przez czerniaka. W lewej ręce trzymał butelkę wina, niedokładnie zawiniętą w papierową torbę, w prawej brudnej dłoni – uszkodzony budzik bez minutnika i szkiełka, dzierżył go jednak jak jakiś skarb. Nagle wzrok pijaka powędrował w stronę auta i zatrzymał się na Rachael. Jego oczy miały gorączkowy, niesamowity wyraz.

Benny w ogóle nie zwrócił uwagi na bezdomnego.

– Nie odwracaj się ode mnie, Rachael. O co chodzi? Powiedz mi. Mogę ci pomóc.

– Nie chcę cię w to wplątywać – odparła.

– Już jestem wplątany.

– Nie. Teraz jeszcze o niczym nie wiesz. I myślę, że tak będzie najlepiej.

– Obiecałaś...

Światła zmieniły się na zielone. Rachael wcisnęła pedał gazu tak gwałtownie, że Bena aż wgniotło w oparcie fotela i zamarł w pół słowa. Pijany z budzikiem krzyczał za nimi:

– Jestem Staruszek Czas!

– Posłuchaj, Benny – powiedziała Rachael – pojedziemy teraz do mnie, żebyś mógł się przesiąść do swojego samochodu.

– Jeszcze czego!

– Pozwól, że sama to poprowadzę do końca.

– Co poprowadzisz? Co się tu dzieje?

– Benny, nie baw się w przesłuchanie. Proszę cię, nie rób tego. Muszę przemyśleć wiele spraw, wiele

spraw...

- Czyżbyś się jeszcze dzisiaj gdzieś wybierała?
- To ciebie nie dotyczy – odrzekła.
- Dokąd się wybierasz?
- Są pewne rzeczy, które muszę... sprawdzić. Zresztą, mniejsza z tym!

Benny rozgniewał się i spytał:

- Czy chcesz kogoś zastrzelić?
- Ależ skąd!
- To po co wzięłaś broń?

Nie odpowiedziała.

- Czy masz pozwolenie na broń palną?

Pokręciła głową.

- Tylko do domowego użytku.

Benny obejrzał się, by sprawdzić, czy nikt za nimi nie jedzie, a potem przechylił się, złapał za kierownicę i skręcił gwałtownie w prawo.

Samochód z piskiem opon odbił w bok, a Rachael nacisnęła na hamulec. Przetoczyli się jeszcze pięć albo sześć metrów, lecz gdy kobieta chciała wyprostować kierownicę, Benny znów za nią chwycił. Krzyknęła, by przestał. Puścił. Jednakże zanim odzyskała panowanie nad pojazdem, kierownica latała jej przez chwilę w dłoniach. Potem dojechała do krawężnika, zatrzymała się, spojrzała na swego pasażera i spytała:

- Odbiło ci?
- Zdenerwowałaś mnie.
- Trudno – odpowiedziała, patrząc na ulicę.
- Chcę ci pomóc.
- Nie możesz.
- Skąd wiesz? – spytał. A po chwili: – Dokąd musisz jechać?

Westchnęła.

- Po prostu do Erica.
- Do jego domu? Do Villa Park? Po co?
- Nie mogę ci powiedzieć.
- A potem dokąd?
- Do Geneplan, jego biura.
- Po co?
- Tego też nie mogę ci powiedzieć.
- Dlaczego nie?
- Benny, to niebezpieczne. Mogłoby ci się coś stać.
- Kurwa! Co ja jestem, figurka z porcelany? A może z kryształu? Kobieto, myślisz, że ktoś mnie tknie palcem, a ja natychmiast rozlecę się na milion kawałków?

Spojrzała na niego. Pomarańczowy blask ulicznych lamp przenikał tylko przez lewą połowę przedniej szyby i twarz Bena pozostawała w cieniu. Jedynie jego oczy błyszczały w ciemności.

– Mój Boże – powiedziała – ale się wściekłeś! Nigdy nie słyszałam, żebyś kiedykolwiek używał takiego języka.

- Czy coś nas łączy, czy nie? – spytał Rachael. – Myślę, że tak i to nie byle co.

– Tak.

– Naprawdę tak uważasz?

– Przecież wiesz, że tak.

– A więc nie możesz mnie od tego odsuwać. Nie możesz mnie powstrzymywać, kiedy chcę ci pomóc, a ty tej pomocy potrzebujesz. To do niczego nie doprowadzi.

Spojrzała na niego i ogarnął ją przyływ czułości. Niczego tak nie pragnęła, jak móc zwierzyć mu się ze wszystkiego i mieć go po swej stronie. Jednakże postąpiłaby niewłaściwie, gdyby wtajemniczyła go w swoje sprawy. Benny zachodził na pewno w głowę, w co też się ona wplątała, mnożył domysły, ale wszystko, na co mógłby wpaść, nie było nawet w połowie tak niebezpieczne jak prawda. Gdyby znał tę prawdę, niewykluczone, że nie paliłby się tak do pomocy. Rachael nie miała odwagi, by mu ją wyznać.

– Wiesz, że jestem poważnym, nieco staroświeckim facetem – powiedział. – Nie przystaję do większości standardów. Cholera, w Kalifornii połowa gości z mojej branży w taki letni dzień jak dziś wkłada do pracy białe sztruksy i pastelowy sweterek, ja zaś źle się czuję, kiedy nie mam na sobie garnituru z kamizelką i eleganckich trzewików. Kto wie, może jestem ostatnim facetem w handlu nieruchomościami, który wie, co to kamizelka. Tak więc, gdy ktoś taki jak ja widzi, że kobieta, na której mu zależy, popadła w tarapaty, musi jej pomóc. Nie ma innego wyjścia. Może to staroświeckie, ale szczerze i słuszne. A jeśli ona nie pozwoli sobie pomóc, to jest dla niego zniewaga, podważanie jego hierarchii wartości, odrzucenie tego, co najistotniejsze. I wtedy, bez względu na to, jak bardzo mężczyzna ją lubi, musi odejść. To proste.

– Nigdy nie słyszałam z twoich ust takiej przemowy – powiedziała Rachael.

– Bo nie było potrzeby.

Oboje byli pod wrażeniem ultimatum Bena. Rachael zamknęła oczy i oparła się głęboko w fotelu. Nie wiedziała, jaką podjąć decyzję. Trzymała ręce na kierownicy mocno zaciśnięte, żeby Ben nie zobaczył, jak bardzo się trzęsą.

– Kogo się boisz, Rachael? – spytał.

– Nie odpowiedziała.

– Wiesz, co się stało z jego ciałem, prawda?

– Może.

– Wiesz, kto je zabrał.

– Może.

– I boisz się ich. Kim oni są, Rachael? Na miłość boską, któż mógł zrobić coś takiego, i po co?

Otworzyła oczy, wrzuciła bieg i ruszyła.

– Dobrze, możesz ze mną jechać.

– Do domu Erica? A potem do jego biura? Czego będziemy szukać?

– Jeszcze nie jestem przygotowana, żeby ci o tym powiedzieć.

Przez chwilę milczał. A potem odezwał się:

– Okay. W porządku. Wszystko w swoim czasie. Zgadzam się. Jechała po Main Street w kierunku północnym. Potem skręciła na wschód w Katella Avenue, która prowadziła do ekskluzywnej dzielnicy Villa Park. Posuwali się wśród wzgórz w stronę posiadłości jej nieżyjącego męża. W najwyższych partiach dzielnicy, w gąszczu zarośli i mroku nocy, kryły się duże domy. Wiele z nich warte było ponad milion dolarów. Dom Erica, wystający zza olbrzymiego wawrzynu, wydawał się jeszcze ciemniejszy niż pozostałe budynki. Mimo ciepłej czerwcowej pory było to zimne miejsce, jak gdyby okna wykonano z płyt obsydianu, które nie przepuszczały światła tak w jedną, jak i w drugą stronę.

Bagażnik

Długi podjazd, wykonany z drobnych meksykańskich płytek chodnikowych w rdzawoczerwonym kolorze, przebiegał wzdłuż frontowej ściany olbrzymiego domu Erica Lebena, a potem zakręcał w stronę garaży na tyłach posiadłości i ginął z oczu. Rachael zaparkowała od frontu.

Chociaż Ben Shadway lubił tradycyjną architekturę hiszpańską, charakteryzującą się wielością haków, kątów oraz głęboko osadzonymi oknami witrażowymi, to jednak nie podobały mu się zupełnie pozbawione ornamentyki współczesne wille w stylu hiszpańskim. Proste linie, gładkie powierzchnie, duże płyty szklane zamiast okien – wszystko to mogło wydawać się stylowe i architektonicznie czyste, ale Benny uważał te elementy za nudne, wyzbyte charakteru i niebezpiecznie zbliżone do taniego masowego budownictwa zalewającego południową Kalifornię.

Niemniej jednak gdy wysiadł z samochodu i ruszył za Rachael przez nie oświetloną werandę, gdzie majaczyły żółto kwitnące kaktusy i agawy oraz uginające się pod ciężarem kwiecista białe azalie w olbrzymich glinianych donicach, stwierdził, że jest pod wrażeniem tego miejsca. Posiadłość – położona na drogich, sztucznie wymodelowanych gruntach – była olbrzymia, mogła obejmować kilka tysięcy metrów kwadratowych powierzchni mieszkalnej. Ze wzgórza, na którym stał dom Erica, rozciągał się widok na prawie całą zachodnią część okręgu Orange – szeroki dywan światła miał długość blisko dziesięciu kilometrów i sięgał czarnej jak smoła powierzchni oceanu. W ciągu dnia przy dobrej pogodzie widać stąd było zapewne Catalinę. Mimo oszczędności stylu, wewnątrz willi było bardzo bogate. Nawet granie ukrytych w zaroślach świerszczy wydawało się tu brzmieć inaczej niż w skromniejszych dzielnicach. Dla Bena było ono mniej przenikliwe i bardziej melodyjne, jak gdyby owady, świadome tego, gdzie koncertują, dokładały większych starań.

Ben wiedział od dawna, że Eric Leben to bardzo bogaty człowiek, ale dopiero teraz zrozumiał, co to znaczy. Nagle pojął sens bycia wartym dziesiątki milionów dolarów. Bogactwo Lebena przygniotło go niczym sztanga ciężarowca.

Benny po raz pierwszy zaczął myśleć o pieniądzach, gdy miał dziewiętnaście lat. Jego rodzice nie byli ani na tyle bogaci, by martwić się, w co inwestować, ani na tyle biedni, by przejmować się, czy wystarczy na wszystkie opłaty. Nie zależało im na pieniądzach, tak więc w domu Shadwayów bogactwo – lub jego brak – nie było tematem rozmów. Ale gdy Ben zakończył dwuletnią służbę wojskową, pieniądze stały się najważniejszym punktem jego zainteresowania. Zaczął myśleć, jak je robić, inwestować i gromadzić.

Pieniądze same w sobie nie były obiektem jego pożądania. Nie ekscytowała go także możliwość pozyskania za nie takich dóbr, jak zagraniczne samochody sportowe, motorówki, zegarki Rolexa czy garnitury warte dwa tysiące dolarów. Szczęśliwszy był w swoim starannie wyremontowanym aucie z tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego szóstego roku niż Rachael w nowym mercedesie, a garnitury kupował ze stojaka w sklepie Harris & Frank. Niektórzy ludzie pożądali pieniędzy dla władzy, jaką im dawały, ale on wolał wyładowywać swoją energię, ucząc się suahili, niż rządzić ludźmi.

Dla Bena pieniądze stanowiły przede wszystkim wehikuł czasu, dzięki któremu będzie mógł wreszcie pozwolić sobie na podróże w stare dobre czasy – lata dwudzieste, trzydzieste i czterdzieste. Dlatego zostawał w biurze po godzinach i rzadko brał wolne. Zamierzał w ciągu najbliższych pięciu lat rozbudować interes i uczynić z niego jedno z największych biur obrotu nieruchomościami w całym okręgu, a potem je sprzedać, zostawiając sobie jednak udziały, które zapewniłyby mu beztrudne życie może nawet do końca jego dni. Wtedy mógłby wreszcie poświęcić się muzyce swingowej, starym

filmom, „męskim” powieściom detektywistycznym, które tak uwielbiał, oraz swoim miniaturowym pociągom.

Chociaż przez więcej niż jedną trzecią lat, którymi tak był zafascynowany, trwał wielki kryzys, Benny uważał je za dużo lepsze od obecnych. W latach dwudziestych, trzydziestych i czterdziestych nie było terrorystów, groźby nuklearnej zagłady świata, masowej przestępczości w aglomeracjach miejskich, frustrujących ograniczeń prędkości do dziewięćdziesięciu kilometrów na godzinę, poliestru i piwa Miller Lite. Plaga współczesnego życia – kretyńska telewizja – nie była jeszcze pod koniec lat czterdziestych główną siłą opiniotwórczą. Obecnie zaś świat zdawał się wylęgarnią łatwego seksu, pornografii, literatury obrazkowej dla analfabetów oraz monotonnej, pozbawionej wdzięku muzyki. Drugie, trzecie i czwarte dziesięciolecie dwudziestego wieku były tak świeże i niewinne w porównaniu ze współczesnością, że nostalgia Bena przechodziła czasami w melancholię. Żałował wtedy, że nie urodził się wcześniej.

Teraz, gdy grające najlepiej jak potrafią świerszcze rozpraszały panującą w domu Lebena ciszę, gdy ciepły wiatr od morza niósł ze sobą delikatną woń jaśminu, Benny, stojąc na werandzie, mógł przez chwilę pomarzyć, że oto znalazł się w minionych, spokojnych i romantycznych czasach. Tylko architektura psuła błogą wizję.

I pistolet Rachael. On też wszystko psuł.

To była niezwykle pogodna kobieta, skora do śmiechu, rozważna w gniewie, wystarczająco pewna siebie, by nie pozwolić się łatwo przestraszyć. Tylko jakieś bardzo realne i poważne zagrożenie mogło wprowadzić ją w stan podwyższonej gotowości.

Zanim wysiadła z auta, wyjęła broń z torebki i odbezpieczyła. Ostrzegła Bena, żeby miał się na baczności, chociaż nie chciała powiedzieć, czego należy się obawiać i na co uważać. Widać było, że bardzo się boi, ale odmówiła wszelkich wyjaśnień – swych lęków nie chciała dzielić z nikim, nadal zazdrośnie strzegła tajemnicy.

Benny opanował zniecierpliwienie, ale nie dlatego, iżby obdarzony był wyrozumiałością świętego. Nie miał po prostu innego wyjścia i musiał zgodzić się na stopniowe przekazywanie mu informacji.

Gdy stanęli przed drzwiami wejściowymi, Rachael zaczęła dzwonić kluczami, starając się w ciemności trafić w dziurkę od zamka. Kiedy wyprowadziła się rok temu, zachowała swój komplet kluczy, by móc wrócić po rzeczy. Okazało się to jednak niepotrzebne, ponieważ Eric spakował wszystko, co do niej należało, i przesłał pocztą. Do przesyłki dołączył liścik, w którym wyraził przekonanie, że Rachael wkrótce zrozumie, iż zrobiła bardzo głupio, i będzie chciała pojednania. Jego pewność siebie bardzo ją zdenerwowała.

Zimny, metaliczny szczepek klucza o obudowę zamka wywołał w umyśle Bena nieprzyjemne skojarzenie z dwoma krzyżującymi się, ostrymi jak kosy, nożami.

Potem dostrzegł przy drzwiach kasetkę alarmu przeciwwłamaniowego, ale nie był on włączony, gdyż nie świeciła się żadna z lampek kontrolnych. Rachael nadal grzebała kluczami przy drzwiach, toteż Benny powiedział:

– A może Eric zmienił zamki, kiedy się wyprowadziłaś?

– Wątpię. Był święcie przekonany, że prędzej czy później wrócę. Nie znałam nikogo bardziej pewnego siebie niż Eric.

Wreszcie znalazła dziurkę. Klucz pasował. Otworzyła drzwi, nerwowo zbadała ręką ścianę w poszukiwaniu kontaktu, zapaliła światło i weszła do środka z pistoletem skierowanym przed siebie.

Ben postępował za nią, czuł się dziwnie, ponieważ stereotypowe role kobiety i mężczyzny w ich wypadku odwróciły się. Wszak to on – zdawałoby się – powinien trzymać pistolet, a Rachael iść za nim.

W hallu panowała absolutna cisza.

– Chyba jesteśmy tu tylko my – rzekła Rachael.

– A kogo się spodziewałaś? – spytał Benny.

Nie odpowiedziała.

I chociaż skonstatowała, że są sami, ruszyła przed siebie z lufą wymierzoną na wprost.

Szła powoli, z pokoju do pokoju, zapalając wszystkie światła. Ben odkrywał ciągle coś nowego, co czyniło w jego oczach dom Erica jeszcze bardziej imponującym. Komnaty były obszerne, wysokie i z dobrą wentylacją. Ściany pomalowano na biało, a podłogi wyłożono meksykańskimi płytkami ceramicznymi. Wszędzie było dużo wielkich okien, a w niektórych pokojach znajdowały się kominki wykładane kamieniem albo glazurą oraz mistrzowsko wykonane komody z drewna dębowego. Gdyby w największym salonie oraz przyległej bibliotece zorganizować przyjęcie na dwieście osób, wszyscy pomieściliby się bez trudu. Pozostałe meble były równie funkcjonalne i nowoczesne jak bezduszna architektura. Sofy z białej skóry oraz krzesła zupełnie pozbawiono elementów zdobniczych. Różne rodzaje ław i stolików były proste, czarne lub białe, i lakierowane na wysoki połysk.

Trochę barw i życia wprowadzały tu jedynie reprezentujące różne style obrazy, antyki i inne dzieła sztuki. Nie rzucające się w oczy tło miało uwypuklać wartość artystyczną zgromadzonych przedmiotów. Wszystkie one były znakomicie oświetlone – łagodnym światłem pośrednim lub zawieszonymi pod sufitem lampkami punktowymi. Nad jednym z kominków wyeksponowano całą serię ręcznie malowanej ceramiki przedstawiającej ptaki, którą – jak powiedziała Rachael – wykonał William de Morgan dla cara Mikołaja I. Gdzie indziej prezentowało się jaskrawe płótno Jacksona Pollocka oraz, pochodzący z pierwszego wieku przed naszą erą, wykuty w marmurze tors Rzymianina. Starożytność przeplatała się tutaj ze współczesnością w bardzo niekonwencjonalny, ale robiący wrażenie sposób. W innym miejscu podziwiać można było dziewiętnastowieczne *panneau** [**Panneau* – dekoracyjna płaszczyzna ścienna, wypełniona malowidłami, rzeźbą lub tkaniną (*przyp. tłum.*)], prezentujące sceny z życia największych szachów Persji, albo abstrakcyjne obrazy Marka Rothki, operujące tylko szerokimi płaszczyznami kolorów. Przy ścianie stały dwie konsole o kryształowych blatach i nogach z rogów jelenia, na których wyeksponowano cudowne wazy z epoki Ming. Efekt tych połączeń zapierał dech w piersiach, powodował, że człowiek czuł się bardziej jak w muzeum niż w prawdziwym domu.

Choć Benny wiedział, iż Rachael wyszła za zamożnego człowieka, a dziś rano stała się bogatą wdową, to jednak nawet mu do głowy nie przyszło, że jej majątek może cokolwiek zmienić w ich wzajemnych stosunkach. Ale teraz jej nowy status zaczął go uwierać jak łokieć wbity w bok i sprawiać, iż czuł się nieswojo. Bogactwo. Tak, Rachael była cholernie bogata. Dopiero teraz zrozumiał, co to naprawdę znaczy.

Wiedział, że musi usiąść i spokojnie przemyśleć to wszystko, a potem porozmawiać z nią bezzwłocznie, wysondować, czy jej majątek nie wpłynie na ich wzajemne relacje. Na razie jednak nie był po temu ani czas, ani miejsce, toteż Benny zdecydował nie myśleć o tym i poczekać trochę. Nie przychodziło mu to łatwo – majątek w wysokości dziesiątków milionów dolarów stanowił silny magnes przyciągający jego zainteresowanie, mimo iż tyle innych, ważniejszych spraw wymagało zaangażowania.

– Mieszkałaś tu przez sześć lat? – spytał niedowierzająco, gdy poruszali się po chłodnych, sterylnych pokojach, wśród starannie zakomponowanych dzieł sztuki.

– Tak – odrzekła, odprężając się powoli, w miarę jak przemieszczali się coraz dalej i nie napotykali nic groźnego. – Sześć długich lat.

Ben miał wrażenie, że przemierzane przez nich jasne komnaty to nie wnętrze domu mieszkalnego,

lecz lodowca, jaki przed wiekami pogrzebał w swej otchłani obcą cywilizację, której wytwory właśnie oglądali.

– To wszystko takie... zimne – powiedział.

– Ericowi nie zależało na tym, żeby mieć prawdziwy dom, to znaczy taki, w którym można mieszkać: przytulny, ciepły. Zresztą nigdy nie wiedział dokładnie, co go otacza. On żył przyszłością, a nie teraźniejszością. Chciał jedynie, by ten dom stanowił potwierdzenie jego sukcesu, i dlatego jest to pomnik.

– Myślałem, że dojrzę tu twoją rękę, twój specyficzny zmysłowy styl – wszędzie lub gdziekolwiek. Ale nie widzę go nigdzie.

– Eric nie pozwalał na żadne zmiany w wystroju – odparła.

– A ty się na to godziłaś?

– Tak.

– Nie potrafisz sobie wyobrazić, że byłaś szczęśliwa w takiej... lodówce.

– Och, nie było tak źle. Naprawdę nie było. Jest tu wiele ślicznych, ciekawych rzeczy. Każda z nich to całe godziny oglądania... kontemplacji... Dostarczają wspaniałych wrażeń zmysłowych.

Zawsze podziwiał Rachael za to, że w każdej, najgorszej nawet, sytuacji potrafiła dojrzeć dobre strony. Ignorowała po prostu aspekty nieprzyjemne, a z miłych wyciskała każdą kroplę radości i zadowolenia. Jej zorientowana na teraźniejszość, nastawiona na czerpanie przyjemności osobowość stanowiła świetną barierę ochronną przed przeciwnościami losu.

Ostatnim pomieszczeniem na parterze była sala do gry w bilard, której przestronne okna wychodziły na basen. Tu znajdował się największy obiekt muzealny – bogato rzeźbiony stół bilardowy z końca dziewiętnastego wieku. Wykonany był z drzewa tekowego i ozdobiony sztucznymi klejnotami.

– Eric nigdy nie grał w bilard – wyjaśniła Rachael. – Nigdy nie trzymał kija w ręce. Wystarczało mu, że stół jest niepowtarzalny i wart ponad trzydzieści tysięcy dolarów. Górne światła ustawione są tak, by wyeksponować stół, a nie, by pomagać w grze.

– Im więcej rzeczy tu widzę, tym lepiej rozumiem, kim on był – powiedział Ben – ale tym mniej pojmuję, jak w ogóle mogłaś za niego wyjść.

– Byłam młoda, niepewna siebie, może potrzebny mi był ktoś w rodzaju ojca, którego nie miałam. Eric był taki łagodny. Czułam się przy nim bezpieczna. Widziałam w nim silnego człowieka, który potrafiłby w najtwardszej skale wykuć schron dla siebie i dla mnie, gdzie znalazłabym stabilizację. Wtedy wydawało mi się, że niczego więcej nie pragnę.

Z tych słów wywnioskował, że dzieciństwo i okres dorastania Rachael w najlepszym razie nie były łatwe. Potwierdzało to tylko jego wcześniejsze domysły. Kobieta rzadko mówiła o swoich rodzicach czy latach szkolnych. Ben doszedł do wniosku, że ten kształtujący młodego człowieka okres był dla Rachael zdecydowanie niemiły, dlatego starała się o nim zapomnieć. Przeszłość więc nie istniała dla niej, przyszłość była niepewna i niegodna zaufania, liczyły się tylko mniejsze lub większe przyjemności dnia codziennego i na nie – w odruchu samoobrony – nastawiła się Rachael.

Benny chciał podchwycić ten temat, ale zanim zdążył cokolwiek powiedzieć, nastrój zmienił się diametralnie. Poczucie bliskiego niebezpieczeństwa wisiało ciężko w powietrzu już od pierwszej chwili, kiedy znaleźli się w tym domu. Potem, w miarę jak posuwali się z jednego białego i zimnego pokoju do następnego, zanikało, ustępując miejsca przekonaniu, że jednak w zakamarkach nie czai się żaden nieproszony gość. Rachael nie trzymała już pistoletu przed sobą, ze wzniesioną lufą, lecz przy udzie. Jednakże atmosfera zagrożenia zaczęła znów zbierać się w powietrzu ciężkimi chmurami. Rachael

dostrzegła bowiem na oparciu sofie trzy wyraźne odciski palców oraz kawałek dłoni. Odcinały się one od śnieżnobiałej skórzanej powierzchni ciemnoczerwoną plamą. Wyglądały na ślady krwi.

Rachael pochyliła się nisko, by lepiej przyjrzeć się poplamionej sofie. Benny widział, że cała drży. Wzdychając ciężko, powiedziała:

– Był tutaj, cholera. Tego się obawiałam. O Boże! Coś się musiało stać. – Dotknęła palcem krwawej plamy i momentalnie cofnęła rękę. Znow przeszedł ją dreszcz. – Wilgotna. Mój Boże, jeszcze wilgotna.

– Kto tu był? – zapytał Ben. – Co musiało się tu stać?

Rachael wpatrywała się w palec, którym przed chwilą dotykała śladów krwi. Na jej twarzy malowało się przerażenie. Powoli podniosła wzrok i spojrzała na pochylającego się nad nią Bena. Przez chwilę mężczyzna sądził, że jej strach sięgnął zenitu i że wreszcie wyzna mu wszystko i poprosi o pomoc. Ale oto w wyrazie jej oczu znow pojawiły się opanowanie i stanowczość, zmieniając przestraszoną buzię w srogie, lecz nadal piękne oblicze.

– Idziemy! – powiedziała. – Musimy sprawdzić resztę domu. I uważaj, na miłość boską!

Rachael ruszyła na obchód, a Benny za nią. Znow trzymała pistolet przed sobą.

W olbrzymiej kuchni, która była tak doskonale wyposażona jak kuchnia w restauracji, znaleźli na podłodze odłamki szkła. W jednym skrzydle wychodzących na patio drzwi była wybita szyba.

– Alarmy przeciwwłamaniowe są nieskuteczne, jeśli się ich nie włącza – stwierdził Ben. – Jak Eric mógł pozostawić dom bez żadnych zabezpieczeń?

Nie odpowiedziała.

– Czy człowiek taki jak on nie miał w domu służby? – spytał jeszcze.

– Jest służba. Miłe małżeństwo, zajmują kilka pokoiów nad garażem.

– Gdzie są teraz? Czy nie słyszeli, że ktoś się włamuje?

– W poniedziałki i wtorki mają wolne – odrzekła Rachael. – Wtedy najczęściej jeżdżą do Santa Barbara, by spędzić czas ze swoją córką i jej rodziną.

– Włamanie – powtórzył Benny, przesuwając czubkiem buta kawałki szyby. – Czy nie powinniśmy zadzwonić na policję?

Rachael powiedziała tylko:

– Rozejrzyjmy się na górze.

Jak sofa zabarwiona była czerwiecią, tak jej głos zabarwiony był strachem. A co gorsza, towarzyszył temu tak ponury, posępny nastrój, że nasuwała się obawa, iż kobieta nigdy już nie będzie zdolna do śmiechu.

Myśl o Rachael, która się nie uśmiecha, wydała mu się nieznośna.

Weszli ostrożnie po schodach i znaleźli się na korytarzu. Zaczęli sprawdzać wszystkie pokoje z taką ostrożnością, jak gdyby rozwiązywali węzły na worku, z którego mógłby wypełznąć jadowny wąż.

Na początku wszystko było w porządku – nie odkryli nic podejrzanego. Dopiero gdy weszli do sypialni Erica, zastali tam nieopisany bałagan. Zawartość wielkich szaf – koszule, spodnie, swetry, buty, garnitury, krawaty i wiele innych części garderoby – wałała się po wszystkich kątach. Prześcieradła, biała pikowana kołdra oraz poduszki, z których sypało się pierze, leżały rozrzucone na podłodze. Ktoś podniósł do góry materac, tak że z łóżka sterczały powyciągane sprężyny, jak gdyby próbowano je wyrwać. Dwie lampy z czarnej ceramiki rozbito, a skorupy podeptano butami. Obrazy o olbrzymiej wartości pozdejmowano ze ścian i podarto na strzępy – były nie do uratowania. Jedno z dwóch zgrabnych krzeseł w stylu klismos stało odwrócone nogami do góry, drugim ktoś uderzał o ścianę tak długo, aż odeszły z niej płyty tynku, a z mebla pozostały drzazgi.

Benny poczuł, że ma na rękach gęsią skórę, a kark zlewa mu zimny pot.

Najpierw pomyślał, że spustoszenia dokonał ktoś, kto metodycznie poszukiwał cennych przedmiotów, ale po dokładniejszych oględzinach sypialni wykluczył taką hipotezę. Najwyraźniej pokój dewastowano w ślepej furii, wywołanej nagłym przyływem nienawiści albo potrzebą niszczenia. Włamywacz musiał mieć nieprzeciętną siłę i być pozbawiony rozsądku. Był człowiekiem dziwnym i na pewno bardzo, bardzo niebezpiecznym. Ze straceńczą, zrodzoną najwyraźniej ze strachu, brawurą Rachael wpadła do łazienki – jednego z dwu ostatnich pomieszczeń, których jeszcze nie zbadali. Ale tu także nikogo nie było. Wycofała się do sypialni i zaczęła uważnie lustrować pobojowisko. Była blada i drżała na całym ciele.

– Włamanie, płądrowanie, a do tego akt wandalizmu – oszacował Ben. – Chcesz, żebym ja zadzwonił po gliniarzy, czy zrobisz to sama?

Nie odpowiedziała, tylko weszła do olbrzymiej szafy, wielkości małego pokoju, która była ostatnim miejscem do sprawdzenia. Po chwili wróciła i jęknęła:

– Sejf jest otwarty i opróżniony.

– A więc jeszcze kradzież mienia. Teraz już musimy zadzwonić po policję, Rachael.

– Nie – odrzekła, a jej bystre zwykle oczy nabrały tępego wyrazu, wzmagając jeszcze posępną atmosferę, którą od pewnego czasu tworzyła wokół siebie.

Apatia na twarzy Rachael bardziej zaniepokoiła Bena niż strach, który okazywała, bo zniechęcenie świadczy zazwyczaj o braku nadziei. Rachael, jego Rachael nigdy nie poddawała się rozpacz. Nie mógł znieść widoku swej przyjaciółki w stanie zupełnego załamania.

– Żadnej policji – powtórzyła.

– Dlaczego nie? – spytał.

– Jeśli wciągnę w to policję, na pewno mnie zabije.

Ben zamrugł oczami.

– Co? Kto cię zabije? Policja? O czym ty, u diabła, mówisz?

– Nie, nie policja.

– No to kto? I dlaczego?

– Nie powinnam była przyjeżdżać tu z tobą – powiedziała, ssąc kciuk lewej dłoni.

– Jesteś na mnie skazana, Rachael. Mówię poważnie. Czy nie sądzisz, że nadszedł już czas, żebyś powiedziała mi wszystko?

Zignorowała jego deklarację i rzekła:

– Sprawdźmy garaż. Zobaczmy, czy nie brakuje jakiegoś samochodu.

Następnie opuściła sypialnię, nie pozostawiając mu innego wyboru, jak tylko posłusznie za nią podążyć.

Biały rolls-royce. Czterodrzwiowy jaguar o tej samej ciemnozielonej barwie lakieru co oczy Rachael. Dwa następne stanowiska puste. A na ostatnim – zakurzony, wyeksploatowany dziesięcioletni ford ze złamaną anteną radiową.

– Tu powinien stać czarny mercedes 560 SEL – powiedziała Rachael, a jej głos odbił się głębokim echem od ścian przestronnego garażu. – Eric przyjechał nim na poranne spotkanie u swojego adwokata. Po wypadku... po tym, jak Eric zginął, Herb Tuleman – ten adwokat – zobowiązał się, że wyśle kogoś, by odstawił samochód na miejsce. Na Herbie można polegać. Zawsze dotrzymuje słowa. Jestem pewna, że zwrócił samochód do garażu. Ale mercedesa nie ma.

– Kradzież samochodu – wyliczał Ben. – Ile jeszcze przestępstw musimy stwierdzić, żebyś pozwoliła

wreszcie zadzwonić po gliniarzy?

Rachael podeszła do stojącego na ostatnim stanowisku zdezelowanego forda. Ostre niebieskawe światło palących się pod sufitem lamp jarzeniowych oświetlało jego karoserię.

– A ten samochód co tu robi? On nie należał do Erica.

– Tym autem przyjechał zapewne włamywacz – powiedział Ben. – I postanowił zamienić je na mercedesa.

Z wyraźnym wahaniem i skierowanym na wprost pistoletem Rachael otworzyła przednie drzwi forda. Skrzypnęły i kobieta zajrzała do środka.

– Nic tu nie ma.

– A czego się spodziewałaś? – zapytał Benny.

Następnie otworzyła tylne drzwi i spojrzała na siedzenie. I znów nic nie znalazła.

– Rachael, nie baw się w milczącego sfinksa, bo to jest denerwujące jak cholera.

Kobieta powróciła do drzwi od strony kierowcy, które otworzyła już wcześniej. Znów zajrzała do środka i w stacyjce znalazła zostawione kluczyki. Wyjęła je.

– Rachael, do diabła!

Jej twarz nie wyrażała wyłącznie zafrasowania. Była wciąż ponura i śmiertelnie poważna. Wyglądała, jakby ją wykuto w skale i tak surowa, nieugięta miała pozostać po wsze czasy.

Rachael podeszła do bagażnika, a Benny za nią.

– A teraz czego szukasz?

– Włamywacz nie zostawiłby tu samochodu, bo w ten sposób można by go zidentyfikować – stwierdziła, przebierając kluczykami. – Włamywacz nie zostawiłby tak oczywistych dowodów przestępstwa. Nie ma mowy. Podejrzewam, że przyjechał skradzionym autem, które nie będzie dla policji żadnym śladem.

– Zapewne masz rację – odparł Ben. – Ale dowodu rejestracyjnego nie znajdziesz w bagażniku. Zobaczmy w schowku koło deski rozdzielczej.

Rachael włożyła kluczyk do zamka od bagażnika i rzekła:

– Ja nie szukam dowodu rejestracyjnego.

– No to czego?

Przekręciła kluczyk.

– Sama nie wiem. Może...

Zgrzytnął zamek i kłapa bagażnika uniosła się nieco.

Rachael otworzyła ją do końca. Bagażnik spryskany był krwią. Rachael mruknęła coś pod nosem.

Ben pochylił się i zobaczył, że w rogu bagażnika, słabo widoczny z powodu braku światła, leżał niebieski damski but na wysokim obcasie. W drugim rogu znajdowały się damskie okulary przeciwsłoneczne. Oprawka była złamana, jedno szkło pęknięte, a drugiego brakowało.

– O Boże! – westchnęła Rachael. – Nie tylko że ukradł samochód, ale i zamordował kobietę, do której on należał. Zamordował ją, a potem woził w bagażniku tak długo, aż mógł bezpiecznie wyrzucić. Kto go wreszcie zdoła powstrzymać? Kto położy temu kres?

Benny, głęboko wstrząśnięty tym, co znaleźli, nie domyślił się, że Rachael, mówiąc „on”, miała na myśli kogoś mniej anonimowego niż zwykły włamywacz. Jej lęk miał bardziej konkretne podłoże.

Tajemnice Bena

Dwie ćmy, wiedzione desperackim, samobójczym pragnieniem oddania się na pastwę płomieni, zacięte tłuły kosmatymi skrzydłami o zawieszono pod sufitem lampy jarzeniowe. Ale lampy były zimne. Powiększone cienie owadów skakały po ścianach garażu, karoserii starego forda i grzbiecie dłoni Rachael, którą uniosła właśnie do twarzy.

Z otwartego bagażnika wydobywał się mdły odór krwi. Ben cofnął się, by nie czuć nieprzyjemnego zapachu.

– Skąd wiedziałaś? – spytał.

– O czym? – Rachael miała zamknięte oczy i głowę pochyloną do przodu, tak że rudawe włosy o miedzianym odcieniu opadały jej na twarz, zakrywając ją do połowy.

– O tym, co znajdziemy w bagażniku.

– Nie wiedziałam. Ale bałam się, że będzie tam... coś innego. Coś zupełnie innego.

– Co takiego?

– Coś dużo gorszego.

– A konkretnie?

– Nie pytaj.

– Już zapytałam.

Miękkie ciała owadów uderzały głucho o szklane obudowy wypełnionych gazem lamp. Pac, pac, pac...

Rachael otworzyła oczy, potrząsnęła głową i zaczęła oddalać się od zdezelowanego forda.

– Chodźmy stąd.

Benny złapał ją za rękę.

– Musimy teraz zadzwonić po gliniarzy. A im będziesz musiała powiedzieć wszystko, co wiesz na temat tego, co tu zaszło. Dlatego powinnaś najpierw zdradzić to mnie.

– Żadnej policji – odrzekła, nie chcąc lub nie mogąc spojrzeć mu w twarz.

– Zamierzałem ci pomagać, aż do teraz.

– Żadnej policji – powtórzyła.

– Ale tu zamordowano kobietę!

– Jezu, czy nie dosyć już krwi?!

Odwróciła się w stronę przyjaciela i nareszcie ich oczy się spotkały.

– Proszę cię, Benny, proszę. Nie sprzeczasz się ze mną. Nie mamy czasu na kłótnie. Gdyby ciało tej nieszczęsnej kobiety nie zniknęło z bagażnika, sytuacja wyglądałaby inaczej i wtedy dzwonienie po policję miałoby sens. Ale teraz... na czym policja miałaby się oprzeć w swoim dochodzeniu? Nie mając zwłok, zadawaliby w nieskończoność różne pytania, nie wierzyli mi... Zwykła strata czasu. A ja nie mogę pozwolić sobie na marnowanie czasu, kiedy już wkrótce będą mnie szukać... niebezpieczni ludzie.

– Kto?

– O ile już mnie nie szukają. Ale nie sądzę, żeby tak szybko dowiedzieli się o zniknięciu ciała Erica. Jednakże gdy tylko dotrze do nich ta wiadomość, przyjdą tu. Musimy jechać.

– Ale kto?! – nalegał wyprowadzony z równowagi Benny. – Kim są ci ludzie? Czego od ciebie chcą? Na czym im zależy? Rachael, na miłość boską, zacznij mówić!

Pokręciła przecząco głową.

– Ustaliliśmy, że pojedziesz ze mną, ale nie było mowy o tym, że będziesz o wszystko wypytywał.

- Nic takiego nie obiecywałem.
- Benny, cholera jasna, tu chodzi o moje życie!

Mówiła poważnie, nie żartowała. Naprawdę obawiała się o swe życie, i to wystarczyło, żeby Ben przestał się upierać i zaczął jej pomagać.

- Ale policja mogłaby zapewnić ci ochronę – dodał jednak płacząco.
- Przed tymi ludźmi nikt mnie nie uchroni.
- Mówisz tak, jakby cię prześladowały złe moce.
- Żeby tylko!

Objęła go szybko i delikatnie pocałowała w usta. Dobrze czuła się w jego ramionach. A Benny był wyraźnie zdruzgotany myślą, że mogłoby jej zabraknąć.

– Jesteś cudowny, że chcesz przy mnie zostać – powiedziała. – Ale teraz jedź do domu. Pozwól, że sama to załatwię.

- Wiesz, że tego nie zrobię.
- No, to nie przeszkadzaj. A teraz chodźmy!

Odsunęła się od niego i zaczęła iść przez garaż w stronę drzwi prowadzących do domu.

Spod sufitu spadła mu na twarz kosmata ćma, jak gdyby to, co czuł do Rachael, emanowało jaśniejszym blaskiem niż światła lamp. Odegnął ją czym prędzej. Potem docisnął pokrywę bagażnika, pozwalając, by krew wewnątrz zakrzepła, a przykry odór jeszcze się nasilił.

Następnie podążył za Rachael.

Już przy drzwiach, które prowadziły przez pralnię na pokoje, kobieta zatrzymała się i spojrzała na coś, co leżało na podłodze. Gdy Ben podszedł, zobaczył, że jest to zwinięte w kłębie ubranie, którego żadne z nich nie zauważyło, gdy wchodzili do garażu: workowate, jasnozielone bawełniane spodnie ze ściągaczem w pasie, takiego samego koloru obszerna koszulka z krótkimi rękawami i para lekkich butów z białego sztucznego tworzywa, na białych gumowych spodach i z białymi szerokimi sznurówkami.

Benny podniósł wzrok znad ubrania i spostrzegł, że twarz Rachael nie jest już blada niczym z wosku, lecz szara. Wyglądała jak pokryta warstwą popiołu.

Ben jeszcze raz spojrzał na pozostawione rzeczy. Dopiero teraz zdał sobie sprawę, że tak ubiera się personel medyczny, zwłaszcza lekarze na bloku operacyjnym. Kiedyś obowiązywał strój biały, ale obecnie przeważał jasny odcień zieleni. Nie nosili go wyłącznie lekarze – również większość pozostałego personelu szpitali wolała ten standard. Co więcej, Benny uświadomił sobie, że tak byli ubrani lekarze sądowi w kostnicy i ich asystenci.

Rachael ze świstem wciągnęła powietrze przez zaciśnięte zęby, wzdrygnęła się i weszła do domu.

Ben był niezdecydowany. Uważnie przyglądał się leżącemu w nieładzie ubraniu i butom, jakby zauroczony szpitalnymi barwami, jakby na wpół zahipnotyzowany ich bogatymi w możliwości interpretacyjne formami. Mózg wprost gotował mu się, serce dygotało, a w płucach brakowało powietrza, gdyż pojął, co oznacza obecność tu tego stroju.

A kiedy wreszcie przyszedł do siebie i dogonił Rachael, poczuł, że pot zalewa mu twarz.

Rachael, jadąc do siedziby Geneplan w Newport Beach, prowadziła zdecydowanie za szybko. Niewątpliwie świetnie opanowała umiejętność kierowania pojazdem, ale mimo to Ben cieszył się, że istniały pasy bezpieczeństwa. Jeździł z nią już wcześniej i wiedział, że prowadzenie samochodu stanowiło dla niej jedną z największych przyjemności. Prędkość ekscytowała ją, a zwrotność sportowego mercedesa wprawiała w zachwyt. Dzisiaj jednak zbyt szybko się spieszyła, by z jazdy czerpać jakąkolwiek przyjemność. Choć nie była lekkomyślna, to jednak w zakręty wchodziła na dużej prędkości, a pasy ruchu zmieniała

tak gwałtownie, że trudno by ją posądzić o bojaźliwość.

– Czy jest coś, co nie pozwala ci skontaktować się z policją? – spytał. – Czy o to chodzi?

– Masz na myśli coś, czego mogłabym się bać z ich strony?

– A nie boisz się?

– Nie – odpowiedziała bez wahania, tonem, który wydawał się szczery.

– No, bo jeśli kiedyś zadałaś się z niewłaściwymi ludźmi, to nigdy nie jest za późno, żeby się wycofać.

– Ależ o czym ty mówisz?!

– W porządku, to właśnie chciałem usłyszeć.

Odbicie przyćmionego światła z deski rozdzielczej w samochodzie było dosyć silne, by ukazać jej twarz, ale zbyt słabe, by odłonić jej napięcie i niezdrową szarość wywołaną strachem. Wyglądała więc teraz tak, jak ją Ben zawsze widział w wyobraźni, kiedy nie przebywali razem: zapierała dech w piersiach.

W innych warunkach byłaby to cudowna chwila, niczym z marzeń albo jednego z tych wspaniałych starych filmów. W końcu, cóż może być bardziej radosnego i podniecającego niż jazda eleganckim sportowym samochodem z reprezentacyjną kobietą? Nietrudno byłoby sobie teraz wyobrazić, że dążą w jakieś romantyczne miejsce, gdzie mogliby porzucić profilowane fotele i zamienić je na świeżą, chłodną pościel, a szybka jazda stanowiłaby preludium do pełnego namiętności aktu miłosnego.

– Nie zrobiłam nic złego, Benny – powiedziała.

– Chciałem tylko sprawdzić...

– Sugerowałeś...

– Musiałem cię o to zapytać.

– Czy wyglądam na czarny charakter?

– Ależ skąd! Jesteś dla mnie aniołem.

– Nie zachodzi niebezpieczeństwo, że mogliby mnie wsadzić do więzienia. Najgorsze, co może mi się przytrafić, to to, że sama mogę paść ofiarą zbrodni.

– Niech mnie szlag trafi, jeśli do tego dopuszczę!

– Jesteś naprawdę bardzo miły – powiedziała. Oderwała wzrok od szosy i zdobyła się na uśmiech. – Bardzo, bardzo miły.

Uśmiechała się tylko ustami, na jej twarzy pozostawał nadal wyraz trwogi, widoczny zwłaszcza w oczach. I mimo że naprawdę doceniała dobre chęci swego przyjaciela, wciąż jeszcze nie była gotowa, by podzielić się z nim swoimi tajemnicami.

O dwudziestej trzeciej trzydzieści dojechali do Geneplan.

Biurowiec, będący główną siedzibą korporacji doktora Erica Lebena, miał cztery kondygnacje, sześć lustrzanych ścian – każda innej długości, oraz modernistyczną bramę wjazdową ze szlifowanego marmuru i szkła. Mieścił się w drogiej dzielnicy biznesu koło Jamboree Road w Newport Beach. Ben w zasadzie nie lubił takiego stylu, ale mimo to musiał przyznać, że prosta, nieregularna bryła budynku Geneplan ma pewien szczególny urok. Plac do parkowania samochodów podzielony był kwietnikami na sektory. W dużych betonowych donicach rosły pelargonie bluszczolistne obsypane czerwono-białym kwieciem. Budynek otaczało zresztą mnóstwo zieleni, w tym ze smakiem rozmieszczone drzewa palmowe. Mimo późnej pory drzewa, kwietniki i biurowiec podświetlone były pomysłowo rozlokowanymi reflektorami, co przydawało temu miejscu romantyzmu, ale i powagi.

Rachael objechała budynek dokoła i znaleźli się na jego tyłach. Tam jezdni schodziła w dół, do

poziomu piwnicy, gdzie rozładowywano samochody dostawcze. Kobieta zjechała i zatrzymała się przed pomalowaną na brązowo bramą. Wokół samochodu wyrosły betonowe ściany, sięgające parteru.

– Gdyby ktoś wpadł na pomysł, że mogłam przyjechać do Geneplan, to będzie szukał mojego auta raczej na parkingu niż tutaj – powiedziała.

Wysiadając z mercedesa, Ben skonstatował, że powietrze tutaj jest o wiele chłodniejsze i przyjemniejsze niż w Santa Ana czy Villa Park, które nie leżą tak blisko oceanu. Chociaż Newport Beach było odległe od wybrzeża o kilka kilometrów i nie docierał tu szum fal ani zapach soli czy wodorostów, to jednak wiatr od Pacyfiku czynił swoje.

W ścianie obok bramy przeznaczonej dla ciężarówek znajdowały się także zwyczajne drzwi, zaopatrzone w dwa zamki.

Żyjąc z Erikiem, Rachael załatwiała dla niego różne sprawy służbowe, kiedy sam nie miał na to czasu albo – z jakichś przyczyn – nie dowierzał swoim ludziom. Miała wtedy własne klucze od drzwi na zapleczu. Odchodząc od męża rok temu, zostawiła je w Villa Park na stoliku koło wysokiej japońskiej wazy z dziewiętnastego wieku. Dziś znalazła je w tym samym miejscu i pokryte kurzem. Najwyraźniej Eric nakazał służbie, by nikt ich nie ruszał. Sądził, że gdy Rachael przyczołga się do niego z powrotem, tym większe będzie jej upokorzenie, gdy ujrzy, że nawet ich nie tknął. Na szczęście udało jej się nie dostarczyć mu tej niezdrowej satysfakcji.

Tak, Eric Leben był wyjątkowym skurczybykiem, i Ben cieszył się, że go nie poznał.

Rachael wysiadła z samochodu, otworzyła drzwi i weszła do środka. Zapaliła światło. Na jednej ze ścian wisiała skrzynka alarmu antywłamaniowego. Kobieta nacisnęła różne cyfry na klawiaturze i zgasły dwie czerwone diody, a zapaliła się zielona lampka. System był wyłączony. Ben poszedł za nią do końca pomieszczenia, które ze względów bezpieczeństwa stanowiło tylko komorę pośrednią. Teraz, by móc dostać się dalej, należało wyłączyć kolejny system alarmowy, nie połączony z poprzednim. Rachael, uważnie obserwowana przez swego towarzysza, znów wybrała odpowiedni kod na klawiaturze.

– Najpierw jest data urodzin Erica, a przy tych drzwiach – moja. Ale to jeszcze nie wszystko – wyjaśniła.

Zapaliła latarkę, którą wzięła ze sobą z domu w Villa Park, nie chciała bowiem zapalać światła w pomieszczeniach, w których były okna, w obawie przed zdemaskowaniem.

– Przecież masz absolutne prawo do przebywania tutaj – powiedział Ben. – Jesteś wdową po właścicielu i podejrzewam, że wszystko to wkrótce odziedziczysz.

– Tak, ale jeśli ci ludzie będą tędy przejeżdżać i zobaczą, że w środku pali się światło, domyśla się, że to ja, i przyjdą tu, by mnie dopaść.

Ben niczego tak bardzo nie pragnął, jak dowiedzieć się, kim są „ci ludzie”. Ale rozumiał, że w tej chwili lepiej o nic nie pytać. Niech Rachael zabierze to, po co tu przyjechała, i niech opuszczą to miejsce. Nie miałyby zresztą cierpliwości, by odpowiadać teraz na jego pytania, skoro nie miała jej już w Villa Park.

Gdy tak szli przez podziemne hale w kierunku windy, Ben był coraz bardziej zaintrygowany, że po godzinach pracy w biurówcu włączano tak przemyślny system zabezpieczeń. Żeby ściągnąć na dół windę, trzeba było wyłączyć trzeci alarm, a na pierwszym piętrze, gdzie wysiedli, czekały kolejne czerwone lampki. W świetle latarki Rachael, Benny zauważył beżową wykładzinę dywanową na podłodze, elegancki kontuar z brązowego marmuru z mosiężnymi elementami, przeznaczony dla recepcjonistki, kilka metalowych krzeseł ze skórzanymi obiciami dla oczekujących gości, stoliki do kawy o szklanych blatach oraz trzy sporych wymiarów eteryczne płótna Martina Greena. Diody, błyszczące w ciemności

czerwonym światłem, można było dostrzec i bez latarki. Na korytarzu znajdowały się trzy skrzynki systemu antywłamaniowego, po jednej przy każdym z trojga solidnych mosiężnych drzwi. Wyglądały imponująco i na pewno były nie do sforsowania.

– To nic w porównaniu z systemem zabezpieczeń na drugim i trzecim piętrze – powiedziała Rachael.

– A co tam jest?

– Komputery zawierające całą dokumentację badań. Każdy milimetr kontrolowany jest na podczerwieni przez detektory dźwięku i ruchu.

– Czy jedziemy tam?

– Na szczęście nie musimy. Tak samo jak nie musimy jechać do okręgu Riverside. Dzięki Bogu.

– A co znajduje się w Riverside?

– Faktyczne laboratorium badawcze. Cały kompleks wybudowano pod ziemią, by stworzyć lepszą izolację biologiczną i zabezpieczyć się przed szpiegami przemysłowymi.

Ben dobrze wiedział, że Geneplan jest jednym z największych przedsiębiorstw w najbardziej dynamicznie rozwijającej się dziedzinie na świecie. Konkurencja była tu tak duża, że nieprzerwanie trwał wyścig, kto pierwszy dostarczy na rynek nowy produkt. A że nikt nie chce, by kradziono mu jego tajemnice, więc rozwijano wyrafinowane systemy zabezpieczeń, które nieraz przybierały wprost paranoidalne formy. Ale to, co zobaczył, nie mieściło się w jego wyobraźni. Firma stanowiła bowiem twierdzę nie do zdobycia.

Doktor Eric Leben był jednym z najwybitniejszych autorytetów w zakresie rozwijającej się ostatnio niezwykle szybko genetyki, specjalizował się w replikacji DNA. Geneplan zaś należał do tych kompanii, które wypłynęły w końcu lat siedemdziesiątych dzięki dotacjom na rozwój tej nowej dziedziny i teraz z biobiznesu czerpały ogromne zyski.

Eric Leben i Geneplan opatentowali wiele cennych wynalazków z zakresu inżynierii genetycznej mikroorganizmów oraz wyhodowali nowe odmiany roślin. Odkryli między innymi drobnoustroje dostarczające wysoce wydajnej szczepionki przeciw zapaleniu wątroby, która wprawdzie była właśnie testowana przez FDA* [*Food and Drug Administration – komórka federalna w USA dopuszczająca na rynek nowe rodzaje leków i żywności (*przyp. tłum.*)], ale już za rok miała uzyskać dopuszczenie na rynek. Poza tym wyhodowali bakterie, z których uzyskano superszczepionkę przeciwko wszelkiego rodzaju liszajom, oraz nową odmianę kukurydzy, rosnącą nawet na polach nawadnianych wodą morską. Dzięki temu farmerzy mogą zbierać obfite plony na jałowych ziemiach w bezpośredniej bliskości oceanu, gdzie dotychczas nie udawało się nic. Do osiągnięć Erica Lebena należy też nowa, lekko zmodyfikowana genetycznie, odmiana pomarańczy i cytryn odporna na muszki owocowe, rakowate narośle i inne choroby. To z kolei pozwoliło wyeliminować nadmiar pestycydów stosowanych na plantacjach cytrusów. A były to tylko niektóre przykłady. Każdy taki patent mógł być wart dziesiątki, nawet setki milionów dolarów, Ben uznał, że Geneplan postępuje rozważnie, strzegąc zazdrośnie swych tajemnic, choć i tak – w porównaniu z żyłą złota, jaką stanowią wynalazki – wydaje niewielkie sumy na ich ochronę.

Rachael podeszła do środkowych drzwi i wyłączyła alarm, a następnie otworzyła je kluczem.

Ben wszedł za nią do środka i odwrócił się, by zamknąć za sobą drzwi. Pchając je stwierdził, że są niebywale ciężkie i gdyby nie były zawieszane w idealnej równowadze na zawiasach z łożyskami kulkowymi, nie dałoby się ich ruszyć.

Rachael prowadziła go nie oświetlonymi, głuchymi korytarzami do tej części piętra, gdzie znajdowało się prywatne mieszkanie Erica. Tam po raz ostatni wystukała na klawiaturze znany sobie kod.

Gdy znaleźli się wreszcie we wnętrzu tego *sacrum sanctorum*, kobieta szybkim krokiem przemierzyła

niezwykle drogi, duży, zabytkowy dywan chiński w kolorach różowym oraz beżowym i zbliżyła się do masywnego biurka Erica. Było supernowoczesne, podobnie jak kontuar dla recepcjonistki, który widzieli, wysiadając z windy, ale jeszcze bardziej wyszukane i na pewno znacznie kosztowniejsze. Wykonano je z rzadkiego marmuru ze złotymi żyłkami oraz ze szlifowanego malachitu.

Jasny, ale wąski snop światła latarki Rachael oświetlał tylko środek pokoju, toteż Benny niewiele mógł dostrzec z wystroju wnętrza. Ale, idąc dalej za swoją przyjaciółką, zauważył, że jest ono chyba jeszcze bardziej nowoczesne niż salony w Villa Park. Tu było ono wprost futurystyczne.

Przechodząc koło biurka, Rachael położyła na nim torebkę i pistolet i podeszła do ściany. Ben dołączył do niej. Kobieta podniosła latarkę i oświetliła duży obraz – dwie płaszczyzny, jedna ciemnożółta, druga szarobura, oddzielone od siebie cienką wstążeczką kasztanowego koloru.

– Jeszcze jeden Rothko? – spytał Ben.

– Tak. I oprócz tego, że to dzieło sztuki, spełnia jeszcze jedną ważną funkcję.

Wsunęła palce pod błyszczącą metalową ramę, szukając przycisku. Rozległ się szcęk zapadki i obraz, który był raczej przytwierdzony na zawiasach, niż wisiał na kołku, usunął się, odsłaniając sejf. Okrągłe drzwi kasy pancерnej miały około metra średnicy i – podobnie jak metalowa tarcza i klamka – błyszczały w świetle latarki.

– Banalna skrytka – stwierdził Ben.

– Niezupełnie. To nie jest taki sobie zwyczajny sejf. Ma opancerzenie grubości dziesięciu centymetrów, z przodu – pięć centymetrów więcej. Nie wmurowano go tak po prostu w ścianę, lecz w konstrukcję nośną całego budynku. Do otwarcia potrzebne są dwa szyfry, ten drugi na wspak. Poza tym jest ogniotrwały i dosłownie odporny nawet na ładunek wybuchowy.

– Co on tu trzyma? Receptę na nieśmiertelność?

– Myślę, że trochę pieniędzy, jak w normalnym domowym sejfie – powiedziała, podając mu latarkę, po czym zaczęła wybierać na tarczy właściwą kombinację. – A poza tym trochę ważnych papierów.

Benny skierował strumień światła na drzwi kasy.

– Dobrze, ale w takim razie, czego my tu szukamy? Forsy?

– Nie. Teczki z aktami. To może też być zwykły notatnik.

– Co ma on zawierać?

– Najistotniejsze kwestie dotyczące ważnego projektu badawczego. Coś w rodzaju kwintesencji wszystkich działań. Poza tym kopie regularnych sprawozdań prowadzącego projekt Morgana Lewisa, sporządzanych dla Erica. A jak dobrze pójdzie, także jego osobiste zapiski na ten temat, zawierające całą wiedzę praktyczną i jej filozoficzną podbudowę.

Ben był zaskoczony, że odpowiedziała. Czyżby nareszcie dojrzała, żeby zdradzić mu choć część swoich tajemnic?

– Co to za projekt? – spytał. – Czego dotyczy?

Tym razem nie odpowiedziała. Wytarła natomiast spocone dłonie o bluzkę i zaczęła kręcić tarczą w odwrotnym kierunku, w stronę pierwszej cyfry drugiej kombinacji.

– Czego on dotyczy? – nalegał Benny.

– Przepraszam, ale teraz muszę się skoncentrować – odparła. – Jeśli się pomylę, będę musiała zacząć wszystko od nowa, od pierwszego kodu.

Tak więc Ben otrzymał tylko strzęp informacji, bo tyle na razie było mu przeznaczone. Ale on nie chciał stać tak z założonymi rękami, wiedział, że nie ma innego wyjścia, jak nie ustępować i nalegać, by Rachael powiedziała więcej.

– Myślę, że istnieją setki teczek, które dotyczą prowadzonych przez Geneplan badań. Jeśli Leben jedną z nich trzyma właśnie tutaj, to znaczy, że dotyczy ona najważniejszego projektu.

Mrużąc oczy i wysuwając język, Rachael skupiła całą uwagę na właściwym przekręcaniu tarczy.

– To musi być wielka sprawa – kontynuował Benny.

Kobieta milczała.

– A może to coś dla rządu albo dla wojska. Bardzo delikatna materia.

Rachael wybrała ostatnią cyfrę, przekręciła klamkę, otworzyła stalowe drzwiczki i powiedziała:

– Cholera!

Sejf był pusty.

– Musieli tu być przed nami – stwierdziła.

– Kto? – zażądał odpowiedzi Ben.

– Musieli podejrzewać, że ja wiem.

– Kto musiał podejrzewać?

– W przeciwnym razie nie dostaliby się tu tak szybko, żeby wziąć papiery.

– Ale kto?! – nalegał Ben.

– Niespodzianka – odezwał się stojący za nimi mężczyzna.

Rachael gwałtownie zaczerpnęła powietrza, Ben zaś odwrócił się, by zobaczyć, kim jest ten obcy. Światło latarki ukazało wysokiego, łysiego człowieka w brązowym luźnym ubraniu i koszuli w biało-zielone paski. Na jego głowie nie było ani jednego włoska – musiał zapewne golić skórę. Miał okrągłą twarz o słowiańskich rysach – szerokie usta, zadarty nos i szare oczy w odcieniu brudnego lodu. Stał po drugiej stronie biurka. Przypominał starego Ottona Premingera, reżysera filmowego. Pomimo swobodnego stroju wyglądał nieprzeciętnie. Musiał być inteligentny. Stanowił potencjalne zagrożenie. Zabrał pistolet, który Rachael położyła na biurku wraz z torebką, gdy weszli do tego pomieszczenia.

Co gorsza, facet trzymał w ręce rewolwer firmy Smith & Wesson, model 19 Combat Magnum. Ben znał ten rodzaj broni i czuł przed nią respekt. Przemyślnie skonstruowana, miała lufę długości dziesięciu centymetrów, komory do naboju magnum 35 mm, ważyła skromne tysiąc sto gramów i raziła z taką siłą, iż można jej było używać do polowań na zwierzyńę płową. Naładowana pociskami rozpryskowymi albo i przeciwpancernymi, była bardziej zabójcza niż jakikolwiek inny rewolwer na świecie. Snop światła z latarki padł na szare oczy mężczyzny, które rozbłysły dziwnym blaskiem.

– Światło! – powiedział, lekko podnosząc głos, i w pokoju natychmiast zrobiło się jasno. Najwidoczniej włączał je reagujący na dźwięki czujnik. Taki trick wynikał z zamiłowania Erica Lebena do supernowoczesnego wystroju wnętrza.

– Vincent, odłóż tę broń – odezwała się Rachael.

– Obawiam się, że to niemożliwe – odrzekł łysy.

Choć skóra na jego głowie była zupełnie naga, to na wierzchu swej potężnej dłoni miał mnóstwo włosków; sporo także na palcach między kostkami.

– Nie ma potrzeby używać przemocy – powiedziała Rachael.

Kwaśny uśmiech przydawał krągłej twarzy Vincenta wyraz chłodnego cynizmu.

– Naprawdę? Naprawdę nie ma potrzeby używać przemocy? To pewnie dlatego wzięłaś ze sobą pistolet? – spytał, podnosząc do góry jej trzydziestkędwójkę, którą zabrał z biurka.

Ben wiedział, że combat magnum – wyposażony w wygodną, mocną kolbę – ma odrzut dwa razy większy niż czterdziestkapiątka. Mimo swej doskonałości broń ta mogła jednak być niecelna w rękach niedoświadczonego strzelca, nie przyzwyczajonego do takiej siły odrzutu. Jeśli napastnik nie był

świadom tej straszliwej siły swego rewolweru, jeśli przedtem nie używał go zbyt często, to z całą pewnością odda kilka pierwszych strzałów wysoko, pod sufit, ponad ich głowami. A wtedy Ben będzie miał szansę, by zaatakować i unieszkodliwić go.

– W istocie, nie sądziliśmy, że Eric był na tyle nierozważny, żeby powiedzieć o „Wildcard” – odezwał się Vincent. – Ale jak widać, okazał się jednak tak lekkomyślny, ten biedny, stary dureń. W przeciwnym razie nie stałabyś tu, myszkując w jego sejfie. Najwyraźniej wciąż miał do ciebie słabość, choć tak podle cię traktował.

– Był zbyt dumny – odrzekła Rachael. – Zawsze był zbyt dumny. Lubił przechwalać się swoimi dokonaniem.

– Dziewięćdziesiąt pięć procent personelu nie ma zielonego pojęcia o projekcie „Wildcard” – tak delikatna to sprawa. Uwierz mi, że choć bardzo go nienawidziłaś, to jednak on traktował cię jak kogoś wyjątkowego. Przed nikim innym nie chełpiłby się z tego powodu.

– Nie nienawidziłam go – powiedziała Rachael. – Współczułam mu. A teraz jest mi go żal. Vincent, czy on... złamał główną zasadę?

Łysy potrząsnął głową.

– Tak. Ale... dopiero dzisiaj. To było szaleństwo z jego strony.

Ben badał wzrokiem Vincenta i stwierdził, acz niechętnie, że wygląda on raczej na doświadczonego strzelca, który wie, co ma w rękach, i nie da się zaskoczyć siłą odrzutu. Zresztą już sam chwyt, jakim trzymał broń, nie był przypadkowy: prawa dłoń mocno zaciśnięta na kolbie. Także sposób, w jaki celował, nie wskazywał na amatora: wyciągnięta sztywna ręka mierzyła pomiędzy Rachael i Bena. Wystarczyło przesunąć muszkę kilka centymetrów w prawo lub w lewo, by sprzątnąć jedno albo drugie.

Rachael, nieświadoma, że w takiej sytuacji Ben mógłby okazać się pomocny – bo przecież na takiego nie wyglądał – powiedziała:

– Daj sobie spokój z tym rewolwerem, Vincent. Nie potrzebujemy tu broni. Jesteśmy po tej samej stronie.

– Nie – odrzekł Łysy. – Jeśli o nas chodzi, to nie jesteśmy z tobą po tej samej stronie i nigdy nie będziemy. My ci po prostu nie ufamy, Rachael. A ten twój przyjaciel...

Szarobure oczy spoczęły teraz na Benie. Spojrzenie Vincenta było świdrujące i niepokojące. Choć trwało tylko sekundę albo dwie, wystarczyło, by Ben oblał się zimnym potem.

A potem Vincent, który najwyraźniej sądził, że ma do czynienia z kimś dużo mniej niebezpiecznym, niż było w rzeczywistości, odwrócił głowę i znów spojrział na Rachael.

– To ktoś zupełnie obcy. A skoro nie życzymy sobie ciebie, to tym bardziej nie zamierzamy dopuszczać jego.

Stwierdzenie Vincenta zabrzmiało dla Bena złowrogo, jak wyrok śmierci. I wtedy rzucił się na niego, zręcznie i prędko, niczym atakujący wąż. Zakładając prawdopodobieństwo, że również gaszenie światła następuje na słowną komendę, wydał ją. W jednej chwili w pokoju zapanowała całkowita ciemność. W tym samym momencie Benny rzucił latarką w głowę Vincenta, ale ten – o Boże! – już odwracał się, by wystrzelić do niego. Rozległ się krzyk Rachael; Ben miał nadzieję, że przynajmniej padła na ziemię. Nagły mrok miał wprowadzić zamieszanie, które Benny chciał wykorzystać, żeby dopaść Vincenta. Rzucił się więc brzuchem na śliski malachitowy blat biurka i przesuwając w kierunku mężczyzny. Teraz nie było odwrotu – należało działać. A wszystko rozgrywało się jak na przyspieszonym filmie, tyle że nie dotyczyło to czasu. Benowi zdawało się, jakby płynął on wolniej, jakby każda sekunda trwała minutę. Był to dowód na autonomiczność mózgu, pracującego niezależnie od reszty ciała, a ta była teraz ciałem

rozjuszonego drapieżnika. W następnej sekundzie również wydarzyło się bardzo dużo naraz: Rachael wciąż ochryple krzyczała; Ben sunął po powierzchni biurka; latarka leciała w powietrzu; z lufy rewolweru wydobyła się błękitno-biała iskierka i przez głośny huk wystrzału Ben usłyszał jazgotliwe świnięcie kuli koło ucha; na brzuchu i piersiach czuł chłód szlifowanego malachitu. Latarka uderzyła Vincenta w chwili, gdy ten strzelał – Ben sunął wciąż po blacie – i łysy mężczyzna stęknął pod wpływem ciosu. Latarka odbiła się od niego i upadła, a strumień światła ukazał kawałek dwumetrowej abstrakcyjnej rzeźby z brązu. Do tego czasu Ben zdołał pokonać długość biurka i z impetem runął na przeciwnika. Upadli na podłogę. Rewolwer wypalił, ale pocisk trafił w sufit. Ben, leżąc na Vincencie, doskonale wyczuł jego ułożenie i natychmiast wcisnął mu kolano między uda, podniósł je gwałtownym ruchem i rąbnął w nie osłonięte krocze. Rozległ się wrzask głośniejszy niż krzyk Rachael. Benny bezlitośnie – bo nie mógł sobie pozwolić na litość – powtórzył cios kolaniem i jednocześnie kantem dłoni uderzył mężczyznę w grdykę. Krzyk ucichł. Ben uderzył jeszcze raz – w czaszkę na wysokości prawej skroni, i jeszcze raz, tyle że mocniej, dużo mocniej, aż rewolwer wypadł wreszcie z bezwładnej dłoni przeciwnika. Wtedy Benny znów wydał komendę:

– Światło!

W pomieszczeniu w jednej sekundzie zrobiło się widno.

Vincent był załatwiony na cacy. Słysząc było tylko ciche rżenie, kiedy przez zmasakrowane gardło wciągał powietrze do płuc i wypuszczał je.

Wokół unosił się nieprzyjemny zapach prochu i rozgrzanego metalu.

Ben wstał i podniósł rewolwer nieprzytomnego mężczyzny. Wziął do ręki combat magnum w uczuciu znacznie głębszym niż tylko ulga.

Rachael wychyliła się zza biurka i sięgnęła po swój pistolet, który także wypadł Vincentowi z ręki. Spojrzała przy tym na Bena, a w jej oczach malowały się i szok, i zdumienie, i podziw.

Benny powrócił do ciała mężczyzny i zbadał je. Najpierw kciukiem podniósł jedną, potem drugą powiekę, sprawdzając, czy któraś ze źrenic nie jest bardziej rozszerzona, co wskazywałoby na wstrząs mózgu lub inne poważne obrażenie. Następnie delikatnie dotknął miejsca przy skroni, które zdzielił silnym ciosem, a później obmacał gardło. Upewnił się, że z Vincentem nie jest najgorzej. Z kolei ujął jego nadgarstek, wyczuł puls i zmierzył go.

Westchnął i powiedział:

– Będzie żył. Całe szczęście. Czasami nie wiadomo, jak długo trzeba bić, by nie zabić, tylko ogłuszyć. Ale on będzie żył. Trochę tu poleży, a gdy oprzytomnieje, potrzebny mu będzie lekarz. Myślę, że poradzi sobie.

Rachael wpatrywała się w niego bez słowa.

Zdjął z jednego z krzeseł poduszeczkę i podłożył ją pod szyję Vincenta, żeby tchawica była otwarta na wypadek, gdyby w przetyku nastąpiło krwawienie. Następnie przeszukał ciało, ale nie znalazł dokumentacji projektu „Wildcard”.

– Na pewno przyjechał tu z innymi. Otworzyli sejf, wzięli zawartość, a potem on został za drzwiami, czekając na nas.

Rachael położyła mu rękę na ramieniu, a kiedy on podniósł głowę, ich oczy się spotkały.

– Benny, na miłość boską, przecież ty jesteś tylko handlarzem nieruchomości! – powiedziała.

– Tak – odparł, jak gdyby nie wiedział, o co jej chodzi. – I myślę, że jednym z lepszych.

– Ale... jak ty to wszystko... tak szybko... i skutecznie... tak agresywnie... z taką pewnością siebie...

Patrzył na nią z niemałą satysfakcją i odczuwał radość aż do bólu, bo widział, że Rachael zdała sobie

sprawę, iż nie tylko ona ma tajemnice.

Nie okazał się dla niej bardziej łaskawy niż ona dla niego do tej pory. Chciał, by teraz Rachael skręcała się z ciekawości.

– Chodź – powiedział. – Spływajmy stąd, zanim znów ktoś się pojawi. Jestem dobry w te klocki, ale bicie się nie sprawia mi już przyjemności.

Kontener na śmieci

Stary moczymorda Percy w poplamionych spodniach i podartej koszuli w plamy, zbierając różne odpadki, wszedł w zaułek, gdzie stał kontener na śmieci. Wdrapał się na niego, jakby myślał, że znajdzie tam nie lada skarby. Ze śmietnika wyskoczyły dwa szczury. Percy przestraszył się i spadł ze swojej prowizorycznej drabinki. Spadając jednak, kątem oka dostrzegł leżące w śmieciach zwłoki kobiety ubranej w letnią kremową sukienkę z błękitnym paskiem.

Percy nie pamiętał swojego nazwiska.

– Nawet nie wiem, czy je kiedykolwiek miałem – zeznał trochę później w obecności Verdada i Hagerstroma. – Faktem jest, że nie używałem nazwiska tak długo, jak tylko potrafię sięgnąć pamięcią. Myślę, że kiedyś chyba miałem jakieś nazwisko, ale moja pamięć przez to cholerne tanie wino nie jest już taka jak kiedyś. A na droższy alkohol mnie nie stać, muszę więc pić te świństwa.

– Czy sądzisz, że zamordował ją ten łachmyta? – Hagerstrom spytał Verdada tak, jakby stary pijaczyna słyszał tylko wtedy, kiedy mówiło się bezpośrednio do niego.

Verdad spojrzął na Percy'ego z wyraźnym obrzydzeniem i odpowiedział tonem wyrażającym to samo uczucie.

– Nie sądzę.

– Tak. I nawet jeśli widział coś ważnego, na pewno nie zwrócił na to uwagi i nic nie pamięta.

Porucznik Verdad nie odezwał się. Jako imigrant, urodzony i wychowany w kraju znacznie mniej szczęśliwym i dającym o wiele skromniejsze możliwości rozwoju niż ten, któremu ślubował później wierne oddanie, nie miał cierpliwości ani zrozumienia dla takich nieudaczników jak Percy. Jak można, będąc od urodzenia obywatelem Stanów Zjednoczonych, mając tę beczenną przewagę nad ludźmi w innych krajach, wybrać drogę degradacji i nędzy zamiast kariery? Julio wiedział, że powinien mieć dla takich jak Percy wyrzutków społeczeństwa więcej współczucia. Wiedział, że ten zniszczony przez życie człowiek mógł przeżyć tragedię, mógł wyalienować się na skutek cierpienia, zrzędzenia losu albo braku miłości rodzicielskiej. Jako absolwent doksztalających kursów dla policjantów Julio miał sporą wiedzę z zakresu psychologii i socjologii, zwłaszcza jeśli chodzi o kręte drogi ludzi z marginesu. Mimo to jednak zapewne miałby mniejsze problemy ze zrozumieniem procesu myślowego Marsjanina niż z poprowadzeniem sprawy takiego odmienca jak Percy. Policjant westchnął ciężko i zaczął oglądać mankiety swojej białej jedwabnej koszuli oraz perłowe spinki – najpierw przy prawym rękawie, potem przy lewym.

– Wiesz, czasami zdaje mi się, że takie jest w tym mieście prawo natury: każdy potencjalny świadek morderstwa musi być pijany i śmierdzieć – powiedział Hagerstrom.

– Jeśli nasza praca byłaby prosta, to nie lubilibyśmy jej tak bardzo, nie sądzisz? – spytał Verdad.

– Ja bym lubił. Boże, ale ten facet cuchnie!

Gdy o nim mówili, Percy wydawał się nieobecny. Na rękawie swojej koszuli w palmy dostrzegł zaskorupiały brud i zajął się jego zdrapywaniem. Potem nastąpiło głębokie, donośne beknięcie i włóczęga powrócił do tematu wypalania mózgu przez tani alkohol.

– Lepiej by było nie ciągnąć z flachy. Przysięgam na Boga, że czuję, jak z dnia na dzień kurczy mi się mózgowica, a puste miejsca wypełniają stare, mokre gazety. Myślę, że kiedy śpię, podkradają się do mnie koty i wpychają mi gazety przez uszy.

Mówił to wszystko zupełnie poważnym tonem, nawet z lekkim odcieniem niepokoju w głosie, jakby bał się tych groźnych stworów.

Chociaż nie mógł przypomnieć sobie własnego nazwiska ani wielu innych rzeczy, Percy miał jeszcze dosyć komórek mózgowych wśród „starych, mokrych gazet”, aby wiedzieć, że po odnalezieniu zwłok należy natychmiast zawiadomić policję. Wprawdzie nie należał do filarów społeczeństwa, ale czuł respekt wobec prawa i niepisanych obyczajów. Dlatego niezwłocznie pognął na posterunek. Myślał przy tym, że gdy zamelduje o zwłokach w kontenerze na śmieci, dostanie jakąś nagrodę.

Na miejsce zbrodni detektywi przybyli przed godziną, wraz z technikami z wydziału zabójstw, i gdy ci rozwijali swoje kable i włączali reflektory, Verdad bezowocnie przesłuchiwał włóczęgę. Teraz porucznik dostrzegł jeszcze jednego szczura wyskakującego w panice ze śmietnika. Technicy zakończyli właśnie fotografowanie ciała *in situ* i zabrali się za wyciąganie go z kontenera, płosząc przy tym gryzonia. Sierść miał pokrytą brudem, a ogon długi, różowy i wilgotny. Wstrętne zwierzę pognęło wzdłuż ściany budynku w stronę wylotu zaułka. Julio musiał siłą woli powstrzymać się od wyciągnięcia rewolweru i zastrzelenia szczura. Gryzoń schował się do studzienki odpływowej o połamanych kratkach i zniknął pod ziemią.

Julio nie znosił szczurów. Sam widok szczura kłócił się z jego wyobrażeniem Ameryki, które starannie budował przez dziewiętnaście lat życia jako obywatel tego kraju i oficer policji. Gdy teraz gryzoń mignął mu przed oczami, Verdad zapomniał o wszystkim, co osiągnął tu, w Stanach, przez blisko dwie dekady i przeniósł się w czasie i przestrzeni do slumsów w Tijuana, gdzie urodził się w jednoizbowej chacie wykonanej z rzeczy znalezionych na złomowisku, z rdzewiejących beczek oraz papy. Jeśli prawo własności do mieszkania przysługiwałoby większej rodzinie, to siedmioosobowy klan Verdadów powinien był opuścić tamtą norę i zostawić ją znacznie liczniejszemu szczurom.

Patrząc, jak gryzoń uciekał z oświetlonej przenośnymi reflektorami sceny dramatu w mrok zaułka i dalej, pod ziemię, Julio Verdad miał wrażenie, że nie nosi porządnego garnituru, szytej na miarę koszuli ani eleganckich, drogich trzewików, lecz używane dzinsy, łachmaniarską koszulę i dokumentnie znoszone sandały. Przeszedł go dreszcz i przez chwilę znów miał pięć lat, stał w dusznej norze w Tijuana, a był gorący sierpniowy dzień. Stał sparaliżowany z przerażenia i patrzył, jak dwa szczury żuły, pracowicie grdykę czteromiesięcznego Ernesta. Wszyscy byli na zewnątrz, siedzieli w skrawkach cienia wzdłuż zakurzonej ulicy i wachlowali się. Dzieci bawiły się i piły wodę, dorośli sączyli chłodne piwo, tanio kupione od dwóch młodocianych *ladrones*, którzy zdołali ukraść je z browaru minionej nocy. Mały Julio chciał krzyczeć, wołać o pomoc, ale nie mógł wydobyć z siebie głosu. Zupełnie jakby wilgotne sierpniowe powietrze było zbyt ciężkie, by mógł ulecieć najcichszy choćby krzyk. Gdy szczury zorientowały się, że na nie patrzy, odwróciły się zuchwale i syknęły na niego. Chłopiec ruszył w ich stronę, wymachując gwałtownie rączkami, ale one cofnęły się – i to niechętnie – dopiero wówczas, gdy jeden z nich sprawdził odwagę Julia, gryząc go w lewą dłoń. Chłopiec krzyknął i odegnał szczura z jeszcze większą wściekłością – nareszcie odskoczył. Julio nie przestawał krzyczeć, aż z rozpalonej słońcem ulicy przybiegły matka i jego starsza siostra, Evalina. Przybiegły i ujrzały martwe niemowlę oraz jego starszego brata, któremu krew kapała z dłoni niczym ze stygmatu. Reese Hagerstrom był na tyle długo współpracownikiem Julia, by wiedzieć, że czuje on wstręt do szczurów, jednocześnie jednak miał dość taktu, by nie napomknąć o tym nawet słowem. Dlatego położył tylko rękę na ramieniu Verdada, swą mocarną dłoń na wątlym barku partnera, i powiedział niedbałym tonem:

– Wiesz, dam Percy’emu pięć dolców i niech sptywa. On nie ma nic wspólnego z zabójstwem i nic więcej się od niego nie dowiemy. A dosyć już mam jego smrodu.

– Dobra, daj mu piątkę – powiedział Julio. – Oddam ci połowę.

Kiedy Reese wręczał pieniądze moczymordzie, Verdad patrzył, jak sanitariusze zabierają zwłoki.

Starał się nie angażować uczuciowo w to, co widzi. Próbował wmówić sobie, że to duża, szmaciana lalka – albo manekin – tak, po prostu manekin, nie zaś ciało martwej kobiety. Tylko że to była nieprawda. Przeczył temu bardzo realistyczny widok. Cholera, zbyt realistyczny! Mężczyźni położyli trupa na chodniku, na specjalnie w tym celu rozciągniętych noszach.

W świetle przenośnych reflektorów fotograf wykonał jeszcze kilka dodatkowych zdjęć, a Julio podszedł bliżej, by lepiej się przyjrzeć. Kobieta była młoda, mogła mieć dwadzieścia kilka lat. Czarne włosy, czarne oczy – typowa Latynoska. Pomimo obrażeń, jakie zadał jej morderca, zmian wywołanych leżeniem wśród nieczystości oraz pogryzienia przez szczury widać było, że należała do ładnych, atrakcyjnych dziewcząt. W chwili śmierci miała na sobie letnią sukienkę w kremowym kolorze z błękitną lamówką na kołnierzyku i rękawach i z błękitnym paskiem oraz niebieskie buty na wysokim obcasie.

Ale tylko jeden but pozostał na jej nodze. Zapewne drugi zapodział się gdzieś w kontenerze.

W jej jasnej sukience i gołej stopie ze starannie polakierowanymi paznokciami było coś niewymownie smutnego.

Na polecenie Verdada dwóch ludzi w mundurach założyło gumowce, aseptyczne maski, jakie noszą chirurdzy, i wspięło się do kontenera w poszukiwaniu drugiego buta, ewentualnego narzędzia zbrodni oraz wszystkiego, co mogłoby mieć związek ze sprawą. W tym celu musieli oni przetrząsnąć śmietnik centymetr po centymetrze.

Znaleźli torebkę denatki. Kobieta nie została obrabowana, gdyż w portfelu były czterdzieści trzy dolary. W torebce znajdowało się również prawo jazdy, wydane na nazwisko: Ernestina Hernandez, dwadzieścia cztery lata, zamieszkała w Santa Ana.

Ernestina.

Julio wzdrygnął się. To imię znów przywiodło na pamięć jego braciszka, Ernesta. Poza tym Ernestina, tak jak dawno nieżyjący chłopiec, stała się pokarmem dla szczurów. I choć Julio nie znał tej kobiety, kiedy tylko usłyszał jej imię, powziął silne postanowienie, że musi rozwiązać zagadkę jej zabójstwa.

Odnajdę tego, który cię zabił, obiecał w myślach. Byłaś taka śliczna, a musiałaś zginąć, zanim jeszcze zaznałaś życia. I jeśli na tym świecie jest choć trochę sprawiedliwości, jakaś nadzieja na to, żeby nasze istnienie miało sens, to twój zabójca nie może uniknąć kary. Przysięgam, że odnajdę go, choćbym miał go ścigać na koniec świata.

Dwie minuty później w kontenerze na śmieci znaleziono poplamiony krwią zielony fartuch – taki jakie noszą chirurdzy. Na kieszonce wyhaftowany był napis: KOSTNICA MIEJSKA W SANTA ANA.

– Do diabła! – zawołał Hagerstrom. – Myślisz, że ktoś z kostnicy poderżnął jej gardło?

Julio Verdad zmarszczył brwi na widok fartucha, ale nic nie powiedział.

Technicy z laboratorium starannie złożyli go, uważając, by nie strzepnąć jakiegoś włoska czy nitki, które mogły się na nim znajdować, a następnie włożyli do plastikowego woreczka i zasunęli zamek błyskawiczny.

Dziesięć minut później policjanci przeszukujący śmietnik znaleźli skalpel ze śladami krwi na ostrzu – drogie, pierwszorzędnej jakości narzędzie chirurgiczne, takie jakich w szpitalach używa się do operacji, a w zakładach medycyny sądowej do przeprowadzania sekcji.

Skalpel również został umieszczony w plastikowej torebce, obok fartucha, fartuch zaś – obok przykrytych już zwłok.

Minęła północ, kiedy przeczesano prawie cały kontener, a brakującego niebieskiego buta wciąż nie znaleziono. Jednakże został jeszcze kawałek nie zbadanej przestrzeni i wszyscy byli niemal przekonani,

że zguba znajduje się właśnie tam.

Nagła śmierć

Rachael miała dużo czasu na myślenie. Gnała przez gorącą czerwcową noc swym czerwonym mercedesem z Riverside Freeway na międzynarodową drogę numer piętnaście w kierunku wschodnim. Potem zjechała z niej na „dziesiątkę”, minęła Beaumont i Banning, przejechała wzdłuż rezerwatu Indian Morongo do Cabazon i dalej. Mijały kilometry i zanikał wielkomijski charakter południowej Kalifornii, światła cywilizacji stawały się mniejsze i słabsze. Samochód sunął coraz głębiej w pustynię, gdzie ze wszystkich stron otwierały się olbrzymie połacie pustej ciemności, gdzie często jedynymi punktami orientacyjnymi wśród bezkresnej równiny i wzgórz były rzadkie kikuty formacji skalnych. Tu i ówdzie rosły też drzewa, ale ukazywały się tylko wtedy, gdy blade jak mleko światło księżyca wyływało zza chmur szerokimi strumieniami zza tych mniejszych i wąskich pasemek zza tych grubszych i skłębionych. Ten pusty, jałowy krajobraz mówił wszystko, co było do powiedzenia na temat samotności, i prowokował introspekcję. Rachael oddała się jej również, odprężona spokojną jazdą, wsłuchana w jednostajny warkot silnika i szum obracających się kół.

Benny zagłębił się w fotelu obok kierowcy i prawie cały czas uparcie milczał, wpatrzony w czarną wstęgę autostrady skapaną w świetle reflektorów. Dwa razy próbowali nawiązać rozmowę, ale poruszane tematy były tak banalne i błahe, że w obecnej sytuacji wprost surrealistyczne. Mówili więc przez chwilę o kuchni chińskiej, potem zaległa głęboka cisza, a po jakimś czasie zaczęli rozmawiać o filmach z Clintem Eastwoodem, by znów – tym razem na dłużej – zamilknąć.

Rachael miała świadomość, że Benny odplaca jej teraz pięknym za nadobne. Na pewno wiedział, że wprawił ją w zdumienie łatwością, z jaką rozprawił się w biurze Erica z Vincentem Baresco. Z pewnością zdawał sobie sprawę, że umierała z ciekawości, gdzie się tego nauczył. Teraz, zachowując się tak chłodno i milcząco, dawał jej do zrozumienia, że niczego się od niego nie dowie, jeśli nie zacznie mówić sama. W przeciwnym razie w samochodzie nadal zalegać będzie cisza.

Ale ona jeszcze nie mogła. Jeszcze nie teraz. I tak bała się, że za bardzo wciągnęła Bena w tę niebezpieczną grę. Była zła na siebie, że do tego dopuściła. Postanowiła, że nie pozwoli, by jej przyjaciel zaplątał się w ten koszmar jeszcze bardziej. Chyba że dla jego własnego bezpieczeństwa potrzebna byłaby mu pełna wiedza o tym, co się działo i co jeszcze mogło się wydarzyć.

Zjeżdżając z międzystanowej „dziesiątki” na sto jedenastą stanową – zaledwie siedemnaście kilometrów od Palm Springs – zastanawiała się, czy zdoła odwieść Bena od zamiaru jechania z nią dalej. Przez cały czas po opuszczeniu przez nich siedziby Geneplan w Newport Beach Benny nieugięcie milczał i próba nakłonienia go, by zmienił zdanie, zdawała się mieć równe szanse powodzenia jak usiłowanie zatrzymania krzykiem przyływu oceanu.

Rachael było przykro z powodu niezręcznej sytuacji, jaka się między nimi wytworzyła. Po raz pierwszy od pięciu miesięcy, od czasu, kiedy się poznali, nie czuli się ze sobą dobrze; po raz pierwszy ich udany związek został zakłócony brakiem harmonii, a może czegoś więcej – zrozumienia i wyrozumiałości.

Wyjechali z Newport Beach o północy. O pierwszej piętnaście następnego dnia, we wtorek, byli już w Palm Springs i jechali przez centrum miasta po Palm Canyon Drive. Przez godzinę i piętnaście minut przebyli aż sto sześćdziesiąt kilometrów, jadąc ze średnią prędkością stu trzydziestu kilometrów na godzinę. Ale ta prędkość nie zadowalała Rachael, której wydawało się, że wlecze się jak ślimak, a kontrola nad przebiegiem wypadków wymyka jej się z rąk.

W lecie, kiedy od pustyni napływał żar, w Palm Springs było o wiele mniej turystów niż

w pozostałych porach roku. A już o pierwszej piętnaście w nocy główna ulica była dosłownie wyludniona. W tę gorącą i bezwietrzną czerwcową noc palmy oświetlone srebrnym blaskiem ulicznych latarni, stały tak nieruchomo jak namalowane na płótnie. Wystawy wielu sklepów miały wygaszone światła. Chodniki były puste. Sygnalizacja uliczna niezmordowanie pulsowała trzema kolorami: zielonym, żółtym, czerwonym i znów zielonym, żółtym, czerwonym, choć tylko mercedes Rachael znajdował się w ruchu.

Wydawało jej się, że jedzie przez wyludniony świat, którego populacja została zdziesiątkowana przez jakiś kataklizm. Przez dłuższą chwilę była nawet pewna, że gdyby włączyła radio i pokręciła gałką, to zamiast muzyki, usłyszałaby jedynie szumy i gwizdy.

Od chwili kiedy poinformowano ją o zniknięciu ciała Erica, Rachael wiedziała, że dzieje się coś niedobrego i z godziny na godzinę ogarniała ją coraz większa trwoga. Teraz nawet ta pusta ulica, która u nikogo nie wywołałaby żadnych podejrzeń, wyzwoliła w niej ponure myśli. Wiedziała, że przesadza. Ponieważ, niezależnie od tego, co mogło się w najbliższych dniach stać, nie był to jeszcze koniec świata.

Z drugiej strony, pomyślała Rachael, to jednak może być mój koniec, koniec mojego świata.

Wyjechała z przemysłowo-handlowej części miasta i znalazła się na obszarze zabudowanym porządnymi jednorodzinnymi domami. Tu już w ogóle nie było żadnych oznak życia. Rachael skręciła na podjazd do Futura Stone i zaparkowała przed niskim, niezwykle starannie utrzymanym budynkiem o płaskim dachu, który stanowił standardowy przykład prostej pustynnej zabudowy. Ale bujna roślinność w ogrodzie nie była bynajmniej pustynna – fikusy, migdałowce, niecierpki, begonie, klomby nagietek i gerber. Mnóstwo kwiatów i zieleni, a wszystko to delikatnie podświetlone ogrodowymi reflektorami. Było to zresztą jedyne źródło światła. W willi nie paliła się żadna lampa.

– To jeszcze jeden z domów Erica – powiedziała Rachael, ale nie wyjaśniła, po co tu przyjechali.

Zgasła światła w samochodzie i wtedy odezwał się Benny:

– Ładne miejsce do spędzania urlopów.

– Nie. On tutaj trzymał swoją kochankę – rzekła Rachael.

Blask padający z oświetlonych trawników i podjazdu był wystarczająco silny, by z twarzy Benny'ego wydobyć malujące się na niej zdumienie.

– Skąd o tym wiesz?

– Niewiele ponad rok temu, tydzień przedtem, zanim go rzuciłam, ta jego kochanka – Cindy Wasloff – zadzwoniła do Villa Park. Eric zabronił jej dzwonić do naszego jeszcze wówczas domu, chyba żeby działa się coś bardzo ważnego. Ale nawet wtedy, gdybym odebrała ja lub służba, miała przedstawiać się jako sekretarka jakiegoś wspólnika. Ale wtedy Cindy była wściekła na Erica, bo minionej nocy porządnie ją zbił. Postanowiła, że odejdzie od niego, i chciała, żebym najpierw ja się o niej dowiedziała.

– Podejrzewałaś Erica o coś takiego?

– Że Eric ma kochankę? Nie. Ale to było bez znaczenia. Wtedy już wiedziałam, że go zostawię. Wysłuchałam Cindy i wyraziłam jej współczucie. Potem wzięłam adres tego domu, bo pomyślałam sobie, że gdyby Eric robił mi jakieś trudności z uzyskaniem rozwodu, to będę miała dowód jego niewierności. Ale dzięki Bogu, choć nie było przyjemnie, to jednak nasze stosunki nie pogorszyły się na tyle, bym musiała z tego skorzystać. A sprawa, gdyby dostała się do wiadomości publicznej, mogłaby naprawdę wywołać skandal. Bo ta dziewczyna miała tylko... szesnaście lat.

– Kto? Ta kochanka?

– Tak. Szesnaście. Uciekiniarka z domu. Jedno z tych straconych dzieci, które w szkole zaczynają brać narkotyki i... jakby im powypalało wszystkie komórki mózgowe. Wiesz, o czym mówię. Albo nie...

Narkotyki nie tyle wypalają komórki mózgowe, ile... wyzerają duszę, pozbawiają tych ludzi sensu i celu życia. Czynią z nich puste kukły.

– Chyba masz rację – powiedział Benny. – Niektórzy narkomani są naprawdę przerażający. Znużone, zubożniałe na wszystko dzieciaki, które próbowały już wszystkiego. Stają się niebezpiecznymi jak grzechotniki, wyciętymi z wszelkiej moralności przestępcami, albo też same padają czyjąś ofiarą. Z tego, co mówisz, wnioskuję, że Cindy Wasloff należała do tej drugiej grupy. Eric wyczuł to i wykorzystał ją do zaspokojenia swojej żądzy.

– I zdaje się, że ona nie była pierwsza.

– Tak? Gustował w maślanych?

– Zaczniemy od tego, że Eric panicznie bał się starzenia. Gdy się rozstaliśmy, miał tylko czterdzieści jeden lat, był więc wciąż młodym człowiekiem. Pamiętam jednak, że gdy zbliżały się jego urodziny, to co roku dostawał kręcka. Zupełnie, jakby obawiał się, że w każdej chwili, gdy tylko zamknie oczy, obudzi się – zniedołężniały i zgrzybiały – w domu starców. Panicznie bał się starzenia i śmierci, a strach ten przejawiał w różny sposób. Po pierwsze, co roku musiał mieć wszystko nowe: nowy samochód, nowe ubrania... Jak gdyby dwunastomiesięczny mercedes nadawał się tylko na złom, a garderoba na szmaty.

– I nowoczesna sztuka, nowoczesna architektura, supernowoczesne umeblowanie...

– Tak. I najnowsze gadżety elektroniczne. Myślę, że nastolatki stanowiły część składową jego obsesji, by pozostać młodym i... oszukać śmierć. Zapewne w swoim pokreconym umyśle ubrał sobie, że seks z młodymi dziewczętami uchroni go przed starością. Gdy dowiedziałam się o Cindy Wasloff i o tym domu w Palm Springs, zdałam sobie sprawę, że jednym z powodów, dla których ożenił się ze mną, był mój wiek. Miałam wtedy dwadzieścia trzy lata, a on trzydzieści pięć, a więc o dwanaście więcej. Stanowiłam dla niego jeszcze jeden ze sposobów na zatrzymanie upływu czasu. Gdy zaczęłam zbliżać się do trzydziestki, gdy widział, że jestem coraz starsza, uznał, iż nie odpowiadam już najlepiej jego potrzebom, i zapragnął świeżej krwi, kogoś takiego jak Cindy.

Otworzyła drzwiczki i wysiadła z samochodu. Benny też to zrobił.

– Dobrze, ale czego właściwie tu szukamy? Przecież nie jego obecnej nałożnicy. Nie pędziłybyś na złamanie karku tylko po to, żeby zobaczyć buzię jego najnowszego kociaka.

Rachael zamknęła drzwiczki, wyciągnęła z torebki pistolet i poszła w stronę domu. Nie odpowiedziała. Nie mogła odpowiedzieć.

Noc była ciepła i sucha. Na firmamencie czystego nieba nad pustynią migotało niewiarygodnie dużo gwiazd. W powietrzu unosił się spokój, a ciszę przerywało tylko granie świerszczy w zaroślach.

Za dużo tych świerszczy. Rachael rozejrzała się nerwowo dokoła. Poza kręgiem światła ogrodowych reflektorów majaczyły ciemne kształty i czarna przestrzeń. Dużo miejsca, by się ukryć. Wstrząsnął nią dreszcz.

Drzwi były otwarte na oścież. Zły znak. Rachael zadzwoniła, odczekała chwilę, znów zadzwoniła, odczekała, zadzwoniła jeszcze dwa razy, ale nikt się nie zjawił.

Benny, który stał z boku, powiedział:

– To już jest przecież twój dom. Odziedziczyłaś go z całą resztą. Myślę więc, że nie musisz dzwonić.

Zresztą, biorąc pod uwagę, że drzwi i tak stały otworem, nie trzeba było lepszego zaproszenia, by wejść do środka. Ale to właśnie nie podobało się Rachael. Pomyślała, że może to pułapka, jak w filmach o poszukiwaczach skarbów. Wejdą do środka – w nadziei, że coś znajdą – a drzwi zatrzasną się za nimi z hukiem, Rachael cofnęła się o krok, podniosła nogę i czubkiem buta kopnęła drzwi do wewnątrz. Rozległo się głucho trzaśnięcie, gdy odbiły się one od ściany w przedpokoju.

– Widzę, że nie oczekujesz przyjęcia z otwartymi ramionami – zauważył Benny.

Lampa zapalona nad drzwiami po zewnętrznej stronie rzucała do przedpokoju słaby blask; niestety słabszy, niżby Rachael sobie życzyła. Wprawdzie można było dostrzec, że nikt nie czai się w odległości około dwóch metrów od drzwi, ale dalej zalegała kompletna ciemność, która mogła przecież ukrywać napastnika.

Benny nie przejmował się tak jak Rachael. Nie znał wszystkich faktów i dlatego nie mógł ocenić skali niebezpieczeństwa, na jakie byli wystawieni. Wszystko, czego się spodziewał, to jeszcze jeden Vincent Baresco, z jeszcze jednym rewolwerem. Wszedł przed nią do domu, odnalazł na ścianie kontakt i przekręcił go. Rachael stanęła obok.

– Benny, cholera, nie spiesz się tak, zwłaszcza gdy wchodzisz do ciemnego pomieszczenia. Musimy działać powoli i ostrożnie.

– Możesz mi wierzyć albo nie, ale potrafię obronić się przed nastolatką rzucającą się na mnie z pięściami.

– To nie kochanki Erica tak się boję – powiedziała ostro.

– A więc kogo?

Rachael zacisnęła wargi, wyciągnęła przed siebie pistolet i ruszyła w głąb domu, w każdym pomieszczeniu zapalając światło.

Salon urządzony był supernowocześnie. Panował w nim idealny porządek, graniczący ze sterylnością i nagością. W całym domu znajdowało się więcej futurystycznych elementów niż w pozostałych nieruchomościach Erica. Nigdzie dywanu ani wykładziny, wszędzie tylko zimne jak tafla lodu błyszczące *terazzo*. W oknach – zamiast zasłon – metalowe żaluzje. Solidne krzesła. Sofy, które – gdyby je przenieść w głąb lasu – mogłyby uchodzić za olbrzymie grzyby. Wszystko utrzymane w szarościach, bieli, czerni i brązach – jedyne jaśniejsze elementy to kilka rozproszonych odcieni pomarańczy.

Za to kuchnia była w stanie ruiny. Ktoś przewrócił do góry nogami pomalowany na biało stół i dwa krzesła. Dwa pozostałe krzesła zostały roztrzaskane o niemal wszystkie znajdujące się tam sprzęty. Na obudowie lodówki widniały wgniecenia i zadrapania, hartowana szybka w piekarniku była wybita, krawędzie szafek i kontuaru zniszczone, a ich powierzchnie wyżłobione lub przynajmniej porysowane. Zastawa stołowa oraz szklanki wyciągnięto z szafek i rozbito, rzucając nimi o ściany. Na podłodze było mnóstwo ostrych, błyszczących odłamków. Również ze wszystkich półek w lodówce powyrzucano na podłogę marynaty, mleko, sałatkę z makaronem, musztardę, budyń czekoladowy, wiśnie maraschino, kawałek szynki i wiele innych, trudnych do zidentyfikowania substancji, teraz zmieszanych w odrażającej brei. Nad kontuarem koło zlewozmywaka wisiał komplet noży – pozostała po nich jedynie metalowa obręcz, gdyż noże – z nieprawdopodobną siłą – ktoś powbił w ścianę z dykty, niektóre z nich tkwiły w niej nawet do połowy ostrza, podczas gdy dwa – aż po rękojeść.

– Myślisz, że czegoś tu szukali? – spytał Benny.

– Może...

– Nie – orzekł stanowczo Ben. – Ja tak nie myślę. To wygląda tak samo jak sypialnia w domu w Villa Park. Dziwnie. Groźnie. Ktoś działał w furii. Tak, w furii, w ataku szału, bo nie z nienawiści. Albo jest to dzieło człowieka, który w niszczeniu znajduje perwersyjną przyjemność.

Rachael nie mogła oderwać oczu od powbijanych w ścianę noży. Bolesny skurcz odezwał się w jej żołądku, a do gardła podszedł spotęgowany strach.

Pistolet, który trzymała w ręce, nie dawał jej już takiej pewności siebie jak przed chwilą: był zbyt lekki, zbyt mały, prawie jak zabawka. Gdyby musiała go użyć, czy zdałby się na coś? A może ten

przeciwnik był zbyt niebezpieczny?

Przez resztę domu szli z dużo większą ostrożnością. Nawet Benny wstrząśnięty był gwałtownością psychopaty, który dokonał takich zniszczeń. Już nie urągał Rachael swym zuchwałym zachowaniem, lecz szedł blisko niej, bardziej czujny niż dotychczas.

W dużej sypialni zastali jeszcze większe spustoszenie, lecz nie porażało ono tak szaleńczą skalą gwałtowności jak destrukcja kuchni. Z małżeńskiego łóża, wykonanego z czarnego drewna i błyszczącej nierdzewnej stali, zrzucano poduszkę, która leżała teraz podarta na podłodze; sypało się z niej pierze. Ściągnięto również prześcieradła i przewrócono krzesło. Jedną z dwóch lamp z czarnej ceramiki zrzucano z szafki nocnej i potłuczono, a jej abażur zgnieciono. Abażur z drugiej lampy przekrecono, tak jak obrazy na ścianach.

Benny pochylił się i podniósł do oczu leżące na podłodze prześcieradła. Małe czerwone plamki oraz jedna duża rdzawa plama uderzały na białej tkaninie wprost nienaturalną jaskrawością.

– Krew – powiedział.

Rachael poczuła, że oblewa się zimnym potem.

– Niedużo – dodał Benny, prostując się i patrząc na nią znad pomiętej pościeli. – Nie ma jej dużo, ale to niewątpliwie krew.

Na ścianie przy otwartych drzwiach prowadzących do dużej sypialni Rachael ujrzała krwawy odcisk męskiej dłoni. Był to mocny, duży ślad, jak gdyby rzeźnik oparł się na chwilę o ścianę dla zaczerpnięcia tchu.

Wkrótce potem dostrzegli światło w łazience, jedynym pomieszczeniu w domu, w którym było ono zapalone, zanim weszli do środka. Przez otwarte drzwi Rachael widziała dosłownie wszystko – albo bezpośrednio, albo jako odbicia w lustrze pokrywającym jedną ze ścian: szarą terakotę z żółtym obramowaniem, dużą wannę, kabinę z prysznicem, sedes, kawałek kontuaru z umywalką, błyszczące mosiężne wieszaki na ręczniki oraz wmontowane w sufit lampy. Zdawało się, że w łazience nikogo nie ma. Jednakże gdy przekroczyła próg, usłyszała czyjś przyspieszony, najwyraźniej ze strachu, oddech. Poczula, że serce bije jej mocniej, jakby chciało wyskoczyć. Benny szedł tuż za Rachael.

– Co się stało? – spytał.

Wskazała ręką kabinę z matowego szkła. Szyba miała tak bogatą fakturę, że nie tylko nie było widać, kto jest w środku, ale nawet nie dało się rozpoznać żadnego kształtu.

– Tam ktoś jest.

Benny wyciągnął szyję i zaczął nasłuchiwać. Rachael cofnęła się pod ścianę, trzymając drzwi kabiny na muszce.

– Wyjdź stamtąd po dobroci – powiedział Benny do tego kogoś, kto znajdował się za matową szybą.

Żadnej odpowiedzi. Tylko przyspieszone, cienkie sapanie.

– Lepiej wyjdź zaraz – powtórzył Benny.

– Wychodź, do jasnej cholery! – krzyknęła nerwowo Rachael, a jej głos odbił się echem od szarej podłogi i błyszczących lusterek.

Z kabiny dobiegł nieoczekiwanie żalostny jęk, który zabrzmiał jak płacz dziecka. Napięcie wzrosło.

Rachael była zszokowana, zaintrygowana, ale wciąż czujna. Ostrożnie zbliżyła się do szklanych drzwi kabiny.

Benny wyprzedził ją, sięgnął ręką do mosiężnej klamki i otworzył drzwi.

– O mój Boże!

Rachael ujrzała nagą dziewczynę przykucniętą żałośnie w brodziku i wtuloną w róg kabiny. Nie

wyglądała na więcej niż piętnaście czy szesnaście lat i musiała być aktualną kochanką Erica, trzymaną przezeń w tej posiadłości, jego najnowsza i ostatnią „zdobyczą”. Zasłoniła piersi szczupłymi ramionami bardziej w odruchu strachu i samoobrony niż wstydu. Trzęsa się cała, a oczy miała szeroko rozwarte z przerażenia. Jej twarz pobladła i niezdrowo poszarzała.

Była zapewne całkiem ładna, ale teraz z trudem można to było stwierdzić. Nie z powodu słabo rozświetlonego mroku wewnątrz kabiny, lecz dlatego, że dziewczynę skatowano. Pod prawym okiem miała czarny siniak, który zaczynał nabrzmiwać. Inny ślad po mocnym uderzeniu widniał na prawym policzku i ciągnął się równo od góry do dołu. Z pękniętej górnej wargi sączyła się krew i zbierała na podbródku. Sińce były także na ramionach dziewczyny i na jej lewym udzie.

Benny odwrócił się, zażenowany jej nagością nie mniej niż stanem, w jakim się znajdowała.

Rachael opuściła pistolet i podeszła do otwartych drzwi kabiny.

– Kto cię tak urządził, mała? Kto to zrobił? – spytała, choć wiedziała, jaka będzie odpowiedź.

Bała się ją usłyszeć, ale jakaś wewnętrzna siła nakazywała jej postawić to pytanie.

Dziewczyna chciała odpowiedzieć, ale nie mogła. Krwawiące usta poruszyły się, ale wydobył się z nich tylko żalony jęk, który przeszedł w rzenie, gdy ciałem nastolatki znów wstrząsnął gwałtowny dreszcz. Zresztą nawet gdyby udało jej się wydobyć głos, to i tak zapewne nie odpowiedziałaby logicznie na pytania, gdyż znajdowała się w szoku i była oderwana od rzeczywistości. Sprawiała wrażenie, że tylko częściowo uświadamia sobie obecność Bena i Rachael, a reszta jej uwagi skoncentrowana jest na jakimś strachu, który tkwi w jej wnętrzu. Spojrzała w oczy Rachael, ale tak, jakby jej nie widziała.

Rachael wyciągnęła rękę w jej stronę.

– Kochanie, już wszystko dobrze. Nic ci nie grozi. Nikt nie zrobi ci nic złego. Możesz wyjść. Nie pozwolimy, by ktokolwiek cię skrzywdził.

Dziewczyna patrzyła przez Rachael na wylot i mamrotała coś pod nosem. Nie mieli już wątpliwości co do tego, że przebywała w jakimś straszliwym wewnętrznym świecie, wypełnionym strachem, i że ten strach blokował jej kontakt z rzeczywistością.

Rachael podała Benowi swój pistolet. Sama weszła do kabiny i uklękła w brodziku koło nastolatki. Zaczęła ją uspokajać, mówić do niej łagodnym tonem, głaskać po twarzy, ramionach i potarganych jasnych włosach. Na pierwsze dotknięcie dziewczyna zareagowała nerwowym dygotem, jakby ją ktoś bił, ale już po chwili czułość wyrwała ją z transu. Spojrzała na Rachael i już widziała ją, a nie poprzez nią, pozwoliła postawić się na nogi i wyprowadzić z mrocznej kabiny. Jednakże gdy przekroczyła próg brodzika, zaczął powracać jej poprzedni stan, wyrażający się w zaburzeniu aparatu ruchowego, niezdolności do odpowiedzi na żadne pytanie, a nawet do jakiegokolwiek reakcji pozawerbalnej – kiwnięcia głową czy spojrzenia Rachael prosto w oczy.

– Musimy zabrać ją do szpitala – orzekła Rachael, krzywiąc się, gdy w jasnym świetle łazienki zobaczyła dokładnie obrażenia biednego dziewczęcia. Dwa paznokcie palców prawej dłoni były złamane prawie u samej nasady i mocno krwawiły, złamany wydawał się też jeden palec.

Rachael zaprowadziła nastolatkę do sypialni i usiadła z nią na brzegu łóżka. Tymczasem Benny ruszył na poszukiwanie jakiegoś ubrania dla niej i w tym celu otwierał jedną po drugiej wszystkie szafy.

Rachael nasłuchiwała, czy z domu nie dobiegają jakieś niepokojące dźwięki. Nic więcej nie słyszała. Pozostała jednak czujna. Wkrótce Benny znalazł sprane dżinsowe spodnie, koszulę w niebieską kratkę, skarpety i parę sportowych butów firmy New Balance oraz nielegalną porcję narkotyków. Znajdowały się w górnej szufladzie jednej z szafek nocnych. Pokażna ilość – pięćdziesiąt albo sześćdziesiąt skrętów z marihuaną, plastikowy woreczek z niezidentyfikowanymi kapsułkami w jaskrawych kolorach i jeszcze

jedna torebka zawierająca około sześćdziesięciu gramów białego proszku.

– To chyba kokaina – powiedział Ben.

Eric nie zażywał narkotyków. Uważał, że to by mu uwłaczało. Zawsze mawiał, że narkotyki są dla słabeuszy, dla ludzi przegranych, którzy nie potrafią sami stawić czoła wyzwaniom życia. Ale widać nie miał nic przeciwko dostarczaniu różnych środków odurzających utrzymanym tu przez siebie nieletnim dziewczętom. Był to sposób, by uczynić je posłusznymi i uległymi. Rachael nigdy jeszcze nie gardziła Erikiem tak bardzo jak w tej właśnie chwili.

Uznała, że najwyższy czas ubrać dziewczynę. Zabrała się do tego tak, jakby miała do czynienia z małym dzieckiem, które jeszcze nie potrafi zrobić tego samo. Otepienie nastolatki wynikało teraz raczej z przeżytego szoku i strachu niż z działania środków chemicznych znalezionych przez Bena w szufladzie.

Kiedy Rachael ubierała dziewczynę, rycerski Benny dyskretnie odwrócił wzrok. Przetrzęsając szafy, odnalazł torebkę kochanki Erica i teraz badał jej zawartość. Wreszcie znalazł jakieś dokumenty, z których wyczytał:

– Sarah Kiel. Dwa miesiące temu skończyła piętnaście lat. Zdaje się, że pochodzi z Coffeyville w stanie Kansas.

Jeszcze jedna włóczęga, pomyślała Rachael. Może nie mogła wytrzymać w domu i uciekła? A może to tylko taki buntowniczy charakter, nie cierpiący dyscypliny i lubiący iluzje, jakie niesie ze sobą stawianie pierwszych samodzielnych kroków? Żadnych ograniczeń, sama rozkosz. Pojechać tak do Los Angeles, zwanego Wielką Pomarańczą, spróbować szczęścia w przemyśle filmowym, zostać gwiazdą! A może dziewczyna szukała tylko urozmaicenia i ucieczki od nudy rozległych, sennych łąk stanu Kansas?

Zamiast oczekiwanych romantycznych przeżyć i przepychu tam, gdzie kończy się tęcza Kalifornii, Sarah Kiel znalazła to, co znajduje większość takich jak ona dziewcząt – twarde życie bez dachu nad głową i wreszcie troskliwą opiekę alfonsa. Eric musiał kupić ją od takiego albo też sam ją znalazł na ulicy, gdy ruszył na poszukiwanie świeżej krwi, która miałyby podtrzymać jego młodość. Następnie ukrył dziewczynę w swym bogatym domu w Palm Springs, zaopatrywał we wszystkie narkotyki, jakich sobie życzyła, i adorował. Głupie dziewczę zapewne szybko uwierzyło, że tak już zostanie na zawsze. Nie mogła, bo nie miała podstaw, przypuszczać, że jest tylko zabawką milionera, że znajduje się w wielkim niebezpieczeństwie, że pewnego dnia nadejdzie koszmar, który sparaliżuje jej układ nerwowy.

– Pomóż mi zaprowadzić ją do samochodu – powiedziała Rachael, gdy skończyła już ubierać Sarah Kiel.

Benny ujął ją z jednej strony pod pachę, a Rachael podtrzymywała z drugiej. Sarah przebierała nogami o własnych siłach, ale kolana drżały jej cały czas i – gdyby nie była prowadzona – przewróciłaby się kijka razy.

Noc pachniała jaśminem, którego zapach niosła lekka bryza. Ta sama, która poruszała liśćmi krzewów, powodując, że szeleściły i wprawiały Rachael w podenerwowanie.

Wsadzili Sarah do auta i zapięli jej pas bezpieczeństwa. Dziewczyna całym ciężarem ciała oparła się na szarfie i pozwoliła głowie opaść bezwładnie do przodu. W sportowym mercedesie 560 SL mogła jechać trzecia osoba, ale z tyłu, w miejscu przeznaczonym raczej na niewielki bagaż. Trzeba było usiąść bokiem, a ponieważ Benny był na to zbyt długi, więc Rachael oddała mu kierownicę, a sama usiadła z tyłu.

Ruszyli do szpitala. Gdy tylko wyjechali z drogi dojazdowej do posiadłości Erica, zza rogu wyskoczył z dużą prędkością inny samochód, rzucił na nich snop światła z reflektorów i zaczął jechać

prosto w ich kierunku.

Serce zabiło Rachael mocniej i krzyknęła:

– Cholera, to oni!

Tajemniczy pojazd skręcił w bok, stając w poprzek wąskiej ulicy i blokując ją. Ben, nie tracąc czasu na pytania, zakręcił mocno kierownicą i, zostawiając napastników z tyłu, pojechał w przeciwną stronę. Z kolei przycisnął pedał gazu, opony pisnęły i mercedes skoczył do przodu z godnym uznania przyspieszeniem. Stojące rzędem wzdłuż ulicy niskie domy zlały się w jedną całość. Wkrótce ulica kończyła się i należało skręcić albo w lewo, albo w prawo. Benny zwolnił, a Rachael odwróciła głowę i spojrzała przez tylną szybę. Zobaczyła, że ścigający ich samochód – jakiś typ cadillaca, chyba seville – był blisko, coraz bliżej.

Benny wszedł szeroko w zakręt przy zatrważającej prędkości i Rachael, wciśnięta za fotele, poczuła, jak bok auta wciska jej się w plecy. Gdyby nie była zaklinowana w ciasnym przedziale z tyłu samochodu, z całą pewnością zarzuciłoby ją z całej siły. Tym bardziej że nie miała się czego złapać. Chwyliła więc oburącz oparcie fotela, na którym siedziała Sarah Kiel, miała wrażenie, że za chwilę cały świat odpłynie jej spod nóg. Boże, pomyślała, żeby tylko mercedes nie przekoziołkował!

Mercedes nie przekoziołkował, wtulił się miękko w nawierzchnię i gładko wyszedł na prostą, gdzie przyspieszył. Ale cadillac był już za nimi, chwilami tuż przy ich boku, tańcząc szeroko na boki z powodu nadmiernej prędkości. W pewnej chwili otarł karoserią o zaparkowanego przy krawężniku chevroleta corvette. Posypały się iskry i spadły na jezdnię. Samochód zarzuciło i wyglądało na to, że wypadnie z gry; siła uderzenia pchnęła go w stronę aut zaparkowanych po przeciwnej stronie ulicy. Kierowca jednak wyprowadził cadillaca z poślizgu i kontynuował pościg. Wprawdzie stracił trochę do mercedesa, ale niestrudzenie za nim podążał.

Benny wprowadził małego 560 SL w kolejny zakręt, tym razem ostrzej – wjechali między domy jednorodzinne – po czym wcisnął gaz do dechy. Z szybkością rakiety kosmicznej przecięli jedną ulicę i zbliżali się do kolejnej przecznicy. Rachael pomyślała, że osiągnęli już chyba prędkość dźwięku i wkrótce pokonają przyciąganie ziemskie, wychodząc na orbitę. Tymczasem Benny ze spokojem pianisty wykonującego *Sonatę Księżycową* Beethovena ostro zahamował, ale bynajmniej nie z zamiarem zatrzymania się przed kolejnym znakiem STOP. Po prostu z całych sił skręcił kierownicą w prawo i dał nura w następną ulicę.

Jeśli chodzi o umiejętność mylenia pogoni, to Benny okazał się równie dobry jak w walce i Rachael miała już ochotę spytać: „Kim ty w końcu jesteś, cholera jasna? Nie mów mi, że zwykłym handlarzem nieruchomościami zbzikowanym na punkcie modeli kolejek i muzyki swingowej, bo nie uwierzę!” Ale nie powiedziała nic, bała się bowiem rozproszyć jego uwagę, bo przy tej prędkości oznaczałoby to niechybnie wypadek lub – co gorsza – wypadek i śmierć.

Ben dobrze wiedział, że pięćsetsześćdziesiątką mógłby bez trudu wygrać wyścig z cadillakiem, ale na prostej drodze, nie zaś na takich uliczkach jak te – wąskich i garbatych, zmuszających do ograniczenia prędkości. Poza tym, im bliżej byli śródmieścia, tym więcej pojawiało się świateł sygnalizacyjnych i pomimo martwej porannej pory trzeba było na skrzyżowaniach zwalniać, przynajmniej trochę, bo inaczej ryzykowało się boczne zderzenie z jakimś rannym ptaszkiem ruchu ulicznego. Na szczęście mercedes tysiąc razy bezpieczniej wchodził w zakręty, toteż Benny nie musiał podczas skręcania tak bardzo hamować jak ich prześladowcy w cadillacu. Tak więc z każdym zakrętem zyskiwał kilka metrów przewagi, których ścigający nie mogli nadrobić na następnym odcinku prostej. Ben tak zręcznie i długo lawirował, aż wrócili w pobliże Palm Canyon Drive, głównej arterii miejskiej, gdzie wreszcie zostawił

pościg na tyle daleko – prawie dwie przecznice – iż zaczynał wierzyć, że już ich nie dogonią i zaraz się zgubią...

...i wtedy ujrzał radiowóz policyjny.

Stał z przodu sznura aut zaparkowanych przy krawężniku, przed skrzyżowaniem alei z najbliższą przecznica. Gliniarz musiał zobaczyć we wstecznym lusterku, że mkną jak błyskawica, bo zapaliły się czerwono-niebieskie światełka na dachu i rozległo się przeciągłe wycie syreny.

– Hura! – ucieszył się Ben.

– Nie! – Rachael krzyknęła zza foteli, choć ucho Bena było tuż przy jej ustach. – Nie możemy o niczym meldować policji! Zabiją nas, jeśli to zrobimy!

Pomimo, to, zbliżając się do wozu patrolowego, Ben zaczął hamować. Przecież Rachael nie powiedziała mu, dlaczego mają unikać policji, a on sam nie należał do ludzi, którzy wyręczają przedstawicieli prawa. Poza tym, gdy ci faceci z cadillaca zobaczą, że do akcji wkracza policja, na pewno się wycofają.

Ale Rachael krzyczała:

– Nie, Benny! Na miłość boską, zaufaj mi! Dlaczego nie chcesz mi zaufać? Jeśli się zatrzymasz, to już po nas! Nasze mózgi rozprysną się po okolicy!

Oskarżenie Rachael, że nie ma do niej zaufania, ubodło Bena. On przecież ufa jej bezgranicznie, ponieważ ją kocha! Wprawdzie za cholerę nie rozumie, co jest grane, ale mimo to jej ufa. Ton rozczarowania i oskarżenia w jej głosie był ostry jak nóż wbijany mu w serce. Zdjął więc nogę z hamulca i położył ją na gazie, po czym przemknął z prawej strony czarno-białego auta tak szybko, że błysk kolorowego światła z policyjnego „koguta” raz tylko zajaśniał we wnętrzu mercedesa. Kiedy Benny odwrócił się, zobaczył dwóch zdumionych policjantów. Pomyślał, że poczekają na cadillaca i dopiero wtedy rozpoczną pościg. A o to właśnie mu chodziło! Przecież ci faceci z cadillaca nie będą strzelać, by rozprysnąć po okolicy ich mózgi, mając na karku policję!

Ale, ku zaskoczeniu i przerażeniu Bena, obaj gliniarze, z wyciem syreny, natychmiast ruszyli za nim. Może tak byli zaszokowani widokiem mercedesa, który naciera na nich z prędkością samolotu ponaddzwiękowego, że nie zauważyli jadącego z tyłu cadillaca albo nawet widząc go, nie zdali sobie sprawy, z jaką szybkością on nadciąga. Cokolwiek jednak nimi powodowało, ruszyli z krawężnika i dali za mercedesem nura w prawo, w Palm Canyon Drive.

Ben wszedł w zakręt z zimną krwią szaleńca albo kaskadera, który wie, że metalowe wsporniki i ciężkie hydrauliczne amortyzatory, jak również całe mnóstwo innych wyrafinowanych urządzeń wyeliminują większość zagrożeń związanych z tak ryzykownym manewrem. Tylko że on nie miał ani wsporników, ani stabilizatorów. Zdał sobie sprawę, że chyba się przeliczył i, widząc, że przez chwilę – która zdawała się trwać godzinę – jadą tylko na dwóch kołach, czując swąd kopącego się ogumienia, pomyślał, że niewiele brakuje, a cała trójka zamieni się w konserwę mięsną, zakutą w solidną niemiecką blachę. Jednakże dzięki łasce bożej oraz mistrzostwu konstruktorów firmy Daimler-Benz samochód znów stanął na czterech kołach, czemu towarzyszyło gwałtowne szarpnięcie i głuchy trzask, I znów stał się cud – żadna z opon nie pękła przy silnym zderzeniu z podłożem, jedynie Rachael wyrznęła głową w sufit. Gwałtownie wypuściła nagromadzone w płucach powietrze i Benny poczuł na szyi jego gorący strumień.

Jednakże zanim jeszcze samochód odzyskał równowagę. Ben zauważył mężczyznę w żółtej koszulce, przechodzącego przez ulicę ze swoim cocker-spanielem w niedozwolonym miejscu. Mercedes wyskoczył na nich zza zakrętu jak strzała i zupełnie wytrącił ich z równowagi. Zatrzymali się pośrodku jezdni i obaj, pan i jego pies, wybałuszyli oczy. Mężczyzna był starszkiem, wyglądał na dziewięćdziesiąt lat, spaniel

też był zramolały; żadne z nich nie powinno włóczyć się nocą po ulicy, lecz spać i śnić – jedno o nowej protezie, drugie o drzewku do obsikiwania. Benny zbliżał się do nich, zatrważającą prędkością.

– Benny! – krzyknęła Rachael.

– Widzę, widzę!

Nie istniała szansa, by mogli zahamować na czas. Dlatego Benny nie tylko nacisnął na hamulce, lecz także zakręcił mocno kierownicą wprowadzając auto w poślizg i obracając je przy tym na Palm Canyon – z piskiem kompletnie już zdartych opon – o sto osiemdziesiąt stopni. Gdy tylko prawy tył mercedesa uderzył o krawężnik. Ben zawrócił i z rykiem silnika pognął znów w kierunku północnym. Staruszek z psem doczłapali wreszcie na chodnik, gdzie byli bezpieczni. Za to wóz policyjny był już za uciekinierami nie dalej niż dziesięć metrów.

We wstecznym lusterku Benny zobaczył, że cadillac także wyłonił się zza zakrętu i, nie przejmując się obecnością policji, kontynuował pościg. Co więcej, zaczął nawet wyprzedzać czarno-biały radiowóz.

– To szaleńcy! – krzyknął Ben.

– Gorzej niż szaleńcy – odrzekła Rachael. – Dużo gorzej.

Siedząca obok kierowcy Sarah Kiel zaczęła wydawać z siebie niepokojące dźwięki, ale nie wyglądała na przestraszoną rozgrywającymi się właśnie wydarzeniami. Sprawiała takie wrażenie, jakby pościg przywołał tylko w jej pamięci inne, dużo gorsze wspomnienia przemocy i terroru, których doznała.

Jadąc coraz szybciej po Palm Canyon w kierunku północnym, Benny znów zerknął we wsteczne lusterko i zobaczył, że cadillac taranuje bokiem wóz policyjny. Zupełnie jak banda ścigających się po szosie szczeniaków, pomyślał, albo pijanej młodzieży szukającej rozrywki. Bo tak to wyglądało... Ale już po chwili zrobiło się bardzo groźnie. Ludzie z cadillaca wyrazili swoje zamiary serią z karabinu maszynowego, skierowaną do policjantów: tatatatata... To tak, jakby byli nie w Palm Springs, ale w Chicago w czasach Ala Capone, pomyślał Benny.

– Oni strzelają do gliniarzy! – krzyknął i chyba jeszcze nigdy w życiu nie był tak zdumiony.

Radiowóz wpadł w poślizg, uderzył o krawężnik, wjechał na chodnik i zatrzymał się w oknie wystawowym eleganckiego butik. Ale mężczyzna na tylnym siedzeniu cadillaca wciąż wychylał się z okna, puszczając serię za serią tak długo, aż wóz policyjny znalazł się poza zasięgiem strzału.

– Oj, oj, oj, oj, oj! – jęczała na siedzeniu obok Bena Sarah Kiel.

Trzęsła się przy tym i łkała, jakby ktoś zadawał jej ból. Najwyraźniej zagrożenie, w jakim się teraz znaleźli, przypomniawszy jej cierpienia doznane minionej nocy.

– Benny, ty zwalniasz! – upomniała Rachael.

Zszokowany Benny istotnie nieco zwolnił.

Cadillac zbliżał się do nich szybciej niż głodny rekin kiedykolwiek zbliżał się do samotnego pływaka.

Ben przycisnął pedał gazu i samochód zareagował nagłym skokiem do przodu niczym kopnięty w bebechy kot. Mknęli jak pocisk po Palm Canyon Drive, która na względnie długim odcinku była tutaj prosta. Dlatego Benny, zanim znów zaczął skręcać, mógł zwiększyć dystans między mercedesem i cadillakiem. A to pozwoliło mu wrócić do mylenia pogoni: zakręt w lewo, zakręt w prawo, w stronę wzgórz i znów na dół, cały czas w kierunku południowym. Uciekał przez starsze dzielnice, gdzie korony drzew stykały się nad ulicą, tworząc żywe łuki, potem mknął przez nowe osiedla, gdzie drzewka były małe, a zarośla tak ubogie, że nie mogły przykryć pustynnej rzeczywistości, w jakiej powstało miasto. Im więcej mieli za sobą zakrętów, tym bardziej odstawali od nich mordercy w cadillacu.

– Te sukinsyny załatwiły dwóch gliniarzy tylko dlatego, że nieszczęśnicy weszli im w drogę – powiedział zdumiony Ben.

– Oni naprawdę chcą nas dostać – odparła Rachael. – Staralam ci się to wytłumaczyć. Chcą nas dostać jak cholera.

Cadillac był już dwie przecznice za mercedesem, wystarczy jeszcze tylko pięć-sześć skrętów, by zgubić go zupełnie, bo nie widząc uciekinierów, napastnicy nie będą wiedzieli, gdzie skręcić.

Słyszac drzenie w swoim głosie, Benny zdziwił się bardzo. Nie lubił tych wibracji.

– Ale do cholery, przecież oni nawet przez chwilę nie mieli szansy, by nas dostać. W końcu jedziemy zgrabnym sportowym cackiem, a oni ciężkim sedanem. Powinni to byli przewidzieć. Mieli jedną szansę na sto. I to w najlepszym razie. Jedną na sto, a jednak pozbawili życia dwóch ludzi.

W następnym zakręcie wszedł poślizgiem, lekko skręcając kierownicę.

– O Boże, o Boże, o Boże – stęknęła cicho i z przerażeniem Sarah, kuląc się w swym fotelu tak nisko, jak tylko pozwalały na to pasy bezpieczeństwa, i zasłaniając piersi ramionami, zupełnie jak wtedy, gdy naga kucała w kabinie pod prysznicem.

Z tyłu dobiegł go głos Rachael, nie mniej roztrzęsiony niż przed chwilą jego własny.

– Zabili policjantów, bo bali się, że oprócz naszych zapiszą także numery rejestracyjne cadillaca, po których łatwo będzie ich zidentyfikować.

Reflektory cadillaca znów wynurzyły się zza zakrętu, ale już w dużo większej odległości niż poprzednio. Ben ponownie skręcił w jakąś ulicę i pognął przez mrok między starymi domami, które psuły fantazyjny image Palm Springs.

– Sugerowałaś, że jeśli zgłosisz się na policję, to oni dopadną cię jeszcze szybciej – odezwał się Benny.

– Tak.

– To dlaczego nie pozwolili, żeby dorwał nas patrol?

– To prawda, że w areszcie łatwiej by mnie dostali. Nie miałabym żadnej szansy. Ale zabijając mnie w takich okolicznościach, narobiliby wokół siebie za dużo szumu. Ci ludzie w cadillacu... i ich koledzy... woleliby załatwić to po cichu, nawet gdyby musieli nieco odczekać.

Zanim z tyłu znów wynurzyły się światła cadillaca, Benny zdążył skręcić w najbliższą przecznicę. Jeszcze jeden albo dwa skręty i na dobre wymknie się pościgowi.

– Czego oni od ciebie chcą, do cholery? – spytał.

– Dwóch rzeczy. Po pierwsze, tajemnicy, którą ich zdaniem znam.

– A jak jest naprawdę?

– Nie znam jej.

– A po drugie?

– Drugiej tajemnicy, którą faktycznie znam. I którą dzielę z nimi, tyle że oni nie chcą, bym podzieliła się nią z kimś więcej. Dlatego starają się mnie uciszyć.

– Co to za tajemnica?

– Jeśli ci powiem, to i ciebie będą chcieli zabić.

– Myślę, że już wypruliby mi flaki, gdybym dostał się w ich łapy – rzekł Benny. – I tak tkwię w tym po uszy, możesz mi więc powiedzieć.

– Skoncentruj się na prowadzeniu samochodu.

– Powiedz mi.

– Nie teraz. Musisz skupić się na tym, żebyśmy się ich na razie pozbyli.

– O to się nie martw i nie staraj się, do cholery, zasłaniać tym swojego milczenia. Już po krzyku. Jeszcze tylko jeden zakręt i nigdy nas nie znajdą.

I wtedy pękła prawa przednia opona.

Ukrzyżowanie

Dla Julia i Reese'a była to długa noc.

Dwie minuty po wpół do pierwszej zakończono przeszukiwanie kontenera na śmieci, ale błękitnego buta Ernestiny Hernandez nie znaleziono.

Gdy tylko zwłoki odwieziono do kostnicy, wszyscy policjanci rozjechali się do domów, by przyłożyć głowy do poduszek i rano wstać wypoczętymi. Wszyscy, oprócz porucznika Julia Verdada. On wiedział, że ślady pozostawione przez sprawców zbrodni mają dla policjanta wartość przez dwadzieścia cztery godziny po jej dokonaniu. Co więcej, zawsze po przydzieleniu mu nowej sprawy zabójstwa nie mógł spać co najmniej przez jedną noc i rozmyślał nad motywami, które przypuszczalnie kierowały przestępcą.

Zresztą tym razem miał wobec ofiary specjalne zobowiązanie. Z przyczyn, które komuś mogłyby się wydać dziwne, ale które do niego przemawiały bardzo silnie, Verdada czuł się w tę sprawę niezwykle zaangażowany. Chciał doprowadzić mordercę Ernestiny na ławę oskarżonych i w tym wypadku nie uważał tego tylko za swój służbowy obowiązek, lecz również za punkt honoru.

Jego partner, Reese Hagerstrom, towarzyszył mu – mimo późnej pory – bez słowa sprzeciwu. Reese pracowałby dla Julia, dla Julia i nikogo więcej, przez okrągłą dobę; odmawiałby sobie nie tylko snu, ale i regularnych posiłków oraz wolnych dni. Gotów był na każde poświęcenie. Julio wiedział, że gdyby kiedyś trzeba było stanąć w linii strzału, wystawić pierś na kule i zginąć, Reese i to zrobiłby dla niego – bez najmniejszego wahania. To było coś, co obaj czuli w swych sercach i kościach, ale czego nigdy nie wypowiadali.

Za dwadzieścia pierwsza przynieśli rodzicom Ernestiny wiadomość o jej tragicznej śmierci. Ich skromny dom znajdował się jedną ulicę na wschód od Main Street. Wokół rosły magnolie. Policjanci musieli obudzić domowników. Zrazu nikt nie dawał wiary straszliwej wieści, rodzice byli przekonani, że córka wróciła już do domu i śpi, ale jej łóżko – oczywiście – okazało się puste.

Chociaż Juan i Maria Hernandez mieli sześcioro dzieci, przyjęli ten cios z rozpaczą nie mniejszą, niż przyjęliby go rodzice jedynaka. Weszli do salonu. Maria nie miała siły, by stać, i opadła na sofę obitą różową tkaniną. Jej dwóch najmłodszych synów, obaj kilkunastoletni, usiadło po bokach matki z zaczerwienionymi oczami. Byli zbyt wstrząśnięci, by zachować postawę *mucho*, tak charakterystyczną dla latynoskich chłopców w ich wieku. Maria trzymała w dłoniach oprawną w ramki fotografię Ernestiny i na przemian to łkała, to gorączkowo wspominała szczęśliwe lata dziewczyny. Inna jej córka, dziewiętnastoletnia Laurita, usiadła sama w jadalni, nieprzystępna, niepokieszona, i ścisnęła w garści różaniec. Juan Hernandez zaczął nerwowo chodzić tam i z powrotem, z zaciśniętymi zębami i gniewnym spojrzeniem, które miało maskować łzy. Na nim, jako na głowie rodu spoczywał obowiązek zachowania spokoju i równowagi w rodzinie, zakłóconej teraz przez śmierć. Musiał być silny, ale nie potrafił i dwa razy wychodził do kuchni, gdzie za zamkniętymi drzwiami wydawał z siebie zdławione jęki bólesci.

Julio nie mógł nic zrobić, by ulżyć ich cierpieniu, wzbudził jednak ich zaufanie do wymiaru sprawiedliwości i nadzieję na odnalezienie mordercy. Jego zaangażowanie w sprawę Ernestiny, jego pewność i zrównoważenie wyczuwalne w głosie, sugerowały, że jest człowiekiem o wytrwałości ogara, który naprawdę doprowadzi zabójcę przed sąd. A może wzbudził zaufanie tych ludzi, ponieważ w jego oczach, głosie i wyrazie twarzy widoczna była wściekłość na samo istnienie śmierci, niezależnie od tego kto padał jej ofiarą. Ta wściekłość narastała w nim od lat, od owego upalnego popołudnia, kiedy zobaczył szczura, który zagryzł jego młodszego braciszka. A dziś ogień w jego wnętrzu był już tak wielki i jasny, że wszyscy musieli go dojrzeć.

Julio i Reese dowiedzieli się od państwa Hernandez, że Ernestina wyszła wieczorem z domu w towarzystwie swej najlepszej przyjaciółki, Becky Klienstad. Obie dziewczyny były kelnerkami w pobliskiej restauracji meksykańskiej. Pojechały do miasta samochodem Ernestiny: starym dziesięcioletnim fordem fairlane niebieskiego koloru.

– Jeśli nieszczęście spotkało moją Ernestinę – powiedział pan Hernandez – to co się stało z biedną Becky? Na pewno jej też się coś przytrafiło. Coś strasznego.

Z kuchni państwa Hernandez Julio zadzwonił do rodziny Klienstad w Orange. Becky, właściwie Rebecca, była poza domem. Rodzice nie niepokoiili się o nią, bo to w końcu dorosła dziewczyna, a ulubione przez nią i Ernestinę lokale z muzyką taneczną czynne są do drugiej w nocy. Zaczęli się niepokoić dopiero po rozmowie z porucznikiem Verdadem.

Było dwadzieścia po pierwszej w nocy.

Julio wsiadł do zaparkowanego przed domem Hernandezów samochodu bez policyjnych oznaczeń i wpatrzył się tępo w wypełnioną zapachem magnolii noc. Przez otwarte okna dochodziły go szmery liści poruszających się na wietrze. Pusty i smutny odgłos.

Reese uruchomił komputer, którego końcówkę mieli w samochodzie, i wprowadził do niego dane dotyczące niebieskiego forda Ernestiny. Numery rejestracyjne uzyskał od jej rodziców.

– Zobacz przy okazji, czy nie ma dla nas jakichś informacji – powiedział Julio.

Sam nie odważyłby się w tej chwili obsługiwać komputera. Był za bardzo zdenerwowany, gotów pod byle pretekstem zaatakować pięściami kogokolwiek lub cokolwiek. Gdyby miał z komputerem jakiegokolwiek problemy albo przez pomyłkę wcisnął niewłaściwy klawisz, jego frustracja mogłaby się wyładować na tym elektronicznym urządzeniu stanowiącym najłatwiejszy cel.

Reese uzyskał połączenie z centralnym bankiem danych i na ekranie pojawiły się żądane informacje. Lekko świecące zielone literki przesuwwały się z dołu do góry. Był to meldunek dwóch cywilnych oficerów, którzy na polecenie Julia udali się do kostnicy miejskiej. Mieli się tam upewnić, czy znalezione w śmietniku skalpel i zakrwawiony fartuch lekarski mogły należeć do kogoś z personelu zakładu medycyny sądowej. Pracownicy potwierdzili, że z magazynu zginęły: skalpel, fartuch laboratoryjny, zestaw garderoby szpitalnej wraz z nakryciem głowy oraz para antystatycznych butów. Jednakże nie istniały żadne przesłanki, by o kradzież posądzić kogokolwiek z personelu kostnicy.

Julio oderwał wzrok od monitora i patrząc się w ciemność nocy, powiedział:

– Nasza sprawa zabójstwa wiąże się ze zniknięciem ciała Erica Lebena.

– Może to tylko przypadek... – rzekł Reese.

– Wierzysz w przypadki?

Reese westchnął.

– Nie.

Jakaś ćma zaczęła się objać o przednią szybę.

– Może ten, kto ukradł zwłoki, zamordował także Ernestinę – domyślał się Julio.

– Ale dlaczego?

– Tego musimy się dowiedzieć.

Julio odjechał spod domu Hernandezów. Z dala od objających się o szyby owadów, z dala od szeleszczących liści.

Potem skręcił na północ i zaczął oddalać się od centrum Santa Ana.

Jechał rzęsiście oświetloną Main Street, ale nie mógł uwolnić się od głębokiego mroku, który zaczął go otaczać. Nawet na chwilę nie potrafił otrząsnąć się z ciemności, albowiem tkwiła ona w nim samym.

Była pierwsza trzydzieści osiem.

Pustymi ulicami dość szybko dotarli do hiszpańskiej rezydencji Erica Lebena. Noc w tej zamożnej dzielnicy była cicha, jakby pełna szacunku dla wielkich pieniędzy. Ich kroki odbijały się głuchym echem od płytek chodnikowych, a gdy zadzwonili do drzwi, głębokie tony dobiegły ich uszu niczym z wnętrza studni.

Julio i Reese nie stanowili władzy w Villa Park, gdyż tu już nie sięgała ich jurysdykcja. Jednakże w tak rozległym kompleksie urbanistycznym, jaki tworzy Wielka Pomarańcza, stanowiąca jedną wielką aglomerację administracyjnie podzieloną na mniejsze wspólnoty, nie ograniczano dochodzenia do danego okręgu jurysdykcyjnego i nie pozwalano, by przestępca mógł zyskać na czasie lub skryć się, przekraczając granice miasta. Kiedy zachodziła konieczność prowadzenia śledztwa w innym okręgu, zwykle otrzymywało się eskortę od lokalnych władz albo nawet zezwolenie na samodzielną pracę i wszystkie podania o taką zgodę niemal automatycznie akceptowano.

Jednakże działanie oficjalnymi kanałami to strata czasu, toteż Julio i Reese często gwałcili protokół. Jeździli tam, gdzie musieli pojechać, przesłuchiwali, kogo tylko chcieli, i kontaktowali się z lokalnymi władzami wyłącznie wtedy, gdy natrafiali na coś, co nie leżało w zakresie ich kompetencji lub zainteresowania, albo gdy rozwój sytuacji groził niebezpiecznymi konsekwencjami.

Niewielu detektywów postępowało tak zuchwale. Niestosowanie się do przyjętej procedury groziło upomnieniem. Powtarzające się gwałcenie przepisów mogło być odczytane jako brak poszanowania prawa i spowodować zawieszenie w czynnościach. Najwyższą karą było pożegnanie się z awansem albo niedoczekanie emerytury w tym samym miejscu pracy.

To ryzyko nie dotyczyło jednak Julia i Reese'a. Nie dlatego, że nie zależało im na awansach czy policyjnych emeryturach, ale dlatego, że rozwiązanie prowadzonych spraw i wysłanie morderców do więzienia było dla nich ważniejsze niż kariera zawodowa czy zabezpieczenie finansowe. Być gliną i nie ryzykować życia za swe ideały – to bez sensu, a jeśli już człowiek gotów był oddać życie, to jakie znaczenie mogły mieć takie przyjemne drobiazgi jak podwyżka czy zabezpieczenie na starość?

Kiedy nikt nie odpowiedział na dzwonek, Julio spróbował otworzyć drzwi. Były zamknięte. Nie użył wytrychu ani nie wyważył ich, gdyż nie mieli nakazu rewizji, koniecznego, by mogli wejść do domu Erica Lebena. Prawo przecież zakładało niewinność swoich obywateli i chroniło przed naruszeniem ich prywatności.

Obeszli dom dookoła i na jego tyłach znaleźli to, czego im było trzeba: wybitą szybę w drzwiach prowadzących z patia do kuchni. Nie byłiby policjantami, gdyby nie założyli najgorszego – że uzbrojony napastnik włamał się do domu w celach rabunkowych i mógł skrzywdzić jego mieszkańców. Należało zatem pospieszyć z pomocą.

Wyjęli broń i ostrożnie weszli do środka. Pod ich stopami zaskrzypiały odłamki szkła.

Gdy następnie przechodzili z pokoju do pokoju, zapalając we wszystkich światło, zobaczyli wystarczająco dużo, aby usprawiedliwić swoje wtargnięcie: krwawy ślad odcisniętej dłoni na oparciu białej sofy w salonie, spustoszenie w sypialni. A w garażu... niebieskiego forda Ernestiny Hernandez.

Reese obejrzał dokładnie auto i odkrył plamy krwi na tylnym siedzeniu i na wycieraczkach podłogowych.

– Gdzieniedzie są jeszcze lepkie – powiedział do partnera.

Julio podszedł do bagażnika forda i zobaczył, że jest nie domknięty. W środku było jeszcze więcej krwi, stłuczone okulary słoneczne i... błękitny but damski.

But należał do Ernestiny i Julio poczuł ucisk w piersiach, gdy go ujrzał.

O ile jednak było mu wiadomo, córka Hernandezów nie nosiła okularów. Po chwili przypomniał sobie, że na fotografiach w ich domu widział, że podobne do tych znalezionych w bagażniku miała kelnerka Becky Klienstad, przyjaciółka Ernestiny. Najwyraźniej zatem obie dziewczyny zostały zamordowane i zapakowane do bagażnika. Następnie zwłoki Ernestiny wrzucono do kontenera na śmieci. A co stało się z ciałem Becky?

– Dzwon po miejscowych – rzekł do Reese’a. – Nadszedł czas, by działać zgodnie z protokołem.

Pierwsza pięćdziesiąt dwie.

Reese Hagerstrom podszedł do ściany, by za pomocą odpowiedniego przycisku uruchomić podnoszone drzwi od garażu. Chciał je otworzyć i wywietrzyć pomieszczenie, w którym unosił się mdły zapach krwi. Drzwi powędrowały do góry i Reese zaczął przetrząsać kąty olbrzymiego garażu. Już po chwili odnalazł zestaw zielonych ubrań szpitalnych i parę antystatycznego obuwia.

– Julio, chodź tu i zobacz!

Julio wciąż jeszcze penetrował wnętrze bagażnika. Nie ważył się niczego dotknąć, by nie zatrzeć cennych śladów, ale miał nadzieję, że może jeszcze wypatrzy coś, co uszło jego uwagi. Po chwili jednak dołączył do Reese’a, stojącego nad zmiętymi w kącie ubraniami.

– Cholera, o co tu chodzi?! – zapytał Hagerstrom.

Julio nie odpowiedział.

– Wieczór zaczął się od jednego zniknięcia zwłok – kontynuował Reese – a teraz mamy już dwa: Lebena i małej Klienstad. Znaleźliśmy natomiast trzecie, których wolelibyśmy nie znaleźć. Jeśli ktoś kolekcjonuje martwe ciała, to dlaczego nie zatrzymał również Ernestiny Hernandez?

Łamiąc sobie głowę nad niezwykłymi odkryciami i nad zaskakującym związkiem między zniknięciem zwłok Lebena a zabójstwem Ernestiny. Julio bezwiednie podciągnął krawat i poprawił spinki u mankietów koszuli. Nawet w największy upał nie zapominał włożyć krawata i koszuli z długim rękawem, tak jak zapominali niektórzy detektywi. Ale przecież detektyw, tak jak duchowny, był reprezentantem świętej sprawy, pracował w służbie boga sprawiedliwości i prawa. Dlatego mniej formalny ubiór Julio uważał za niegodny go, tak jak dzinsy i koszulkę bawełnianą dla księdza odprawiającego mszę.

– Przyjadą? – zapytał Reese’a.

– Tak. A my, gdy tylko wytłumaczymy im o co chodzi, mamy wracać do Placentia.

Julio zamrugał oczami.

– Do Placentia? A po co?

– Gdy byłem w samochodzie, sprawdziłem, czy nie ma dla nas wiadomości. Były. Z centrali. Policja w Placentia znalazła Becky Klienstad.

– Gdzie? Żywą?

– Martwą. W domu Rachael Leben.

Zdumiony Julio powtórzył pytanie, które przed chwilą zadał mu Reese:

– Cholera, o co tu chodzi?

Pierwsza pięćdziesiąt osiem.

Żeby dostać się do Placentia, musieli z Villa Park przejechać przez część Orange, potem przeciąć kawałek Anaheim i wjechać na most Tustin Avenue na rzece Santa Ana, która z powodu suszy była teraz tylko rzeką kurzu. Minęli pola naftowe, gdzie wielkie pompy nad szybami wiertniczymi pracowały niezamordowanie – w górę i w dół – niczym olbrzymie modliszki. Ich kształty nie były obce mieszkańcom tych okolic, a jednak w mroku nocy wyglądały tajemniczo i dodawały złowroziej ciemności jeszcze jeden

niesamowity element.

Placentia była właściwie najspokojniejszym osiedlem w okręgu. Ani biednym, ani bogatym – po prostu wygodnym i zadowolającym mieszkańców, pozbawionym szczególnych wad, ale i większych zalet, z wyjątkiem może jednej: niektóre ulice były tu wysadzone wielkimi dorodnymi palmami daktylowymi. Przy jednej z takich ulic mieszkała Rachael Leben. Długie, zwarte liście wyjątkowo bujnych drzew, zwisające nad zaparkowanymi przed jej domem policyjnymi samochodami, wyglądały w czerwonym świetle migających „kogutów”, jakby stały w płomieniach.

Na progu oczekiwał Julia i Reese’a miejscowy detektyw w mundurze. Nazywał się Orin Mulveck. Był blady, miał niewyraźne spojrzenie i sprawiał takie wrażenie, jakby przed chwilą zobaczył coś, czego w żadnym razie nie chciałby zapamiętać, ale czego nie potrafił zapomnieć.

– Zadzwoń do nas sąsiadka, która widziała wybiegającego stąd w pośpiechu mężczyznę, co wydało jej się podejrzane. Gdy przyjechaliśmy sprawdzić dom, zastaliśmy drzwi wejściowe szeroko otwarte i zapalone światła.

– Czy pani Leben była w środku?

– Nie.

– A wiecie, gdzie może być teraz?

– Nie. – Mulveck zdjął czapkę i nerwowo mierzwił palcami włosy. – Boże! – szepnął bardziej do siebie niż do Julia i Reese’a. A potem dodał: – Nie. Tu jej nie było. Ale zwłoki znaleźliśmy w jej sypialni.

Wchodząc za Mulveckiem do przytulnego wnętrza, Julio spytał:

– Rebecca Kliensad?

– Tak.

Mulveck poprowadził obu detektywów przez uroczy salon utrzymany w brzoskwiniowych, białych i ciemnoniebieskich barwach, ozdobiony mosiężnymi lampami.

– W jaki sposób zidentyfikowaliście ciało?

– Miała na szyi jeden z tych medalionów z informacjami na wypadek konieczności udzielenia pierwszej pomocy – wyjaśnił Mulveck. – Była uczulona na różne rzeczy, między innymi na penicylinę. Widział pan kiedyś taki medalion? Jest na nim imię, nazwisko, adres i opis choroby. A potem bardzo szybko dotarliśmy do was, bo wprowadziliśmy jej dane do komputera i okazało się, że poszukujecie jej w związku z zamordowaniem tej Hernandez z Santa Ana.

Komputerowy bank danych, służący komisariatom w całym okręgu do wymiany informacji, był w policji stosowany od niedawna. Stanowił naturalną konsekwencję rozwoju komputeryzacji. Dzięki niemu lokalne organy ścigania i biuro szeryfa oszczędzały cenne godziny, a nawet dni, i Julio nie po raz pierwszy dziękował losowi, że pozwolił mu być gliną w erze elektroniki.

– Czy kobietę zamordowano tutaj? – spytał Verdad, omijając tęgiego technika, który zbierał z mebli odciski palców.

– Nie – odpowiedział Mulveck. – Za mało tu krwi. – Szedł za Juliem i wciąż mierzwił sobie włosy. – Zabito ją gdzie indziej... i... i przywieziono tutaj.

– Po co?

– Zaraz pan zobaczy. Ale niech mnie cholera, jeśli odgadnie pan, co to ma znaczyć.

Zaintrygowany tym tajemniczym stwierdzeniem, Julio podążył w kierunku sypialni, a Mulveck za nim. Widok, który ukazał się jego oczom, przyprawił go o mdłości. Przez chwilę nie mógł oddychać.

– O kurwa! – stęknął stojący za nim Reese.

Po obu stronach małżeńskiego łóża paliły się dwie lampy, ale mimo to w rogach sypialni czały się

długie cienie. Dokładnie nad nim, oświetlone jasnymi snopami światła, wisało – przybite do ściany – ciało Rebecki Klienstad. Było zupełnie nagie. Przed śmiercią szeroko otworzyła usta i – jakby w przewidywaniu tego, co nieuchronne – oczy. Gwoździe wbito po jednym w każdą dłoń, w zgięcia rąk koło łokci i w stopy. Ponadto jeden wielki w gardło. Nie była to klasyczna pozycja ukrzyżowania choćby dlatego, że nogi były nieprzyzwoicie rozwarłe, ale zbliżona do niej.

Policyjny fotograf wciąż trząsał migawką w różnych ujęciach. Wraz z kolejnymi błyskami flesza martwa kobieta zdawała się poruszać, jakby chciała zerwać się z pęt, które przytwierdzały ją do ściany. Oczywiście, było to złudzenie.

Julio nigdy jeszcze nie widział czegoś równie okrutnego. Wyglądało na to, że dziewczynę ukrzyżowano nie – jakby mogło się wydawać – w ślepej furii, lecz z zimną krwią. Ponieważ z ran nie ciekła krew, należało sądzić, że kobieta była już martwa, kiedy ją tu przywieziono. Miała podcięte gardło, i to najwyraźniej stanowiło bezpośrednią przyczynę jej śmierci. Morderca, lub mordercy, musiał poświęcić sporo czasu na znalezienie gwoździ i młotka – które leżały teraz w kącie na podłodze – a następnie, by przyłożyć zwłoki do ściany, przytrzymać je i precyzyjnie wbić w nie ostre gwoździe. Przepuszczalnie głowa denatki opadała w dół, na piersi, a morderca chciał, żeby jej martwe oczy patrzyły prosto na drzwi od sypialni (w przerażającym powitaniu Rachael?), ponieważ przeciągnął pod brodą Rebecki drut, który następnie zaczepił o wbity z tyłu gwoździe. W ten sposób głowa już nie opadała. Wreszcie za pomocą taśmy samoprzylepnej podtrzymał jej powieki, by się nie zamknęły. Tak więc oczy trupa spoglądały – nie widząc – na każdego, kto wchodził do sypialni.

– Rozumiem – powiedział Julio.

– Tak – odezwał się wstrząśnięty Reese.

Mulveck zamrugał oczami, zdumiony. Kropelki potu błyszczały na jego pobladłym czole, niekoniecznie z powodu czerwcowego upału.

– Czy pan żartuje? Rozumie pan to... szaleństwo? Zna pan motyw tej zbrodni?

– Ernestina i Rebecca zostały zamordowane przede wszystkim dlatego, że zabójcy potrzebny był ich samochód. Ale potem, gdy spostrzegł, do kogo podobna jest ta mała Klienstad, tę drugą wyrzucił, ją zaś przywiózł tutaj. Miała stanowić memento – wyjaśnił Julio.

Mulveck znów przejechał nerwowo dłonią po czuprynie.

– Ale jeśli ten psychopata zamierzał zabić panią Leben, to dlaczego po prostu nie zaczął się na nią? Jeśli to ona stanowiła jego cel, to po co zostawiał... memento?

– Zabójca miał podstawy przypuszczać, że nie zastanie jej w domu. Może nawet wcześniej zadzwonił, by się upewnić – powiedział Julio.

Pamiętał, jak bardzo zdenerwowana była Rachael Leben, kiedy przesłuchiwał ją w kostnicy kilka godzin temu. Wyczuł, że coś ukrywa i że bardzo się boi. Był nawet tego pewien, a obecnie uzyskał jedynie potwierdzenie. Pani Leben zdawała sobie sprawę, że jej życie jest w niebezpieczeństwie.

Ale kogo się bała? Dlaczego nie zwróciła się o pomoc do policji? Co ukrywała?

Znów trzasnęła migawka i błysnął flesz.

Julio ciągnął dalej:

– Zabójca wiedział, że nie uda mu się od razu dostać pani Leben w swoje łapy. Chciał jednak, by zdała sobie sprawę, że rychło może się go spodziewać. Zabójca, lub zabójcy, zamierzał ją przestraszyć nie na żarty. Wystarczył jeden rzut oka na małą Klienstad, by wpaść na ten okrutny pomysł.

– Ale dlaczego? – dociekał Mulveck. – Nie rozumiem.

– Rebecca Klienstad wyglądała zmysłowo – powiedział Julio, wskazując na ukrzyżowaną kobietę. –

Tak samo wygląda Rachael Leben. Mają bardzo podobne figury.

– Także włosy w tym samym kolorze – uzupełnił Reese. – Miedzianym.

– Jak u Tycjana – dodał Julio. – I chociaż ta kobieta nie była tak ładna jak pani Leben, to jednak występuje między nimi zadziwiające podobieństwo, również jeśli chodzi o rysy twarzy.

Fotograf zrobił przerwę na założenie nowego filmu. Oficer Mulveck potrząsnął głową.

– Pozwólcie, że jakoś to wszystko uporządkuję sobie we łbie. A więc twierdzicie, że chodziło o to, żeby pani Leben – kiedy wróci do domu i zajrzy do sypialni – ujrzała tę ukrzyżowaną kobietę jako ostrzeżenie, iż to ją miał spotkać ten los. Czy tak?

– Myślę, że o to właśnie chodziło – potwierdził Julio.

– I ja tak sądzę – powiedział Reese.

– Jezus Maria! – wykrzyknął Mulveck. – Wyobrażacie sobie, panowie, jak bardzo, jak głęboko, jak straszliwie trzeba nienawidzić, by pragnąć czegoś takiego? Kimkolwiek jest zabójca, ciśnie się na usta pytanie: co takiego uczyniła mu pani Leben? Jakich ma ona wrogów?

– Bardzo niebezpiecznych – odrzekł Julio. – To wszystko, co wiem. I... jeśli nie znajdziemy jej szybko, nie znajdziemy jej żywej.

Znów błysnął flesz. Ciało na ścianie zdało się poruszyć. Jeszcze raz błysk flesza i trzask migawki. Błysk flesza i trzask migawki.

Opowieść o duchach

Kiedy pękła opona, Benny nie zwolnił. Przez chwilę zmagał się z kierownicą i przejechał jeszcze kilkadziesiąt metrów. Autem zarzuciło i zatrzęsło, lecz mimo defektu poddawało się woli prowadzącego.

Z tyłu nie pojawiły się już żadne światła reflektorów. Z ulicy, dwie przecznice za nimi, z której dopiero co wyskoczyli, nie wyłonił się na razie ścigający ich cadillac. Ale w każdej chwili mógł.

Ben rozglądał się desperacko w prawo i w lewo. Rachael zaczęła się zastanawiać, jakiej to znowu mysiej dziury szuka jej przyjaciel. Wreszcie znalazł: parterowy dom, którego ściany miały chropowatą fakturę, jakby pod betonem znajdowały się kawałki żwiru, odgradzony od sąsiadów taką samą ścianą wysokości prawie dwóch metrów. Na otaczającym go terenie o powierzchni nie większej niż ćwierć hektara rosło wiele drzew i krzewów, które najwyraźniej od dawna potrzebowały troskliwej ręki ogrodnika, oraz bujna, nie koszona trawa. Ustawiona przed frontowym wejściem tablica informowała: DO SPRZEDANIA.

– Eureka! – wykrzyknął Benny.

Skręcił na podjazd, przeciął na skos trawnik i przejechał wzdłuż ściany na tył domu. Tam zaparkował samochód w wybetonowanym patio, pod rozłożystą sekwoją. Zgasił światła i wyłączył silnik.

Spadła na nich ciemność.

Rozgrzana pokrywa silnika, stygnąc, wydawała ciche pyknięcia.

Ponieważ dom był nie zamieszkanym, nikt nie wyszedł sprawdzić, co się dzieje. Nie wszczęli również alarmu sąsiedzi, odgradzeni od posesji z jednej strony ścianą, a z drugiej – drzewami.

– Daj mi swój rewolwer – powiedział Benny.

Rachael wychyliła się z tylnego siedzenia i podała mu broń. Sarah Kiel patrzyła na nich i wciąż drżała, ciągle jeszcze się czegoś bała, ale nie była już w odrętwieniu. Wyglądało na to, że brawurowa ucieczka przed cadillakiem oderwała ją od strasznych wspomnień zaprzatających jej umysł.

Benny otworzył drzwiczki i zaczął wysiadać.

– Dokąd idziesz? – spytała Rachael.

– Chcę się upewnić, czy pojedą dalej i nie wrócą. Potem muszę znaleźć nowy samochód.

– Możemy przecież zmienić koło...

– Nie. Tę brykę zbyt łatwo wyśledzić. Potrzebny nam zwyczajny samochód.

– Ale skąd go weźmiesz?

– Ukradnę – powiedział Ben. – Siedź tu spokojnie, a ja postaram się wrócić jak najszybciej.

Zamknął delikatnie drzwiczki i pędem pognął wzdłuż ściany w kierunku ulicy. Skręcił za węgł i zniknął.

Kiedy tak przemykał, kuląc się i zerkając na boki, usłyszał w oddali chór wyjących syren. To zapewne radiowozy i karetki wciąż jeszcze zjeżdżające do miejsca na Palm Canyon Drive, gdzie ostrzelani z broni maszynowej policjanci stracili panowanie nad swym wozem i wjechali w witrynę sklepową.

Dotarłszy do frontowej ściany domu, Ben zauważył nadjeżdżającego cadillaca. Dał więc nura w zapuszczoną rabatę i ostrożnie rozchylił gałązki bujnych oleandrów. Z głową ukrytą pomiędzy różowymi kwiatami i trującymi jagodami obserwował z wolna posuwający się pojazd. Siedziało w nim trzech mężczyzn. Jednego widział nawet całkiem wyraźnie – tego na przednim siedzeniu. Miał łagodne rysy, cofniętą linię włosów, wąsy i drobne usta.

Oczywiście, wypatrywali czerwonego mercedesa i na pewno byli wystarczająco inteligentni, by

uwzględnić i taką możliwość, że Ben zjechał gdzieś na bok, ukrył się w jakimś zakamarku i czeka, aż przejadą. Modlił się, by na nie strzyżonym trawniku, który przeciął w drodze na tyły domu, nie zostały odciski kół. Liczył na to, że gęsta i elastyczna trawa, w dodatku – z powodu nieregularnego podlewania – upstrzona żółtobrazowymi plamami, skutecznie zamaskuje ślady opon. Ale przecież mężczyźni w cadillacu mogli być wytrawnymi łowcami, zdolnymi wytropić najmniejszy trop pozostawiony przez zwierzynę.

Ben czuł się dziwnie, kiedy tak kuczał wśród oleandrów, ubrany w spodnie od garnituru, kamizelkę, białą koszulę i krawat, teraz już nieco przekrzywiony. Co więcej, uświadomił sobie całą beznadziejność sytuacji. Bał się, że nie sprosta wyzwaniu, które miało nadejść. Zbyt długo pracował już jako pośrednik. W tym czasie stracił formę, im dłużej trwała ucieczka, tym bardziej był zmęczony. Miał trzydzieści siedem lat i ostatni raz uczestniczył w czymś takim jako dwudziestojednoletni chłopak. Teraz wydawało mu się to tak odległe jak mroki paleolitu, choć nadal był sprawny fizycznie, to jednak odczuwał już swój wiek. Oczywiście, Rachael zachwycała się sposobem w jaki załatwił człowieka nazwiskiem Vincent Baresco. Również jego wyczyny samochodowe musiały wywrzeć na niej wrażenie. Benny jednakże wiedział, że nie jest już tak szybki jak przed laty, a ci ludzie w cadillacu, jego bezimienni wrogowie, są śmiertelnie niebezpieczni.

Bał się.

Zastrzelili tamtych gliniarzy z łatwością, z jaką zgniata się nieżnośne muchy. Boże!

Jaką tajemnicę dzielili z Rachael? Co mogło być dla nich tak cholernie ważne, że zdolni byli zabić każdego, nawet policjantów, byle tylko sprawa nie wymknęła im się z rąk?

Jeśli przeżyję najbliższą godzinę, pomyślał, dowiem się od niej prawdy w ten czy inny sposób. Niech mnie diabli wezmą, jeśli pozwolę, żeby Rachael nadal odpowiadała mi wymijająco.

Cadillac przejechał wzdłuż domu, warkocząc i poskrzypując. Mężczyzna z wąsami przez chwilę patrzył prosto na Bena – przynajmniej tak to wyglądało. Spoglądał wprost między lekko rozchylone gałęzie oleandrów. Benny chciał się zasłonić, ale wiedział, że najmniejszy ruch w zaroślach może zwrócić ich uwagę. Tak więc odwzajemnił spojrzenie i czekał, aż cadillac zatrzyma się, mężczyźni otworzą drzwi i zaczną strzelać, dziurawiąc liście oleandrów tysiącami pocisków. Ale auto sunęło dalej, mijając dom bezpowrotnie. Patrząc na oddalające się światła, Ben wypuścił z płuc nagromadzone powietrze i wzdrygnął się.

Potem wynurzył się z zarośli i wyszedł na ulicę. Stał przy krawężniku w cieniu wysokiej jacarandy* [*Ozdobne drzewko o niebieskich lub fioletowych kwiatach (*przyp. tłum.*)] i tak długo wpatrywał się w cadillaca, aż ten, minąwszy dwie przecznice, wspiał się na niewielkie wzgórze i zniknął za nim.

Z oddali wciąż dobiegał jazgot syren, ale już znacznie słabszy. O ile przedtem brzmiały one groźnie, o tyle teraz – żałośnie.

Trzymając w opuszczonej dłoni pistolet Rachael, Benny ruszył truchtem w poszukiwaniu samochodu, który mógłby ukraść.

Tymczasem Rachael przesiadła się na siedzenie kierowcy. Było nie tylko wygodniejsze od ławeczki na bagaż, gdzie musiała siedzieć dotychczas, ale także umożliwiała lepszy kontakt z Sarah Kiel. Następnie zapaliła lampkę nad lusterkiem wstecznym, przekonana, iż dzięki grubej zasłonie drzew światelko nie będzie widoczne z ulicy. Błada księżycowa poświata padała na tablicę rozdzielczą, konsolę, twarz Rachael i nawiedzone oblicze Sarah.

Zmaltretowana dziewczyna wyszła wreszcie ze stanu odrętwienia i mogła odpowiadać na pytania.

Kiedy tak trzymała prawą rękę zgiętą i opartą na piersiach jak w geście obronnym, przypominała rannego ptaszka. Spod połamanych paznokci przestała lecieć krew, ale złamany palec wciąż jeszcze puchnął. Lewą dłonią delikatnie zbadła podbite oko, powiodła nią po policzku i pękniętej wardze. Co pewien czas krzywiła się z bólu i cichutko jęczała. Nie odzywała się, ale gdy jej wystraszone oczy napotkały spojrzenie Rachael, pojawił się w nich przeblysł światłości.

– Skarbie – odezwała się Rachael – już za kilka minut zawieziemy cię do szpitala, dobrze?

Dziewczyna skinęła głową.

– Sarah, czy domyślasz się, kim jestem?

Pokręciła przecząco głową.

– Nazywam się Rachael Leben. Byłam żoną Erica. W oczach nastolatki pojawił się blady strach.

– Nie bój się, mała. Jestem po twojej stronie. Możesz mi wierzyć. Właśnie rozwodziłam się z Erikiem. Wiedziałam wszystko o jego przygodach z małolatami, ale nie dlatego postanowiłam odejść od niego. On był po prostu nienormalny. Pokręcony. A do tego cham. Najpierw lekceważyłam go, a potem zaczęłam się bać. Możesz więc ze mną mówić otwarcie. Masz we mnie przyjaciółkę. Rozumiesz?

Sarah skinęła głową.

Rachael zamilkła, by rozejrzeć się wokół. Z jednej strony miała widok na puste, ciemne okna oraz drzwi na patio, z drugiej zaś – na dziko rosnące drzewa i krzewy przy domu. W samochodzie robiło się coraz bardziej duszno i należałoby otworzyć okno, ale Rachael wołała, by wszystkie pozostały zamknięte. Tak czuła się bezpieczniej. Z tego też powodu zablokowała drzwi od środka.

Potem znów zwróciła się do dziewczyny.

– Powiedz mi, co się stało, mała. Opowiedz o wszystkim – poprosiła.

Sarah chciała coś powiedzieć, ale głos jej się załamał, a ciałem wstrząsnęły dreszcze.

– Spokojnie – rzekła Rachael. – Teraz już jesteś bezpieczna. – Miała nadzieję, że to prawda. – Naprawdę jesteś bezpieczna. Kto cię tak załatwił?

W zimnym świetle palącej się nad wstecznym lustrem żaróweczki twarz Sarah była blada jak ściana. Dziewczyna przełknęła ślinę i westchnęła.

– Eric To b...b...był Eric.

Rachael wiedziała, że taka właśnie będzie odpowiedź, a jednak gdy ją usłyszała, coś zmroziło ją do szpiku kości i na chwilę odebrało jej mowę. Wreszcie odezwała się.

– Kiedy? Kiedy to się stało?

– To było... pół godziny po północy.

– Wielkie nieba! My przyjechaliśmy w niecałą godzinę później. Eric musiał zmyć się tuż przed nami.

Od czasu kiedy opuściła kostnicę, Rachael wciąż miała nadzieję, że zdoła dogonić Erica. Powinna więc teraz odczuć zadowolenie, że depczą mu po piętach. Ale tylko serce zabiło jej mocniej ze strachu, a w piersi zabrakło tchu. W tę ciepłą pustynną noc minęli się w czasie o kilkanaście zaledwie minut...

– Zadzwoił do drzwi, otworzyłam, a wtedy on... on mnie zaczął bić. – Sarah ostrożnie dotknęła podbitego oka, które tak już spuchło, że dziewczyna prawie na nie nie widziała. – Upadłam na ziemię, a on kopnął mnie dwa razy w nogi...

Rachael przypomniała sobie brzydkie sińce na udach Sarah.

– ...zaczął ciągnąć za włosy...

Rachael ujęła lewą dłoń dziewczyny i przytrzymała.

– ...zawłókł mnie do łazienki...

– Mów dalej – poprosiła Rachael.
– ...potem zerwał ze mnie piżamę i znów zaczął szarpać mnie za włosy i bić... bić... walić pięściami...
– Czy przedtem też cię bijał?
– N...n...nie. To znaczy... parę razy trzepnął mnie. Ale to były drobne sprzeczki. To wszystko. A teraz... zachowywał się jak dzika bestia... I pałał straszną nienawiścią.

– Czy coś mówił?
– Niewiele. Wyzywał mnie. Oczywiście, bardzo brzydko mnie wyzywał. A jego głos był taki... śmieszny, bełkotliwy...

- Jak wyglądał?
- O Boże...
- Opowiedz, proszę.
- Nie miał paru zębów. I cały był posiniaczony. Wyglądał okropnie.
- Co chcesz przez to powiedzieć?
- Miał szarą skórę.
- A jego głowa...?

Sarah zacisnęła palce wokół dłoni Rachael.

– Miał zupełnie szarą twarz... szarą jak popiół.
– A co z jego głową? – dopytywała się kobieta.
– Na głowie miał włóczkową czapkę podobną do narciarskiej. Nasunął ją głęboko na uszy. Kiedy zaczął mnie bić, a ja próbowałam się bronić... czapka mu spadła.

Rachael czekała w milczeniu.

Powietrze w samochodzie było już zupełnie gęste i do tego przesiąknięte kwaśnym zapachem potu dziewczyny.

– Jego głowa... była cała strzaskana – wyrzuciła z siebie Sarah, w jej głosie wyczuwało się przerażenie i odrazę.

- A czaszka? – dociskała Rachael. – Czy widziałaś jego czaszkę?
- Zmiażdżona, pełna dziur... To był straszny, straszny widok.
- A jego oczy? Jak wyglądały jego oczy?

Sarah chciała odpowiedzieć, ale głos znów uwiązał jej w gardle. Spuściła głowę i na chwilę zamknęła powieki. Usiłowała nie stracić nad sobą panowania.

Nagle Rachael ogarnęło jakieś irracjonalne, ale całkiem zrozumiałe podejrzenie. Zdawało jej się, że ktoś – lub coś – potajemnie skrada się do samochodu. Znów utkwiała spojrzenie w mroku nocy. Miała wrażenie, że to coś rozpełza się po karoserii auta i próbuje przecisnąć przez szczeliny przy oknach.

Kiedy skatowana dziewczyna ponownie uniosła głowę, Rachael powtórzyła prośbę:

– Kochanie, opowiedz mi, jak wyglądały jego oczy.
– Były dziwne. Obłąkane. Jak gdyby przedawkował jakieś prochy... Rozumie pani? I jeszcze takie... matowe.

– Miał zamglone spojrzenie?
– Tak.
– A jego ruchy? Czy w jego ruchach zauważyłaś coś dziwnego?
– Chwilami rzucało nim na boki, jakby nie mógł kontrolować swoich ruchów. Ale przez cały czas był raczej sprawny i szybki, szybszy ode mnie.
– Zauważyłaś, że mówił bełkotliwie.

– Tak. Chwilami gadał bez ładu i składu. A parę razy przestał mnie bić i tylko stał, kołyszając się w tył i przód. Wyglądał tak, jakby zastanawiał się nad czymś, jakby... nie potrafił sobie przypomnieć, gdzie się znajduje, jakby w ogóle zapomniał o mojej obecności.

Rachael spostrzegła, że drży nie mniej niż Sarah i że ściska dłoń dziewczyny z taką samą mocą, z jaką nastolatka zacisnęła palce na jej ręce.

– A jego dotyk? – dopytywała się Rachael. – Co czułaś w zetknięciu z jego ciałem?

– Przecież nie musi mnie pani pytać. Zdaje się, że zna pani odpowiedź. Prawda? – rzekła dziewczyna.

– Chyba nie mylę się... Pani już w jakiś sposób wie...

– Ale mimo wszystko powiedz mi.

– Jego ciało było zimne. Bardzo zimne.

– Wilgotne czy suche?

– Wilgotne... ale to nie był pot...

– ...lecz mąż? – dokończyła Rachael.

Wspomnienie to okazało się dla Sarah tak żywe, że nie mogła wydobyć z siebie słowa i tylko skinęła głową potakująco.

W pierwszej, bardzo wczesnej fazie gnicia ciało pokrywa się cieniutką warstwą mazistej substancji, pomyślała Rachael, ale strach nie pozwolił jej wypowiedzieć tego na głos.

Po chwili Sarah odezwała się ponownie:

– Oglądałam wieczorne wiadomości o jedenastej i wtedy dowiedziałam się, że zginął, że rano przejechała go ciężarówka. Zastanawiałam się nawet, ile czasu minie, zanim ktoś przyjdzie i wyrzuci mnie z tamtego domu. Rozmyślałam nad tym, co wtedy zrobię, dokąd się udam. A w niecałe półtorej godziny od chwili, gdy obejrzałam w telewizji reportaż z miejsca wypadku, w drzwiach pojawił się Eric. Najpierw pomyślałam, że dziennikarze musieli coś pomylić, ale już po chwili... o Boże!... po chwili wiedziałam, że to wszystko prawda. On naprawdę był trupem!

– Tak.

Dziewczyna delikatnie oblizwała pękniętą wargę.

– Ale przecież...

– Tak.

– ...jakoś się tam dostał.

– Tak – powiedziała Rachael. – Jakoś się tam dostał. Właściwie to on cały czas chce się do nas dostać. Nie dostał się jeszcze na dobre i prawdopodobnie nigdy mu się to nie uda.

– Ale jak...

– Nieważne. Nie powinnaś wiedzieć jak.

– Kim więc...

– Nie powinnaś wiedzieć, kim była ta postać. Uwierz mi, że nie powinnaś. Nie zniosłabyś tej wiedzy. Posłuchaj, skarbie, uważnie tego, co ci powiem, i weź sobie do serca wszystko, co usłyszysz. Przed nikim nie możesz się zdradzić, co widziałas. Absolutnie przed nikim. Rozumiesz? Jeśli nie posłuchasz, znajdziesz się w strasliwym niebezpieczeństwie. Pewni ludzie zabijają każdego, kto ujawni się z tym, że wie coś o zmartwychwstaniu Erica. Tu chodzi o rzeczy, których nie potrafiłabyś sobie nawet wyobrazić. Ci ludzie gotowi są na wszystko, by tylko utrzymać to w tajemnicy.

Dziewczyźnie wyrwał się ponury, sardoniczny, nie całkiem zdrowy śmiech.

– A komu miałabym coś takiego mówić? Przecież nikt by mi nie uwierzył!

– No właśnie – przyznała Rachael.

– Każdy by pomyślał, że zwariowałam. To wszystko to obłąd, takie rzeczy są przecież niemożliwe!

Głos Sarah zaczął słabnąć, na powrót pojawił się w nim strach. Było jasne, że to, co przeżyła tej nocy, zupełnie zmieniło jej życie. Może na lepsze, może na gorsze, ale na pewno nie była już tym samym co przedtem człowiekiem. I zapewne przez długi czas, albo nawet do końca życia, będzie się bać zasnąć w obawie przed tym, co może jej się przyśnić.

– W porządku – powiedziała Rachael. – Teraz zawieziemy cię do szpitala, a ja pokryję wszystkie koszty. Potem dam ci jeszcze czek na dziesięć tysięcy dolarów. Mam nadzieję, że nie zmarnujesz tych pieniędzy na narkotyki. A jeśli chcesz, to zadzwonię też do twoich rodziców w Kansas i poproszę, żeby przyjechali po ciebie.

– To... to by było niezłe.

– Dobrze. Myślę, że bardzo dobrze, skarbie. Jestem pewna, że martwią się o ciebie.

– Wie pani co... Eric zabiłby mnie. On na pewno chciał to zrobić. Zabić mnie. Może nie mnie jako mnie, ale po prostu kogoś. On był wtedy ogarnięty żądzą zabijania, miał ją we krwi. A ja znajdowałam się pod ręką. Rozumie pani? Pod ręką.

– Jak ci się udało przed nim uciec?

– Hmm... W pewnym momencie jakby wyłączył się na parę minut. Już pani mówiłam, że chwilami zastanawiał się nad czymś. Otóż w pewnym momencie jego oczy zaszyły mgłą jeszcze bardziej niż wcześniej i zaczął wydawać z siebie to śmieszne charczenie. Odwrócił się ode mnie i rozejrzał dookoła... Jakby naprawdę coś mu się pokreśliło i był... rozumie pani, zakłopotany. Wyglądało też na to, że słabnie. Oparł się bowiem o ścianę przy drzwiach do łazienki i opuścił głowę.

Rachael przypomniała sobie krwawy odcisk dłoni na ścianie w łazience, tuż koło drzwi.

– I właśnie wtedy – ciągnęła Sarah – gdy on znajdował się w tym stanie... pomieszania, ja leżałam straszliwie poturbowana na podłodze i prawie nie mogłam się ruszyć. Wreszcie udało mi się doczołgać do kabiny prysznicowej. Byłam pewna, że gdy tylko dojdzie do siebie, odnajdzie mnie tam. Rozumie pani? Ale tak się nie stało. Zupełnie jakby o mnie zapomniał. Doszedł do siebie i albo nie pamiętał, że jeszcze przed chwilą byłam w tym samym pomieszczeniu, albo nie wiedział, gdzie zniknęłam. Po jakimś czasie usłyszałam, że chodzi po domu, niszczy wszystko, traktuje...

– Kuchnię zdemolował doszczętnie – powiedziała Rachael, a w ciemnym zaułku jej pamięci pojawił się obraz noży głęboko wbitych w ścianę.

Ze zdrowego oka Sarah popłynęła łza, a po chwili następna – z drugiego, spuchniętego.

– Nie potrafię zrozumieć...

– Czego? – spytała Rachael.

– Dlaczego mnie tak potraktował.

– Zapewne nie chodziło mu specjalnie o ciebie – wyjaśniła Rachael. – Jeśli w domu był sejf, na pewno chciał wziąć z niego pieniądze. Ale przede wszystkim... myślę, że potrzebne mu było miejsce, gdzie mógłby się zaszyć na czas... rozwoju procesu. I kiedy po chwili zamroczenia doszedł do siebie i spostrzegł, że cię nie ma, zapewne pomyślał sobie, że pobiegłaś wezwać pomoc. Dlatego czym prędzej się oddalił.

– Na pewno do domku.

– Jakiego domku?

– Nie zna pani jego domku w górach nad jeziorem Arrowhead?

– Nie – odrzekła Rachael.

– On nie znajduje się dokładnie nad samym jeziorem, lecz wyżej, na stoku. Zabrał mnie tam kiedyś.

Należy do niego kilka hektarów lasu i ten miły domek...

Ktoś zastukał w szybę. Obie kobiety krzyknęły przestraszone.

To był tylko Benny. Otworzył drzwiczki od strony Rachael i powiedział:

– Wychodź. Zdobyłem dla nas nowe cztery kółka. Szary subaru – nie będzie się tak cholernie rzucał w oczy jak ta bryka.

Rachael znieruchomiała, wstrzymując oddech i starając się opanować przyspieszone bicie serca. Poczula się tak, jak gdyby obie z Sarah były dziewczynkami, które siedzą przy ognisku, opowiadając sobie historie o duchach, żeby straszyć się wzajemnie. I faktycznie udało im się to. Niewiarygodne, ale przez chwilę Rachael była przekonana, że w szybę mercedesa puka suchy palec kościotrupa.

Sharp

Julio nie darzył sympatią Ansona Sharpa już od pierwszej chwili, kiedy go zobaczył. Z minuty na minutę jego niechęć do tego człowieka rosła.

Sharp wszedł do domu Rachael Leben w Placentia dumnym krokiem i zadzierając nosa, jakby na widok legitymacji DSA* [*DSA (Defence Security Agency) – fikcyjna agencja bezpieczeństwa państwowego (*przyp. tłum.*)] wszyscy zwyczajni policjanci mieli padać na kolana i składać hołd agentowi federalnemu tak wysokiego szczebla. Rzucił okiem na ukrzyżowaną na ścianie Becky Klienstad, pokręcił głową i rzekł:

– Przykre. To była niezła lalunia, prawda?

Z apodyktyczną werwą, nastawioną na obrażanie ludzi, butnie stwierdził, że zabójstwa dokonane na pannach Hernandez oraz Klienstad są częścią niezwykle delikatnej sprawy prowadzonej na szczeblu centralnym. Przyczyn nie może – albo nie chce – wyjawić, oznajmia jedynie, że lokalna policja zostaje z niej wyłączona. Następnie zadawał pytania i żądał na nie odpowiedzi, sam zaś nie wyjaśniał nic. Był to wysoki mężczyzna, wyższy niż Reese, o klatce piersiowej i ramionach, które sprawiały wrażenie, jakby zostały wyciosane z olbrzymich bel drewna. Kark tego człowieka grubością nie ustępował przekrojowi czaszki. W przeciwieństwie do Reese'a, Sharpa bawiło wykorzystywanie swych rozmiarów do upokarzania ludzi. Miał nawet zwyczaj stawania bardzo blisko drugiego człowieka, kiedy do niego mówił, świadomie naruszając obszar jego prywatności. Górował wtedy nad swym rozmówcą i patrzył na niego z wysoka, uśmiechając się dwuznacznie, czym oczywiście denerwował przeciwnika. Twarz miał przystojną – i zdawał się pysnić z tego powodu – okoloną modnie przystrzyżonymi blond włosami. Jego jasne jak klejnoty zielone oczy mówiły: „Jestem lepszy od was, mądrzejszy od was, sprytniejszy od was i nikt nie będzie lepszy ode mnie”.

Sharp nakazał Orinowi Mulveckowi oraz pozostałym oficerom policji w Placentia, żeby opuścili posiadłość pani Leben i natychmiast odstąpili od prowadzenia niniejszej sprawy.

– Wszystkie zebrane przez panów dowody rzeczowe, zrobione na miejscu zdjęcia i notatki mają być natychmiast przekazane mojej ekipie. Proszę zostawić nam do pełnej dyspozycji dwóch funkcjonariuszy z radiowozem. Niech czekają na nas przed domem – oznajmił.

Oczywiście, Orin Mulveck nie był z powodu obecności Sharpa szczęśliwszy niż Julio i Reese. Mulveck i jego ludzie zostali zredukowani do roli chłopców na posyłki szanownego pana agenta federalnego. Nie podobało się to żadnemu z nich. Poczuliby się znacznie mniej obrażeni, gdyby Sharp zachował się wobec nich z większym taktem... Cholera, gdyby Sharp w ogóle okazał choć odrobinę taktu!

– Pańskie polecenia muszę skonsultować z moim szefem – powiedział Mulveck.

– Proszę bardzo – odrzekł Sharp. – A tymczasem niech pan zabierze stąd swoich ludzi. I zabraniam panom komukolwiek opowiadać o tym, coście tu widzieli. Jasne?

– Skonsultuję to ze swoim szefem – powtórzył Mulveck.

Twarz poczerwieniała mu, a gdy odchodził, poczuł na skroniach pulsowanie.

Razem z Sharpem przyjechało dwóch mężczyzn w ciemnych garniturach. Żaden z nich nie był tak dobrze zbudowany jak ich przełożony, ale obaj zachowywali się z nie mniejszą pewnością siebie i chłodem. Stali w sypialni po obu stronach otwartych drzwi, niczym strażnicy, i wpatrywali się w Julia i Reese'a z nie ukrywaną podejrzliwością.

Julio nigdy przedtem nie miał do czynienia z ludźmi DSA. Czasami pracował z agentami FBI, ale tamci byli zupełnie inni i zachowaniem bardziej przypominali policjantów. Ci zaś obnosili się ze swoim

elitaryzmem, jakby inni ludzie byli gorsi.

– Wiem, kim jesteście, panowie – powiedział Sharp do Julia i Reese’a – i jaką macie opinię. Jesteście wytrwali w tropieniu przestępców niczym psy myśliwskie. Nigdy nie pozostawiacie nie dokończonych spraw. To godne uznania. Ale nie w tym wypadku. Przykro mi, ale musicie zacisnąć zęby i odmaszerować. To wszystko, co mam panom do powiedzenia. Czy się rozumiemy?

– Właściwie to nasza sprawa – zaczął sztywno Verdad. – Zaczęła się na naszym terenie i my odebraliśmy pierwszy telefon.

Sharp zmarszczył brwi.

– Powiedziałem, że dla was ta sprawa jest zakończona. Macie się wynosić. Jeśli zaś chodzi o wasz wydział, to nie ma już w nim papierów, które upoważniałyby was do prowadzenia śledztwa. Wszystkie dokumenty dotyczące Hernandez, Kliensad i Lebena zostały przekazane nam. U was nie ma po nich śladu. Teraz my się wszystkim zajmujemy, w tej chwili właśnie jedzie tu z Los Angeles ekipa naszych specjalistów. Wasza pomoc nie jest nam potrzebna w żadnym zakresie. *Comprende, amigo?* Słuchajcie, poruczniku Verdad, nie macie tu czego szukać. Jeśli mi pan nie wierzy, proszę sprawdzić to u przełożonych.

– Nie podoba mi się pańskie zachowanie – powiedział Julio.

– Wcale nie musi się panu podobać – odparł Sharp.

Julio ujechał tylko dwie przecznice od domu Rachael Leben, kiedy musiał skrócić do krawężnika i zatrzymać się. Gwałtownie przełożył rączkę automatycznej skrzyni biegów do pozycji parkowania i krzyknął:

– Cholera! Ten Sharp zadziera nosa, jakby był prezydentem jeszcze trochę, a będzie wymagał, żeby go podcierać!

Reese w ciągu dziesięciu lat pracy z Juliem nigdy nie widział, żeby jego partner był tak zdenerwowany, wprost opętany złością, jak teraz. Jego oczy pałały nienawiścią do agenta DSA. Na prawym policzku Verdada pojawił się nerwowy tik i naraz zaczęła mu drgać cała połowa twarzy. Julio zacisnął szczęki, aż na szyi wystąpiły żyły. Sprawiał wrażenie, jakby miał ochotę kogoś rozedrzeć. Reese pomyślał, że gdyby Julio był postacią z filmów rysunkowych, to w tej chwili z uszu buchałyby mu obłoki dymu.

– To sukinsyn – przyznał Hagerstrom. – Ale sukinsyn, który ma władzę i układy.

– Zachowuje się jakby był w oddziale szturmowym.

– Myślę, że na tym polega jego praca.

– Ale on teraz wykonuje naszą pracę.

– Daj spokój – uspokajał Reese.

– Nie mogę.

– Daj spokój.

Julio pokręcił głową.

– Nie. To szczególna sprawa. Czuję się zobowiązany wobec tej młodej Hernandez. Nie prosz bym ci to bliżej wyjaśnić. Chyba na starość robię się sentymentalny. W końcu, gdyby to była zwykła sprawa, zabójstwo jak większość innych, dałbym spokój bez wahania. Naprawdę. Ale to jest sprawa szczególna.

Reese westchnął. Prawie każda sprawa była dla Julia szczególna. Ten niewysoki, mały jak na policjanta, mężczyzna był wyjątkowo zaangażowany w swoją pracę. Zawsze w sytuacjach, gdy inny detektyw już dawno by się poddał, znajdował wytłumaczenie dla swego uporu w badaniu sprawy. Gdy w powszechnej opinii była już ona beznadziejna albo zanadto się ciągnęła i można było spokojnie

przerzucić się na następną, Julio mawiał: „Reese, mam specjalne zobowiązanie wobec ofiary. Był taki młody, jeszcze nie zaznał życia, to nie fair. Nie mogę tego tak zostawić”. A czasami uzasadniał: „Reese, to dla mnie sprawa osobista, szczególna sprawa. Ofiarą był starszy, bezbronny człowiek. Jeśli nie będziemy się starannie zajmować bezpieczeństwem staruszków, to będzie znaczyło, że żyjemy w chorym społeczeństwie. Nie mogę tego tak zostawić, Reese”. Kiedy indziej sprawa była dla Julia szczególna, bo ofiara odznaczała się wyjątkową urodą i uważał, że to niesprawiedliwe, by taka piękność odchodziła ze świata, a jej zabójca pozostawał na wolności. Nie mógł więc tego tak zostawić. Podobnie jak nie potrafił zostawić nie rozwiązanej sprawy zabójstwa kogoś bardzo brzydkiego, jakby śmierć była dodatkowym pokrzywdzeniem przez życie, z czym Julio też nie mógł się pogodzić. Reese podejrzewał, że tym razem Julio miał szczególne zobowiązania wobec ofiary, gdyż jej imię kojarzyło mu się z imieniem tragicznie zmarłego małego braciszka. Ażeby wywołać u Julia stan żarliwego zaangażowania, nie trzeba było wiele. Rzecz bowiem w tym, że miał on olbrzymi zasób współczucia i zrozumienia dla drugiego człowieka, co jemu samemu groziło utonięciem w ludzkich problemach.

Siedząc sztywno za kierownicą i lekko acz zdecydowanie uderzając się po udzie zaciśniętą pięścią, Julio powiedział:

– Nie ma wątpliwości co do tego, że sprawa porwania ciała Erica Lebena wiąże się z zabójstwem tych kobiet. Ale jak? Czy ludzie, którzy ukradli jego zwłoki, zabili Ernestinę i Becky? A jeśli tak, to po co? Dlaczego ukrzyżowali Becky na ścianie w sypialni pani Leben? To się nie trzyma kupy!

– Daj spokój – odezwał się Reese.

– A gdzie jest pani Leben? Co ona o tym wie? Musi coś wiedzieć. Gdy ją przesłuchiwałem, wydawało mi się, że coś ukrywa.

– Daj spokój.

– I dlaczego zajmuje się tym Anson Sharp i ta jego pieprzona agencja?

– Daj spokój – powtórzył Reese niczym zdarta płyta, choć wiedział, że nie uda mu się nakłonić partnera do ustępstw. Jednakże próbował. Tak było zawsze. Reese miałby wrażenie, że nie odegrał właściwie swej roli, gdyby nie powtarzał stosownych kwestii.

– Ta sprawa z pewnością wiąże się z pracami, które kompania Lebena wykonuje dla rządu. Zdaje się, że to jakieś kontrakty wojskowe.

– Nie zamierzasz wycofać się ze sprawy, prawda?

– Mówiłem ci, Reese, że wobec tej biednej dziewczyny mam szczególne zobowiązanie.

– Nie martw się, oni też znajdą jej zabójcę.

– Kto? Sharp? My mamy na nim polegać? To dupek. Czy widziałeś, jak on się ubiera? – Julio, oczywiście, zawsze ubrany był bez zarzutu. – Miał za krótkie rękawy marynarki, chyba ze dwa centymetry, i należałoby odwinąć mankiety. Do tego rzadko czyści buty. Wyglądają, jakby grał w nich w piłkę. Jak on ma znaleźć zabójcę, jeśli nawet nie potrafi utrzymać w czystości własnych butów?

– Mam swoje zdanie na ten temat, Julio. Jeżeli nie przestaniemy zajmować się tą sprawą, oni nas oskalpują.

– Nie mogę tego tak zostawić – powiedział Julio z przekonaniem. – Poprowadzę tę sprawę do końca. Ty, jeśli chcesz, możesz się wyłączyć.

– Zostanę z tobą.

– Nie nalegam.

– Zostanę – powtórzył Reese.

– Nie musisz robić nic na siłę.

– Powiedziałem, że zostaję z tobą.

Przed pięcioma laty w akcie z niczym nieporównywalnej odwagi Julio Verdad uratował życie Esther Susanne Hagerstrom, córce i jedynemu dziecku Reese'a. Miała wtedy cztery latka i była małą, bezradną dziewczynką. W świecie, według Reese'a, wszystko odbywało się na chwałę Esther Susanne: zmiany pór roku, wschody i zachody słońca, przyływy i odpływy oceanu. Dziecko było centrum, granicą i osią jego życia. I niewiele brakowało, a byłby ją stracił, gdyby nie Julio. Zabił jednego z napastników i bardzo poważnie ranił dwóch pozostałych. Wybawił dziecko ze śmiertelnego zagrożenia. Teraz więc Reese prędzej by zrezygnował ze spadku w wysokości miliona dolarów, niż opuścił swego partnera.

– Dam sobie radę sam – powiedział Julio. – Naprawdę.

– Czyżbyś nie słyszał tego, co powiedziałem?

– Ale to grozi dyscyplinarnym zawieszeniem.

– Trudno.

– I może oznaczać pożegnanie z awansem.

– Trudno.

– Mimo to zostajesz ze mną?

– Tak.

– Naprawdę?

– Tak.

Julio wrzucił bieg, skręcił na środek ulicy i ruszył w stronę Placencia.

– Dobrze, obaj jesteśmy trochę wypompowani i potrzebujemy wypoczynku. Podwożę cię do domu, żebyś przespał się kilka godzin, i potem przyjadę po ciebie o dziesiątej rano.

– A ty co będziesz robił przez ten czas?

– Może sam spróbuję zmrużyć oczy – odparł Julio.

Reese mieszkał wraz z siostrą Agnes i Esther Susanne w Orange, na East Adams Avenue, w przyjemnym domu, który w wolnych chwilach sam gruntownie przebudował. Julio zaś miał mieszkanie w Santa Ana, w atrakcyjnym kompleksie zbudowanym w nowoczesnym stylu hiszpańskim. Znajdował się on tylko ulicę dalej od Fourth Street, trasy wyjazdowej w kierunku wschodnim.

Obaj musieli teraz położyć się do zimnych i pustych łóżek. Żona Julia umarła przed siedmioma laty na raka. Żona Reese'a, a matka Esther, zginęła w strzelaninie, w której o mało nie straciła życia także jego córka. Był już wdowcem pięć lat, o dwa lata krócej niż Julio.

– A jeśli nie będziesz mógł spać? – spytał Reese, gdy wyjechali już na autostradę numer pięćdziesiąt siedem i zmierzali w kierunku Orange oraz Santa Ana.

– Wtedy pójde do biura, rozejrzę się, wypytam, co kto wie o tym Sharpie i dlaczego tak mu zależy na prowadzeniu naszej sprawy. Może też dowiem się czegoś o doktorze Ericu Lebenie?

– A co będziemy robić po dziesiątej?

– Jeszcze nie wiem – odparł Julio. – Ale do tego czasu coś wymyślę.

Odkrycia

Ukradzionym szarym subaru Rachael i Benny zawieźli Sarah Kiel do szpitala. Rachael poprosiła, żeby rachunki przesłano pod jej adres, zostawiła dziewczynie czek na dziesięć tysięcy dolarów, zadzwoniła do rodziców Sarah w Kansas, po czym wraz z Benem opuściła szpital. Ruszyli na poszukiwanie miejsca, w którym mogliby spędzić resztę nocy.

O wpół do czwartej nad ranem, kiedy byli już kompletnie wyczerpani i kleiły im się oczy, znaleźli przy Palm Canyon Drive spory motel z całodobową recepcją. Dostali pokój z pomarańczowo-białymi zasłonami, od których Benny nabawił się oczopląsu, Rachael zaś zauważyła, że wzorki na pościeli nie różnią się od wymiocin tybetańskiego byka. Na szczęście prysznic i klimatyzacja działały, oba wielkie łóżka miały miękkie materace, a pokój znajdował się w bocznym skrzydle kompleksu, z dala od ulicy. Nie był więc aż taki straszny. Mogli zatem liczyć na spokojny odpoczynek, nawet gdy rankiem miasto zbudzi się do życia.

Benny zostawił Rachael w motelu, a sam odprowadził skradzione auto boczną uliczką za kompleksem hotelowym aż na parking przy supermarkecie, oddalony o kilka ulic. Wrócił na piechotę po dziesięciu minutach. Zarówno wychodząc, jak i wracając, użył drzwi przeciwpożarowych, aby nie przechodzić koło recepcji i nie wzbudzać ciekawości portiera. Jutro wypożyczą na dłużej samochód, nie będą więc musieli już się spieszyć.

W czasie nieobecności Bena Rachael przyniosła z automatu napoje i kostki lodu. Teraz na stoliku przy oknie stał plastikowy kubeczek wypełniony lodem oraz puszki z piwem bezalkoholowym, oranżadą, a także dietetyczną i zwyczajną coca-colą.

– Pomyślałam sobie, że możesz być spragniony – wyjaśniła, gdy wrócił.

Nagle Ben zdał sobie sprawę, że znajdowali się w samym środku pustyni i że jechali w upale parę ładnych godzin. Podszedł do stolika, otworzył puszkę oranżady i wypił ją dwoma łykami. W prawie nie zmienionym tempie pochłonął piwo i dopiero wtedy usiadł. Po chwili w pokoju rozległ się syk otwieranej przezeń puszkę dietetycznej coli.

– I to jeszcze jak! Dziwię się, że wielbłądy tyle wytrzymują!

Rachael usiadła ciężko, jakby czymś przytłoczona, po drugiej stronie stolika, otworzyła colę i rzekła:

– No i...?

– No i co?

– Nie zamierzasz już pytać?

Benny ziewnął. Nie chciał jej obrazić ani zdenerwować, ale po prostu w tej chwili bardziej zależało mu na tym, żeby się przespać, niż dowiedzieć prawdy.

– O co?

– O to, o co pytałeś przez całą noc.

– Dałaś mi wyraźnie do zrozumienia, że nie otrzymam żadnych odpowiedzi.

– Teraz otrzymasz. Teraz i tak już nie ma innego wyjścia.

Spojrzała na niego z takim smutkiem, że przeniknęło go lodowate przecucie śmierci aż do szpiku kości. Zastanowił się, czy nie było głupie z jego strony pakować się w coś takiego, nawet jeśli miał pomóc kobiecie, którą kochał. Patrzyła na niego, jakby już był martwy, jakby oboje byli już martwi.

– Skoro jesteś gotowa wszystko powiedzieć – odezwał się – to nie muszę pytać.

– Tylko zachowaj spokój i rozsądek. To, co usłyszysz, może ci się wydać niewiarygodne... przedziwne...

Benny łyknął dietetycznej coli i spytał:

– Masz na myśli śmierć Erica i jego powrót?

Rachael aż podskoczyła ze zdziwienia i – otwierając szeroko oczy – chciała coś rzec, lecz głos uwiązł jej w gardle.

Ben jeszcze nigdy w życiu nie wywołał u nikogo takiego osłupienia i bardzo mu się to spodobało.

Wreszcie Rachael wyjąkała:

– Ale... skąd... kiedy się... co...

– Skąd wiem to, co wiem? Kiedy się domyśliłem? Co mnie naprowadziło...?

Przytaknęła ruchem głowy.

– Cholera – powiedział Benny. – Jeśli ktoś chciałby ukraść ciało Erica, to na pewno przyjechałby do kostnicy własnym samochodem, by móc je zabrać, i nie zabijałby żadnej kobiety dla jej auta. No i te pomięte ubrania szpitalne w garażu w Villa Park. Poza tym wczoraj wieczorem, kiedy do ciebie przyjechałem, zauważyłem, że jesteś śmiertelnie wystraszona, a nie lękasz się byle czego. Jesteś bardzo pewną siebie, rzeczową kobietą, która nie ulega nastrojom. W gruncie rzeczy nigdy jeszcze nie widziałem, żebyś tak się czegoś bała, chyba że... Erica.

– On naprawdę zginął, przejechany przez śmieciarkę, wiesz przecież. To nieprawda, że źle postawiono diagnozę.

Pragnienie snu nieco osłabło i Benny rzekł:

– Eric był geniuszem, jeśli chodzi o inżynierię genetyczną. Na tym przecież zbił majątek. Miał obsesję na punkcie zachowania młodości. Domyślam się, że odkrył sposób eliminowania genów odpowiedzialnych za starzenie się, prowadzących do śmierci organizmu. Albo też wyprodukował sztuczny gen szybkiego zdrowienia, powstrzymujący rozpad komórek i dający... nieśmiertelność.

– Wciąż mnie zadziwiasz – powiedziała Rachael.

– Taki już jestem.

Zmęczenie Rachael ustąpiło nerwowemu podnieceniu. Nie mogła zachować spokoju. Wstała i zaczęła przechadzać się po pokoju.

Benny wciąż siedział i pił colę drobnymi łyčzkami. Przez całą noc Rachael go zdumiewała. Teraz nadeszła pora rewanzu.

Jej słabiutki głos zabarwiony był zgrozą i rezygnacją.

– Gdy Geneplan opatentował pierwszy, szalenie zyskowny sztuczny mikroorganizm, Eric mógł sprzedać publicznie trzydzieści procent swojego kapitału akcyjnego i przez noc zyskać na tym sto milionów.

– Sto milionów? O Jezu!

– Dwóch jego wspólników i trzech członków personelu naukowego, którzy również mieli swoje udziały w Geneplan, bardzo chcieli, by to zrobił. Im również zależało na szybkim zrobieniu kasy. Wszyscy, z wyjątkiem Vincenta Baresco, skłaniali się ku temu złotemu interesowi. Ale Eric odmówił.

– Baresco – powiedział Benny. – Facet, który mierzył do nas z pistoletu, facet, którego załatwiłem tej nocy w biurze Erica. To jego wspólnik?

– Doktor Baresco – poprawiła go Rachael – należał do najściślejszego grona personelu naukowego. Jako jeden z nielicznych wie wszystko o projekcie „Wildcard”. Tylko sześć osób zna szczegóły. Ja jestem siódma. Eric uwielbiał chełpić się przede mną swoimi dokonaniem. Ale mniejsza z tym! Baresco stanął po stronie Erica. Nie chciał, by akcje Geneplan zostały sprzedane publicznie. Przekonał do tego pozostałych udziałowców. Chodziło o to, żeby nie musieli liczyć się z niczyją opinią, żeby mogli

wydawać pieniądze na ryzykowne projekty bez potrzeby tłumaczenia się ze swych decyzji.

– Na przykład na badania nad nieśmiertelnością lub czymś w tym rodzaju?

– Nie wierzyli, że uda im się osiągnąć pełną nieśmiertelność, ale przynajmniej długowieczność, możliwość regeneracji organizmu. Wymagało to olbrzymich nakładów finansowych, a drobni udziałowcy woleliby widzieć pieniądze w postaci swoich dywidend. Eric i reszta i tak bogacili się na skromnym procencie z zysków firmy, który dzielili między sobą. Nie zależało im rozpaczliwie na kapitale, który uzyskaliby z publicznej sprzedaży udziałów.

– Regeneracja – powtórzył Benny w zamyśleniu.

Rachael zatrzymała się przy oknie, ostrożnie odsunęła zasłonę i wyjrzała na pogrążony w mroku parking hotelowy.

– Bóg jeden wie – powiedziała. – Nie jestem specjalistką od DNA, ale... no cóż, mieli nadzieję, że stworzą łagodny rodzaj wirusa, który spełniałby funkcję nośnika nowego materiału genetycznego do komórek organizmu. Tam umieszczałby go w łańcuchach chromosomów. Pomyśl o wirusie jako o czymś na kształt żywego skalpela, który dokonuje operacji na genach. Ponieważ jest mikroskopijnych rozmiarów, może wykonywać tak precyzyjne zabiegi chirurgiczne, do jakich nie jest zdolny normalny skalpel. Można mu kazać, by wyszukiwał pewne odcinki łańcucha chromosomów i przyłączał się do nich, niszcząc na miejscu stare geny lub zaszczepiając nowe.

– I oni odkryli coś takiego?!

– Tak. Następnie musieli stwierdzić, które geny odpowiadają za starzenie się organizmu, by móc je wyeliminować. W tym celu należało uzyskać sztuczny twór genetyczny, który wirus miał przenieść do komórek. Przeznaczeniem tych nowych genów było zatrzymanie procesu starzenia oraz „podkręcenie” do maksimum naturalnego systemu immunologicznego organizmu. To zaś mieli osiągnąć przez pobudzenie go do produkcji większych ilości interferonu oraz innych substancji leczniczych. Nadażasz za mną?

– Chyba tak.

– Wierzyli nawet w to, że zapewnią organizmowi ludzkiemu zdolność regenerowania zniszczonej tkanki, kości oraz narządów wewnętrznych.

Rachael, która wciąż patrzyła w noc, nagle pobladła. Nie dlatego, że dostrzegła coś strasznego, ale ponieważ zdała sobie sprawę, jakie to tajemnice odsłania przed Benem. Po chwili mówiła dalej:

– Wszystkie patenty przynosiły im mnóstwo pieniędzy. Bóg raczy wiedzieć, ile milionów wydali, zlecając większość prac zespołom genetyków spoza kompanii, dzieląc je w dodatku na fragmentaryczne i na tyle szczegółowe zadania, by nikt nie zorientował się, jaki jest cel ich działań. Prace te można przyrównać do projektu „Manhattan”, finansowanego z prywatnych źródeł, choć, kto wie, czy oni nie trzymali wszystkiego w jeszcze ściślejszej tajemnicy niż prowadzący badania nad konstrukcją bomby atomowej.

– W tajemnicy, bo... gdyby im się udało, to chcieli zachować dla siebie dobrodziejstwo przedłużonego życia?

– Częściowo tak. – Rachael opuściła zasłonę i odwróciła się od okna. – A teraz pomyśl, jaką władzę mieliby w swoich rękach, gdyby dobrodziejstwo to było tylko ich udziałem i wybranych przez nich ludzi. Mogliby przecież stworzyć elitarną rasę długowiecznych panów, posłusznych im jako dawcom przedłużonego życia. Groźba utraty przywileju stanowiłaby wystarczającą gwarancję lojalności. Kiedy słuchałam, jak Eric o tym opowiadał, wydawało mi się to nonsensownym bajdurzeniem, czystą iluzją, chociaż wiedziałam, że jest geniuszem w swojej dziedzinie.

– Ci mężczyźni z cadillaca, którzy nas ścigali i którzy sprzątnęli gliny...

– Są z Geneplan – powiedziała Rachael. Wciąż była pełna nerwowego podniecenia i znów zaczęła chodzić po pokoju. – Poznałam ten samochód. Należy do Ruperta Knowlsa. To właśnie Knowls finansował przedsięwzięcie. Był najważniejszym po Ericu udziałowcem.

– Taki bogaty człowiek ryzykuje swe dobre imię i wolność, strzelając do stróżów prawa?

– Tak. Wszystko po to, by zachować tajemnicę. Tak mi się przynajmniej wydaje. Zaczniemy od tego, że nie jest on szczególnie drobiazgowym człowiekiem, więc w takiej jak ta sytuacji nie przejmuje się już zupełnie niczym.

– W porządku. Tak więc wypracowali technikę pozwalającą przedłużać życie oraz niewiarygodnie szybko wracać do zdrowia. Co jeszcze?

Śliczna buzia Rachael była blada jak ściana. Nagle pociemniała, jakby padł na nią jakiś cień, chociaż żadnego cienia nie było.

– Jeszcze... zaczęli eksperymentować na zwierzętach, głównie na białych myszach.

Ben wyprostował się w fotelu i odstawił na bok puszkę dietetycznej coli. Z zachowania przyjaciółki wywnioskował, że zbliża się w swej opowieści do samego sedna.

Rachael umilkła na chwilę i sprawdziła, czy wychodzące na galeryjkę drzwi od pokoju są zamknięte na zasuwkę. Drzwi były zabezpieczone przed otwarciem od zewnątrz, ale mimo to – po chwili zastanowienia – wzięła stojące przy stole krzesło, ustawiła je na dwóch nogach i oparła o klamkę dla większego bezpieczeństwa.

Ben uznał jej poczynania za nadmiar ostrożności, ale widział, że znajduje się ona na krawędzi obłędu, i nie zareagował.

Rachael usiadła na brzegu łóżka.

– Wstrzykiwali myszom różne rzeczy. Pracowali na mysich genach zamiast na ludzkich. Przekształcali organizmy nieszczęsnych zwierząt w ten sam sposób, w jaki chcieli później zmieniać kod genetyczny człowieka, aby zapewnić mu długowieczność. No i te myszy, które przecież żyją krótko, zaczęły żyć coraz dłużej, nawet dwukrotnie dłużej niż normalne, i wcale nie padały. Potem żyły już trzy... cztery razy tyle co zwykle i były wciąż młode. Niektóre z nich poddawano różnego rodzaju kontuzjom, nakłuciom, poparzeniom, zdzierano im naskórek, łamano kości, a one zdrowiały w oszałamiającym tempie. Niszczono im nerki, a gryzoniom nie było nic, wprost przeciwnie – rozkwitały. Regenerowały się płuca myszy zatrutych toksycznymi gazami, oślepięte zwierzęta odzyskiwały wzrok. A potem...

Głos jej się załamał. Spojrzała na umocnione drzwi, później na okno, spuściła głowę i zamknęła oczy. Ben czekał. Nie podnosząc powiek, Rachael odezwała się wreszcie:

– Zgodnie ze standardową procedurą zabili kilka myszy i odłożyli je na bok, by później wykonać sekcję i dokładne testy tkanek. Niektóre z nich zabito, wywołując embolię przez wstrzyknięcie powietrza, inne – robiąc im zastrzyki z formaldehydu. I nie było żadnych wątpliwości co do tego, że zwierzęta nie żyją. Ale wkrótce... te, których nie poddano jeszcze sekcji... zaczęły... wracać. W ciągu paru godzin. Leżały w kuwetach i nagle rozległy się piski i ciałkami myszy wstrząsnęły drgawki. Ich oczy były jeszcze kaprawe, a organizmy słabe, ale już... wracały do życia. Nie minęło wiele czasu, gdy stanęły na nogi, rozbiegły się bezładnie po swoich klatkach i jadły, absolutnie żywe... Nikt tego nie przewidział, absolutnie nikt. Och, pewnie że przed śmiercią myszy wykształciły niezwykle mocny układ odpornościowy, naprawdę zadziwiające zdolności samoregeneracji organizmu, a czas ich życia przedłużył się aż nazbyt widocznie, lecz... – Rachael uniosła głowę, otworzyła oczy i spojrzała na Bena. – Lecz kto by przypuszczał, że gdy raz przekroczy się linię śmierci... można ją przejść z powrotem?

Dłonie Bena zaczęły się trząść, a po plecach przeszedł mu zimny dreszcz. Zdał sobie sprawę, co te

słowa naprawdę znaczą, i jaką wagę mają ostatnie wydarzenia.

– Tak – powiedziała Rachael, odgadując myśli i uczucia, które teraz kłębiły się w umyśle i sercu przyjaciela.

Ben przytłoczony był dziwną mieszaniną przerażenia, grozy i dzikiej radości: przerażenie wynikało z wyobrażenia sobie myszy lub człowieka powracających z krainy śmierci; grozę wywoływała myśl, że być może geniusz ludzkości zerwał dręczące nas kajdany śmiertelności; radość zaś spowodowana była perspektywą powstania społeczeństw na zawsze wolnych od groźby utraty najbliższych, pozbawionych odwiecznych obaw o zdrowie i życie.

Jakby czytając w jego myślach, Rachael rzekła:

– Może pewnego dnia... może już niedługo... odejdzie w niepamięć strach przed trumną. Ale jeszcze nie teraz. Jeszcze trochę. Ponieważ przełom wywołany projektem „Wildcard” nie jest całkowity... Myszy, które wracały do życia, były... dziwne.

– Dziwne?

Zamiast wyjaśniać szczegółowo ten niejednoznaczny wyraz, Rachael kontynuowała:

– Z początku badacze myśleli, że nietypowe zachowania myszy wynikają z jakiegoś uszkodzenia mózgu, może nawet nie tyle tkanki mózgowej, ile podstawowej chemii mózgu, którego nie można było naprawić nawet przy niebywałych zdolnościach samoregulujących. Ale to nie było to. Myszy nadal potrafiły przebiegać skomplikowane labirynty i powtarzać inne złożone sztuczki, których nauczono je przed śmiercią...

– Tak więc wspomnienia, wiedza, a może nawet osobowość w jakiś sposób przetrwały krótki okres niebytu między śmiercią a zmartwychwstaniem.

Rachael przytaknęła ruchem głowy.

– Co oznacza, że w ich mózgach nawet po śmierci utrzymuje się pewne niewielkie natężenie, wystarczające jednak do tego, by zachować nienaruszoną pamięć do chwili... zmartwychwstania. To tak jak z komputerem, gdy spadnie napięcie. Może on wówczas – dzięki słabemu dopływowi prądu z wewnętrznych baterii – nie wymazać ze swej pamięci wprowadzonego materiału.

Ben otrząsnął się z resztek senności.

– Dobra, a więc myszy potrafiły pokonywać labirynty, ale w ich zachowaniu było coś dziwnego. A dokładnie co? Co takiego?

– Czasami popadały w dezorientację. Dużo częściej zaraz po powrocie do życia niż po upływie pewnego czasu. Obijały się o pręty swych klatek lub goniły w kółko własne ogony. Ten rodzaj nienormalnego zachowania powoli ustępował. Ale pojawiały się inne, jeszcze bardziej przerażające reakcje... I te już nie ustępowały.

Na zewnątrz zapiszczały opony jakiegoś samochodu, który zatrzymał się na parkingu przed motelem. Rachael trwożnie rzuciła okiem na zabarykadowane drzwi. Spokojne pustynne powietrze przyniosło odgłosy otwierania i zatraskiwania drzwiczek auta. Ben napiął mięśnie i wyprostował się w fotelu jeszcze bardziej. Czyjeś kroki rozległy się echem w mroku nocy. Ktoś szedł w przeciwną stronę niż pokój Rachael i Bena. W innym skrzydle hotelowego kompleksu otwarły się i zamknęły drzwi innego pokoju.

Rachael opuściła ramiona z widoczną ulgą.

– Myszy są urodzonymi tchórzami, jak zapewne wiesz. Nigdy nie walczą ze swoimi wrogami. Nie mają ku temu możliwości fizycznych. Ich bronią jest unik, ucieczka, ukrycie się. One nawet między sobą nie walczą o dominację lub terytorium. Są potulne i bojaźliwe. Ale myszy, które wróciły do życia, wcale ich nie przypominały. Te walczyły ze sobą i zaatakowały zwierzęta, które nie zostały uśmiercone.

Próbowwały nawet gryźć badających je naukowców, choć mysz nie ma szansy, by zrobić człowiekowi krzywdę, i zwykle jest tego świadoma. Te zaś wpadły w szal, tłukły w drzwi klatek, rzucały się w powietrze, jakby walcząc z niewidzialnymi wrogami, czasami nawet drapały pazurkami jedna drugą. Niektóre z tych paroksyzmów trwały krócej niż minutę, ale większość z nich tak długo, aż gryzonie padały wreszcie ze zmęczenia.

Przez chwilę oboje milczeli. W pokoju zaległa głęboka, grobowa cisza. Wreszcie odezwał się Benny:

– Mimo tych dziwnych zachowań zwierząt doświadczalnych Eric ze swym zespołem badawczym musieli być zapewne strasznie podnieceni. O mój Boże, oni mieli nadzieję, że wydłużą czas życia, a tymczasem pokonali śmierć! Tak więc spieszo im było z rozwinięciem podobnych metod manipulacji genetycznej na istotach ludzkich.

– Tak.

– Mimo nie wyjaśnionych skłonności myszy do nagłego popadania w szal i ekstazę.

– Tak.

– Zakładali, że taki problem nigdy nie pojawi się u człowieka... lub że będzie go można w toku prac wyeliminować.

– Tak.

– Prace posuwały się... powoli – kontynuował Ben. – Dla Erica stanowczo zbyt wolno. Dążąc do pozostania wiecznie młodym, opętany wprost tą ideą, panicznie bojący się śmierci, zdecydował, że nie będą czekać na sprawdzone i bezpieczne metody.

– Tak.

– To właśnie miałaś na myśli, gdy w biurze Erica spytałaś Vincenta Baresco, czy twój mąż złamał główną zasadę? A dla genetyka lub innego specjalisty w dziedzinie nauk biologicznych złamanie głównej zasady polega na... No właśnie, na czym? Na eksperymentowaniu na istotach ludzkich bez uprzedniego wypróbowania wszystkich ryzykownych i niebezpiecznych metod na zwierzętach doświadczalnych, bez wcześniejszego wyjaśnienia wszelkich wątpliwości.

– Dokładnie na tym – przyznała Rachael. Splotła ręce na kolanach, by powstrzymać ich drżenie, ale dłonie wciąż uderzały jedna o drugą. – Ale Vincent nie wiedział, że Eric ją złamał, choć ja wiedziałam. To musiał być dla nich niemały szok, gdy dowiedzieli się, że zniknęły zwłoki Erica. Wtedy dopiero zrozumieli, iż zrobił coś najbardziej szalonego, lekkomyślnego, trudnego do wybaczenia.

– I co teraz? – spytał Ben. – Czy chcą mu pomóc?

– Nie. Oni chcą go zabić. Chcą, żeby znów był martwy.

– Dlaczego?

– Ponieważ on nie wróci do siebie w pełni, nigdy nie będzie tym, kim był przedtem. Nie wszystko przecież zostało dopracowane.

– Czyli Eric zrobił z siebie zwierzę doświadczalne?

– Prawdopodobnie tak. Dziwne, brutalne i niebezpieczne zwierzę doświadczalne.

Ben miał w pamięci bezsensowne zniszczenia, których dokonano w Villa Park, oraz ślady krwi w bagażniku forda.

– Pamiętaj – powiedziała Rachael – że Eric przez całe życie był bezwzględny i z trudem hamował gwałtowne wybuchy gniewu. Myszy, w przeciwieństwie do niego, początkowo zachowywały się spokojnie. Jaki może być Eric teraz? Przypomnij sobie, co zrobił z Sarah Kiel.

Ben pamiętał nie tylko skatowaną dziewczynę, ale i zdemolowaną kuchnię w Palm Springs, i wbite w ścianę noże.

– Zabójstwa dokonywane przez Erica w ataku szału – ciągnęła Rachael – mogą przekonać policję, że on jednak żyje, i wtedy wyjdzie na jaw sprawa „Wildcard”. Dlatego wspólnicy Erica chcą go zlikwidować ostatecznie, żeby nie mógł się już zregenerować i powrócić jeszcze raz do życia. Nie zdziwiłabym się, gdyby porąbali jego ciało na kawałki, spalili na popiół, a szczątki rozrzučili w różnych, oddalonych od siebie, miejscach.

O Boże, pomyślał Ben, czy to wszystko prawda, czy scenariusz dreszczowca?

– Ciebie też chcą zabić, bo wiesz o „Wildcard” – spytał.

– Tak. Ale nie jest to jedyny powód. Istnieją jeszcze co najmniej dwa inne motywy, dla których chcieliby mnie dostać w swoje ręce. Po pierwsze, są chyba przekonani, że wiem, gdzie Eric mógł się zamelinować.

– Ale ty tego nie wiesz?

– Tylko przypuszczam. Sarah Kiel też podsunęła mi pewną ewentualność. Nie mam jednak pewności.

– A jaki jest trzeci motyw?

– Przede wszystkim ja dziedziczę Geneplan – odparła. – A oni nie wierzą, że będę dawała dość pieniędzy na „Wildcard”. Usuwając mnie, zyskają znacznie większą szansę na kontrolowanie korporacji i utrzymanie projektu w tajemnicy. Gdyby udało mi się przed nimi dostać do sejfu Erica, gdybym miała teraz w rękach notatki mego męża, byłby to niezbity dowód na istnienie projektu „Wildcard”. Wtedy nie ważyliby się zrobić mi krzywdy. Ale bez takiego dowodu nie jestem bezpieczna.

Benny wstał i zaczął bezgłośnie przechadzać się po pokoju, w jego umyśle wrzało.

Gdzieś pośród nocy, niezbyt daleko od motelu, długo i żałośnie, a może namiętnie, zamiauczał kot. Jego przeciągła skarga wznosiła się i opadała – wzbudzała grozę.

Wreszcie Ben odezwał się:

– Rachael, dlaczego gonisz Erica? Skąd u ciebie to pragnienie, by dotrzeć do niego, zanim złapią go tamci? Co zrobisz, gdy go już dopadniemy?

– Zabiję go – odparła bez wahania, a ponury wyraz jej zielonych oczu uzupełniony został typową dla niej determinacją w głosie i żelazną stanowczością. – Zabiję go raz na zawsze. Bo jeśli go nie zabiję, on ukryje się i będzie czekał, aż dojdzie do siebie, aż odzyska kontrolę nad sobą. Wtedy zacznie polować na mnie. W chwili śmierci był na mnie wściekły. Zżerała go tak wielka nienawiść, że wypadł na ulicę, nie widząc nadjeżdżającej ciężarówki. Jestem przekonana, że ta nienawiść powróciła mu wraz ze świadomością. Zapewne jestem największą obsesją jego szalonego i pomieszanego umysłu. Sądzę, że nie spocznie, dopóki mnie nie zabije. Lub też dopóki sam nie umrze, tym razem na dobre.

Ben wiedział, że Rachael ma rację. Bardzo się o nią bał. Tęsknota za przeszłością była w nim teraz tak silna jak jeszcze nigdy dotąd. Marzyły mu się mniej skomplikowane czasy. Współczesny świat stawał już na głowie! W nocy ulicami miast rządzą przestępcy. Cała planeta mogła zostać doszczętnie zniszczona w ciągu godziny, gdyby naciśnięto kilka guzików. A teraz jeszcze... doszło do reanimacji nieboszczyków. Ben chciałby wsiąść do wehikułu czasu i przenieść się w lepsze czasy, powiedzmy w lata dwudzieste, kiedy to wciąż było żywe poczucie cudu, kiedy wielka wiara w ludzkie możliwości była niczym nie skażona.

Jednakże... pamiętał radość, jaką wzbudziła w nim Rachael opowieścią o pokonaniu śmierci. Dopiero później zelektryzowała go informacją, że „powracający z grobu” zmieniają się nie do poznania. Ale trudno oprzeć się prostym prawdom. Benny mógł patrzeć w przeszłość i pragnąć jej całą sentymentalną stroną swej natury, ale jednocześnie był, jak inni jego rówieśnicy, mocno zafascynowany nauką i możliwościami kreowania przez nią świetlanej przyszłości. Może zatem nie był aż tak bardzo nie

przystosowany do życia we współczesnym świecie, jak wszystkim wmawiał? Może to doświadczenie uczyło go czegoś o sobie, czego wolałby nie poznawać?

– Czy naprawdę mogłabyś wypalić do niego z pistoletu? – spytał.

– Tak.

– Nie jestem tego taki pewny. Myślę, że ogarnąłby cię paraliż, gdybyś pomyślała o moralnym aspekcie zabicia człowieka.

– To nie byłoby zabicie człowieka. On już nie jest istotą ludzką. On jest trupem. Żywym trupem. Chodzącym trupem. On już nie jest człowiekiem. Jest inny. Zmienił się. Tak jak tamte myszy. On jest teraz przedmiotem, niebezpiecznym przedmiotem. Nie miałabym żadnych wyrzutów sumienia z powodu rozwalenia mu kulą czaszki. Gdyby kiedyś wyszło na jaw, że to ja zrobiłam, nawet nie sądziliby mnie. Nie widzę też żadnych problemów, które mogłyby wywołać w mojej świadomości próbę samooceny moralnej.

– Zapewne dużo o tym myślałaś – powiedział Benny. – Ale dlaczego nie ukryjesz się gdzieś, nie przyczaisz do czasu, aż ci faceci sami go znajdą i zlikwidują za ciebie?

Potrząsnęła głową.

– A jeśli nie dadzą rady? Nie mogę liczyć wyłącznie na to, że im się powiedzie. Istnieje groźba, że Eric znajdzie mnie, zanim oni znajdą jego. Tu chodzi o moje życie i w tej sprawie nie ufam nikomu, tylko sobie.

– No i mnie – dodał Ben.

– Tak, tobie również, Benny.

Podszedł do łóżka i usiadł koło niej.

– Tak więc... prowadzimy pościg za nieboszczykiem.

– Tak.

– Ale teraz należy nam się trochę odpoczynku.

– Jestem wykończona – przyznała Rachael.

– A dokąd jedziemy jutro?

– Sarah wspomniała o domku Erica w górach, koło jeziora Arrowhead, gdzieś na odludziu. Tego mu właśnie teraz trzeba. Przez najbliższe dni postępować będzie u niego proces regeneracji.

Ben westchnął.

– Tak. Myślę, że w takim właśnie miejscu będziemy mogli go znaleźć.

– Nie musisz ze mną jechać.

– Ale chcę...

– Nie musisz!

– Wiem.

Pocałowała go lekko w policzek. Choć była zmęczona, spocona i rozczochrana, choć policzki miała zapadłe, a oczy przekrwione, dla niego wyglądała ślicznie. Nigdy nie była mu tak bliska. Wspólne ryzykowanie życia zawsze stwarza między ludźmi specjalny rodzaj więzi, zbliża ich do siebie jeszcze bardziej, choćby już przedtem byli sobie drodzy. Benny znał to jako weteran wojny w Zielonym Piekło.

Rachael odezwała się łagodnym głosem:

– Chodźmy wreszcie spać, Benny.

– Słusznie – przytaknął.

Ale zanim się położył i zgasił światło, musiał jeszcze wyjąć magazynek combat magnum – broni, którą odebrał kilka godzin wcześniej Vincentowi Baresco. Policzył pozostałe naboje. Trzy sztuki. Połowę

magazynek Baresco zużył w biurze Erica, strzelając w ciemności na oślep, kiedy Ben go zaatakował. Trzy naboje. To niedużo. Za mało, by czuć się bezpiecznym. I nie wystarczy świadomość, że Rachael miała swoją trzydziestkędwójkę. Ile potrzeba kul, by zatrzymać żywego trupa? Ben położył rewolwer na szafce nocnej, w zasięgu ręki, po czym przykrył go dłonią, na wypadek gdyby w ciągu nocy – lub tego, co jeszcze z nocy zostało – musiał się bronić.

Rano trzeba będzie kupić pudełko amunicji. Dwa pudełka.

Nocny łowca

Kiedy ukrzyżowane ciało Rebeki Klienstad zdjęto ze ściany, Anson Sharp zostawił w domu Rachael Leben w Placentia dwóch ludzi. Dwóch kolejnych ulokował przed domem jej męża w Villa Park i jeszcze kilku w biurowcu Geneplan. Następnie agent DSA wraz z dwoma współpracownikami poleciał śmigłowcem do stylowego, acz plugawego miłosnego gniazdko Erica w Palm Springs. Ciął mroczne niebo nad pustynią z dużą szybkością i na niewielkiej wysokości. Potem kazał pilotowi wylądować na placu parkingowym jakiegoś banku w pobliżu Palm Canyon Drive. Tam czekał na nich rządowy samochód na cywilnych numerach. Ostro wirujące skrzydła cięły gorące pustynne powietrze na grube plastry, które następnie spadały na ramiona Sharpa, gdy ten schylony zbliżał się do pojazdu.

Pięć minut później zajechali pod dom, w którym doktor Leben trzymał swoje stadko nastolatek. Sharp nie zdziwił się, gdy zastał frontowe drzwi otwarte na oścież. Dwukrotnie zadzwonił, ale nikt nie odpowiedział. Wyjął więc służbowy rewolwer typu Smith & Wesson Chiefs Special i ruszył przed siebie. Szukał Sarah Kiel, która – zgodnie z najświeższymi meldunkami na temat Lebena – miała być jego ostatnią zdobyczą.

DSA wiedziała o lubieżności Lebena, ponieważ wiedziała wszystko o ludziach zajmujących się ściśle tajnymi kontraktami dla Pentagonu. Tacy cywile jak Leben zdawali się nie rozumieć tej prostej prawdy, że z chwilą gdy przyjęli pieniądze od Pentagonu i zaczęli wykonywać poufne zadania, kończyła się dla nich prywatność. Sharp więc wiedział wszystko o fascynacjach Lebena sztuką nowoczesną, nowoczesnym wystrojem wnętrz i takąż architekturą, znał szczegóły dotyczące małżeńskich problemów Erica, miał informacje na temat jego ulubionych potraw, muzyki i rodzaju noszonej bielizny. I oczywiście orientował się świetnie w sprawach nastolatek Lebena, gdyż metody szantażu, którymi się posługiwał, służyły bezpieczeństwu państwowemu.

Gdy Sharp wszedł do kuchni i ujrzał obraz zniszczenia, zwłaszcza zaś gdy dostrzegł wbite w ścianę noże, wiedział, że nie odnajdzie Sarah Kiel żywej. Pomyślał, że na pewno jest ukrzyżowana w sąsiednim pokoju, może nawet przygwożdżona do sufitu. Albo szalenięć porąbał ją na kawałki i porozwieszał na kablu telefonicznym niczym krwawe, nowoczesne dzieło sztuki. Mógł również wymyślić jeszcze gorsze rzeczy. Tu było wszystko możliwe, absolutnie wszystko.

Niesamowite.

Gosser i Peake, dwaj młodzi współpracownicy Sharpa, byli wytrąceni z równowagi spustoszeniem zastanym w kuchni, które wyglądało na dzieło jakiegoś psychopaty. Ich szarże były na tyle wysokie, a sprawa na tyle poważna, że wiedzieli to samo co Sharp. Obu agentów poinformowano, że ścigają żywego trupa, który wstał ze stołu do sekcji zwłok i w skradzionym uniformie lekarskim uciekł z kostnicy. Powiedziano im też, że w półobłąkany Eric Leben zamordował dwie kobiety, by odebrać im samochód. Dlatego obaj agenci trzymali swe pistolety w pogotowiu równie mocno jak ich szef.

Oczywiście, DSA miała pełną świadomość tego, jaka jest natura prac, które Geneplan wykonuje dla rządu. Chodziło o badania nad nowym rodzajem broni biologicznej, o stworzenie sztucznego, zabójczego wirusa. Ale agencja wiedziała też o innych pracach prowadzonych przez korporację, z projektem „Wildcard” włącznie. Leben i jego współpracownicy łudzili się tylko, że ta tajemnica należy wyłącznie do nich. Nie zdawali sobie sprawy, że wśród nich przebywają agenci federalni i kapusie. Byli też nieświadomi tego, jak szybko rządowe komputery wyciągają odpowiednie wnioski co do ich zamiarów jedynie na podstawie obserwacji fragmentarycznego materiału, który rozdzielany był między inne laboratoria.

Cywilnie tacy jak Leben nie potrafili zrozumieć, że jeśli robisz interesy z Wujkiem Samem i chciwie bierzesz jego pieniądze, nie możesz sprzedać tylko kawałka swej duszy. Musisz sprzedać ją całą.

Anson Sharp z reguły dobrze się bawił, uświadamiając te rzeczy ludziom pokroju Erica Lebena. Myślą, że są grubymi rybami, ale zapominają, że nawet grube ryby są zjadane przez jeszcze grubsze ryby i że najgrubszą rybą w oceanie amerykańskim jest wieloryb zwany Waszyngtonem. Sharp uwielbiał patrzeć na ludzi w chwili, gdy sobie to uzmysławiali. Rozkoszował się widokiem zarozumiałych ważniaków, którzy zaczynali się pocić i trząść. Zwykle próbowali dać Sharpowi łapówkę albo dyskutować z nim. Czasami prosili o litość, ale – oczywiście – nie mógł im popuścić. Zresztą nawet gdyby mógł, nie zrobiłby tego, bo lubił, jak się przed nim płaszczli.

Pozwolono zatem, by doktor Eric Leben i sześciu jego bliskich współpracowników bez przeszkód kontynuowali swe rewolucjonizujące naukę badania nad długowiecznością. Gdyby istotnie udało im się rozwiązać wszystkie problemy i osiągnąć sukces, wtedy do akcji miał się włączyć rząd i – w ten lub inny sposób – przejął dokumentację, motywując to po prostu względami bezpieczeństwa państwowego.

A ten Leben wszystko popsuł! Niedopracowane metody zastosował wobec siebie samego, a potem przez przypadek wypróbował, jak to działa, wpadając pod tę cholerną śmieciarkę. Nikt nie mógł przewidzieć takiego biegu wydarzeń. Facet wydawał się zbyt cwany, żeby ryzykować własne zdrowie i życie.

Gosser spojrzał na potłuczoną porcelanę i rozdeptane na podłodze resztki jedzenia, po czym zmarszczył swą delikatną, chłopięcą twarz i rzekł:

– To naprawdę szalenie.

– Zupełnie, jakby tędy przeszło stado dzikich zwierząt – powiedział Peake, również chmurząc czoło.

Sharp wyprowadził ich z kuchni. Przeszli przez pozostałe pomieszczenia, aż znaleźli się w sąsiadującej z łazienką sypialni. Tu wyrządzono jeszcze więcej szkód, gdzieśgdzieś znajdowały się nawet ślady krwi. Ich uwagę przykuły zwłaszcza odciski dłoni widoczne na ścianie. Była to zapewne dłoń Erica: dowód, że – choć to niebywałe – nieboszczyk naprawdę ożył.

W całym domu nie znaleziono żadnych zwłok – ani ciała Sarah Kiel, ani nikogo innego. Sharp był rozczarowany. Goła ukrzyżowana blondynka w Placentia stanowiła miłe, nieoczekiwane, choć nieco ekscentryczne urozmaicenie. Normalnie widywał ofiary kuli, noża, zaduszone workiem plastikowym zarzuconym na głowę lub zaciśniętym na szyi kablem. Nic nie mogło go zadziwić ani nim wstrząsnąć. Przez lata bowiem naoglądał się tego zbyt dużo. A jednak ta lalunia przybita do ściany wytrąciła go z równowagi i ciekaw był, co też doprowadzona do obłędu, rozkładająca się mózgowica Lebena jeszcze wymyśli.

Sharp sprawdził sejf ukryty w szafce łazienkowej i stwierdził, że jest pusty. Zostawił w domu Gossera, na wypadek, gdyby wrócił Leben, a sam udał się z Peake'em do garażu. Oczekiwał, że tam znajdzie ciało Sarah Kiel. Nic jednak nie znaleźli. Następnie wysłał swego pomocnika z latarką, by przeszukał podwórko, trawnik i grządki, rejestrując wszystkie ślady świeżego kopania. Wydawało się jednak nieprawdopodobne, żeby Ericowi w jego obecnym stanie chciało się kopać grób i być tak zapobiegliwym, by pogrzebać ofiary i zatrzeć za sobą ślady.

– Jeśli nic nie znajdziesz – powiedział Sharp do Peake'a – zacznij sprawdzać szpitale. Krew krwią, ale może udało jej się uciec, może jej nie zabił. Niewykluczone, że pojechała się opatrzeć.

– A jeśli znajdzie ją w jakimś szpitalu?

– Wtedy natychmiast poinformuj mnie – polecił Sharp, ponieważ musiał zapobiec rozprowadzaniu przez dziewczynę o powrocie Lebena. Najpierw będzie starał się przekonać ją o tym po dobroci, potem

zacznie grozić i szantażować. A gdy i to nie poskutkuje, trzeba ją będzie po cichu usunąć.

Rachael Leben i Bena Shadwaya również należało niezwłocznie odnaleźć i uciszyć.

Gdy Peake oddalił się do przydzielonych zadań, a Gosser cierpliwie czekał w sypialni, Sharp wsiadł do zaparkowanego przed domem samochodu i wrócił na parking przy Palm Canyon Drive. Stał tam wciąż śmigłowiec do jego dyspozycji.

Wznieśli się w powietrze i skierowali w stronę Riverside, gdzie były laboratoria Geneplan. Anson Sharp patrzył przez okno na oddalający się nocny pejzaż. Jego oczy zwęziły się, jakby był ptakiem, nocnym łowcą wypatrującym zwierzyny.

Sny Bena były tej nocy mroczne i niespokojne. Pojawiały się w nich dziwne błyskawice, które oświetlały zimną, pustą i bezmierną przestrzeń, zamieszkaną przez niewidzialne, lecz siejące strach monstrem. Owo monstrum, kryjąc się w cieniu, skradało się chyłkiem do Bena. To było – choć jeszcze nie do końca – Zielone Piekło, w którym spędził ponad trzy lata swej młodości. To było – choć jeszcze nie do końca – to samo znajome miejsce, tyle że, jak to zwykle w snach, zdeformowane.

Obudził się, krzycząc cienko, przeraźliwie i trzęsąc na całym ciele, wkrótce po wschodzie słońca. Natychmiast znalazła się przy nim Rachael. Ben przycisnął jej ciało do swojego, by znaleźć ukojenie. Ciepły i czuły dotyk kobiety odegnał zły sen o chłdzie i samotności. Miarowe bicie jej serca przypominało jednostajne pulsowanie światła latarni morskiej, które poprzez mgłę niesie marynarzom poczucie bezpieczeństwa.

Benny sądził, że Rachael chciała tylko pocieszyć starego przyjaciela. Możliwe jednak, że mimowolnie dała mu w prezencie swą miłość i oczekiwała wzajemności. Na wpół śpiąc jeszcze, z zamglonym spojrzeniem, jakby patrzył przez cienką gazetę, czując pod palcami – czegokolwiek by dotknął – niewidzialną cienkość ciepłego jedwabiu, słysząc jedynie przytłumione, jakby płynące z oddali dźwięki, Benny nie wyostrzył swych zmysłów na tyle, ażeby stwierdzić, jak i kiedy to się stało, że ofiarowana mu przez Rachael otucha przemieniła się w miłość. Ben przyjął ten prezent, choć wiedział jedynie, że to się stało i już oraz że – gdy przyciągnął do siebie jej nagie ciało – po raz pierwszy w swym trzydziestosiedmioletnim życiu poczuł, że to ta jedyna. Wreszcie wszedł w nią, a ona wypełniła się nim. Wszystko było takie świeże i cudowne. Nie musieli szukać rytmów i wzorców, by znaleźć zadowolenie. Wiedzieli, co sprawi im największą przyjemność, jakby byli kochankami od dziesięciu lat.

Brzęczący delikatnie klimatyzator utrzymywał w pokoju miły chłód, Benny jednak miał prawie metafizyczną świadomość, że na okna naciera od zewnątrz pustynny żar. Klimatyzowany pokój był jak samotny pęcherzyk zimnego powietrza zawieszony w oceanie gorąca, podobnie jak wspaniała chwila czulej miłości – wrzuconą w nurt zwykłych sekund i minut bańką zatrzymanego czasu.

Okna były zasłonięte i tylko jedno malutkie okienko w kuchni, wykute wysoko w ścianie, miało nie zasłoniętą, półprzezroczystą szybę. Przez nią właśnie płynęły coraz gorętsze promienie wschodzącego słońca. Liście palm, kołyszące się leniwie na wietrze, filtrowały jaskrawe światło i rzucały na nagą skórę kochanków miękkie cienie, falujące wraz z ruchem ich ciał.

Ben widział twarz Rachael wyraźnie, mimo iż mrok był jeszcze słabo rozświetlony. Miała zamknięte oczy i rozchyłone usta. Z początku wciągała powietrze spokojnie, potem jej oddech stał się przyspieszony. Każda zmarszczka była rozkosznie zmysłowa i zarazem niezmiernie mu droga. To poczucie wartości, jaką dla niego przedstawiała, znaczyło dla Bena więcej niż wstrząsająca zmysłowość jej wyglądu. Tu chodziło bardziej o sferę doznań emocjonalnych aniżeli fizycznych, choć obie stanowiły efekt wspólnie spędzonych miesięcy i zafascynowania, któremu uległ. To właśnie ta kobieta była dla niego osobą szczególną, a sam akt fizycznego zespolenia stanowił cudowne uzupełnienie miłości duchowej.

Czując, że Benny patrzy na nią, Rachael podniosła powieki i spojrzała mu prosto w oczy. Ten nowy stopień wzajemnego kontaktu poraził go.

Drgające promienie poranka niosły ze sobą coraz więcej jaskrawego światła; zaczęły zmieniać barwy znajdujących się w pokoju przedmiotów, które przestały być srebrzystoszare i stały się pomarańczowe, żółte i złote. Kolorowe cienie położyły się także na twarzy Rachael, na jej wysmukłej szyi i pełnych

piersiach. W miarę jak rosło natężenie światła, zwiększało się także tempo, w jakim się kochali. Wreszcie oboje zaczęli dyszeć, kobieta krzyknęła raz i drugi, a lekki wietrzyk za oknem zmienił się w gwałtowny wicher, zginający drzewa palmowe, rzucający na łóżko przez kuchenną szybkę niesamowite cienie. Dokładnie w chwili gdy refleksy świetlne drgnęły raptownie i zafalowały, Ben przyspieszył, wszedł w Rachael jeszcze głębiej i wyrzucił z siebie obfity zapas nasienia. Wraz z ostatnią kroplą wytrysku wyczerpała się też siła wichru, który ucichł i oddalił się w inne zakątki globu.

Potem Benny zszedł z niej i leżeli zwrócenii do siebie twarzami, tak blisko, że mieszały im się oddechy. Panowała cisza. Żadne z nich nie odezwało się, bo nie czuło takiej potrzeby. Powoli znów zaczęli zasypiać.

Benny jeszcze nigdy nie czuł się taki szczęśliwy i zadowolony. Nawet w starych dobrych czasach swej młodości, zanim przyszło Zielone Piekło, zanim był Wietnam, nie zaznał czegoś takiego choćby w połowie.

Rachael zasnęła przed swym kochankiem i Ben przez chwilę z rozkoszą patrzył, jak w pokrytym śliną kąciku jej ust pojawił się maleńki pęcherzyk powietrza i zaraz pękł. Powieki zaczęły mu ciążyć i ostatnią rzeczą, którą zobaczył, nim je zamknął, była delikatna – prawie niewidoczna – blizna na twarzy Rachael, ślad po uderzeniu szklanką przez Erica.

Popadając w stan błogości, Ben zaczął nawet żałować go, bo naukowiec nie zdawał sobie sprawy, że najbliższą nieśmiertelności jest miłość. Człowiek nigdy nie pozna nic wspanialszego. Jedyłą i najlepszą odpowiedzią na wyzwanie śmierci jest kochać się. Kochać.

W strefie żywych trupów

Przez część nocy leżał kompletnie ubrany na łóżku w domku nad jeziorem Arrowhead, w nie nazwanym stanie głębszym niż sen i twardszym niż śpiączka. Temperatura jego ciała wciąż opadała, serce uderzało tylko dwadzieścia razy na minutę, krew ledwo krążyła, a oddech był rzadki i płytki. Czasami praca serca i płuc ustawała całkowicie na dziesięć-piętnaście minut, kiedy życie organizmu sprowadzało się do poziomu komórkowego. Trudno to jednak nazwać życiem – był to raczej zastój, rodzaj częściowego uśpienia, jakiego nie doświadczył jeszcze żaden człowiek na ziemi. Podczas tych okresów zawieszono ożywienia, kiedy to komórki odnawiają się powoli i wykonują swe funkcje w znacznie ograniczonym tempie, ciało zbierało energię, aby wykorzystać ją w kolejnej fazie, fazie świadomości i przyspieszonej regeneracji.

Tak, jego ciało zdrowiało, i to ze zdumiewającą szybkością. Z godziny na godzinę zablizniały się rany, a zadrapania pokrywały strupem. Spod ciemnoniebieskawych sińców, które powstały w wyniku zderzenia z pędzącą ciężarówką, wzywały już żółtawe cienie – znak, że krew ze zmiażdżonych naczyń krwionośnych ustępowała z tkanek. Gdy odzyskiwał świadomość, czuł, jak kawałki popękanej czaszki naciskają uporczywie na mózg, chociaż cała wiedza medyczna utrzymuje, że komórki mózgowe pozbawione są zakończeń nerwowych i nie mogą odbierać bodźców. Był to nie tyle ból, ile właśnie ucisk, podobny do uczucia, jakiego doznaje się podczas borowania znieczulonego nowokainą zęba. Mógł – nie wiedząc jak – czuć, jak poprawiony genetycznie organizm metodycznie postępował z obrażeniami głowy, czyniąc wszystko, by je wyeliminować. Podobnie było z zewnętrznymi zranieniami. Jeszcze przez tydzień będzie potrzebował wypoczynku, ale w tym czasie okresy zastoju będą coraz krótsze, rzadsze i mniej straszne. Przynajmniej chciał w to wierzyć. Za dwa lub trzy tygodnie jego kondycja fizyczna nie będzie gorsza od stanu pacjenta opuszczającego szpital po przebyciu poważniejszej operacji. Za miesiąc może już całkowicie wyzdrowieje, choć na zawsze pozostanie mu lekkie – a może nawet wyraźnie zaznaczone – wgłębienie po prawej stronie czaszki.

Jednakże ozdrowienie psychiczne nie dotrzymywało tempa szybkiej fizycznej regeneracji tkanek. Gdy powracał do świadomości, a praca serca i płuc zbliżała się do stanu normalnego, nigdy nie był w pełni aktywny umysłowo. I w czasie tych krótkich okresów, kiedy miał w przybliżeniu te same zdolności intelektualne co przed śmiercią, wciąż towarzyszyła mu ponura świadomość, że po większej części funkcjonował jak robot, miewający do tego liczne wpadki, które degradowały go do poziomu zwierzęcia.

Nachodziły go dziwne myśli.

Czasami wydawało mu się, że jest znów młodzieńcem, świeżo po maturze, choć chwilami wiedział, że przekroczył już czterdziestkę. Czasami tracił orientację, gdzie się znajduje, zwłaszcza gdy jechał samochodem, bez wyraźnych punktów odniesienia do swojego życia. Wtedy wpadał w odrętwienie, czuł się zagubiony i bał, że tak już pozostanie na zawsze, musiał więc zjeżdżać na pobocze i czekać, aż minie atak. Wiedział, że jest przed nim wspaniały cel, że wypełnia ważną misję, nigdy jednak nie mógł dokładnie jej zdefiniować. Czasami wydawało mu się, że nie żyje i posuwa się przez piekielne kręgi niczym Dante. To znów przypominał sobie, że zabił ludzi, choć nie wiedział kogo. Potem na kilka chwil wracała mu pamięć, ale tylko po to, by mógł stwierdzić, iż to musi być urojenie, gdyż on przecież nie potrafiłby mordować z zimną krwią. Z kolei później zdarzało mu się pomyśleć, jakby to było podniecające i satysfakcjonujące, gdyby kogoś zabił. Wszystko jedno kogo – kogokolwiek, każdego, bo w sercu czuł, że ludzie ścigają go, wszyscy; chcą go dostać, te wściekłe psy, zawsze chcieli go dostać,

choć teraz działają z większą niż dotąd determinacją. Czasami przychodziły mu do głowy gorączkowe myśli: Pamiętaj o myszach, pamiętaj o myszach, obłąkanych myszach, które rzucały się na pręty klatek. Nieraz nawet mówił na głos sam do siebie: Pamiętaj o myszach, pamiętaj o myszach. Nie miał jednak pojęcia, co znaczą te słowa; jakie myszy, gdzie, kiedy?

Widywał też dziwne rzeczy.

Czasami widział ludzi, których nie miał prawa przed sobą widzieć: matkę, która od dawna nie żyła, znieawidzonego wuja, który wykorzystywał go seksualnie, gdy był małym chłopcem, oraz łobuza z sąsiedztwa, który dręczył go w podstawówce. Raz po raz widywał, niczym nałogowy alkoholik w *delirium tremens*, rzeczy wynurzające się ze ścian: owady i węże oraz mnóstwo innych przerażających stworów, które nie miały nazwy.

Kilka razy był pewien, że widzi wyłożone czarnymi płytami chodnikowymi schody prowadzące w głąb ziemi. Ale ilekroć chciał wejść na nie, okazywały się tylko przywidzeniem, wytworem jego chorej, szalonej wyobraźni.

Najbardziej niezwykłymi i niepokojącymi ze wszystkich iluzorycznych obrazów, które migwały mu przed oczami i przelatywały przez uszkodzony mózg, były cieniste ognie. Pojawiały się nieoczekiwanie i trzaskały tak, że nie tylko słyszał ten odgłos, ale i czuł go w kościach. Zdarzało się, że szedł prosto, czuł twardy grunt pod stopami, mijał pewnie żywe istoty i już zaczynał myśleć, że jego organizm funkcjonuje lepiej, niż śmiałby przypuszczać, kiedy nagle... zza drzewa, z rogu pokoju, z każdego ciemnego zakamarka strzelały w górę jęzory ognia, a każdy z nich był koloru świeżej krwi i miał srebrzyste końce. Wywoływały w nim przestraszanie, ale gdy przyjrzał się bliżej, mógł stwierdzić, że nic się naprawdę nie paliło, że płomienie rodziły się w powietrzu, trawiły tylko i wyłącznie cienie, z których wyrastały, jakby te stanowiły dla nich jedyne, za to wyśmienite, paliwo. Gdy ognie bladły i wygasaly, nie pozostawiały po nich żadne ślady – ani popiół, ani węgle, ani osmalone kamienie.

Choć gdy żył, nigdy nie bał się ognia i nigdy nie nosił się z pirofobiczną myślą, że przyjdzie mu umrzeć w płomieniach, to jednak teraz panicznie bał się tych głodnych ogniastych fantomów. Gdy patrzył na migoczące jęzory, czuł, że za nimi znajduje się tajemnica, do której musi dotrzeć, choćby jej ujawnienie miało mu przynieść niewyobrażalną udrękę.

W czasie tych krótkich okresów względnej jasności umysłu, kiedy to jego zdolności intelektualne były zbliżone do stanu sprzed śmierci, powiedział sobie, że złudzenie ognia wynika po prostu z dysfunkcji synaps w uszkodzonym mózgu, gdzie impulsy elektryczne biegną przez zniszczoną tkankę. Powiedział sobie, że złudzenia te wywołują w nim strach, gdyż – mimo wszystko – jest człowiekiem inteligentnym, który przez całe swe życie kierował się rozumem, tak więc ma pełne prawo być przestraszonym, gdy obserwuje objawy degeneracji mózgu. Wmawiał sobie jednak, że tkanki zaleczą się, cieniste ognie znikną na zawsze i wszystko będzie w porządku. Ale w chwilach obniżonej jasności umysłu, kiedy świat stawał się mroczny i niesamowity, kiedy ogarniała go niepewność i lęk, patrzył na cieniste ognie z przerażeniem. Czasami paraliżowało go jeszcze jakieś dziwne uczucie, że wokół niego roztaczają się kręgi tańczących płomieni.

Świt coraz brutalniej przepędzał resztki nocy i Eric Leben obudził się z odrętwienia, jęknął cicho kilka razy, potem głośniejszym głosem otworzył oczy. Usiadł na brzegu łóżka. Usta miał wyschnięte i czuł w nich niesmak. Głowa pękała z bólu. Dotknął zranionej czaszki. Nie pogorszyło się – łeb jeszcze się nie rozpadł.

Słaby blask poranka wpadał przez dwa okna, a mała zapalona lampka nie dostarczała dostatecznej ilości światła, by wypędzić z sypialni wszystkie cienie, ale jednak wystarczającej, by razić Erica w oczy.

Niezwykle wrażliwe, wodniste i rozpalone, z większym trudem przystosowywały się teraz do jasności niż wtedy, gdy wstawał z zimnego metalowego stołu do sekcji. To tak, jakby naturalnym środowiskiem dla jego oczu stała się obecnie ciemność, nie zaś świat promieni słonecznych czy wysyłanych przez inne źródło światła.

Przez kilka minut koncentrował się na swym oddechu, który był nieregularny – raz zbyt wolny i głęboki, innym razem zbyt szybki i płytki. Wziął ze stołu stetoskop i wsłuchał się w bicie swego serca. Było nierytmiczne, ale dosyć szybkie, by nabrał pewności, że nie zapadnie znów w stan zawieszenia.

Oprócz stetoskopu Eric zabrał ze sobą również inne przyrządy, dzięki którym mógł obserwować proces zdrowienia organizmu: aparat do mierzenia ciśnienia tętniczego oraz oftalmoskop mający w połączeniu z lustrem służyć mu do sprawdzania stanu siatkówek oraz odruchów źrenicznych. Wziął też ze sobą notatnik, w którym zamierzał spisywać swe obserwacje. Towarzyszyła mu bowiem świadomość, mglista czasami, ale jednak świadomość, że to on jest pierwszym człowiekiem, który po śmierci wrócił do życia, że wejdzie do historii oraz że – gdy już w pełni odzyska zdrowie i siły – takie zapiski osiągną bezcenną wartość.

Pamiętaj o myszach... pamiętaj o myszach...

Zirytowany potrząsnął głową, jakby ta nagła i zbijająca z tropu myśl była natrętną muchą latającą mu koło nosa. Pamiętaj o myszach... pamiętaj o myszach... Nie miał zielonego pojęcia, co to może oznaczać. Przypomniawszy sobie jednak, że to samo dokuczliwe i dziwnie natarczywe zdanie powtarzało się w jego świadomości minionej nocy. Niejasno podejrzewał, że w gruncie rzeczy wie, co kryje się pod hasłem „myszy”, ale tę wiedzę wtłoczył w głębiny nieświadomości, gdyż była dla niego zbyt straszna. Jednakże gdy starał się skoncentrować na tym zagadnieniu i usilnie dojść prawdy, nie wychodziło mu. Stawał się natomiast coraz bardziej sfrustrowany, wstrząśnięty i zdezorientowany. Odłożył na stolik stetoskop, ale nie wziął ciśnieniomierza. Nie miał już cierpliwości – ani sprawności w palcach – by podwinąć rękaw koszuli, zawiązać gumę wokół przedramienia, obsługiwać gruszkowatą pompkę i jednocześnie trzymać skalę z wynikami. Próbował tego minionej nocy, ale z powodu swej niezręczności zaraz dostał szału. Nie wziął także oftalmoskopu do zbadania oczu, gdyż w tym celu trzeba by iść do łazienki i użyć lustra. A on nie zniósłby teraz swojego widoku: szara skóra, mętne oczy, rozluźnione mięśnie twarzy – wszystko to sprawiało, że musiał wyglądać jak... prawie trup.

Stronice kieszonkowego notatnika były w większości nie zapisane, ale nie podjąłby się obecnie dopisywania nowych obserwacji procesu zdrowienia. Po pierwsze, stwierdził, że nie może kontrolować się dłużej niż przez kilka minut, a przecież trzeba pisać zrozumiale i czytelnie. Po drugie, widok niedbałych gryzmołów zamiast starannego i ładnego pisma, którym szczycił się dotąd, na pewno znów wzbudziłby w nim zwierzęcą wściekłość.

Pamiętaj o myszach, o myszach tłukących się o ściany klatek, goniących własne ogony, pamiętaj o myszach... pamiętaj o myszach...

Eric podniósł do skroni obie ręce, jakby poprzez fizyczny ucisk chciał przytłumić niechciane i niezrozumiałe myśli. Potem wygrzebał się z łóżka i stanął na nogi. Musiał oddać moc, a potem coś zjeść. To były pozytywne objawy, dowód na to, że żyje – a przynajmniej nie umarł całkowicie. Z tych dwóch prostych fizjologicznych potrzeb zaczerpnął odwagi.

Ruszył w stronę łazienki, ale gdy w rogu pokoju pojawiły się ognie, natychmiast się zatrzymał. Nie były to prawdziwe płomienie, lecz ognie cieniste. Krwistoczerwone jęzory o srebrzystych zakończeniach trzaskały łakomie, pożerając cienie, z których wyrastały, ale nie dawały żadnego światła. Eric zmrużył piekące oczy i stwierdził po raz kolejny, że coś ciągnęło go do tych płomieni, do patrzenia na nie i że

wśród nich pojawiały się jakieś dziwne formy. Te zaś zwijały się i... machały do niego...

Choć tych cienistych ogni bał się niewypowiedzianie, to jednak jakaś część jego jestestwa, przewrotnie i niezrozumiale, kusiła go, by wszedł w nie i przeszedł, tak jak przechodzi się przez otwarte drzwi, i zobaczył, co znajduje się za nimi.

Nie!

Gdy poczuł, że owe ciągoty przechodzą w silną żądzę, zdecydowanym ruchem odwrócił się od ognia i stał tak, balansując na granicy strachu i dezorientacji, dwóch stanów, które wobec jego słabej kondycji fizycznej szybko przerodziły się w gniew, ten zaś w furję. Wszystko zdawało się prowadzić do furii, jak gdyby stanowiła ona ostateczny i nieuchronny ekstrakt pozostałych emocji. Obok krzesła, w zasięgu ręki Erica, stała na podłodze mosiężno-cynowa duża lampa, o kloszu z rżniętego kryształu. Chwycił ją oburącz, podniósł wysoko nad głowę i rzucił. Klosz uderzył w ścianę i błyszczące odłamki kryształu rozprysnęły się wokół jak kostki lodu. Metalowy stojak trafił w krawędź pomalowanego na biało kredensu. Z brzękiem odbił się i upadł na podłogę.

Ogarnęła do żądza niszczenia. Było w niej coś z ponurej intensywności sadystycznych orgii seksualnych. Jej wspaniała siła przypominała siłę orgazmu. Za życia Eric był obsesyjnym „budowniczym”, dążył do tworzenia imperiów, zachłannie otaczał się wszelkimi dobrami. Po śmierci natomiast pojawił się w nim duch destrukcji, ciągnący go w stronę niszczenia dobytku z równą pasją, z jaką niegdyś go gromadził.

Wystrój wnętrza był supernowoczesny, uzupełniony takimi akcentami *art deco*, jak na przykład rozbita teraz na podłodze lampa. Nie był to styl szczególnie odpowiedni dla pięciopokojowego domku wypoczynkowego, ale zaspokajał potrzebę Erica otaczania się wszystkim, co nowe i nowoczesne. Teraz w swym szaleństwie zaczął czynić z modnie urządzonego saloniku jedno wielkie rumowisko. Najpierw podźwignął fotel – jakby ważył on tylko kilogram lub dwa – i rzucił nim w trójskrzydłe zamykane lustro, umieszczone na ścianie za łóżem. Posypał się grad szklanych odłamków, a fotel wylądował wśród nich na pościeli. Eric oddychał ciężko. Podniósł przewróconą lampę i trzymając ją za pręt, uderzył w stojącą na kredensie rzeźbę z brązu. Użył przy tym ciężkiej podstawy lampy jako swego rodzaju młota. Trzask! – i rzeźba spadła na podłogę. Trzask, trzask! – wycelował prętem w kredensowe lustro, tłukąc je z zapamiętaniem. Potem rąbnął w obraz wiszący na ścianie koło drzwi do łazienki. Płótno spadło z gwoźdźca; leżące na podłodze, Eric podziurawił kilkoma dźgnięciami swego oręża. Czuł się dobrze, bardzo dobrze, jak jeszcze nigdy. Czuł, że żyje. Oddał się całkowicie swemu szaleństwu i dawało mu to wiele radości. W tym czasie zawarczał kilkakrotnie jak dzikie zwierzę, krzyczał coś bełkotliwie i tylko jedno słowo wydobywające się z jego gardła było zrozumiałe: „Rachael!” Wymawiał je z niespotykanym ładunkiem nienawiści, zaplując się przy tym. „Rachael, Rachael!” Przy fotelu stał biały stolik. Eric tak długo walił w niego prętem, aż strząsnął go na kawałki. „Rachael, Rachael!” Strącił z szafki nocnej na podłogę mniejszą lampkę. W uszach szumiała mu krew, czuł, jak pulsują naprężone na skroniach i szyi arterie. Potem walił w samą szafkę i przestał dopiero wtedy, gdy poodpadały uchwyty od szuflad. Później zaatakował ścianę. „Rachael!” – wołał i uderzał tak długo, aż pręt był już zbyt powyginany, by mógł się jeszcze do czegokolwiek przydać. Wtedy odrzucił go na bok i chwycił za zasłony. Zaczął je szarpać i zrywać z żabek, którymi były przyłączone do karnisza. Potem cisnął na ziemię jeszcze jeden obraz i zdeptał go, wrzeszcząc: „Rachael, Rachael, Rachael!” Teraz chwiał się już na nogach i długimi ramionami kreślił w powietrzu szalone figury. Wyglądał jak oszalały byk. Nagle zauważył, że coraz ciężiej mu się oddycha, poczuł, że opuszcza go dzika siła, że ucieka zeń szalona żądza niszczenia. Rzucił się na kolana, potem wyciągnął na brzuchu. Głowę odwrócił w bok, kładąc policzek na puszystym

dywanie. Oddychał ciężko. Jego splątane myśli były teraz jeszcze bardziej mgliste niż oczy. Zamknął powieki, bo nie mógł znieść swego odbicia w lustrze. I choć zabrakło mu diabelskiej energii, by niszczyć, to jednak – leżąc na podłodze – nadal wykrzykiwał jedno jedyne imię: „Rachael... Rachael... Rachael...”

Część druga
Coraz większy mrok

*Noc to nie pora dla człowieka.
Ona na trupy najchętniej czeka.*

Księga znaczącego smutku

W drodze

Anson Sharp przyleciał śmigłowcem z Palm Springs do Riverside jeszcze przed świtem. Podziemne laboratorium Geneplan, gdzie przeprowadzano eksperymenty bakteriologiczne, znajdowało się poza miastem. Czekają tam już na niego sześciu oficerów operacyjnych DSA i czterech szeryfów z ośmioma zastępcami, którzy przybyli kilka minut wcześniej. Nocnym strażnikom Geneplan przedstawili sądowy nakaz rewizji i wytłumaczyli wszystko względami bezpieczeństwa państwowego. Następnie weszli na teren laboratorium, zaplombowali wszystkie akta i komputery, a później – w raczej wystawnie urządzonej biurze doktora Vincenta Baresco, szefa zespołu badawczego – urządzili sobie centrum dowodzenia.

Świt odegnał już noc i gdy dzień objął w posiadanie świat, który roztaczał się nad podziemnymi laboratoriami, Anson Sharp rozparł się w olbrzymim skórzanym fotelu Vincenta i pijąc kawę, odbierał telefoniczne meldunki od swych podkomendnych rozrzuconych po całej południowej Kalifornii, jako że wszyscy wtajemniczeni w sprawę projektu „Wildcard” znajdowali się w areszcie domowym. W okręgu Orange zatrzymano we własnym domu, w North Tustin, koordynatora naukowego projektu, doktora Morgana Eugene’a Lewisa wraz z żoną. Doktor J. Felix Geffels przetrzymywany był w swym domu w Riverside, a więc na miejscu. Doktora Vincenta Baresco, szefa do spraw badań w całej korporacji, agencji DSA znaleźli w głównej siedzibie Geneplan w Newport Beach. Leżał nieprzytomny na podłodze w biurze Erica Lebena. Odnaleziono też ślady gwałtownej walki i użycia broni palnej.

Ludzie Sharpa nie przewieźli jednak krzepkiego ciała naukowca do żadnego szpitala publicznego, lecz zabrali je do bazy lotniczej marynarki wojennej w El Toro, gdzie obejrzał je w izbie przyjęć lekarz wojskowy. W ten sposób nie wypuszczono z rąk ani na chwilę Vincenta Baresco. Okazało się, że otrzymał on dwa potężne ciosy w krtani, wskutek czego nie mógł teraz mówić. Odzyskawszy przytomność, poinformował agentów DSA za pomocą pióra i kartki, że pobił go kochanek Rachael Leben, kiedy nakrył ich oboje na pładrowaniu sejfu Erica Lebena. Agenci nie uwierzyli, że jest to wszystko, co ma im do powiedzenia, i był z tego bardzo niezadowolony. Po chwili zaszokowało go odkrycie, że oni znają szczegóły dotyczące projektu „Wildcard” i wiedzą o powrocie do życia Erica Lebena. I znów za pośrednictwem pióra i kartki papieru Baresco zażądał, by przewieziono go do cywilnego szpitala i pozwolono skontaktować się z adwokatem. Chciał też wiedzieć, o co może być oskarżony. Oczywiście, wszystkie trzy żądania zostały zignorowane.

Rupert Knowls i Perry Seitz, finansisci, którzy wnieśli największy kapitał w przedsięwzięcie umożliwiając powstanie dziesięć lat temu Geneplan, znajdowali się w Palm Springs, na terenie Niebiańskiego Gaju, rozległej posiadłości Knowlsa o powierzchni pięciu hektarów. Trzech oficerów DSA przybyło tam z nakazem rewizji i aresztowania obu mężczyzn. Na miejscu znaleźli nielegalnie przerobiony pistolet maszynowy marki Uzi. Była to bez wątpienia broń, z której kilka godzin wcześniej zamordowano w Palm Springs dwóch policjantów.

Ani Knowls, ani Seitz – na czas nieokreślony zatrzymani w Niebiańskim Gaju – nie wnosili na razie protestów. Wiedzieli, jaki będzie scenariusz. Otrzymają niezbyt atrakcyjną ofertę nieodpłatnego odstąpienia rządowi amerykańskiemu wszelkich praw do projektu „Wildcard” oraz przekazania mu dotychczasowych wyników badań. Ponadto zażąda się od nich, by na zawsze zachowali milczenie na temat tego przedsięwzięcia, a także zmartwychwstania Erica Lebena. Zmusi się ich również do podpisania samoobciążających zeznań w sprawie zabójstwa policjantów. W ten sposób DSA absolutnie ich od siebie uzależni. Aczkolwiek wszystko to nie będzie miało ani podstaw, ani mocy prawnej, chociaż

DSA złamie zasady demokracji i liczne ustawy, Knowls i Seitz przyjmą te warunki. Są bowiem ludźmi światowymi i wiedzą, że odmowa współpracy, a zwłaszcza próba dochodzenia swych konstytucyjnych praw, oznaczałaby dla nich mogiłę.

Cała piątka była w posiadaniu największej bodaj na świecie tajemnicy. Problem nieśmiertelności nie był wprawdzie jeszcze rozwikłany do końca, ale przecież kiedyś się go rozwiąże. Wtedy ten, kto będzie kontrolował tajemnice „Wildcard”, będzie też kontrolował świat. Gdy w grę wchodzi taka stawka, rząd nie zawraca sobie głowy aspektem moralnym sprawy, zwłaszcza w takim szczególnym przypadku jak ten. Otrzymałszy raport na temat Seitza i Knowlsa, Sharp odłożył słuchawkę, wstał z fotela i zaczął spacerować po pozbawionym okien podziemnym biurze. Wykonał kilka gwałtownych wymachów swymi dobrze zbudowanymi ramionami oraz kilka obrotów głowy osadzonej na grubej, muskularnej szyi.

Miał osiem dziur do załatania, co znaczy, że musiał zająć się ośmioma osobami. A oto już pięć spośród nich znajdowało się pod kontrolą. Szybko i bezboleśnie. Był zadowolony z takiego obrotu sprawy, a zwłaszcza z samego siebie. Tak, jest cholernie dobry w swym zawodzie.

W chwilach takich jak ta żałował, że nie ma z kim dzielić swych triumfów, kogoś, kto podziwiałby go, ale nie mógł sobie pozwolić na to, by ktoś zanadto zbliżył się do niego. Był wicedyrektorem agencji, człowiekiem numer dwa w całym zespole, i dążył do tego, by jeszcze przed czterdziestką zostać głównym szefem. Zamierzał zapewnić sobie to stanowisko, zbierając materiały obciążające obecnego dyrektora, Jarroda McClaina, i zmuszając go w odpowiednim czasie do dymisji. Chciał jednocześnie, by ten serdecznie go zarekomendował na swoje miejsce. McClain traktował Sharpa jak syna, wtajemniczając go we wszystkie tajne sprawy, i już teraz Anson miał dość wiedzy, by zniszczyć przełożonego. Ale był oczywiście człowiekiem ostrożnym i nie zrobiłby żadnego śmiałego posunięcia bez pełnej gwarancji powodzenia. A gdy już zdobędzie dyrektorski fotel, na pewno nie popełni błędu McClaina i nie dopuści do siebie tak blisko żadnego podwładnego. Będzie na szczycie sam, musi być sam, jeśli chce przetrwać długo. Tak więc już teraz przyzwyczajał się do samotności; miał protegowanych, ale nie miał przyjaciół.

Poprzez ćwiczenia usunął zdrętwienie karku i ramion. Powrócił za biurko, usiadł w fotelu, zamknął oczy i zaczął myśleć o trzech osobach, których jeszcze nie odnalazł, a które należało aresztować: Ericu Lebenie, pani Leben i Benie Shadwayu. W przeciwieństwie do pozostałej piątki nie zaproponuje się im układu. Jeśli Lebena uda się pochwycić „żywego”, zamkną go pod kluczem i będą badać niczym szczura laboratoryjnego. Panią Leben i Shadwaya usunie się po prostu – tak żeby wyglądało to na wypadek.

Istniało kilka powodów, by ich załatwić. Po pierwsze, oboje byli ludźmi niezależnie myślącymi, hardymi i uczciwymi... To bardzo niebezpieczna mieszanka, można powiedzieć: mieszanka wybuchowa. Przez nich cała sprawa mogłaby się dostać do wiadomości publicznej. W ten sposób ci zbłąkani idealisci stanęliby na drodze do kariery Ansona Sharpa. Inni – Lewis, Geffels, Baresco, Knowls i Seitz – poddadzą się z czystego koniunkturalizmu, ale nie Rachael Leben i Benny Shadway. Po drugie, żadne z nich nie popełniło nigdy jakiegokolwiek wykroczenia ani nie zaprzedało duszy rządowi, jak reszta panów z Geneplan. Nad ich głowami nie wisiały więc żadne miecze, a zatem nie sposób byłoby ich kontrolować.

Ale przede wszystkim Sharp pragnął śmierci Rachael Leben po prostu dlatego, że była kochanką Shadwaya, że Shadwayowi na niej zależało. Ją najpierw chciał zabić – na oczach Bena. Shadwayowi zaś życzył śmierci dlatego, że nienawidził tego człowieka od prawie siedemnastu lat.

Siedząc wciąż z zamkniętymi oczami w podziemnym biurze, Sharp uśmiechnął się. Ciekaw był, jak zachowałby się Ben Shadway, gdyby wiedział, że ściga go znajoma ręka sprawiedliwości – Anson Sharp. Pragnął aż do bólu i tak nieuchronnej konfrontacji, pragnął ujrzyć na twarzy Shadwaya zdumienie, po czym zlikwidować sukinsyna.

Jerry Peake był młodym agentem DSA, któremu Anson Sharp przydzielił zadanie odnalezienia Sarah Kiel. W tym celu spenetrował najpierw teren posiadłości Erica Lebena w Palm Springs, poszukując śladów świeżego kopania. Jako człowiek sumienny i niezwykle dokładny, Peake przedzierał się przez krzewy, deptał rabaty, nie zważając na zabłocone buty i mokre nogawki. Choć pomagał sobie latarką, dającą silny snop światła, nie znalazł nic podejrzanego.

Włączył oświetlenie basenu w nadziei, że może tam ujrzy pływające na powierzchni albo wycierające z dna – przez chlorowaną wodę – zwłoki dziewczyny. Ale okazało się, że w basenie nie ma żadnych trupów i Peake stwierdził, że czyta za dużo kryminałów. W kryminałach baseny zawsze roją się od trupów, ale w życiu nie znajduje to potwierdzenia.

Jerry Peake, namiętny czytelnik powieści kryminalnych już od dwunastego roku życia, zawsze marzył tylko o tym, by zostać detektywem. Ale nie jakimś tam zwykłym detektywem, tylko kimś specjalnym, kimś, kto pracuje dla CIA, FBI lub DSA. Jednakże i w DSA nie wystarczało mu bycie po prostu agentem – marzył o staniu się takim asem, o jakich pisali w swych książkach John Le Carre, William F. Buckley czy Frederick Forsyth. Peake chciał zostać legendą swoich czasów. Pracował dla DSA dopiero piąty rok i na razie nie mówiło się o nim jako o geniuszu. Nie martwił się jednak. Był cierpliwy. Nikt nie staje się legendą w ciągu pięciu lat. Po prostu za dużo czasu poświęca się na taką gównianą robotę jak chodzenie po grządkach z kwiatami, wyciąganie zaczepionych o kolce krzewów nitek z najlepszych garniturów i pełne nie spełnionych nadziei wypatrywanie trupów w basenach. Nie znalazłszy ciała Sarah Kiel na terenie posiadłości Lebena, Peake objechał okoliczne szpitale. Liczył na to, że jej nazwisko znajdzie na liście pacjentów. W pierwszych dwóch placówkach nie miał szczęścia. Co gorsza, choć pokazywał wystawiony przez DSA i opatrzony zdjęciem identyfikator, pielęgniarki i lekarze, z którymi rozmawiał, odnosili się do niego sceptycznie. Wprawdzie odpowiadali na pytania, ale z taką rezerwą, jakby myśleli, że Peake jest oszustem podszywającym się pod agenta.

Wiedział, że wygląda zbyt młodo jak na oficera DSA. Za przekleństwo uważał swą jasną, świeżą i otwartą twarz. Poza tym, gdy zadawał pytania, był nie dość agresywny. Ale teraz na pewno nie chodziło o dziecinną buzię ani o zbyt poprawne maniery. Tym razem na pewno powodem powątpiewania w jego tożsamość agenta były zabłocone buty. Wyczyścił je co prawda papierowym ręcznikiem, ale i tak pozostały na skórze smugi brudu. Do tego jeszcze zmoczone nogawki spodni, które właśnie wyschły, pozostawiając tkaninę pomarszczoną i sztywną. Nikt nie będzie szanował ani traktował poważnie człowieka, który wygląda jak ostatnia łajza. Taki człowiek nigdy nie stanie się legendą.

Godzinę po wschodzie słońca, w trzecim z kolei szpitalu, mimo mankamentów w wyglądzie zewnętrznym, trafił na właściwy trop. Sarah Kiel przyjęto w nocy. Nadal znajdowała się na liście pacjentów.

Przełożona pielęgniarek, siostra Alma Dunn, była stanowczą siwowłosą kobietą po pięćdziesiątce, która nie boi się byle czego. Dokumenty Peake'a nie zrobiły na niej żadnego wrażenia. Poszła zobaczyć, jak Sarah Kiel się czuje, i wróciła do czekającego w dyżurce agenta ze słowami:

– Biedne dziecko wciąż śpi. Przed paroma zaledwie godzinami podaliśmy jej środki nasenne, nie sądzę więc, żeby obudziła się wcześniej niż za kilka następnych godzin.

– Proszę, niech ją siostra obudzi. To sprawa wagi państwowej.

– Nie zrobię tego – odrzekła siostra Alma. – Dziewczyna jest skrajnie wyczerpana i potrzebuje odpoczynku. Będzie pan musiał poczekać.

– No, to poczekam u niej w pokoju.

Siostra Alma zacisnęła zęby, a jej błękitne oczy zrobiły się zimne.

– Nie poczeka pan u niej w pokoju. Poczeka pan w pokoju dla odwiedzających.

Peake wiedział, że z siostrą Alną nie wygra. Kobieta wyglądała jak panna Jane Marple, nieugięty detektyw amator z powieści Agathy Christie. Kogoś takiego się nie zastraszy.

– Jeśli siostra będzie mi utrudniać wykonywanie obowiązków, będę zmuszony porozmawiać z jej przełożonym.

– Proszę bardzo – odpowiedziała, patrząc z dezaprobatą na jego buty. – Poproszę tu doktora Werfella.

Anson Sharp wciąż przebywał pod ziemią w laboratorium koło Riverside. Przespał się godzinę na kanapie Ultrasuede w gabinecie Vincenta Baresco, potem wziął prysznic w przyległej łazience i włożył świeże ubranie. Przywiózł je w walizce, którą zabrał ze sobą w tę podróż zygakiem po całej południowej Kalifornii. Miał błogosławioną umiejętność zasypiania „na życzenie”. Wystarczała mu krótka drzemka, by znów poczuć się wypoczętym i zdolnym do pracy. Mógł spać wszędzie, nie przeszkadzał mu nawet hałas. Uważał, że ta zdolność to jeszcze jeden dowód, iż jego przeznaczeniem jest sam szczyt kariery – hotel, o którym marzył, a także potwierdzenie, że już teraz góruje nad innymi ludźmi.

Odświeżony zadzwonił do swych agentów strzegących w różnych miejscach wspólników kompanii Geneplan. Sam też odebrał meldunki od pozostałych oficerów, przebywających w biurach Geneplan w Newport Beach, posiadłości Erica Lebena w Villa Park oraz w domu pani Leben w Placentia.

Od agentów strzegących Vincenta Baresco w bazie lotniczej marynarki wojennej w El Toro Sharp dowiedział się, że Ben Shadway odebrał naukowcowi jego broń typu Smith & Wesson Combat Magnum 357 i że nie znaleziono jej nigdzie w budynku. Shadway nie pozostawił jej tam, nie wrzucił do kontenera na śmieci, najwyraźniej więc zabrał ją ze sobą. Co więcej, agenci z Placentia donieśli, że nie mogą znaleźć zarejestrowanego na Rachael Leben półautomatycznego pistoletu kalibru 32. Podejrzewali, że kobieta wzięła go ze sobą, choć nie miała już pozwolenia.

Sharpowi wiadomość, że zarówno pani Leben, jak i Shadway są uzbrojeni, sprawiła dużą przyjemność. Fakt ten dopomoże mu w usankcjonowaniu aresztowania. A gdy już dostanie ich w swoje ręce, wtedy będzie mógł ich zastrzelić, tłumacząc się, że to oni pierwsi otworzyli ogień. I będzie to wiarygodne usprawiedliwienie.

Jerry Peake czekał w dyżurce na powrót siostry Almy, która miała przyprowadzić doktora Werfella. Tymczasem szpital budził się do życia. Puste korytarze wypełniły się pielęgniarkami roznoszącymi pacjentom lekarstwa, sanitariuszami przewożącymi na wózkach pacjentów z oddziału na oddział, a także lekarzami, którzy ruszyli na poranny obchód. Przenikliwą woń środków dezynfekcyjnych powoli tłumiły inne zapachy – alkoholu etylowego, olejku goździkowego, uryny, wymiocin – jakby pracowicie krzątający się personel wywłókł je z każdego zakamarka budynku.

Po dziesięciu minutach siostra Alma powróciła w towarzystwie wysokiego, przystojnego mężczyzny w białym fartuchu. Miał on sokole rysy, gęstą rudawą i siwiejącą brodę oraz porządnie utrzymane wąsy. Peake'owi kogoś przypominał, ale agent nie wiedział kogo. Alma Dunn przedstawiła go jako doktora Hansa Werfella, naczelnego lekarza na nocnej zmianie.

Doktor Werfell spojrzął na zabłocone buty Peake'a, następnie na jego pogniecione nogawki spodni, i rzekł:

– Panna Kiel nie znajduje się w stanie krytycznym i myślę, że jeszcze dziś lub jutro będzie mogła opuścić szpital. Niemniej jednak ma za sobą ciężkie przeżycie psychiczne i uważam, że należy jej pozwolić, by doszła do siebie. Właśnie w tej chwili śpi i proszę jej nie przeszkadzać.

Nie patrz tak na moje buty, cholera! – pomyślał Peake, na głos zaś powiedział:

– Rozumiem pańską troskę o pacjentkę, doktorze, ale to sprawa wagi państwowej.

Werfell oderwał wreszcie wzrok od obuwia agenta i marszcząc brwi, odezwał się:

- Co szesnastoletnia dziewczyna może mieć wspólnego ze sprawami bezpieczeństwa państwowego?
- Ponad wszelką wątpliwość może – odparł Peake, starając się swej dziecinnej twarzy nadać wyraz stanowczości, który przekonałby Werfella o powadze sytuacji i zachęcił go do współpracy.
- Nie ma mowy, żeby ją obudzić – mimo to odmówił lekarz. – Jest pod wpływem środków nasennych i nie mogłaby udzielić panu rzetelnych informacji.
- Czy nie może pan podać jej czegoś, co wywołałoby kontrreakcję?

Marszcząc brwi, Werfell wyraził swoją dezaprobatę.

– Panie Peake, to jest szpital. Mamy pomagać ludziom w powrocie do zdrowia. A panna Kiel nie wróciłaby do zdrowia, gdybyśmy nafaszerowali ją lekami tylko po to, żeby wywołać kontrreakcję na inne leki i zadowolić niecierpliwego agenta federalnego.

Peake poczuł, że się rumieni.

- Nie namawiam pana, by łamał pan zasady etyki lekarskiej...
- Dobrze. – Patrycjuszowska twarz i maniery lekarza nie zachęcały do dyskusowania z nim. – W takim razie proszę poczekać, aż dziewczyna sama się obudzi.

Sfrustrowany i wciąż nie wiedzący, kogo przypomina mu doktor Werfell, Peake zaproponował:

– Ale ja myślę, że ona mogłaby nam powiedzieć, gdzie możemy znaleźć kogoś, kogo musimy znaleźć jak najszybciej.

– No cóż, jestem pewien, że pacjentka, gdy już obudzi się i będzie wypoczęta, odpowie na wszystkie pytania.

- A kiedy to nastąpi, doktorze?
- Hmm... za cztery godziny, może później...
- Co? Dlaczego tak długo...?
- Lekarz z nocnej zmiany zaaplikował jej lekki środek nasenny, ale to było dla niej za mało. Gdy odmówił podania czegoś mocniejszego, wzięła to, co miała.
- To, co miała?
- Tak, ponieważ zorientowaliśmy się, że dziewczyna trzymała w torebce kilka tabletek benzedryny zawierającej amfetaminę.
- Bennies, uppers?* [**Bennies, uppers – slangowa nazwa środków zawierających amfetaminę (przyp. tłum.).*]

– Tak. Zapakowane w woreczek foliowy. W drugim zaś woreczku miała środki uspokajające oraz nasenne. Dużo silniejsze od naszych, a więc na pewno zasnęła teraz bardzo głęboko. Oczywiście, skonfiskowaliśmy to, co jej zostało.

- Poczekał w jej pokoju – rzekł Peake.
- Nie – sprzeciwił się Werfell.
- No to na korytarzu.
- Obawiam się, że nie.
- A więc poczekał tu.
- Tu będzie pan przeszkadzał – oznajmił Werfell. – Zaczeka pan w pokoju dla odwiedzających, a my pana powiadomimy, kiedy pacjentka się obudzi.
- Poczekał tu – nalegał Peake, próbując nadać swej twarzy wygląd najbardziej srogi, nieustępliwy i poważny, na jaki było go stać.
- W pokoju dla odwiedzających – powtórzył rozeźlony Werfell. – I jeśli nie uda się pan tam

natychmiast, poproszę naszych strażników, żeby zaprowadzili pana siłą.

Peake zawahał się. Żałował, że nie potrafi być bardziej agresywny.

– W porządku, ale ma mnie pan zawiadomić o tym, że się obudziła, natychmiast!

Zdenerwowany agent odwrócił się od lekarza i ruszył korytarzem w poszukiwaniu pokoju dla odwiedzających. Był zbyt zmieszany, by spytać, gdzie to jest. Odwrócił się i zobaczył, że doktor Werfell oddał się już całkowicie rozmowie z innym lekarzem. Dopiero wtedy uzmysłowił sobie, dlaczego twarz Werfella wydała mu się znajoma. Doktor był sobowtórem Dashiella Hammetta, groźnego detektywa z agencji Pinkertona i autora powieści kryminalnych, dobrze znanych takiemu fanatycznemu ich czytelnikowi jak Peake. No, to dlatego lekarz wydawał się uosobieniem autorytetu. O kurczę! Dashiell Hammett! Peake poczuł się dużo lepiej, gdy okazało się, przed kim to musiał ustąpić.

Rachael i Benny spali następne dwie godziny, po czym obudzili się prawie w tym samym czasie i znów zaczęli się kochać. Jej było tym razem jeszcze lepiej niż poprzednio. Kochanek poruszał się wolniej, namiętniej i w wyjątkowo dopasowanym do niej rytmie. Rachael miała mocne, giętkie ciało, które naprężone, czerpało wielką intensywną przyjemność z własnej wspaniałej formy fizycznej. Każde drgnięcie mięśnia, najmniejszy ich ruch dostarczały jej wyrafinowanej satysfakcji, płynącej nie tylko z faktu fizycznego złączenia z ciałem mężczyzny, ale także ze świadomości sprawnego funkcjonowania całego organizmu – mięśni, ścięgien, kości... Tylko to czyniło, że czuła się młoda i zdrowa, czuła, że żyje.

Miała szczególny dar wykorzystywania każdej chwili. Tak więc zaczęła wędrować dłońmi po ciele Bena, podziwiając jego smukłość, twardość mięśni na barkach, plecach i ramionach, jedwabistą delikatność skóry. Sławiła kołyszący ruch bioder mężczyzny uderzających o jej biodra, ocierających o siebie ud, chłoneła żar dotykających ją rąk, palącego gorąca ust całujących jej policzki, wargi, szyję, piersi.

Nie miała mężczyzny od prawie piętnastu miesięcy. I jeszcze nigdy w życiu nie kochała się tak jak teraz, jeszcze nigdy w życiu nie było jej tak dobrze, błogo i radośnie. Nigdy nie czuła się równie bezpieczna. Miała wrażenie, jakby do tej pory jedynie na wpół żyła, teraz zaś nadeszła godzina jej wskrzeszenia.

Gdy wygasła namiętność, przez chwilę leżeli w swych ramionach spokojnie, nie odzywając się, ale powoli delikatne światło kochania ustępowało miejsca dziwnemu niepokojowi. Zrazu Rachael nie wiedziała, co to jest, ale wkrótce rozpoznała ten szczególny, irracjonalny i najwyraźniej instynktowny lęk przed zakopaniem żywcem. Jej nagie ciało ogarnął jakiś chłód, a po plecach przeszły ciarki.

Spojrzała na Bena, który uśmiechał się lekko, i przez chwilę – wpatrując się w jego kochaną twarz, w jego oczy – doznała dziwnego, niepokojącego uczucia, że go straci.

Próbowała tłumaczyć sobie, że ta nagła obawa to naturalna reakcja trzydziestoletniej kobiety, która ma za sobą nieudane małżeństwo i nagle spotyka dzięki cudownemu zrządzeniu losu mężczyznę swych marzeń. Można to nazwać syndromem: „nie zasługuję na takie szczęście”. Kiedy życie wręcza nam wreszcie bukiet pięknych kwiatów, zwykle patrzymy podejrzliwie, czy między płatkami nie ukryła się osa. Przesąd wynikający głównie z niewiary w szczęście leżał chyba u podstaw natury ludzkiej, toteż nie było w tym nic dziwnego, że Rachael bała się stracić ukochanego.

Tak właśnie próbowała to sobie tłumaczyć. Wiedziała jednak, że ten nagły przestach to coś więcej niż tylko zabobon, że to coś znacznie bardziej mrocznego. Ciarki na jej plecach przeniknęły aż do kręgow, zamieniając je w kostki lodu, chłód, który najpierw czuła na skórze, dotarł w głąb aż do kości.

Odwróciła się od Bena i wyrzuciła nogi poza krawędź łóżka, po czym wstała, naga i drżąca.

– Rachael?

– Musimy związać manatki – powiedziała z przestachem w głosie, zmierzając do łazienki.

W złocistym świetle jej postać była równie wyraźna jak padające przez kuchenne okienko cienie palmowych liści.

– Co się stało? – spytał Benny.

– Siedzimy tu jak na celowniku. Musimy się związać. Nie wolno nam przejść do defensywy. Trzeba znaleźć Erica, zanim on znajdzie nas. Zanim ktokolwiek nas znajdzie.

Benny również wstał z łóżka i podszedł do Rachael. Przegrodził drogę do łazienki i położył ręce na jej ramionach.

– Wszystko będzie dobrze.

– Nie mów tak.

– Ależ tak będzie!

– Nie prowokuj losu.

– Razem jesteśmy silniejsi – powiedział. – Stanowimy potęgę.

– Nie mów tak – nalegała Rachael, kładąc dłoń na jego ustach, by go uciszyć. – Proszę... Nie zniosłabym, gdybym miała cię stracić...

– Nie stracisz mnie – zapewnił Benny.

Ale gdy spojrzała mu w twarz, odniosła straszliwe wrażenie, że już go straciła, że śmierć nieuchronnie zbliżała się do niego i była coraz bliżej.

I znów syndrom: „nie zasługuję na takie szczęście”.

A może autentyczne przecucie?

Nie miała pojęcia, z czym ma do czynienia. Poszukiwania doktora Erica Lebena nie przyniosły pożądanых rezultatów. Ponura perspektywa niepowodzenia stanowiła dla Ansona Sharpa czynnik silnie stresujący. Czuł się tak, jakby siedział w tym podziemnym biurze, a ściany i stropy waliły się na niego, tak że czuł się, jakby go miały rozgnieść na miazgę. Ten człowiek nie potrafił przejść przez próbę niepowodzenia. Zawsze był zwycięzcą, zawsze górował nad innymi, nigdy nie myślał o sobie w innych kategoriach niż tylko sukcesu. Nie zniosłby, gdyby musiał myśleć o sobie inaczej. Jako jedyny przedstawiciel nadrzędnego gatunku istot, gdyż tak siebie widział, nie był limitowany moralnymi i etycznymi ograniczeniami typowymi dla zwykłych ludzi. Mógł robić wszystko, na co miał ochotę.

Tymczasem rozmieszczeni w terenie agenci meldowali mu, że w każdej chwili spodziewają się pojawienia żywego trupa. Sharp stawał się coraz bardziej zły i zdenerwowany. Widocznie wiedza agentów o Ericu Lebenie nie była tak gruntowna, jak im się wydawało. Zapewne – przewidując taką sytuację – genetyk zawnazs przygotował sobie bezpieczną kryjówkę, której lokalizację zdołał utrzymać w tajemnicy nawet przed DSA. Jeśli okazałoby się to prawdą, porażka pościgu za Lebenem stanowiłaby osobistą klęskę Sharpa. Za bardzo bowiem identyfikował się z tą operacją, zbyt silnie wierzył w jej powodzenie.

Chwila przerwy, po czym następny telefon. To Jerry Peake meldował, że w szpitalu w Palm Beach odnalazł Sarah Kiel, nieletnią kochankę Lebena.

– Ale te cholerne łapiduchy nie chcą mi pomóc – poskarżył się zgodnie z prawdą, ale w charakterystyczny dla siebie płacziwy sposób.

Czasami Anson Sharp myślał sobie, że zalety otaczania się nieszkodliwymi, słabymi ludźmi nie równoważą bilansu strat wynikających z ich nieefektywności. Pewnie, że żaden z nich nie zagrozi mu, kiedy już zostanie dyrektorem agencji, ale też nie będą zdolni działać samodzielnie, co z kolei jemu, jako

ich przełożonemu, nie wystawi najlepszego świadectwa.

– Zaraz tam będę – powiedział Sharp. – Dziecko nie zdąży się jeszcze obudzić.

Dochodzenie na terenie Geneplan może być przez jakiś czas prowadzone bez niego. Naukowcy i laboranci, którzy rano przyszli do pracy, zostali odesłani do domów z poleceniem, by aż do odwołania nie zjawiali się w korporacji. Spece od komputerów z DSA szukali w banku danych informacji dotyczących projektu „Wildcard”, ale ich robota była tak specjalistyczna, że Sharp ani nie mógł zrozumieć, o co tam chodzi, ani tym bardziej ich kontrolować. Zadzwoił jeszcze do kilku agencji federalnych w Waszyngtonie. Potrzebne mu były – i uzyskał je – informacje na temat szpitala Desert General oraz doktora Hansa Werfella, które mogłyby okazać się pomocne w pertraktacjach. Następnie wsiadł do dyspozycyjnego śmigłowca i poleciał nad pustynią do Palm Springs. Cieszył się, że znów był w drodze.

Rachael i Benny pojechali taksówką na lotnisko w Palm Springs, gdzie w firmie Hertz wynajęli nowego, czystego fordą. Zdążyli wrócić do miasta w samą porę, by być pierwszymi klientami sklepu odzieżowego, otwieranego o dziewiątej trzydzięci. Rachael kupiła sobie brązowe dżinsy, jasnożółtą bluzeczkę, grube białe podkolanówki i parę adidasów. Benny wybrał dla siebie dżinsy w standardowym błękitnym kolorze, białą koszulę, skarpety i podobną parę sportowego obuwia. Przebrali się, zrzucając sfatygowaną garderobę w toalecie stacji benzynowej na północnym krańcu Palm Canyon Drive. Częściowo dlatego, że bali się, iż mogą zostać wytropieni, częściowo zaś, by nie tracić czasu, nie zatrzymali się nigdzie na śniadanie, lecz kupili u McDonalda kanapki, które zjedli, jadąc samochodem.

Rachael zaraziła przyjaciela przecuciem zbliżającej się śmierci i nagłym – niemal profetycznym – przeświadczeniem, że kończy się ich czas; tym samym, którego po raz pierwszy doznała w motelu zaraz po tym, jak skończyli się kochać po raz drugi. Benny próbował ją uspokajać, ale sam z minuty na minutę stawał się coraz bardziej niepewny. Byli jak para zwierząt, która niezależnie od siebie instynktownie przeczuwa nadciągającą burzę.

Rachael żałowała, że nie mogą jechać jej czerwonym mercedesem. Straciliby wówczas mniej czasu, niż poruszając się wypożyczonym fordem. Usiadła na siedzeniu obok kierowcy i bez entuzjazmu zaczęła jeść kanapkę od McDonalda. Benny wyjechał w kierunku północnym na drogę stanową numer sto jedenaście, z której następnie skręcił na międzystanową dziesiątą prowadzącą na zachód. Choć wyciskał z fordą, ile tylko się dało, jadąc ze zdumiewającą i nietypową dla handlarzy nieruchomości brawurą i lekkością, to jednak nie mieli szans, by do domku Erica nad jeziorem Arrowhead dojechać wcześniej niż o pierwszej w południe.

Rachael modliła się, by nie było za późno. I starała się nie myśleć, jak wyglądać będzie Eric, jeśli w ogóle go znajdą.

Zombie blues

Ericowi przeszedł już atak ślepej furii i powoli odzyskiwał zmysły. Nadal znajdował się w zdemolowanej sypialni swego domku wypoczynkowego, gdzie wszystko, co tylko wpadło mu w ręce, musiał natychmiast roztrzaskać. Pod czaszką czuł silne, bolesne pulsowanie, a we wszystkich mięśniach tępy, rwący ból. Członki miał spuchnięte i zdrętwiałe, oczy zaś rozpalone i nieprzytomne. Bolały go zęby, a w wyschniętych ustach czuł niesmak.

Po każdym napadzie bezmyślnego szaleństwa Eric popadał w ponury nastrój. Przebywał w szarym świecie, z którego wszystkie kolory zostały wymyte, a dźwięki wyciszone, gdzie kształty przedmiotów były zamazane, światło zaś – niezależnie od tego, jak silne było jego źródło – przytłumione i nie dość jasne, by rozproszyć mrok. To tak, jakby atak szau go wydrenował i teraz musiał uzupełnić zapas energii. Poruszał się ospale, trochę niezdarnie i myślenie sprawiało mu wyraźną trudność.

Gdy zakończy się proces zdrowienia, na pewno minie mu śpiączka i ponure nastroje. Takie tłumaczenie nie podniosło go jednak na duchu, gdyż kłopoty z koncentracją utrudniały Ericowi abstrakcyjne myślenie o przyszłości, o lepszym jutrze. Jego kondycja była straszna, nieprzyjemna, wprost przerażająca, czuł się tak, jakby nie panował nad sobą i – w gruncie rzeczy – był uwięziony w pułapce własnego ciała, skazany na ten na razie niedoskonały i na wpół umarły organizm.

Poczłapał do łazienki, niespiesznie wziął prysznic i umył zęby. W domku trzymał ubrania i bieliznę, tak jak w Palm Springs, żeby nie trzeba było za każdym razem, ilekroć tu przyjeżdżał, pakować walizki. Włożył teraz spodnie w kolorze khaki, koszulę w szkocką kratę, wełniane skarpety i traperki. W tym dziwnym mglistym stanie, w jakim się znajdował, rutynowe czynności poranne zajęły mu więcej czasu niż normalnemu człowiekowi. Najpierw miał trudności z wyregulowaniem temperatury wody, potem szczoteczka do zębów wypadła mu z dłoni, wreszcie nie mógł zgrabiałymi palcami zapiąć guzików koszuli. Gdy chciał podwinąć rękawy, materiał wymykał mu się z dłoni, jak gdyby się sprzeciwiał tej czynności. Zasznurowanie butów udało mu się tylko dzięki wielkiemu wysiłkowi, jaki w to włożył.

I znów zaczęły go nękać cieniste ognie.

Kilkakrotnie pojawiły się gdzieś w tle płomienie strzelające z mrocznych zakamarków. To tylko krótkie spięcia w fatalnie uszkodzonym, ale zdrowiejącym mózgu, myślał. Iluzja zrodzona w synapsach mózgowych między neuronami i nic więcej. Ale gdy się odwrócił, by dokładnie przyjrzeć się owym płomieniom, nie rozmyły się ani nie wyblakły, jak stałoby się ze zwykłymi mirażami. Co więcej, zyskały nawet na intensywności.

Choć nie dawały ani ciepła, ani dymu, nie potrzebowały paliwa, ani w ogóle nie były fizyczne, Eric patrzył na te istniejące, a nie istniejące ognie z rosnącym strachem. Może dlatego, że widział w nich – czy raczej za nimi – coś tajemniczego i przerażającego, jakieś ukryte pod zasłoną ciemności potworne kształty, kiwające na niego przez skaczące płomienie. Choć zdawał sobie sprawę, że te fantomy są tylko częstkami jego chorej wyobraźni, choć nie znał ich znaczenia, a zatem nie wiedział, dlaczego miałby się ich bać, to jednak bał się. Czasami – zahipnotyzowany cienistymi ogniami – słyszał własne kwilenie, płacz dręczonego dziecka.

Jedzenie. Chociaż zmodyfikowane genetycznie ciało Erica było zdolne do cudownej samoregeneracji i błyskawicznej rekonwalescencji, jednak wciąż potrzebowało właściwego odżywiania – witamin, składników mineralnych, węglowodanów, protein – elementów, które służyły do odbudowy zniszczonych tkanek. I po raz pierwszy od czasu ucieczki z kostnicy poczuł głód.

Niespiesznie poczłapał do kuchni i szurając nogami, skierował się w stronę lodówki.

Nagle zdało mu się, że widzi jakiś kształt wysuwający się z pęknięcia w ścianie, gdzieś na krawędzi wizji. Coś obłego i cienkiego jak owad. Coś stanowiącego zagrożenie. Wiedział jednak, że to znów iluzja. Nieraz już widywał takie rzeczy. To kolejny objaw uszkodzenia mózgu. Nie należy zwracać na to uwagi, nie należy bać się tego, nawet jeśli do uszu dociera stukanie o ścianę chitynowego pancerza owada. Tap, tap, tap. Eric nie chciał dłużej na to patrzeć. Znikaj! Przytrzymał się lodówki. Stukanie. Zaciśnął zęby. Znikaj! Odgłos ucichł. Kiedy znów spojrzął na pęknięcie w ścianie, nie było tam już nic, czego mógłby się lękać.

Ale teraz zobaczył od dawna nieżyjącego wuja Barry'ego. Siedział przy stole kuchennym i uśmiechał się złośliwie. Kiedy Eric był dzieckiem, regularnie oddawano go pod opiekę wuja Barry'ego Hampsteada, który wykorzystywał go seksualnie. Eric bał się powiedzieć o tym komukolwiek, gdyż Hampstead straszył go, że zrobi mu wtedy krzywdę, że utnie mu siusiaka. Groźby te były dla dziecka tak realne i zatrważające, że Eric ani przez chwilę nie wątpił w prawdziwość słów wuja. Teraz Barry siedział przy stole, jedną rękę opuścił na wysokość podbrzusza, znów uśmiechnął się i rzekł: „Chodź tu, kochanieńki, zabawimy się”. Eric słyszał ten głos tak wyraźnie, jak trzydzieści pięć lat temu, choć wiedział, że ani mężczyzna, ani głos nie istnieją poza jego wyobraźnią. Bał się Barry'ego Hampsteada tak samo jak wówczas, chociaż zdawał sobie sprawę, że wuj nic mu teraz nie może zrobić, bo go nie ma.

Zamknął oczy i zapragnął, by ułuda zniknęła. Stał tak i trząsał się przez dobrą minutę. Nie chciał otworzyć oczu do czasu, kiedy będzie miał absolutną pewność, że fantomu już nie ma. Ale nagle przyszło mu do głowy, że może Barry naprawdę tu jest i teraz skrada się do nic nie widzącego Erica, że za chwilę chwyci go za genitalia, chwyci i zaciśnie dłoń...

Otworzył oczy.

Duch Barry'ego Hampsteada zniknął.

Eric odetchnął z ulgą i wyjął z lodówki kanapki z parówkami firmy Farmer John. Podgrzał je w piecyku, starając się skoncentrować na tym, co robi, aby uniknąć poparzenia. Z kolei wolno i cierpliwie, trzęsącymi się rękami, zaparzył sobie w dzbanku kawę. Usiadł przy stole, głowę trzymając nisko nad blatem i objając o niego łokcie, i zaczął jeść, popychając kęsy kolejnymi filiżankami gorącej kawy Maxwell House.

Przez chwilę miał nienasycony apetyt i sam akt jedzenia sprawiał, że czuł, iż naprawdę żyje. Nic jeszcze od chwili zmartwychwstania nie dało mu tak cudownego uczucia. Gryzienie, przeżuwanie, smakowanie, przełykanie – te proste czynności przywracały jego obecność wśród żywych bardziej niż cokolwiek innego od chwili śmierci pod kołami śmieciarki na Main Street. Przez chwilę czuł się podniesiony na duchu.

Potem nagle zdał sobie sprawę, że smak parówek nie jest ani tak ostry, ani tak przyjemny jak za czasów, gdy żył naprawdę. Albo raczej nie potrafił teraz docenić tego smaku. Przysunął nos do gorącego, kapiącego tłuszczem jedzenia, lecz – choć wciągał głęboko powietrze – nie poczuł żadnego aromatycznego zapachu. Spojrzął na swe wilgotne, zimne i szare jak popiół ręce, w których trzymał kanapkę. Kawalek parującej kielbaski wyglądał bardziej „żywo” niż jego własne ciało.

Nagle cała sytuacja wydała się Ericowi przezabawna: oto nieboszczyk siedzi przy śniadaniu, zuje flegmatycznie kanapkę z parówką, wlewa do zimnego przełyku gorącą kawę Maxwell House i rozpaczliwie udaje, że jest pośród żywych. Jakby na własne życzenie można było cofnąć śmierć i przywrócić życie, wykonując pewne doczesne czynności: kąpiąc się pod prysznicem, myjąc zęby, jedząc, pijąc, wydalając, konsumując niewyszukane potrawy. Przecież muszę żyć, myślał, bo w końcu ani w niebie, ani w piekle nie mają parówek Farmer John ani kawy Maxwell House, prawda? Muszę żyć, bo

obsługiwałem ekspres do kawy Mr Coffee i kuchenkę firmy General Electric, a tam, w kuchni, stoi lodówka Westinghouse i cicho brzęczy. Chociaż są to produkty sprzedawane w całych Stanach, to na pewno nie mają ich na drugim brzegu Styksu, a więc muszę żyć.

Czarny humor, bardzo czarny, ale Eric roześmiał się głośno. Śmiał się i śmiał, aż nagle usłyszał swój śmiech. Brzmiał twardo, zimno i chrapliwie, nie był to prawdziwy śmiech, lecz jego kiepska, ordynarna imitacja, przypominająca dławienie się. Zupełnie tak, jakby Eric połknął kamienie, które teraz grzechotały, objijając się w przetyku jeden o drugi. Przerażony tym odgłosem, wzdygnął się i zaczął szlochać. Wypuścił z rąk kanapkę, strącił na podłogę resztę jedzenia i nakrycie, rozpostarł na pustym blacie ramiona i skrył w nich twarz. Wydawał z siebie przeciągłe jęki, na dłuższą chwilę popadł w głęboką żalność nad sobą.

Myszy, myszy, pamiętaj o myszach rzucających się na pręty swych klatek...

Wciąż nie wiedział, co znaczą te myśli, nie mógł przypomnieć sobie żadnych myszy, choć czuł, że jest coraz bliżej rozwiązania tej zagadki. Pamięć o myszach, białych myszach, krążyła gdzieś złowrogo, prawie w zasięgu ręki.

Ponury nastrój Erica stał się jeszcze bardziej ponury, a stępione zmysły – jeszcze bardziej tępe.

Po chwili zdał sobie sprawę, że zapada w kolejną śpiączkę, jeden z tych okresów zawieszenia, kiedy to serce dramatycznie zwalniało swą pracę, a oddech redukował się do ułamka normalnej częstotliwości, dając organizmowi możliwość kontynuowania procesu sanacji i akumulowania nowych rezerw energetycznych. Osunął się z krzesła na podłogę i zwinął w kłębek obok lodówki.

Benny skręcił koło Redlands z międzystanowej „dziesiątki” na stanową drogę numer trzysta trzydzieści. Od jeziora Arrowhead dzieliło ich już tylko czterdzieści kilometrów.

Dwupasmowa nitka wdzierала się wężowym ruchem w masyw gór San Bernardino. Droga to podnosiła się, to opadała, nawierzchnia była w niektórych miejscach nierówna, a w innych zdarzały się nawet wyrwy. Na prawie całej długości brakowało pobocza, a tuż za rachitycznymi barierkami zaczynało się strome urwisko. Nie było tu więc zbyt dużo miejsca na swobodę manewrów i musieli znacznie ograniczać prędkość. I tak zresztą Ben prowadził fordą dużo szybciej, niż robiłaby to Rachael.

W nocy Rachael zdradziła mu wszystkie tajemnice dotyczące projektu „Wildcard” i obsesji Erica. Teraz oczekiwała rewanżu. Ale Benny nie powiedział jej nic, co mogłoby wyjaśnić fachowość, z jaką załatwił Vincenta Baresco, zręczność w prowadzeniu samochodu czy też znajomość broni. Choć ciekawość Rachael była olbrzymia, nie naciskała. Czuła, że to dużo bardziej prywatna tajemnica niż sekrety, które ona mu wyjawiała, i że Benny zbyt długo starał się o wszystkim zapomnieć, żeby teraz tak prędko zacząć o tym mówić. Wiedziała, że kiedyś to nastąpi, ale on sam zdecyduje, czy nadeszła odpowiednia pora. Przejechali kilometr od Redlands i przed nimi było jeszcze trzydzieści kilometrów do najbliższej miejscowości – Running Springs, gdy Benny najwyraźniej uznał, że już czas. Droga pięła się wyżej i wyżej, a po obu jej stronach zaczęły wyrastać coraz bardziej strome skały i drzewa – zrazu brzozy i sękate dęby, potem różne rodzaje sosen, modrzewie i nawet świerki. Wkrótce znaleźli się w aksamitnym cieniu zwisających zewsząd konarów. Nawet w klimatyzowanym wnętrzu pojazdu odczuwało się spadek temperatury. Męczący pustynny żar został za nimi. I chyba właśnie spowodowana ochłodzeniem ulga podniosła Bena Shadwaya na duchu i skłoniła do przerwania milczenia. Jechali tunelem wśród cienistych sosen, a Benny mówił miękko, lecz dobitnie.

– Gdy miałem osiemnaście lat, wstąpiłem na ochotnika do komandosów, bo chciałem walczyć w Wietnamie. Nie byłem pacyfistą, jak tyłu innych ludzi, choć także nie należałem do fanatyków wojny. Uważałem po prostu, że należy walczyć za swój kraj, niezależnie od tego, czy po słusznej, czy po

niesłusznej stronie. Jak się okazało, miałem pewne uzdolnienia, wrodzone cechy, które umożliwiły mi kandydowanie do elitarnego oddziału zwiadowczego – Marine Reconnaissance, który jest odpowiednikiem Army Rangers w piechocie czy Navy SEALs w marynarce. Wcześniej mnie odkryli i posłali na solidne przeszkolenie. I tak stałem się żołnierzem w każdym calu. Wiedziałem doskonale, jak posługiwać się bronią, ale nawet bez niej potrafiłem zabić przeciwnika gołymi rękami, szybko i sprawnie, zanim ten mógł się w ogóle zorientować, o co chodzi. Tak więc poleciałem do Wietnamu z oddziałem zwiadowczym i miałem zagwarantowane wiele wrażeń. Zresztą tego chciałem. I przez kilka pierwszych miesięcy byłem całkowicie *gung ho*, w swoim żywiole, w ogniu walki.

Benny wciąż prowadził samochód po mistrzowsku, ale Rachael spostrzegła, że w miarę jak opowieść przenosiła się w głąb dżungli południowo-wschodniej Azji, zmniejszał prędkość.

Słońce przedarło się przez zasłonę cienia i kaskady światła spadły na przednią szybę. Benny przymrużył oczy.

– Ale spędziłem kilka miesięcy po kolana we krwi, widziałem, jak umierali moi kumple – sam też co dzień ryzykowałem życie – jak wciąż strzelano do bezbronnej ludności cywilnej, palono wioski, kaleczono dzieci... No i wtedy zaczęły się moje wątpliwości. Musiały się zacząć.

– O Boże, Benny. Tak mi przykro. Nigdy nie podejrzewałam, że przeszedłeś przez to wszystko, przez taki koszmar...

– Nie musi ci być przykro. Wróciłem żywy i ułożyłem sobie jakoś życie. Inni nie mieli tego szczęścia.

Mój Boże, pomyślała Rachael, przecież mogłeś stamtąd nie wrócić. Wtedy nigdy bym cię nie poznała, nigdy cię nie kochała, nie wiedziałabym, co straciłam.

– W każdym razie – kontynuował cicho – wątpliwości wątpliwościami, a ja przez resztę roku walczyłem w obronie legalnie wybranego rządu Wietnamu Południowego, chociaż był to rząd kompletnie skorumpowany. Walczyłem, by ochronić wietnamską kulturę przed zniszczeniem jej przez komunizm, ale tę samą kulturę niszczyły dziesiątki tysięcy amerykańskich żołnierzy, nieustępliwie amerykanizujących kraj.

– Chcieliśmy wolności i pokoju dla narodu wietnamskiego – wtrąciła Rachael. – Przynajmniej ja tak to rozumiałam. – Nie skończyła jeszcze trzydziestki, była siedem lat młodsza od Bena. Ale tych siedem lat różnicy wystarczyło, żeby nie była to już jej wojna. – Nie ma nic złego w walce o wolność i pokój.

– Tak – odrzekł Benny niepewnym głosem. – Ale nam kazano przywracać pokój przez masowe mordowanie i zrównywanie tamtego cholernego kraju z ziemią. Przecież niewiele brakowało, a nie zostałby tam nikt, kto mógłby się cieszyć wywalczoną wolnością. Zacząłem się zastanawiać... czy mój kraj nie poszedł niewłaściwą drogą? Czy nie zaangażował się w niesłuszną sprawę? Czy nie stanął po stronie zła? A może to tylko ja, choć przeszedłem odpowiednie przeszkolenie, byłem zbyt młody i naiwny, by to zrozumieć?

Przez moment milczał, biorąc ostry zakręt w prawo, potem równie ostry w lewo. Dookoła wznosiły się strome zbocza skalne.

– Wycieczka do Azji dobiegła końca, a ja nie znalazłem zadowalających mnie odpowiedzi na te pytania. Postanowiłem więc ją przedłużyć...

– Zostałeś w Wietnamie, choć mogłeś wrócić do domu? – spytała zdumiona. – Mimo tych wszystkich przerażających odkryć?

– Musiałem dojść z tym do ładu – odparł Ben. – Po prostu musiałem. Przecież zabijałem ludzi, bardzo dużo ludzi, myśląc, że działam w słusznej sprawie. Musiałem więc sprawdzić, czy się nie

myliłem. Nie mogłem ot tak po prostu odlecieć do domu, zająć się swoim życiem i starać się o wszystkim zapomnieć. Nie mogłem, cholera! Musiałem znaleźć odpowiedź na pytanie, czy byłem dobrym obywatelem, czy zabójcą, a potem – jaki kompromis mógłbym zawrzeć z życiem i własną świadomością. Nie istniało lepsze miejsce do przeanalizowania tego problemu niż właśnie Wietnam. Zresztą, żeby zrozumieć, dlaczego zdecydowałem się zostać dłużej w tym piekle, musiałabyś znać mnie takiego, jaki wtedy byłem: młodego idealistę, patriotę gotowego za kraj oddać życie. Kochałem Amerykę, wierzyłem w Amerykę, wierzyłem z głębi serca i nie mogłem po prostu tej wiary odrzucić tak jak węże zrzucają skórę...

Minęli drogowskaz informujący, że do Running Springs pozostało dwadzieścia pięć kilometrów, a do jeziora Arrowhead – trzydzieści siedem.

– Zostałeś więc w Wietnamie na kolejny rok? – spytała Rachael.

Ben westchnął ciężko.

– Jak się później okazało... na dwa lata.

Eric Leben znajdował się wciąż w swym domku w górach, wysoko nad poziomem jeziora Arrowhead. Przez dłuższy, trudny do określenia czas przebywał w dziwnym stanie rozdwojenia: dryfował na krawędzi snu i jawy, życia i śmierci, a jednocześnie genetycznie zmodyfikowane komórki jego organizmu pracowicie wytwarzały enzymy, proteiny i inne substancje, niezbędne do przebiegu procesu zdrowienia. W jego mózgu rodziły się krótkie, ciężkie sny i nie powiązane ze sobą obrazy, niczym szkaradne cienie skaczące w krwawym świetle łojowych świec.

Gdy wreszcie wyszedł z tego podobnego do transu stanu i znów był pełen energii, uprzytomnił sobie, że musi się uzbroić i być przygotowany do działania. Jego umysł nie był jeszcze w pełni jasny, pamięć miejscami dziurawa, nie potrafił więc odpowiedzieć sobie na pytanie, kto może go ścigać, ale instynkt podpowiadał mu, że jest ścigany.

To jasne jak słońce, pomyślał, że Sarah Kiel wyklepie o tym domu!

A ponieważ nie mógł sobie przypomnieć, kim jest Sarah Kiel, myśl ta wstrząsnęła nim. Stał, oparty o bufet kuchenny, kołysał się na palcach i usilnie próbował wyłowić z pamięci twarz pasującą do tego nazwiska.

Sarah Kiel...

Nagle przypomniał sobie i pożałował, że ją zostawił. Domek miał być absolutnie nikomu nie znaną przystanią. Nikomu nie powinien był o nim mówić. Problem jednak polegał na tym, że Eric musiał mieć młode kobiety, aby samemu czuć się młodym. Lubił im imponować, toteż nic dziwnego, że Sarah była pod wrażeniem pięciopokojowego domu ze wszystkimi wygodami, olbrzymich połaci prywatnego lasu i wspaniałego widoku na położone w dole jezioro. Dobrze im było, gdy się kochali na zewnątrz, na prześcieradle rozpostartym pod konarami wielkiej sosny. Czuł się wtedy taki młody! Ale teraz Sarah poznała tajemnicę jego powrotu i prześladowcy – których tożsamości nie potrafił jeszcze ustalić – mogli poprzez nią dotrzeć aż tutaj.

W wielkim pośpiechu Eric puścił się blatu i ruszył w stronę drzwi prowadzących do garażu. Wychodził z kuchni na mniej niż do tej pory sztywnych nogach, czuł w sobie więcej energii, a oczu nie raziło już jasne światło. W kątach przestały się czaić fantomy wuja, nie było też owadów, które mogłyby go znów wystraszyć – stan śpiączki przyniósł widocznie korzyści. Ale gdy położył rękę na klamce, stanął porażony kolejną myślą: Sarah nie może nikomu powiedzieć o tym domu, bo przecież nie żyje. Zabiłem ją parę godzin temu...

Zalała go fala przerażenia i mocniej chwycił klamkę, niczym kotwicę mającą go uchronić przez

zmyciem do oceanu wiecznej ciemności i szaleństwa. Nagle przypomniał sobie, jak pojechał do domu w Palm Springs, zbił dziewczynę, nagą dziewczynę, jak tłukł ją bezlitośnie pięściami. Widział teraz oczyma wyobraźni jej posiniaczoną, pokrytą krwawiącymi ranami twarz, a obrazy te skakały jak slajdy z popsutego rzutnika. Ale czy faktycznie ją zabił? Nie, nie, na pewno nie. Lubił być brutalny wobec kobiet, to prawda, ich bicie sprawiało mu prawie taką samą przyjemność jak obserwowanie strachu w ich oczach. Ale nigdy by żadnej z nich nie zabił, nigdy tego nie zrobił i nie zrobi, nie, na pewno nie; był przecież szanującym prawo obywatelem, odnosił sukcesy materialne i towarzyskie, daleko mu do bandytów i psychopatów... Nagle zelektryzował go inny obraz, zamazany, ale przerażający – obraz ukrzyżowania Sarah w sypialni Rachael w Placentia; obraz przybijania jej nagiego ciała gwoździami do ściany nad łóżkiem jako ostrzeżenie dla Rachael. Wzdrygnął się i uzmysłowił sobie, że to nie Sarah zawisała na ścianie, lecz ktoś inny, jakaś dziewczyna, której nazwiska w ogóle nie znał, obca mu osoba, przypominająca nieco Rachael... Nie, to już przechodzi wszelkie wyobrażenia! On nie mógł zamordować dwóch kobiet, nie zabił nawet jednej... Ale zaraz przypomniał sobie kontener na śmieci, brudny zaułek i... jeszcze jedną martwą kobietę, trzecią kobietę, ładną Latynoskę, z gardłem podciętym skalpelem. To on wrzucił jej ciało do śmietnika...

Nie, o Boże, co ja z siebie zrobiłem? – zastanawiał się, a żołądek podchodził mu do gardła. – Jestem badaczem i badanym, stwórcą i stworzeniem. Musiałem popełnić jakiś błąd, straszliwy błąd. Czy to możliwe, że stałem się z własnej winy potworem Frankenstein?

Przez chwilę znów miał jasny umysł, a prawda rozbłysła mu w głowie niczym promienie wschodzącego słońca na świeżo umytej szybie okiennej.

Gwałtownie potrząsnął głową, udając, że chce odpędzić od siebie resztki koszmaru, który zamglił mu umysł. W rzeczywistości jednak rozpaczliwie próbował pozbyć się niemiłej, nieznośnej świadomości. Fatalnie uszkodzony mózg wraz z wątpliwym stanem fizycznym organizmu ułatwiły odrzucenie prawdy. Gwałtowne potrząśnięcie głową wystarczyło, by świat zawirował mu przed oczami, by poczuł, że traci równowagę, a umysł znów spowija mgła. Zaczął mieć trudności z uporządkowaniem myśli. Ponownie spieszył się i stracił orientację.

Martwe kobiety to jakieś fałszywe wspomnienie, oczywiście, że tak, to nie może być prawda. Eric nie jest zdolny do dokonania zabójstwa z zimną krwią. Te trzy trupy to takie same przywidzenia jak wuj Barry i te dziwne owady, które czasami jawią mu się przed oczami.

Pamiętaj o myszach, pamiętaj o myszach, oszalałych, rozwścieczonych myszach...

Jakich myszach? Co mają z tym wspólnego rozwścieczone myszy? Do diabła z tymi myszami!

W końcu najważniejsze jest, że nie mógł zabić człowieka, a cóż dopiero trzech kobiet! Nie, nie on. Nie Eric Leben. W jego mrocznej, na wpół chorej i niespokojnej pamięci te koszmarne obrazy były bez wątpienia niczym innym jak tylko iluzjami, tak jak owe cieniste ognie, które wyrastały z powietrza. Stanowiły zaledwie wynik spięcia wywołanego przez impulsy elektryczne w zniszczonej tkance mózgowej. Na razie nie ważył się dłużej nad nimi zastanawiać, bo zaczęłby wtedy wątpić w siebie i własne zmysły, a także – i tak kruchą – kondycję fizyczną. A na to brakowało mu energii.

Trzęsąc się i pocąc, otworzył drzwi do garażu. Zapalił światło. Należący do niego czarny mercedes 560 SEL stał zaparkowany tam, gdzie go zostawił minionej nocy. Kiedy spojrzął na swoje auto, nagle uderzyło go wspomnienie innego samochodu, starszego i mniej eleganckiego, w którego bagażniku ukrył martwą kobietę...

Nie. To znów fałszywe wspomnienie. Iluzja. Ułuda. Rozpostarł palce dłoni i oparł się nią o ścianę. Przez chwilę stał tak, zbierając siły i starając się oczyścić umysł. Gdy wróciła mu chęć działania, nie

pamiętał już, po co przyszedł do garażu.

Jednakże stopniowo powracało także instynktowne przeczucie, że ktoś czyha na niego, skrada się, chce go dopaść i że w związku z tym trzeba się uzbroić. Rozkojarzony umysł nie potrafił podsunąć mu jasnego wizerunku ludzi, którzy go ścigali, ale Eric wiedział, że znajduje się w niebezpieczeństwie. Puścił się ściany i przeszedł obok samochodu do tej części garażu, gdzie mieścił się podręczny warsztat.

Żałował, że nie był na tyle przewidujący, by wziąć ze sobą broń. Teraz musiał zdać się na siekiere, którą zdjął ze ściany, gdzie wisiała, zrywając przy tym obrastające trzonek pajęczyny. Używał jej do dzielenia polan, którymi palił w kominku, oraz do rąbania drewna na podpałkę. Była ostra i stanowiła wyborną broń.

Choć nie był zdolny do mordowania z zimną krwią, wiedział, że – jeśli byłoby to konieczne – potrafiłby zabić w obronie własnej. Nie ma nic złego w tym, że człowiek chce ocalić życie. Samoobrona to nie morderstwo – można się z tego oczyścić.

Przez chwilę ważył w ręce siekiere. Tak, z tego się można oczyścić.

Potem wypróbował broń, rzucając ją przed siebie. Przecięła powietrze z głośnym świstem. Z tego się można oczyścić...

Około czternastu kilometrów przed Running Springs, a dwadzieścia pięć przed jeziorem Arrowhead, Benny zjechał z drogi i zaparkował w zatoczce stanowiącej punkt widokowy. Były tam dwa drewniane stoły dla turystów, kosz na śmieci i mnóstwo cienia rzucanego przez olbrzymie sosny. Benny wyłączył silnik i opuścił szybę. Górskie powietrze miało temperaturę o kilkanaście stopni niższą od pustynnego, które tak dało im się we znaki. Było nadal ciepło, ale nie upalnie. Delikatny wiaterek, który wpadł przez otwarte okno, podziałał na Rachael odświeżająco niczym kąpiel, zwłaszcza że pachniał ziołami i żywicą sosnową.

Nie pytała, dlaczego przyjaciel zjechał z drogi, gdyż było to oczywiste: niezmiernie zależało mu na tym, aby Rachael wyciągnęła odpowiednie wnioski z jego pobytu w Wietnamie, aby nie miała złudzeń, jakiego człowieka uczyniła zeń wojna. Benny nie mógł pogodzić opowiadania o swoich przeżyciach z bezpiecznym prowadzeniem samochodu na krętej górskiej drodze.

Zaczął mówić o drugim roku walk, o swoich wątpliwościach i rozpaczach, gdy uzmysłowił sobie straszną prawdę, że nie jest to czysta wojna w takim sensie, w jakim była nią druga wojna światowa, w której istniała wyraźniejsza możliwość moralnego wyboru. Z miesiąca na miesiąc – jako zwiadowca, któremu zlecano różne misje – posuwał się coraz bardziej w głąb pola walki. Często przekraczali linię ognia i wdzierali się na teren nieprzyjaciela. Celem tych tajnych misji było nie tylko nawiązywanie kontaktu bojowego z wrogiem i niszczenie go, ale także pozyskiwanie ludności cywilnej pokojowymi środkami, przekonywanie jej serc i umysłów do własnych racji. Wskutek różnorodności tych misji Benny poznał szczególne okrucieństwo nieprzyjaciela, doszedł do wniosku, że ta brudna wojna zmuszała jej uczestników do wyboru między mniejszym i większym złem: z jednej strony byłoby niemoralne zostać w Wietnamie i walczyć, stanowić część wojennej maszyny zabijania i niszczenia, z drugiej zaś byłoby jeszcze większym błędem odejść. Po upadku Wietnamu Południowego i Kambodży nastąpiłyby masowe mordy polityczne, z pewnością dużo gorsze od dramatów wojennych.

Głos Bena przypominał Rachael konfesjonały z czarnego drewna, w których klęczała jako dziewczyna.

– Poniekąd zdałem sobie sprawę, że choć byliśmy źli, po nas mogli przyjść jeszcze gorsi. Po naszym odejściu nastąpiłaby krwawa łaźnia. Miliony ludzi stracono by lub posłano na śmierć w obozach pracy przymusowej. Po nas byłby... potop.

Gdy mówił, nie patrzył na Rachael, lecz na porośnięte lasami zbocza gór San Bernardino. Rachael czekała. Benny ciągnął dalej:

– Tam nie było bohaterów. Miałem wtedy niecałe dwadzieścia jeden lat, a więc była to odważna myśl, że nie jestem bohaterem, lecz kimś na usługach mniejszego zła. W tym wieku jest się z reguły idealistą, optymistą i idealistą, ale ja widocznie zbyt dużo przeżyłem i dostrzegłem, że w życiu wiele zależy od takiej właśnie konieczności wyboru, wyboru – powtarzam – między mniejszym i większym złem.

Benny zaczerpnął głęboko świeżego górskiego powietrza, wdzierającego się przez otwarte okno, i wypuścił je ze świstem. Sprawiał wrażenie, jakby się bał, że samo mówienie o wojnie przynosi mu ujmę, a czyste powietrze – wciągnięte głęboko – mogło oczyścić jego duszę ze starych plam.

Rachael nic nie mówiła, głównie dlatego, że nie chciała mu przerywać wątku, pragnęła, by sam doszedł do końca opowieści. Inną przyczyną jej milczenia było odkrycie, że jej przyjaciel jest zawodowym żołnierzem. To stawiało go w zupełnie innym świetle. Musiała teraz dokonać całkowitego przewartościowania jego osoby.

Uważała, że to tak cudownie nieskomplikowany człowiek, zwyczajny pośrednik w handlu nieruchomościami, a jego prostota czyniła go w jej oczach atrakcyjnym. Bóg świadkiem, że dość miała urozmaicenia z Erikiem. Atmosfera normalności, jaką Ben tworzył wokół siebie, działała na nią kojąco. Był dla niej uosobieniem spokoju, odpowiedzialności, bezpieczeństwa. Benny – łagodny jak powoli płynący, uspokajający górski potok. Jego zainteresowanie kolejkami, starymi powieściami i muzyką z lat czterdziestych zdawało się potwierdzać tezę, że życie Bena Shadwaya pozbawione było poważniejszych wstrząsów. Rachael nie sądziła, aby człowiek skomplikowany i ciężko doświadczony przez życie mógł czerpać przyjemności z takich drobiazgów. Zafrapowany tą swoją przeszłością, Benny wyglądał jak dziecko – szczere, czyste, niewinne, i teraz trudno jej było uwierzyć, że to weteran, mający za sobą gorzkie rozczarowania oraz fizyczne i duchowe udreki.

– Moi kumple zginęli – kontynuował. – Oczywiście, nie wszyscy, ale wielu z nich, cholera! Trafieni w ogień walki, zdjęci przez snajpera, rozerwani na minie. Niektórzy wrócili do domów okaleczeni i sparaliżowani, ze zniekształconymi twarzami, poranionymi na zawsze ciałami i umysłami. Ponieważ nie walczyli za słuszną sprawę, lecz tylko w imię mniejszego zła, cena, którą przyszło im zapłacić, była wysoka, cholernie wysoka. Ale odejście, jedyna możliwość, jaka istniała, było do przyjęcia tylko pod warunkiem, że przymknęło się oczy na fakt istnienia większego i mniejszego zła.

– A więc na ochotnika zostałeś na trzeci rok służby – domyśliła się Rachael.

– Tak. Zostałem i przeżyłem. Nie byłem ani szczęśliwy, ani dumny z tego powodu. Po prostu robiłem, co do mnie należało. Nie była to łatwa deklaracja, ale złożyło ją wielu. A potem... nadszedł czas wycofania naszych oddziałów. Nigdy im tego nie przebaczę ani nie zapomnę. To nie my porzucaliśmy Wietnamczyków, lecz... ja sam czułem się porzucony. Rozumiałem, że doszło do ugody, nadal jednak byłem gotów do poświęceń. Tymczasem moja ojczyzna, w którą tak głęboko wierzyłem, kazała mi odejść i pozwolić, by zwyciężyło większe zło. Kiedy nareszcie zacząłem pojmować złożoną naturę wszystkich moralnych aspektów tej wojny, oni kazali mi zapomnieć o wszystkim, jakby to wszystko była tylko... pieprzona zabawa!

Rachael nigdy jeszcze nie słyszała w głosie Bena takiego gniewu rozpalonego jak kuta stal, nigdy nie wyobrażała sobie, że w ogóle jest do tego zdolny. Choć kontrolował się i zachowywał spokojnie, poczuła lekki przestrich.

– To był prawdziwy szok dla dwudziestojedynolatka – ciągnął dalej Benny – kiedy dowiedział się, że

życie nie zamierza dać mu szansy na stanie się prawdziwym bohaterem. Jeszcze gorsza była prawda, że ojczyzna może zmusić do robienia rzeczy niesłusznych. Po naszym odejściu Vietcong w Wietnamie i Czerwoni Khmerzy w Kambodży wymordowali trzy albo cztery miliony ludzi. Następne pół miliona zginęło, próbując uciec przez ocean na wzruszających, ale lichych tratwach. I... i... nie wiem, jak to wyrazić, ale wydaje mi się, że w pewnym stopniu ja też jestem winien ich śmierci. My wszyscy jesteśmy winni ich śmierci, ale czasami czuję na sobie ten ciężar i jest on tak wielki, że nie mogę go udźwignąć.

– Jesteś wobec siebie zbyt surowy.

– Nie, to nieprawda.

– Jeden człowiek nie może dźwigać na swych barkach całego świata – powiedziała.

Ale Benny nie zamierzał zdjąć z siebie tego ciężaru ani nawet jego części.

– Pewnie dlatego żyję przeszłością. Poznałem, że światy, w których przyszło mi żyć – świat obecny i świat przyszły – nie są czyste, i nigdy nie będą, oraz że nie dają nam możliwości wyboru tego, co czarne, i tego, co białe. Tylko że co do przeszłości, to zawsze oszukujemy się, że kiedyś było inaczej, lepiej.

Rachael zawsze podziwiała poczucie odpowiedzialności Bena i jego kryształową uczciwość. Teraz jednak stwierdziła, że cechy te rozwinął w sobie nadmiernie. Nawet takie cnoty jak odpowiedzialność i uczciwość mogą stać się obsesją. Jakież to jednak piękne obsesje w porównaniu z wariactwami innych ludzi, których znała!

Wreszcie Benny spojrzał na nią, jego oczy pełne były smutku, prawie melancholii. Nigdy takich u niego nie widziała. Ale na szczęście w jego wzroku dostrzegła także inne uczucia – czułość, przywiązanie, ciepło i miłość.

– W nocy... i dziś rano... – mówił Benny – kiedy się kochaliśmy... po raz pierwszy od czasu, kiedy poszedłem na wojnę, miałem jasny wybór: czarne albo białe, żadnych szarości. W tym wyborze jest coś... jest jakieś zbawienie, którego nie miałem nadziei już doznać.

– W jakim wyborze? – spytała kobieta.

– Czy pozostać z tobą na całe życie, czy nie – odparł. – Tak: jest wyborem właściwym, ze wszech miar słusznym, co do tego nie mam żadnych wątpliwości. Nie: to wybór zły, bardzo zły. Nie musiałem się długo zastanawiać.

Rachael wiedziała już od kilku tygodni, może nawet miesięcy, że jest w nim zakochana. Emocje jednak trzymała na wodzy, nie wypowiadała się na temat głębi swych uczuć do Bena, nie pozwalała sobie na myśli o długotrwałym z nim związku. Jej dzieciństwo i młodość upłynęły w samotności, w przeświadczeniu, że nikt jej nie kocha. Te niewesołe lata zrodziły w niej gorące pragnienie miłości. I właśnie to pragnienie, a właściwie żądza, aby być kochaną i pożądaną, sprawiło, że stała się łatwą zdobyczą dla Erica Lebena. Ich małżeństwo było nieudane. Obsesję Erica na punkcie młodości, a zwłaszcza na punkcie jej młodości, Rachael brała najpierw za przejaw miłości, gdyż sama jej potrzebowała. Ale w ciągu siedmiu lat wspólnego życia odkrywała i powoli akceptowała bolesną prawdę, że tu wcale nie chodzi o miłość. Teraz była bardzo ostrożna. Bała się, by po raz kolejny nie zraniono jej uczuć.

– Kocham cię, Rachael.

Serce zabiło jej mocniej. Chciała uwierzyć w to, że może być kochana przez tak dobrego i kochanego mężczyznę jak Benny, ale bała się w to uwierzyć. Chciała odwrócić wzrok, by nie patrzeć mu w oczy, im dłużej bowiem w nie patrzyła, tym bardziej czuła, że traci nad sobą panowanie, że kruszy się jej chłodna obojętność – ale nie mogła oderwać od niego spojrzenia. Chciała zachować milczenie, by nie powiedzieć

czegoś, co mogłoby odsłonić jej słabe miejsce, ale rzekła z dziwną mieszaniną konsternacji, rozkoszy i dzikiej radości w głosie:

– Czy masz na myśli to samo co ja?

– A co masz na myśli?

– Propozycję.

– Nie jest to chyba najwłaściwsze miejsce ani najlepszy czas na propozycje, nie sądzisz?

– Nie jest.

– Jednak... mam na myśli propozycję. Wolałbym wprawdzie, żeby okoliczności były bardziej romantyczne...

– No cóż...

– Szampan, świeczniki, skrzypce.

Uśmiechnęła się.

– Wiesz – powiedział Benny – gdy Baresco mierzył w nas z rewolweru i gdy ścigano nas po Palm Canyon Drive, najbardziej bałem się nie tego, że mogę umrzeć, ale tego, że mogliby mnie zabić, zanim zdążę ci powiedzieć, co do ciebie czuję. A więc mówię ci to teraz. Chcę być z tobą na zawsze, Rachael, na zawsze.

– Ja też chcę być z tobą na zawsze, Benny – rzekła, a słowa te przyszły jej z większą łatwością, niż się spodziewała.

Dotknął dłonią jej twarzy. Przysunęła się i pocałowała go delikatnie.

– Kocham cię – wyznała.

– Boże, ja też cię kocham.

– Jeśli wyjdziemy z tego cało, czy wyjdiesz za mnie?

– Tak – odrzekła, a po plecach przeszedł jej dreszcz. – Cholera, Benny, dlaczego powiedziałeś: „jeśli”?

– Zapomnij o „jeśli”.

Ale ona nie mogła zapomnieć. Rano, w pokoju hotelowym w Palm Springs, zaraz po tym, jak skończyli się kochać, doświadczyła przeczucia śmierci, które wstrząsnęło nią i napełniło potrzebą ucieczki stamtąd. Wiedziała, że jeśli zostaną tam dłużej, spadnie na nich jakiś śmiertelny cios. To niepokojące przeczucie powróciło teraz. Świeżą i kuszącą scenerię górską uzupełnił ponury, zatrważający nawet, element. Drzewa zdawały się przemieniać w jakieś dziwne stwory, gałęzie wydłużyły się, a cienie pogłębiły. Zmroziło to jej krew w żyłach, choć Rachael wiedziała, że to tylko subiektywne odczucie.

– Jedźmy – powiedziała.

Skinął głową, najwyraźniej rozumiejąc jej myśli i dzieląc z nią zmianę nastroju.

Zapalił silnik i wyjechał na drogę. Za następnym zakrętem wyłoniła się tablica: LAKE ARROWHEAD – 24 KILOMETRY.

Eric rozglądał się po garażu, szukając jeszcze jakiegoś narzędzia, jeszcze jednego rodzaju broni. Nie dostrzegł nic odpowiedniego.

Wrócił do domu. W kuchni położył siekierę na stole i zaczął wysuwać wszystkie szuflady po kolei, aż znalazł komplet noży. Wybrał dwa spośród nich – rzeźniczy i mniejszy, o ostrzu wielkości skalpela.

Uzbrojony w siekierę i dwa noże był przygotowany zarówno do walki wręcz, jak i na odległość. Wciąż żałował, że nie ma rewolweru, ale najważniejsze, że nie był już zupełnie bezbronny. Jeśli by ktoś go zaatakował, mógł już działać w swojej obronie. Zapewne i tak by go pokonali, ale on zdążyłby jeszcze nieźle im przyłożyć. Ta perspektywa przyniosła mu wielką satysfakcję i – o dziwo – wywołała na jego

twarży nagły cyniczny uśmieszek.

Myszy, myszy, gryzące, oszalałe myszy...

Cholera! Znów potrząsnął głową.

Myszy, myszy, myszy, oszalałe, drapiące pazurami, prychające...

Ta dziwna myśl, niczym wers z jakiegoś niesamowitego dziecinnego wierszyka, znów pojawiła się w jego mózgu i przeraziła go. Kiedy chciał skoncentrować się na niej, by dotrzeć do ukrytych głębiej treści, jasność umysłu ponownie pokryła się mgiełką i Eric nie mógł pojąć, co oznaczają te myszy.

Myszy, myszy, myszy o przekrwionych oczach, rzucające się na kraty swych klatek...

Kiedy mimo niepowodzenia nadal wyęczał wszystkie siły, by pochwycić wymykające się pamięci wspomnienie o gryzoniach, biała strzała bólu przeszła jego mózg od sklepienia czaszki aż po oczodoły i zapłonęła wielkim ogniem na wysokości podstawy nosa. Ale gdy zaniechał prób przypomnienia sobie o myszach i udawał, że wyrzuca je ze swych myśli, cierpienie stało się jeszcze większe. Czuł, jakby pod czaszką walił mu rytmicznie młot kowalski. Żeby znieść tę mękę, musiał zacisnąć zęby, ale po chwili i tak cały pokrył się potem. Wraz z nim nadeszła wściekłość tak wielka, że przytłumiła ból, co więcej – rosła wraz z nim. Początkowo furia nie była ukierunkowana, ale trwało to krótko. Nagle bowiem Eric wysapał: „Rachael, Rachael”. I złapał za rękojeść rzeźniczego noża. „Rachael...”

Sharp i Stone

Po przybyciu do szpitala w Palm Springs Anson Sharp bez trudu dokonał tego, z czym Jerry Peake – mimo wielkich starań – nie mógł sobie poradzić. W ciągu dziesięciu minut pokonał nieprzejednaną postawę pielęgniarki Almy Dunn i skruszył autorytarną wyniosłość doktora Werfella. Z obojga z nich uczynił zdenerwowanych, niepewnych siebie, pełnych szacunku i gotowych do współpracy obywateli. Wprawdzie była to współpraca niechętna, wymuszona, ale zawsze współpraca. Peake’owi wielce to zaimponowało. Choć Sarah Kiel wciąż jeszcze była pod działaniem narkotyków, które zażyła kilka godzin wcześniej, i spała głębokim snem, Werfell przystał na to, by obudzić ją za pomocą wszelkich niezbędnych środków.

Jak zwykle Peake przypatrywał się z bliska wicedyrektorowi Sharpowi, pragnąc nauczyć się od niego sztuki osiągania celu, niczym młody magik obserwujący każdy ruch swojego mistrza na scenie. Po pierwsze, Sharp wykorzystywał swe olbrzymie rozmiary, by przytłaczać ludzi. Stawał bardzo blisko nich, górując nad rozmówcami, patrzył groźnie z wysoka, olbrzymie łapska opierał na biodrach i, zachowując swobodę, dawał do zrozumienia, że może się rozgniewać. Groźby jednak nigdy nie spełniał, a z twarzy nie schodził mu uśmiech. Oczywiście, uśmiech też stanowił jego broń. Był to uśmiech szczególny – zbyt szeroki, nienaturalnie odsłaniający wszystkie zęby, pozbawiony lekkości, dziwny.

Dużo ważniejsza jednak od jego rozmiarów była umiejętność wykorzystywania wszystkich możliwości, jakimi dysponował agent federalny wysokiego szczebla. Zanim opuścił laboratoria Geneplan w Riverside, Sharp zlecił ludziom w centrali agencji, by zadzwonili do innych instytucji rządowych w Waszyngtonie, i uzyskał wszelkie możliwe informacje o szpitalu Desert General i doktorze Hansie Werfelli, które teraz mogły okazać się pożyteczne.

Konto szpitala było pozornie czyste. Ścisłe przestrzegano bardzo wysokich kryteriów przy zatrudnieniu lekarzy, pielęgniarek i laborantów. Od ostatniego oskarżenia o błąd w sztuce lekarskiej, wysuniętego pod adresem szpitala, minęło dziewięć lat, ale ani to, ani żadne z wcześniejszych nie utrzymało się przed sądem. Wskaźnik uleczalności pacjentów, niezależnie od rodzaju choroby czy zastosowanej terapii, był wyższy niż w innych placówkach tego typu. W ciągu dwudziestu lat istnienia Desert General zdarzyła się tylko jedna wpadka – kradzież lekarstw. Gdy Sharp, po przybyciu do szpitala, krótko streścił Peake’owi tę historię, młody agent wykrztusił: „Ale afera!” Jego zwierzchnik jednak nie podzielał tej opinii. Sharp bowiem – w przeciwieństwie do Peake’a – nie był czytelnikiem powieści kryminalnych i nie miał takiej jak Peake fantazji. Kradzież leków zdarzyła się w minionym roku. Trzy pielęgniarki przyłapano na fałszowaniu ewidencji rozchodu lekarstw w szpitalnej aptece. W toku dochodzenia wyszło na jaw, że od lat regularnie wykradały w ten sposób specyfiki zawierające jakiś narkotyk. Wszystkie trzy złośliwie oskarżyły o współpracę sześć siostr przełożonych, w tym także siostrę Almę. I choć policja ostatecznie oczyściła przełożone z zarzutów, placówka trafiła na czarną listę nadzoru farmaceutycznego. Alma Dunn, mimo iż niewinna, ciężko przeżyła tę historię i wciąż bała się o swą reputację.

Sharp wykorzystał ten jej słaby punkt. W czasie dyskretnej rozmowy z pielęgniarką, przeprowadzonej w dyżurce i jedynie w obecności Peake’a, agent delikatnie zasugerował, że może wznowić w jej sprawie dochodzenie, tym razem na szczeblu federalnym. W ten sposób nie tylko uzyskał zgodę na współpracę, lecz także wywołał u kobiety potok łez. Na taki wyczyn Peake nie pozwoliłby sobie nigdy, chociażby z racji podobieństwa siostry Almy do nieustraszonej panny Jane Marple z powieści Agathy Christie.

Z początku wyglądało na to, że doktora Werfella będzie trudniej złamać. Kartotekę miał absolutnie czystą. Był w środowisku lekarskim bardzo szanowany, otrzymał nawet kiedyś nagrodę „Lekarz Roku”, przyznaną przez AMA* [*AMA (American Medical Association) – Stowarzyszenie Lekarzy Amerykańskich (*przyp. tłum.*)], sześć godzin tygodniowo pracował społecznie w bezpłatnej klinice dla inwalidów i zdawał się świętym pod każdym względem. Pod każdym... z wyjątkiem jednego. Otóż przed pięciu laty został oskarżony o oszustwo podatkowe. Jego wina wynikała wprawdzie z przeoczenia, a nie ze świadomego działania (Werfell nie przestrzegał ściśle ustalonych przez IRS* [*IRS (Internal Revenue Service) – agencja rządu USA zajmująca się kontrolą zeznań podatkowych (*przyp. tłum.*)] zasad księgowania dochodu), jednakże nieznanostwo prawa nie stanowi czynnika łagodzącego. Lekarz przegrał sprawę przed sądem.

Nie minęło zatem pięć minut, a Werfell – przyparty do muru w sali, w której akurat nie było pacjentów – prawie czołgał się przed Sharpem na kolanach. Agent i jemu zagroził po prostu wznowieniem śledztwa przez IRS. Wprawdzie lekarz był pewny, że tym razem jego dokumenty są w porządku i nie można mu nic zarzucić, wiedział jednak, że obrona kosztowałaby go dużo czasu i pieniędzy, a poza tym ucierpiałaby na tym jego reputacja nawet w razie oczyszczenia z zarzutów. Kilkrotnie spozierał na Peake'a, szukając u niego odruchów sympatii, bo zdawał sobie sprawę, że nie może na nią liczyć ze strony Sharpa. Peake jednak bardzo starał się naśladować szefa w jego kamiennej i niewzruszonej postawie wobec ludzi.

Werfell był człowiekiem inteligentnym i szybko pojął, że najlepszym wyjściem jest spełnić życzenia Sharpa. Wolał uniknąć koszmaru powtórnej kontroli podatkowej nawet za cenę złamania swych zasad. Zgodził się więc obudzić Sarah Kiel.

– Nie ma sensu winić się, doktorze, ani nie spać po nocach z powodu jakiejś tam, do niczego nie prowadzącej, etyki zawodowej – pocieszył go Sharp i poklepał lekarza swym potężnym łapskiem po ramieniu. Nagle, gdy Werfell już się złamał, stał się dla niego przyjacielski i czuły. – Dobro naszego kraju przede wszystkim. Nikt nie powinien podawać tego w wątpliwość, a tym bardziej oskarżać pana o niewłaściwe działanie.

Doktor Werfell nie cofnął się przed dotykem Sharpa, ale nie wyglądał na zadowolonego. Nie zmienił wyrazu twarzy, nawet gdy przeniósł wzrok na Jerry'ego Peake'a.

Peake uśmiechnął się krzywo.

Lekarz wyprowadził obu mężczyzn z pustej sali na korytarz. Minęli dyżurkę, gdzie siedziała Alma Dunn, zerkając na nich bojaźliwie, choć starała się to ukryć, i weszli do izolatki. Spała tam po zażyciu silnych środków Sarah Kiel. Peake zauważył, że Werfell, który wcześniej przypominał mu swą majestatyczną postawą Dashiella Hammetta, teraz jakby skurczył się i zmałał. Twarz poszarzała mu, wyglądał starzej niż jeszcze przed kilkunastoma minutami.

Choć Peake podziwiał Ansona Sharpa za umiejętność wydawania rozkazów i żelazną konsekwencję w egzekwowaniu ich wykonania, nie bardzo wiedział, jak przenieść metody szefa na pole swojej własnej działalności. Chciał przecież nie tylko odnosić sukcesy jako agent, ale także stać się legendą. Legendą zaś stać się można tylko grając *fair*, a mimo to należy egzekwować wykonanie poleceń. Zła sława to nie to samo co legenda i w gruncie rzeczy jedno wyklucza drugie. Przynajmniej tyle nauczył się po przeczytaniu pięciu tysięcy powieści kryminalnych.

W pokoju Sarah Kiel panowały cisza – jeśli pominąć jej głośny i nieco chrapliwy oddech – oraz półmrok. Pewną widoczność zapewniały jednak stojąca przy łóżku lampka, a także cienkie smugi ostrego pustynnego światła, przedzierające się przez szpary między zaciągniętymi na oknie ciężkimi zasłonami.

Trzej mężczyźni stanęli przy łóżku – doktor Werfell i Sharp z jednej, Peake zaś z drugiej strony.

– Sarah – rzekł spokojnie Werfell. – Sarah?

Nie odpowiadała, więc lekarz powtórzył jej imię i lekko potrząsnął za ramię.

Dziewczyna sapnęła, mruknęła, ale nie obudziła się. Werfell podniósł jej powiekę, obejrzał źrenicę, po czym ujął za nadgarstek i zmierzył puls.

– Nie obudzi się sama przez... prawdopodobnie godzinę.

– To zrób pan coś, żeby ją obudzić natychmiast! – syknął zniecierpliwiony Sharp. – Już o tym rozmawialiśmy!

– Dam jej zastrzyk na przeciwwrażliwość – rzekł Werfell, zmierzając w stronę zamkniętych drzwi.

– Niech pan tu zostanie – powiedział Sharp i wskazał palcem przycisk na kawałku kabla zwisającego przy jednej z barierek łóżka. – Od tego ma pan pielęgniarki.

– To będzie działanie niezgodne z etyką lekarską – oznajmił Werfell. – Nie chcę więc wciągać w to żadnej z sióstr.

Wyszedł, a drzwi zamknęły się za nim z cichym westchnieniem.

Sharp spojrzął na śpiącą dziewczynę i powiedział:

– Ale laska!

Peake zamrugnął oczami ze zdziwienia.

– Niezła! – dodał Sharp, nie odrywając od niej wzroku.

Peake spojrzął na nieprzytomną nastolatkę i starał się dojrzeć w niej „niezłą laskę”, ale nie było to proste. Jej blond włosy – potargane i tłuste, gdyż w narkotycznym śnie pocila się obficie – poprzylepiały się nieestetycznie mokrymi strąkami do czoła, policzków i szyi. Prawe oko miała podbite i spuchnięte, a na twarzy widniały liczne rany i skaleczenia, z zaschniętymi smugami krwi i strupami. Prawy policzek szpecił olbrzymi siniak, ciągnący się od podbitego oka aż po szczękę. Górna warga była pęknięta i nabrzmiąta. Dziewczynę przykryto prawie po szyję, wystawała tylko prawa ręka, która musiała być odsłonięta, gdyż złamany palec był usztywniony, a dwa paznokcie miała wyrwane. Jej dłoń przypominała bardziej dłuższe ptasie szpony niż ludzką kiść.

– Gdy wprowadziła się do Lebena, miała piętnaście lat – powiedział cicho Sharp. – Teraz nie może mieć więcej niż szesnaście.

Jerry Peake skierował swą uwagę na szefa i przyglądał mu się tak uważnie, jak Anson Sharp patrzył na Sarah Kiel. Nagle intuicja podpowiedziała mu coś, co o mało nie zważyło go z nóg: Anson Sharp, zastępca dyrektora DSA, był pedofilem sadystą!

W jego zielonych oczach o drapieżnym wyrazie dostrzegł perwersyjną żądzę. Zrozumiał, że Sarah Kiel wydała się Sharpowi „niezłą laską” nie dlatego, że akurat wyglądała tak korzystnie, lecz dlatego, że miała szesnaście lat i była ciężko poturbowana. Szef przeniósł swe pełne czułości i entuzjazmu spojrzenie z podbitego oka dziewczyny na jej spuchnięty policzek. Widok ten działał na niego zapewne równie podniecająco jak kobiece piersi i pośladki na normalnego mężczyznę. Tak, to był trzymający się w cuglach sadysta, zbrojeniec, który swe chore żądze skierował na tory powszechnie szanowanej działalności i dawał upust rozpierającej go energii, realizując ambicje zawodowe. To dzięki temu tak szybko znalazł się prawie na samym szczycie w DSA. Ale nie zmieniało to prawdy, że Anson Sharp był sadystą i pedofilem.

Peake był jednocześnie zdziwiony i przerażony swym odkryciem. Zdziwienie wynikało nie tylko z głębokiego wejrzenia w istotę natury Sharpa, ale także z faktu, że wszystko to zauważył od razu, na pierwszy rzut oka. Mimo pragnienia, by stać się legendą, dwudziestosiemioletni agent DSA zdawał

sobie sprawę, że jest jeszcze naiwny i wykazuje niebezpieczne skłonności do powierzchownych ocen tak ludzi, jak i zjawisk. Czasami, mimo całego szkolenia i poważnej pracy, wydawało mu się, że wciąż jest małym chłopcem lub też że ukryte w nim dziecko wywiera zbyt duży wpływ na jego charakter. Teraz stał i przyglądał się szefowi, który wlepił wygłodniałe oczy w nieprzytomną dziewczynę. Poznanie prawdziwej natury Ansona Sharpa przytłoczyło Peake'a. Nagle ożywił się. Przyszło mu do głowy, że może – mimo swego młodego wieku – jeszcze wydorosłeje.

Sharp wciąż patrzył na poobcieraną i poranioną rękę Sarah Kiel. Jego zielone oczy pojaśniały, a w kącikach ust pojawił się lubieżny uśmiezek.

Nagle drzwi otworzyły się gwałtownie z głośnym plaśnięciem, które wyrwało Peake'a z zamyślenia, i do pokoju wrócił doktor Werfell. Sharp zamrugał oczami, jakby otrząsnął się z lekkiego transu, i zrobił krok do tyłu, ustępując miejsca lekarzowi. Ten podniósł oparcie łóżka, odsłonił lewe ramię Sarah i zrobił jej zastrzyk, który miał wywołać przeciww reakcję na środki uspokajające zażyte wcześniej przez dziewczynę.

Sarah obudziła się w ciągu paru minut. Była względnie świadoma, choć nieco zmieszana. Nie wiedziała, gdzie się znajduje, jak się tu dostała oraz kto i dlaczego tak ją skatował. Nie przestawała dociekać, kim są Werfell, Sharp i Peake, a lekarz cierpliwie odpowiadał na wszystkie jej pytania. Poza tym zajmował się kolejno: mierzeniem dziewczynie tętna, słuchaniem pracy serca i badaniem źrenic.

Niecierpliwość Ansona Sharpa rosła. Nie mógł się doczekać, kiedy wreszcie pacjentka wyjdzie z narkotycznego otępienia.

– Czy naprawdę dał jej pan wystarczająco silną dawkę?

– To trochę potrwa – rzekł chłodno Werfell.

– My nie mamy czasu – odparł Sharp.

Chwilę później Sarah Kiel przestała zadawać pytania. Nagle wróciła jej pamięć i w szoku wciągnęła gwałtownie duży haust powietrza.

– Eric! – krzyknęła.

Peake nie przypuszczał nawet, że jej blada jak płótno twarz może się stać jeszcze bielsza, a tak się właśnie stało. Dziewczyna zaczęła się trząść. Sharp szybko zbliżył się do jej łóżka.

– To wszystko, doktorze.

Werfell zmarszczył brwi.

– Co to ma znaczyć?

– Ano to, że skoro dziewczyna już się obudziła, to możemy ją przesłuchać, a do tego nie jest nam pan potrzebny. Może pan odejść, jasne?

Doktor Werfell tłumaczył, że powinien zostać przy pacjentce na wypadek, gdyby pojawiła się opóźniona reakcja na zastrzyk. Sharp jednak znów stał się twardy i odwołał się do reprezentowanej przez niego władzy federalnej. Lekarz zmiękł, ale podszedł jeszcze do okna, by je odsłonić. Sharp nakazał mu pozostawić zasłony zaciągnięte, Werfell więc ruszył w stronę wyłącznika światła. Agent nie pozwolił również na zapalenie górnego oświetlenia.

– Ostre światło może razić biedną dziewczynę w oczy – powiedział, choć widać było, że jego troska o Sarah Kiel nie jest bynajmniej szczera.

Peake miał nieprzyjemne przeczucie, że Sharp zamierza nie patyczkować się z dziewczyną, że chce ją przestraszyć niemal na śmierć. Nie sądził, aby to było konieczne, i podejrzewał, że nawet jeśli dziewczyna powiedziała im wszystko, wicedyrektor DSA i tak będzie ją terroryzował dla samej tylko przyjemności. Prawdopodobnie traktował poniżanie i zadawanie cierpień psychicznych jako częściowo

zadowolające go i społecznie akceptowalne ujście dla swych ukrytych żądy: by pobić i zgwałcić Sarah Kiel. Sukinsyn pragnął, aby w pokoju panowała możliwie największa ciemność, gdyż mrok miał pogłębić nastrój grozy, który chciał stworzyć.

Po wyjściu Werfella Sharp zbliżył się do samej krawędzi łóżka, opuścił boczną barierkę zabezpieczającą przed wypadnięciem i usiadł na brzegu materaca. Ujął w swoje ręce lewą, zdrową dłoń Sarah, uściśnął lekko i przyjaźnie, uśmiechnął się do niej dobrodusznie i coś mówiąc, zaczął głaskać swoim olbrzymim łapskiem jej szczupłe ramię. Wnikał paluchami nawet pod rękaw szpitalnej koszuli, co nie było już ani dobroduszne, ani przyjacielskie, lecz prowokacyjne.

Peake cofnął się do kąta i skrył w cieniu. Wiedział, że nie on ma tu zadawać pytania, nie chciał też, by Sharp widział wyraz jego twarzy. Choć osiągnął już tyle, że zdołał wniknąć głęboko do wnętrza swego szefa i zrozumiał, że sam musi się zmienić – za rok na pewno będzie już innym człowiekiem – to jednak na razie nie zaszły w nim aż takie zmiany, by potrafił zapanować nad uczuciami malującymi się na jego obliczu. Nie umiał jeszcze ukryć niesmaku i dlatego wołał pozostać niewidoczny.

– Nie mogę panu nic powiedzieć – odezwała się Sarah Kiel, patrząc na Sharpa z bojaźnią i odsuwając się od niego, jak tylko mogła najdalej. – Pani Leben zakazała mi komukolwiek o tym mówić.

Sharp, wciąż trzymając zdrową rękę dziewczyny w swojej lewej dłoni, podniósł prawą dłoń, którą do tej pory głaskał Sarah po ramieniu, i przyłożył ją dziewczynie do policzka. Zaciśnął pięść, tak że wystające kostki zetknęły się z gładką skórą jej lewej, nie poranionej części twarzy. Wyglądało to prawie na gest sympatii i uczucia, ale prawda była inna.

– Pani Leben należy do poszukiwanych przestępców, Sarah – powiedział Sharp. – Jest nakaz jej aresztowania. Sam go wydałem. Pani Leben dokonała wielu wykroczeń przeciwko bezpieczeństwu państwowemu. Niewykluczone, że wykrała tajemnice obronne z zamiarem przekazania ich Sowiecom. Chyba nie chcesz ochraniać kogoś takiego? Hmm...?

– Była dla mnie bardzo dobra – wykrztusiła Sarah.

Peake zauważył, że dziewczyna próbowała uwolnić się od głaszczącej ją po policzku ręki, ale najwyraźniej bała się obrazić Sharpa. Zdaje się, że nie zdawała sobie sprawy z prawdziwego znaczenia tej „pieszczoty”. Ale już niedługo zrozumie...

– Pani Leben płaci za mój pobyt w szpitalu – ciągnęła Sarah. – Dała mi trochę gotówki, zadzwoniła do moich starych. Była... była... bardzo dobra i prosiła, żebym nikomu nic nie mówiła. Nie chcę łamać danego jej słowa.

– Ciekawe... – powiedział Sharp, biorąc ją pod brodę i podnosząc głowę tak, by mogła patrzeć na niego zdrowym okiem. – Ciekawe, że nawet taka mała kurewka jak ty ma swoje zasady.

– Nie jestem kurwą! Ja nigdy... – odpowiedziała wystraszona.

– Jesteś, jesteś – przerwał jej Sharp, ujmując ją mocno za podbródek, by nie mogła odwrócić głowy. – Może twój ptasi mózdzek tego nie pojmuje albo za bardzo odurzyłaś się narkotykami, ale jesteś niczym innym jak małą kurewką szkolącą się dopiero w zawodzie, dziwką, początkującą lafiryndą, która z czasem zmieni się w doświadczoną profesjonalną kurwę.

– Nie ma pan prawa tak do mnie mówić.

– Kochanie, do kurew mówię tak, jak mi się podoba.

– Ale pan jest gliną lub kimś w tym rodzaju... Jest pan urzędnikiem państwowym... Nie może mnie pan tak traktować... – oponowała Sarah.

– Stul pysk, mała – powiedział Sharp.

Światło z lampki padało na jego twarz pod kątem tak, że niektóre rysy były wyolbrzymione, inne zaś

pozostawały w cieniu. Zdeformowane w ten sposób oblicze Sharpa miało iście demoniczny wygląd. Skrzywił się w uśmiechu, przez co stało się ono jeszcze bardziej przerażające.

– Stul pysk, ty dziwko. Masz odzywać się tylko wtedy, gdy będziesz zdecydowana powiedzieć mi to, co chcę wiedzieć.

Dziewczyna wydała z siebie cienki, patetyczny jęk bóleści, a z oczu trysnęły jej łzy. Peake spostrzegł, że Sharp ściska mocno lewą rękę Sarah, że zaciska swe potężne paluchy na jej delikatnej dłoni.

Przez chwilę pacjentka mówiła, by uniknąć tortury. Powiedziała mu o nocnych odwiedzinach Erica, o tym, że miał pokiereszowaną głowę i szare, zimne ciało.

Ale gdy Sharp zechciał się dowiedzieć, czy dziewczyna domyśla się, dokąd Eric Leben pojechał po opuszczeniu swego domu, Sarah znów zamilkła.

– Aha – rzekł Sharp. – A więc nie wiesz.

I znów zaczął miażdżyć jej dłoń.

Peake nie czuł się najlepiej. Chciał zrobić coś, by ulżyć dziewczynie, ale mógł tylko stać i patrzeć.

Po chwili Sharp zwolnił uścisk.

– Bardzo pana proszę – odezwała się wtedy nastolatka – pani Leben najbardziej zależało, żeby właśnie o tym nic nie mówić.

– Słuchaj, mała – powiedział Sharp. – To głupie, żeby taka kurewka jak ty miała skrupuły. Nie wierzę w to i ty też wiesz, że ich nie masz, więc skończ tę komedię. Oszczędź nam trochę czasu, a sobie mnóstwa nieprzyjemności.

I znów zaczął miażdżyć jej palce. Drugą ręką złapał ją za gardło, po czym przesunął na piersi, dotykając ich brutalnie przez cienki materiał szpitalnej koszuli.

Stojący w ciemnym kącie Peake przeżywał taki szok, że ledwo mógł oddychać. Wolalby przebywać w tej chwili gdzie indziej. Widok poniżanej i dręczonej Sarah Kiel sprawiał mu przykrość. Z drugiej jednak strony nie mógł oderwać od niej wzroku ani zdobyć się na zamknięcie oczu, gdyż nieoczekiwane zachowanie Sharpa było najbardziej patologicznym, ale i najbardziej przerażająco fascynującym zjawiskiem, jakie kiedykolwiek obserwował.

Dotychczasowe jego odkrycia to jeszcze nie było wszystko, najważniejsze rzeczy działy się teraz. Zawsze myślał, że policjanci – jak również agenci DSA – to Dobrzy Faceci (wielkimi literami), Stróże Porządku, Anioły Bezpieczeństwa, Rycerze Prawa. Obraz ich czystości nagle stał się nieaktualny, skoro ktoś taki jak Sharp może być wysoce poważanym członkiem tej szlachetnej wspólnoty. Pewnie, że Peake zdawał sobie sprawę, że istnieli także źli gliniarze, źli agenci, ale wydawało mu się, że takim nie zezwala się na robienie kariery i osiąganie wysokich stanowisk. Zawsze sądził, że tych degeneratów, te szumowiny odsiewa się na samym początku, awansuje zaś tylko prawych, uczciwych. Był pewny, że na pierwszy rzut oka rozpozna skorumpowanego glinę, ale nigdy nie podejrzewał, że zwyczajny zboczeniec, który potrafił skryć swą dewiację, mógłby zająć tak wysoko jako stróż prawa. Może większość ludzi traciła te naiwne złudzenia na długo przed osiągnięciem dwudziestego siódmego roku życia, Jerry Peake jednak dopiero teraz – patrząc na zachowującego się jak zwykły bandzior, jak barbarzyńca, wicedyrektora rządowej agencji – zaczął rozumieć, że świat malowany był bardziej w odcieniach szarości niż czerni i bieli. To odkrycie było tak porażające, że zamarł w bezruchu, nie mógł oderwać oczu od tego, co wyczyniał Sharp, jak gdyby na tle wypełnionego aniołami nieba ujrzał Jezusa nadjeżdżającego ognistym rydwanem.

Sharp nadal miażdżył palce Sarah Kiel. Dziewczyna płakała coraz głośniejszymi głosami. Drugą ręką agent uciskał jej piersi, rozkazując, by była cicho. Sarah znów mu uległa i przestała płakać, ale Sharp nie przestawał

zadawać jej bólu. Peake był już o krok od zrobienia czegoś, nawet za cenę zwicnięcia kariery i przekreślenia przyszłości w DSA, po prostu nie mógł już znieść, że jest biernym świadkiem takiej przemocy. Ruszał właśnie w stronę łóżka, gdy...

Otworzyły się szeroko drzwi i do pokoju wszedł Stone. Wyglądał, jakby unosił się na promieniach światła płynącego z korytarza. Kiedy Jerry Peake go ujrzał, od razu pomyślał o nim: Stone.

– Co się tu dzieje? – spytał Stone spokojnym, grzecznym, ale stanowczym tonem.

Facet był bardzo niski, mógł mieć niewiele ponad metr pięćdziesiąt wzrostu, a więc mierzył kilkanaście centymetrów mniej niż Sharp. Ale gdy wszedł do sali, wydał się największym w niej człowiekiem. I nawet gdy Sharp, zostawiwszy dziewczynę w spokoju, wstał na równe nogi, mężczyzna nadal sprawiał takie wrażenie.

– Kim pan jest, do cholery? – spytał agent DSA.

Stone zapalił światło i ruszył przed siebie, a drzwi zatrzasnęły się za nim. Peake ocenił wiek mężczyzny na czterdzieści lat, choć jego pełna mądrości twarz wyglądała poważniej. Miał krótko ostrzyżone ciemne włosy, ogorzałą cerę, grubo ciosane rysy – jak gdyby wykute w bloku granitu – oraz intensywnie błękitne oczy w tym samym odcieniu co oczy dziewczyny, ale czyste, szczerze i przenikliwe. Kiedy przez chwilę popatrzył na Peake'a, Jerry zapragnął schować się pod łóżko. Stone był silny, krzepki i choć dużo niższy od Sharpa, wydawał się od niego o wiele potężniejszy i skuteczniejszy, tak jakby tę samą masę ciała sztucznie zgęścił i skoncentrował.

Sarah Kiel odezwała się cichutko, a w jej głosie strach mieszał się z podziwem:

– Tato...

Stone minął Sharpa i podszedł do córki, która uniosła się na łóżku i wyciągnęła ku niemu rękę.

Sharp wszedł pomiędzy nich, pochylił się w stronę Kiela i powiedział:

– Zobacz się pan z córką, gdy skończę przesłuchanie.

Stone spojrział na agenta z łagodnym wyrazem twarzy, który był kwintesencją spokoju i niewzruszoności, a Peake z zadowoleniem i dreszczem emocji zauważył, że Sharp nie zamierza tego człowieka zastraszyć.

– Przesłuchanie? Jakże ma pan prawo ją przesłuchiwać?

Sharp wyjął z kieszeni marynarki legitymację DSA i pokazał ją mężczyźnie.

– Jestem agentem federalnym. Prowadzę nadzwyczajne śledztwo w sprawie dotyczącej bezpieczeństwa państwowego. Pana córka ma informacje, które muszę jak najszybciej uzyskać. Ale ona jest wyjątkowo oporna.

– Jeśli wyjdzie pan na chwilę na korytarz – powiedział cicho Stone – to porozmawiam z nią. Jestem pewien, że nie stawia się, by zrobić panu na złość. To trudne dziecko, ostatnio trochę zblądziła, ale jej serce nigdy nie było złe ani dokuczliwe. Porozmawiam z nią, dowiem się tego, co pan chce wiedzieć, i przekażę panu.

– Nie – zaoponował Sharp. – To pan wyjdzie na korytarz i tam poczeka.

– Zejdź mi pan z drogi – ostrzegł Stone.

– Człowieku – rzucił agent, postępując w stronę mężczyzny i patrząc na niego z góry. – Jeśli szuka pan guza, to mogę go panu nabić. Utrudnia pan śledztwo agentowi federalnemu i sam upoważnia mnie do tego, żebym podjął odpowiednie, nieprzyjemne dla pana, środki.

– Panie Sharp – odezwał się Stone, przeczytawszy jego nazwisko na legitymacji – w nocy obudził mnie telefon od pani Leben, od której dowiedziałem się, że moja córka potrzebuje pomocy. Od bardzo dawna czekałem na taką informację. Mamy właśnie żniwa, jest dużo pracy...

Boże, ten facet rzeczywiście był farmerem. Peake znów uwierzył w swoją zdolność obserwacji. Stone, w wypolerowanych na ślinę półbutach, spodniach z poliestru i wykrochmalonej białej koszuli, wyglądał jak typowy prosty człowiek ze wsi, którego sytuacja zmusiła do zamiany roboczego ubrania na ciuchy, w których nie czuje się najlepiej.

– ...bardzo dużo pracy. Ale natychmiast po zakończeniu rozmowy z panią Leben ubrałem się, pojechałem samochodem do odległego o sto sześćdziesiąt kilometrów Kansas City i w środku nocy dotarłem na lotnisko. O świcie wylądowałem w Los Angeles, tam miałem przesiadkę do Palm Springs, a potem taksówką...

– Nie interesuje mnie ani trochę pański dziennik podróży – powiedział Sharp, wciąż zagradzając mu drogę.

– Panie Sharp, jestem dobrodusznym człowiekiem, co oznacza, że staram się najpierw wytłumaczyć panu po dobroci, że chcę porozmawiać z córką. Widzę, że płakała, i bardzo mi się to nie podoba. Muszę dowiedzieć się, co jest tego przyczyną. A więc, chociaż w gruncie rzeczy nie jestem zły ani skory do rozróby, radzę panu zejść mi z drogi, bo nie ręczę za siebie.

Twarz Sharpa wypełniła się gniewem. Cofnął się, ale tylko po to, by swobodnie wyciągnąć rękę i położyć ją na piersi Stone'a.

Peake nie wiedział, czy agent zamierza wyprowadzić mężczyznę z pokoju na korytarz, czy tylko pchnąć go na ścianę. I nigdy się tego nie dowiedział, Stone bowiem zacisnął swą dłoń na przegubie Sharpa i nie okazując ani cienia wysiłku, usunął ją ze swej piersi. Wicedyrektor agencji zbladł, co świadczyło, że Stone zadał mu nie mniej bólu niż on jego córce. Z twarzy Sharpa odpłynęła czerwień złości, a w oczach pojawiło się cierpienie. Dopiero wtedy Stone puścił przegub Sharpa i powiedział:

– Wiem, że jest pan agentem federalnym, a ja mam wielki szacunek dla prawa. Wiem, że może pan to uznać za świadome utrudnianie śledztwa, co da panu świetne podstawy do kopnięcia mnie zaraz w dupę i zakucia w kajdanki. Nie uważam jednak, żeby przyniosło to panu – lub pańskiej agencji – jakiejś korzyści, ponieważ od razu zaznaczyłem, że skłonię córkę do złożenia zeznań. Co pan o tym sądzi?

Peake miał ochotę bić brawo, ale nie uczynił nic. Sharp stał nieporuszony, oddychał głęboko, trząsł się cały, a jego zamglone nienawiścią oczy powoli się rozjaśniały. Potrząsnął gwałtownie głową, jakby był bykiem na corridzie, który po nieudanym ataku na muletę toreadora otrząsa się i powraca do zmysłów.

– W porządku. Tylko chcę mieć te informacje natychmiast! Wszystko jedno, jak pan to zrobi. Może uda się panu szybciej niż mnie.

– Dziękuję, panie Sharp. Niech mi pan da pół godziny...

– Pięć minut – powiedział Sharp.

– Proszę pana – odparł spokojnie Stone – przecież ja muszę mieć czas na przywitanie się z córką, uściskanie jej. Nie widziałem jej prawie półtora roku. No i potrzebuję trochę czasu, by wydobyć z niej całą tę historię, dowiedzieć się, co się z nią działo. Dopiero potem zacznę zadawać jej szczegółowe pytania.

– Cholera, ale pół godziny to za długo! – denerwował się Sharp. – Poszukujemy człowieka, bardzo niebezpiecznego człowieka i...

– Prawem mojej córki jako obywatelki tego kraju jest odmowa jakichkolwiek zeznań przed przybyciem tu jej adwokata. A jeśli po niego teraz zadzwonię, minie kilka godzin, zanim przyjedzie...

– Dobra – rzucił Sharp. – Pół godziny i ani minuty dłużej. Będę czekał na korytarzu.

Wcześniej Peake odkrył, że jego szef jest sadystą i pedofilem, teraz zaś dokonał następnego odkrycia

na jego temat: sukinsyn był w gruncie rzeczy tchórzem. Potrafiłby strzelić ci w plecy, napaść na ciebie skrycie i poderżnąć gardło, gdyż taki miał charakter, ale w konfrontacji z przeciwnikiem twarzą w twarz kulił pod siebie ogon, jeśli tylko napotkał opór. Tak, to było jeszcze ważniejsze odkrycie.

Peake stał przez chwilę, niezdolny do wykonania jakiegokolwiek ruchu. Sharp podszedł do drzwi. Jerry wciąż patrzył na Stone'a.

– Peake! – zawołał Sharp podwładnego, wychodząc z pokoju.

Młody agent podążył wreszcie za swym szefem, ale wciąż nie mógł oderwać wzroku od Felsena Kiela – Stone'a. To on będzie stanowił prawdziwą legendę.

Gliniarze na chorobowym

Detektyw Reese Hagerstrom poszedł spać we wtorek o czwartej trzydzieści rano, po powrocie z rewizji w domu pani Leben. Obudził się o wpół do jedenastej, nie wypoczęty, gdyż we śnie męczyły go koszmary. Szklanookie trupy leżały w kontenerach na śmieci, a martwe kobiety wisiały ukrzyżowane na ścianach. We śnie pojawiła się też Janet, nieżyjąca żona Reese'a, trzymająca się kurczowo klamki u drzwi niebieskiego furgonu marki Chevrolet, tego straszego furgonu, i krzycząca: „Porwali Esther, porwali Esther!” W każdym koszmarze jeden z mężczyzn siedzących w chevrolecie strzelał do niej tak, jak to się odbyło w rzeczywistości: trafił od razu i wielkokalibrowy pocisk zmasakrował jej śliczną buzię, rozerwał ją na kawałki...

Reese wstał z łóżka i wziął bardzo gorący prysznic. Pomyślał, że dobrze byłoby móc odkorkować mózg i wypuścić zeń część pamięci, w której tkwiły te ohydne, koszmarnie obrazy.

Jego siostra, Agnes, przypięła do lodówki karteczkę, że zabiera Esther na wizytę kontrolną u dentysty.

Reese stanął przy oknie koło zlewozmywaka i patrzył na wysokie drzewo koralowe rosnące na podwórzu. Potem wypił kawę i zjadł czerstwą słodką bułkę. Gdyby Agnes widziała, jak wygląda jego śniadanie, na pewno by się zatroskała. Ale koszmary przyprawiły go o mdłości i nie miał apetytu na nic solidniejszego. Nawet tę bułkę przełknął z trudem.

– Kawa i słodycze! – wykrzyknęłyby Agnes. – Od kawy dostaje się wrzodów, a po ciastkach zatykają się cholesterolem naczynia krwionośne! Dwa sposoby na powolne samobójstwo! Jeśli chcesz się zabić, podam ci sto szybszych i mniej bolesnych sposobów.

Dziękował Bogu za Agnes, mimo jej skłonności do odgrywania roli starszej siostry, mimo jej zrządzenia z byle powodu, począwszy od tego, jak Reese się odżywia, a skończywszy na tym, jakie nosi krawaty. Ale bez niej nie pozbiierałby się po śmierci Janet.

Biedna Agnes – krępa, grubokoścista, pozbawiona urody – miała zniekształconą lewą rękę i jej przeznaczeniem było staropanieństwo. Odznaczała się jednak dobrym sercem i niedoścignionym instynktem macierzyńskim. Po śmierci Janet przyjechała z walizką i ulubioną książką kucharską, aby zająć się Reese'em i małą Esther „tylko przez lato”, aż oboje dojdą do siebie i nie będą już potrzebowali pomocy. Agnes była nauczycielką w Anaheim i latem nie pracowała. Mogła więc sobie na to pozwolić, by poświęcić swój czas na cierpliwe odbudowywanie rozbitego domu brata. Od tamtego czasu minął już piąty rok i bez niej Reese byłby zgubiony.

Reese nawet lubił jej dobroduszne zrządzenie. Kiedy ktoś radził mu, by odżywiał się rozsądniej, czuł, że ten ktoś dba o niego i kocha go.

Nalewając sobie do filiżanki kolejną porcję kawy, postanowił, że kupi dziś siostrze bukiet róż i bombonierkę. Z natury nie był skłonny do okazywania uczuć, ale od czasu do czasu nadrabiał to prezentami wręczanymi *ad hoc* tym, na których mu zależało. Nawet najdrobniejsze niespodzianki, i to pochodzące tylko od brata, wzruszały Agnes. Grubokościste, krępe i pozbawione urody kobiety nie mają okazji otrzymywać prezentów, nie są więc do nich przyzwyczajone.

Życie jest nie tylko nie w porządku, ale czasami bywa wprost okrutne. O tym Reese wiedział już od dawna. Myślał tak nie tylko z powodu przedwczesnej tragicznej śmierci Janet czy faktu, że ciepłe, dobroduszne, macierzyńskie serce Agnes zostało na zawsze zamknięte w ciele, którego oceniający tylko powierzchowność mężczyźni nigdy nie pokochają. Jako policjant bowiem Reese regularnie oglądał najgorsze strony człowieczeństwa i już dawno zrozumiał, że światem rządzi okrucieństwo i że jedyną

obroną przed nim jest miłość rodzinna i przyjaźń.

Jego najbliższy przyjaciel, Julio Verdad, przyjechał, gdy Reese napełniał sobie właśnie filiżankę po raz trzeci. Hagerstrom przyniósł drugie naczynie i nalał kawy także dla Julia. Potem obaj usiedli w kuchni przy stole.

Julio był świeży i zadbany. Chyba tylko Reese potrafił dostrzec u porucznika ledwo widoczne ślady przemęczenia. Verdad jak zwykle był nienagannie ubrany: miał elegancko skrojony ciemny garnitur, starannie wyprasowaną białą koszulę, precyzyjnie zawiązany krawat w kolorach kasztanowym i błękitnym ze złotym łańcuszkiem, w kieszonce marynarki umieścił chusteczkę. Całość uzupełniały wiśniowe półbuty firmy Bally. Julio zatem jak zawsze wyglądał schludnie i przytomnie, ale pod jego oczami można było dostrzec ciemne worki, a jego głos był zdecydowanie cichszy niż zwykle.

– Całą noc na chodzie...? – spytał Reese.

– Nie, spałem.

– Ile? Godzinę? Dwie? Tak właśnie myślałem. Martwię się o ciebie – powiedział przyjaciel. – Zakatujesz się kiedyś na śmierć.

– To jest wyjątkowa sprawa.

– Wszystkie sprawy są dla ciebie wyjątkowe.

– Wobec ofiary, wobec Ernestiny, czuję się szczególnie zobowiązany.

– To już tysiączna ofiara, wobec której czujesz się szczególnie zobowiązany – zauważył Reese.

Julio wzruszył ramionami i pociągnął łyk kawy.

– Sharp nie blefował.

– Co masz na myśli?

– Nie blefował, przestrzegając nas przed kontynuowaniem tej sprawy. W kartotece są nadal nazwiska ofiar: Ernestina Hernandez i Rebecca Klienstad, ale cała reszta została utajniona. Oficjalnie podano, że władze federalne przejęły sprawę ze względu na „dobro bezpieczeństwa państwowego”. Dzisiaj rano zaczęliśmy Folbecka, czy nie pozwoliłby nam na towarzyszenie federalnym. A ten jak na mnie nie skoczy: „Kurwa twoja mać, Julio, nie mieszaj się do tego. To rozkaz!” Tak powiedział.

Folbeck był szefem wywiadowców. Jako zagorzały mormon nigdy nie używał tak mocnych słów, chociaż był nie gorzej wyszczekany niż reszta chłopców w wydziale i w ogóle dosyć często rzucał choleraми. Istniały jednak granice, których nie przekraczał i nie pozwalał przekraczać swoim ludziom. Powiedział kiedyś do Reese’a: „Hagerstrom, bardzo cię proszę, żebyś nigdy więcej w mojej obecności nie mówił «kurwa mać» ani «w dupę jebany». Nie znoszę tego i nie będę – cholera jasna! – takich rzeczy tolerował”. Jeśli więc teraz Nicholas Folbeck użył nie swojej łagodnej cholery, ale mocniejszych słów, należało wnioskować, że polecenie, by wyłączyć się z tej sprawy, pochodziło od kogoś znacznie ważniejszego niż Anson Sharp.

– A co z materiałami w sprawie porwania zwłok Erica Lebena? – spytał Hagerstrom.

– To samo – odrzekł Julio. – Sprawa odebrana i przekazana na szczebel federalny.

Rozmowa na tematy zawodowe pozwoliła Reese’owi zapomnieć o koszmarnych snach i o Janet. Wrócił mu nawet apetyt. Z pojemnika na pieczywo wyjął jeszcze jedną słodką bułeczkę.

– A może i ty masz ochotę...? – spytał Julia, ale ten odmówił.

– Co jeszcze załatwiłeś przez noc? – powrócił do tematu.

– Najważniejszą sprawę załatwiłem rano, po otwarciu biblioteki miejskiej. Pojechałem tam i przeczytałem wszystko, co mieli na temat doktora Lebena.

– Sporo już o nim wiemy: bogaty naukowiec, geniusz w dziedzinie genetyki, zimny, cyniczny i na

tyle głupi, że nie wiedział, jaką ma wspaniałą żonę.

– Cierpiał też na pewną manię – powiedział Julio.

– Myślę, że każdy geniusz cierpi na jakąś manię.

– Ale to była mania nieśmiertelności!

Reese zmarszczył brwi.

– Co?

– Jako doktorant i jeszcze po otrzymaniu tytułu naukowego, kiedy dał się już poznać jako jeden z najbardziej uzdolnionych genetyków, specjalistów od DNA, na świecie, pisał artykuły dla wydawnictw naukowych i publikował rozprawy na temat różnorodnych aspektów wydłużania czasu ludzkiego życia. To było morze artykułów. Facet niewątpliwie cierpi na manię.

– Cierpiał. Pamiętaj, że został przejechany – odezwał się Reese.

– Nawet w najsuchszym z tych artykułów, najbardziej technicznym... jest jakiś... ogień, jakaś... pasja, która i ciebie chwyta – kontynuował Julio. Z wewnętrznej kieszeni marynarki wyjął jakąś kartkę i rozłożył ją. – To jest wycinek z artykułu, który ukazał się w czasopiśmie popularnonaukowym, bardziej kolorowy, nie tak suchy jak opis technicznych detali w ściśle profesjonalnym ujęciu. Cytuję: „Kiedyś wreszcie będzie możliwe, że człowiek tak zmieni swą strukturę genetyczną, iż nie będzie się już bał śmierci, a żyć będzie dłużej od Matuzalema. Stanie się Jezusem i Łazarzem w jednej osobie, powstanie z grobu wbrew dotychczasowym prawom”.

Reese zamrugał oczami.

– Śmieszne, co? Ukradli jego ciało z kostnicy, co można uznać za „powstanie z grobu”, choć zapewne nie to miał Leben na myśli.

Oczy Julia były dziwne.

– Wcale nie wiadomo, czy to takie śmieszne. Wcale nie wiadomo, czy ktoś ukradł jego ciało.

Reese poczuł, że i jego oczy robią się dziwne.

– Chyba nie myślisz... – powiedział. – Nie, na pewno nie...

– To był geniusz, mający niewyczerpane zasoby finansowe. Niezwykle błyskotliwy umysł i znający się na tym, co robił, naukowiec, a przy tym człowiek opętany manią bycia wiecznie młodym, pokonania śmierci. A więc jeśli wydaje nam się, że wstał ze stołu do sekcji i wyszedł z kostnicy... to może naprawdę tak się stało?

Reese poczuł, że policzek zaczyna mu drgać nerwowo. Ze zdziwieniem zauważył też, że oblewa się zimnym potem.

– Ale czy po tych wszystkich obrażeniach, których doznał, jest to jeszcze możliwe?

– Na pewno kilka lat temu byłoby to zupełnie niemożliwe. Żyjemy jednak w epoce cudów, a przynajmniej w epoce nieskończonych możliwości.

– Ale jak to jest możliwe?

– Tego właśnie, między innymi, musimy się dowiedzieć. Zadzwoiłem na UCI* [*UCI (University of California at Irvine) – filia Uniwersytetu Kalifornijskiego w Irvine (*przyp. tłum.*)] i skontaktowałem się z doktorem Eastonem Solbergiem, którego prace nad starzeniem się Leben wspominał w swych artykułach. Okazało się, że Leben osobiście znał Solberga, uważał go za mistrza i przez pewien czas utrzymywali nawet bliskie kontakty. Solberg bardzo go chwalił jako naukowca i stwierdził, że nie dziwi się, iż Leben zbił majątek na swych odkryciach w dziedzinie genetyki. Jednakże dodał, że zna też ciemną stronę charakteru Erica i chciałby o tym porozmawiać.

– Jaką ciemną stronę?

– Nie chciał o tym mówić przez telefon. Ale umówiłem się z nim o pierwszej na terenie uniwersytetu. Julio odsunął się od stołu i wstał.

– Czy uda nam się, nie zadzierając z Nickiem Folbeckiem, dalej grzebać w tej sprawie? – spytał Reese.

– Chorobowe – powiedział Julio. – Dopóki jestem na zwolnieniu lekarskim, nie prowadzę oficjalnie żadnego śledztwa. Mogę najwyżej interesować się czymś prywatnie.

– To nam nic nie pomoże, jeśli nas złapią. W takich sytuacjach gliniarz nie może okazywać „prywatnego zainteresowania”.

– Nie, ale gdy będę na chorobowym, Folbeck przestanie interesować się tym, co robię. W ogóle zmniejsza się wtedy prawdopodobieństwo, że ktoś będzie zaglądał mi przez ramię. Wprost przeciwnie, dam im w ten sposób do zrozumienia, że z całą tą śliską sprawą nie chcę mieć nic wspólnego. Powiedziałem już Folbeckowi, że zamierzam wziąć wolne na kilka dni i wycofać się ze sprawy, co będzie najlepszym wyjściem na wypadek, gdyby dziennikarze nie dawali mi spokoju. Folbeck przyznał, że mam rację.

Reese również wstał od stołu.

– Zadzwoń do niego, że też źle się czuję.

– Już to za ciebie zrobiłem – powiedział Julio.

– Och... dobrze, jedźmy więc.

– Pomyślałem sobie, że słusznie postępuję. Ale jeśli nie chcesz się w to mieszać...

– Julio, działamy razem.

– Czy jesteś pewien, że tego chcesz?

– Tak – powiedział Reese z naciskiem.

I pomyślał: Uratowałeś moją Esther, moją córeczkę. Dogoniłeś tych zbrodniarzy w furgonetce, odzyskałeś Esther żywą. Ryzykowałeś własne życie, ale udało ci się. Pewnie myśleli, że to diabeł ich ściga, bo w oczach miałeś obłęd. Zawsze cię lubiłem, ponieważ byłeś moim partnerem i starałeś się, ale po tym wszystkim pokochałem cię, sukinsynu, i teraz zawsze będę przy tobie, gdy będziesz tego potrzebował, niezależnie od tego, w jaką sprawę się wplączesz.

Pomimo oporów natury psychicznej przed wyrażaniem swych uczuć Reese chciał powiedzieć to wszystko przyjacielowi, ale nie wyrzekł ani słowa. Wiedział, że Julio nie lubi czułości i byłby zażenowany. Verdad pragnął jedynie potwierdzenia przyjaźni i partnerstwa. Otwarte wyrażenie dożgonnej wdzięczności wytworzyłoby między nimi barierę i postawiło Julia w niezręcznej sytuacji. Byłby wówczas górą i już nigdy nie czuliby się ze sobą swobodnie.

Oczywiście na co dzień, w czasie pracy, Julio zawsze zajmował pozycję nadrzędną, decydował w najdrobniejszych szczegółach, jak poprowadzić śledztwo, ale jego „władza” nigdy nie była rażąca i nie przeszkadzała Reese’owi. Na tym polegała różnica. Reese czułby się zresztą równie dobrze, gdyby dominacja Julia była bardzo widoczna. Verdad był szybszy i bystrzejszy od niego, a więc podporządkowania się mu nie uważał za ujmę.

Ale urodzony i wychowany w Meksyku, a naturalizowany w Stanach Julio miał szacunek dla demokracji. I to nie tylko dla demokracji w sensie politycznym, lecz także we wszystkich sferach życia, również w stosunkach z przyjacielem. Przyjął pozycję dominującą, gdyż była oparta na wzajemnym, nie wypowiedzianym, ale istniejącym porozumieniu. Gdyby jednak jego rola została potwierdzona słowami, nie wytrzymałby tego i ich przyjaźń mogłaby na tym ucierpieć.

– Działamy razem – powtórzył Reese, płucząc pod kranem filiżanki po kawie.

– No, to jesteśmy gliniarzami na chorobowym. Zaczniemy się kurować.

Arrowhead

Sklep z artykułami sportowymi znajdował się w pobliżu jeziora w drewnianym baraku imitującym wiejską chatę. SPRZĘT WĘDKARSKI I SPORTOWY – WYPOŻYCZALNIA ŁODZI – anonsowała tablica, w oknach zaś umieszczono reklamy piwa marki Coors i Miller Lite. Na nasłonecznionej części sklepowego parkingu stały trzy samochody: dwa pickupy i jeep. Wczesne promienie poranka błyszczały na lakierze karoserii i odbijały się od szyb białym światłem.

– Broń – powiedział Ben, gdy zobaczył budynek. – Może sprzedają tam również broń.

– Mamy broń – odrzekła Rachael.

Benny dojechał do końca parkingu i zjechał z asfaltowej nawierzchni na pokryty dywanem sosnowych igieł żwir, który zachrząścił pod kołami. Ukrył samochód w cieniu masywnych, wiecznie zielonych krzewów otaczających działkę. Między liśćmi zamigotała mu tafla jeziora, dostrzegł też kilka łodzi, które unosiły się na skąpanej w słońcu powierzchni. Drugi brzeg był daleko i znajdowały się tam tylko porośnięte lasem wzgórza.

– Twoja trzydziestkadwójka to wprawdzie nie proca, ale też nie miotacz laserowy – powiedział Ben, wyłączwszy silnik. – Broń, którą odebrałem Vincentowi Baresco, jest lepsza, prawie taka jak działko, ale ideałem byłby tu karabin.

– Karabin? Czyżbyśmy rozpoczynali trzecią wojnę światową?

– Gdy ścigam żywego trupa, zawsze postępuję tak, jakbym zaczynał trzecią wojnę światową – wyjaśnił Ben, próbując obrócić wszystko w żart, ale nie bardzo mu to wyszło.

Już i tak wystraszone oczy Rachael nabrały teraz wyrazu przerażenia, drżała przy tym na całym ciele.

– Nie przejmuj się – pocieszył ją. – Wszystko będzie dobrze.

Wysiedli z wypożyczonego samochodu i przez chwilę stali w bezruchu, wdychając czyste, świeże górskie powietrze. Dzień był ciepły i zupełnie bezwietrzny. Drzewa nie kołysały się, nie szumiały liśćmi, jak gdyby ich gałęzie skamieniały. Drogą nie przejeżdżał żaden samochód, w pobliżu nie widać było również ani jednego człowieka. Ptaki przerwały śpiew i pochowały się gdzieś. Zapadła głęboka, doskonała, niesamowita cisza.

Ben wyczuł w niej coś złowrogiego, prawie jak znak z zaświatów, przestrozę, by opuścili to górskie pustkowie i powrócili w bardziej cywilizowane strony, do świata dźwięków i ruchu, tam gdzie są ludzie, którzy w razie zagrożenia mogliby im udzielić pomocy.

Rachael opanowały najwyraźniej podobne niewesołe myśli, gdyż powiedziała:

– Coś mi się tutaj nie podoba. Może powinniśmy odjechać stąd i zatrzymać się w innym miejscu.

– I dać Ericowi więcej czasu na odzyskanie sił?

– Może nigdy nie dojdzie do siebie w pełni?

– Ale jeśli mu się to uda, będziesz w niebezpieczeństwie.

Westchnęła, potakując ruchem głowy.

Przeszli przez parking i weszli do sklepu, by kupić strzelbę i trochę amunicji.

Z Erikiem działo się coś dziwnego, dziwniejszego nawet niż jego zmartwychwstanie. Zaczęło się od kolejnego bólu głowy, jednej z wielu przychodzących i mijających dokuczliwych migren, jakie miewał od chwili „powrotu do życia”. Nie od razu zdał sobie sprawę z tego, że ten ból był inny, dziwny. Zamknął oczy, gdyż raziło go światło, i starał się nie zważać na nieprzerwane, przysparzające mu śmiertelnego cierpienia i osłabiające go pulsowanie pod czaszką.

Przysunął sobie fotel do okna w salonie i rozpoczął czuwanie. Wyglądał na porastający zbocza las

i błotnistą drogę, która wiodła od usianych licznymi domostwami górskich podnóży, a zaczynała się nad jeziorem Arrowhead. Wyżej chowała się wśród drzew, ale w dolnym odcinku była odsłonięta. Gdyby nadjeżdżali wrogowie Erica, wypatrzyliby ich na czas. Opuściliby wtedy dom tylnym wyjściem, ukrył się w lesie i później zaatakował z zaskoczenia.

Miał nadzieję, że gdy usiądzie w fotelu, pulsowanie pod czaszką ustąpi choć trochę. Ból jednak narastał i stawał się gorszy niż wszystko, czegokolwiek Eric w życiu doświadczył. Miał wrażenie, że jego głowa jest z gliny, a każde kolejne uderzenie niewidzialnym młotem nadaje jej nowy kształt. Zaciśnął mocno zęby, zdecydowany stawić czoło nieszczęściu. A może ból nasilił się w związku z koncentracją, konieczną do obserwowania drogi? Jeśli stanie się już zupełnie nie do zniesienia, Eric zrezygnuje z wypatrywania wrogów – aczkolwiek bardzo niechętnie, gdyż przeczuwa niebezpieczeństwo – i będzie musiał położyć się na chwilę.

Siekierę i dwa noże trzymał na podłodze koło fotela. Za każdym razem, gdy spoglądał na ich lśniące ostrza, czuł się nie tylko bezpieczny, ale i napełniony dziwną radością. A kiedy ujął w dłoń trzonek siekiery, przeszedł go cudowny, prawie erotyczny dreszcz.

Niech przychodzą, pomyślał. Pokażę im, że Eric Leben jest wciąż człowiekiem, z którym trzeba się liczyć. Niech przychodzą.

Choć nadal miał trudności z uświadomieniem sobie, kto mógłby go poszukiwać, to jednak czuł, że jego obawy są uzasadnione. I nagle w umyśle Erica pojawiły się nazwiska: Baresco, Seitz, Geffels, Knowls, Lewis. Tak, oczywiście, współnicy z Geneplan! Oni wszystko o nim wiedzą. Na pewno już postanowili, że należy go szybko znaleźć i zlikwidować, aby nie dopuścić do ujawnienia tajnych projektów. Ale nie tylko tych pięciu mężczyzn powinien się bać. Byli jeszcze inni... jakieś cienie, których nie potrafił zidentyfikować, ludzie mający więcej władzy niż współnicy z Geneplan.

Przez chwilę wydawało mu się, że jest bliski zburzenia otaczającego go muru tajemnicy wejścia do świata prawdy. Znalazł się na krawędzi oświecenia i pełnego odzyskania pamięci takiej, jaką miał przed powstaniem ze stołu w kostnicy. Wstrzymał oddech i pochylił się w fotelu; drżąc cały, oczekiwał dalszych postępów. Prawie mu się udało, prawie już wiedział, kim byli pozostali prześladowcy, co oznaczały myszy i skąd wziął się ten przerażający obraz kobiety ukrzyżowanej na ścianie...

I wtedy przeszywający ból strącił go na powrót z obszaru światła w krainę ciemności. Jasne myśli zasnuła mgła i Eric wyrzucił z siebie cienki okrzyk rozpaczny.

Nagle jego uwagę zwrócił jakiś ruch w lesie za oknem. Mrużąc swe rozpalone wodniste oczy, Eric przesunął się na brzeg fotela i przechylił w stronę parapetu. Bacznie obserwował porośnięty drzewami stok i zanurzoną w cieniu błotnistą drogę. Nikogo nie było. Ruch wywołał nagły powiew wiatru, który przerwał wreszcie panującą w powietrzu ciszę. Krzewy drgnęły lekko, a korony wiecznie zielonych drzew zaczęły się kołysać równym rytmem, jak gdyby wachlując się dla ochłody.

Zamierzał właśnie znów zagłębić się w fotelu, kiedy potężna fala bólu przetoczyła się w głąb jego czaszki i dosłownie odrzuciła go do tyłu. Przez chwilę znajdował się niemal w stanie agonalnym, niezdolny poruszyć się ni zapłakać, ni oddychać. Kiedy wreszcie doszedł do siebie, krzyknął głośno, choć był to już bardziej okrzyk gniewu niż bólu. Ból bowiem minął równie szybko, jak przyszedł.

Przestraszył się, że ten nagły wybuch cierpienia mógłby oznaczać niespodziewany zwrot na gorsze, może nawet rozpad na kawałki popękanej czaszki. Podniósł rękę i dotknął nią głowy – najpierw uszkodzonego prawego ucha, którego wczoraj o mało nie stracił. Było w dotyku grube i wyjątkowo chrząstkowate, ale już przynajmniej nie zwisało beзуżytecznie i nie krwawiło.

Jak to możliwe, że tak szybko zdrowiał? Proces miał trwać kilka tygodni, a nie kilka godzin.

Powoli powędrował palcami wyżej i ostrożnie zbadał głębokie wgniecenie po prawej stronie czaszki, w miejscu w którym uderzyła go ciężarówka. Wprawdzie wciąż tam jeszcze było, ale już jakby mniejsze, kość czaszki zaś twardsza, jak łupina orzecha, a nie skórka pomarańczy. Eric nie czuł już żadnej miękkości. Zachęcony pierwszymi odkryciami, zaczął mocniej uciskać palcami ranę, masować ją, sondować brzegi wgłębienia i wszędzie natrafiał na twardą kość i ślady zabliznienia. Potrzaskana i zdeformowana czaszka potrzebowała tylko jednego dnia, by rany zaleczyły się, a kości zrosły. Cholera to jest nieprawdopodobne, to jest wprost niemożliwe! Nie została ani jedna otwarta rana, a tkankę mózgową Erica znów ochraniał twardy pancerz czaszki.

Siedział tak ogłupiały i niezdolny do ogarnięcia całości. Pamiętał, że wprowadził do swego organizmu geny, które miały wzmocnić proces zdrowienia i wspierać odmładzanie komórek, ale dlaczego, do cholery, dzieje się to tak szybko? Ciężkie rany zasklepiające się w ciągu paru godzin! Ciało, żyły i w ogóle naczynia krwionośne – wszystko odnawiało się niemalże na jego oczach! Połamane kości zrastały się w niespełna jeden dzień! Boże, nawet komórki najbardziej złośliwego raka w najbardziej dynamicznej fazie nie kontrolowanej reprodukcji nie dotrzymałyby tego tempa!

Przez chwilę był ożywiony, pewien, że eksperyment przyniósł jeszcze lepsze od oczekiwanych rezultaty. Potem uprzytomnił sobie, że ma kłopoty z koncentracją i luki w pamięci, choć zapewne odradzanie komórek mózgowych odbywało się równie szybko jak regeneracja samej czaszki. Czy to miało znaczyć, że już nigdy nie odzyska pełnej sprawności umysłowej, mimo uzdrowienia tkanek? Zmroziła go ta perspektywa, zwłaszcza że znów ujrzał od dawna nieżyjącego wuja Barry'ego Hampsteada, który stał w kącie, za kręgiem strzelających w górę cienistych ogni.

Może, choć wrócił z krainy śmierci, na zawsze pozostanie już trupem i nic nie pomoże tu nowa, cudowna struktura genetyczna? Nie. Nie chciał w to uwierzyć, gdyż oznaczałoby to, że cała jego praca – badania, projekty, związane z nimi ryzyko – poszła na marne.

Siedzący w kącie wuj Barry skrzywił twarz w uśmiechu i powiedział: „Chodź, Ericu, pocałuj mnie. Chodź i pokaż, że mnie kochasz”.

Śmierć mogła być czymś więcej niż tylko ustaniem aktywności fizycznej i umysłowej. Mogła oznaczać też utratę jakiejś wartości... duchowej, która nie dawała się reanimować na równi z ciałem i mózgiem.

Zupełnie jakby z własnej woli wędrująca po szczęce ręka Erica powróciła do brwi, skąd eksplodowała ponowna fala bólu. Poczuł się jakoś dziwnie. Poczuł, że coś jest nie tak. Jego czoło nie było już płaskie i gładkie, lecz guzowate i krostowate, pokryte jakimiś straszными naroślami.

Usłyszał ciche, trwożliwe kwilenie i w pierwszej chwili nie zdał sobie sprawy z tego, że sam wydawał ten dźwięk.

Kości skroniowe pogrubiały i rozrosły się do niesamowitych rozmiarów, zwłaszcza nad prawym okiem.

Jak to się mogło stać? O Boże, jak to się mogło stać?

Zaczął badać dłońią dalsze partie swej twarzy w taki sposób, w jaki niewidomy stara się na podstawie dotyku wyobrazić sobie wygląd nieznajomego. W miarę jak to czynił, coraz bardziej trząsł się ze strachu.

Pośrodku czoła napotkał palcami opadającą w stronę nosa twardą, nierówną narośl. Czuł, że cały pęcznieje, a wzdłuż linii włosów pulsuje mu krew w żyłach, choć nie powinny znajdować się tam żadne arterie. Nie potrafił opanować kwilenia, a z oczu trysnęły mu gorące łzy.

Przerażająca prawda o tym, w jakiej znalazł się sytuacji, dotarła nawet do jego zamglonego umysłu. Z technicznego punktu widzenia genetycznie zmodyfikowane ciało Erica zostało zabite w wyniku

gwałtownego zderzenia ze śmieciarką, ale na poziomie komórkowym utrzymało się coś na kształt życia. Wprowadzone sztucznie geny, funkcjonujące dzięki wąskiej struzce energii życiowej, która pozostała jeszcze w organizmie, wysłały do wszystkich stygnących komórek pilne sygnały, że należy niezwłocznie wytworzyć wszystkie substancje potrzebne do regeneracji i odmłodzenia ciała. Ale kiedy zakończył się proces „zdrowienia”, zmienione geny nie „wyłączyły” szalonego wzrostu. Gdzieś tkwił błąd i proces trwał dalej. Jego organizm powoli rozrastał się i – choć nowe tkanki były zapewne absolutnie zdrowe – przypominało to raka, tyle że w jego wypadku prędkość, z jaką zachodziły zmiany, znacznie przewyższała szybkość powstawania komórek najbardziej złośliwego nowotworu.

Ciało Erica zmieniało się. Ale w co?

Serce biło mu jak młotem, a po skórze lał się zimny pot. Wstał z fotela. Zaczął szukać lustra. Musiał zobaczyć w nim swe oblicze. Nie chciał go oglądać, bał się panicznie tego, co spodziewał się ujrzeć, odrazę budziła w nim myśl o odbiciu obcej, groteskowo zniekształconej twarzy, ale jednocześnie paliła go żądza poznania, w co się zmieniał.

W sklepie sportowym nad jeziorem Ben wybrał sobie remingtona. Był to półautomatyczny karabin wielkokalibrowy o magazynku na pięć pocisków. W odpowiednich rękach ta broń mogła siał zniszczenie. A ręce Bena były odpowiednimi rękami. Dodatkowo zakupił dwa pudełka naboju do remingtona, pudełko amunicji do zdobycznego rewolweru typu Smith & Wesson 357 Combat Magnum oraz pudełko pocisków kalibru 32 do pistoletu Rachael.

Zupełnie jakby szykowali się na wojnę.

Chociaż przy zakupie karabinu nie wymagano pozwolenia, a broń otrzymywało się do ręki od razu, Benny musiał wypełnić formularz, wpisując swoje nazwisko, adres oraz numer polisy ubezpieczeniowej. Trzeba było także okazać dowód tożsamości, najlepiej kalifornijskie prawo jazdy z laminowanym zdjęciem. Podczas gdy Ben stał wraz z Rachael przy żółtej ladzie i wypełniał druk, sprzedawca, który na wstępie przedstawił się jako Sam, przeprosił ich i odszedł na drugi koniec sklepu, gdzie czekali jacyś wędkarze pragnący uzyskać informacje na temat sprzętu.

Inny sprzedawca objaśniał klientom na przeciwległym krańcu sklepu różnice między poszczególnymi typami śpiworów.

Na regale za ladą, wśród obciążonych folią pudełek ze śrutem, stało nastawione na lokalną rozgłośnię radio. Gdy Ben i Rachael wybierali broń i amunicję, z głośnika rozlegała się tylko przerywana reklamami muzyka. Ale wybiła pierwsza trzydzieści w południe, pora nadawania wiadomości, i Ben usłyszał na falach eteru nazwisko swoje oraz Rachael.

...Shadwaya i Rachael Leben został wydany nakaz aresztowania. Pani Leben jest wdową po zamożnym przedsiębiorcy, Ericu Lebenie, który wczoraj zginął w wypadku ulicznym. Jak oświadczył rzecznik Departamentu Sprawiedliwości, Shadway i pani Leben poszukiwani są w związku z kradzieżą strategicznych, ściśle tajnych materiałów naukowych z laboratoriów korporacji Geneplan, które dotyczyły projektów finansowanych przez Departament Obrony, a także w związku z podejrzeniem o dokonanie zabójstwa na dwóch oficerach policji w Palm Springs, którzy zginęli wczoraj wieczorem w czasie gwałtownej strzelaniny... Rachael też to usłyszała.

– Paranoja!

Ben położył jej rękę na ramieniu, by się uspokoiła, i nerwowo spojrział na dwóch sprzedawców, wciąż zajętych swoimi klientami. Niczego tak nie pragnął, jak tylko tego, by nie zwrócili uwagi na nadawane przez radio wiadomości. Przecież Sam, zanim wyjął formularz do wypełnienia, obejrzał jego prawo jazdy i z pewnością zapamiętał nazwisko Bena. Gdyby je teraz usłyszał, na pewno by zareagował.

Protesty i zapewnienia, że jest niewinny, na nic by się zdały. Sam zadzwoniłby po gliniarzy. Niewykluczone, że w kasie za ladą miał nawet rewolwer i że mógłby go użyć w celu zatrzymania ich w sklepie do czasu przybycia policji. Ben nie chciał być zmuszony odebrać Samowi broń i ranić go może przy tej okazji.

...Szef wywiadu wojskowego, Jarrod McClain, który koordynuje dochodzenie oraz pościg za Shadwayem i Leben, wydał przed godziną w Waszyngtonie specjalne oświadczenie dla prasy, w którym nazwał całą historię „sprawą najwyższej wagi państwowej, która może nawet przerodzić się w kryzys bezpieczeństwa narodowego”...

Sam wciąż znajdował się w części ze sprzętem wędkarskim i właśnie roześmiał się głośno z tego, co powiedział klient, po czym ruszył z powrotem w stronę kasy. Jeden z wędkarzy szedł wraz z nim. Prowadzili ożywioną rozmowę, więc nawet jeśli docierał do nich głos z radia, to niewątpliwie słuchali go bezwiednie. Gdyby jednak umilkli, zanim komunikat dobiegnie końca...

...Mimo oświadczeń, że Shadway i pani Leben narazili na zniszczenie system bezpieczeństwa państwowego, ani McClain, ani rzecznik Departamentu Sprawiedliwości nie chcieli podać, na czym polegają prace wykonywane w Geneplan na zlecenie Pentagonu...

Obaj mężczyźni znajdowali się już kilka kroków od Bena i Rachael. Nadal zawzięcie dyskutowali na temat zalet wędek i kołowrotków.

Rachael wpatrywała się w niego lękliwie i Benny trącił ją lekko, by wyrwać z transu, który mógłby zwrócić uwagę obu mężczyzn na płynące z radia niepokojące wiadomości.

...Korporacja zajmuje się wyłącznie badaniami w dziedzinie genetyki... Sam wszedł za ladę. Klient został po drugiej stronie żółtego blatu i dalej szli już rozdzieleni, ale nie przerywali ożywionej rozmowy. Zbliżali się do Rachael i Bena.

...Wszystkie komisariaty policji w Kalifornii i większość na Południowym Zachodzie dysponują już zdjęciami i rysopisami Benjamina Shadwaya oraz Rachael Leben. Służby federalne ostrzegają, że poszukiwani przestępcy mają broń i są niebezpieczni.

Sam i wędkarz doszli do kasy, a Benny powrócił do pilnego wypełniania formularza.

Spiker radiowy przeszedł do kolejnej informacji.

Tymczasem – ku zaskoczeniu i radości Bena – Rachael zaczęła gawędzić z klientem, odwracając jego uwagę od innych rzeczy. Był to wysoki, tęgi mężczyzna po pięćdziesiątce, w czarnej koszulce z krótkimi rękawami, które odsłaniały jego muskularne, pokryte błękitno-czerwonym tatuażem ramiona. Rachael udała, że jest zafascynowana tymi rysunkami, a wędkarz – jak każdy mężczyzna w podobnej sytuacji – był wyraźnie zadowolony z pochlebstw młodej, ładnej kobiety. Rachael przybrała minkę i głosik kalifornijskiej słodkiej idiotki i nikt, kto teraz słuchałby jej czarującej, bezmyślnej paplaniny, nie podejrzewałby, że przed kilkunastoma sekundami dowiedziała się z radia, iż jest poszukiwana przez policję w związku z podejrzeniem o dokonanie podwójnego zabójstwa.

Tymczasem ten sam, nieco pompatyczny spiker, relacjonował zamach bombowy na Środkowym Wschodzie. Sprzedawca Sam wyłączył radio, przerywając w pół zdania najnowsze doniesienia.

– Jestem chory, jak słyszę o tych cholernych Arabach – powiedział do Bena.

– A kto nie jest? – odrzekł Benny, wypełniając ostatnią rubrykę.

– Moim zdaniem – kontynuował Sam – jeśli dalej będą nam się dawać we znaki, należy zrzucić na nich bombę, i spokój!

– Tak jest! – zgodził się Benny. – Cofnąć ich do epoki kamienia łupanego.

Radio było częścią zestawu stereofonicznego. Sprzedawca włożył teraz do magnetofonu kasetę

i puścił muzykę.

– Jeszcze dalej! Oni już w tej chwili znajdują się w epoce kamienia łupanego.

Z głośników leciała już muzyka grupy „The Oak Ridge Boys”, kiedy Benny powiedział:

– Zrzucić na nich bombę i spowodować, by znaleźli się w epoce dinozaurów!

Rachael wydawała z siebie cichutkie okrzyki zdumienia, podczas gdy wędkarz opowiadał jej, jak to specjalne igły wprowadzają atrament pod trzy warstwy skóry.

– Tak, w epoce dinozaurów! – przytaknął Sam. – Niech ich terrorystyczne bandy wyżywają się na tyranozaurach!

Ben zaśmiał się i wręczył sprzedawcy wypełniony formularz.

Należność została już odciągnięta z karty kredytowej Bena i Samowi pozostało tylko podpisać pod formularz rachunek i wydruk z kasy, a do torby z czterema zapakowanymi pudełkami naboju wrzucić kopię pokwitowania.

– Zapraszam do naszego sklepu w przyszłości.

– Na pewno skorzystam z zaproszenia – zapewnił Ben.

– Do widzenia – powiedziała Rachael do wędkarza.

– Dzień dobry i... do widzenia – zwrócił się Benny do wędkarza.

– Do widzenia – rzekli oboje do sprzedawcy.

Ben niósł pudło z bronią, Rachael zaś plastikową torbę z amunicją. Szli powoli i niedbale w stronę drzwi. Minęli aluminiowe wiadra pełne przynęty, przykryte perforowanym styropianem, oraz złożone sieci włókowe na piskorze, a także małe siatki zwane podrywkami, które wyglądały jak rakiety do tenisa o słabo naciągniętych żyłkach. Przeszli obok regałów z naczyniami na lód, termosami i kolorowymi czapczkami wędkarskimi.

Za nimi rozległ się głos wytatuowanego wędkarza, który zapewne myślał, że już go nie słyszą:

– Ale kobitka!

Nawet ci się nie śni, „jaka kobitka”, pomyślał Benny, otwierając przed Rachael drzwi i wychodząc za nią.

Na dworze w niewielkiej od nich odległości stał samochód, z którego wysiadał właśnie zastępca szeryfa okręgu San Bernardino.

Lampy jarzeniowe oświetlały zielone i białe kafelki w łazience; były na tyle silne – dla Erica nawet zbyt silne – że wymiatały wszystkie złowrogie cienie.

Oprawne w mosiężną ramę łazienkowe lustro, nie skażone plamami ani żółtym nalotem starości, odbijało obrazy jasno i wyraźnie w każdym szczególe – dla Erica zbyt wyraźnie.

Eric Leben nie był zaskoczony tym, co zobaczył. Siedząc w fotelu, zdążył – za pomocą dotyku – zapoznać się ze zdumiewającymi zmianami w górnej części swej twarzy. Ale wzrokowe potwierdzenie tego, co powiedziały nie dowierzające palce, zaszokowało, przestraszyło i przygnębiło naukowca. A przy tym okazało się dlań bardziej fascynujące niż cokolwiek, co widział w swym życiu.

Rok temu poddał się doświadczeniom wchodzącym w skład projektu „Wildcard”, niedoskonałego jeszcze programu zmian genetycznych, których celem było uodparnianie organizmu. Od tego czasu nie przeziębiał się, nie łapał grypy, nie miewał bólów głowy ani opryszczek, ani nawet zgagi. Z tygodnia na tydzień gromadził materiały mające potwierdzić jego tezę, że następują pożądane zmiany bez żadnych skutków ubocznych.

Bez skutków ubocznych!

Chciało mu się śmiać. Prawie bez skutków ubocznych.

Patrzył w lustro przerażony, jak gdyby były to drzwi do piekła. Podniósł do czoła trzęsącą się rękę i ponownie dotknął wyrastającego nad nosem i ciągnącego się aż do linii włosów falistego pagórka.

Straszliwe obrażenia, których doznał poprzedniego dnia, wyzwoliły takie zdolności samoregulacji organizmu, jakich nie sprowokowałyby najcięższe przeziębienie czy grypa. Śmiertelnie zagrożone komórki zaczęły produkować interferon, szerokie spektrum zwalczających infekcje przeciwciał – a zwłaszcza hormonów wzrostu i protein – ze zdumiewającą szybkością. Nie wiadomo dokładnie, dlaczego substancje te kontynuowały proces, choć zdrowienie dobiegło końca, a zatem i ich rola. Teraz jego ciało już nie tylko zastępowało zniszczoną, ale również dodawało nową tkankę, i to w zastraszającym tempie, bez żadnej potrzeby.

– Nie – powiedział cicho. – Nie – i starał się odrzucić to, co widział przed sobą. Ale wszystko było prawdą, czuł ją opuszkami palców, gdy dalej badał nimi owłosioną skórę własnej głowy. Dziwne uwypuklenie czaszki najbardziej uwidaczniało się na czole Erica, chociaż wyczuwał je także na kości ciemieniowej, ukryte pod włosami. Odniósł nawet wrażenie, że czuje, jak rośnie mu pod palcami i przesuwa się w stronę potylicy.

Jego ciało ulegało przekształceniom albo na ślepo, albo zgodnie z jakimś planem, który dla Erica był jeszcze niezrozumiały. I nikt nie mógł powiedzieć, kiedy zakończy się ten proces transformacji. Może nigdy...? Może Eric będzie w nieskończoność rosnać, zmieniać się, przydawać swemu ciału coraz to nowe oblicza? Robił się z niego potwór... a może nawet coś gorszego, coś tak bardzo odmiennego, że trudno to będzie nazwać istotą ludzką?

Uwypuklenie ginęło na potylicy i Eric powrócił ręką na czoło, do miejsca gdzie wyczuwał zgrubienie. Znajdowało się ono nad oczami i było tak wyraźne, że Leben przypominał nieomal neandertalczyka lub jakiegoś innego praprzodka człowieka, chociaż tamci nie mieli pionowego garbu pośrodku czoła ani guzów na skroni. Neandertalczykom nie występowały też nad brwiami nabrzmiące grube żyły, w których dynamicznie pulsowała krew.

Nawet teraz, w tym strasznym stanie pomieszania umysłu i częściowej utraty pamięci, Eric zdawał sobie doskonale sprawę, do czego może doprowadzić taki rozwój jego organizmu. Na przykład nigdy już nie będzie mógł zostać pełnoprawnym członkiem normalnej ludzkiej społeczności. Nie miał już żadnych wątpliwości, że jest jednocześnie doktorem Frankensteinem i stworzonym przez niego potworem w jednej osobie. Sam siebie wyrzucił – i wciąż jeszcze wyrzucał – poza nawias, na zawsze, bez nadziei na powrót.

Jego przyszłość była tak koszmarna, że koszmarniejszej nie można już sobie wyobrazić. Zapewne zostanie wreszcie złapany i zamknięty w jakimś laboratorium, gdzie stanie się przedmiotem licznych doświadczeń wytrzeszczających na niego oczy szalonych naukowców. Dla nich będą to tylko zgodne z prawem i moralnością eksperymenty, które jednak dla Erica oznaczać będą nie kończąca się torturę. A może ucieknie gdzieś na zupełnie pustkowie i będzie prowadził tam wzruszający żywot, dając początek legendom o pojawieniu się nowego potwora? Aż pewnego dnia natknie się przez przypadek na jakiegoś myśliwego, który go załatwi. Niezależnie jednak od tego, która z tych smutnych wersji miałaby się sprawdzić, jedno było pewne: czekało go życie w strachu i samotności. Strach wynikać będzie mniej z tego, co mogliby mu uczynić źli ludzie, a bardziej z tego, co działo się z jego organizmem. Samotność zaś będzie absolutna – taka jakiej nie zaznał i nie zazna żaden człowiek, gdyż Eric będzie na tej Ziemi jedynym tego rodzaju stworzeniem.

Na szczęście ciekawość odsuwała jeszcze na bok rozpacz i przerażenie, była to ta sama potężna ciekawość, która uczyniła zeń wspaniałego naukowca. Kiedy patrzył na swe przerażające lustrzane

odbicie, na postępujący proces genetycznej katastrofy, podniecała go świadomość, że oto obserwuje rzeczy, których nie widział jeszcze żaden człowiek. Więcej nawet, rzeczy, które w ogóle nie były przeznaczone dla ludzkich oczu. To było radosne uczucie, stanowiło sens życia takiego jak on człowieka. W pewnym stopniu każdy naukowiec dąży do wyjaśnienia zagadek związanych z życiem na Ziemi i jeśli jest mu już dana okazja ujrzeć światełko w tunelu, ma nadzieję, że potrafi je właściwie odczytać. Ale w tym wypadku chodziło o coś więcej niż tylko światełko. To był silny snop światła, wnikający w mroczny korytarz ludzkiego życia i rozwoju, a czas jego istnienia zależał tylko od woli i odwagi Erica. Myśl o samobójstwie tylko przemknęła mu przez głowę i zniknęła bezpowrotnie. Waga problemu, którym się zajmował, była większa niż cierpienia fizyczne, duchowe i umysłowe, które się z tym wiązały. Przyszłość Erica rysowała się jak namalowany w szarych kolorach niewyraźny pejzaż, rozświetlony przelotnie błyskawicą bóleści, coś jednak pchało go do dalszej wędrówki przez ten świat, aż do niewidocznego horyzontu. Muszę poznać, co stanie się ze mną ostatecznie, myślał.

Poza tym żadna ze zmian, które w nim zaszły, ani trochę nie zmniejszyła jego strachu przed śmiercią. Nekrofobia męczyła go nawet bardziej niż do tej pory, gdyż właśnie teraz najbliżej mu było do trumny. Dlatego rodzaj i jakość życia, jakie go otaczało, nie miały dla niego znaczenia – najważniejsze, że chodziło o życie. Trzeba iść przez nie naprzód, przed siebie. Nieważne, że metamorfoza doprowadzała go do depresji i ścinała mu krew w żyłach – „druga strona” dla życia, czyli śmierć, była dlań czymś znacznie gorszym.

Gdy tak patrzył w lustro, powrócił ból głowy. Wydało mu się, że w oczach zauważył nowy wyraz. Przesunął twarz do lustra.

W jego oczach było coś zdecydowanie dziwnego, innego, nie potrafił jednak dokładnie określić rodzaju zmiany.

Migrena nagle stała się nie do zniesienia. Światło jarzeniowe zaczęło mu przeszkadzać, zmrużył więc oczy i ograniczył jego dopływ.

Przestał patrzeć sobie prosto w oczy i powoli przeniósł wzrok na resztę ciała. Miał wrażenie, że zmiany pojawiły się także wzdłuż prawej brwi i w kości jarzmowej wokół całego prawego oka.

Znów poraził go strach, ale taki, jakiego jeszcze nigdy nie zaznał, a serce zaczęło bić przyspieszonym rytmem.

Ból rozsadzał mu czaszkę i promieniował na całą twarz.

Gwałtownym ruchem odwrócił się od lustra. Rzeczą niemiłą, lecz możliwą do przyjęcia było ujście zmian, jakie zaszły w organizmie. Przyglądanie się jednak procesowi transformacji własnego ciała, który właśnie się dokonywał, wymagało zdecydowanie więcej odwagi, odporności i silnej woli, których Eric już nie miał. Zbierało mu się na wymioty.

Akurat teraz pomyślał sobie o Lonie Chaneyu juniorze w starym filmie pod tytułem *Wilkołak*. Chaney był tam przerażony, że zmienił się w wilka. Strach poraził go i sprawił, że zaczął płakać nad swym losem. Eric spojrzał na swe potężne dłonie i już wyobraził sobie, jak wyrastają z nich gęste włosy. Zaśmiał się z tej sugestii, a śmiech – tak jak i poprzednio – był chrapliwy, zimny i przerywany. Pozbawiony pogody, szybko przerodził się w spazmatyczny szloch.

Wnętrze czaszki i twarz znów wypełniły się bólem, nawet wargi go bolały. Zanim wydostał się z łazienki, wpadł najpierw na umywalkę, a potem uderzył we framugę drzwi. Wreszcie wydobył z piersi wysoki, przejmujący jęk – był on zarazem symfonią strachu i koncertem cierpienia.

Zastępca szeryfa okręgu San Bernardino nosił ciemne okulary słoneczne, które całkowicie skrywały jego oczy, a co za tym idzie – również zamiary. Jednakże gdy mężczyzna wysiadał z samochodu, w jego

ruchach nie widać było ostrzegawczego napięcia ani innych oznak wskazujących na to, że rozpoznał ich jako karygodnych „łamaczy prawa”, „gwałcicieli sprawiedliwości”, „wyrzutków społeczeństwa”, o których niedawno mówiono w radiu.

Ben i Rachael szli, nie zatrzymując się i trzymając za ręce. Wprawdzie w ciągu ostatnich kilku godzin ich rysopisy i zdjęcia przekazano do wszystkich komisariatów policji w Kalifornii i na Południowym Zachodzie, ale nie znaczyło to jeszcze, że każdy stróż prawa myślał tylko o nich.

Zastępca szeryfa zdawał się patrzeć na nich. Ale nie każdy gliniarz jest na tyle obowiązkowy, by przed wyjazdem na patrol przejrzeć najnowsze biuletyny. Ci zaś, którzy wyjechali na objazd z samego rana, a mogło to dotyczyć również tego oficera, zapewne nie zdążyli jeszcze w ogóle zobaczyć zdjęć Bena i Rachael.

– Przepraszam – powiedział policjant.

Ben zatrzymał się. Czuł, jak dłoń Rachael sztywnieje. Chciał zachować spokój i uśmiechnął się.

– Słucham pana?

– Czy to wasz pickup?

Benny zamrugał oczami.

– Ten? Nieee...

– Ma stłuczone tylne światło – wyjaśnił zastępca szeryfa i zdjął ciemne okulary, odsłaniając wolne od podejrzeń oczy.

– Prowadzimy tamtego forda – wyjaśnił Ben.

– Czy wie pan, do kogo należy ten pickup?

– Nie. Zapewne do któregoś z klientów.

– W porządku, nie zatrzymuję państwa dłużej i życzę miłego pobytu w naszych pięknych górach – rzekł policjant, minął ich i skierował się w stronę sklepu sportowego.

Ben z trudem powstrzymał się, by nie pobiec do samochodu, i podejrzewał, że z Rachael jest tak samo. Odmierzany przez nich miarowy krok był aż nazbyt nonszalancki.

Ustąpiła już złowroga cisza, tak głęboka, kiedy tu przyjechali. Teraz dzień wypełniały odgłosy życia. Gdzieś na jeziorze płynęła motorówka i warkot silnika brzmiał niczym rój szerszeni. Znad błękitnej powierzchni wody nadeszła świeża bryza, poruszyła drzewami, rozkołysała trawy, zielsko i dzikie kwiaty. Szosą przemknęło parę samochodów, a przez otwarte okna płynęła hałaśliwa muzyka.

Doszli do pożyczonego forda, który wciąż stał w chłodnym cieniu sosen. Rachael wsiadła do środka i zatrasnęła drzwiczki. Towarzyszący temu głuchy odgłos wywołał na jej twarzy nerwowe skrzywienie, jak gdyby dźwięk ten mógł sprawić, że zastępca szeryfa zawróci w ich stronę. W zielonych oczach kobiety czał się strach.

– Zjeżdżamy stąd.

– Już się robi – odparł Benny, włączając silnik.

– Myślę, że możemy znaleźć inne, bardziej odludne miejsce, gdzie rozpakujesz i naładujesz broń.

Wyjechali na dwupasmową, okrążającą jezioro drogę i skierowali się na pomoc. Ben co chwila spoglądał we wsteczne lusterko, ale nikt ich nie śledził. Uznał za paranoidalną, pozbawioną podstaw obawę, że depczą im po piętach prześladowcy. Niemniej jednak nie przestawał spoglądać do tyłu.

Błyszcząca powierzchnia jeziora pozostawała w dole, po ich lewej stronie, po prawej zaś wznosiły się góry. Tu i ówdzie na porośniętych lasem stokach widniały zabudowania – jedno duże i bogate niczym wiejskie posiadłości, inne skromne, choć też niebrzydkie, domki letniskowe. Gdzie indziej ziemia zapewne należała do państwa – albo też zбочa były zbyt strome, by na nich cokolwiek budować – gdyż

porastały je chaszczce nie do przebycia. Widać też było dużo uschłych gałęzi, których nagromadzenie, jak każdego lata, stanowiło w południowej Kalifornii zagrożenie pożarem. Ostrzegaly przed nim liczne tablice stojące wzdłuż drogi. Ta wiła się i skręcała, opadała i wznosiła, na przemian oświetlana złotymi promieniami słońca i chłodzona cieniem.

Minęło kilka minut, zanim odezwała się Rachael.

– Oni chyba nie wierzą, że my naprawdę skradliśmy tajemnice państwowe.

– Nie – zgodził się Ben.

– Ja nawet nie wiedziałam, że Geneplan realizował zamówienia dla Pentagonu.

– Im wcale nie chodzi o te sprawy. To tylko sztyld.

– No to dlaczego tak bardzo im zależy, żeby nas dostać w swoje łapy?

– Ponieważ wiemy, że... Eric powrócił do życia.

– Ty myślisz, że rząd też o tym wie? – spytała.

– Powiedziałaś, że projekt „Wildcard” trzymany był w ścisłej tajemnicy. Wiedzieli o nim jedynie Eric, jego wspólnicy z korporacji i ty.

– To prawda.

– Ale jeśli Geneplan ciągnął pieniądze z kieszeni Pentagonu przy innych projektach, to ręczę ci głową, że ich wywiad wiedział wszystko, co należy, o właścicielach firmy i ich przedsięwzięciach. Nie ma takiej możliwości, żeby ktoś czerpał korzyści z lukratywnych, ściśle tajnych zamówień rządowych, a jednocześnie zachowywał prywatność.

– Chyba masz rację – przyznała Rachael. – Ale Eric mógł sobie nie zdawać z tego sprawy. Przyzwyczajony był do tego, że w każdej sytuacji jest górą.

Znak drogowy ostrzegł przed znacznym spadkiem terenu. Ben przyhamował, a ford zakotłosał się. Nagła zmiana prędkości zarzuciła samochodem, aż jęknęły resory.

Kiedy znów znaleźli się na bezpiecznym odcinku, Benny powiedział:

– Tak więc Pentagon wiedział wystarczająco dużo na temat „Wildcard”, by domyślić się po zniknięciu ciała Erica z kostnicy, że ten człowiek zmartwychwstał. A teraz chcą utrzymać całą sprawę w tajemnicy. Dlaczego? Ano dlatego, że rozumieją, iż chodzi o coś, co stanowi niebezpieczną broń, a przynajmniej źródło strasznej siły.

– Siły?

– Jeśli proces „Wildcard” zostanie doprowadzony do perfekcji, to dla tych, którzy mu się poddadzą, może oznaczać w praktyce nieśmiertelność. Tak więc ludzie mający nad nim kontrolę będą mogli decydować, kto ma żyć wiecznie, a kto nie. Czy możesz sobie wyobrazić lepszą broń, lepsze narzędzie ustanowienia politycznej kontroli nad tym cholernym światem?

Rachael przez chwilę milczała. Potem odezwała się cicho:

– Boże! Tak bardzo skoncentrowałam się na osobistym aspekcie całej sprawy, nad tym, co „Wildcard” oznacza dla mnie, że nie spojrzałam na nią z innej perspektywy.

– Dlatego właśnie muszą nas dostać – oznajmił Ben.

– Nie chcą, żebyśmy zdradzili tajemnicę, zanim „Wildcard” zostanie doprowadzony do perfekcji. Gdybyśmy wszystko ujawnili, nie mogliby bez skrupowania prowadzić dalszych badań.

– Właśnie tak. A ponieważ odziedziczysz po mężu kontrolny pakiet akcji w Geneplan, rząd doszedł zapewne do wniosku, że należy przekonać cię do współpracy z nimi dla dobra kraju oraz własnych korzyści.

Pokręciła głową.

– Nie przekonają mnie do współpracy. Nie w tym wypadku. Po pierwsze, jeśli istnieje nadzieja, że dzięki inżynierii genetycznej można będzie wydłużyć czas ludzkiego życia oraz leczyć każdą chorobę, to wszelkie prace w tej dziedzinie muszą być prowadzone jawnie, a ich efekty powinny być dostępne dla każdego. Jakikolwiek inne postępowanie byłoby niemoralne.

– Byłem pewny, że tak właśnie myślisz – powiedział Ben, wprowadzając forda w ostry zakręt w prawo, po którym zaraz następował zakręt w lewo.

– Poza tym nie przekonali by mnie, by kontynuować badania na tej samej zasadzie co do tej pory, bo jestem przekonana, że prowadzono je niewłaściwie.

– Wiedziałem, że tak powiesz – stwierdził Benny aprobująco.

– Muszę przyznać, że o genetyce wiem bardzo mało. Uważam jednak, iż w podejściu Erica i jego współpracowników kryje się zbyt dużo niebezpieczeństw. Przypomnij sobie o tych myszach... Przypomnij sobie krew w bagażniku samochodu w Villa Park.

Benny pamiętał dobrze i jedno, i drugie. Dlatego między innymi chciał kupić broń.

– Gdybym przejęła kontrolę nad Geneplan – ciągnęła Rachael – mogłabym finansować dalsze prace nad długowiecznością w nie zmienionej formie. Ale ja raczej wolałabym odłożyć „Wildcard” na bok i zacząć wszystko od nowa.

– Wiedziałem, że tak powiesz – powtórzył Benny – i podejrzewam, że rząd też o tym wie. Dlatego bardzo wątpię w to, iż chcą cię dostać tylko po to, by przekonać do współpracy. Jeśli wiedzą coś na twój temat – a jako żona Erica na pewno miałaś u nich swoją kartotekę – to nie łudzą się co do możliwości przekupienia cię lub zastraszenia. Jesteś nie skorumpowana i jeśli uważasz, że coś jest niesłuszne, to tego nie robisz. Prawdopodobnie nawet nie będą próbowali z tobą rozmawiać.

– Zostałam wychowana w wierze katolickiej – powiedziała z nutą ironii w głosie. – Wiesz, że pochodzę z bardzo surowej, przykładowej religijnej rodziny.

Nie wiedział. Rachael mówiła o tym po raz pierwszy.

– Bardzo wcześnie posłano mnie do prowadzonej przez zakonnice szkoły z internatem – kontynuowała łagodnym głosem. – Zaczęłam nienawidzić tego wszystkiego... Te nie kończące się msze, upokarzające spowiedzi, w czasie których musiałam odsłaniać wszystkie swoje niewinne grzeszki. Myślę jednak, że ta szkoła ukształtowała mnie właściwie, nie sądzisz? Gdybym nie spędziła kilku lat w rękach dobrych sióstr, nie byłabym tak praworządna i nieprzekupna.

Benny wyczuł jednak, że ten pozytywny element wychowania Rachael był samotną gałązką na wysokim, zapewne szkaradnym, drzewie niemiłych doświadczeń.

Na chwilę odwrócił spojrzenie od drogi, chcąc zobaczyć wyraz jej twarzy. Ale mozaika chaotycznie zmieniających się cieni i światła, które padały przez przednią szybę, nienaturalnie zniekształcała oblicze Rachael, udaremniając mu możliwość obserwacji. Jej twarz wyglądała tak, jakby w połowie pokrywały ją tańczące języki ognia.

Rachael westchnęła i odezwała się:

– Dobrze, a więc jeśli nasz rząd wie, że nie zdoła nakłonić mnie do współpracy, to dlaczego wysyłają za mną list gończy, oskarżając o tysiące wyssanych z palca przestępstw? Dlaczego angażują takie siły, żeby mnie odnaleźć?

– Ponieważ chcą cię zlikwidować – odpowiedział Benny bez ogródek.

– Co?

– Oni wolą pertraktować ze współnikami Erica – Knowlsem, Seitzem i innymi, ponieważ wiedzą, że ci ludzie są przekupni, natomiast ciebie chcą po prostu sprzątnąć.

Rachael była zaszokowana, czemu Benny się nie dziwił. Wprawdzie nie należała do kobiet łatwowiernych i naiwnych, była jednak zorientowana na teraźniejszość i dlatego poświęcała zbyt mało uwagi złożoności zmieniającego się wokół niej świata, chyba że świat ten kolidował z naczelną zasadą jej życia. A zasada ta brzmiała: czerpać, ile się da, przyjemności z każdej chwili. Przyjmowała za prawdę różne mity, aby życie uczynić wygodniejszym i łatwiejszym. Jednym z takich mitów była wiara w to, że rząd zawsze dba o dobro obywateli – czy to prowadząc wojnę, czy zmieniając system wymiaru sprawiedliwości, podnosząc podatki, czy w jakiegokolwiek innej sytuacji. Trzymała się z dala od polityki i nie widziała potrzeby interesowania się, kto wygra wybory czy w inny sposób dążyć będzie do władzy. Najłatwiej było uwierzyć w dobre intencje tych, którzy z takim zapałem zmierzali do objęcia stanowisk państwowych.

Zdziwiona Rachael wlepiła w niego wzrok. Nie musiał nawet patrzeć na nią przez mozaikę światła i cieni, by wiedzieć, że właśnie zdziwienie maluje się na jej twarzy. Domyślał się, co czuje, wsłuchując się w nierówny rytm jej oddechu i dostrzegając kątem oka napięcie, które kazało jej wyprostować się w fotelu.

– Sprzątać? Nie, nie, Benny. Rząd Stanów Zjednoczonych nie wykonuje egzekucji na swych obywatelach. Nie jesteśmy w republikach bananowych. Nigdy w coś takiego nie uwierzę.

– Oczywiście, że nie cały rząd Stanów Zjednoczonych... Na pewno nie Biały Dom, Senat, sekretarze stanu czy prezydent... To nie oni zwoływali narady, by przedyskutować przeszkody, jakie stawiasz na ich drodze, nie oni konspirują, by cię zlikwidować. Ale może ktoś w Pentagonie, DSA albo CIA stwierdził, że zagrażasz interesom państwa, że z twojej winy ucierpieć mogą miliony obywateli. A gdy położyć na szale dobro milionów obywateli oraz dwójki podłych morderców, wybór okaże się jasny. To jest bolszewickie myślenie. Zawsze można poświęcić życie jednego podłego mordercy czy nawet pary lub dziesiątków albo tysięcy morderców, jeśli w grę wchodzi dobro mas. Przynajmniej oni tak myślą, nawet jeśli nie udają, że wierzą w świętość jednostki. Potrafią więc złożyć w ofierze podłych morderców i jeszcze mieć poczucie dobrze spełnionego obowiązku.

– Wielki Boże! – jęknęła Rachael. – W co ja cię wciągnęłam, Benny?

– W nic mnie nie wciągnęłaś – odparł. – Sam się wepchnąłem. Nie powstrzymałaś mnie. Zresztą niczego nie żałuję.

Rachael jakby odjęło mowę.

Zza horyzontu wyłonił się po lewej stronie zjazd nad jezioro, a przydrożna tablica informowała: **KAPIELISKO I WYPOŻYCZALNIA ŁODZI.**

Ben zjechał z głównej drogi. Znaleźli się na wąskim, wysypanym żużlem leśnym trakcie. Przejechali kilkaset metrów i wielkie drzewa ustąpiły miejsca otwartej przestrzeni o wymiarach dwadzieścia na sto metrów. Byli nad samym brzegiem. Powierzchnię jeziora zdobiły gdzieniegdzie cekiny słonecznego światła. Tam gdzie woda falowała, skręcone strumienie złotej poświaty tańczyły wraz z nią. W innych miejscach ostre snopy odbijały się od lśniącej tafli i raziły w oczy obserwatorów.

Na drugim końcu terenu rekreacyjnego stało kilkanaście samochodów, głównie pickupy i auta campingowe z pustymi przyczepami na łódki. Jeden z pojazdów, wielki turystyczny pickup, czarno lakierowany, z czerwonymi i szarymi paskami oraz lśniącymi w słońcu metalowymi okuciami, podjechał do samej krawędzi jeziora. Wysiadło z niego trzech mężczyzn, którzy zaczęli wodować dwusilnikową motorówkę „Water King”. Nad wodą stały drewniane stoły i ławki, przy których siedzieli spożywający posiłek ludzie. Pod jednym z takich stołów węszył w poszukiwaniu odpadków seter irlandzki. Nie opodal dwóch chłopców odbijało piłkę, a nieco dalej czaiło się wzdłuż brzegu ze swoimi kijami ośmiu, może

dziesięciu, wędkarzy.

Wszyscy sprawiali wrażenie zadowolonych. Jeśli nawet ktoś spośród nich podejrzewał, że świat otaczający ten raj na ziemi staje się groźny i szalony, zachowywał obawy dla siebie.

Benny przejechał przez parking i zatrzymał forda tuż przy ścianie lasu, z dala od reszty aut i ludzi. Wyłączył silnik i odkręcił boczną szybę. Następnie odsunął do tyłu siedzenie tak daleko, jak tylko się dało, by zapewnić sobie dosyć miejsca do pracy, rozłożył na kolanach pudło z bronią, wyjął jego zawartość, a zbędne opakowanie odrzucił na tylne siedzenie.

– Pilnuj, żeby nikt nas nie zobaczył – nakazał Rachael. – Jeśli ktoś będzie szedł w tę stronę, daj mi znać. Wyjdę z samochodu i zajmę się intruzem. Nie chcę, żeby ktoś spostrzegł, co mamy, i zaczął się tym interesować. W końcu jeszcze nie nadszedł sezon polowań.

– Benny, co zamierzasz zrobić?

– Tylko to, co zaplanowaliśmy – odpowiedział, próbując kluczykiem od samochodu zerwać z karabinu foliowe opakowanie. – Musimy, zgodnie z tym, co doradziła ci Sarah Kiel, znaleźć domek Erica i sprawdzić, czy on tam przebywa.

– Ale przecież jest nakaz aresztowania nas... Ktoś chce nas zabić... Czy nadal nasz poprzedni plan jest aktualny?

– Raczej tak. – Wydobył wreszcie broń z foliowych woreczków i zaczął ją lustrować. Była już całkowicie złożona. Dobra robota, pomyślał, a w moich rękach będzie chodzić, jak trzeba. – Chociaż z początku zamierzaliśmy dopaść Erica i zabić go, zanim zupełnie wyzdrowieje i zechce załatwić ciebie. Ale po tym komunikacie radiowym może powinniśmy tylko go pojmać, lecz nie likwidować...

– Chcesz go wziąć żywego?! – wykrzyknęła przestraszona tą myślą Rachael.

– No... on chyba nie jest taki zupełnie żywy. Myślę, że musimy go schwytać, niezależnie od tego, w jakiej znajduje się kondycji, skrępować i wywieźć gdzieś... Na przykład tam, gdzie się mieszczą biura „Los Angeles Times”. Wtedy na konferencji prasowej zaprezentujemy prawdziwą bombę.

– Nie, Benny, nie możemy. – Rachael gwałtownie potrząsnęła głową. – To szaleństwo. Eric nie podda się bez walki, będzie okrutny, bezwzględny. Pamiętasz, co ci opowiadałam o myszach? Widziałeś krew w bagażniku samochodu, na miłość boską! Wszędzie, gdzie tylko się pojawi, sieje zniszczenie. Przypomnij sobie noże wbite w ścianę w domu w Palm Springs, przypomnij sobie, jak skatował Sarah. Nie możemy ryzykować, próbując go schwytać. Jeśli sądzisz, że on przestraszy się twojej broni, to się mylisz. On nie boi się niczego. Jeśli podejdziesz do niego, by go skrępować, wypruje ci flaki, nie zważając na karabin. Możliwe, że sam będzie miał broń. Nie, nie, jeśli go znajdziemy, musimy z nim skończyć od razu – strzelić bez wahania, strzelać tak długo, tak długo go niszczyć, aż nie będzie już zdolny ponownie wrócić do życia.

W głosie Rachael pojawiła się nuta paniki. W miarę jak próbowała przekonać Bena do swych racji, mówiła coraz szybciej. Pobladła, a jej usta zrobiły się sine. Trzęsła się na całym ciele.

Jej lęk wydał się Benowi przesadzony, nawet jeśli wziąć pod uwagę wszystkie niebezpieczeństwa, na jakie byli narażeni. Zastanawiało go, na ile postawa Rachael wobec zmartwychwstania Erica wynikała z jej ultra religijnego wychowania. Możliwe, że nie rozumiejąc do końca własnych uczuć, bała się go nie tylko dlatego, że był żywym trupem, lecz także dlatego, że ważył się targnąć na to, co boskie – sięgnąć po nieśmiertelność. W ten sposób stał się nie tylko zombie, lecz i potworem, który wrócił z królestwa ciemności.

Na chwilę zapomniał o karabinie i ujął w swe dłonie ręce Rachael.

– Posłuchaj, kochanie. Dam sobie z nim radę. Radziłem sobie z gorszymi, dużo gorszymi...

– Nie bądź taki pewny siebie, bo on cię wtedy załatwi!

– Zanim wysłali mnie na wojnę, przeszedłem solidne przeszkolenie. Potrafię uważać, żeby nikt mnie nie załatwił!

– Proszę!

– Przez wszystkie te lata trzymałem język za zębami, gdyż Wietnam nauczył mnie, że pewnego dnia świat może nagle stać się zły i wrogi, a wtedy trzeba będzie liczyć wyłącznie na samego siebie i na najbliższych przyjaciół. To nieprzyjemna lekcja i długo nie chciałem się z nią pogodzić. To właśnie dlatego pograżyłem się w przeszłości. Ale sam fakt, że trzymałem język za zębami i kontynuowałem ćwiczenia sztuki walki, dowodzi, iż czegoś się jednak nauczyłem. Ani słowa nikomu, Rachael. Poza tym mamy dobrą broń, a zatem jesteśmy bezpieczni. – Kobieta próbowała protestować, ale uciszył ją stanowczym pstryknięciem. – Nie mamy wyboru, Rachael. Do tego właśnie wszystko się sprowadza. Nie ma żadnego wyboru. Jeśli po prostu go zabijemy, władujemy w niego dwadzieścia albo trzydzieści magazynków, załatwimy tak, że już nigdy nie wstanie, to pozbawimy się dowodu na to, co ze sobą zrobił. Zostanie tylko zmasakrowane ciało. Kto sprawdzi, czy zmartwychwstało ono wcześniej? Będzie wyglądało na to, że to my ukradliśmy zwłoki z kostnicy, nafaszerowaliśmy je ołowiem, a całą historię z eksperymentami genetycznymi wymyśliliśmy zapewne dlatego, by ukryć wszystkie zbrodnie, o jakie oskarża nas rząd.

– Laboratoryjne testy struktury komórkowej potwierdziłyby nasze słowa – powiedziała Rachael. – Gdyby zbadali materiał genetyczny ciała Erica...

– To będzie trwało tygodniami. A tymczasem rząd pod byle pozorem przejmie zwłoki, a nas usunie. Następnie znajdzie lekarzy, którzy oświadczą, że badanie nie wykazało niczego niezwykłego.

Zaczęła coś mówić, zawahała się jednak i zawiesiła głos, gdyż zaczynała rozumieć, że Ben ma rację. W jego oczach wyglądała tak żałośnie, jak jeszcze żadna kobieta.

– Jediną naszą nadzieją na uwolnienie się od prześladowców jest znalezienie dowodów potwierdzających istnienie projektu „Wildcard” i przekazanie informacji prasie. Przecież oni chcą nas zlikwidować z jednego tylko powodu: żeby zachować wszystko w tajemnicy. Kiedy nie będzie już tajemnicy, będziemy bezpieczni. A ponieważ nie zdążyliśmy wyjąć akt „Wildcard” z sejfów w biurze twojego męża, Eric jest naszym jedynym dowodem. Musimy go mieć żywego, żeby zobaczyli, jak oddycha, jak funkcjonuje mimo zgniecionej czaszki. Niech zobaczą tę straszną zmianę, jaka w nim zaszła i o której mi mówiłaś – te ciągłe napady nieuzasadnionej furii, tę ponurą cechę żywego trupa.

Westchnęła ciężko i przytaknęła ruchem głowy.

– W porządku. Zgadza się. Ale tak się boję.

– Potrafisz być silna. Wiem, że potrafisz.

– Tak. Ja też wiem, ale...

Pochylił się i pocałował ją. Usta Rachael były lodowate.

Eric jęknął i otworzył oczy.

Najwyraźniej ponownie popadł w stan „zawieszonożnego ożywienia” – krótszą, lecz głęboką śpiączkę, a teraz powoli – leżąc na podłodze w salonie, wśród rozrzuconych setek arkuszy papieru maszynowego – odzyskiwał świadomość. Rwący ból głowy ustąpił, ale całą twarz, od górnej części czaszki aż do podbródka, obejmowało dziwne uczucie palenia. To samo odczuwał w mięśniach i wszystkich członkach – ramionach, rękach, nogach. Trudno powiedzieć, czy palenie to było przyjemne, czy nieprzyjemne. Po prostu Eric skonstatował jego wystąpienie i stwierdził obojętnie, że nie przypomina ono niczego, co znał z własnego doświadczenia.

Jestem jak ludzik z czekolady, zostawiony przez dziecko na słońcu. Topię się, topię, tylko że... od środka.

Przez chwilę leżał tak, zastanawiając się, skąd wzięła się ta dziwna myśl. Był zdezorientowany i skołowany. Jego umysł przypominał bagno, bezładne myśli zaś – cuchnące bąble, pękające na jego wodnistej powierzchni. Stopniowo woda nieco się klarowała, a rozrzedzony osad opadał na dno.

Podniósł się do pozycji siedzącej, spojrzał na rozrzucone wokół papiery i nie mógł sobie przypomnieć, skąd one się tu wzięły. Podniósł kilka z nich i próbował czytać. Rozmyte litery nie od razu ułożyły się w sensowne wyrazy, podobnie jak wyrazy nie dały natychmiast logicznych zdań. Kiedy wreszcie mógł przeczytać kawałek tekstu, rozumiał tylko jego część. Wystarczyło to jednak, by uzmysłowił sobie, że papiery stanowią kopię dokumentacji projektu „Wildcard”.

Niezależnie od danych, przechowywanych w komputerach firmy Geneplan, jedna kopia akt znajdowała się w Riverside, druga w sejfie Erica w Newport Beach, a trzecia tutaj. Domek był jego kryjówką, o której nikomu nie powiedział, i uważał, że postępuje bardzo roztropnie, właśnie w nim trzymając trzecią kopię pełnych akt projektu „Wildcard”. Przechowywał ją w zbudowanym w suterenie sejfie, który – jego zdaniem – był skutecznym zabezpieczeniem przed zakusami krezusów firmy – Seitza i Knowlsa, zdolnych do różnych sztuczek. Taka przezorność nie była jednak konieczna, gdyż obaj finansisci potrzebowali go, potrzebowali jego geniuszu, zwłaszcza w fazie dopracowywania programu. Ale Eric wolał nie zostawiać swych spraw losowi. (Wyjątkiem od tej zasady było wszczepienie sobie diabelskiej mieszanki, która przemieniła go w żywego trupa). Nie chciał ryzykować utraty kontroli nad Geneplan, nie chciał, aby pewnego dnia odcięto go od wszystkich danych, niezbędnych mu do produkcji eliksiru nieśmiertelności.

Prawdopodobnie po opuszczeniu łazienki zszedł do suterenu, otworzył sejf i przyniósł akta na górę, żeby je przestudiować. Czego w nich szukał? Może wyjaśnienia procesu, który w nim przebiegał? Sposobu zatrzymania zmian, które wystąpiły, które wciąż trwają?

Nie, to nie miało sensu. Nie można przewidzieć przebiegu tego nieprawdopodobnego procesu. W dokumentach nie było nic na temat nie kontrolowanego wzrostu komórek i możliwości jego zahamowania. Zapewne znów ogarnął go szal, gdyż tylko w takim stanie mógł uwierzyć, że w kserokopiach akt znajdzie cudowne lekarstwo na to, co się z nim działo.

Przez minutę lub dwie klęczał wśród rozrzuconych kartek. Uwagę jego przykuło teraz dziwne, choć bezbolesne palenie, wypełniające już całe ciało. Chciał zrozumieć, skąd się wzięło to uczucie i co dla niego praktycznie oznacza. W takich miejscach jak górna część czaszki, przetyk, jądra oraz wzdłuż kręgosłupa dziwnemu swędzeniu towarzyszyła gorączka. Czuł się prawie tak, jakby zagnieździły się w nim miliardy mrówek, które teraz całymi gromadami wędrowały wewnątrz żył i przekopywały w jego organizmie labirynt własnych tuneli.

Wreszcie wstał na nogi. Wówczas bez wyraźnego powodu ogarnął go straszny gniew. Obiekt wściekłości też nie był sprecyzowany. Kopnął gwałtownie pryzmę kartek, które uleciały z furkotem w powietrze, po czym cała ich chmura zaczęła opadać na podłogę.

Pod powierzchnią bagnistego umysłu kipiała okrutna nienawiść. Eric zachował jeszcze dość świadomości, by zauważyć, że ten rodzaj nienawiści, którego teraz doświadczał, różnił się nieco od znanych mu dotychczas. Obecnie czuł się bardziej jak rozjuszony bez powodu zwierzę niż jak racjonalnie działający człowiek. Tak jakby jakaś zagrzebana głęboko prapamięć jego gatunku wyzwalała się z genetycznego pancerza i na powierzchnię wydostawało się coś odległego o miliony lat, coś z dalekiej przeszłości, kiedy ludzie byli tylko małpami, a może nawet z jeszcze dalszej, z niewyobrażalnie odległej

prehistorii, kiedy na Ziemi żyły wychodzące dopiero z mórz na wulkaniczny brzeg stworzenia i po raz pierwszy zaczynały oddychać powietrzem atmosferycznym. W przeciwieństwie do poprzednich ataków gorącego gniewu teraz ogarnęła Erica zimna nienawiść, tak zimna jak jądro Arktyki, jak miliard lat ery... gadów. Tak, o to właśnie chodziło. To była gadzia nienawiść i kiedy Eric zaczął pojmować jej naturę, odrzucił zgłębianie tego problemu. Rozpaczliwie zakładał, że uda mu się zachować kontrolę nad swym obecnym stanem.

Lustro.

Był pewny, że gdy leżał nieprzytomny na podłodze, zaszły w nim dalsze zmiany. Wiedział, że powinien wrócić do łazienki i przejrzeć się. Ale ponownie wstrząsnął nim lęk; lęk przed tym, w co się zmienia. Nie potrafił wykrzesać z siebie dość odwagi, by zrobić choćby krok w stronę łazienki.

Zamiast tego postanowił kontynuować eksplorację ciała „metodą Braillea” – tak jak poprzednio, kiedy badał swoją twarz. Wycucie palcami zmian, zanim zobaczy je naocznie, przygotowuje go nieco na wstrząs, jaki niewątpliwie wywoła w nim jego własny, odbity w lustrze obraz. Nie bez wahania podniósł dłonie do twarzy, ale nie dotarł do niej, zauważył bowiem, że i one uległy deformacji. Ich wygląd wprowadził go w osłupienie.

Właściwie zmiana nie była szokująca, niemniej jednak te ręce nigdy nie należały do Erica, nigdy nie pracował takimi rękami. Palce wydłużyły się o dwa-trzy centymetry i wyszczuplały, a opuszki stały się bardziej mięsiste. Zmieniały się też paznokcie: były teraz grubsze, twarde, pożółkłe i bardziej spiczaste niż normalne paznokcie. Cholera, one przecież przypominały kształtujące się szpony drapieznika i jeśli metamorfoza będzie postępowała dalej, to już wkrótce staną się jeszcze bardziej spiczastymi, haczykowatymi i ostrymi niczym brzytwa pazurami. Transformacji ulegały też kłykcie – robiły się większe, bardziej kościste, prawie jak kostki u artretyka.

Oczekiwał, że jego ręce będą sztywne i do niczego nieprzydatne. Jednakże ku swemu zaskoczeniu spostrzegł, że reumatyczne kłykcie działają swobodnie i bez zarzutu, znacznie przewyższając sprawnością kostki, z których się narodziły. Zaczął niepewnie ruszać rękami i odkrył, że są one niewiarygodnie zwinne, a wydłużone palce wykazują świeżą giętkość i zadziwiającą wprost zręczność.

Czuł, że zmiany postępują niepowstrzymanie, choć jeszcze zbyt wolno, by mógł dostrzec, jak kości rozrastają się, a wnętrzości odradzają. Ale na pewno do jutra jego ręce będą jeszcze bardziej zniekształcone niż teraz.

Zauważył wyraźną różnicę w przegubach rąk i innych części ciała. Rakowate narośle, które pojawiły się na jego czole, były wyraźnie przypadkowe, ręce zaś nie stanowiły jedynie wyniku przyspieszonego wzrostu hormonów i protein. Ich rozwój miał swój cel i kierunek. Co więcej, Eric zauważył nagle, że na obu dłoniach, między kciukiem a palcem wskazującym, w zagłębieniu poniżej kostek zaczęły się tworzyć półprzezroczyste pajęczyny.

Niczym u gada.

Tak jak gadi był zimny gniew, który – jeśli na to pozwoli – wybuchnie szałem zniszczenia.

Opuścił dłonie i bał się spojrzeć na nie ponownie.

Zabrakło mu odwagi, by dalej badać rysy swej twarzy, nawet przez dotyk. Sama Perspektywa spojrzenia w lustro napełniła go odrazą.

Serce biło mu jak młotem, a każde mocne uderzenie zdawało się wbijać w żyły ciernie strachu i samotności.

Przez chwilę był całkowicie zagubiony, zmieszany i nie wiedział, co ze sobą począć. Obrócił się w lewo, potem w prawo, zrobił krok w jedną stronę, następnie w drugą, a akta „Wildcard” szeleściły mu

pod stopami niczym jesienne liście. Wciąż nie był zdecydowany, dokąd ma się udać ani co zrobić. Staął i stał tak z opuszczonymi ramionami i głową zwieszoną pod ciężarem rozpacz...

...do czasu, gdy dziwne palenie wnętrzości i niemiłe swędzenie na plecach zostały wzbogacone o nowe doznanie: głód. Burczało mu w brzuchu, kolana zwiótzczały, zaczął trząść się cały z głodu, poruszać ustami i mimowolnie przełykać ślinę. Tę ostatnią czynność wykonywał tak energicznie, jakby jego organizm wprost żądał pożywienia, a każda porcja śliny drażniła gardło. Ruszył w stronę kuchni, a z każdym krokiem trząść się coraz bardziej, kolana zaś były coraz słabsze. Po ciele spływały mu strugi, a nawet potoki potu. Takiego głodu jeszcze nigdy nie zaznał. To był wściekły głód. Bolesny. Rozdzierający go na strzępy. Oczy zaszyły mu mgłą, a myśli skoncentrowały się tylko na jednym: jedzeniu. Makabryczne zmiany, które w nim zachodziły, odpowiednio zwiększały zapotrzebowanie organizmu na pokarm; musiał mieć dość energii, by usunąć stare komórki i zbudować nowe. Jego metabolizm wymykał się spod kontroli, toteż Eric rzucił się na jedzenie niczym nagły pożar i pożerał wściekle wszystko, co tylko nadawało się do spożycia. Wcześniej pochłoniął kiełbaski Farmer John z kanapkami, ale już potrzebował nowych porcji, większych, znacznie większych. Zanim otworzył szafkę w kuchni, skąd wydobyl puszki z zupami i gulaszem, zaczął charczeć i sapać nienasycony, mamrotać coś bez ładu i składu, pochrząkiwać jak wieprz lub dzik. Utrata kontroli nad sobą przygnębiła go i rozgniewała, był jednak zbyt głodny, by martwić się tym teraz. Strach został wyciszony przez głód, również rozpacz zagłuszył głód, głód, głód, głód...

Zgodnie ze wskazówkami, które Sarah Kiel dała Rachael, Ben skręcił z drogi stanowej w wąski, źle utrzymany trakt o tłuczniowej nawierzchni. Wiódł on stromo pod górę, przez dziki las, gdzie nie rosły już prawie drzewa zrzucające na zimę liście, tylko gatunki wiecznie zielone. Wiele z nich było starych i olbrzymich. Przejechali tak około kilometra, mijając liczne odgałęzienia dróg prowadzące do prywatnych rezydencji i domków letniskowych, widocznych tu i ówdzie przez zielony gąszcz, choć większość kryła się za zasłoną z drzew, zarośli i cieni.

Im dalej jechali, tym mniej promieni słonecznych przenikało przez korony gęstych drzew. Nastrój Rachael stawał się równie mroczny jak krajobraz. Trzymała na kolanach pistolet kalibru 32 i patrzyła przed siebie nie bez lęku.

Skończyła się żwirowa nawierzchnia, ale droga ciągnęła się dalej. Przejechali jeszcze kilkaset metrów, minęli już tylko dwie posiadłości i znaleźli się przed zamkniętą bramą ze stalowych rurek, pomalowaną na niebiesko i zabezpieczoną kłódką. Bramie nie towarzyszył żaden płot; miała tylko chronić przed wjeżdżaniem na ten prywatny teren niepożądanych pojazdów. Za nią żwirowa droga przechodziła w nie utwardzony trakt.

Pośrodku bramy przymocowano drutem tablicę z napisem wykonanym czarnymi i czerwonymi literami:

WŁASNOŚĆ PRYWATNA WSTĘP WZBRONIONY!

– Wszystko tak, jak opisała Sarah – powiedział Ben.

Za bramą rozciągała się posiadłość Erica Lebena, jego tajemna kryjówka. Stąd nie było widać domu. Żeby go zobaczyć, należało przejechać jeszcze w górę dalszych kilkaset metrów. Był dokładnie ukryty za drzewami.

– Jeszcze nie jest za późno, żeby się wycofać – rzekła Rachael.

– Niestety, już jest za późno – odparł Ben.

Kobieta przygryzła wargę i posepnie pokiwała głową. Następnie odbezpieczyła pistolet.

Za pomocą elektrycznego otwieracza Eric zdjął wieczko z dużej puszki minestrone firmy Progresso

i nagle uświadomił sobie, że do jej podgrzania potrzebny mu będzie garnek. Trząśnięty jednak z głodu tak straszliwie, że nie mógł już dłużej czekać – wypił zimną zupę wprost z opakowania, cisnął puszkę za siebie i mimowolnie wytarł kapiące mu po brodzie resztki jedzenia. Nie trzymał w domku świeżych produktów, lecz tylko trochę mrożonek i konserw. Otworzył więc teraz półkilogramową puszkę wołowego gulaszu Dinty Moore i zjadł go na zimno w takim tempie, że omal się nie udławił.

Przeżuwał mięso w szalonym uniesieniu radości, a z rozrywania większych kawałków i siekania ich między zębami czerpał tak dziwną, intensywną przyjemność, jakiej jeszcze nigdy w życiu nie zaznał. Było to pierwotne, dzikie uniesienie; rozkoszował się nim, ale i czuł trwogę.

Choć wołowina była gotowana i wymagała jedynie podgrzania, choć nafaszerowano ją przyprawami i środkami konserwującymi, Eric wywęszył w niej, resztki zapachu krwi. I mimo że jej zawartość w mięsie była minimalna, odbierał ten zapach jako silny, przytłaczający niemal odór, a zarazem przyprawiające o drzenie całego ciała wyborne organiczne kadzidło. Ogarnięty podnieceniem, wdychał głęboko ten krwisty aromat, który drażnił jego podniebienie niczym słodka ambrozja.

Kiedy skończył zimny gulasz, co zajęło mu tylko parę minut, otworzył puszkę chili i zjadł jej zawartość jeszcze szybciej, potem zajął się puszką rosołu z kluskami i dopiero wtedy poczuł, że pierwszy głód ustępuje. Odkręcił wieczko słoika z masłem orzechowym i zaczął wyjadać je palcami. Nie lubił słodczy tak bardzo jak mięsa, ale wiedział, że są one dla niego dobre, bo zawierają dużo składników odżywczych, których potrzebuje jego galopująca przemiana materii. Jadł tak długo, aż opróżnił prawie cały słoik. Potem wyrzucił go i przez chwilę stał w bezruchu, wyczerpany jedzeniem, i oddychał głęboko. Dziwny bezbolesny ogień wciąż palił jego wnętrze, ale głód w zasadzie ustąpił.

Kątem oka dostrzegł wuja Barry'ego Hampsteada, siedzącego przy stole kuchennym i uśmiechającego się doń. Tym razem jednak Eric nie zignorował pojawienia się ducha, lecz odwrócił się w jego stronę, po czym przybliżył się i spytał:

– Czego tu szukasz, skurwysynu? – Głos drżał mu nerwowo, czego do tej pory nie zauważył. – Z czego tak się cieszysz, ty zboczeńcu? Spadaj stąd!

I wuj Barry zaczął rozmywać się w powietrzu, co w zasadzie nie powinno być niczym nadzwyczajnym, jako że chodziło o zrodzoną w zdegenerowanych komórkach mózgowych iluzję.

W ciemności za drzwiami do piwnicy, które Eric zostawił otwarte, zapewne wracając na górę z aktami „Wildcard”, tańczyły nierzeczywiste płomienie, cieniste ognie. Patrząc na nie przez chwilę i tak jak ostatnim razem bał się ich, nie wiedząc, jaką kryją tajemnicę. Sukces, który osiągnął, odganiając fantom wuja Barry'ego Hampsteada, ośmielił go jednak na tyle, że ruszył w stronę migających – czerwonych i srebrnych – ogników, zdecydowany albo je rozpędzić, albo chociaż zobaczyć, co się za nimi znajduje.

Nagle przypomniał sobie o fotelu przy oknie w salonie i warcie, którą miał tam pełnić. Łańcuch nieoczekiwanych wydarzeń oderwał go od tego istotnego zadania: najpierw potworny ból głowy, potem zmiany, które obserwował na twarzy, i swe makabryczne odbicie w lustrze, akta „Wildcard”, nagły skręcający głód, pojawienie się wuja Barry'ego i teraz te fałszywe ognie za drzwiami do piwnicy. Na żadnej z tych rzeczy nie mógł się dłużej skoncentrować. Ten ostatni dowód dysfunkcji mózgu sprawił, że Eric wydobył z siebie przeciągły krzyk rozpaczny.

Odwrócił się i, kopiać po drodze pustą puszkę po gulaszu wołowym Dinty Moore oraz opakowania po zupach, ruszył przez kuchnię do salonu, do swego miejsca czuwania.

Crrrrr, crrrrr, crrrrr... Monotonne dla ludzkiego ucha, ale na pewno bogate w treści dla owadów pieśni cykad na jedną nutę niosły się przenikliwym, choć pustym echem przez wysoki las.

Ben stał przy wypożyczonym aucie i chował do kieszeni džinsów cztery dodatkowe naboje do karabinu oraz osiem zapasowych pocisków do combat magnum. Przez cały ten czas bacznie obserwował otaczające ich zarośla. Rachael wysypała wszystko z torebki i napełniła ją amunicją z trzech zakupionych uprzednio pudełek, po jednym dla każdego rodzaju broni. Było to bez wątpienia aż nazbyt przezorne zaopatrzenie, ale Ben nie oponował.

Karabin trzymał na ramieniu. Gdyby tylko zaszła taka potrzeba, mógł w ciągu sekundy podnieść lufę i strzelić.

Rachael trzymała w jednej dłoni swoją trzydziestkędwójkę, a w drugiej combat magnum. Chciała, żeby Ben niósł zarówno remingtona, jak i kaliber 357, ale on wolał broń, którą potrafił się lepiej posługiwać.

Weszli do lasu na tyle daleko, by obejść zamkniętą bramę i powrócić po jej drugiej stronie.

Przed nimi droga wznosiła się pod baldachimem z sosnowych konarów, otoczona rowami do odprowadzania wody, które w czasie jałowej wiosny i upalnego lata, a także kilku suchych tygodni pory deszczowej straszyły martwością. Około dwustu metrów dalej leśny dukt skręcał w prawo i zniknął z pola widzenia. Zgodnie z tym, co powiedziała Sarah Kiel, za zakrętem trakt miał prowadzić już prosto do domku Erica Lebena, oddalonego od tamtego miejsca o mniej więcej kolejne dwieście metrów.

– Czy myślisz, że to bezpiecznie, żebyśmy szli dalej drogą, jakby nigdy nic? – szepnęła Rachael, choć byli jeszcze na tyle daleko od domu, że Eric nie usłyszałby ich, nawet gdyby mówili normalnie.

Ben zauważył, że i on szepcze.

– Przynajmniej do zakrętu wszystko będzie dobrze. Tak długo, jak my go nie widzimy, on nie może zobaczyć nas.

Rachael wciąż wyglądała na niepewną.

– Zakładając, że on tam w ogóle jest – dodał Benny.

– On tam na pewno jest – odparła.

– Może.

– Na pewno! – przekonywała Rachael, wskazując palcem delikatne ślady opon samochodowych widoczne na piaszczystym dukcie.

Ben pokiwał głową. Widział to samo.

– On tam na nas czeka – dodała Rachael.

– Niekoniecznie.

– Czeka.

– Może regeneruje siły.

– Nie.

– Musi dojść do siebie.

– Nie, on jest już gotów.

Zapewne i w tym względzie miała rację. Ben czuł to samo co ona: nadchodzące tarapaty. Dziwne, ale właśnie teraz – choć stali oboje w cieniu drzew – prawie niewidoczna blizna na twarzy Rachael w miejscu, gdzie Eric trafił ją kiedyś szklaneczką od whisky, stała się bardzo wyraźna, o wiele wyraźniejsza niż w jaskrawym świetle dziennym. Benowi wydało się nawet, że ona jaśniej, wyczuwając bliską obecność jej „autora”, tak jak członki osoby cierpiącej na reumatyzm ostrzegają ją o nadciąganiu burzy. Oczywiście, to fantazja! Blizna nie była teraz bardziej widoczna niż godzinę temu. Złudzenie to wskazywało jedynie, jak bardzo boi się utracić Rachael.

Gdy jeszcze jechali samochodem, koło jeziora Ben po raz kolejny próbował ją nakłonić do pozostania

w bezpiecznym miejscu i pozwolenia, by on sam zajął się jej mężem. Sprzeciwiła się temu pomysłowi, zapewne dlatego, że sama bała się nie mniej utracić jego.

Ruszyli przed siebie.

Ben rozglądał się nerwowo na boki z niemiłą świadomością, że gęsto porośnięte stoki, mroczne nawet w południe, dają niezliczone możliwości zaczajenia się w bardzo bliskiej odległości.

Powietrze wypełnione było ciężkim zapachem żywicy sosnowej, świeżym i pociągającym aromatem suchego igliwia i wonią butwiejących pni.

Crrrrr, crrrrr, crrrrr...

Eric wyjął z szafy w sypialni swoją lornetkę i zasiadł z nią w fotelu. Zaledwie parę minut później, nim jeszcze jego nie w pełni sprawny mózg wyprodukował nową iluzję, dostrzegł jakiś ruch na zakręcie prowadzącej do domku drogi. Ustawił ostrość i choć w tamtym miejscu było dużo cieni, zobaczył dwójkę ludzi w najdrobniejszych szczegółach: Rachael i Shadwaya, tego sukinsyna, z którym sypiała.

Nie bardzo wiedział, kogo – oprócz Seitza, Knowlsa i innych ludzi z Geneplan – może tu oczekiwać, na pewno jednak nie spodziewał się Rachael i Shadwaya. Zdumiony, nie potrafił sobie wyobrazić, w jaki sposób ona dowiedziała się o tym miejscu. Z drugiej strony wiedział, że gdyby jego umysł funkcjonował normalnie, to prędko by znalazł odpowiedź na to pytanie.

Skradali się wzdłuż urwiska, które zasłaniało część drogi, i oboje byli niezłe kryci. Ale żeby zobaczyć dom, musieli choć na chwilę wychylić się z ukrycia. A to już wystarczyło Ericowi, który miał tak wspaniałą lornetkę, by ich dostrzec.

Widok Rachael wprowadził go we wściekłość. Była to bowiem jedyna kobieta w jego dorosłym życiu, która go odrzuciła. Dziwka! Niewdzięczna, śmierdząca dziwka! Na jego pieniądze też się wypięła! Co gorsza, w swym rozmiękczonej, zdegenerowanym mózgu Eric czynił ją teraz odpowiedzialną za swą śmierć, uważał, że to ona właściwie go zabiła, wyprowadzając z równowagi i pozwalając, by wszedł na jezdnię prosto pod koła ciężarówki. Zaczynał nawet wierzyć, że specjalnie zaplanowała jego śmierć, by odziedziczyć majątek, z którego jakoby wcześniej zrezygnowała. Oczywiście, że tak! Dlaczego by nie? I oto teraz przyjechała tu ze swoim gachem, z facetem, z którym sypiała za jego plecami, zapewne po to, by dokończyć robotę zapoczątkowaną przez śmieciarkę na Main Street.

Cofnęli się za zakręt, ale już po chwili Eric dostrzegł jakiś ruch w zaroślach po lewej stronie drogi i przez moment widział nawet oboje, jak przedzierają się przez las. Chcieli na pewno wziąć go z zaskoczenia.

Eric odłożył na bok lornetkę, wstał z fotela i stał tak, kołysząc się, a gniew, który nim targał, był tak wielki, że prawie przytłaczający. Na piersiach czuł ciężar, jakby ktoś zaciskał mu metalowe obręcze, i przez chwilę nie mógł złapać tchu. Nagle obręcze spadły i Eric zaczerpnął głęboko powietrza. „Rachael, Rachael” – powiedział, a głos jego zabrzmiał złowrogo, jakby dobywał się z czeluści piekielnych. Spodobał mu się ten ton, więc powtórzył jej imię: „Rachael, Rachael...”

Na podłodze przy fotelu leżała siekiera. Podniósł ją.

Uzmysłował sobie jednak, że nie uda mu się jednocześnie używać siekiery i obu noży. Wybrał więc nóż rzeźniczy, a drugi odłożył.

Wyjdzie teraz tylnymi drzwiami. Obejdzie ich półkolem i zaczai się wśród drzew. Wiedział, że potrafi tego dokonać. Czuł się jak urodzony myśliwy. Czuł się jak urodzony zabójca.

Biegając przez salon w stronę kuchni, ujrzał siebie oczyma wyobraźni, jak wbija żonie nóż głęboko w bebechy, szarpie nim do góry i otwiera jej młody, płaski brzuch. Wydobył z siebie cienki krzyk podniecenia i niewiele brakowało, żeby w pośpiechu przewrócił się na wciąż walających się na podłodze

opróżnionych puszkach. Rozpruje jej brzuch, tak, rozpruje, rozpruje! A gdy Rachael upadnie na podłogę z nożem we flakach, zacznie dobijać ją siekierą. Najpierw użyje tępego końca, zmiążdży jej żebra, połamie ręce i nogi, a potem obróci to cudowne, lśniące narzędzie w rękach – w swych dziwnych, ale silnych nowych rękach – i użyje ostrza.

Zanim dotarł do tylnych drzwi, zanim je otworzył i wyszedł na dwór, ogarnął go najzupełniej pierwotny szal, którego tak obawiał się jeszcze niedawno, zimny, wyrachowany szal, wywodzący się z genetycznej pamięci o praprzodkach ludzi – gadach. Kiedy wreszcie poddał się tej gadziej furii, zaskoczony odkrył, że jest mu z nią dobrze.

Czekając na Stone'a

Jerry Peake nie spał całą noc i powinien już być zasypiać na stojąco, ale po tym, jak napatrzył się na Ansona Sharpa upokarzającego ludzi, sen odszedł go, i czuł się, jakby spędził w pościeli co najmniej osiem godzin. Tak, po prostu czuł się świetnie.

Stał wraz z Sharpem na szpitalnym korytarzu, pod drzwiami pokoju Sarah Kiel. Czekali, aż wyjdzie stamtąd Felsen Kiel i powie im to, co chcieli wiedzieć. Peake z trudem powstrzymywał się, by nie wybuchnąć śmiechem, widząc, jak jego szef pomstuje na „wieśniaka z Kansas”.

– Gdyby to nie był taki nieszkodliwy prostaczek, już ja bym mu dał popalić – odezwał się Sharp. – Ale jaki to ma sens? To przecież tylko tępy oracz z Kansas, który nie wie, o co tu chodzi. Nie ma sensu gadać do ściany, Peake. Nie ma sensu tracić nerwów na kogoś takiego.

– Racja – przyznał Peake.

Sharp chodził pod zamkniętymi drzwiami tam i z powrotem, patrząc groźnie na mijające ich pielęgniarki.

– Wiesz – ciągnął dalej – te farmerskie rodziny żyjące na odludziu dziwaczej, bo za bardzo mnożą się między sobą, kuzyn z kuzynką, i tak dalej, przez co z pokolenia na pokolenie robią się coraz bardziej głupi. I nie tylko głupi, ale też uparci jak osły.

– Tak, pan Kiel istotnie sprawia wrażenie upartego – zgodził się Peake.

– To tylko głupi prostak, jakież więc sens miałoby tracenie energii na sprzeczenie się z nim? I tak nie wyciągnąłby z tego żadnej nauki.

Peake nie chciał zaryzykować odpowiedzi. Już i tak powstrzymywanie się przed ironicznym uśmiechem wymagało nadludzkiego niemal wysiłku. W ciągu pół godziny Sharp powtórzył z sześć albo i osiem razy:

– Zresztą, on szybciej wydobędzie od dziewczyny te informacje. To głupia dupa, naćpana kurewka, która na pewno tyle już razy miała syfa i rzeźączkę, że jej mózg jest jak mąka owsiana. Zorientowałem się, że trzeba by nam było kilka godzin, aby czegokolwiek się od niej dowiedzieć. Ale kiedy usłyszałem, z jaką radością w głosie wita swego starego, wiedziałem już, że on dużo szybciej wyciągnie z niej to, co nas interesuje. Myślę, że możemy pozwolić, by odwalił za nas tę robotę.

Jerry Peake był zdumiony, z jaką bezczelnością wicedyrektor agencji stara się odwrócić prawdę o tym, co rzeczywiście wydarzyło się w pokoju Sarah Kiel. Może sam zaczynał wierzyć, że nie ustąpił przed Stonem, tylko umiejętnie go wmanewrował w trudne zadanie. Sharp był na tyle stuknięty, że mógł uwierzyć we własne kłamstwa.

Wreszcie mężczyzna położył dłoń na ramieniu podwładnego, ale nie był to bynajmniej gest braterstwa – chodziło po prostu o to, aby Peake wysłuchał uważnie tego, co miał mu do powiedzenia.

– Słuchaj, Peake. Nie chcę, żebyś sobie o mnie źle pomyślał w związku z tym, jak potraktowałem tę kurewkę. Niedozwolone środki, których użyłem: groźby, trochę bólu, kiedy ścisnąłem jej palce, poszturchiwanie, to nic nie znaczy. To tylko taka technika pracy, chyba rozumiesz... Dobra metoda na uzyskiwanie szybkich odpowiedzi. Gdyby nie chodziło tu o zagrożenie bezpieczeństwa państwowego, nigdy nie użyłbym takich środków. Ale czasami, w sytuacjach wyjątkowych, takich jak ta, musimy dla naszego kraju robić rzeczy, których normalnie nikt by nie aprobował. Mam nadzieję, że się rozumiemy?

– Ależ oczywiście! – Peake sam był zdumiony, że potrafi odgrywać naiwniaczka, udawać podziw dla swego szefa i jeszcze robić to przekonująco. – Dziwię się, że mógł mnie pan posądzić o brak zrozumienia. Co prawda sam nigdy nie pomyślałbym, że tak też można, ale gdy zobaczyłem, jak pan to

robi... no cóż, od razu wiedziałem, o co chodzi, i podziwiałem pańskie zdolności prowadzenia przesłuchania. Dla mnie ten przypadek stanowił znakomitą okazję do zapoznania się z nowymi metodami pracy. Dzięki panu zdobędę wiele cennych doświadczeń, które kiedyś okażą się może jeszcze cenniejsze, niż się teraz spodziewam.

Przez chwilę zielone oczy Sharpa wpatrywały się w Peake'a z wyraźnym niedowierzaniem. Potem jednak wicedyrektor zdecydował się chyba wziąć słowa podwładnego za dobrą monetę, bo odprężył się trochę i powiedział:

– Dobrze. Miło mi, że tak myślisz, Peake. Czasami to śmierząca robota. Niekiedy możesz czuć do siebie niesmak z powodu tego, co robisz, ale pamiętaj wtedy, że pracujesz dla swojego kraju.

– Tak jest. Ja zawsze o tym pamiętam.

Sharp kiwnął głową i znów zaczął spacerować tam i z powrotem, mrużąc coś pod nosem.

Ale Peake wiedział, że upokorzenie i zadawanie bólu Sarah Kiel sprawiało Sharpowi niezmierną radość, podobnie jak podniecało go jej dotykanie. Wiedział, że Sharp jest sadystą i pedofilem; w sali szpitalnej aż nazbyt uwidoczniły się te ciemne strony charakteru szefa. Choćby usłyszał od niego nie wiadomo jakie kłamstwa, nigdy już nie zapomni tego, co widział. Ta wiedza dawała mu olbrzymią przewagę nad wicedyrektorem – na razie jednak nie miał zielonego pojęcia, jak ją wykorzystać.

Poznał też, że Sharp jest w gruncie rzeczy tchórzem. Choć zachowywał się jak bokser, do czego zresztą miał odpowiednie warunki fizyczne, wicedyrektor DSA ustąpiłby w konfrontacji z kimś, kto zdecydowanie odważyłby się mu przeciwstawić, nawet jeśli tym kimś byłby człowiek tak niskiej postury jak Stone. Sharp nie miał żadnych skrupułów, jeśli chodzi o stosowanie przemocy, i gdyby tylko odzyskał pewność siebie albo jego przeciwnik okazał się słaby i niegroźny, natychmiast stałby się na powrót brutalny. Natomiast wycofywał się natychmiast, gdy zachodziło najmniejsze niebezpieczeństwo, że sam może ponieść porażkę. Ta wiedza też dawała Peake'owi wielką przewagę nad zwierzchnikiem, ale i dla niej nie widział na razie żadnego zastosowania.

Zresztą, mniejsza z tym. Peake był pewny, że kiedyś będzie miał okazję wykorzystać w praktyce to wszystko, czego się dziś dowiedział. W końcu, jeśli ma stać się legendą, musi postępować rozważnie, praworządnie i skutecznie. Nie może tak od razu robić użytku ze swoich obserwacji.

Nieświadomy tego, że dał podwładnemu do ręki dwa sztylety, Sharp spacerował wciąż tam i z powrotem z niecierpliwością cezara.

Stone domagał się pół godziny na widzenie z córką. Gdy więc minęło trzydzieści minut, Sharp zaczął nerwowo spoglądać na zegarek.

Po trzydziestu pięciu minutach podszedł ciężkim krokiem do drzwi, oparł na nich dłoń, zaczął pchać je do środka, ale nagle zawahał się i cofnął.

– Kurczę, dajmy mu jeszcze pięć minut. W końcu to nie taka prosta sprawa wydobyć coś logicznego od tej naćpanej kurewki.

Peake mruknął pod nosem, że się zgadza. Spojrzenia, które Sharp rzucał w stronę drzwi, stawały się coraz bardziej zabójcze. Wreszcie po czterdziestu minutach od chwili, kiedy na życzenie Stone'a wyszli z sali, Sharp powiedział, starając się ukryć swój lęk przed kolejną konfrontacją z farmerem:

– Muszę wykonać parę bardzo ważnych telefonów. Będę na dole przy automatach.

– Tak jest.

Sharp ruszył przed siebie, ale obejrzał się jeszcze i dorzucił:

– Jeśli ten prostaczek wyjdzie wreszcie, niech na mnie czeka, choćby nie wiem jak długo mnie nie było. I nic mnie nie obchodzi, co będzie miał na ten temat do powiedzenia.

– Tak jest.

– Dobrze mu robi, jak go trochę przetrzymam – dodał zwierzchnik i odszedł dumnym krokiem, z podniesionym czołem i zarzucając ramionami niczym rewolwerowiec. Chciał sprawić wrażenie bardzo ważnego człowieka, najwyraźniej był przekonany, że jego dostojność nie została zachwiana.

Jerry Peake oparł się o ścianę i spoglądał na przechodzące korytarzem pielęgniarzy. Do ładniejszych uśmiechał się i zagadywał je, prowadząc – jeśli nie były szczególnie zajęte – zalotne konwersacje.

Sharpa nie było przez dobre dwadzieścia minut, dzięki czemu Stone miał do dyspozycji pełną godzinę. Kiedy jednak wrócił, odbywszy swe ważne rozmowy telefoniczne, a farmer wciąż przebywał z córką, zaklął ze złości. Nawet bowiem tchórz wybuchnie, jeśli posunąć się za daleko.

– Ten żaloszny prostak nie może przecież siedzieć tam cały dzień, mleć jęzorem nie wiadomo o czym i rozpieprzać mi roboty!

Odwrócił się od Peake'a i ruszył ku drzwiom. Zanim jednak zrobił dwa kroki, Stone wyszedł.

Peake zastanawiał się, czy przy powtórnym spotkaniu Felsen Kiel będzie wyglądał równie imponująco jak wtedy, kiedy nagle wszedł do sali i przeszkodził Ansonowi Sharpowi w dręczeniu dziewczyny. Ku wielkiej jego satysfakcji Stone wyglądał jeszcze bardziej imponująco niż wówczas. Ta silna, pobrużdżona, ogorzała twarz; te wielkie łapy o zdeformowanych pracą kłykciach; ta powierzchowność wskazująca na niezachwiane opanowanie i łagodne usposobienie. Peake patrzył wystraszony, jak mężczyzna szedł korytarzem, niczym ożywiony blok granitu.

– Przepraszam, że musieli panowie tak długo czekać. Ale na pewno rozumiecie, że mieliśmy z córką dużo do pomówienia.

– Pan na pewno też rozumie, że to nie cierpiąca zwłoki sprawa bezpieczeństwa państwowego – odpowiedział Sharp, choć już nieco spokojniejszym głosem niż wcześniej.

Nie zwracając na to najmniejszej uwagi, Stone kontynuował:

– Córka mi powiedziała, że chcecie się chyba dowiedzieć, gdzie ukrył się facet nazwiskiem Leben.

– Zgadza się – odparł oschle Sharp.

– Mówiła coś, że ten facet zmienił się w... żywego trupa, ale ja nic z tego nie rozumiem. Może to tylko takie urojenia pod wpływem narkotyków. Jak pan uważa?

– Tak, tak, to pod wpływem narkotyków – zapewnił skwapliwie Sharp.

– No dobra, ona domyśla się, gdzie on może być – rzekł Stone. – Gość ma domek letniskowy nad jeziorem Arrowhead. Tak przynajmniej twierdzi Sarah. To coś w rodzaju tajemnej kryjówki. – Z kieszeni koszuli wyjął złożoną kartkę. – Zapisałem sobie, jak tam dojechać.

Podał papier Peake'owi, Peake'owi, a nie Sharpowi.

Peake spojrział na staranne, czytelne pismo Stone'a i przekazał zapiski zwierzchnikowi.

– Rozumiecie – mówił dalej farmer – moja Sarah była dobrą dziewczyną. Wszystko zaczęło się trzy lata temu. Do tego czasu była naprawdę kochanym dzieckiem, pod każdym względem. Ale nagle opętał ją ten szaleniec, uzależnił od narkotyków, zamieszał w umyśle. Miała wtedy dopiero trzynaście lat, łatwo ulegała wpływom, można ją było bez trudu zranić albo zdobyć.

– Panie Kiel, nie mamy czasu...

Stone udawał, że nie słyszy Sharpa, chociaż patrzył wprost na niego.

– Wraz z żoną robiliśmy wszystko, co w naszej mocy, żeby dowiedzieć się, kim jest ten zły człowiek. Doszliśmy do wniosku, że musi to być jakiś starszy kolega ze szkoły, ale nie udało nam się go zidentyfikować. I oto pewnego dnia, mniej więcej rok od chwili, kiedy zaczęło się w domu to piekło, Sarah zniknęła. Uciekła do Kalifornii, żeby „wreszcie zacząć żyć”. Tyle do nas napisała na kartce

papieru. Nabazgrała jeszcze, że jesteśmy parą ciemnych wieśniaków, którzy nie mają pojęcia o świecie i pielęgnują śmieszne ideały, jak uczciwość, spokój i opanowanie. Dzisiaj wielu ludzi podobnie myśli...

– Panie Kiel...

– Wracając do tematu – ciągnął Stone. – Wkrótce potem dowiedziałem się, kto namówił ją do narkotyków. Nauczyciel. Czy możecie w to uwierzyć? Nauczyciel, który ma stanowić dla dzieci wzór do naśladowania. Nowy, młody nauczyciel historii. Zażądałem od rady pedagogicznej, żeby został przesłuchany. Ale większość nauczycieli sprzeciwiła się temu. Zdaje się, że w dzisiejszych czasach wielu z nich uważa, iż ludzie powinni trzymać buzię na kłódkę i płacić podatki, niezależnie od tego, czym oni zaśmiejają umysł dzieci. Dwie trzecie spośród nauczycieli...

– Panie Kiel... – przerwał mu Sharp bardziej stanowczo – to mnie w ogóle nie interesuje...

– Och, na pewno pana zainteresuje, gdy wysłucha pan do końca – powiedział Stone. – Zapewniam pana...

Peake wiedział, że Stone nie należy do ludzi, którzy mówią bez ładu i składu, wiedział, że do czegoś zmierza, i bardzo był ciekaw puenty całej tej historii.

– Jak więc mówiłem – ciągnął Stone – dwie trzecie spośród nauczycieli i połowa mieszkańców miasta napiętnowała mnie, jakbym to ja był sprawcą wszystkich nieszczęść. Ale w końcu poznali znacznie gorszą prawdę o nim niż dawanie i sprzedawanie uczniom narkotyków. I kiedy wszystko się skończyło, byli zadowoleni, że udało im się pozbyć tego nauczyciela historii. Następnego dnia pojawił się na mojej farmie i chciał „iść na solo”. Niezły był z niego byk, ale wciąż brał jakieś środki. Nawet tego dnia znajdował się pod wpływem czegoś, co nazywałby pan „trawką” albo może nawet gorszą trucizną. Nie miałem więc kłopotów z załatwieniem go. Przykro mi się przyznać, ale połamałem mu rękę. Na coś więcej jednak już bym się nie odważył.

O Boże, pomyślał Peake.

– Ale na tym nie zakończyła się cała sprawa. Okazało się, że jego wuj jest prezesem największego banku w naszym okręgu, tego samego, w którym zaciągałem pożyczki pod zastaw gospodarstwa. Słuchaj pan, każdy, kto miesza osobiste urazy do spraw zawodowych, jest idiotą. A ten facet z banku był właśnie idiotą, bo – żeby się odgrywać za swojego bratanka – próbował mnie okpić. Chciał inaczej zinterpretować pewną klauzulę w jednej z umów, a chodziło o duże pieniądze, i wezwać mnie do natychmiastowej spłaty pożyczki. To groziłoby mi utratą farmy. Przez rok moja żona i ja procesowaliśmy się z nim i dopiero w ubiegłym tygodniu bank musiał wycofać się z roszczeń i sprawa o spłacenie przeze mnie połowy długów została oddalona.

Stone skończył i Peake zrozumiał morał, ale Sharp spytał niecierpliwie:

– No i co? Wciąż nie wiem, co to ma wspólnego ze mną.

– Myślę, że wie pan – powiedział spokojnie Stone i spojrzał na Sharpa tak przenikliwie, że wicedyrektor skrzywił twarz.

Po chwili opuścił wzrok na kartkę papieru, gdzie podany był dojazd do domku Erica Lebena, przeczytał i chrząknął. Potem podniósł wzrok i oznajmił:

– Tego nam właśnie było trzeba. Myślę, że nie musimy już rozmawiać ani z pańską córką, ani z panem.

– Jest mi bardzo przyjemnie to słyszeć – rzekł Stone. – Jutro wracamy do Kansas i nie chciałem, by ta sprawa ciągnęła się za nami.

I Stone uśmiechnął się. Ale do Peake'a, nie do Sharpa. Wicedyrektor DSA odwrócił się gwałtownie i dumnym krokiem odszedł od nich. Peake odwzajemnił uśmiech i podążył za swym szefem.

W cieniu świerków

Crrrrr, crrrrr, crrrrr, crrrrr... Początkowo głośne granie cykad podobało się Rachael, gdyż przypominało jej szkolne wycieczki do parków, za miasto oraz podróże autostopem, które odbywała w college'u. Wkrótce jednak ten przenikliwy śpiew zaczął ją denerwować. Nie łagodziły go ani zarośla, ani rozłożyste konary sosen. Każda cząsteczka chłodnego, suchego powietrza zdawała się rozbrzmiewać tym przykrym dla ucha cykaniem. Już po chwili grało jej nawet w zębach i kościach.

Jej reakcja była częściowo wynikiem nagłego przekonania Bena, że usłyszał w pobliskich zaroślach jakiś obcy dźwięk. Zaczęła w duchu przeklinać owady i modlić się, by zamilkły, umożliwiając jej wsłuchanie się w odgłosy lasu i wyłowienie trzasku gałęzi czy szelestu liści, wywołanych jednak przejściem człowieka, a nie podmuchem wiatru.

Combat magnum trzymała w torebce, w dłoni miała tylko swoją trzydziestkędwójkę. Szybko bowiem zorientowała się, że druga ręka będzie jej potrzebna od odgarniania wysokich chwastów i gałęzi, żeby móc bezpiecznie wdrapywać się po leśnym stoku i pokonywać co trudniejsze odcinki terenu. Przez moment zastanawiała się, czyby jednak nie wyjąć dodatkowej broni, ale szybko odrzuciła tę myśl, ponieważ odgłos otwieranego zamka błyskawicznego mógłby zdradzić ich położenie każdemu, kto ewentualnie zechciałby się na nich zacząć.

Ewentualnie... To tchórzliwy wykręt. Przecież tylko jeden człowiek mógł na nich polować – Eric.

Rachael i Benny szli dokładnie na południe wzdłuż stoku, na którym wznosił się dom Erica. Byli od niego oddaleni około kilkuset metrów, budynek to ukazywał się ich oczom, to znikał, przysłonięty zielenią. Uważali, by drzewa, krzaki i skały znajdowały się na linii łączącej ich sylwetki z dużym panoramicznym oknem. Okno to nieprzyjemnie kojarzyło się kobiecie z monstrialnym, pustym oczodołem. Kiedy przeszli prawie trzydzieści metrów, oddalając się od siedziby Lebena, skręcili na wschód, pod górę. Było tu na tyle stromo, że posuwali się dwukrotnie wolniej niż poprzednio. Zamiar Bena polegał na tym, żeby obejść budynek dookoła i dostać się do środka od tyłu. Ale gdy wspięli się jakieś sto metrów pod górę na wschód i trzydzieści z powrotem na północ, mężczyzna usłyszał jakiś dźwięk, zatrzymał się więc i oparł o solidny, półtorametrowej średnicy, pień świerku. Pokręcił głową i uniósł strzelbę.

Crrrrr, crrrrr, crrrrr...

Nieprzerwanie śpiewający chór cykad nie umilkł mimo ich obecności, a więc i nie umilknie, by zdradzić obecność kogoś innego. Jakby uzupełniając go, rozległ się jeszcze szum wiatru. Najwyraźniej bryza, która zerwała się prawie godzinę temu, gdy wychodzili ze sklepu sportowego nad jeziorem, teraz przemieniała się w potężny wicher. Co prawda miejsce, w którym się znajdowali, osłonięte było rozłożystymi koronami drzew i docierały tu tylko słabe podmuchy, ale górne partie lasu targane były porywami wiatru, a głuche, żalobne zawodzenie przenikało między konarami.

Rachael trzymała się blisko Bena, opierając się ramieniem o pień świerku, a chropowata kora drapała ją nawet przez bluzkę.

Wydawało jej się, że zastygli tak jak zakłęci, przez dobry kwadrans nasłuchując i rozglądając się wokół, w rzeczywistości jednak nie trwało to dłużej niż minutę. Potem Ben zaczął ostrożnie kontynuować wspinaczkę, kierując się nieco w bok. Szli teraz po dnie suchego, prawie pozbawionego roślinności rowu odwadniającego. Rzadko rozsiana, brązowa, ostra jak papier trawa drażniła łydki Rachael. Musieli uważać, by nie nadepnąć na jeden z wielu luźno leżących tu kamieni, które naniósł wiosną topniejący śnieg. Posuwali się jednak dużo szybciej niż wśród zarośli. Jediną przeszkodę w wędrówce stanowiły

rosnące po obu stronach rowu krzaki. Niektóre były zielone, inne brązowe i suche, wszystkie jednak gęste i zasłaniające widok, tylko w kilku miejscach Rachael i Ben dostrzegli między nimi prześwity. Kobieta była niemal pewna, że Eric wielkimi susami zbliża się przez zarośla, by wreszcie gdzieś się na nich zaczać. Otuchy dodawały jej tylko występujące tu i ówdzie splecione, kolczaste krzaki jeżyn, które mogły powstrzymać ewentualnego napastnika przed atakiem od tej strony. Chociaż czy Eric – który powrócił do życia po przejechaniu go przez ciężarówkę – martwiłby się czymś tak banalnym jak kolce?

Przeszli zaledwie kilkanaście metrów, kiedy Ben znów zamarł w bezruchu, przykucnął i uniósł dubeltówkę, jakby celował do celu niewielkich rozmiarów.

Tym razem Rachael też usłyszała ten dźwięk: uderzenie kamienia o kamień.

Crrrrr, crrrrr...

Ciche skrzypnięcie, jakby czyjś but otarł się o kamień.

Rachael rozejrzała się na wszystkie strony, ale nie dostrzegła żadnego ruchu, który można by połączyć z tymi dźwiękami.

Potem usłyszała, jak przez zarośla posuwa się coś bardziej celowo, świadomie, systematycznie. To nie może być wiatr, więc może... ktoś?

I znów cisza.

Minęło dziesięć sekund, ale nic się nie wydarzyło.

Dwadzieścia sekund.

Benny też śledził okolicę i już nic w nim nie przypominało zwodniczego *image* pod tytułem: „Jestem tylko zwykłym, przeciętnym pośrednikiem w obrocie nieruchomościami”. Jego przyjemna, choć niczym nie wyróżniająca się twarz miała teraz przyciągający uwagę wyraz. Intensywność koncentracji przydała ostrości jego brwiom, kościom policzkowym i szczęce; intensywne wyczucie zagrożenia i zwierzęca determinacja, aby przeżyć, uwidaczniały się w spojrzeniu mężczyzny, jego rozszerzonych nozdrzach i w sposobie, w jaki cofnęły się w pozbawionym wesołości, dzikim grymasie. Był napięty jak do skoku, a wzrokiem przenikał każdy szczegół w otaczającym go lesie. Obserwując go, Rachael mogła stwierdzić, że jest niezwykle sprawny i szybki. W końcu został przyuczony do tego, by polować i wiedzieć, co robić, gdy samemu jest się zwierzyzną. Twierdzenie, że w swym życiu orientuje się na przeszłość, brzmiałoby w tych warunkach fałszywie albo jak wykręt. Nie istniały przecież żadne wątpliwości, że Benny ma niesamowitą zdolność koncentrowania się całkowicie i efektywnie na teraźniejszości, co właśnie udowadniał.

Cykady.

Wiatr pod sklepieniem lasu.

Sporadyczne świergotanie ptaka z oddali.

I nic poza tym.

Przynajmniej tu, w tym lesie, to oni mieli być myśliwymi, ale nagle role się chyba odwróciły. Ta nagła przemiana w zwierzyinę zatrwożyła Rachael i sprawiła jej zawód. Konieczność zachowania absolutnej ciszy szarpała jej nerwy, gdyż czuła potrzebę, aby zakląć na całe gardło, wrzasnąć na Erica, rzucić mu wyzwanie. Chciała krzyknąć.

Czterdzieści sekund.

Benny i Rachael znów podjęli ostrożną wspinaczkę. Obeszli dookoła dom Erica Lebena i znaleźli się na skraju lasu. Przez cały czas ktoś obserwował ich z ukrycia – lub przynajmniej tak im się wydawało. Od momentu wyjścia z rowu i skierowania się przez zarośla na północ jeszcze sześć razy zatrzymywali się, słysząc dźwięki nienaturalnego pochodzenia. Czasami trzask jakiejś gałązki lub nie całkiem możliwe

do określenia skrobanie rozlegało się tak blisko, jak gdyby ich Nemezis była tylko parę kroków za nimi. A jednak nie mogli nic dostrzec i szli dalej, kryjąc się w szkarłatnym cieniu drzew.

Wreszcie, w odległości dziesięciu metrów od tyłu domku, przykucnęli za wystającymi skałkami. Bloki granitu sterczały tam jak stare, spróchniałe zęby.

– W tym lesie musi być dużo dzikich zwierząt – szepnął Benny – bo coś innego mogliśmy słyszeć?

– Jakich zwierząt? – spytała również szeptem Rachael.

Tak cicho, że ledwie go usłyszała, Ben odpowiedział:

– Wiewiórki, lisy, wilki... To nie mógł być Eric. Niemożliwe. On przecież nie ma za sobą treningu w szkole przetrwania ani na wojnie, żeby potrafił zachowywać się tak cicho albo przez dłuższy czas pozostawać nie zauważony. Gdyby to był Eric, prędzej czy później byśmy go dostrzegli. Zresztą, jeśli to naprawdę był on i jeśli istotnie jest tak szalony, jak przypuszczasz, to już by nas zaatakował.

– Zwierzęta... – powtórzyła Rachael pełna wątpliwości.

– Zwierzęta.

Oparta plecami o granitowy ząb, spojrzała na las, przez który szli, przypatrując się każdemu cieniowi i wszystkim nieznanym kształtom.

Żaden myśliwy, tylko zwierzęta, chaotycznie przemieszczające się i przypadkowo przecinające im drogę. Wiele zwierząt.

Mimo to Rachael nadal miała uczucie, że ktoś czai się w gąszczu i, ostrząc sobie zęby, patrzy na nią.

– Zwierzęta – powtórzył jeszcze raz Ben.

Uspokojony tym wyjaśnieniem, odwrócił się tyłem do lasu, podniósł z kolan i – wciąż pochylony – wyjrzał zza obrośniętej mchem skałki. Patrzył na tylną ścianę kryjówki Erica Lebena.

Rachael nie była przekonana, że jedyne źródło zagrożenia stanowi dla nich ten dom. Wstała więc, oparła się biodrem i ręką o skałę, przyjmując pozycję, która umożliwiała jej szybkie odwracanie się od budynku w stronę lasu i z powrotem.

Na tyłach tej górskiej samotni, stojącej na rozległym tarasie pomiędzy wzniesieniami, wykarczowano kilkunastometrowej szerokości pas ziemi i urządzono tam ogród. Promienie słoneczne oświetlały właśnie większą jego część. Widać było, że Eric posiał żyto, ale z powodu obecności w glebie kamieni żdźbła wyrosły tylko na zagonach. Poza tym najwyraźniej wskutek niezainstalowania systemu nawadniającego rośliny były zielone tylko przez krótki okres między wiosennym topnieniem śniegów a początkiem suchego lata. Wyglądało na to, że uschły już przed paroma tygodniami, poćcinano je więc i teraz zostało złocistobrazowe kłujące ściernisko. Za to rabaty z kwiatami – widocznie dzięki spadkowi terenu wystarczająco nawodnione – rozkwitły bujnie wszystkimi barwami: żółcią, oranżem, płomienną czerwienią, szkarłatem, różem, bielą i błękitem. Cynie, geranium, stokrotki, chryzantemy i inne kwiaty, drżąc, kołysząc się i falując na wietrze, otaczały drewniano-kamienną werandę, przylegającą do domu na całej jego długości.

Dom miał prostą konstrukcję, którą tworzyły związane zaprawą belki i cegły, ale nie była to bynajmniej tania, niewyszukana budowla. Robota wyglądała na pierwszorzędną, Eric musiał sporo wydać na ten dom. Stał on na podwyższonych kamiennych fundamentach i szczylił się dużymi oknami z kwaterami w stylu francuskim. Dwa z nich były nawet uchylone, zapewne w celu przewietrzenia pomieszczeń. Dach pokryto czarnymi łupkami, co miało tę przewagę nad drewnianym gontem, że nie gnieździły się tam korniki i nie harcowały rozbawione wiewiórki. W celu zapewnienia sobie dobrego odbioru programów telewizyjnych Eric zamontował na nim antenę satelitarną.

Drzwi były otwarte, może nawet szerzej niż obydwie okna. W połączeniu z kłaniającymi się na

wietrze kolorowymi kwiatami ten widok powinien nadać siedzibie ciepły, zapraszający charakter. Rachael jednak otwarte drzwi przywodziły na myśl przynętę na zwierzynę, otwór prowadzący w głąb pułapki, szeroki po to, aby uśpić czujność ofiary.

Oczywiście i tak wejdą do środka. Przecież po to tu przyszli: żeby wejść, żeby znaleźć Erica. Nie musiało jej się to podobać.

Ben skończył obserwację domu i szepnął:

– Nie możemy się tam przedostać nie zauważeni. Teren jest zupełnie odsłonięty. Jedyne, co możemy zrobić, to przebiec ten odcinek jak najszybciej i schować się za balustradą werandy.

– Okay.

– Chyba najlepiej będzie, jeśli tu zaczekasz i pozwolisz, żebym poszedł pierwszy. Jeśli Eric ma broń palną, to na pewno zacznie strzelać, bo drugi raz taka okazja już mu się nie powtórzy. Ale gdy nikt nie otworzy ognia, możesz iść za mną.

– Mam tu zostać sama?

– Nie odejdę przecież daleko.

– Nawet trzy metry to już za daleko.

– Nie będziemy razem tylko przez minutę.

– To jest sześćdziesiąt razy za długo. Nie wytrzymam tu sama dłużej niż sekundę – rzekła Rachael, spoglądając w popłochu za siebie w stronę lasu, gdzie każdy większy cień, każda nieokreślona forma zdawały się podpełzać w jej stronę, gdy była zwrócona ku domowi.

– Nie ma mowy. Idziemy razem.

– Wiedziałem, że tak powiesz.

Gwałtowny podmuch ciepłego powietrza zawirował na otwartej przestrzeni, uniósł tumany kurzu, smagnął kwiaty na grządkach i zaatakował ścianę lasu, sponiewierawszy uprzednio twarz Rachael.

Ben przeczołgał się do końca granitowych formacji, wyjrzał zza skały i – trzymając oburącz dubeltówkę – sprawdził jeszcze raz, czy za uchylonymi oknami domku letniskowego ktoś się nie ukrywa.

Cykady przestały śpiewać. Co oznaczało ich nagle zamilknięcie?

Zanim jednak Rachael zdążyła zwrócić uwagę Bena na tę zmianę, ten wyskoczył już z ukrycia i jak strzała pomknął przed siebie po miejscami żółtej, miejscami brązowej, wyschniętej, martwej trawie.

Powodowana elektryzującym uczuciem, że coś zagrażającego jej życiu wolno, lecz konsekwentnie posuwa się wśród świerków ku niej, chce chwycić ją mocno za włosy i porwać ze sobą w mrok lasu, Rachael dała nura za swym przyjacielem i wypadła zza skał na zalaną słońcem otwartą przestrzeń. Przy werandzie była już po kilku sekundach, kiedy Benny dopiero kucał za kamiennymi schodkami.

Bez tchu stanęła obok niego i odwróciła głowę, by spojrzeć na las. Nikt nie podążał jej śladem. Prawie nie mogła w to uwierzyć.

Szybko i bez wysiłku Ben wskoczył po schodkach na werandę, dopadł ściany koło otwartych drzwi, oparł się o nią plecami i zaczął nasłuchiwać. Z domu nie dochodziły żadne odgłosy, pchnął więc nie zamknięte drzwi i – przyjąwszy postawę obronną, z lufą dubeltówki wycelowaną na wprost – wszedł do środka.

Rachael podążyła za nim do kuchni, większej i lepiej wyposażonej, niż można było oczekiwać. Na stole znajdował się talerz z resztkami nie dokończonego śniadania, na które najwyraźniej składały się parówki i sucharki. Natomiast podłogę zaśmiecały puste puszki po zupach i słoik po maśle orzechowym.

Drzwi do piwnicy były otwarte. Benny ostrożnie i cicho pchnął je, zamykając i odcinając widok na opadające w ciemność schody.

Rachael, choć Ben nie powiedział jej, co ma robić, uniosła z podłogi krzesło, podeszła do drzwi i oparciem zablokowała klamkę, tworząc swego rodzaju barykadę. Nie wolno im było zejść do piwnicy, dopóki nie przeszukają głównej, mieszkalnej części domu, bo jeśli Eric znajdował się w jednym z pomieszczeń na parterze, łatwo mógł ich tam zamknąć i odciąć od świata. Z kolei gdyby sam był w piwnicy, mógłby – jeśliby nie zabarykadowali drzwi – zaatakować ich z tyłu podczas przeszukiwania domu.

Rachael spostrzegła, że Benny był mile zaskoczony przezornością, którą wykazała, blokując klamkę oparciem krzesła. Stanowili zgrany zespół.

Następnie w ten sam sposób zabarykadowała inne drzwi, prowadzące zapewne do garażu. Wprawdzie gdyby Eric się tam ukrywał, mógłby oczywiście próbować uciec, unosząc automatyczne drzwi wjazdowe, ale wtedy by się zdradził. Narobiłby tyle hałasu, że usłyszeli go w każdym miejscu domu.

Przez chwilę stali w kuchni, nasłuchując. Rachael słyszała tylko, jak szaleje porywisty wiatr pod głębokim okapem, jak dmucha przez zawieszoną w pustym otworze okiennym cienką siatkę chroniącą przed owadami.

Wciąż pochylony, Ben przebiegł z kuchni do salonu i po przekroczeniu progu rozejrzał się dokoła. Potem dał znak Rachael, że droga czysta, i kobieta podążyła za nim.

W supernowoczesnym salonie drzwi, wychodzące na zewnątrz, też były otwarte, choć nie tak szeroko jak na tyłach domu. Na podłodze leżały porzucane setki arkuszy papieru – niektóre z nich podarte i pogniecione – dwa małe kołonoatniki o czarnych okładkach z winylu oraz kilka tekturowych teczek do przechowywania dokumentów.

Koło ustawionego przy dużym oknie fotela leżał średniej wielkości nóż o żłobkowanym ostrzu oraz punktak. Promienie słoneczne przedarły się przez korony drzew i wpadały teraz do pokoju, skacząc między innymi po stalowym ostrzu noża. Jego gładka powierzchnia nabrała łagodnego, ciepłego blasku.

Ben przez chwilę patrzył zatroskany na nóż, wreszcie odwrócił się.

W salonie znajdowało się, oprócz przejścia do kuchni, jeszcze troje drzwi. Dwoje z nich było zamknięte, ale jedno – lekko uchylone. Ben na nich skupił swą uwagę.

Rachael zamierzała podnieść z podłogi część papierów i zobaczyć, co to takiego, ale kiedy Benny ruszył w stronę drzwi, poszła za nim.

Mężczyzna pchnął lufą drzwi, otworzył je do końca i równie ostrożnie jak do tej pory wszedł do następnego pomieszczenia.

Rachael pozostała jednak w salonie, zabezpieczając tyły. Stąd bowiem miała widok na otwarte drzwi frontowe, dwoje zamkniętych drzwi wewnątrz budynku, na przejście do kuchni oraz do środka pokoju, gdzie właśnie wszedł Benny. Była to sypialnia, zdemolowana w takim samym stopniu jak sypialnia w Villa Park i kuchnia w Palm Springs. Stanowiło to dowód, że Eric był tu i że tu również dopadł go jeden z ataków szafu.

Ben gwałtownie otworzył duże lustrzane drzwi szafy na ubrania, zajrzał ostrożnie do środka, ale najwidoczniej nie znalazł nic ciekawego. Przeszedł przez sypialnię do przyległej łazienki i zniknął Rachael z oczu.

Kobieta zerknęła nerwowo na frontowe drzwi, potem na przejście do kuchni i dwoje zamkniętych drzwi.

Na dworze porywisty wiatr jęczał i kwilił pod okapem. Szum targanych wichrem drzew docierał przez otwarte drzwi do wnętrza salonu. Panująca w domu cisza stawała się coraz głębsza. Ciekawe, że

działała ona na Rachael niczym *crescendo* w symfonii: w miarę jej narastania sztywniała cała, przekonana, że za chwilę wypadki potoczą się lawinowo w stronę mocnego punktu kulminacyjnego.

Eric, do cholery, gdzie jesteś? Gdzie jesteś, Eric?

Zdawało jej się, że Bena nie ma już całą wieczność. Niewiele brakowało, by – ogarnięta paniką – zaczęła go wołać. Wreszcie mężczyzna pojawił się w polu jej widzenia. Nic mu się nie stało. Przeczącym ruchem głowy oznajmił, że nie znalazł ani śladu Erica, ani cokolwiek, co mogłoby ich zainteresować.

Otworzył zamknięte dotąd drzwi, za którymi odkryli jeszcze dwie sypialnie, połączone wspólną łazienką, w żadnej z nich jednak Eric nie ustawił łóżka. Benny przeszukał pomieszczenia, znajdujące się w nich szafy oraz łazienkę, a Rachael stała w salonie to przy jednych, to przy drugich drzwiach i czuwała. Pierwszy pokój, wyposażony w półki, na których stały jakieś opasłe tomy, biurko i komputer, stanowił zapewne pracownię. Drugi był pusty i nie wykorzystany.

Kiedy stało się jasne, że i w tej części domu Benny nie spotka Erica, Rachael pochyliła się, podniosła z podłogi kilka odbitych na kserokopiarce arkuszy i zaczęła je szybko przeglądać. Zanim Ben wrócił, serce jej biło mocno, gdyż wiedziała już, co ma przed sobą.

– To są akta „Wildcard” – powiedziała półgłosem. – Zapewne Eric tu właśnie trzymał ich kopie.

Zaczęła zbierać następne spośród rozrzuconych na podłodze arkuszy, ale Ben powstrzymał ją.

– Najpierw musimy znaleźć Erica – szepnął.

Rachael niezbyt chętnie skinęła głową na znak, że się zgadza, i wypuściła je z ręki. Benny podszedł do frontowych drzwi. Tu także, podobnie jak w oknie kuchennym, zamontowana była moskitiera z cienkiej siatki. Pchnął je na zewnątrz, a towarzyszące temu ciche skrzypnięcie stanowiło największy hałas, na jaki mógł sobie pozwolić. Stwierdził, że wyłożona deskami weranda jest pusta, i zadowolony wrócił do kuchni. Rachael poszła za nim. Wyjęła oparcie krzesła spod klamki prowadzących do piwnicy drzwi, otworzyła je i szybko się wycofała. Przez cały czas Ben ją osłaniał.

Z ciemności nie wyłonił się ryczący przeraźliwie Eric.

Teraz Benny zbliżył się do progu, kropelki potu błyszczały mu na czole. Na ścianie koło schodów znalazł wyłącznik światła i zapalił je.

Również Rachael spływała potem, ale – podobnie jak w wypadku Bena – nie był to skutek letniego żaru. Jej zejście do pozbawionej okien piwnicy było ryzykowne. Istniało bowiem prawdopodobieństwo, że Eric kryje się gdzieś na zewnątrz i obserwuje dom. Widząc, że Rachael wraz ze swym przyjacielem schodzi do piwnicy, mógłby szybko wrócić do domu i zaatakować ich z góry w chwili, kiedy znajdowaliby się bezbronni na schodach. Tak więc Rachael została na progu, skąd miała widok na schody prowadzące w dół, na całą kuchnię, przejście do salonu oraz na otwarte drzwi wiodące na tylną werandę.

Benny zszedł po drewnianych stopniach najciszej, jak to było możliwe, choć nie sposób było uniknąć pewnych skrzypnięć i szumieć. Następnie zawahał się, w którą ruszyć stronę. Po chwili skierował się w lewo i zniknął Rachael z oczu. Przez jakiś czas kobieta widziała jeszcze na piwnicznej ścianie jego cień, duży i nieregularny, ale w miarę jak Ben się oddalał, cień malał i wreszcie odszedł za swym panem.

Rachael spojrzała w stronę salonu. Był pusty i panowała w nim cisza.

Odrzuciła głowę w drugą stronę. Na moskitierze przysiadł olbrzymi żółty motyl i powoli wachlował skrzydłami.

Z dołu dobiegł jakiś hałas; nic poważnego – najprawdopodobniej Ben wpadł na coś.

Rachael spojrzała w głąb schodów wiodących do piwnicy. Nie dostrzegła jednak ani Bena, ani jego cienia.

Znów zerknęła na przejście do salonu. Spokój i cisza.

Drzwi na werandę. Tylko motyl.

I znów jakiś hałas z piwnicy, ale już mniejszy.

– Benny? – odezwała się cicho.

Nie odpowiedział. Zapewne nie słyszał jej. Powtórzyła jego imię prawie szeptem. Przejście do salonu, drzwi na werandę... Schody do piwnicy – ani śladu Bena.

– Benny – powtórzyła i zaraz potem ujrzała jakiś cień. Serce zabiło jej mocniej, gdyż cień wydał się bardzo dziwny, ale po chwili pojawił się również Ben we własnej osobie. Gdy zaczął iść po schodach, odetchnęła z ulgą.

– Nic tam nie znalazłem oprócz otwartego sejfu, ukrytego w ścianie za piecem do podgrzewania wody – powiedział, gdy był już w kuchni. – Sejf jest pusty, możliwe więc, że trzymał w nim akta, które teraz leżą porozrzucane po całym salonie.

Rachael chciała opuścić rewolwer, rzucić mu się na szyję, uściskać i wycałować po twarzy tylko dlatego, że wrócił cało z piwnicy. Chciała, by wiedział, jak bardzo jest szczęśliwa, że znów z nim jest, ale najpierw należało jeszcze sprawdzić garaż.

Porozumiewając się więc z Benem bez słów, usunęła krzesło spod ostatnich drzwi i otworzyła je. Przyjaciel i tym razem ją osłaniał, trzymając gotową do strzału dubeltówkę. W garażu również nie było Erica.

Stojąc w progu, Benny wymacał na ścianie wyłącznik światła, przekręcił go, ale żarówka była tak słaba, że nawet w połączeniu z sączącymi się przez okienko promieniami słońca nie zdołała wystarczająco oświetlić garażu; wciąż pozostawał on w półmroku. Z kolei Benny uruchomił mechanizm podnoszenia drzwi wjazdowych. Zwinęły się do góry z chrzęstem, trzaskiem i turkotem i do pomieszczenia wlało się jasne, żółte światło.

– Już lepiej – powiedział Ben i wszedł do środka.

Rachael podążyła za nim i zobaczyła czarnego mercedesa 560 SEL, jeszcze jeden dowód, że Eric tu był.

Podnoszące się drzwi wznieciły tuman kurzu, który opadał powoli, podświetlany z zewnątrz przez snop promieni słonecznych. Przebudzone pająki ruszyły po krokwiach i zaczęły tkąć swe nowe sieci.

Rachael i Ben ostrożnie obeszli samochód, zaglądając do wnętrza (w stacyjce zostawiono kluczyki) i nawet pod spód. Ale Erica nigdzie nie było.

Całą długość tylnej ściany garażu zajmował świetnie wyposażony warsztat. Nad blatem stołu znajdował się stelaż z zaczepami na narzędzia, a każde z nich wisiało na swoim miejscu, zaznaczonym przez obrysowanie jego konturu. Dzięki temu Rachael mogła łatwo stwierdzić, że brakuje siekiery, ale nie zastanawiała się dłużej nad tym faktem, gdyż jej celem nie było przeprowadzenie inwentaryzacji, lecz znalezienie miejsca, gdzie mógłby się ukryć Eric. W garażu nie było miejsca na tyle obszernego, żeby mogło stanowić kryjówkę dla dorosłego mężczyzny. Kiedy więc Benny znów się odezwał, nie starał się nawet ściszyć głosu.

– Zaczynam się zastanawiać, czy nie odjechał już stąd.

– Ale to jest jego mercedes.

– To garaż na dwa samochody. Skąd wiesz, że nie trzymał tu przez cały czas drugiego auta – jeepa albo pickupa o napędzie na cztery koła, którym mógł czmychnąć po tych górskich drogach? Może wiedział, że istnieje prawdopodobieństwo, iż feds* [*Slangowe określenie agentów federalnych (*przyp. tłum.*)] dowiedzą się, co ze sobą zrobił, i będą chcieli dostać go w swoje łapy? Myślę, że wsiadł do jeepa czy jakiegoś innego pojazdu i zwiął.

Rachael patrzyła na czarnego mercedesa, który wyglądał jak wielka śpiąca bestia. Potem podniosła oczy na pajęczyny u krokwi. Wreszcie skierowała wzrok na skąpaną w słońcu piaszczystą drogę. Cisza tej górskiej reduty wydawała jej się mniej ponura niż zaraz po przybyciu. Oczywiście, daleko było temu miejscu do tego, by móc je nazwać spokojnym, pogodnym czy przyjaznym, ale na pewno stało się jakby mniej obce.

– Dokąd mógł pojechać? – spytała.

Benny wzruszył ramionami.

– Nie wiem. Ale jeśli dokładnie przeszukam ten dom, to może natrafię na coś, co przybliży nam trop.

– Czy mamy dość czasu na poszukiwania? Kiedy wczoraj zostawialiśmy Sarah Kiel w szpitalu, nie wiedziałam jeszcze, że federalni idą tym samym śladem. Prosiłam ją, by nikomu nie mówiła o tym, co się stało, ani nie zdradziła tego miejsca. W najgorszym razie zakładałam, że złączą węższyć i starać się coś od niej wydobyć wspólnicy Erica, ale na ich zakusy dziewczyna byłaby odporna. Nie sądzę jednak, żeby mogła zbyć byle czym agentów federalnych. A jeśli w dodatku uwierzy, że jesteśmy zdrajcami ojczyzny, to na pewno uzna za słuszne zameldować o istnieniu tego domu. Prędzej czy później oni tu będą.

– Zgadzam się z tobą – powiedział w zamyśleniu Benny, wpatrując się w mercedesa.

– A więc nie mamy czasu na zastanawianie się, dokąd pojechał Eric. W końcu na podłodze poniewierają się tu akta „Wildcard”. Musimy je pozbiierać i ulotnić się. Te papiery wystarczą nam za dowód.

Benny potrząsnął głową.

– Posiadanie akt jest ważne, może nawet decydujące, ale nie jestem przekonany, że to wystarczy.

Rachael patrzyła na niego rozgorączkowana, trzymając lufę pistoletu skierowaną ku górze, aby przypadkowo wystrzelony nabój nie odbił się rykoszetem od betonowej podłogi lub ściany.

– Słuchaj, przecież tu mamy wszystko czarno na białym. Wystarczy, że podamy to do prasy...

– Po pierwsze – przerwał jej Benny – w tych aktach jest, jak mi się wydaje, dużo szczegółów technicznych: wyniki testów laboratoryjnych, jakieś wzory i żaden reporter tego nie pojmie. Musiałby zabrać je do porządnego genetyka, żeby przetłumaczył to wszystko na zrozumiały język.

– No i co?

– No i taki genetyk mógłby okazać się niekompetentny albo konserwatywny w podejściu do tego, co w genetyce jest możliwe, a co nie. W obu wypadkach zlekceważyłby więc sprawę i powiedział reporterowi, że wszystko to żart, mistyfikacja.

– W takim razie my się możemy tym zająć. W końcu znajdziemy genetyka, który...

Benny znów jej przerwał:

– Może się zdarzyć coś jeszcze gorszego. Reporter zanieś materiał do genetyka, który pracuje dla rządu, dla Pentagonu. Czy nie wydaje ci się logiczne, że agenci federalni nawiązali kontakt z naukowcami specjalizującymi się w badaniu DNA i ostrzegli ich, że jakieś typy ze środków przekazu mogą dostarczyć im pewne pochodzące z kradzieży, ściśle tajne akta, prosząc o analizę ich treści?

– Skąd feds będą wiedzieć, że na to wpadłam?

– Jeśli mają twoją teczkę, a na pewno mają, to wiedzą, czego można się po tobie spodziewać.

– Dobra, chyba masz rację – powiedziała zmartwiona.

– Każdy finansowany przez Pentagon naukowiec będzie się z zapalem starał dogodzić rządowi i zachować hojne dotacje, więc gdy tylko nasze papiery dostaną się w jego ręce, z pewnością powiadomi, kogo trzeba. Żaden z nich nie zaryzykuje utraty wsparcia finansowego, a może nawet wyroku za rozpowszechnianie tajemnicy państwowej. W najlepszym razie odpowie reporterowi, żeby zabierał swoje

papiery i zjeżdżał, sam zaś nabierze wody w usta. W najlepszym razie. Najbardziej jednak prawdopodobne jest, że wyda go agentom federalnym, a reporter sygnie nas. Akta zostaną zniszczone i my raczej także.

Rachael nie chciała dać temu wiary, ale wiedziała, że w słowach Bena jest dużo prawdy.

Za oknami, wśród świerków, znów zaczęły swą pieśń cykady.

– Co teraz zrobimy? – spytała kobieta.

Najwyraźniej Benny zastanawiał się nad tym przez cały czas, gdy chodzili po tym domu, z pomieszczenia do pomieszczenia, szukając Erica, gdyż jego odpowiedź była natychmiastowa.

– Mając w garści i akta, i Erica, znajdowałibyśmy się w dużo lepszej sytuacji. Dysponowałibyśmy nie tylko plikiem tajemniczych dokumentów, które potrafi zrozumieć jedynie garstka ludzi, ale mielibyśmy także żywego trupa z dziurami w czaszce. Na Boga, przecież to już byłaby wystarczająca sensacja, żeby wszystkie gazety i stacje telewizyjne zaczęły na bieżąco podawać informacje, zanim jeszcze eksperci wydaliby opinie na temat akt „Wildcard”. Wtedy już ani rząd, ani nikt inny nie mógłby nas uciszyć. Kiedy raz pokażą Erica na ekranie, jego zdjęcia będą zdobić okładki „Time’a” i „Newsweeka”, „National Enquirer” będzie miał materiał na dziesięć lat, a David Letterman co wieczór udawać będzie przed telewizzami „żywego trupa”. Tak więc próby zatkania nam ust na nic się zdadzą.

Tu Benny zaczerpnął głęboko tchu i Rachael podejrzewała, że proponuje teraz coś, co niekoniecznie musi jej się spodobać.

– Słuchaj dalej – zaczął, potwierdzając swoimi słowami jej obawy. – Jak już powiedziałem, muszę dokładnie przeszukać ten dom. Może uda mi się znaleźć jakiś ślad wskazujący na to, dokąd udał się Eric. Ale niedługo mogą się tu pojawić agenci federalni. Teraz, gdy mamy już w ręku akta „Wildcard”, nie możemy ryzykować ich utraty. Dlatego musisz je zabrać i odjechać stąd, podczas gdy ja...

– Chcesz, żebyśmy się rozdzielili? – spytała. – Co to, to nie.

– To jest dla nas jedyne wyjście, Rachael.

– Nie!

Myśl o tym, że miałyby zostawić go tu samego, przeszła ją dreszczem.

Myśl o tym, że i ona miałyby zostać sama, była prawie nie do zniesienia. Rachael stwierdziła ze wzruszeniem, że w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin stali się sobie bliscy jak jeszcze nigdy.

Kochała go, o Boże, jak bardzo go kochała!

Ben spojrzał na nią uważnie. Jego brązowe oczy były łagodne i niosły poczucie bezpieczeństwa.

– Zabierzesz stąd te akta, zrobisz gdzieś kopie, roześlesz część do przyjaciół i znajomych rozrzuconych możliwie po całych Stanach, a resztę ukryjesz, ale tak, by w każdej chwili można je było wyciągnąć. Wtedy nie będziemy się musieli bać, że stracimy nasz jedyny egzemplarz dokumentacji. Będziemy świetnie zabezpieczeni. Ja w tym czasie gruntownie przeszukam ten dom i zobaczę, co się da wyniuchać. Jeśli znajdę coś, co naprowadzi nas na ślad Erica, spotkamy się w wyznaczonym wcześniej miejscu i będziemy go znów szukać we dwoje. Ale jeśli nic nie znajdę, to ukryjemy się gdzieś, żeby wspólnie zastanowić się, co dalej.

Rachael nie chciała się rozdzielać i zostawiać tu Bena samego. Przecież Eric mógł nadal ukrywać się w okolicy. Inne zagrożenie stanowili feds. Benny mógł się znaleźć w śmiertelnym niebezpieczeństwie. Jednakże argumenty, których użył, brzmiały przekonująco. Cholera, on miał rację!

Mimo to spytała:

– Jeśli odjadę samochodem, to jak ty się stąd wydostaniesz? Ben spojrzał wymownie na zegarek, żeby dać jej do zrozumienia, że tracą cenny czas.

– Zostawisz mi forda z wypożyczalni – powiedział. – I tak niedługo trzeba będzie się go pozbyć, bo na pewno jest już poszukiwany przez policję. Ty weźmiesz mercedesa, ja forda, a potem wymienię go na coś lepszego.

– Mercedesa też mogą szukać.

– Pewnie, ale z kartoteki wyciągną numery rejestracyjne, które my zmienimy, oraz rysopis Erica. Natomiast za kierownicą będziesz siedziała ty. Takiego mercedesa, choćby to był model 560 SEL w kolorze czarnym, na pewno nie zatrzymają. Nową tablicę zdejmujemy z jednego z tych zaparkowanych wzdłuż drogi pojazdów.

– Nie jestem taka pewna, czy nam się to wszystko uda.

– Ale ja jestem pewny.

Rachael objęła się mocno ramionami, jakby to był zimny październikowy dzień, a nie środek lata, i spytała:

– I gdzie się wtedy spotkamy?

– W Las Vegas – odrzekł.

Odpowiedź zaskoczyła ją:

– Dlaczego tam?

– W południowej Kalifornii jesteśmy spaleni. Boję się, że nie mielibyśmy się tu gdzie ukryć. Ale możemy bryknąć do Vegas. Mam tam jedno miejsce...

– Jakie miejsce?

– Jestem właścicielem motelu na Tropicana Boulevard, w zachodniej części miasta.

– Robisz interesy w Vegas? Staroświecki, konserwatywny Benny Shadway robi interesy w Vegas?

– Wprawdzie moja firma kilkakrotnie pośredniczyła w kupnie i sprzedaży nieruchomości na terenie Vegas, ale na razie trudno powiedzieć, żebym robił tam jakieś interesy. Motel kupiłem dopiero przed dwoma tygodniami. Jak na tamtejsze standardy, jest to drobnica. Liczy tylko dwadzieścia osiem pokoi i basen. Ma już swoje lata, więc wymaga remontu. Chcę go przebudować i powiększyć. Planuję sześćdziesiąt pokoi i restaurację. Nie wyłączyłem jeszcze prądu. Moje biuro jest wprawdzie w opłakanym stanie, ale jest tam łazienka, są meble i telefon. Możemy więc ukryć się tam, jeśli zajdzie taka konieczność, i rozważyć, co dalej. Albo czekać, aż Eric zjawi się gdzieś publicznie i wywoła sensację, na którą federalni będą już musieli zareagować. Zresztą dopóki nie mamy żadnego śladu Erica, wszystko, co możemy zrobić, to tylko ukryć się.

– Mam jechać do Vegas samochodem? – spytała Rachael.

– Tak byłoby najlepiej. Jeśli agenci mają rozkaz zrobić wszystko, by nas złapać, a zważywszy powagę sprawy, na pewno otrzymali takie dyrektywy, to obstawili już wszystkie ważniejsze lotniska. Możesz pojechać drogą stanową wzdłuż jeziora Silverwood, skrócić na międzystanową „piętnastkę” i jeszcze dziś wieczorem być w Vegas. Przyjadę do ciebie w ciągu paru godzin.

– Ale jeśli nakryją cię tu gliny...

– Jak zostanę sam i nie będę musiał troszczyć się o ciebie, bez trudu zdołam im się wymknąć.

– Myślisz, że wyślą na tę akcję same niezguły? – spytała z przekąsem.

– Nie, po prostu wiem, że jestem od nich lepiej wyszkolony.

– No cóż, ale to było prawie piętnaście lat temu...

Benny uśmiechnął się lekko.

– Wojna... Dla mnie to było wczoraj...

Rachael nie mogła zaprzeczyć, że Ben wciąż znajdował się w doskonałej formie fizycznej. Co on

takiego jeszcze powiedział...? Że Wietnam nauczył go być czujnym, bo świat może nagle okazać się zły i nieprzyjazny, kiedy najmniej się tego spodziewamy.

– Rachael? – powiedział, znów spoglądając na zegarek. Kobieta zrozumiała, że – aby mogli przeżyć i ułożyć sobie wspólnie życie – istniała tylko jedna droga: musiała zrobić to, czego żądał od niej Ben.

– W porządku – odparła. – W porządku. Rozdzielimy się. Ale boję się, Benny. Chyba nie nadaję się do takich przygód. Bardzo cię przepraszam, ale ja naprawdę się boję.

Zbliżył się i pocałował ją.

– Nie powinnaś się tego wstydzić. Tylko szaleńcy nie odczuwają strachu.

Piekielny strach

Doktor Easton Solberg był umówiony na spotkanie z Juliem Verdadem i Reese'em Hagerstromem o pierwszej, ale spóźnił się ponad piętnaście minut. Obaj policjanci stali przed zamkniętymi drzwiami pokoju naukowca i czekali. Wreszcie pojawił się. Biegł z obłędem w oczach przez szeroki korytarz, trzymając pod pachą stertę książek i skoroszytów, i bardziej przypominał dwudziestoletniego studenta, który spóźnił się na zajęcia, niż sześćdziesięcioletniego profesora.

Miał na sobie o rozmiar za duży, pognieciony brązowy garnitur, niebieską koszulę i krawat w pomarańczowo-zielone paski, który – zdaniem Julia – mógł być sprzedawany wyłącznie w sklepach z żartobliwymi upominkami. Mimo najlepszych chęci nie można było nazwać Solberga eleganckim mężczyzną. W dodatku był niski i krępy, a jego okrągłą jak księżyc w pełni twarz szpeciły: cofnięty podbródek, mały płaski nos oraz ukryte za brudnymi okularami szparki niezbyt szeroko rozstawionych wodnistych szarych oczu. W porównaniu z nimi szerokie usta mężczyzny wydawały się wprost niestosowne.

Na korytarzu, zanim jeszcze weszli do pokoju profesora, naukowiec zaczął się wylewnie usprawiedliwiać i – jakby zapominając o trzymany przez siebie materiałach – wymieniać z policjantami uściski dłoni. Skończyło się na tym, że książki upadły na podłogę i Julio wraz z Reese'em musieli pomóc mu w ich zbieraniu.

W pokoju Solberga panował straszliwy bałagan. Każdą półkę wypełniały książki i czasopisma naukowe, całe ich przyzmy wały się na podłodze, w rogach pomieszczenia, na wszystkich szafach, na każdym wolnym kawałku przestrzeni. Na dużym biurku naukowca leżały w nieładzie różne teczki, fiszki i żółte wielkoformatowe notatniki. Profesor zgarnął z dwóch krzeseł plik papierów, żeby goście mogli usiąść, i ruszył w stronę swego biurka.

– Spójrzcie, panowie, na ten wspaniały widok! – powiedział, zatrzymując się nagle i wyglądając przez okno, jakby po raz pierwszy w życiu ujrzał, co kryje się za ścianą jego gabinetu.

Miasteczko uniwersyteckie w Irvine wzniesiono na rozległym obszarze żyznych terenów okręgu Orange. Było tu bardzo dużo drzew, trawników i klombów z kwiatami. Pokój doktora Solberga znajdował się na pierwszym piętrze. Z okna widać było betonową ścieżkę wijącą się po starannie utrzymanym trawniku, wśród przytłaczającego intensywnością płomiennych barw kwiecica, i znikającą w cieniu rozłożystych jacarand oraz eukaliptusów.

– Panowie, należymy do najszcześniejszych ludzi na ziemi, że możemy przebywać tutaj, w tej pięknej krainie, pod łagodnym niebem, gdzie króluje dobrobyt i tolerancja. – Solberg podszedł do okna i otworzył swe krótkie ramiona, jakby chciał objąć całą południową Kalifornię. – I te drzewa, właśnie te drzewa! Tu, w miasteczku uniwersyteckim, występuje wiele cudownych gatunków. Kocham drzewa, naprawdę kocham drzewa. To mój konik: drzewa, studiowanie drzew i hodowla rzadkich gatunków. To pozwala spojrzeć z innej strony na biologię człowieka oraz genetykę. Drzewa są takie majestatyczne, takie imponujące. Drzewa wciąż dają nam owoce, piękno, cień, budulec, tlen – i nic nie biorą w zamian. Gdybym wierzył w reinkarnację, modliłbym się, żeby powrócić na ziemię jako drzewo. – Spojrzał na Julia i Reese'a. – A panowie? Nie sądzicie, panowie, że to byłoby wspaniale powrócić jako drzewo, żyć długim, majestatycznym życiem dębu albo olbrzymiego świerku, dając z siebie równie dużo co drzewo pomarańczowe czy jabłoń, rosnąc w sile swych grubych konarów, po których wspinać się będą dzieci? – Nagle zamrugnął oczami, zdziwiony własnym monologiem. – Ale oczywiście panowie nie przyszli tu, żeby rozmawiać o drzewach i reinkarnacji, prawda? Musicie mi, panowie, wybaczyć, ale... No cóż... ten

widok... rozumiecie, panowie. Ten widok zahipnotyzował mnie na chwilę.

Mimo nieszczęśliwej twarzy mopsa, zaniedbanego wyglądu, widocznego gołym okiem braku organizacji, a także skłonności do spóźniania się, doktor Easton Solberg miał trzy cechy, które zdecydowanie świadczyły na jego korzyść. Były to: niezwykła inteligencja, miłość do życia i optymizm. W świecie proroków zagłady, gdzie połowa elity intelektualnej oczekiwała już z utęsknieniem Armageddonu, Solberg podziałał na Julia jak balsam. Niemal od razu polubił profesora. Solberg wszedł za biurko, usiadł w wielkim skórzanym fotelu i prawie zniknął za górą papierów.

– Podczas rozmowy telefonicznej powiedział pan, że w życiu Erica Lebena istniała ciemna strona, o której odważyłby się pan pomówić tylko osobiście...

– I w największym zaufaniu – dodał Solberg. – Jeżeli moje informacje okażą się mieć związek z naszą sprawą, to zrozumiałe, że dostaną się do akt. Jeśliby jednak były nieistotne, oczekuję dyskrecji.

– Zapewniam pana, że tak postąpimy – rzekł Julio. – Ale, jak już wcześniej powiedziałem, jest to szalenie ważne dochodzenie: chodzi o podwójne morderstwo oraz przecieki ściśle tajnych dokumentów dotyczących obronności kraju.

– Czy sugeruje pan, że śmierć Erica nie była przypadkowa?

– Nie – odparł Julio. – To był bez wątpienia wypadek. Ale z naszą sprawą łączy się jeszcze śmierć innych osób. Co do szczegółów, nie wolno mi się wypowiadać. Co więcej, zanim śledztwo dobiegnie końca, mogą być nowe ofiary. Dlatego detektyw Hagerstrom i ja oczekujemy od pana wszechstronnej i niczym nie skrepowanej współpracy.

– Oczywiście, oczywiście – wymamrotał Solberg, chaotycznym ruchem tłustej rączki odpędzając podejrzenie, że mógłby nie okazać się pomocny. – I choć nie mam pewności, że umysłowe problemy Erica mają związek ze śledztwem, wydaje mi się... Boję się, że jednak tak. Jak już powiedziałem, istniała ciemna strona w jego życiu.

Jednakże, zanim Solberg zaczął mówić o tej ciemnej stronie, stracił piętnaście minut na wychwalanie zalet umarłego genetyka. Najwyraźniej nie potrafił mówić źle o człowieku, nie wymieniwszy uprzednio jego zalet. Eric był geniuszem. Eric ciężko pracował. Eric wspaniałomyślnie wspierał działania kolegów. Eric miał szczególne poczucie humoru, dobry gust, znał się na sztuce i lubił psy.

Julio zaczynał już podejrzewać, że będą musieli założyć komitet budowy pomnika Erica Lebena, zbierać datki i wreszcie wznieść jego statuę w jakimś gmachu użyteczności publicznej pod wielką kopułą. Spojrzał na Reese'a i zobaczył, że jego partner świetnie się bawi, słuchając krągłego naukowca.

Wreszcie profesor powiedział:

– Bardzo mi przykro stwierdzić, że Eric borykał się także z wieloma trudnościami. Przez pewien czas był moim studentem, choć szybko zorientowałem się, że niebawem uczeń prześcignie mistrza. Kiedy nie istniała już zależność profesor-student i staliśmy się kolegami, wytworzyły się między nim a mną więzy serdeczności. Serdeczności, lecz nie przyjaźni, Eric bowiem nigdy nie pozwalał sobie na zbyt dużą zażyłość z ludźmi, taką którą można by nazwać przyjaźnią. Tak, i choć zawodowo byliśmy ze sobą bardzo blisko, dopiero po kilku latach poznałem jego obsesję... na punkcie młodych dziewcząt.

– Jak młodych? – spytał Reese.

Solberg zawahał się.

– Czuję się tak, jakbym go... zdradzał.

– Myślę, że mamy już wiele informacji, które chce pan nam przekazać – powiedział Julio. – Pan jedynie może je potwierdzić.

– Naprawdę? No dobrze... Wiedziałem o jednej dziewczynce, która miała czternaście lat. Wtedy Eric

miał trzydzieści jeden.

– Wtedy jeszcze nie istniał Geneplan?

– Zgadza się. Eric był wówczas na Uniwersytecie Kalifornijskim w Los Angeles. Jeszcze nie zgromadził fortuny, ale wszyscy podejrzewaliśmy, że pewnego dnia opuści mury uczelni i szturmem podbije świat.

– Szanujący się profesor nie afiszuje się tym, że zaciągnął do łóżka czternastolatkę – powiedział Julio. – Co pan o tym sądzi?

– To się zdarzyło w weekend – oznajmił doktor Solberg – kiedy nie było w mieście jego adwokata i nie miał kto złożyć za niego kaucji. Jeśli chodzi o dyskrecję w sprawie nieprzyjemnych motywów jego aresztowania, ufał tylko mnie. W pewnym sensie miałem mu to za złe. Wiedział, że będę czuł się moralnie zobowiązany do napiętnowania takich plugawych występków, a jednocześnie nie zdradzę tajemnicy, która stała się moim udziałem. Liczył nawet bardziej na to drugie, i – co na pewno mnie w panów oczach zdyskredytuje – nie zawiódł się.

Opowiadając Easton Solberg coraz głębiej zapadał się w swój fotel, jakby – zażenowany tym, co miał do przekazania – pragnął ukryć się za górą papierzysek. Tej pamiętnej sobotniej nocy przed jedenastu laty Leben zadzwonił do niego z komisariatu w Hollywood. Doktor Solberg udał się tam niezwłocznie i zobaczył swego kolegę zmienionego nie do poznania: Eric Leben był zdenerwowany, wystraszony, zawstydzony i zagubiony. Aresztowano go w czasie akcji na hollywoodzkie panienki urzędujące w jednym z moteli, do którego zabierały żołnierzy na przepustce. Były to głównie uzależnione od narkotyków małolaty – uciekinierki z domów rodzicielskich. Erica przyłapano z czternastolatką i oskarżono o gwałt. Zgodnie z prawem, nawet jeśli nieletnia przyzna się, że oddawała się za pieniądze, mężczyźnie grozi wyrok.

Najpierw Leben powiedział Solbergowi, że dziewczyna wyglądała na znacznie więcej niż czternaście lat i nie podejrzewał, iż jest nieletnia. Później jednak, zapewne rozbrojony zatroskaniem i wyrozumiałością kolegi, nie wytrzymał i opowiedział mu wszystko o swojej obsesji na punkcie młodych dziewcząt. Solberg właściwie wcale nie chciał o tym wiedzieć, ale nie mógł odmówić wysłuchania go. Czuł, że Eric – który był zawsze trzymającym się na dystans samolubnym odludkiem, niezdolnym do otwarcia się przed kimkolwiek – w tym krytycznym momencie rozpaczliwie potrzebuje kogoś, komu mógłby powierzyć swe intymne uczucia i lęki. Tak więc Easton Solberg słuchał, ogarnięty tyleż niesmakiem, co współczuciem.

– To nie był tylko pociąg do młodych dziewcząt – ciągnął profesor – lecz prawdziwa obsesja, straszliwie dręcząca i trudna do odparcia.

Choć miał wtedy dopiero trzydzieści jeden lat, Erica do głębi przenikał lęk przed starzeniem się i śmiercią. Już wówczas badania nad przedłużaniem życia stanowiły centrum jego prac naukowych. Ale nie zajmował się tym problemem jedynie w kategoriach zawodowych; prywatnie, w życiu osobistym, podchodził do niego bardzo emocjonalnie, nawet irracjonalnie. Przede wszystkim czuł, jakby pochłaniał energię życiową młodych dziewcząt, które szły z nim do łóżka. Chociaż wiedział, że to kompletna bzdura, to jednak nie mógł się powstrzymać przed polowaniem na małolaty. Nie był pedofilem ani nic z tych rzeczy – brał się tylko za takie, które były chętne, a więc przede wszystkim zbiegłe z domu i oddające się prostytutce dziewczęta.

– Czasami – Easton Solberg kontynuował z lekką konsternacją – lubił je trochę... poszturchać. Nie maltretował ich, co to, to nie. On je po prostu bił. Kiedy tłumaczył mi, dlaczego to robi, odniosłem wrażenie, że również sobie wyjaśnia to po raz pierwszy w życiu. Chodziło o to, że nieletnie dziewczęta są

pełne szczególnej arogancji młodości, arogancji zrodzonej z przekonania, że zawsze takie pozostaną. Ericowi wydawało się, że jeśli je zbije, to uleci z nich ta arogancja, że nauczą bać się śmierci. Ujął to mniej więcej tak: „Okradam je z ich niewinności, okradam je z energii młodzieńczej niewinności”. Czuł, że w ten sposób odmładza się, że skradziona niewinność i skradziona młodość są jego.

– Zupełnie jak wampir – wtrącił zaniepokojony Julio.

– Tak! – wykrzyknął Solberg. – Dokładnie tak. Wampir psychiczny, który może na zawsze zachować młodość, jeśli będzie wysysał z dziewczynek ich energię. Ale jednocześnie Eric zdawał sobie sprawę, że to złudzenie. Wiedział, że nie może w ten sposób zachować młodości, ale nie widział przeszkód, by nie dać ponieść się takiej iluzji. Choć miał świadomość, że jest umysłowo chory – sam nawet kpił z siebie, nazywając się degeneratem – to jednak nie potrafił uwolnić się od tej obsesji.

– A co dalej z oskarżeniem o gwałt? – spytał Reese. – Nic mi nie wiadomo, ażeby stanął przed sądem i został skazany. Jego kartoteka jest czysta.

– Dziewczynę przekazano władzom dla nieletnich i umieszczono w słabo strzeżonym zakładzie – wyjaśniał dalej Solberg. – Wykorzystała to i uciekła. Nie miała przy sobie żadnych dokumentów, a nazwisko, które podała policji, okazało się nieprawdziwe. Nie było więc żadnej możliwości, by ją odnaleźć. A bez niej nie było sprawy przeciwko Ericowi. Oskarżenie uchylono.

– Czy nakłaniał go pan do leczenia psychiatrycznego? – spytał Julio.

– Tak, ale nie zgodził się. Był szalenie inteligentnym człowiekiem, zdolnym do introspekcji, i sam dokonał analizy swego wnętrza. Wiedział – lub przynajmniej wydawało mu się, iż wie – co jest źródłem takiego stanu jego ducha.

Julio przechylił się w stronę naukowca.

– Co to było, jego zdaniem?

Solberg odchrząknął, zaczął mówić, ale urwał i pokręcił głową, jakby chciał dać do zrozumienia, że musi się zastanowić. Zapewne był zażenowany całą rozmową i nie dawała mu spokoju myśl, że zdradza sekrety swego kolegi (jakby niepomny jego śmierci). Sterty papierów leżące na biurku nie zapewniały mu już należytej osłony, toteż wstał i podszedł do okna. Ten manewr umożliwił mu odwrócenie się plecami do swych rozmówców, tak że nie widzieli jego twarzy.

Konsternacja Solberga i dręczące go wyrzuty sumienia – w związku z odsłonięciem powierzonej mu w zaufaniu tajemnicy – mogły się komuś wydać, przesadzone, jako że dotyczyły osoby nieżyjącej, na dodatek będącej dla naukowca niewiele więcej niż znajomym. Julio jednak podziwiał za to profesora. W czasach kiedy mało kto wierzył w zasady moralne, kiedy bez żenady oszukiwało się najlepszych przyjaciół, wielu ludziom trudno byłoby pojąć, na czym polega dylemat Solberga. Niedzisiejsze udręki moralne, jakie przeżywał, były niezrozumiałe w tym chylącym się ku zagładzie świecie.

– Eric powiedział mi, że jako dziecko cierpiał z powodu seksualnego maltretowania go przez wuja – poinformował Solberg szklaną szybą. – Wuj nazywał się Hampstead. Wykorzystywał dziecko od czwartego do dziewiątego roku życia. Leben bał się go okropnie, ale jednocześnie za bardzo się wstydził, żeby komukolwiek o tym opowiedzieć. Wstydził się, gdyż jego rodzina była niezwykle religijna. Jak panowie zaraz zobaczą, to ważny szczegół. A więc rodzina Lebenów była bardzo religijna i gorliwie chodziła do kościoła. Nazareńczycy. Obowiązywała ich surowa dyscyplina. Żadnej muzyki, żadnych tańców. To zimna, ograniczona religia, czyniąca z życia piekło. Oczywiście, z powodu tego, co robił z wujem, Eric czuł się grzesznikiem. Nieważne, że wuj zmuszał go do tego – grzech to grzech, i Eric bał się o tym powiedzieć rodzicom.

– To częsty przypadek, kiedy dziecko obwinia się za zbrodnie dorosłych – powiedział Julio. –

Występuje również w rodzinach, które nie są religijne.

– Terror ze strony wuja Barry’ego, gdyż tak miał na imię, nasilał się z miesiąca na miesiąc, z tygodnia na tydzień – ciągnął Solberg – i wreszcie Eric pchnął go śmiertelnie nożem. Miał wtedy dziewięć lat.

– Dziewięć?! – wykrzyknął Reese. – Wielkie nieba!

– Hampstead spał na kanapie – kontynuował Solberg – a wtedy Eric zabił go nożem rzeźniczym.

Julio zastanawiał się, jak taki uraz mógł się odbić na psychice dziewięcioletniego chłopca, i tak już zachwianej na skutek regularnego maltretowania go. Oczywiście wyobraźni policjant ujrzał nóż zaciśnięty w piąstce malca, wznoszony i opuszczany, krew spływającą po lśniącym ostrzu i oczy dziecka zamarte w przestrachu nad czynem jego ręki, napełnione odrazą, lecz zarazem ośmielające, by dokończyć dzieła.

Julio wzdygnął się.

– Chociaż wtedy wszyscy dowiedzieli się prawdy o wuju – ciągnął Solberg – to jednak rodzice Erica, wbrew zdrowemu rozsądkowi, uznali go za mordercę i lubieżnika. W związku z tym rozpoczęły gorączkowe i psychicznie wyniszczające chłopca działania w celu zbawienia jego duszy, uchronienia jej przed mękami piekielnymi. Dzień i noc modlili się za niego, narzucili mu surową dyscyplinę, kazali po wielokroć czytać na głos ustępy z Biblii, aż zaczynał chrypieć, a potem głos słabł mu i przechodził w szep. Wreszcie opuścił mroczny i pełen nienawiści dom rodzinny. Dzięki dorywczej pracy i różnym stypendiom udało mu się ukończyć college, studia, zdobyć mnóstwo dyplomów i zostać cenionym naukowcem. Ale nawet wtedy bał się, że istnieje piekło, do którego zejdzie jego potępiona dusza. Może nie tylko bał się, ale i wierzył, że to nastąpi.

Nagle Julio zrozumiał, o co w tym wszystkim chodziło, i po grzbiecie przeszedł mu dreszcz, zimny jak jeszcze nigdy dotąd. Spojrzał na swego partnera i dostrzegł na jego twarzy odbicie własnego przerażenia.

Solberg wciąż patrzył przez okno na pokryte zielenią miasteczko uniwersyteckie. Wprawdzie oświetlały je jeszcze promienie słońca, ale robiło się tam jakby ciemniej.

– Wiedzieli już panowie o głębokiej, nieuleczalnej obsesji Erica na punkcie długowieczności, nieśmiertelności, którą pragnął osiągnąć poprzez inżynierię genetyczną – kontynuował. – Ale teraz zrozumieliście, dlaczego tak bardzo zależało mu na tym, by jego nierealistyczne – lub jak powiedzieliby inni: irracjonalne i fantastyczne – plany się spełniły. Mimo bowiem całego ścisłego wykształcenia, mimo zdolności do logicznego myślenia, pod jednym względem zachowywał się nieracjonalnie: z całego serca wierzył, że po śmierci jego dusza powędruje do piekła nie tylko dlatego, że grzeszył z wujem, ale przede wszystkim dlatego, że go zabił. Był przecież lubieżnikiem i mordercą zarazem. Powiedział mi kiedyś, że boi się ponownego spotkania z wujem... w piekle, że nieśmiertelność oznaczać będzie dla niego ostateczne uwolnienie się od zбочzonego Barry’ego Hampsteada.

– Boże drogi – westchnął Julio i mimowolnie przeżegnał się, choć od dzieciństwa nie robił tego poza murami kościoła.

Profesor odwrócił się wreszcie od okna, spojrzął na detektywów i powiedział:

– Tak więc nieśmiertelność na ziemi nie była dla Erica Lebena celem zrodzonym wyłącznie z miłości do życia, lecz głównie z ogromnego strachu przed piekłem. Myślę, że dostrzegają panowie, iż z takim bagażem doświadczeń nie mógł być w pełni zdrowym psychicznie człowiekiem.

– Bez wątplenia – odrzekł Julio.

– Ciągnęło go do młodych dziewcząt, ciągnęło, by wydłużyć czas ludzkiego życia, ciągnęło, by przechytryć diabła – powiedział Solberg. – Z roku na rok było z nim coraz gorzej. Zażyłość między

nami skończyła się wkrótce po tym, jak Eric wywnętrzył się przede mną. Prawdopodobnie żałował później tej chwili słabości. Podejrzewam, że nawet żonie nie powiedział o wuju Barrym i własnym dzieciństwie, w kilka lat później bowiem ożenił się. Myślę, że tylko ja wiedziałem o wszystkim. Ale pomimo rosnącego między nami dystansu rozmawialiśmy na tyle często, bym mógł obserwować, jak – w miarę starzenia się Erica – rośnie jego strach przed śmiercią i potępieniem. Po przekroczeniu czterdziestki był już zdrowo stuknięty. Bardzo żałuję, że zginął wczoraj w wypadku; należał do błyskotliwych umysłów i mógł jeszcze tak wiele wnieść do naukowego dorobku ludzkości. Z drugiej jednak strony nie miał szczęśliwego życia, jego śmierć zaś stanowi szczęście w nieszczęściu...

– Tak? – zainteresował się Julio.

Solberg westchnął i przeciągnął dłonią po owalnej twarzy, która nabrała wyrazu zmęczenia.

– Zawsze martwiłem się, co Eric zrobi, kiedy osiągnie już przełom w swych badaniach nad przedłużeniem życia. Bałem się, że będzie na tyle głupi, że zechce eksperymentować na sobie, gdy tylko uzyska możliwość manipulowania materiałem genetycznym. Wprawdzie był świadom straszliwego ryzyka związanego z grzebaniem we własnym kodzie genetycznym, ale w porównaniu z obłądnym strachem przed śmiercią i piekłem ryzyko to wydawało się zapewne nieporównywalnie mniejsze. Bóg jeden wie, co by się mogło z nim stać, gdyby użył siebie jako królika doświadczalnego.

Co by pan powiedział, profesorze, gdybym oznajmił, że ciało Erica Lebena zniknęło minionej nocy z kostnicy miejskiej? – pomyślał Julio.

Samotność

Benny i Rachael nie tracili czasu na porządkowanie kserokopii akt „Wildcard”, lecz zebrali z podłogi w salonie wszystkie luźno leżące kartki i wepchnęli je do plastikowego worka na śmieci, który Shadway przyniósł z kuchni. Następnie mężczyzna ściągnął brzegi worka tasiemką i dodatkowo zabezpieczył je powleczonym plastikową osłoną kawałkiem drutu. Tak zapakowane akta umieścił w mercedesie, koło fotela kierowcy.

Zjechali do bramy, za którą zaparkowali forda. Mieli nadzieję, że jeden z kluczyków załączonych do breloczka, który wyciągnęli ze stacyjki w mercedesie, będzie pasował do kłódki. I tak rzeczywiście było.

Benny wjechał formem na teren posiadłości, a Rachael wyprowadziła mercedesa za bramę.

Następnie Ben, niosąc zdjęte z mercedesa tablice rejestracyjne, śrubokręt i śrubki, udał się pieszo w stronę trzech pojazdów zaparkowanych na poboczu leśnej drogi, koło alejki prowadzącej do sąsiedniej posiadłości. Rachael czekała niespokojna w czarnym 560 SEL, rozglądając się wokół nerwowo i ściskając w garści pistolet. Wkrótce Benny wrócił ze zdjętymi z dodge'a chargera tablicami i przykręcił je do samochodu Rachael.

Potem usiadł koło niej w fotelu i powiedział:

– Gdy już będziesz w Vegas, musisz znaleźć w książce telefonicznej numer niejakiego Whitneya Gavis.

– Kim on jest?

– Moim starym przyjacielem. Teraz pracuje dla mnie. Dogląda tego sypiącego się motelu, którego nazwa brzmi: „The Golden Sand Inn”. To właśnie Gavis znalazł go dla mnie i zwrócił moją uwagę na możliwości, jakie mogą się otworzyć po oddaniu go do użytku. On ma klucze. Wpuści cię. Powiedz mu, że chcesz zostać w pokoju służbowym i że ja dojadę do ciebie w nocy. Możesz mu zresztą powiedzieć, ile uznasz za stosowne – on potrafi trzymać język za zębami. Ale jeśli mamy go w to wciągnąć, to lepiej, żeby wiedział, z czym ma do czynienia.

– A co będzie, jeśli słyszał o nas przez radio lub w telewizji?

– To bez znaczenia. On nie uwierzy, że jesteśmy mordercami czy sowieckimi agentami. Ma szczególny dar wykrywania, że ktoś chce mu wcisnąć kit, oraz największe na świecie poczucie lojalności. Możesz zaufać Whitowi.

– Skoro tak twierdzisz.

– Za biurem znajduje się garaż na dwa samochody. Nie zapomnij wstawić mercedesa do środka, tak żeby nikt go nie widział, gdy tylko przyjedziesz do motelu.

– To mi się nie podoba.

– Ja też nie szaleję za tym planem – powiedział Benny – ale nie wymyśliliśmy lepszego.

Przechylił się w jej stronę, dotknął dłonią jej policzka i pocałował w usta. Pocałunek był słodki, a kiedy się skończył, Rachael rzekła:

– Mam nadzieję, że opuścisz Arrowhead, gdy tylko przeszukasz dom. Niezależnie od tego, czy znajdziesz jakąś wskazówkę na temat miejsca pobytu Erica, czy nie.

– Tak. Muszę się stąd zmyć, zanim pojawią się gliny.

– A jeśli znajdziesz ślad, dokąd mógł się udać Eric...? Nie zechcesz udać się za nim sam?

– Przecież ci obiecałem!

– Ale dlaczego? Chcę, żebyś to powtórzył!

– Przyjadę najpierw po ciebie – oznajmił Benny – żeby nic mu nie zrobić samemu. Zabierzemy się do

tego we dwoje.

Spojrzała mu w oczy i nie była pewna, czy mówi prawdę. Ale nawet jeśli kłamał, to nic nie mogła na to poradzić. Czas mijał i musieli się rozstać.

– Kocham cię – powiedział Benny.

– Kocham cię, Benny. I jeśli zginiesz, nigdy ci tego nie wybaczę.

Mężczyzna uśmiechnął się.

– Prawdziwa z ciebie kobieta, Rachael. Mogłabyś ożywić nawet głaz. Jesteś dla mnie jedyną motywacją, bym powrócił cały i zdrowy. A więc nie martw się. Kiedy wysiądę, zamknij drzwi na zamek, okay?

Znowu ją pocałował, tym razem lekko, i wysiadł. Zamknął za sobą drzwiczki i zanim odszedł, odczekał chwilę, aż opuszczą się przyciski automatycznej blokady drzwi. Wtedy pomachał jej na pożegnanie.

Rachael zjechała w dół leśną drogą, spoglądając we wsteczne lusterko tak długo, jak długo mogła dostrzec Bena. Kiedy znalazła się za zakrętem, mężczyzna zniknął w morzu zieleni.

Ben dojechał drogą gruntową do domku Erica i zaparkował forda przed wejściem. Na niebie pojawiło się kilka dużych białych obłoków, z których jeden przysłonił słońce, kładąc się cieniem na budynku.

Trzymając w jednej ręce swój dwunastostrzałowy karabin, a w drugiej combat magnum (Rachael wzięła ze sobą tylko pistolet kalibru 32), wszedł po schodkach na werandę. Zastanawiał się, czy Eric obserwuje go teraz.

Wprawdzie zapewniał Rachael, że Eric uciekł stąd w inne miejsce – i było to prawdopodobne, nawet bardzo prawdopodobne – ale nie miał co do tego stuprocentowej pewności. Ten żywy trup mógł ciągle znajdować się w pobliżu i może teraz właśnie patrzył na niego ze swej leśnej kryjówki.

Crrrrr, crrrrr...

Wetknął sobie rewolwer za pas na plecach i ostrożnie wszedł do domku frontowymi drzwiami. Karabin trzymał w pogotowiu. Jeszcze raz obszedł pokoje, szukając jakiegoś śladu, który mógłby mu wskazać inną, podobną do tej samotni, kryjówkę Erica.

Nie okłamywał Rachael, przeprowadzenie takich poszukiwań było naprawdę konieczne, tyle że nie potrzebował na nie całej godziny. Jeśli w ciągu kwadransa nie znajdzie nic w samym domu, zacznie przeczesać trawnik. Może tam są jakieś ślady – zdeptane poszycie czy odciski butów w miękkiej glebie, mogące świadczyć na przykład o tym, że Eric ukrył się w lesie. Gdyby Ben znalazł coś takiego, kontynuowałby poszukiwania między drzewami.

O tej części swego planu nie rozmawiał z Rachael, bo inaczej nie pojechałaby sama do Vegas. Ale przecież z nią przy boku nie mógłby tropić dalej swej ofiary! Po raz pierwszy zdał sobie z tego sprawę w czasie wędrówki przez las, pod górę, w stronę domku Erica. Rachael nie sprawdzała się najlepiej w takich warunkach, nie reagowała równie szybko jak on. Gdyby poszła z nim, musiałby się nią zajmować, rozpraszając w ten sposób uwagę, co – jeśli ten żywy nieboszczyk istotnie krył się gdzieś w okolicy – dawałoby przewagę Ericowi. Powiedział jej wtedy, że dziwne dźwięki, które usłyszeli, wydawały na pewno zwierzęta. Może... Ale kiedy dotarli do domu i stwierdzili, że nikogo nie ma, Ben odtworzył w pamięci te odgłosy. Doszedł wówczas do wniosku, że chyba zbyt pochopnie zlekceważył możliwość, iż Eric obserwuje ich spomiędzy drzew, krzaków i cieni.

Przez całą drogę w dół, aż do chwili kiedy z leśnego traktu wyjechała na międzystanową autostradę okrążającą jezioro Arrowhead, Rachael była więcej niż pewna, że za chwilę jej mąż wyłoni się z mrocznej kniei i niczym superman dogoni samochód i przebije pięścią boczną szybę. Ale Eric nie

pojawił się.

Jadąc wzdłuż jeziora, bardziej martwiła się, że spotka policję lub agentów federalnych niż jego. Każdy zbliżający się z przeciwka samochód wyglądał dla niej jak radiowóz.

Las Vegas zdawało się odległe o tysiące kilometrów.

Czuła się też tak, jakby porzuciła Bena, pozostawiając go samemu sobie.

Kiedy prosto po spotkaniu z Stonem Peake i Sharp przybyli na lotnisko w Palm Springs, dowiedzieli się, że ich śmigłowiec „Jet Ranger” firmy Bell ma kłopoty z silnikiem. Wicedyrektor, który wcześniej tłamsił w sobie gniew z obawy przed Stonem, teraz mało nie urwał głowy pilotowi, jakby biedak nie tylko latał, ale również odpowiadał za konstrukcję i konserwację maszyny.

Peake mrugnął porozumiewawczo do pilota za plecami Sharpa.

Nie istniała możliwość wynajęcia innego śmigłowca, a obydwie maszyny należące do biura szeryfa okręgowego były akurat w akcji, co utrudniało szybkie ich przejęcie. Sharp musiał więc niechętnie przyznać, iż nie pozostaje nic innego, jak pojechać nad Arrowhead samochodem. Niezwłocznie wy dobył z bagażnika „koguta” i zamontował go na dachu rządowego sedana za pomocą specjalnej klamry i śruby. Potem włączył syrenę i w ten sposób oczyścił z pojazdów drogę przed sobą. Podążyli autostradą numer sto jednaście w kierunku północnym, potem dosłownie przelecieli dziesiątą międzystanową w stronę zjazdu na Redland. Prawie przez cały czas pędzili z prędkością blisko stu pięćdziesięciu kilometrów na godzinę; silnik ciemnozielonego chevroleta ryczał jak bawół, a nadwozie tańczyło shimmy. Siedzący za kierownicą Jerry Peake martwił się, co będzie, jak złapią gumę. Przy tej prędkości mieli niewielkie szanse na przeżycie. Sharp jednak zdawał się tym nie przejmować, skarżył się natomiast na brak klimatyzacji i ciepłe powietrze dmuchające mu prosto w twarz przez otwarte okna. Zupełnie jakby – przekonany o ważności swej misji – nie potrafił sobie wyobrazić, że może zginąć w samochodzie, koziółkującym na autostradzie z powodu złapania gumy. Zdawał się wierzyć, że jest księciem, któremu musi być zapewniony wszelki komfort, niezależnie od warunków zewnętrznych. Potem Peake zdał sobie sprawę, że Sharp chyba naprawdę tak myślał.

Jechali właśnie drogą numer trzysta trzydzieści przez góry San Bernardino i od Running Springs dzieliło ich kilka kilometrów. Liczne zakręty zmusiły kierowcę do zachowania bezpiecznej prędkości. Sharp nie odzywał się i siedział pogrążony w myślach, właściwie przez cały czas od chwili, gdy zjechali z międzystanowej „dziesiątki” na Redland. Minął mu gniew i teraz chłodno kalkulował, planował przyszłe działania. Peake miał wrażenie, że słyszy zgrzytanie kół zębatych makiawelicznego mechanizmu, jakim był umysł Ansona Sharpa.

Wreszcie, gdy snopy światła słonecznego i cienie drzew zaczęły na przemian padać na przednią szybę i wypełniać wnętrze pojazdu migotliwą, upiorną mozaiką, Sharp odezwał się:

– Peake, zapewne zastanawiałeś się, dlaczego tylko we dwóch jedziemy w to miejsce, dlaczego nie zawiadomiłem policji ani nie ściągnąłem posiłków z Waszyngtonu.

– Tak, zastanawiałem się – odrzekł Peake.

Sharp patrzył na niego przez chwilę.

– Jerry, czy jesteś ambitny?

Uwaga Jerry! Miej się na baczności! – pomyślał Peake, usłyszawszy, że Sharp zwrócił się do niego po imieniu. Ten człowiek unikał zażyłości w kontaktach z podwładnymi.

– No cóż – odparł – chcę dobrze wykonywać swoją robotę, być porządnym agentem, jeśli o to panu chodzi...

– Mam na myśli coś więcej. Czy marzysz o awansie, większej władzy, szansie na samodzielne

prowadzenie dochodzeń?

Peake obawiał się, że Sharp może być niechętny zbyt ambitnym planom młodych agentów, toteż nie wspominał o swoim największym marzeniu – by stać się legendą.

Powiedział za to obłudnie:

– No cóż, zawsze nieśmiało marzyłem, żeby zapracować sobie na stanowisko asystenta szefa biura stanowego w Kalifornii. Miałbym wtedy swój wkład w prowadzenie operacji. Ale najpierw muszę się jeszcze dużo nauczyć.

– Czy to wszystko? – spytał Sharp. – Uderzyła mnie w tobie bystrość i łatwość uczenia się, młody człowieku. Myślałem, że mierzysz wyżej.

– Dziękuję panu za uznanie, ale w agencji jest wielu bystrych i łatwo uczących się ludzi w moim wieku i będę zadowolony, jeśli w tym towarzystwie uda mi się zostać asystentem szefa biura okręgowego.

Sharp milczał przez chwilę, ale Peake wiedział, że rozmowa jeszcze się nie skończyła. Musieli zwolnić, aby wejść w ostry zakręt w prawo, na którym akurat szop przebiegał przez jezdnię. Peake wcisnął hamulec i zwolnił jeszcze bardziej, pozwalając zwierzęciu bezpiecznie zejść na pobocze. Wreszcie Sharp odezwał się ponownie:

– Jerry, obserwuję cię uważnie i muszę przyznać, że podobasz mi się. Masz cechy, które pozwolą ci zajść daleko. Jeśli pragniesz dostać się do Waszyngtonu, to jestem przekonany, że sprawdziłbyś się na wielu stanowiskach w kwaterze głównej DSA.

Jerry Peake przestraszył się nagle. Pochlebstwa Sharpa były przesadzone, a niedwuznaczna oferta protekcji – zbyt wspaniałomyślna. Wicedyrektor DSA wyraźnie chciał coś od niego i w zamian oferował swój towar, chyba jednak zbyt drogi, by Peake zgodził się zapłacić taką cenę. Ale jeśli odmówiłby ubicia interesu, który proponował Sharp, uczyniłby sobie z niego wroga na całe życie.

– Nie wszyscy o tym wiedzą – ciągnął wicedyrektor – i proszę cię, Jerry, żebyś zachował te informacje dla siebie, ale w ciągu najbliższych dwóch lat dyrektor odejdzie na emeryturę, rekomendując mnie na swoje miejsce, na fotel szefa agencji.

Peake wierzył, że Sharp mówi prawdę, ale jednocześnie miał dziwne przeczucie, że Jarrod McClain, dyrektor DSA, zdziwiłby się, słysząc, że ma odejść.

Sharp kontynuował:

– Gdy tak się stanie, będę musiał pozbyć się ludzi, których Jarrod poustawiał na wysokich stanowiskach. Nie znaczy to, że nie mam szacunku dla dyrektora, ale on reprezentuje starą szkołę, a mianowani przez niego faceci to głównie urzędnicy, nie zaś agenci. Będę zatem potrzebował młodych, agresywnych ludzi, takich jak ty.

– Nie wiem, co mam powiedzieć, proszę pana – odrzekł Jerry, co było tyleż prawdą, co wykrętem.

Peake uważnie obserwował drogę, Sharp zaś Peake'a.

– Ludzie, których zamierzam skupić wokół siebie, muszą być mi absolutnie oddani i przekonani o słuszności mojej wizji agencji. Muszą być gotowi do podejmowania ryzykownych decyzji, do poświęceń, do czynienia wszystkiego, co jest niezbędne, by DSA mogła się rozwijać dla dobra naszego kraju. Niekiedy – rzadko, ale nieuchronnie – znajdują się w sytuacjach, kiedy trzeba będzie trochę nagiąć przepisy albo nawet je naruszyć, wszystko jednak dla dobra naszego kraju i agencji. Gdy przyjdzie wam stawić czoło tej zgniliznie, z którą walczymy – terrorystom, sowieckim agentom, nie możecie trzymać się ściśle litery prawa, chyba że nie zależy wam na wygranej. Ale nasz rząd utworzył tę agencję po to, by wygrywała, Jerry. Jesteś młody, lecz wierzę, że pracujesz już dość długo, żeby wiedzieć, o czym mówię.

Założę się, że już nieraz sam nagiąłeś prawo.

– Hmm... no, może trochę – powiedział ostrożnie Peake i zaczął się pocić pod kołnierzykiem swej białej koszuli.

Minęli właśnie tabliczkę z napisem: LAKE ARROWHEAD – 16 KILOMETRÓW.

– W porządku, Jerry, będę z tobą szczery. Mam nadzieję, że jesteś odpowiedzialnym człowiekiem i można na tobie polegać. A więc nie wziąłem ze sobą posiłków z Waszyngtonu, ponieważ właśnie stamtąd otrzymałem dyspozycje, że pani Leben i Benjamin Shadway muszą zniknąć. Dlatego my, którzy mamy wykonać zadanie, powinniśmy utrzymać całą sprawę w tajemnicy, w możliwie najmniejszym kręgu osób.

– Zadanie?

– Należy ich zlikwidować, Jerry. Jeśli znajdziemy ich w tym domku razem z Erikiem Lebenem, to trzeba się starać, by jego pojmać żywcem, jako materiał laboratoryjny, co zaś się tyczy Shadwaya i tej kobiety... musimy ich z premedytacją usunąć. Liczna asysta policji utrudniłaby to, o ile w ogóle nie uniemożliwiła. Musielibyśmy odłożyć egzekucję do czasu, kiedy Shadway i pani Leben byłiby tylko w naszych rękach, a potem upozorować próbę ucieczki czy coś takiego. Obecność naszych ludzi zwiększyłaby tylko niebezpieczeństwo, że cała sprawa dostanie się do gazet i telewizji. W pewnym stopniu to wielkie szczęście, że ty i ja będziemy mieli szansę przeprowadzić tę operację we dwóch, bo damy sobie radę, zanim włączą się w to policja i środki przekazu.

Egzekucja? Agencja nie ma prawa likwidować cywilów. To szaleństwo! Peake jednak spytał spokojnie:

– Dlaczego mamy zlikwidować Shadwaya i panią Leben?

– Przykro mi, ale to ściśle tajne, Jerry.

– A więc list gończy, w którym mówi się o szpiegostwie i zamordowaniu policjantów w Palm Springs jest tylko... przykrywką, tak? Szyldem, który ma nam zapewnić pomoc lokalnych komisariatów?

– Tak – potwierdził Sharp. – Jest jeszcze dużo rzeczy w tej sprawie, o których nie wiesz, Jerry, informacji trzymanyh w ścisłej tajemnicy. Nie mogę się nimi z tobą podzielić, mimo iż proszę cię o współudział w czymś, co może ci się wydać działaniem amoralnym lub nawet przestępstwem. Ale jako wicedyrektor agencji zapewniam cię, że Shadway i pani Leben stanowią dla naszego kraju wielkie zagrożenie, tak wielkie, iż nie możemy dopuścić, żeby dostali się do środków przekazu czy nawet do lokalnych władz.

Gównno, pomyślał Peake, ale nic nie powiedział, tylko jechał przed siebie pod baldachimem rozłożystych konarów, pokrytych listowiem we wszystkich odcieniach zieleni.

– Nie ja sam podjąłem decyzję o ich zlikwidowaniu, Jerry – wyjaśniał Sharp. – Ona nadeszła z Waszyngtonu. Ale nie od Jarroda McClaina. Od kogoś dużo bardziej ważnego, Jerry. Dużo bardziej. Najbardziej.

Gównno, znów pomyślał Peake. Czy naprawdę sądzisz, że uwierzę, iż prezydent rozkazał zamordować z zimną krwią dwoje bezbronnych cywilów, którzy zapewne przez przypadek wplątali się w jakąś akcję?

Potem uzmysłowił sobie, że gdyby nie wiedza, którą nie tak dawno temu zdobył o swym szefie w szpitalu w Palm Springs, byłby wciąż na tyle naiwny, by uwierzyć w jego słowa. Nowy, oświecony Jerry Peake – świadek okrucieństwa Sharpa wobec Sarah Kiel i jego reakcji na postawę Stone'a – nie był już tak łatwowierny jak stary Jerry Peake. Ale Sharp nic o tym nie wiedział.

– Ta decyzja pochodzi od najwyższej władzy w państwie, Jerry.

Peake domyślił się, że Anson Sharp ma własne powody, by pragnąć śmierci Shadwaya i Rachael

Leben, i że Waszyngton nic nie wie o jego planach. Wprawdzie nie miał na to żadnych dowodów, ale nie miał też żadnych wątpliwości. Było to bardzo silne przeczucie, a legendarni agenci lub ci, którzy mieli się nimi stać, powinni ufać swym przeczuciom.

– Oni oboje są niebezpieczni, oboje są uzbrojeni, zapewniam cię, Jerry. Choć nie są winni przestępstw, o jakie się ich oskarża w liście gończym, są winni innych zbrodni, o których nie mogę ci powiedzieć, bo nie jesteś jeszcze dopuszczony do tak poufnych informacji. Niech wystarczy ci przekonanie, że na pewno nie zastrzelimy pary uczciwych obywateli.

Peake zdumiał się, jak niebywale wzrosła jego zdolność wykrywania kitu. Jeszcze wczoraj, kiedy lękał się każdego wyższego rangą agenta, nie poczułby smrodu w najczystszej postaci, który wydobywał się z gładkich zdań Sharpa, ale teraz wprost dusił go ten odór.

– Proszę pana – odezwał się – a co będzie, jak oni złożą broń i poddadzą się? Czy wtedy też zlikwidujemy ich... z premedytacją?

– Tak.

– Jesteśmy ławą przysięgłych, sędzią i katem zarazem?

W głosie Sharpa pojawiła się nuta zniecierpliwienia:

– Jerry, cholera jasna, czy ty sądzisz, że ja to lubię? Kiedy byłem w Wietnamie i zabijałem, bo moja ojczyzna mówiła mi, że to konieczne, żeby wygrać wojnę, wtedy też nie lubiłem tego, chociaż bez żadnych wątpliwości chodziło o wroga. Nie myśl więc, iż skaczę z radości, bo musimy zlikwidować dwoje ludzi, którzy w gruncie rzeczy piekielnie mniej na to zasługują, niż zasługiwali Wietnamczycy. Z drugiej jednak strony dopuszczono mnie do ściśle tajnych informacji, z których wiem, że Shadway i pani Leben stanowią wielkie zagrożenie dla naszego kraju. Mam rozkaz ich zlikwidowania od najwyższej władzy. Jeśli chcesz znać prawdę, to fakt ten nie daje mi spokoju. Nikt nie lubi sytuacji, w których musi przyznać, że jedynym wyjściem jest czyn amoralny, że ludzkie uczynki są nie tylko czarne i białe, ale przede wszystkim – w różnych odcieniach szarości. Nie lubię tego, ale znam swoje obowiązki.

Lubisz, lubisz... Już ja to wiem, pomyślał Peake. Tak bardzo to lubisz, że na samą myśl o możliwości zastrzelenia tych ludzi z podniecenia złałbyś się w spodnie.

– Jerry? Czy ty też znasz swoje obowiązki? Czy mogę na ciebie liczyć?

W salonie koło okna, po drugiej stronie fotela, Ben znalazł coś, czego przedtem nie zauważył ani on, ani Rachael: lornetkę. Przyłożył ją do oczu, wyjrzał przez okno i zobaczył wyraźnie wyłaniającą się zza zakrętu piaszczystą drogę, którą skradali się w stronę domu. Czy to Eric siedział w tym fotelu i obserwował ich nadejście?

W ciągu niecałych piętnastu minut Ben zakończył przeszukiwanie salonu i trzech sypialń. Wyglądając przez okno ostatniego z pomieszczeń, zauważył, że krzewy okalające trawnik są w jednym miejscu połamane. Było to miejsce najbardziej oddalone od tego, w którym Ben i Rachael wyszli z lasu, kierując się w stronę domu. Mężczyzna zaczął podejrzewać, że krzaki stratował uciekający przed nimi Eric i że odgłosy, które słyszeli w zaroślach, były także jego dziełem.

Bardzo możliwe, że Eric siedział tam nadal i patrzył. Nadszedł czas, by zapolować na niego. Benny opuścił sypialnię, przeszedł przez salon i znalazł się w kuchni. Następnie otworzył przysłaniającą otwór drzwiowy ramę z moskitierą, ale nie wyszedł na werandę, kątem oka bowiem dostrzegł opartą o lodówkę siekierę. Siekiera?

Marszcząc brwi, spojrzał zafrasowany na błyszczące ostrze. Mógłby przysiąc, że kiedy przechodzili tędy z Rachael, nie stała tu żadna siekiera.

Zimny prąd przebiegł mu po kręgosłupie.

Zaczął analizować możliwości przeoczenia przez nich siekiery. Kiedy po raz pierwszy obeszlą dom, zatrzymali się w garażu, by przedyskutować swe następne kroki. Potem wrócili do domu i przez kuchnię poszli prosto do salonu, gdzie mieli pozbierać akta. Zrobiwszy to udali się znów do garażu, wsiedli do mercedesa i Benny odwiózł Rachael do bramy. Ani razu nie przechodzili tak blisko lodówki, by mógł mieć absolutną pewność, że siekiera nie stała tam już wcześniej.

Tymczasem lodowaty prąd dopłynął po kręgosłupie do podstawy czaszki Bena.

Benny widział dwa rozwiązania tej zagadki, tylko dwa. Pierwsze – podczas gdy dyskutowali w garażu swe następne posunięcia, za ścianą, w kuchni, czyhał na nich Eric z siekierą w ręce. Chciał zaatakować ich z zaskoczenia. Byli od niego o krok, a nawet nie zdawali sobie z tego sprawy. Mogli zginąć w okamgnieniu od uderzenia ostrym narzędziem, ale Eric usłyszał ich rozmowę i z jakichś, sobie tylko wiadomych, przyczyn zdecydował się na zmianę strategii. Zaniechał ataku i odstawił siekierę.

Albo...

Albo Erica nie było wtedy w domu, wszedł dopiero później, gdy zobaczył, jak odjeżdżają mercedesem. Odłożył broń, sądząc, że już nie wrócą, a potem uciekł, zapominając o niej, gdy usłyszał nadjeżdżającego forda.

Albo-albo.

Która z hipotez była prawdziwa? Potrzeba znalezienia odpowiedzi na to pytanie była teraz dla Bena sprawą najważniejszą i najpilniejszą. A więc która?

Jeśli Eric przebywał w domu już wówczas, gdy on z Rachael naradzali się w garażu, to dlaczego nie zaatakował? Co sprawiło, że się rozmyślił?

Wokół panowała niemal absolutna cisza. Wsłuchując się w nią, Benny zastanawiał się, czy jest to cisza związana z tym, że oprócz niego nie ma tu nikogo innego, czy też z tym, że ktoś czai się w milczeniu.

Po chwili przystał na tę pierwszą możliwość. To była martwa, pusta cisza, której doświadcza się tylko w zupełnej samotności. Erica nie było w domu. Ben rzucił okiem przez moskitierę na zarośla w miejscu, gdzie kończył się wyschnięty trawnik. Las zdawał się nie mniej cichy niż dom i Ben miał nieodparte wrażenie, że i tam nie ma Erica. Gdyby ruszył teraz na łów, byłby wśród drzew równie samotny jak w tych czterech ścianach.

– Eric? – odezwał się spokojnie, ale głośno. – Nie oczekiwał odpowiedzi, toteż jej nie otrzymał. – Dokąd poszedłeś, cholera jasna?

Opuścił strzelbę, nie troszcząc się już, by trzymać ją prosto. Czuł w kościach, że w tym górskim ustroniu nie spotka doktora Lebena.

Cisza. Cisza. Głęboka, nieprzyjemna cisza.

Nagle poczuł, że balansuje na krawędzi straszliwego odkrycia. Popułnił błąd. Śmiertelny błąd. Błąd nie do naprawienia. Ale na czym on polegał? Co to za błąd? Kiedy uczynił fałszywy krok? Ben opuścił wzrok na porzuconą siekierę, rozpaczliwie pragnąc zrozumieć, o co tu chodzi.

Nagle serce podeszło mu do gardła.

– O Boże – szepnął. – Rachael.

LAKE ARROWHEAD – 2 KILOMETRY.

Peake znalazł się za jadącym powoli samochodem kempingowym, a obowiązywał akurat zakaz wyprzedzania. Zmniejszenie prędkości zdawało się jednak nie przeszkadzać Sharpowi, który zajęty był teraz przekonywaniem młodego agenta, by ten przystał na zamordowanie Shadwaya i pani Leben.

– Oczywiście, Jerry, jeśli masz choćby najmniejsze wątpliwości, to zostaw sprawę mnie. Będziesz musiał mi tylko pomóc w ich obezwładnieniu – to należy w końcu do twoich obowiązków służbowych – a gdy już się z tym uporamy, ja sam załatwię wszystko do końca.

I tak będę współwinny zbrodni, pomyślał Peake.

– Dobrze, nie mógłbym pana zostawić w potrzebie – powiedział na głos.

– Bardzo mi miło, że słyszę to z twoich ust, Jerry. Byłbym rozczarowany, gdybyś okazał się mięczakiem. Ani przez chwilę nie wątpiłem w twoją odwagę ani w to, że zgodzisz się na udział w akcji do samego końca. Dlatego cię wybrałem. I wprost brak mi słów, by wyrazić, jak bardzo nasz kraj i agencja będą ci wdzięczne za twoje bezinteresowne oddanie.

Ty dewiancie, łzesz jak pies, pomyślał Peake. Ale na głos powiedział:

– Nie chciałbym w żaden sposób działać wbrew interesom naszego kraju ani popsuć opinii o naszej agencji.

Sharp uśmiechnął się, odbierając te słowa jako totalną kapitulację swego podwładnego.

Ben poruszał się wolno po kuchni, koncentrując spojrzenie na podłodze, gdzie błyszczały tłuste plamy po rozlanej zupie oraz otwarte metalowe puszkę. Kiedy wraz z Rachael przeszukiwali kuchnię, uważali, by nie wdepnąć w kałuże, i Benny nie spostrzegł w bałaganie żadnych śladów Erica. A na pewno by je zauważył, gdyby istniały, patrzył bowiem bacznie pod nogi.

Za to teraz w zaschniętym na podłodze gęstym sosie od gulaszu firmy Dinty Moore była wyraźnie odcisnięta prawie cała podeszwa, a w maśle orzechowym – pięta. Duży rozmiar buta wskazywał, że jego właścicielem jest mężczyzna. Kolejne dwa ślady połyskiwały matowo na kafelkach koło lodówki, gdzie Eric znów wdepnął w sos i masło orzechowe, szukając zapewne ukrycia. Ukrycia, o Boże! Kiedy Ben i Rachael weszli do kuchni z garażu i skierowali się do salonu, aby pozbierać rozrzucone akta „Wildcard”, Eric chował się skulony po drugiej stronie lodówki!

Serce zaczęło bić mu mocniej. Odwrócił się i pobiegł do garażu.

LAKE ARROWHEAD.

Dojechali na miejsce.

Wlokący się przed nimi samochód kempingowy zjechał na parking przed sklepem z artykułami sportowymi i Peake przyspieszył.

Sharp spojrzął na pozostawione mu przez Stone’a na świstku papieru wskazówki i powiedział:

– Na razie jedziemy dobrze. Nie zbaczaj z tej drogi. Jedź na północ wzdłuż jeziora. Za jakieś sześć kilometrów szukaj odgałęzienia w prawo. Ma tam stać dziesięć skrzynek na listy. Na jednej z nich będzie wielki blaszany, pomalowany na biało-czerwono kogut.

Peake jechał dalej, ale kątem oka widział, że Sharp wziął na kolana czarną teczkę i otworzył ją. W środku znajdowały się dwa pistolety kalibru 32. Jeden z nich położył na siedzeniu po swojej lewej stronie.

– Co to? – spytał Peake.

– Twój pistolet. Na akcję.

– Mam służbowy rewolwer.

– Teraz nie jest sezon polowań. Nie możemy, strzelając, robić za dużo hałasu, Jerry. To może wzbudzić zainteresowanie okolicznych mieszkańców lub nawet zaalarmować ludzi szeryfa, jeśli akurat byliby w pobliżu. – Sharp wyjął z teczki tłumik i zaczął nakręcać go na swój pistolet. – Do rewolweru nie zamontujesz tłumika. A nie możemy pozwolić, żeby nam ktoś przeszkodził, dopóki nie załatwimy sprawy do końca. Potrzeba nam dużo czasu, by upozorować próbę ucieczki aresztantów.

Co ja mam, kurczę, zrobić? – zastanawiał się Peake, prowadząc samochód na północ, wzdłuż jeziora, i wyglądając czerwono-białego blaszanego koguta.

Rachael zostawiła za sobą jezioro Arrowhead, jadąc inną trasą, drogą stanową numer sto trzydzieści osiem. Zbliżała się do jeziora Silverwood, gdzie sceneria wysokich gór San Bernardino jeszcze bardziej zapierała dech w piersiach. Tyle że obecny stan umysłu nie pozwalał jej na podziwianie krajobrazu.

Za Silverwood droga opuszczała góry i niemal zupełnie prosto prowadziła na zachód, by wreszcie połączyć się z międzystanową autostradą numer piętnaście. Tam Rachael planowała postój na zatankowanie benzyny. Potem chciała jechać dalej „piętnastką” na północny-wschód, przez pustynię do Las Vegas. Oznaczało to ponad trzysta kilometrów jazdy po najbardziej wyludnionych i niegościnnych na tym kontynencie, choć niezaprzeczalnie malowniczych, terenach. Nawet przy najkorzystniejszych warunkach atmosferycznych będzie to bardzo samotna podróż.

Benny, pomyślała, tak bardzo bym chciała, żebyś był teraz ze mną.

Minęła martwe, porażone piorunem drzewo, które wznosiło ku niebu swe czarne, bezlistne konary.

Białe chmury, które pojawiły się niedawno, stawały się coraz gęstsze. Niektóre z nich nie były już białe.

W pustym garażu, w jakiejś oleistej mazi na betonowej posadzce, Ben odkrył kolejny odcisk pięty. Ten miał wymiary około siedemdziesięciu na sto trzydzieści milimetrów i błyszczał jasno w świetle wdzierającego się przez okienko słońca. Benny przyklęknął i przysunął nos do plamy. Był pewien, że lekki zapach sosu od gulaszu wołowego nie stanowił wytworu jego wyobraźni.

Odcisk pięty musiał już tu być, kiedy wrócił wraz z Rachael i aktami „Wildcard” do garażu, ale nie zauważyli go. Ben powstał i ruszył dalej przez garaż, patrząc uważnie na podłogę. Już po kilku sekundach spostrzegł jakąś brązową plamkę wielkości ziarenka pszenicy. Dotknął jej palcem, po czym przybliżył palec do nosa. Masło orzechowe. Eric musiał przynieść je tu na podeszwie buta, podczas gdy on i Rachael zajęci byli w salonie zbieraniem do plastikowego worka na śmieci akt „Wildcard”.

Kiedy wracali tędy z dokumentami, Benny śpieszył się bardzo, gdyż myślał, że najważniejszą rzeczą jest odesłanie Rachael, zanim pojawi się Eric lub agenci federalni. Nie patrzył więc pod nogi i nie zobaczył odcisku pięty ani kropki masła orzechowego. I oczywiście nie widział powodu, by szukać śladów Erica w miejscach, które dopiero co sam sprawdził. Nie podejrzewał, że człowiek, który doznał ciężkich uszkodzeń mózgu, okaże się tak sprytny. Ten żywy trup, jeśli wszystko odbyło się podobnie jak w wypadku myszy laboratoryjnych, powinien być zdezorientowany, doprowadzony do obłędu, niestały umysłowo i emocjonalnie. Dlatego Ben nie mógł winić siebie; w końcu postąpił słusznie, odsyłając Rachael mercedesem. Myślał przecież, że nikt się o tym nie dowie, nie przypuszczał, że nie będzie w aucie sama. Czyż mógł przewidzieć...? Nie, jedyne, co mógł zrobić, to właśnie wysłać ją do Las Vegas. Nie, to nie jego wina, nie mógł przewidzieć, jak rozwinie się sytuacja, nie mógł i już. Ale i tak zawzięcie przeklinał samego siebie.

Kiedy Eric czekał na nich w kuchni z siekierą w dłoni, podsłuchując ich odbywaną w garażu naradę, musiał zdać sobie nagle sprawę, że nadarza się szansa, by dopaść Rachael bez świadków. Najwyraźniej ta perspektywa była dlań na tyle miła, że mógł obejść się bez zdzielenia siekierą jej towarzysza. Ukrył się za lodówką i odczekał, aż przeszli do salonu. Wtedy zakradł się do garażu, wyjął kluczyki ze stacyjki, otworzył po cichu bagażnik, włożył kluczyki na miejsce, wgramolił się do bagażnika i zamknął za sobą metalową pokrywę.

Jeśli Rachael złapie gumę i otworzy bagażnik... Lub jeśli w czasie jazdy przez pustkowia Eric postanowi silnym kopnięciem wypchnąć oparcie tylnej kanapy i przeczołgać się do kabiny samochodu...

Serce biło Benowi tak mocno, że bał się, iż mu wyskoczy. Pobiegł szybko w stronę wypożyczonego forda, który stał zaparkowany przed domem.

Jerry Peake wypatrzył czerwono-białego koguta z blachy na szczycie jednej spośród dziesięciu skrzynek na listy. Skręcił w boczną drogę, która prowadziła stromo pod górę. Mijali liczne domostwa, ukryte przeważnie za gęsto rosnącymi po obu stronach drzewami. Prowadziły do nich zamknięte szlabanami lub bramami alejki.

Sharp skończył przykręcać tłumiki do obu pistoletów, które wydobyl z teczki. Następnie wyjął z niej dwa załadowane zapasowe magazynki, zatrzymał jeden dla siebie, a drugi położył koło pistoletu przeznaczonego dla Peake'a.

– Cieszę się, Jerry, że bierzesz ze mną udział w tej akcji.

Właściwie Peake nie zadeklarował jednoznacznie, że weźmie udział w „akcji” i na dobrą sprawę nie wyobrażał sobie, jak mógłby z zimną krwią zamordować kogoś i żyć dalej, nie dręczony wyrzutami sumienia. Jedno jest pewne: prysną marzenia o tym, by stać się legendą DSA. Z drugiej strony, jeśli wejdzie Sharpowi w drogę, ten zniszczy jego karierę.

– Nawierzchnia tłuczniowa ma przejść w drogę żuźlową – powiedział Sharp, czytając z kartki objaśnienia Stone'a.

Mimo wglądu w naturę swego szefa i całej wiedzy, jaką dzięki temu uzyskał, Jerry Peake wciąż nie wiedział, co ma robić. Nie widział wyjścia, które pozwoliłoby mu pogodzić szacunek dla samego siebie i pomyślny rozwój kariery. W miarę jak wznosili się coraz wyżej, a drzewa coraz bardziej zacięniały drogę, narastało w nim uczucie paniki i po raz pierwszy od wielu godzin poczuł, że nie nadaje się do tej roboty.

– Żużel – zauważył Anson Sharp, gdy skończyła się nawierzchnia.

Nagle Peake zrozumiał, że znajduje się w dużo gorszym położeniu, niż mu się dotąd wydawało, gdyż Sharp prawdopodobnie chce zabić i jego. Gdyby próbował powstrzymać szefa przed zamordowaniem Shadwaya i tej Leben, wtedy on po prostu najpierw zastrzeliłby uciążliwego agenta i wszystko tak zainscenizował, żeby wyglądało, iż zginął z rąk dwójki uciekinierów. Co więcej, uzyskałby wytłumaczenie, dlaczego zabił Shadwaya i panią Leben: „Ukatrupili, cholera, biednego Peake'a! Czy miałem inne wyjście?” W ten sposób Sharp może nawet wykreować się na bohatera. Z drugiej strony Peake nie mógł tak po prostu zejść mu z drogi i pozwolić, by zwierzchnik sam zlikwidował tę dwójkę. To nie usatysfakcjonowałoby Sharpa. Jeśli Peake nie weźmie z entuzjazmem udziału w podwójnym morderstwie, szef nie będzie już mu ufał i najprawdopodobniej zastrzeli go zaraz po ukatrupieniu tej pary. A potem powie, że to jedno z nich go zastrzeliło. O Boże! Umysł Peake'a pracował w tej chwili szybciej niż kiedykolwiek w życiu. Wyglądało na to, że ma dwie możliwości: albo wziąć udział w morderstwie i w ten sposób zaskarbić sobie pełne zaufanie Sharpa, albo zabić go, zanim ten szaleniec sam zdoła kogokolwiek uśmiercić. Chociaż nie! To też nie było wyjście...

– Już niedaleko – powiedział Sharp, przechylając się do przodu i wyglądając uważnie przez przednią szybę. – Jedź najwolniej, jak tylko potrafisz.

...to też nie było wyjście, ponieważ – gdyby zastrzelił Sharpa – nikt nie uwierzyłby mu, że ten zamierzał zlikwidować Shadwaya i panią Leben. W końcu, jaki miał ku temu powód? Peake zarobiłby tylko proces za sprzątnięcie zwierzchnika. A żaden sąd nie jest wyrozumiały dla zabójcy policjanta, nawet jeśli on sam jest policjantem. Na pewno wpakują go do więzienia, gdzie ci wszyscy kryminaliści o wyglądzie troglodytów z rozkoszą oddadzą się gwałtom na byłym agencie rządu Stanów Zjednoczonych. W związku z tym pozostawało tylko... co? Tylko jedno, straszliwe wyjście: obniżyć się

do poziomu Sharpa, wziąć udział w podwójnym morderstwie, zapomnieć o staniu się legendą i zostać bandytą nie lepszym od gestapowca. Peake znalazł się w potrzasku, w sytuacji z której nie istniało normalne wyjście, lecz tylko nikczemne, okrutne i szalone rozwiązanie. Sam był już bliski szaleństwa. Czuł, że głowa mu zaraz odpadnie od tego intensywnego myślenia.

– To jest brama, którą opisała Sarah Kiel – powiedział Sharp. – Proszę, nawet otwarta! Zatrzymaj się przed nią.

Jerry Peake zaparkował samochód i wyłączył silnik.

Zamiast oczekiwanej leśnej ciszy przez otwarte okna chevroleta dobiegł ich, odbijający się głębokim echem, odgłos pracy innego silnika. Gdzieś pomiędzy drzewami jechał jakiś samochód.

– Nie jesteśmy sami – rzekł Sharp, szybko chwytając swój wyposażony w tłumik pistolet i wysiadając z samochodu. W tej samej chwili u wylotu piaszczystej alei pojawił się, jadący z dużą szybkością, niebieski ford.

Rachael zatrzymała się na stacji benzynowej kompanii Arco. Kazała obsłudze zatankować mercedesa benzyną bezołowiową, a sama kupiła w automatach trochę słodyczy i puszkę coca-coli. Potem oparła się o bagażnik i zdarła opakowanie z batona Mr Goodbar. Miała nadzieję, że duża porcja kalorii podniesie ją na duchu i sprawi, że długa droga, która była przed nią, stanie się mniej uciążliwa.

– Pani do Vegas? – spytał pracownik stacji.

– Zgadł pan.

– Wiedziałem. Jestem dobry w zgadywaniu, dokąd ludzie jadą. Pani wygląda na taką, co to do Vegas... Niech pani najpierw zagra w ruletkę i obstawi numer dwadzieścia cztery. Ja mam nosa. Patrzę na panią i wiem. Okay?

– Okay. Numer dwadzieścia cztery.

Rachael wyjęła portfel, by zapłacić, a mężczyzna potrzymał w tym czasie jej puszkę z coca-colą.

– Wygra pani mnóstwo forsy. Oczywiście, oczekuję, że podzieli się pani ze mną po połowie. Ale jeśli pani przegra, to już diabelska sprawka, nie moja.

Rachael wsiadła do samochodu, a mężczyzna pochylił się jeszcze i zajrzał przez okienko.

– Niech pani uważa, jadąc przez pustynię. Tam nie ma żartów.

– Wiem – odpowiedziała kobieta.

Wyjechała na międzystanową piętnastą w kierunku północnym. Potem skręciła na północny-wschód w stronę Barstow. Czuła się bardzo samotna.

Na zły drodze

Ben wyjeżdżał właśnie zza zakrętu i zamierzał przyspieszyć, kiedy dostrzegł zaparkowanego po drugiej stronie bramy zielonego chevroleta. Przyhamował i prowadzony przez niego ford zarzucił tyłem. Kierownica szarpnęła mu w dłoniach, ale nie stracił panowania nad pojazdem i nie wpadł do rowu. Zatrzymał się łagodnie w chmurze pyłu około pięćdziesięciu metrów przed bramą.

Tymczasem z zielonego sedana wysiadło dwóch mężczyzn w ciemnych garniturach. Jeden z nich trzymał się z tyłu, ale drugi – solidniejszej budowy ciała – ruszył pod górę wprost na Bena i zbliżał się szybko, niczym nadgorliwy maratończyk, który zapomniał o założeniu sportowych spodenek i obuwia. Żółtawy pył, unoszący się w występujących na przemian strefach światła i cienia, nadawał prążkowanej atmosferze wygląd solidnej bryły marmuru. Ale mimo chmury kurzu i mimo dużej, choć wciąż malejącej, odległości, która dzieliła obu mężczyzn, Ben dostrzegł u nieznajomego broń. Zobaczył też, że pistolet wyposażony jest w tłumik. To zdziwiło go najbardziej.

Ani policja, ani agenci federalni nie używali tłumików. Natomiast wspólnicy Erica w centrum Palm Springs strzelali z pistoletu maszynowego, nie było więc prawdopodobne, że nagle zaczęło im zależeć na dyskrecji.

I wtedy Ben dostrzegł wyraźnie skrzywioną twarz zbliżającego się człowieka. Zdumiony, przestraszony i wytrącony z równowagi, poznał go. To był Anson Sharp. Minęło szesnaście lat od chwili, kiedy go widział po raz ostatni, w Wietnamie, w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym drugim roku. Teraz jednak nie miał żadnych wątpliwości, że to właśnie on. Upływ czasu tylko nieznacznie zmienił Sharpa zewnątrz. Wiosną i latem siedemdziesiątego drugiego Ben oczekiwał, że to tłuste prosię wpakuje mu kulę w plecy albo – gdyż Sharp był zdolny do wszystkiego – wynajmie do tej roboty jakiegoś rzeźmieszka z Sajgonu. Ben jednak był bardzo ostrożny i nie dał mu żadnej szansy. I teraz, jak gdyby cofnął się w czasie, znowu miał przed sobą Sharpa.

Co, do cholery, sprowadziło go tutaj? Minęło już tyle czasu od wojny, ale Shadway miał idiotyczne przecucie, że Sharp szukał go przez te wszystkie lata. A ponieważ bał się stawić mu czoło, poczekał na dogodny moment i właśnie teraz, kiedy wszystko waliło się Benowi na głowę, zapragnął wyrównać rachunki. Ale nie, to nieprawdopodobne, to niemożliwe. Sharp jest chyba po prostu w jakiś sposób związany ze sprawą akt „Wildcard”.

Kiedy odległość między nimi wynosiła już tylko około dwudziestu metrów, Sharp zatrzymał się i – rozstawiając szeroko nogi – przyjął pozycję strzelecką. Po chwili otworzył ogień. Coś puknęło o przednią szybę, a gdy pękła tafła bezpiecznego żywicznego szkła, towarzyszyło temu głośne cmoknięcie. Pocisk przeszedł w odległości trzydziestu centymetrów od twarzy Bena.

Ten natychmiast wrzucił wsteczny bieg i obrócił się w fotelu, by widzieć drogę przed sobą. Prowadził teraz jedną ręką, drugą opierając na siedzeniu pasażera. Jechał pod górę najszybciej, jak tylko potrafił. Usłyszał, że druga kula, gdzieś bardzo blisko, odbija się rykoszetem od karoserii. Ale już dotarł do zakrętu i zniknął Sharpowi z oczu.

Na wstecznym biegu dojechał z powrotem do domu. Tam się zatrzymał, zwolnił na luz, włączył hamulec ręczny – jedyną rzecz, która mogła utrzymać samochód stojący na pochyłości – i wysiadł, nie wyłączając silnika. Położył karabin i combat magnum na ziemi obok siebie, a Sam schylił się, wsunął głowę do wnętrza forda, złapał za dźwignię hamulca i spojrzał na drogę.

Dwieście metrów dalej wyłaniał się zza zakrętu zielony sedan i jechał szybko pod górę. Kiedy kierowca zauważył Bena, zwolnił, ale nie zatrzymał pojazdu. Shadway odczekał jeszcze kilka sekund,

zanim zwolnił ręczny hamulec i cofnął się.

Podlegając prawu grawitacji, ford zaczął staczać się alejką, która była tak wąska, że chevrolet nie miał możliwości zjechania na bok. Ford podskoczył na jakimś wyboju i skręcił w stronę rowu. Przez chwilę Ben myślał już, że samochód wypadnie z trasy, ale inna nierówność sprawiła, że znów skierował się w dół alei.

Kierowca chevroleta zatrzymał się i zaczął zawracać, ale ford nabierał prędkości i tak szybko sunął w stronę zielonego sedana, że kolizja wydawała się nie do uniknięcia. Ale znów pojawiły się wyboje i ford zboczył trochę w lewo, tak że prowadzący chevroleta w ostatniej chwili zdołał skręcić kierownicą w prawo, zapobiegając czołowemu zderzeniu, lecz o mało nie lądując w rowie. Do kolizji jednak doszło, choć siła uderzenia nie była tak wielka i niszcząca, jak Ben planował. Rozległ się huk i trzask gnieczonego metalu. Prawy przedni błotnik forda trafił w prawy przedni błotnik chevroleta, potem samochodem Bena zarzuciło w lewo i, gdyby tylne koła nie wpadły do rowu, zamiast ćwierci ford wykonałby pełen obrót o sto osiemdziesiąt stopni, ustawiając się frontem do wzniesienia. Pojazd podskoczył i zatrzymał się w poprzek drogi, skutecznie ją blokując.

Pod wpływem uderzenia chevrolet potoczył się kilka metrów w dół i mało brakowało, a również wpadłby do rowu. Kierowca zapanował jednak nad pojazdem i zatrzymał go. Prawie natychmiast otworzyło się szeroko dwoje przednich drzwi i z samochodu wysiedli Anson Sharp i kierowca. Żaden z nich nie wyglądał, jakby odniósł jakieś obrażenia. Zresztą kiedy ford uniknął czołowego zderzenia z chevroletem, Ben przestał wierzyć, że któremukolwiek z pasażerów – mogło stać się coś poważnego.

Benny podniósł z ziemi karabin oraz combat magnum, odwrócił się i pobiegł na podwórko po drugiej stronie domu. Nie zatrzymał się jednak na wyschniętej trawie, lecz ukrył za zębatymi granitowymi skałkami, zza których wraz z Rachael nie tak dawno obserwował dom. Odwrócił się i przez chwilę patrzył na ścianę lasu, szukając najlepszej drogi odwrotu. Wreszcie dał nura między drzewa i pobiegł w stronę rowu odwadniającego, otoczonego z obu stron gęstymi krzakami, którym szedł już wcześniej z Rachael.

Słyszał, jak gdzieś daleko w tyle Sharp woła go po nazwisku.

Jerry Peake wciąż znajdował się w pajęczej sieci moralnych rozterek. Ostrożnie obserwował swojego szefa, trzymając się parę kroków za nim.

Wicedyrektor stracił głowę w chwili, gdy zobaczył Shadwaya za kierownicą niebieskiego forda. Wskoczył podniecony z samochodu i zaczął biec pod górę, a potem strzelać ze straconej pozycji, nie mając najmniejszej szansy, by trafić w cel. Poza tym jakby nie zauważył, że w samochodzie nie było kobiety. Gdyby zabili mężczyznę na miejscu, zapewne już nigdy nie dowiedzieliby się, gdzie ona jest. Jednakże Peake był zadowolony, że szef sfuszerował robotę.

Obecnie Sharp lustrował wzrokiem podwórko na tyłach domu. Sapał przy tym jak wściekły byk, niepomny niebezpieczeństw czyhających na człowieka, który nie potrafi trzymać nerwów na wodzy. Znajdował się w stanie szczególnego rozdrażnienia i wściekłości. Kilka razy wszedł po kolana w zarośla na skraju lasu, szukając Shadwaya pośród zwartych szeregów drzew.

Ale lesisty teren stwarzał nieskończone możliwości ukrycia się. Widoczne wszędzie dokoła skaliste zbocza i niewielkie wąwozy uświadomiły Peake'owi, że zgubili Shadwaya na dobre. Teraz należało wezwać posiłki, w przeciwnym razie przestępca zdoła przedrzeć się przez dziki las i już nigdy go nie znajdą.

Ale Sharp pałał żądzą zabicia Shadwaya. Nie posłuchałby głosu rozsądku.

Peake patrzył więc na niego i czekał w milczeniu.

Sharp krzyknął nagle, wciąż patrząc między drzewa:

– Shadway, reprezentuję rząd Stanów Zjednoczonych! Pracuję dla Defense Security Agency! DSA! Czy mnie słyszysz? Chcemy z tobą porozmawiać, Shadway!

Odwołanie się do władzy nie skutkowało. Sharp popsuł wszystko tym, że najpierw zaczął strzelać.

Peake zastanawiał się, czy jego zwierzchnik nie przechodzi ostatnio jakiegoś kryzysu. To tłumaczyłoby jego zachowanie wobec Sarah Kiel i determinację, z jaką dążył do zamordowania Shadwaya, jak również ten bezmyślny, szalony i nieskuteczny atak z bronią w ręku na jadącego z góry forda.

Tymczasem Sharp, biegnąc jak opętany wzdłuż krawędzi lasu, znów skoczył w zarośla i wrzasnął:

– Shadway! Hej, Shadway, to ja! Anson Sharp! Pamiętasz mnie jeszcze, Shadway? Pamiętasz mnie?

Jerry Peake cofnął się o krok i zamrugał oczami, jak gdyby ktoś uderzył go w twarz. Na Boga! Sharp i Shadway znali się! Znali się nie tyle w teorii jako myśliwy i jego zwierzyna, lecz osobiście! I patrząc na Sharpa, na jego niegodne agenta zachowanie, spłoszyła twarz, wyłupiaste, nabiegłe krwią oczy i słuchając wściekłego sapania, nietrudno się było domyślić, że obaj mężczyźni nie należeli raczej do przyjaciół. Tu się liczyły stare urazy i Peake nie miał już najmniejszej wątpliwości, że nie było żadnego rozkazu zwierzchniej, najwyższej władzy, by zlikwidować Shadwaya i panią Leben. To Sharp zdecydował się ich zabić; Sharp i nikt więcej. Instykt Peake'a był coś wart, podpowiedział mu, że szef kłamie, nie rozstrzygał jednak, czy tak jest rzeczywiście. Teraz przed Jerrym otwierały się dwie drogi: albo współpraca z wicedyrektorem, albo zagrożenie mu pistoletem. Ale żadna z nich nie prowadziła do kariery, pozwalając jednocześnie na zachowanie szacunku dla samego siebie.

Sharp zapuścił się głębiej w las i zaczął schodzić po stoku w ciemność panującą wśród sosen i świerków. Spojrzał za siebie, krzyknął na Peake'a, by ten przyłączył się do pościgu, zrobił kilka kroków do przodu, znów się obejrzał i – zobaczywszy, że Jerry nie ruszył się jeszcze – przywołał podwładnego bardziej stanowczo.

Peake poszedł za nim nie bez oporu. Niektóre źdźbła trawy były tak wysokie, suche i ostre, że kłuły go przez skarpetki. Do spodni od razu przyczepiły się pyłki z dmuchawców, a gdy oparł się o jakieś drzewo, zaraz ręce miał lepkie od żywicy. Nisko rosnące pnącza łapały go za łydki, kolce jeżyn wbijały się w marynarkę, a podbite skórą buty ślizgały się perfidnie na wilgotnych kamieniach, na suchych igłach, na mchu – na wszystkim. Kiedy przechodził przez powalone drzewo, wdepnął nogą w sporych rozmiarów mrowisko. Choć zaraz się wycofał i strzepnął owady z buta, kilka z nich zdążyło wejść mu pod nogawkę. Ostatecznie agent zmuszony był zatrzymać się, podciągnąć spodnie i usunąć te cholernie gryzące paskudztwa.

– Nie jesteście odpowiednio ubrani – rzekł do Sharpa, kiedy go wreszcie dogonił.

– Cicho – odezwał się tamten, przechodząc pod zwisającą nisko sosnową gałęzią, obładowaną ciernistymi szyszkami.

Peake poślizgnął się i o mało nie upadł. W ostatniej chwili złapał się za gałąź i ledwie utrzymując równowagę, powiedział:

– Tu sobie można skrócić kark.

– Cicho! – zagrzemiał Sharp i spojrzał na Peake'a przez ramię groźnym wzrokiem. Wygląd jego twarzy paraliżował: wybałuszone, dzikie oczy, zaczerwieniona twarz, poszerzone nozdrza, odsłonięte zęby, drgające mięśnie policzkowe i arterie pulsujące na skroniach. Ten dziki wyraz potwierdzał podejrzenie Jerry'ego, że od chwili wypatrzenia Shadwaya wicedyrektor stracił panowanie nad sobą i kierował się maniacką prawie nienawiścią i zwykłą żądzą krwi.

Przepchali się przez wąską szczelinę w ścianie gęstych, kłujących krzaków, ozdobionych trującymi zapewne jagodami pomarańczowego koloru. Następnie wpadli niespodziewanie do płytkiego rowu odwadniającego... i ujrzeli Shadwaya. Zbieg był mniej więcej piętnaście metrów przed nimi i przygarbiony biegł szybko przez las po dnie rowu, dzierżąc w dłoni karabin.

Peake przykucnął i oparł się bokiem o ścianę kanału, aby nie stanowić łatwego celu.

Ale Sharp stał zupełnie odsłonięty, jakby myślał, że jest supermanem, i wywrzaskując nazwisko Shadwaya, oddał w jego stronę parę strzałów. Używając tłumika, traciło się na zasięgu i dokładności na rzecz pożądanego wyciszenia hałasu. Biorąc więc pod uwagę odległość dzielącą Sharpa od Shadwaya, właściwie każdy jego strzał szedł na marne. Albo agent nie znał efektywnego zasięgu swej broni, co zdawało się mało prawdopodobne, albo był do tego stopnia zaślepiony nienawiścią, że nie potrafił działać racjonalnie. Pierwsza kula zdarła kawałek kory z drzewa rosnącego nad samym rowem, dwa metry od lewego ramienia Shadwaya. Drugi pocisk z głośnym jęknięciem odbił się rykoszetem od głazu narzutowego. Kanał ginął na horyzoncie za zakrętem i tamże zniknął im z oczu Shadway. Sharp jednak, choć nie widział już celu, wystrzelił jeszcze trzykrotnie.

Skuteczność najlepszego nawet tłumika jest ograniczona, toteż lekkie „pyk”, wydawane przez pistolet Sharpa, z każdym kolejnym naciśnięciem spustu stawało się coraz głośniejsze. Piąty i ostatni strzał zabrzmiał już jak uderzenie drewnianego młotka o powierzchnię z twardej gumy. Nie był to wprawdzie żaden huk, ale dźwięk na tyle głośny, żeby rozbudzić na chwilę śpiące wśród drzew echo.

Kiedy echo ucichło, Sharp nasłuchiwał uważnie przez kilka sekund, a potem skoczył z powrotem w stronę tej samej przecinki, którą wyszli nad kanał.

– Chodź, Peake. Teraz dostaniemy sukinsyna.

Peake poszedł za szefem.

– Nie możemy gonić go po tym lesie – powiedział. – On jest lepiej ubrany.

– Wychodzimy z tego cholernego lasu – odrzekł Sharp i w istocie szedł tą samą drogą, lecz w przeciwnym kierunku, pod górę, w stronę domu Erica Lebena. – Chciałem się tylko upewnić, że będzie uciekał, a nie leżał gdzieś w krzakach, czekając, aż odjedziemy. Teraz wiem, że – dzięki Bogu – ucieka. Założę się, że pogna prosto na dół, do drogi przy jeziorze. Będzie chciał zwinąć tam jakiś środek lokomocji. Bez trudu nakryjemy go na próbie kradzieży samochodu jakiegoś wędkarza. A teraz chodź!

Sharp wciąż miał dziki, na wpół obłąkany wygląd, ale Peake zrozumiał, że wicedyrektor w gruncie rzeczy nie był tak zupełnie owładnięty nienawiścią, jak to na pierwszy rzut oka wyglądało. Owszem, dostał ataku szału i nie działał całkiem racjonalnie, ale nie utracił jeszcze swej przebiegłości. Wciąż był niebezpiecznym człowiekiem.

Ben walczył o swe życie, ale jednocześnie panicznie bał się o Rachael. Kobieta jechała mercedesem do Vegas, nieświadoma, że w bagażniku znajdował się Eric. Benny wiedział, że musi ją jakoś ostrzec, choć z minuty na minutę oddalała się od niego coraz bardziej, w zastraszającym tempie zmniejszając szansę naprawienia przezeń błędu. W najgorszym razie będzie musiał znaleźć telefon i zadzwonić do Whitneya Gavisa, swojego człowieka w Vegas. Kiedy Rachael zadzwoni do Whitneya w sprawie kluczy od pokoju w motelu, ten powiadomi ją o obecności Erica. Oczywiście, Eric może sam wydostać się z bagażnika do wnętrza pojazdu lub w inny sposób wyjść na zewnątrz na długo przed przyjazdem Rachael do Vegas, ale Ben nie chciał nawet rozważać tej strasznej możliwości.

Rachael sama na pustynnej autostradzie wśród zapadających ciemności... Z bagażnika dochodzą dziwne odgłosy... Oparcie tylnej kanapy zaczyna najpierw drgać, jakby ktoś kopał je z drugiej strony, po czym odpada i zsuwa się na podłogę auta... Zimny, martwy mąż Rachael wyskakuje z ukrycia... – ten

potworny obraz tak bardzo wstrząsnął Benem, że bał się o nim myśleć. Jeśliby przewidywał za dużo takich sytuacji, w końcu uznałby je za scenariusz nie do uniknięcia i nie mógłby dalej działać.

Tak więc przezornie nie chciał myśleć o rzeczach nie do pomyślenia. Wyszedł z rowu odwadniającego i zaczął przeciskać się wydeptaną przez jelenie ścieżką. Tu spadek terenu był dość łagodny, ale już po trzydziestu metrach, zaraz za dwiema jodłami, szlak stawał się dużo bardziej nieprzyjazny, a wędrówka – uciążliwa. Na tym zdradliwym odcinku czyhały na Bena następujące przeszkody: pas ciernistych krzaków jeżyn, które należało obejść, nakładając dobre pięćdziesiąt metrów, długi spadek, pokryty kruszącą się i umykającą pod stopami skałą łupkową, po którym należało poruszać się zygzakami, aby nie spać na łeb, na szyję w przepaść, zarośnięte krzakami wiatrołomy, które należało albo obejść, ponownie nakładając drogi, albo zaryzykować zwichnięcie lub złamanie kończyny w czasie przechodzenia przez powalone stare drzewa. Raz po raz Ben żałował, że ma na nogach przeznaczone do biegania adidasy zamiast porządnych traperek. Na szczęście dzinsy i koszula z długimi rękawami chroniły go przed pokłuciem i podrapaniem. Mimo wszystkich przeciwności posuwał się naprzód, wiedział bowiem, że w końcu dojdzie do miejsca, gdzie zbocza nie są już tak strome, a okolica mniej dzika. Tam będzie łęej. Zresztą nie miał innego wyboru. Musiał iść dalej, bo nie wiedział, czy przypadkiem Anson Sharp nie siedzi mu cały czas na karku.

Anson Sharp. Trudno w to uwierzyć.

W drugim roku pobytu w Wietnamie Ben został porucznikiem i dowodził oddziałem zwiadowczym. Jego zwierzchnikiem był kapitan Olin Ashborn, autor i wykonawca serii wysoce skutecznych rajdów na obszar zajmowany przez wroga. Kiedyś chcieli uwolnić czterech jeńców amerykańskich, trzymany w obozie przejściowym przed odesłaniem ich do Hanoi. Wywiązała się strzelanina, podczas której zginął sierżant George Mendoza. Na jego miejsce przysłano Ansona Sharpa.

Od samego początku Ben nie lubił tego człowieka, choć zrazu nie miał mu nic do zarzucenia. To była jedna z tych instynktownych, trudnych do wytłumaczenia reakcji. Sharp nie był nadzwyczajnym żołnierzem, nie dorównywał Mendozie, ale wykazywał pewną kompetencję i – co stawiało go ponad wieloma uczestnikami tej nędznej wojny – nie pił alkoholu ani nie brał narkotyków. Chyba trochę za bardzo smakował swą niewielką władzę i gnębił swoich żołnierzy. Jego uwagi na temat kobiet nacechowane były niepokojącą pogardą, ale początkowo wyglądało to na tradycyjne, nudne i na w pół prawdziwe antybabskie gadki, jakie mężczyźni plotą we własnym gronie. Ben nie widział w nich nic alarmującego. Do czasu. Kiedy pojawił się wróg, Sharp chyba zbyt szybko podjął decyzję o nieatakowaniu i nazbyt pośpiesznie nakazał wycofać się, gdy nieprzyjaciel przeszedł do ofensywy, ale to jeszcze nie oznaczało, że jest tchórzem. Ben miał już jednak na niego oko i nawet się czuł z tego powodu winny, gdyż nie istniały żadne konkretne powody, by nie ufać nowemu sierżantowi.

Jedną z cech, których nie lubił u Sharpa, był brak własnego zdania na każdy temat. Sierżant sprawiał wrażenie, że nie zastanawia się nad problemami polityki, religii, kary, śmierci, aborcji ani żadnymi innymi, które wtedy interesowały ludzi. Sharp nie ustosunkowywał się też do wojny; nie był ani za, ani przeciw. Nie zależało mu na tym, kto wygra. Dążący do demokracji Wietnam Południowy stawiał na równi z totalitarną północną częścią kraju, jeśli w ogóle rozważał relacje między nimi w kategoriach moralnych. Wstąpił do piechoty morskiej, żeby uniknąć wcielenia do wojsk lądowych, i – w przeciwieństwie do większości żołnierzy – nie czuł się dumny z przynależności do „skórzanych kołnierzyków”. Nie angażował się uczuciowo we wspólne życie, nie zależało mu na stworzeniu tam swego drugiego domu. Zamierzał zrobić karierę, choć do służby nie pchnęło go ani poczucie obowiązku wobec ojczyzny, ani duma z jej armii, lecz pragnienie awansu do pozycji, która dawałaby mu władzę.

Poza tym wojskowi mieli różne przywileje, a już po dwudziestu latach czekała ich wysoka emerytura. Potrafił godzinami się nad tym rozwodzić.

Nie interesował się ani muzyką, ani malarstwem, ani literaturą, ani sportem, ani myślistwem, ani łowieniem ryb, ani czymkolwiek innym – poza samym sobą. On sam był dla siebie jedynym punktem zainteresowań. Choć nie należał do hipochondryków, z pewnością miał bzika na punkcie zdrowia i mógł długo opowiadać o swym trawieniu, ewentualnych zaparciach i porannym stolcu. Ktoś inny powiedziałby: „Łeb mi pęka”, ale Anson Sharp, cierpiący na podobną dolegliwość, wyraziłby ją w postaci eseju, nie tylko opisując w najdrobniejszych szczegółach charakter i stopień zaawansowania cierpienia, ale również zakreślając palcem w okolicach brwi dokładną granicę bólu.

Dużo czasu poświęcał na czesanie się, zawsze też udawało mu się gładko ogolić, nawet w warunkach polowych. Z narcystyczną przyjemnością przeglądał się w lustrach i innych gładkich powierzchniach. W ogóle czerpał z życia tyle przyjemności, ile tylko się na wojnie dawało.

Trudno było lubić człowieka, który dbał wyłącznie o swój interes.

Ale jeśli Anson Sharp przed przybyciem do Wietnamu nie był ani dobry, ani zły, lecz umiarkowany, to wojna zaczęła urabiać nie uformowaną glinę jego osobowości i w efekcie stworzyła potwora. Kiedy do Bena dotarły szczegółowe i przekonujące informacje na temat udziału Sharpa w czarnorynkowym handlu, wszczął dochodzenie, które odsłoniło zdumiewającą przeszłość kryminalną tego człowieka. Sharp zamieszany był w zagarnięcie transportu artykułów przeznaczonych na zaopatrzenie kantyn i uczestniczył w pertraktacjach z handlowym podziemiem w Sajgonie w celu sprzedania owych skradzionych zapasów. Co więcej, okazało się, że – choć sam nie używał ani bezpośrednio nie sprzedawał narkotyków – to jednak ułatwiał wietnamskiej mafii dostarczanie ich dla amerykańskich żołnierzy. Najbardziej szokujące było jednak odkrycie, że Sharp finansował z części swych nielegalnych dochodów utrzymanie *piet-a-terre* w dzielnicy najgorszych nocnych klubów Sajgonu. Tam trzymał jedenastoletnią dziewczynkę, Mai Van Trang, którą traktował dosłownie jak niewolnicę i gdy tylko miał okazję, wykorzystywał seksualnie. W czasie jego nieobecności dziecko pozostawało na łasce ponurego wietnamskiego zbira, który służył Sharpowi jako lokaj i zarazem strażnik.

Zdawałoby się, że sąd wojenny jest w takiej sytuacji nieunikniony. Ben miał nadzieję, że wyśle Sharpa na dwadzieścia lat wojskowego więzienia. Ale zanim sprawa trafiła do sądu, potencjalni świadkowie oskarżenia zaczęli w zastraszającym tempie umierać albo zniknąć. Dwóch podoficerów podejrzanych o rozprowadzanie narkotyków, którzy zgodzili się zeznawać przeciwko Sharpowi w zamian za obietnicę łagodnego potraktowania, znaleziono w bocznej uliczce Sajgonu z poderżniętymi gardłami.

Pewnemu porucznikowi podrzucano w czasie snu granat, który rozerwał go na kawałki. Lokaj o twarzy łasicy oraz biedna Mai Van Trang zniknęli, a Ben był pewien, że o ile ten pierwszy żył gdzieś w ukryciu, o tyle dziewczynkę zamordowano i zakopano w bezimiennym grobie; nie stanowiło to problemu w kraju szarpanym wojną, gdzie takich grobów były tysiące. Siedząc w areszcie i czekając na proces, Sharp mógł z powodzeniem udawać, że nie ma nic wspólnego z tymi częstymi i wygodnymi dla niego przypadkami zniknięć i śmierci. Choć było pewne, że to jego ludzie, powiązani z przestępczym światem Sajgonu, wykonywali dla niego tę robotę. Zanim doszło do procesu przed sądem wojennym, nie został już ani jeden świadek i cała sprawa ograniczyła się do zarzutów Bena i jego wywiadowców. Zadowolony z siebie Sharp twierdził oczywiście, że jest niewinny. Nie było dość konkretnych dowodów, by trzymać go dalej w areszcie, istniało jednak zbyt wiele poszlak obciążających sierżanta, by móc przywrócić go do łask. Ostatecznie więc Sharpa pozbawiono pagonów, zdegradowano i w niesławie wyrzucono z wojska.

Ale nawet ten względnie łagodny wyrok stanowił dla Sharpa policzek. W swoim głębokim, niezmiennym egocentryzmie nigdy nie dopuszczał do siebie myśli, że może zostać w jakikolwiek sposób ukarany. Osobisty komfort i dobre samopoczucie były jego głównymi – jeśli nie jedynymi – troskami. Zdawało się, że stanowi dla niego pewnik, iż jest pupilkim całego świata i los zawsze się będzie uśmiechał do niego. Zanim odleciał w hańbie z Wietnamu, użył jeszcze resztek dawnych kontaktów, by zaaranżować krótką, niespodziewaną wizytę u Bena. Trwała zbyt krótko, by mógł w tym czasie wyrządzić Shadwayowi jakąś krzywdę, ale była na tyle długa, by zdążył przekazać mu pogrózkę „Słuchaj, gnoju, kiedy znowu wylądujesz w Stanach, pamiętaj, że ja tam jestem i czekam na ciebie. Dowiem się, kiedy wracasz, i zgotuję ci odpowiednie powitanie”.

Ben nie potraktował tej groźby poważnie. Po pierwsze, na długo przed postawieniem Sharpa w stan oskarżenia znacznie zmalała aktywność bojowa sierżanta. Czasami tak wyraźnie unikał walki, że wolałby zaryzykować odmowę wykonania rozkazu niż własną skórę. Gdyby nie oddano go pod sąd za kradzież, nielegalny handel, narkotyki oraz gwałty, prawdopodobnie wkrótce zostałby oskarżony o dezercję i inne występki wypływające z jego rosnącego tchórzostwa. Mógł sobie gadać o zemście w kraju, za bardzo się bał o własną dupę. Po drugie, Benny nie martwił się, co z nim będzie po powrocie do domu, ponieważ na dobre i na złe zaciągnął się na tę wojnę do samego jej końca, a to oznaczało, że wróci raczej w trumnie. A wtedy niestraszna byłaby mu zemsta Ansona Sharpa, o ile oczywiście naprawdę by czekał. Teraz, idąc po zboczu przez ciemny las i widząc już w oddali pierwsze zabudowania przykucnięte wśród drzew, Ben zastanawiał się, jak zdegradowany i w niesławie wyrzucony z wojska Anson Sharp mógł zostać agentem DSA. Zwykle człowiek, który raz zszedł na złą drogę, kontynuuje osuwanie się na dno. Do tej pory Sharp powinien mieć już na koncie ze dwie odsiadki za przestępstwa kryminalne. W najlepszym razie Ben mógł się spodziewać, że były sierżant będzie siedział cicho niczym mysz pod miotłą, żeby nie zwracać na siebie uwagi władz, i wymazywał nieuczciwe życie steranego weterana. Ale nawet gdyby „wyczyścił” swoje akta, nie mógł zatrzeć sprawy niesławnego wydalenia z armii. Tak zdyskredytowanego człowieka powinno się z miejsca odrzucić przy staraniach o pracę w jakiegokolwiek agencji rządowej, zwłaszcza takiej jak DSA, gdzie obowiązują przecież bardzo wysokie kryteria kwalifikacyjne.

Jak udało mu się tam wkręcić? Ben nie przestawał się dziwić.

Trawiąc ten problem, przeskoczył drewniany parkan i ostrożnie okrążył jednopiętrowy, częściowo murowany domek letniskowy, kryjąc się za drzewami i zaroślami. Gdyby ktoś wyjrzał przez okno i zobaczył mężczyznę z karabinem w jednej ręce i dużym rewolwerem wetkniętym z tyłu za pas, niewątpliwie zaraz wezwałby policję.

Zakładając, że Sharp nie kłamał, podając się za oficera DSA, a nie miał żadnego powodu, by kłamać, należało się zastanowić, jak daleko zdołał zajść w agencji. Poza tym przydzielenie go akurat do sprawy, w którą zamieszany był Ben, wydawało się nieprawdopodobnym zbiegiem okoliczności. Za dużo bardziej wiarygodne uznał Ben swoje podejrzenie, iż Sharp – zapoznawszy się z aktami pani Leben – odkrył jej powiązania ze swym starym i prawie zapomnianym wrogiem. Wtedy sam tak wszystko zorganizował, żeby śledztwo przydzielono właśnie jemu. Dostrzegł szansę załatwienia długo odwlekanej zemsty i uchwycił się jej. Ale na pewno zwykły agent nie miał możliwości wyboru sprawy do prowadzenia, a to znaczy, że Sharp musiał zajmować na tyle wysoką pozycję, by samemu planować sobie działania. Co gorsza, był zapewne tak dobrze ustawiony, że mógł sobie pozwolić na strzelanie do człowieka, który go niczym nie sprowokował, i oczekiwać, że uda mu się zatuszować morderstwo popełnione w biały dzień na oczach swego współpracownika.

Anson Sharp zaczął górować nad wszystkimi niebezpieczeństwami, które czyhały teraz na Bena

i Rachael. Mężczyzna poczuł się tak, jakby znów był na wojnie; wtedy pociski leciały na człowieka, gdy się tego najmniej spodziewał, z najbardziej nieprawdopodobnych źródeł i kierunków. Tym samym było obecne pojawienie się Ansona Sharpa: ogniem z zaskoczenia. Przy trzecim domu Ben nieomal wpadł na czterech chłopców bawiących się w wojnę. Dobrze się pochowali i Shadway w ostatniej chwili zauważył, że jeden z nich wyskakuje z ukrycia i „strzela” do drugiego z korkowca. Po raz pierwszy w życiu Ben przeżył „powrót pamięci” w czasy wojny, który prasa opisuje zawsze jako psychiczną dolegliwość każdego weterana. Mężczyzna upadł i przeturlał się za nisko rosnące zarośla dereniowe. Tam leżał przez chwilę, słuchając szybkiego bicia swego serca i przez pół minuty powstrzymując się od krzyku. Wreszcie atak ustąpił.

Chłopcy nie zauważyli go. Ben zaczął się czołgać – to na brzuchu, to na kolanach, kryjąc się zrazu za dereniami, a potem w cieniu dzikich azalii i skał wapiennych, gdzie – niczym ostrzeżenie – leżała na ziemi martwa, wyschnięta wiewiórka. Następnie przebiegł niewielkie wzniesienie pokryte ostrymi chwastami, które podrapały mu twarz, i skrył się pod kolejnym parkanem.

Pięć minut później, prawie czterdzieści minut po ucieczce z domu Erica Lebena, przedarł się wreszcie przez porośnięte krzakami zbocze do suchego kanału, który ciągnął się wzdłuż drogi nad jeziorem.

Czterdzieści minut, na miłość boską! Jak daleko mogła się Rachael przemieścić w tym czasie po niegościnniej pustyni? Nie, nie może o tym myśleć. Musi iść naprzód.

Przykucnął na chwilę wśród wysokich chwastów, złapał oddech i wstał, rozglądając się na boki. Nie zobaczył nikogo ani nic. Droga była pusta.

Zważywszy, że nie zamierzał wyrzucić ani karabinu, ani combat magnum, a wyglądał z nimi stanowczo podejrzanie, należało się cieszyć, że jest wtorek, godzina czternasta pięćdziesiąt pięć, o innej bowiem porze dnia ruch byłby znacznie większy. Rano jechaliby nad jezioro amatorzy sportów wodnych, wędkarze i plażowicze, a późnym popołudniem ci sami ludzie wracaliby do domów. Ben był również zadowolony, że to nie weekend, kiedy – niezależnie od godziny – drogą jechałyby tysiące aut.

Stwierdził, że usłyszy nadjeżdżający samochód, zanim się on pojawi, i będzie miał dość czasu na ukrycie się. Wyszedł więc z rowu i ruszył poboczem na północ w nadziei, że znajdzie pojazd, który można by sobie przywłaszczyć.

W trasie

O czternastej pięćdziesiąt pięć Rachael minęła przełęcz El Cajon i znajdowała się szesnaście kilometrów na południe od Victorville i siedemdziesiąt dwa kilometry od Barstow.

To był ostatni odcinek autostrady, na którym można było jeszcze dostrzec wyraźne ślady cywilizacji. Ale nawet tutaj, z wyjątkiem samego Victorville oraz paru domów i sklepów znajdujących się między tym miasteczkiem a Hesperia oraz Apple Valley, widać było głównie rozległe puste przestrzenie, pokryte białym piaskiem, wyżłobionymi przez erozję skałami, uschniętymi karłowatymi drzewami, kaktusami i inną pustynną roślinnością. Na tym prawie pięciusetkilometrowym odcinku między Barstow a Las Vegas znajdują się właściwie tylko dwa przystanki – Calico, miasteczko widmo z kilkoma restauracjami, warsztatami samochodowymi, stacjami benzynowymi i jednym albo dwoma motelami, oraz Baker, które mignęło Rachael w przelocie niczym fatamorgana, zupełna dziura, stanowiąca jednak wrota do narodowej dumy – Doliny Śmierci. Po drodze były też Halloran Springs, Cal Neva i Stateline, ale żadna z tych osad nie kwalifikowała się do rangi miasteczka. Liczba mieszkańców jednego z tych osiedli wynosiła mniej niż pięćdziesiąt osób. Tu gdzie zaczynała się wielka pustynia Mojave, ludzkość mogła jeszcze dominować nad jałową ziemią, ale za Barstow rządziła już tylko przyroda.

Gdyby Rachael tak bardzo nie martwiła się o Bena, na pewno delectowała by się pięknym pejzażem, siłą i niezawodnością swojego mercedesa oraz poczuciem wolności, które zawsze podtrzymywało ją na duchu podczas jazdy przez Mojave. Ale teraz bez przerwy myślała o nim i żałowała, że zostawiła go samego. Już zapomniała o jego argumentach, które przekonały ją do takiego planu. Zastanawiała się, czy nie zawrócić, ale doszła do wniosku, że zanim dojedzie do Arrowhead, Bena może tam już dawno nie być. Zapewne wpadłaby wtedy prosto w ręce policji, tak więc wciąż gnała w stronę Barstow z prędkością stu kilometrów na godzinę.

Osiem kilometrów przed Victorville usłyszała dziwne głuchoe walenie, które dochodziło jakby spod samochodu: cztery lub pięć ostrych uderzeń, potem cisza. Zamarła, przerażona perspektywą awarii samochodu. Zwolniła do osiemdziesięciu, potem do sześćdziesięciu kilometrów na godzinę i przez dłuższy czas uważnie nasłuchiwała.

Tarcie opon po nawierzchni. Delikatny warkot silnika. Szum klimatyzacji. Żadnych stuknięć.

Ponieważ niepokojące dźwięki nie powtórzyły się, przyspieszyła do setki, ale doszedłszy do wniosku, że stukanie występuje właśnie – przy większej prędkości, wciąż nasłuchiwała. Kiedy po jakimś czasie nie usłyszała żadnych odgłosów, stwierdziła, że widocznie musiała trafić na dziury w jezdni. Wprawdzie nie widziała żadnych dziur ani też nie przypominała sobie, żeby mercedes podskakiwał na wybojach, jednakże żadne inne wyjaśnienie nie przyszło jej do głowy. Zawieszenie i amortyzacja były w samochodzie pierwszorzędne, co zapewne zminimalizowało skutki wstrząsu do kilku podskoków, na które nie zwróciła uwagi, wystraszona dziwnymi dźwiękami.

Po przejechaniu kilku kilometrów Rachael wciąż była zdenerwowana. I chociaż nie spodziewała się raczej, że wkrótce cały pojazd rozpadnie się z hukiem albo że silnik eksploduje, to jednak bała się, że wystąpią jakieś kłopoty, które opóźnią jej przybycie do Vegas. Tymczasem mercedes sprawował się jak na jego klasę przystało, toteż po pewnym czasie kobieta odprężyła się, a jej myśli znów popłynęły w kierunku Bena.

Wprawdzie zielony chevrolet w wyniku zderzenia z niebieskim fordem został uszkodzony, jednakże nie na tyle, by utracił zdolność do wykonywania swych podstawowych funkcji. Tak więc z wygiętym błotnikiem i stłuczonymi reflektorami Peake kontynuował jazdę w dół. Najpierw piaszczystym traktem,

potem żwirową aleją, następnie drogą o nawierzchni tłuczniowej i wreszcie szosą stanową, która okrążyła jezioro. Sharp siedział obok niego i lustrował otaczający ich las. Pistolet z tłumikiem trzymał na kolanach. Jak niedawno stwierdził, miał absolutną pewność, że Shadway uciekł w drugą stronę, daleko od drogi, niemniej jednak należało zachować czujność.

Peake spodziewał się, że w każdej chwili kula przebije boczną szybę i zabierze go z tego świata. Ale dojechał do samego jeziora cały i zdrowy.

Jeździli tam i z powrotem, aż zauważyli sześć aut zaparkowanych rzędem przy drodze. Pojazdy należały zapewne do wędkarzy, którzy przez zarośla przedostawali się stąd nad wodę, w swoje ulubione, trudno dostępne miejsca. Sharp założył, że Shadway zejdzie z gór od południa i, kierując się na północ, spróbuje zbliżyć się do samochodów, które widział zapewne w drodze do Arrowhead. Możliwe, że w ogóle nie wyjdzie z lasu, tylko będzie szedł po dnie jednego z kanałów, biegnących równoległe do drogi, a odsłoni się dopiero w chwili kradzieży samochodu. Peake zaparkował za ostatnim autem w rzędzie, brudnym i zdezelowanym dodge'em station wagon, podjeżdżając mu prawie pod sam zderzak, aby nadchodzący z drugiej strony Shadway nie zobaczył chevroleta.

Teraz Peake i Sharp zagłębili się w swych siedzeniach, wystawiając głowy jedynie na tyle, by widzieć przed sobą drogę. Byli gotowi w każdej chwili zacząć działać, gdyby tylko coś podejrzanego działo się przy samochodach. A raczej Sharp był gotów. Peake bowiem wciąż nie rozwiązał swojego dylematu.

Drzewa szumiały na wietrze. Ohydna wążka sfrunęła na przednią szybę, furkocząc przezroczytymi skrzydełkami.

Elektroniczny czasomierz na desce rozdzielczej tykał cichutko i Peake miał dziwne, choć może usprawiedliwione wrażenie, że siedzą na bombie zegarowej.

– Jestem pewien, że pojawi się tu najdalej za pięć minut – powiedział Sharp.

Mam nadzieję, że nie, pomyślał Peake.

– Załatwimy sukinsyna na cacy – dorzucił Sharp.

Nie ze mną, pomyślał Peake.

– Sądzi, że patrolujemy teraz szosę, że jeździmy tam i z powrotem, rozglądając się za nim. Nie podejrzewa, że przejrzeliliśmy jego plan i czekamy tu teraz. Wpadnie nam prosto w ręce.

Boże, mam nadzieję, że nie, pomyślał Peake. Mam nadzieję, że będzie się zbliżał z drugiej strony i zobaczy nas. Albo zejdzie z góry po przeciwległym stoku, z dala od tej drogi. A najlepiej byłoby, gdyby mógł po prostu przeciąć szosę, wyjść nad jezioro i przejść po wodzie na drugi brzeg!

– Coś mi się zdaje – powiedział głośno – że on jest lepiej uzbrojony. Widziałem u niego karabin. Trzeba się nad tym zastanowić.

– Nie użyje go – powiedział Sharp.

– Dlaczego?

– Bo to jest moralista od siedmiu boleści. Dlatego. Wrażliwy typ. Za bardzo martwi się o swoją cholerną duszę. Taki człowiek usprawiedliwia zabijanie tylko na wojnie, w ogniu walki. I to wyłącznie na takiej wojnie, w której słuszność sam wierzy. Albo w sytuacji w której nie ma absolutnie innego wyboru, na przykład w samoobronie.

– Dobrze, ale jeśli pierwsi otworzymy ogień, to nie będzie miał innego wyjścia, jak też zacząć strzelać, prawda?

– Nie rozumiesz go. W takiej sytuacji jak ta, kiedy nie jesteśmy na żadnej wojnie, a istnieje droga ucieczki, on zawsze będzie wolał wycofać się, niż walczyć. Chyba że zapędzisz go w kozi róg.

W przeciwnym razie dokona najlepszego etycznie wyboru i nadal będzie mógł się szczycić swą moralną czystością. Tu, w lesie, ma tyle możliwości ucieczki! A więc jeśli go trafimy od razu, sprawa załatwiona, ale jeśli chybimy, zacznie uciekać, dając nam kolejną szansę użycia broni. Ten hipokryta o kociej twarzy nie będzie sam strzelał. My zaś długo będziemy próbowali go trafić, aż nam się uda – albo na dobre zniknie nam z oczu. Tylko, na miłość boską, nie zapędzaj go w koziego róg, proszę. Zawsze zostaw mu możliwość odwrotu. Gdy będzie uciekał, da nam szansę trafienia go w plecy. To jest najlepsze, co możemy uczynić. Ten facet służył w piechocie morskiej, w oddziale zwiadowczym, i wyróżniał się wśród żołnierzy. Był najlepszy. To muszę mu przyznać – był najlepszy. I zdaje się, że zachował formę. Gdyby nie miał innego wyjścia, urwałby ci głowę gołymi rękami.

Peake nie wiedział, która z tych nowych informacji była bardziej przerażająca. Czy ta, że z powodu osobistych urazów Sharpa mieli zabić nie tylko niewinnego obywatela, ale i człowieka o niezwykle wysokim, potwierdzonym obserwacją, morale? A może ta, że zamierzali strzelić mu w plecy, gdy tylko nadarzy się taka okazja? Albo jeszcze inna: że facet wolałby raczej zaryzykować własne życie niż życie swych wrogów, nawet jeśli oni byli przygotowani, żeby go z zimną krwią zlikwidować, lub że doprowadzony do ostateczności, potrafiłby ich zniszczyć bez mrugnięcia okiem.

Peake spał ostatni raz poprzedniego dnia po południu, a więc ponad dwadzieścia dwie godziny temu, i bardzo potrzebował snu. Oczy miał jednak szeroko otwarte, a jego umysł był czujny. Przemyślał liczne, przed chwilą usłyszane informacje.

Nagle Sharp wychylił się do przodu, jakby wypatrył zbliżającego się Shadwaya, ale musiał to być fałszywy alarm, gdyż zaraz zagłębił się w fotelu i wypuścił wstrzymywane w płucach powietrze.

Jest tyleż wściekły, co wystraszony, pomyślał Peake. Po chwili odważył się zadać szefowi pytanie, które mogło go rozgniewać, a przynajmniej zirytować:

– Zna go pan?

– Tak – rzucił sucho Sharp, nieskory do rozwijania tematu.

– Skąd?

– Z daleka.

– Od dawna go pan zna?

– Od dawna – odparł Sharp tonem, który miał wyraźnie dać Peake'owi do zrozumienia, że to było ostatnie jego pytanie.

Od ostatniego wieczoru, czyli od rozpoczęcia tego śledztwa, Peake dziwił się, że ktoś tak wysoki rangą jak wicedyrektor agencji bierze udział w akcji w terenie, ramię w ramię z początkującymi agentami, zamiast koordynować działania z biura. To była bardzo ważna akcja, ale Peake uczestniczył już w innych ważnych akcjach i nigdy nie widział, żeby szefowie osobiście brudzili sobie nimi ręce. Teraz już rozumiał: Sharp zdecydował się na energiczne wkroczenie do sprawy, ponieważ odkrył, że jest w nią zamieszany jego dawny śmiertelny wróg, Shadway, a tylko w czasie pościgu mógł zabić tego człowieka w majestacie prawa.

– Znam go od dawna – powiedział Sharp, bardziej do siebie niż do Jerry'ego Peake'a. – Od bardzo dawna.

W obszernym bagażniku mercedesa panowało przyjemne ciepło, gdyż blacha była rozgrzana od słońca. Ale zwinięty na boku, leżący w ciemności Eric Leben czuł jeszcze inne, wspanialsze ciepło: dziwny i naprawdę przyjemny ogień, który palił mu krew, wnętrzności i kości, ogień, który zdawał się topić jego ciało i... lepić z tego surowca jakiś nieludzki twór.

Wewnętrzny i zewnętrzny żar, ciemność, kołtysanie oraz hipnotyzujący szum kół wprawiły go w stan

podobny do transu. Na jakiś czas zapomniał, kim jest, gdzie się znajduje i dlaczego. Myśli krążyły leniwie w jego głowie jak błyszczące plamki oleju, dryfujące, falujące, przeplatające się i tworzące na powierzchni jeziora łagodne wiry. Czasami były jasne i przyjemne: oto słodkie wypukłości ciała Rachael i faktura jej skóry, Sarah i inne kobiety, z którymi się kochał, ulubiony miś, z którym sypiał jako dziecko, fragmenty obejrzanych filmów, kawałki ulubionych piosenek. Ale czasami obrazy ciemniały i stały się przerażające: oto wuj Barry, uśmiechający się krzywo i kiwający na niego, nieznajoma martwa kobieta w kontenerze na śmieci, inna kobieta ukrzyżowana na ścianie, naga, martwa, z wytrzeszczonymi oczami, postać Śmierci w kapturze na głowie wyłaniająca się z cienia, zdeformowana twarz odbita w lustrze, dziwne, potworne dłonie umieszczone na jego przegubach...

Raz samochód zatrzymał się i przerwa w kołysaniu wyrwała go z transu. Szybko powrócił do poprzedniego stanu, znów czuł zimną, gadzią wściekłość. Wybiegając myślą do przodu, z lubością wyobrażał sobie, jak dusi byłą żonę i jego wydłużone, szponiaste palce same się naprężały. Już miał wyskoczyć z bagażnika i zająć się Rachael – tą, która go odrzuciła i wysłała w śmiertelną drogę – kiedy usłyszał męski głos i zawahał się. Po urywkach dochodzącej go z góry paplaniny oraz zgrzycie metalowej rury pistoletu do tankowania, wprowadzonego do zbiornika z benzyną, Eric domyślił się, że Rachael zatrzymała się na stacji. Na pewno było tam parę osób, może nawet bardzo wielu klientów. Trzeba poczekać na lepszą okazję.

Jeszcze w Arrowhead, kiedy otworzył bagażnik mercedesa, od razu zauważył, że jego tylną ścianę stanowiła solidna metalowa płyta, co praktycznie uniemożliwiało jej wepchnięcie do wnętrza pojazdu. Należało zatem wydostać się na zewnątrz, otwierając klapę. Ale mechanizm zatraskowy oczywiście nie otwierał się od środka. Co gorsza, zamek był obudowany i żeby się do niego dostać, trzeba było najpierw odkręcić kilka blachowkrętów. Na szczęście Rachael i Shadway w takim zapamiętaniu zbierali kopię akt „Wildcard”, że Eric mógł spokojnie zdjąć ze stojaka odpowiedni śrubokręt krzyżowy, usunąć obudowę zamka, wejść do bagażnika i zamknąć klapę. Nawet w ciemności zdołał odnaleźć odsłonięty mechanizm, wsunąć krzyżak i bez trudu otworzyć zatrask.

Jeśli na następnym postoju nie usłyszy żadnych głosów, wyskoczy z bagażnika w ciągu paru sekund, wystarczająco szybko, żeby Rachael nie zdążyła się zorientować, o co chodzi.

Podczas gdy Rachael tankowała benzynę, leżący spokojnie i cierpliwie Eric zaczął badać dłońmi swoją twarz. Wydawało mu się, że odkrył nowe zmiany, zmiany, których nie było jeszcze w Arrowhead. Podobne wrażenie odniósł dotykając szyi, ramion i reszty ciała. Wyglądało na to, że jego budowa zaczęła zasadniczo odbiegać od standardów.

Nagle wyczuł pod palcami coś na kształt... łuski. Wstrząsnął nim zimny dreszcz i zaczął szczerkać zębami. Szybko przestał się dotykać.

Ale chciał wiedzieć, co się z nim dzieje. Z drugiej strony bał się tej wiedzy. Potrzebował jej jednak. Nie, nie zniósłby takiej prawdy.

Nieśmiało podejrzewał, że po celowym zmodyfikowaniu części własnego materiału genetycznego zachwiał równowagę nie znanych człowiekowi – i chyba nawet niemożliwych do poznania – życiowych procesów chemicznych oraz sił witalnych organizmu. Ten brak równowagi nie był poważny do czasu jego śmierci. Potem zmodyfikowane komórki zaczęły zachowywać się niezgodnie z jakimkolwiek scenariuszem. „Zdrowiały” z nienaturalną wprost szybkością. Ich aktywność, wyrażająca się w obezwładniającym zalewie produkowanych przez nie hormonów wzrostu oraz protein, niejako rozluźniała węzły stabilności genetycznej i osłabiała biologiczny mechanizm regulacji tej – z założenia – bardzo powolnej, umiarkowanej ewolucji. Teraz rozwój następował w alarmującym tempie. Może nawet

nie był to rozwój, lecz cofanie się. Wszak jego ciało pragnęło przetrwać w prehistoryczną formę, przechowywaną w pamięci genetycznej rasy ludzkiej przez dziesiątki milionów lat i wciąż istniejącą u każdego człowieka. Wiedział, że jego umysł oscyluje między współczesnym mu i znanym intelektem Erica Lebena a obcą świadomością różnych prymitywnych stanów ludzkości. Bał się, że tak umysłowo, jak i fizycznie cofnie się do jakiejś dziwacznej formy, tak dalece odległej od normalnego człowieka, iż przestanie istnieć jako Eric Leben, a jego osobowość na zawsze rozplynie się w prehistorycznej – małpiej albo gadziej – świadomości.

To wszystko przez nią, to ona go zabiła, wyzwalając proces odpowiedzialny za genetyczne zmiany w jego komórkach. Pragnął zemsty, pragnął aż do bólu. Chciał rozpruć babie brzuch i wypruć parujące flaki, chciał wydlubać jej oczy i podziurawić głowę. Chciał rozorać pazurami tę śliczną buźkę, ten zadowolony z siebie nieprzyjazny ryj, odgryźć jej język, a potem przenieść swe usta na tryskające krwią rany i pić, pić...

Znów wstrząsnął nim dreszcz, ale tym razem był to dreszcz pierwotnej żądz, drgawki nieludzkiej przyjemności i podniecenia.

Po napełnieniu baku Rachael powróciła na autostradę i Eric znów zapadł w swój podobny do transu stan. Tym razem jego myśli były dziwniejsze, bardziej nierzeczywiste od tych, które poprzednio chodziły mu po głowie. Teraz widział siebie, jak biegnie susami poprzez mgłę, a jego sylwetka jest ledwie na wpół wyprostowana. Na horyzoncie wyrastają parujące górskie szczyty, a niebo jest tak jasne i czyste, jakiego nie widział w swym życiu. A jednak obraz ten był mu już znany, podobnie jak obce, lśniące rośliny, których Eric Leben nigdy przedtem nie spotkał, ale zetknęła się z nimi przebywająca w jego wnętrzu inna istota. Potem cofnął się do pozycji zupełnie poziomej, stracił ludzkie kształty, ślizgał się brzuchem po ciepłej, wilgotnej powierzchni ziemi, wspinał na próchniejący gąbczasty pień, chwycił go długimi palcami u nóg, ściągając przy tym korę wraz z próchnem i odsłaniając olbrzymie gniazdo wijących się larw, w które zanurzy swój głodny pysk...

Uniesiony mrocznym, dzikim podnieceniem, zaczął tupać w boczną ścianę bagażnika i czynność ta błyskawicznie wyzwoliła go od ponurych obrazów i myśli, które wypełniały jego umysł. Zdał sobie sprawę, że tupanie może zaniepokoić Rachael, więc natychmiast przestał. Miał nadzieję, że było to tylko kilka puknięć.

Samochód zwolnił i Eric zaczął szukać w ciemności śrubokrętu na wypadek, gdyby trzeba było szybko otworzyć zamek i wyskoczyć z bagażnika. Ale zaraz potem powrócili do normalnej prędkości – Rachael nie domyśliła się przyczyny stukania – i Eric ponownie zapadł w bagno pierwotnych wspomnień i żądz.

Teraz, kiedy umysłowo unosił się gdzieś w odległym miejscu, powrócił proces przemian fizycznych. Mroczny bagażnik był niczym łono, w którym tworzył się i rozwijał płód niewyobrażalnego mutantu; tworu, który stanowił na Ziemi coś starego i nowego zarazem, tworu, którego czas już przeminął, ale również jeszcze nie nadszedł.

Ben domyślił się, że agenci mogą go podejrzewać o chęć kradzieży jednego spośród sznura samochodów zaparkowanych na poboczu po stronie jeziora. Na pewno będą tam na niego czekać. Co więcej, mogli założyć, że nadejdzie z południa, chowając się – gdyby wędrówkę uniemożliwiał mu ruch pojazdów – do przydrożnego rowu. Mogli też pomyśleć, że został na wschodnim stoku, nie przechodząc na drugą stronę szosy, i szedł ostrożnie na północ, kryjąc się wśród drzew i zarośli. Na pewno jednak nie wpadli na myśl, że Ben przejdzie przez jezdnię na zachodnią stronę – zbliżając się do jeziora – i ruszy na północ pod osłoną lasu, aby ostatecznie wyjść przy zaparkowanych samochodach, ale od tyłu.

Rozumował poprawnie. Najpierw przeszedł pewien odcinek w kierunku północnym, mając po lewej ręce jezioro, a po prawej autostradę. Potem pokonał dzielącą go od niej skarpe, ostatnie metry czołgając się ostrożnie na brzuchu. Wyjrzał na drogę, odwrócił głowę w prawo i zobaczył zaparkowane samochody. Na przednim siedzeniu ciemnozielonego sedana marki Chevrolet czaiło się dwóch mężczyzn. Podjechali tak blisko do dodge'a station wagon, że – gdyby zamiast wyjść z drugiej strony, nadszedł od południa – na pewno nie zobaczyłby ich. Obaj patrzyli przed siebie, obserwując przez szyby stojących przed nimi samochodów geometrycznie obramowane kawałki dwupasmowej autostrady.

Ben cofnął się, przewrócił na plecy i przez minutę leżał nieruchomo na zboczu. Materacem były mu opadłe z sosen igły, wyschnięty rajgras i bliżej nie określone rośliny o jaskrawych liściach, podobne do rosnących na tym obszarze ziół. Kładąc się na nich nie martwił się, że – zgniecione – mogą poplamzić swym chłodnym sokiem jego koszulę i spodnie. Był już dosyć brudny po szaleńczej ucieczce przez ten las, z domu Erica Lebena aż do autostrady.

Ponieważ wsunięty za pas combat magnum uwierał go przeraźliwie w plecy, Ben przekręcił się lekko na bok. Choć niewygodna w noszeniu, broń zapewniała mu jednak bezpieczeństwo.

Był pewien, że obaj pasażerowie chevroleta czekają właśnie na niego. Kusilo go, by pójść dalej na północ i znaleźć gdzieś nie strzeżony samochód. Wtedy ukradłby go i odjechał, zanim agenci zorientują się, że czekają na darmo.

Z drugiej jednak strony nie miał pewności, czy znajdzie w ogóle jakiś pojazd zaparkowany poza zasięgiem wzroku swego właściciela.

A już na pewno Sharp razem z tym drugim nie będą tu siedzieć zbyt długo. Jeśli w najbliższym czasie nie zobaczą Bena, dojdą do wniosku, że się przeliczyli. Zaczną wtedy jeździć po szosie tam i z powrotem, zatrzymując się co pewien czas, by wyskoczyć na boki i przeczesać zarośla. Chociaż w „te klocki” był dużo lepszy od nich, nie mógł ręczyć, że nie uda im się zaskoczyć go gdzieś wzdłuż trasy.

Teraz miał tę przewagę, że mógł działać z zaskoczenia. Widział ich, a oni nie mieli pojęcia, gdzie jest on. Postanowił wykorzystać tę przewagę.

Najpierw rozejrzał się za gładkim kawałkiem skały, najlepiej wielkości pięści. Znalazł odpowiedni i zważył go w ręce. Był dobry, solidny. Benny rozpiął koszulę, położył sobie odłamek na brzuchu i ponownie ją zapiął.

Trzymając w prawej ręce dwunastozrzałowego, półautomatycznego remingtona, zaczął skradać się po skarpie w kierunku aut. Kiedy uznał, że powinien znajdować się przy samym chevrolecie, wspiął się ponownie do krawędzi pobocza i stwierdził, że doskonale wyczuł odległość. Tylny zderzak sedana miał kilka centymetrów od twarzy.

Okno po stronie Sharpa było otwarte. Standardowe samochody rządowe rzadko mają klimatyzację i Ben wiedział, że te ostatnie metry musi pokonać w absolutnej ciszy. Gdyby Sharp usłyszał coś podejrzanego i wyjrzał przez okno lub nawet rzucił okiem w boczne lusterko, niewątpliwie zobaczyłby go, jak podbiega.

Przydałby się jakiś naturalny hałas, na tyle głośny, by stanowił osłonę, na przykład szum wiatru. A silny, gwałtowny podmuch kołyszający drzewami zagłuszyłby...

Ale oto dobiegł go jeszcze lepszy odgłos: narastający warkot silnika. Od północy nadjeżdżał samochód. Ben zamarł w oczekiwaniu i po chwili zobaczył szarego pontiaca firebirda. Kiedy auto zbliżyło się jeszcze bardziej, rozległa się także głośna muzyka rockowa – pontiakiem jechały zapewne jakieś dzieciaki. Pootwierały wszystkie okna i włączyły na pełny regulator kasetowy odtwarzacz. Bruce Springsteen śpiewał entuzjastycznie o miłości, samochodach i odlewnikach. Świetnie.

Kiedy spalinowy ptak ognisty* [*Gra słów: *firebird* znaczy „ognisty ptak” (*przyp. tłum.*)] przelatywał koło chevroleta, kiedy warkot i muzyka były najgłośniejsze, a uwaga Sharpa, najprawdopodobniej skupiona na tej stronie, której nie mógł obserwować we wstecznym lusterku, Benny wspiął się na szczyt wzniesienia i przykucnął za samochodem obu agentów. Pochylił się nisko, żeby nie można go było zobaczyć przez tylną szybę. Kierowca sedana mógł przecież w każdej chwili spojrzeć w lusterko.

Pontiac *firebird* zniknął na horyzoncie, a wraz z nim ucichł śpiew Springsteena. Benny przesunął się w stronę lewego boku chevroleta, zacerpnął głęboko tchu, wyprostował się gwałtownie i posłał kulę z karabinu w lewe tylne koło. Huk wystrzału zmaćił ciszę panującą w tym górskim powietrzu. Był tak potężny, że przestraszył nawet Bena, który wszak wiedział, czego się spodziewać, obaj agenci zaś krzyknęli przerażeni. Jeden z nich rzucił: „Na podłogę!” Samochód przechylił się na stronę kierowcy. Szarpnięcie przy pierwszym strzale sprawiło, że Bena zaboląły ręce. Strzelił jednak ponownie tylko po to, by porządnie wystraszyć funkcjonariuszy. Celował nisko nad dachem, na tyle nisko, że pocisk śmignął po blasze, co dla siedzących wewnątrz mężczyzn musiało zabrzmieć tak, jakby kula przeszywała karoserię, dostając się do środka pojazdu. Obaj agenci leżeli skuleni na przednich siedzeniach, starając się nie znaleźć na linii strzału. Pozycja ta jednak uniemożliwiała im zarówno zobaczenie Bena, jak i otwarcie do niego ognia.

Biegając wystrzelił w ziemię, po czym zatrzymał się, by unieruchomić przednie koło po stronie kierowcy, przez co auto pochyliło się jeszcze bardziej w tym kierunku. Już tylko dla uzyskania dramatycznego efektu wpakował drugą kulę w tę samą oponę; huk wystrzałów brzmiał niczym grom z jasnego nieba i odbierał odwagę nawet jemu, tak więc na pewno poraził Sharpa i tego drugiego faceta. Potem spojrział przez przednią szybę, by upewnić się, że jego prześladowcy wciąż leżą w ukryciu. Nie zobaczył żadnego z nich i puścił szóstą, ostatnią kulę do wnętrza samochodu. Wiedział, że nie wyrządzi im poważniejszej krzywdy, że to tak bardzo ich wystraszy, iż co najmniej przez pół minuty nie wychylą głów, bojąc się znaleźć w zasięgu ognia.

Pocisk przebił przednią szybę, która rozprysnęła się na drobne kawałki, syjąc się agentom na głowy i plecy, a sam utkwiał w oparciu tylnego siedzenia. Ben trzema susami dopadł *dodge'a*, rzucił się na ziemię i wpełznął pod samochód. Kiedy jego prześladowcy nabiorą odwagi, by się podnieść, stwierdzą, że zapewne uciekł w las, po jednej albo po drugiej stronie drogi, gdzie przeładowuje broń i czeka na okazję do kolejnego ataku. Nigdy nie wpadną na to, że on leży plackiem pod sąsiednim samochodem.

Jego płuca pragnęły wciągać powietrze wielkimi, głośnymi haustami, ale Ben zmusił się, by oddychać powoli, rytmicznie, spokojnie i cicho.

Ręce bolały go od trzymania w różnych dziwnych pozycjach wstrząsanego siłą odrzutu z dużą częstotliwością karabinu. Miał wielką ochotę podrapać się, ale nie zrobił tego. Wytrzymał ból i zdrtwienie mięśni, wiedząc, że wkrótce same ustąpią.

Po chwili usłyszał, jak jego prześladowcy naradzają się, po czym otwarły się jedne drzwi.

– Peake, do jasnej cholery, chodź ze mną! – rozkazał Sharp.

Kroki.

Ben odwrócił głowę w prawo. Zobaczył na jezdni czarne eleganckie buty firmy Freeman, niechybnie należące do Sharpa. Ben miał takie same. Obuwie Sharpa było jednak pozdierane, a do sznurówek poprzyczepiały się jakieś kolczaste chwasty.

Z lewej strony nie pojawiły się na autostradzie żadne buty.

– Chodźże, Peake! – odezwał się znów Sharp takim chrapliwym szeptem, że bliskim krzyku.

Otworzyły się drugie drzwi, potem rozległy ostrożne kroki i wreszcie po lewej stronie dodge'a pojawiły się inne buty. Tanie czarne „oksfordy” należące do Peake'a znajdowały się w jeszcze gorszym stanie niż obuwie jego szefa: nie dość, że były całe oblepione błotem i gliną, to jeszcze na sznurówkach wisiało dwa razy tyle chwastów co u Ansona Sharpa. Obaj mężczyźni stali po przeciwnych bokach dodge'a station wagon. Żaden z nich nie mówił, rozglądali się tylko i nasłuchiwali.

Ben zaniepokoił się, że usłyszą bicie jego serca, które według niego waliło jak kotły w orkiestrze symfonicznej.

– Może schował się gdzieś między samochodami i czeka, by nas jakoś załatwić – szepnął Peake.

– Wrócił do lasu – powiedział Sharp równie ciekawym głosem, ale zabarwionym pogardą. – Pewnie obserwuje nas teraz z ukrycia i śmieje się.

Płaski kawałek skały, który Ben włożył sobie za koszulę, zaczynał uwierać go w brzuch, ale nie ruszył się, gdyż bał się zdradzić.

Wreszcie Sharp i Peake zaczęli iść, równoległe do siebie, i zniknęli Benowi z oczu. Na pewno dokładnie zaglądali do środka samochodów i pomiędzy nie.

Nie zanosilo się jednak na to, że zajrzą pod spód któregoś z aut. Zapewne nie przyjdzie im do głowy, że można być tak szalonym, by ukryć się pod samochodem. Wszak, leżąc plackiem na brzuchu, było się prawie bezbronnym, bez szansy szybkiej ucieczki, narażonym na schwytanie równie łatwo jak śledź w beczce. Ale gdyby Benowi udało się zatrzeć za sobą ślady i skierować agentów na fałszywy trop, to ryzyko opłacałoby się. Wtedy bowiem miałyby okazję zwinąć jeden z samochodów. Gdyby jednak pomyśleli, że jest na tyle głupi albo sprytny, żeby ukryć się pod sąsiednim autem – już był trupem.

Ben modlił się, żeby właściciel dodge'a nie wrócił w tym niefortunnym momencie i nie odjechał swym rżemchem, zostawiając go na widoku.

Sharp i Peake doszli do ostatniego samochodu w rzędzie i nie znaleźli wroga. Zaczęli wracać, wciąż idąc po obu stronach aut. Teraz rozmawiali już trochę głośniejszym głosem.

– Powiedział pan, że on nigdy do nas nie strzeli – zauważył gorzko Jerry.

– Przecież nie strzelił.

– Do mnie strzelał, a jakże! – powiedział Peake, podnosząc głos.

– Strzelił w samochód.

– Co za różnica? Ale my byliśmy w środku.

Znów zatrzymali się przy dodge'u.

Ben popatrzył najpierw na jedno, potem na drugie buty. Miał nadzieję, że nie będzie musiał akurat kichnąć, zakasłać czy puścić wiatrów.

– On strzelał w opony. Widzisz? Po co miałby niszczyć nasz środek transportu, gdyby chciał nas zabić?

– Przestrzelił przednią szybę – argumentował Peake. – Tak, ale my byliśmy pochyleni, poza linią strzału, i Shadway wiedział, że nic nam się nie stanie. Powiem ci coś: ten pieprzony obrońca uciśnionych to dupa wołowa niezdolna skrzywdzić muchy. Strzeliłby do człowieka tylko w ostateczności, i nigdy jako pierwszy. Gdyby zależało mu na tym, żeby nas zabić, to miał nas jak na widelcu, kiedy leżeliśmy w samochodzie. Z jednej albo drugiej strony mógł nas powystrelać przez szybę w ciągu dwóch sekund. Przemyśl to, Peake.

Przez chwilę obaj milczeli. Peake zapewne przemyślał.

Ben zastanawiał się, o czym myśli Sharp. Miał nadzieję, że nie zna *Skradzionego listu* Edgara Allana Poe. Chyba jednak nie zachodziło takie niebezpieczeństwo, bo Sharp nie sprawiał wrażenia człowieka,

który w swym życiu czytał coś więcej niż magazyny dla skinów.

– Schował się w lesie – rozstrzygnął ostatecznie Sharp, odwracając się tyłem do samochodu, pod którym leżał Benny. – W lesie od strony jeziora. Założę się, że nas obserwuje. Czeka, co teraz zrobimy.

– Musimy wziąć inny samochód – doradził Peake.

– Nie, najpierw ty musisz pójść w stronę jeziora i spróbować wypłoszyć go z kryjówki.

– Ja?

– Tak, ty.

– Panie dyrektorze, chyba nie jestem do tego odpowiednio ubrany. Moje buty...

– Tu jest mniej poszycia niż wokół domu Lebena – powiedział Sharp. – Nic ci się nie stanie.

Peake zawahał się, po czym odezwał się:

– A co pan będzie w tym czasie robił?

– Stąd mam doskonały widok na wszystkie przecinki między drzewami – wyjaśnił Sharp. – Będąc tam w środku możesz go nie zauważyć, kiedy zacznie się cofać pod osłoną skał i zarośli. A tu popatrz – stąd widać wszystko. Na pewno zobaczę, jak się przemieszcza. A wtedy już ja załatwię sukinsyna!

Ben usłyszał dziwny odgłos, niczym odkręcanie wieczka ze słoika typu *twist-off*. Przez chwilę nie wiedział, co to jest, zanim zrozumiał, że Sharp zdejmuje tłumik.

Agent potwierdził to podejrzenie.

– Może karabin wciąż daje mu przewagę...

– Może? – spytał Peake rozbawiony.

– ...ale nas jest dwóch, mamy dwa pistolety, a bez tłumika będzie większy zasięg. Startuj, Peake. Zejdź do lasu i wystaw mi go.

Peake wydawał się buntować, ale poszedł.

Ben czekał. Drogą przejechało kilka samochodów. Leżał w bezruchu, obserwując buty Sharpa. Po chwili agent odszedł na krok od samochodu. Dalej nie mógł, bo znalazłby się na pochyłym zboczu, które wiodło do lasu.

Kiedy w pobliżu przejeżdżał kolejny samochód, Ben wykorzystał warkot jego silnika jako osłonę, by – nie zwracając na siebie uwagi – wyjść spod dodge'a od strony kierowcy. Tam przyczał się koło drzwi, chowając głowę pod linią okna. Teraz station wagon był między nim a Sharpem.

Trzymając strzelbę w jednej ręce, drugą odpiął koszulę i wyciągnął odłamek skały, który znalazł w lesie.

Po drugiej stronie Sharp poruszył się.

Ben zastygł w bezruchu i nasłuchiwał.

Agent najwyraźniej przemieścił się tylko wzdłuż skarpy, by nie stracić z oczu swego podwładnego.

Ben wiedział, że musi działać błyskawicznie. Gdyby przejeżdżał teraz jeszcze jeden samochód, siedzący w nim ludzie mieliby niezłe kino: facet w brudnym ubraniu trzyma w jednej ręce odłamek skalny, w drugiej karabin, a za pas ma wsunięty rewolwer. Kierowca na pewno zatrąbiłby, ażeby ostrzec Sharpa przed czającym się za nim szaleńcem.

Ben podniósł się i spojrzał poprzez wnętrze samochodu prosto na ciemność Sharpa. Gdyby ten odwrócił się teraz, jeden z nich musiałby zabić drugiego.

Shadway odczekał w napięciu chwilę, aż upewnił się, że uwaga Sharpa skoncentrowana jest na północno-zachodniej części lasu. Potem rzucił odłamek wysoko, z całych sił, daleko od głowy agenta, żeby świst nie wzbudził jego zainteresowania. Ben miał nadzieję, że kamień upadnie głęboko w lesie, nie uderzy za wcześnie o jakieś drzewo i że Sharp nie dostrzeże go w locie.

Ostatnio zbyt wiele opierało się u niego na „mam nadzieję” i na żarliwych modlitwach.

Nie czekając, co się stanie, znów przykucnął za samochodem i usłyszał, jak jego pocisk łamie gałęzie sosen lub krzaków, by wreszcie upaść z łoskotem.

– Peake! – wykrzyknął Sharp. – Za tobą, za tobą! Tędy! Ktoś się poruszył w tamtych zaroślach za rowem!

Ben usłyszał jakieś szuranie, szelest i trzask łamanych gałęzek. To mógł być Sharp schodzący po skarpie do lasu. To zbyt piękne, żeby mogło być prawdziwe, pomyślał Benny i podniósł się ostrożnie.

Zdumiewające, ale Sharp zniknął. Droga była pusta i tylko dla Bena. Przebiegł więc wzdłuż rzędu zaparkowanych pojazdów, sprawdzając drzwi; otwarte znalazł w czteroletnim chevette. Co prawda był to grat o jaskrawożółtej karoserii i zielonej tapicerce, ale w obecnej sytuacji Benny nie mógł przecież kierować się gustem.

Wsiadł i zamknął delikatnie drzwiczki. Wyciągnął zza pasa combat magnum kaliber 357 i położył go na siedzeniu w zasięgu ręki. Następnie kolbą karabinu tak długo uderzał w stacyjkę, aż wybił z kolumny kierowniczej płytkę zapłonu.

Ciekaw był, czy hałas rozlegający się wewnątrz pojazdu docierał do znajdujących się w lesie Sharpa i Peake’a.

Odłożył na bok remingtona, pośpiesznie wyciągnął na wierzch przewody zapłonu i, wciskając pedał gazu, połączył dwie gołe końcówki. Silnik parsknął, zaskoczył i zawarczał.

O ile Sharp mógł nie słyszeć walenia kolbą w stacyjkę, o tyle na pewno usłyszał, że jeden z samochodów rusza. Wiedział, co to oznacza, i bez wątpienia wspinał się już gorączkowo na skarpe, po której niedawno zszedł do lasu.

Ben zwolnił ręczny hamulec, wrzucił bieg i wyjechał na trasę. Skierował się na południe, gdyż w takim kierunku zaparkowano samochód, a nie było czasu na zawracanie.

Z tyłu rozległ się huk wystrzału.

Zacisnął usta i, spoglądając we wsteczne lusterko, wtulił głowę w ramiona. Zobaczył Sharpa, słaniającego się na nogach gdzieś między dodge’em a sedanem, na środku drogi, skąd mógł lepiej mierzyć.

– Za późno, frajerze – powiedział Ben, wciskając pedał gazu do samej podłogi.

Chevette parsknął, jakby był chorym na gruźlicę, kulawym, starym koniem pociągowym, któremu zaproponowano udział w Kentucky Derby.

Nagle usłyszał, jak druga kula trafia w tylny zderzak, a może błotnik. Przeciągły jęk dziurawionej blachy zabrzmiał jak wyrażany przez zdziwiony samochód okrzyk bóleści.

Chevette zatrzymał się, charcząc i trzęsąc, ale w końcu pomknął do przodu, zostawiając za sobą chmurę niebieskiego dymu.

Patrząc we wstecznym lusterku na Sharpa, Benny zobaczył, że agent robi się coraz mniejszy, jakby był diabłem, schowanym w oparach piekielnych dymów do Hadesu. Możliwe, że jeszcze raz strzelił, ale nic nie było słyhać poprzez rżenie silnika.

Droga wznosiła się najpierw, potem opadała, dalej skręcała w prawo i znów opadała. Ben zwolnił trochę. Pamiętał o zastępcy szeryfa, który zainteresował się nimi koło sklepu ze sprzętem sportowym i bronią. Stróż prawa mógł krążyć po okolicy. Benny pomyślał, że gubiąc Sharpa wykorzystał już swój limit szczęścia i teraz, przekraczając dozwoloną prędkość w pragnieniu oddalenia się od Arrowhead, prowokowałby tylko los. W końcu miał na sobie podejrzenie brudną odzież, prowadził kradziony samochód, był uzbrojony w karabin i rewolwer, gdyby więc został zatrzymany za jazdę z nadmierną

prędkością, nie mógł oczekiwać, że skończy się na mandacie.

Najważniejsze, że znów był w drodze. Teraz musiał spotkać się z Rachael – albo na międzystanowej „piętnastce”, albo już w Vegas.

Rachael nic się nie stanie. Był pewien, że nic się jej nie stanie.

Białe chmury osiadały coraz niżej na błękitnym niebie. Stawały się coraz gęstsze. Krawędzie wielu z nich były szare jak metal.

Las po obu stronach drogi pogrążał się w coraz większym mroku.

Pustynny żar

Rachael dojechała do Barstow we wtorek o piętnastej czterdzieści. Zamierzała zjechać z „piętnastki”, by coś przekąsić; rano jadła tylko kanapkę z jajkiem, a potem dwa małe batony, które kupiła na stacji benzynowej przed wjazdem na tę autostradę. Poza tym poranna kawa i niedawno wypita coca-cola zrobiły swoje: Rachael zaczęła odczuwać niepohamowaną potrzebę skorzystania z toalety. Postanowiła jednak, że nie będzie się zatrzymywać. Barstow było na tyle duże, że mógł się tu znajdować komisariat policji, a także oddział patroli autostrad. Chociaż istniała mała szansa, że spotka jakichkolwiek przedstawicieli władzy i zostanie przez nich rozpoznana jako niesławna zdrajczyni ojczyzny, o której mówi się w radiu, to jednak głód i parcie na pęcherz były zbyt błahymi powodami do podjęcia takiego ryzyka.

Na tym samotnym odcinku autostrady między Barstow a Vegas powinna być w zasadzie bezpieczna. Rzadko się tu trafiały patrole, więc ryzyko zatrzymania jej za przekroczenie prędkości było niewielkie. Wszystkie samochody jechały z prędkością stu dwudziestu – stu trzydziestu kilometrów na godzinę, toteż i Rachael rozpedziła mercedesa do stu dwudziestu. Co pewien czas ktoś ją wyprzedzał, wskutek czego nabrała pewności, że nawet gdyby pojawił się jakiś wóz policyjny, to najpierw zatrzyma kogoś innego.

Pamiętała, że w odległości około czterdziestu pięciu kilometrów znajdował się parking z sanitariatami. Tyle jeszcze wytrzyma. Jeśli zaś chodzi o jedzenie, to nic się nie stanie, jeśli zje dopiero kolację po przyjeździe do Vegas.

Od kiedy wyjechała z przełęczy El Cajon, Rachael spostrzegła, że im dalej zapuszcza się w pustynię Mojave, tym więcej przybywa chmur i tym ciemniejsze staje się niebo. Najpierw wszystkie obłoki były białe, potem ich brzegi zaczęły pokrywać się szarością, by wreszcie poszarzeć całkowicie i przyozdobić się ciemnymi smugami. Opady nieczęsto nawiedzały pustynię, ale latem niebiosa potrafiły się czasami otworzyć i spuścić na jałową ziemię niewyobrażalne ilości wody, jakby chciały powtórzyć biblijny potop. Wprawdzie ze względu na to niebezpieczeństwo autostrada przebiegała po nasypie, a wokół niej wykopano specjalne rowy, co pewien jednak czas znaki ostrzegały przed „nagłymi ulewami”. Rachael nie bała się samego deszczu, ale tego, że wymusiłby znaczne ograniczenie prędkości, a bardzo chciała znaleźć się w Vegas między osiemnastą piętnaście a osiemnastą trzydzieści.

Nie będzie się czuła ani trochę bezpieczna, dopóki nie dotrze do zamkniętego motelu Bena. I nie poczuje się całkowicie bezpieczna, dopóki on nie pojawi się w pokoju, nie zasunie zasłon i nie odizoluje ich od świata.

Parę minut po opuszczeniu Barstow Rachael minęła zjazd do Calico, przy którym znajdowały się ostatnie stacje benzynowe, warsztaty, motele i restauracje. Teraz leżało przed nią nie zamieszkane pustkowie. Do najbliższej ludzkiej osady, małego Baker, było dziewięćdziesiąt kilometrów. Autostrada i jadące po niej samochody stanowiły jedyny dowód na to, że Ziemia jest jednak zaludnioną planetą, a nie sterylnym, pozbawionym życia kawałkiem skały, krążącym cicho po swej orbicie w morzu zimnej przestrzeni kosmicznej.

Ruch był niewielki, jak w każdy wtorek, i przeważały samochody ciężarowe. Od czwartku do poniedziałku dziesiątki tysięcy ludzi przemierzały się tędy do i z Las Vegas. W każdy piątek i sobotę ruch wzrastał tak bardzo, że na tym jałowym pustkowiu, którego wygląd nie zmienił się od dwustu milionów lat, wydawał się rażącym anachronizmem pomyłką w chronologii, która naraz cofnęła wszystkich tych podróżnych w erę mezozoiczną. Teraz jednak bardzo często mercedes Rachael był jedynym pojazdem na autostradzie.

Jechała przez ten wysuszony obszar pełen gołych wzgórz i kamienistych równin, gdzie sterczały w niebo białe, szare i umbrowe skały niczym odsłonięte żebra, obojczyki, łopatki, strzałki, kości promieniowe, łokciowe, biodrowe, udowe oraz kości stóp, jakby ziemia ta była cementarzyskiem gigantów z minionych epok, a wichur otworzył ich groby. Pustynne drzewka o szerokich elipsowatych liściach, przypominające posągi wielorękiego boga Siwy, oraz charakterystyczne dla wyższych partii pustyni kaktusy nie występowały na tych niżej położonych i gorętszych obszarach. Wegetacja ograniczała się do paru bezwartościowych gatunków karłowatych drzewek oraz rosnących gdziegdzie w niewielkich kępach suchych, brązowych traw. Na Mojave dominował piasek, skały, alkaliczne równiny i pokłady zakrzepłej lawy. Na północy widać było odległe pasmo gór Calico, a jeszcze dalej za nimi wyrastały majestatycznie zza horyzontu szkarłatne Góry Granitowe, na południowym wschodzie zaś znajdowały się góry Cady. Wszystkie wyglądały na potężne, strome monolity gołego i ponurego kamienia.

O szesnastej dziesiątej dojechała do przydrożnego parkingu, o którym przypominała sobie, kiedy postanowiła nie zatrzymywać się w Barstow. Zwolniła, zjechała z autostrady i wjechała na olbrzymi, pusty plac. Zatrzymała się przed parterowym domkiem z płyt betonowych, w którym znajdowały się toalety. Z prawej strony stała niewielka altana, osłonięta przed słońcem grubą metalową kratą, zawieszoną na czterech trzymetrowej wysokości słupach. W środku znajdowały się trzy stoły do spożywania posiłków. Nie było tu żadnej trawy czy innej roślinności, tylko czysty piasek i niebieskie puszkowe odpadki z pokrywami, na których dużymi białymi literami wypisano grzeczne życzenie: **PROSZĘ NIE ŚMIECIĆ**.

Rachael wysiadła z mercedesa; zabrała ze sobą tylko kluczyki i torebkę. Broń i pudełka z amunicją zostawiła ukryte pod siedzeniem, gdzie wsunęła je, zjeżdżając na stację benzynową. Bardziej z przyzwyczajenia niż konieczności zamknęła drzwi na kluczyk.

Przez chwilę patrzyła na niebo, które w dziewięćdziesięciu procentach pokryte było stalowoszarymi chmurami, jak gdyby wdziawało na siebie zbroję. Dzień jednak pozostawał wciąż upalny, temperatura wynosiła około trzydziestu-trzydziestu pięciu stopni, chociaż dwie godziny wcześniej – zanim nadciągnęły chmury – musiała być dużo wyższa, nawet o dziesięć stopni.

Po autostradzie przejechały dwie olbrzymie ciężarówki, gnąjąc na wschód i rozdzierając pustynną ciszę. Gdy przemknęły, zapadła jeszcze głębsza, dzwoniąca w uszach cisza.

W drodze do damskiej toalety Rachael dostrzegła tablicę ostrzegającą podróżnych przed grzechotnikami. Zapewne lubiły wygrzewać się na rozgrzanych słońcem betonowych płytach.

W toalecie było gorąco, jedyną wentylację stanowiły okna bez szyb, umieszczone wysoko w ścianie i zaopatrzone w drewniane żaluzje. Przynajmniej jednak regularnie ją sprzątano. W przybytku unosił się zapach środków dezynfekcyjnych o aromacie sosnowych igieł. Rachael wyczuła także niemiłą woń betonu zanadto rozgrzanego na palącym słońcu.

Eric budził się powoli z głębokiego, sugestywnego snu – a może niewyobrażalnej, prehistorycznej pamięci gatunkowej – gdzie był czymś odmiennym od człowieka. Pełzał wewnątrz jakiejś nory o chropowatych ścianach, ale nie była to jego nora, lecz innego stworzenia. Czołgał się głębiej i głębiej, kierowany zapachem piżma, w przeświadczeniu, że gdzieś w tym mrocznym tunelu odnajdzie i pożre ukryte ciepłe jaja. Para żarzących się pomarańczowym blaskiem oczu była pierwszym sygnałem, że musi powściągnąć swe zamiary. Ciepłokrwiste futerkowe stworzenie, dobrze uzbrojone w kły i pazury, rzuciło się na niego, by bronić swego podziemnego gniazda. Niespodziewanie stał się uczestnikiem dzikiej walki, przerażającej i radosnej zarazem. Wypełniła go zimna, gadzia wściekłość. Zapomniał o głodzie, który kazał mu szukać tych jaj. W ciemności szarpał się, gryzł i drapał ze swym przeciwnikiem. Nagle

zasyczał, a ten drugi pisał i prychnął. W sumie zadał więcej bolesnych ran, niż sam otrzymał, a nozę wypełniła podniecająca woń krwi, fekaliiów i uryny...

Odzyskawszy ludzką świadomość, Eric zrozumiał, że samochód stoi. Nie wiedział jednak, kiedy się zatrzymał – może przed minutą lub dwiema, a może przed paroma godzinami. Walcząc z hipnotyzującymi siłami, które chciały na powrót wciągnąć go do krainy snów, pragnąc znów znaleźć się w rzeczywistym, znajomym świecie przemocy, pierwotnych żądz i przyjemności, przygryzł dolną wargę, aby rozjaśnić swój umysł. Zaniepokojony, choć przygotowany na to, zauważył, że ma znacznie ostrzejsze zęby niż dotychczas. Przez chwilę nasłuchiwał, ale z zewnątrz nie doszły go żadne głosy ni dźwięki. Nie wiedział, czy są już w Vegas, czy może mercedes – zgodnie z poleceniem Shadwaya – stoi teraz na parkingu przed motelem.

Zimna, nieludzka wściekłość, którą czuł we śnie, wciąż w nim tkwiła, choć przeniosła się z żyjącego w podziemnych norach, małego bursztynowookiego ssaka na Rachael. Nienawiść do niej obezwładniała go. Pragnienie, by dostać ją w swoje ręce, rozpruć jej gardło i wybebeszyć, graniczyło z szaleństwem.

W ciemnym jak noc wnętrzu bagażnika zaczął szukać śrubokrętu. Choć nie docierało tam więcej światła niż przedtem, Eric widział już nieco lepiej. I jeśli wzrokiem nie odbierał wyraźnie wszystkich wymiarów swej styksowej celi, to bez wątpienia mógł je uchwycić jakimś nowym, szóstym zmysłem. W każdym razie miał podprogową świadomość pozycji i znamiennej cechy każdej metalowej ściany. Czuł również, że śrubokręt leży przy jednej z nich, na wysokości jego kolan. Kiedy zgiął się, by sprawdzić wiarygodność tego wrażenia, jego dłoń trafiła dokładnie na rowkowany uchwyt z pleksiglasu.

Otworzył śrubokrętem klapę bagażnika. Do środka wlało się światło. Przez chwilę raziło go w oczy, ale zaraz przywykł do jasności. Pchnął klapę w górę. Zdumiał się, widząc pustynię. Wyszedł z bagażnika.

Rachael umyła ręce nad umywalką – była ciepła woda, ale brakowało mydła – po czym wysuszyła je pod suszarką, zastępującą papierowe ręczniki.

Wyszła z toalety, a ciężkie drzwi zatrzasnęły się za nią. Z ulgą zauważyła, że w tym czasie żaden grzechotnik nie rozłożył się na rozgrzanych betonowych płytach, po których miała przejść. Z niepokojem natomiast spostrzegła otwarty bagażnik samochodu.

Zatrzymała się i zmarszczyła brwi. Nawet jeśli klapa nie była zamknięta na kluczyk, to zamek nie mógł przecież otworzyć się sam.

I nagle doznała olśnienia: to Eric!

Jakby na potwierdzenie jej domysłu, zza węgła, w odległości kilkunastu metrów od niej, wyszedł Eric. Utkwiła w nim swe spojrzenie, jakby chcąc go przykuć do miejsca, w którym stał, równie silnie jak wzrok Erica paraliżował ją.

To był Eric, ale jakby nie ten sam.

Przestraszona, patrzyła wciąż na niego, nie wierząc własnym oczom. Taka zdumiewająca metamorfoza jest przecież niemożliwa! Zrozumiała jednak, że to manipulacje strukturą genetyczną organizmu doprowadziły do tych potwornych zmian. Ciało Erica było najwyraźniej zdeformowane, ale ponieważ miał na sobie ubranie, trudno było dokładnie określić, co się z nim stało. Najbardziej rzucały się w oczy niekształtne kolana, biodra oraz garb; koszula w szkocką kratę pruła się w szwach, nie mogąc pomieścić wielkiej narośli na jego plecach. Ręce wydłużyły mu się o kilka centymetrów, co podkreślały za krótkie rękawy. Jego niepodobne do ludzkich dłonie, nakrapiane żółto-brązowoszarymi plamami, z dziwnymi gruzowatymi kostkami były potężne i budziły strach. Sprawiały wrażenie giętkich i chwytliwych jak u zwierząt, a ich wydłużone, kościste palce wieńczyły szpony. W niektórych miejscach skóra wyglądała tak, jakby zastąpiła ją szorstka łuska.

Ale najgorsza była dziwnie zmieniona twarz Erica. Każdy szczegół tego niegdyś przystojnego oblicza uległ przemianie, choć pewne charakterystyczne cechy pozostały, umożliwiając identyfikację. Jednakże zdeformowały się kości – były teraz albo szersze i bardziej płaskie, albo też węższe i bardziej zaokrąglone, a wokół cofniętych oczu i wysuniętej szczęki wyraźnie węższe. Między brwiami pojawiła się szkaradna żłobkowana narośl, która wędrowała – malejąc – przez środek głowy.

– Rachael – odezwał się Eric.

Miał niski, drgający i chrapliwy głos. Rachael wyczuła w nim ponurą, nawet melancholijną nutę.

Na jego szerszym nieco czole rosły dwie bliźniacze stożkowate wypukłości, które w przyszłości miały zapewne stać się rogami wielkości kciuka. Gdyby szorstka łuska widoczna na jego dłoniach nie pojawiła się również na twarzy, a skóra na szyi i karku nie zgrubiała, jak u każdego gada, to rogi nie miałyby sensu. Występowały one u niektórych jaszczurek i może w pewnych okresach odległych początków ludzkości – choć wydawało się to nieprawdopodobne – także u niektórych gatunków zwierząt ziemnowodnych. Pozostałe elementy strasznej twarzy Erica były ludzkie lub może bardziej – małpie. Rachael zaczęła niejasno przeczuwać, że w Ericu skupiły się dziesiątki milionów lat genetycznego dziedzictwa, że każdy stopień ewolucji walczył teraz o dominację w jego organizmie; dawno zapomniane formy życia w całej swej mnogości prowadziły walkę o powrót do świata przyrody, jakby komórki Erica zdolne były pomieścić ich materiał genetyczny.

– Rachael – powtórzył, ale nie ruszył się z miejsca. – Chcę... Chcę...

Zdaje się, że nie mógł znaleźć słów, by dokończyć myśl, a może po prostu nie wiedział, czego chce.

Rachael też stała jak wryta, częściowo dlatego, że paraliżował ją strach, częściowo zaś z chęci zrozumienia, co się z nim stało. Jeśli istotnie wielość gatunkowych pamięci wewnątrz materiału genetycznego pchała go w przeciwnych kierunkach, jeśli rozwój zmierzał w stronę jakiegoś podludzkiego stanu świadomości, w którym obecny wygląd i intelekt zachowałyby dominację nad życiem komórkowym, to wtedy każda zmiana wewnątrz jego organizmu byłaby funkcjonalna, a jej cele w oczywisty sposób związane z tą lub inną przedludzką formą. Ale to chyba jednak nie zachodziło. Pulsujące żyły na jego twarzy, guzowate narośle i różne wklęsnięcia wyglądały na przypadkowe, nie występujące u żadnej ze znanych istot na drabinie ewolucji. To samo dotyczyło garbu na plecach Erica. Rachael podejrzewała, że – oprócz walczących ze sobą o dominację różnych form – także zmutowane geny czyniły w organizmie Erica nieuzasadnione zmiany lub pchały go w stronę jakiejś obcej formy życia, znacznie odbiegającej od gatunku ludzkiego.

– Rachael...

Miał niezwykle ostre zęby.

– Rachael...

Szaroniebieskie tęczęwki jego oczu nie były już okrągłe, lecz wydłużyły się, przypominając teraz owalne, pionowo ustawione tęczęwki węży. Nie były to całkowicie oczy węża, gdyż przemiana jeszcze się nie zakończyła, ale już znacznie różniły się od ludzkich oczu.

– Rachael...

Jego nos zapadł się jakby w głąb twarzy, wskutek czego bardziej wyeksponowane były nozdrza.

– Rachael... proszę... proszę...

W patetycznym geście podniósł w jej stronę mocarną łapę, a w jego chrapliwym głosie wciąż pobrzmiwała nuta żalości i litowania się nad sobą. Ale pojawił się w nim też nowy akcent, wyraźniejszy nawet niż ton miłości i pożądania, który jego samego jakby zdawał się zdumiewać nie mniej niż Rachael.

– Proszę... proszę... chcę...

– Eric – odezwała się Rachael, a jej głos zabrzmiał równie dziwnie jak głos Erica, był zabarwiony lękiem i smutkiem. – Czego chcesz?

– Chcę... ja... ja chcę... ja nie chcę być...

– Tak?

– Boję się.

Nie wiedziała, co ma powiedzieć.

Eric zrobił krok w jej stronę. Natychmiast cofnęła się.

Eric zrobił kolejny krok do przodu i Rachael zauważyła, że stawianie stóp na chodniku sprawiało mu trudności, jakby buty kryły zdeformowane, zwierzęce łapy.

Cofnęła się jeszcze o krok, by zmniejszyć przewagę Erica.

Cedząc słowa, jakby ich artykulacja sprawiała mu agonizujące cierpienie, wyrzekł:

– Ja... chcę... żebyś...

– Eric – powtórzyła delikatnie i współczująco.

– ...żebyś... żebyś...

Wykonał następne trzy chwiejne kroki w jej stronę, na które Rachael odpowiedziała czterema wstecz.

Głosem mężczyzny uwięzionego w piekielnej pułapce powiedział:

– Nie... nie odrzucaj mnie... nie odrzucaj... Rachael... nie...

– Eric, nie mogę ci pomóc.

– Nie odrzucaj mnie.

– Tobie nie można pomóc, Eric.

– Nie odrzucaj mnie... znów.

Nie miała przy sobie broni. W jednej ręce trzymała kluczyki od samochodu, a w drugiej torebkę. W duchu wściekała się na siebie, że zostawiła w samochodzie pistolet. Cofnęła się jeszcze bardziej.

I wtedy z dzikim okrzykiem wściekłości na ustach, który zmroził Rachael mimo czerwcowego żaru, Eric rzucił się na nią.

Cisnęła w jego głowę torebką, odwróciła się i pognąła na pustynię ze wszystkich stron otaczającą parking. Jej nogi zapadały się w miękkim piasku i omal nie zwicznęła kostek, ratując się przed upadkiem. Co chwila wpadała na rozsiane tu i ówdzie karłowate krzaki, które raniły jej łydki. Zdołała jednak zachować równowagę i biegła przed siebie; biegła z wiatrem w zawody, wtuliwszy głowę w ramiona, rytmicznie wymachując zgiętymi w łokciach rękami; biegła, by ocalić życie.

Kiedy Eric zobaczył Rachael na chodniku koło toalety, jego pierwsza reakcja zaskoczyła go. Widząc jej śliczną buzię, tycjanowskie włosy i cudowne ciało, obok którego niegdyś leżał, nieoczekiwanie odczuwał, że tak źle ją traktował. Wypełniło go nieznośne poczucie wielkiej straty. Pierwotna złość, od której aż się gotował, minęła, a powróciły bardziej ludzkie – aczkolwiek wątle – uczucia. Z oczu trysnęły mu łzy. Nie potrafił wydobyć z siebie głosu nie tylko ze względu na zmiany w budowie narządów mowy, ale i z powodu nagłych wyrzutów oraz rozpaczliwego uczucia samotności.

Ale ona znów go odrzuciła, potwierdzając jego najgorsze podejrzenia, zostawiając go w udręce i rozpacz nad samym sobą. Zimna wściekłość prehistorycznej świadomości, niczym fala na wzburzonej rzece niosącej topniejące lody, ponownie zalała jego wnętrze. Momentalnie zniknęło pragnienie, by gładzić ją po włosach i czule dotykać delikatnej skóry jej dłoni. Zastąpiło je coś silniejszego od pożądania – głębokie pragnienie zadania jej śmierci. Chciał wypruć jej flaki, zanurzyć usta w jeszcze ciepłym mięsie i na koniec obwieścić swój ostateczny tryumf przez oddanie moczu na jej szczątki. Rzucił się więc na Rachael, wciąż pragnąc jej, lecz już w innym celu.

Kobieta zaczęła uciekać. Pobiegnął za nią.

Instynkt, gatunkowa pamięć niezliczonych pościgów i polowań – wspomnienia żyjące nie tylko w jego umyśle, ale także we krwi – dawały mu pewną przewagę. Dopadnie jej. To tylko kwestia czasu.

Rachael, ta arogancka bestia, była szybka, ale ludzie kierowani strachem i instynktem przetrwania zawsze są szybcy; szybcy przez chwilę, ale nie na zawsze. Opanowani przez lęk, nigdy zresztą nie bywają tak przebiegli jak ich prześladowcy. Miał w tych sprawach doświadczenie. Żałował, że nie zdjął butów, gdyż krepowały teraz jego ruchy. Na szczęście poziom adrenaliny miał na tyle wysoki, że blokował on uczucie bólu w zdrętwiałych palcach i wykrzywionych piętach, chwilowo nie odczuwał dyskomfortu.

Zwierzyna uciekała na południe, choć nie było tam nic, co mogłoby jej dać najmniejszą nawet nadzieję na znalezienie schronienia. Na przestrzeni, która rozciągała się między parkingiem a odległymi górami, żyły tylko stworzenia, które wiją się i pełzają, kłują, i kąsają, a czasami – by przeżyć – zjadają własne młode.

Rachael przebiegła zaledwie kilkaset metrów, a już dostała zadyszki, nogi zaś ciążyły jej, jakby ktoś nappełnił je ołowiem.

Nie była w złej formie fizycznej, to tylko pustynny żar tak bardzo dokuczał, iż mogło się zdawać, że jest materialny, a poruszanie się w nim – równie trudne jak marsz po szyję w wodzie. Upał nie tyle płynął z nieba, gdyż prawie całe zasłoniły już chmury, lecz od dołu, z nagrzewanego przez słońce od samego rana piasku. Dopiero przed godziną lub dwiema napłynęły obłoki i przesłoniły słońce, dzień był wciąż ciepły – temperatura wynosiła zapewne około trzydziestu kilku stopni Celsjusza – ale nagrzane tuż przy powierzchni powietrze miało na pewno ponad czterdzieści stopni. Rachael czuła się tak, jakby stąpała po palenisku.

Odwróciła głowę.

Eric był około dwudziestu metrów za nią.

Znów, patrząc przed siebie, przyspieszyła. Ruszała nogami jak tylko potrafiła najszybciej, dając z siebie wszystko, tnąc ścianę żaru tylko po to, by napotkać następną i następną... Wdychała gorące powietrze, aż wyschły jej usta, język przyrósł do podniebienia, zaczęło drapać w gardle i palić w płucach. Przed nią rozciągał się szpaler skarłowaciałych *mesquite*, prawie trzydzieści metrów w obie strony. Nie miała ochoty ominąć przeszkody, ponieważ mogłaby stracić swą przewagę nad Erikiem. *Mesquite* sięgały jej tylko do kolan i nie rosły ani zbyt gęsto, ani szeroko. Wskoczyła więc między krzaki; dopiero wówczas okazało się, że jednak rosły ciaśniej, niż to wyglądało na pierwszy rzut oka, a szerokość szpaleru przekraczała pięć metrów. Kolczaste, oleiste rośliny kłuły ją w łydki i chwytaly za spodnie, opóźniając ucieczkę z taką zaciętością, jakby stronniczo działały na korzyść Erica. Pulsujące szybko serce kobiety zaczęło bić jeszcze mocniej, zbyt mocno, gdyż czuła ból w piersiach. Wreszcie pokonała szpaler *mesquite*; setki kolców i listków poprzyczepiało się jej do spodni i skarpetek. Znów zwiększyła tempo, pot lał się z niej strumieniami, smakowała go w kącikach ust i wycierała dłonią z czoła, zanim zdążył zalać jej oczy i zasłonić widok. Jeśli nadal będzie się tak bardzo pocić, grozi jej niebezpieczne odwodnienie organizmu. Już zaczynała widzieć mroczki przed oczami, mieć nudności i czuć zbliżające się zawroty głowy. Nie przestawała jednak poruszać nogami i biec po jałowej ziemi, gdyż nie pozostało jej nic innego.

Obejrzała się raz jeszcze.

Eric był coraz bliżej. Teraz dzieliło go od niej tylko piętnaście metrów.

Z wielkim wysiłkiem Rachael odnalazła w sobie ukryte głęboko zapasowe pokłady energii i natychmiast je uruchomiła.

Podłoże nie było już tak zdradliwie miękkie, twardniało i przechodziło w skałę; szeroką, płaską, nagą skałę, przez całe wieki trawioną wiatrem i piaskiem, czego śladem były między innymi setki drobnych, spiralnych żłobień. Dzięki nim Rachael nie ślizgała się na kamieniu i znów mogła przyspieszyć. Na razie bała się myśleć, co będzie, gdy – już niedługo – zabraknie jej sił i nastąpi odwodnienie organizmu. Należało myśleć pozytywnie – to jest klucz do zwycięstwa. Przebiegła pięćdziesiąt metrów, pewna, że zwiększa się dystans między nią a Erikiem.

Obejrzała się po raz trzeci i mimowolnie krzyknęła z rozpaczy: Eric był jeszcze bliżej. Odległość wynosiła już tylko dziesięć metrów.

Wtedy potknęła się i upadła.

Skała kończyła się i znów był piasek. Rachael nie zauważyła tego, gdyż nie patrzyła pod nogi, i dlatego skręciła kostkę. Próbowwała wstać, kontynuować ucieczkę, ale kontuzja nie pozwalała jej na to. Gdy tylko postawiła stopę na ziemi, poczuła straszliwy ból. „Nie!” krzyknęła i rzuciła się w bok, przeturlała się po jakichś zaroślach, kamieniach, kępkach ostrych traw i znalazła się nad brzegiem wielkiego *arroyo*, naturalnego kanału wodnego biegnącego przez pustynię. W czasie ulewnych deszczów płyną nim strugi wody niczym w prawdziwej rzece, ale przez większą część roku – tak jak teraz – jest wyschnięty. Kanał miał około piętnastu metrów szerokości i dziesięciu głębokości. Jego ściany z obu stron łagodnie opadały na dno. Rachael zatrzymała się, rozeznała w sytuacji i pomyślała, co ma zrobić, i zrobiła to: sturlała się w dół, modląc się rozpaczliwie, by nie trafić na ostre kamienie lub grzechotnika.

Był to karkołomny czyn, który przysporzył jej wielu sińców, a kiedy z impetem spadła na dno *arroyo*, omal nie wypłuła z siebie płuc. Nie zważając na to, podniosła się, rozejrzała wokół i zobaczyła Erica – lub to coś, co kiedyś było Erikiem – patrzącego na nią znad krawędzi skarpy. Znajdował się mniej więcej dziesięć metrów nad nią, ale dziesięć metrów w pionie wydawało się stanowić dużo większy dystans niż tyleż metrów w poziomie. To tak, jakby Rachael stała na ulicy, a Eric wyglądał na nią z dachu dwupiętrowego domu. Własna odwaga i niepewność Erica znowu dały jej przewagę. Gdyby od razu sturlał się za nią, na pewno już by jej dopadł.

Tę przewagę musiała teraz wykorzystać. Odwróciła się w prawo i, uważając na skręconą kostkę, pobiegła przed siebie po płaskim dnie kanału. Nie wiedziała, dokąd zaprowadzi ją *arroyo*, ale wiedziała, że nie wolno jej się zatrzymać. Gnała przed siebie, rozglądając się wokół za czymś, czego mogłaby użyć przeciwko swemu prześladowcy, za czymś, co uratowałoby jej życie, za czymkolwiek...

Za czymkolwiek.

Trzeba jej było cudu.

Kiedy zaczynała biec, spodziewała się, że Eric skoczy za nią na dno wąwozu, ale on nie zrobił tego. Ruszył natomiast wzdłuż krawędzi skarpy i, patrząc z góry, metr za metrem podążał jej śladem.

Rachael podejrzewała, że i on szuka czegoś, co dałoby mu przewagę.

Nowi ludzie

We wtorek o szesnastej trzydzieści, dzięki pomocy biura szeryfa okręgu Riverside, które pożyczyło im samochód wraz z kierowcą, Sharp i Peake byli już w Palm Springs. Wynajęli dwa pokoje w motelu przy Palm Canyon Drive.

Sharp zadzwonił po Nelsona Gosserra, agenta, który został na służbie w domu Erica Lebena w Palm Springs. Gosser kupił im płaszcze kąpielowe, a ich ubrania zabrał do pralni ekspresowej. Potem z baru „Kentucky Fried Chicken” przywiózł obu mężczyznom dwie porcje kurczaka z sałatką z kapusty, frytkami i półsłodkim pieczywem.

Podczas gdy Sharp i Peake przebywali w Arrowhead, agenci federalni odnaleźli na tyłach nie zamieszkanego domu, kilka ulic na zachód od Palm Canyon Drive, czerwonego mercedesa 560 SL z przestrzeloną oponą. Samochód należał do Rachael Leben. Natomiast niebieski ford, pozostawiony przez Shadwaya w Arrowhead, doprowadził ich do wypożyczalni samochodów na lotnisku. Oczywiście, żaden z tych śladów nie mówił jednak, gdzie należy szukać poszukiwanych zbiegów.

Sharp zadzwonił na lotnisko i wezwał do telefonu pilota śmigłowca „Bell”. Naprawa sprzętu dobiegała końca. Po zatankowaniu do pełna helikopter zostanie przekazany do wyłącznej dyspozycji wicedyrektora DSA, a nastąpi to najdalej za godzinę.

Następnie Sharp zadzwonił do swych agentów w laboratorium w Riverside i innych miejscach okręgu Orange. Rozmawiając z nimi, jadł kurczaka, zdejmując jednak przyrumienioną, chrupiącą skórę, gdyż była tłusta. Nie ruszył też frytek, bo uważał, że spożywanie czegoś takiego to dopraszanie się o zawał, sałatką zaś wzgardził, ponieważ kapusta nie była świeża. W dochodzeniu uczestniczyło ponad sześćdziesięciu agentów. Sharp nie mógł rozmawiać ze wszystkimi, ale po połączeniu się z sześcioma miał dokładny obraz wszystkich aspektów sprawy.

Dochodzenie prowadziło na razie donikąd.

Same pytania, żadnych odpowiedzi. Gdzie jest Eric Leben? Gdzie się podział Ben Shadway? Dlaczego Rachael Leben była nieobecna w domu nad jeziorem Arrowhead? Gdzie wtedy przebywała? Gdzie jest teraz? Czy zachodziło niebezpieczeństwo, że Shadway i pani Leben znajdują jakieś materiały dowodzące istnienia projektu „Wildcard” i podadzą je do publicznej wiadomości?

Większość ludzi – w obliczu tylu piętrzących się i nie rozwiązanych problemów, a także wobec nieudanej, upokarzającej akcji, jaką dla Sharpa była wyprawa do Arrowhead – straciłaby chęć do jedzenia. Anson Sharp jednak z apetytem dokończył kurczaka z pieczywem. Zważywszy ponadto, że człowiek ten zaryzykował całą swoją przyszłość, podporządkowując działania agencji wykonaniu osobistej wendety na Benie Shadwayu, wydawało się nieprawdopodobne, że może on teraz położyć się i rozkoszować głębokim, niczym nie zmaconym snem niewinnego dziecka. On sam jednak, ścieląc łóżko w motelowym pokoju, nie bał się bezsenności. Potrafił zawsze – niezależnie od warunków – zasnąć, kiedy tylko przyłożył głowę do poduszki.

To w końcu człowiek, którego jedynym zainteresowaniem jest jego własna osoba, który działał tylko i wyłącznie dla swego dobra. Stąd ta niezwykła dbałość o formę fizyczną – prawidłowe odżywianie, sen, gimnastyka, pielęgnacja sylwetki. Poza tym Sharp naprawdę wierzył, że jest lepszy od innych ludzi i los mu sprzyja. Dlatego żadne niepowodzenie nie mogło wytrącić go z równowagi, jako że każdą porażkę czy rozczarowanie traktował jako coś chwilowego, przejściowego, jako jednorazową nieistotną anomalię. Liczyło się tylko gładkie pasmo awansów, sukcesów i uznania.

Zanim położył się do łóżka, Sharp polecił Nelsonowi Gosserowi, by przekazał instrukcje dla Peake’a.

Następnie zabronił centrali telefonicznej łączenia rozmów z jego pokojem, zaciągnął zasłony, zdjął szlafrok, poprawił poduszkę i wyciągnął się na materacu.

Patrząc na ciemny sufit, pomyślał o Shadwayu i roześmiał się. Biedny Shadway na pewno zachodził w głowę, jak to możliwe, żeby człowiek skazany przez sąd wojenny i wyrzucony z armii mógł zostać agentem DSA. To był bez wątpienia poważny problem dla prostodusznego Bena, który w życiu kierował się błędnym przekonaniem, że uczynki dzielą się na moralne i amoralne i że dobre są zawsze nagradzane, a złe ściągają potępienie na głowy ich sprawców. Ale Anson Sharp wiedział, że nie istnieje obiektywna sprawiedliwość i że rewanżu można się obawiać tylko wtedy, gdy pozwoli się komuś na zemstę. Wiedział również, że altruizm i przestrzeganie zasad *fair play* nie są automatycznie nagradzane, moralność zaś i amoralność to tylko puste słowa. Według Sharpa człowiek nie miał w życiu wyboru między dobrem i złem, lecz między czynem, który może przynieść jakieś korzyści, a czynem, który nie przyniesie żadnych zysków, przy czym skutki tych działań dla osób trzecich były dla niego bez znaczenia. Liczył się tylko on, *numero uno*.

Kierując się w swym postępowaniu tą prostą, egoistyczną filozofią, bez trudu usunął ze swych akt hańbiące obciążenia. Szacunek dla techniki komputerowej i jej możliwości okazały się tu nieocenione.

W Wietnamie Sharp kradł zdumiewająco bezkarnie olbrzymie ilości towarów z dostaw dla sklepu w bazie oraz dla kantyny. Jego współnikiem był elektronik z kwatermistrzostwa dywizji, kapral Eugene Dalmet. Wchodząc do systemu, mogli wyśledzić wszystkie transporty zaopatrzenia i wybrać sobie odpowiedni czas i miejsce do ich zagarnięcia. Potem prawie zawsze udawało się Dalmetowi usunąć z komputera wszystkie dane dotyczące przesyłki.

Następnie – poprzez odpowiednie polecenia w systemie – potrafił tak pokierować niczego nie podejrzewającymi biuralistami z kwatermistrzostwa, że likwidowali wszelkie dokumenty związane z transportem, tak iż nawet na papierze nie pozostawał żaden ślad po skradzionym towarze. Towar po prostu nie istniał. W tym nowym, wspaniałym świecie urzędników i zaawansowanej technologii w zasadzie nie istniało nic, jeśli nie było udokumentowane. Schemat ten działał bez zarzutu do czasu, kiedy Ben Shadway zaczął węszyć wokół Sharpa.

Odesłany w niesławie do Stanów sierżant nie rozpaczał, gdyż wioził ze sobą przyswojoną wiedzę na temat cudownej zdolności komputerów do bezśladowego usuwania danych z zapisów, do pisania historii na nowo. Nie wątpił, że uda mu się w ten sposób napisać od początku również własny życiorys.

Przez pół roku uczęszczał na kurs programowania komputerowego, poświęcał temu dnie i noce, ignorując cały świat, aż wreszcie stał się nie tylko pierwszorzędnym programistą, ale również złodziejem kodów komputerowych o niepospolitych umiejętnościach i wielkim sprycie. A były to czasy, kiedy jeszcze nie wymyślono terminu *hacker*.

Następnie znalazł posadę w agencji pośrednictwa pracy Oxelbine Placement, firmie na tyle dużej, by potrzebowała programistów, lecz na tyle małej, by dbała o swą reputację i chroniła się przed zatrudnianiem kogoś o niechlubnej przeszłości. W gruncie rzeczy ważne było tylko to, czy kandydat do pracy nie popełnił w cywilu czynów przestępczych. Poza tym – w owych czasach, gdy ludzie nie szaleli jeszcze na punkcie komputerów i różne przedsiębiorstwa z trudem wyłapywały ludzi do ich obsługi – wystarczały kwalifikacje zawodowe.

Oxelbine miała bezpośrednie łącze z głównym komputerem w TRW, największej firmie badania wiarygodności. Akta TRW stanowiły podstawowe źródło danych dla mniejszych tego typu agencji, tak lokalnych, jak i międzystanowych. Oxelbine płaciła TRW za informacje o ludziach, którzy ubiegali się o samodzielne stanowiska i, gdy tylko miała okazję, redukowałą koszty własne, przekazując do TRW

wiadomości, których tam nie mieli. Na marginesie swojej pracy Sharp potajemnie wszedł do systemu TRW, szukając schematu na złamanie kodu, który blokował dostęp do banku danych firmy. Zastosował nudną metodę prób i doświadczeń, dziesięć lat później znaną każdemu hackerowi. Proces był długi i żmudny, gdyż wtedy komputery pracowały jeszcze dużo wolniej. Jednakże zdołał nauczyć się, jak wejść do dowolnego zbioru danych w systemie TRW i – co ważniejsze – odkrył, jak wprowadzać i wymazywać zapisy. W owych czasach był to jeszcze łatwy proces, gdyż nie doceniano potrzeby odpowiedniego zabezpieczania komputerów. Kiedy Sharp dostał się do własnego *dossier*, natychmiast zmienił niechlubny powód zwolnienia z armii na bardziej zaszczytny, dodał nawet kilka wyróżnień i pochwał, awansował się z sierżanta na porucznika i usunął z akt wszystkie negatywne opinie. Następnie wydał polecenie, by komputer TRW zniszczył wszystkie dane dotyczące jego osoby, które istniały na twardym dysku, i zastąpił je dopiero co wprowadzonymi.

Już bez piętna niechlubnego wyrzucenia z armii – przynajmniej w oficjalnych aktach – Sharp mógł otrzymać nową pracę w General Dynamics, głównym partnerze Departamentu Obrony. Była to posada urzędnicza i nie wymagała sprawdzenia przeszłości człowieka. Sharp uniknął więc badania ze strony FBI oraz GAO, gdzie mieli łączyć z Pentagonem i szybko odkryliby jego prawdziwą wojskową przeszłość. Sam zaś, za pośrednictwem systemu Hughesa zainstalowanego w Departamencie Obrony, zdołał wreszcie dostać się do swoich danych w MCOP, biurze kadrowym *marines*, i zmienić je tak, jak to uczynił w TRW. Potem było już zupełnie prostą sprawą polecić komputerowi w MCOP, by zniszczył jego dane na twardym dysku i zastąpił je „sprawdzonymi, poprawionymi i uaktualnionymi”.

FBI dysponowało własnymi informacjami na temat ludzi, którzy w czasie odbywania służby wojskowej dopuścili się czynów przestępczych. Wykorzystywano je do sprawdzania osób podejrzanych o łamanie prawa oraz do badania przeszłości ubiegających się o pracę w agencjach federalnych. Załatwiwszy więc sprawę z komputerem MCOP, Sharp polecił mu wysłać do FBI kopię nowo wprowadzonych danych, zaopatrując je w adnotację, że poprzednie zapisy zawierają „poważne niezgodności zniesławiające obywatela, wymagające natychmiastowego zniszczenia”. W owym czasie, kiedy jeszcze nikt nie słyszał o hackerach i możliwości oszukiwania komputerów, ludzie wierzyli w to, co mówiły do nich elektroniczne ekrany. Nawet agenci FBI, ćwiczeni przecież w nieufności, wierzyli komputerom. Sharp był więc prawie pewien, że udadzą mu się te oszustwa.

Kilka miesięcy później złożył podanie o pracę w DSA, w ramach programu szkoleniowego agencji. Czekał na efekty działań „oczyszczających” własną reputację. Udało się. W FBI sprawdzono jego przeszłość i przyjęto do DSA. I wtedy – kierowany wrodzonym pragnieniem władzy oraz makiaweliczną wprost przebiegłością – rozpoczął błyskawiczną wspinaczkę po szczeblach kariery. Nikomu nawet do głowy nie przyszło, że Sharp za pomocą komputera poprawia swoje akta personalne, przypisując sobie wszelkie zasługi i wyróżnienia starszych oficerów, którzy zginęli na służbie lub umarli śmiercią naturalną i nie mogli zaprotestować.

Teraz zagrażało mu już tylko kilka osób, które były razem z nim w Wietnamie i uczestniczyły w procesie. Dlatego, po rozpoczęciu pracy w DSA, zajął się tropieniem tych, którzy mogliby go wsypać. Trzech z nich zginęło w Wietnamie, już po powrocie Sharpa do Ameryki. Jeden został zabity kilka lat później w poronionej próbie Jimmy’ego Cartera odbicia amerykańskich zakładników w Iranie. Jeszcze jeden zmarł śmiercią naturalną. Inny dostał strzał w głowę w Teaneck, w stanie New Jersey, gdzie – po zakończeniu służby w piechocie morskiej – pracował w całodobowym sklepie wielobranżowym. Miał pecha, zaatakował go naćpany nastolatek, który chciał zwinąć kasę. Trzech kolejnych ludzi zdolnych do odsłonięcia prawdy o przeszłości Sharpa, mogących go zniszczyć, powróciło po wojnie do Waszyngtonu

i rozpoczęło kariery w Departamencie Stanu, FBI oraz Departamencie Sprawiedliwości. Z największą ostrożnością, ale nie tracąc czasu, gdyż ludzie ci w każdej chwili mogli go odkryć w DSA, Sharp zaplanował na każdym z nich morderstwo i zadanie to wykonał gładko.

Pozostały jeszcze cztery osoby – wliczając Shadwaya – które znały przeszłość Sharpa, ale żadna z nich nie miała do czynienia z instytucjami rządowymi ani w inny sposób nie mogła trafić na ślad byłego sierżanta w szeregach DSA. Oczywiście, gdyby zdobył fotel dyrektora agencji, jego nazwisko częściej pojawiałoby się w środkach przekazu i tacy wrogowie jak Shadway mogliby o nim usłyszeć i próbować go załatwić. Od pewnego więc czasu wiedział, że i tych czterech – prędzej czy później – też musi zginąć. Kiedy Shadway wmieszał się w sprawę Lebena, Sharp uznał to za kolejne zrzęcenie losu, jeszcze jeden dowód na to, że wszystko zawsze musi być tak, jak sobie Anson zażyczy.

Dlatego nie był szczególnie zdziwiony, gdy poznał historię Erica Lebena, człowieka równie upartego i zapatrzzonego w siebie jak on. Wszyscy, z wyjątkiem Sharpa, reagowali rozbawieniem lub poruszeniem na wieść o arogancji naukowca, który próbował złamać prawa boskie i prawa przyrody, który chciał oszukać śmierć. Ale Anson już dawno poznał, że w świecie zaawansowanej technologii wartości absolutne, takie jak prawda, racja, fałsz, sprawiedliwość czy nawet śmierć, wcale nie są już takie absolutne. Sharp stworzył własny życiorys poprzez manipulację elektronami, Eric Leben zaś próbował przemodelować swój organizm, manipulując genami. Dla Sharpa więc jedno i drugie stanowiło część tej samej magicznej księgi, którą można znaleźć w torbie współczesnego czarnoksiężnika.

Wyciągnięty wygodnie w hotelowym łóżku, Anson Sharp zażywał teraz snu człowieka amoralnego i był to sen znacznie głębszy, znacznie spokojniejszy od snu człowieka prawego, uczciwego i niewinnego.

Jerry Peake zdrzemnął się na chwilę. Nie spał już od dwudziestu czterech godzin, tylko biegał po górach, gdzie poznawał osobowość swego szefa, i kiedy wreszcie wrócili do Palm Springs, był za bardzo zmęczony, by zjeść posiłek przyniesiony przez Nelsona Gossera z baru „Kentucky Fried Chicken”. Wyczerpanie nie pozwalało mu także zasnąć.

Poza tym Gosser przekazał Peake'owi polecenie od Sharpa, by agent przespał się dwie godziny i o siódmej trzydzieści rano był gotów do akcji, mając dodatkowe trzydzieści minut na prysznic i ubranie się. Dwie godziny snu! On potrzebuje dziesięciu! Przecież w ogóle nie opłaca kłaść się do łóżka, by tak szybko wstać.

Ponadto Peake dręczył się wciąż nie rozwiązaniem dylematem moralnym: czy na żądanie Sharpa być jego współnikiem w planowanym zabójstwie i w ten sposób kosztem własnej duszy rozwijać karierę, czy też w razie konieczności zagrozić szefowi pistoletem, rujnując w ten sposób karierę, ale zbawiając duszę. Drugie rozwiązanie wydawało się bardziej oczywistym wyborem, z wyjątkiem jednego szczegółu – jeśli wymierzy w Sharpa, to może się zdarzyć, że go nieumyślnie zabije. Zresztą wicedyrektor jest szybszy i sprytniejszy. Peake dobrze o tym wiedział. Miał nadzieję, że chybiony strzał w stronę Shadwaya sprawi, że popadnie w taką niełaskę u szefa, iż zostanie wykluczony z dalszego udziału w śledztwie i w ten sposób rozwiąże swój dylemat, nie marnując kariery. Ale nic z tych rzeczy. Sharp trzymał go mocno w swych szponach i Peake musiał niechętnie przyznać, że nie tak łatwo mu się wyrwie.

Najbardziej martwiło go przypuszczenie, że człowiek sprytniejszy od niego już dawno znalazłby sposób, by odwrócić role na swoją korzyść. Jerry Peake, który nigdy nie znał własnej matki, nie kochany przez owdowiałego ponurego ojca, w szkole wyśmiewany przez kolegów, od dawna marzył, żeby z nieudacznika przerodzić się w zwycięzcę, z nikogo w legendę. A teraz, kiedy nadarzyła się okazja, by zacząć się wspinać, Peake nie wiedział, w którą stronę wykonać pierwszy krok.

Podniósł się i przewrócił na drugi bok.

Knuł, planował, intrygował w myślach przeciwko Sharpowi i w imię własnej kariery, ale wszystkie te plany i pomysły były bzdurne i naiwne. Tak bardzo chciałby nazywać się George Smiley, Sherlock Holmes lub James Bond, ale czuł się raczej jak Kot Sylwester nikczemnie knujący, jak by tu złapać i schrupać cwane Ptaszka Tweetie.

Kiedy wreszcie zasnął, męczyły go koszmary, w których spadał z drabin, dachów i drzew, próbując schwytać makabrycznego kanarka o twarzy Ansona Sharpa.

Ben stracił nieco czasu na zepchnięcie do rowu skradzionego samochodu i wyszukanie następnego. Byłoby samobójstwem prowadzić dalej chevette, skoro Sharp widział ten samochód i jego numery rejestracyjne. Wybór padł tym razem na nowego czarnego forda merkura, stojącego u wylotu ścieżki, która prowadziła nad jezioro, ale była na tyle długa, że żaden rybak nie mógł dostrzec Bena. Drzwi zamknięto wprawdzie na kluczyk, ale szyby nieco opuszczono dla wentylacji. W bagażniku chevette, wśród wielu innych rupieci, Shadway znalazł druciany wieszak, który teraz okazał się bardzo przydatny. Ben wyprostował drut, zostawiając na jego końcu haczyk, którym – korzystając z uchylonego okna – podniósł od środka blokadę zamka. Skradzionym w ten sposób merkurem podążył w kierunku międzystanowej autostrady numer piętnaście.

Nie zdążył do Barstow przed szesnastą czterdzieści pięć. Ze zdenerwowaniem stwierdził, że nie dogoni już Rachael na trasie. Stracił zbyt wiele czasu z powodu Sharpa. Kiedy z coraz niżej płynących chmur spadły pierwsze tłuste krople deszczu, zrozumiał, że w czasie burzy nie będzie mógł jechać tak szybko jak Rachael, poruszając się bezpieczniejszym w trudnych warunkach mercedesem, i dystans między nimi jeszcze się zwiększy. Zjechał więc z pustawej drogi do centrum Barstow i z budki przy stacji Union 76 zadzwonił do Whitneya Gavis w Las Vegas.

Zamierzał powiedzieć przyjacielowi o Ericu Lebenie, ukrytym w bagażniku samochodu Rachael. Jak dobrze pójdzie, Rachael nie zatrzyma się nigdzie po drodze i nie da mu okazji do napaści. Wtedy ten żywy trup będzie musiał poczekać w swej kryjówce, aż dojadą do Vegas. A tam Whit Gavis będzie już na niego czekał i kiedy Eric otworzy bagażnik od środka, wpakuje w niego cały magazynek ciężkiej amunicji, Rachael zaś – która nie wiedziała, co jej groziło – będzie bezpieczna.

Wszystko pójdzie dobrze. Whita w tym głowa.

Ben włożył do automatu kartę AT&T, wystukał numer i po chwili w miejscu odległym o dwieście pięćdziesiąt kilometrów, w mieszkaniu Whita, zadzwonił telefon.

Z powodu ciężkiego, wilgotnego powietrza trudno było oddychać. Na szklaną ścianę budki spadło kilka wielkich kropli deszczu.

Telefon dzwonił i dzwonił.

Mleczne dotąd obłoki przeobraziły się w szaroczarne chmury gradowe, które z kolei utworzyły skłębioną, ciemną i nieprzyjazną masę, z wielką prędkością podążającą na południowy wschód.

Telefon dzwonił, dzwonił i dzwonił.

Cholera, żeby był w domu...! – pomyślał Ben.

Ale nikt nie podnosił słuchawki. Pragnienie, żeby zastać Whita, nie pomogło. Przy dwudziestym dzwonku Ben zrezygnował.

Przez chwilę stał zrozpaczony w budce i nie wiedział, co zrobić.

Kiedyś był człowiekiem czynu i nie wahał się w sytuacjach kryzysowych. Później jego reakcją na różne nieprzyjemne obserwacje i odkrycia dotyczące świata, w którym żył, było rozwinięcie w sobie zainteresowania przeszłością, a zwłaszcza staroświeckimi kolejkami. Teraz wiedział, że to błąd – nie

można uciec od rzeczywistości, przestać z dnia na dzień być tym, kim się było dotychczas. Próba ucieczki drogo go kosztowała, wykonał wiele fałszywych kroków, za które Rachael i on sam mogli zapłacić życiem. Wszystkie te lata, kiedy udawał, że jest innym człowiekiem, stępiły mu zmysły i pozbawiły formy. Dawniej nie popełniłby takiego błędu, jak puszczenie Rachael bez sprawdzenia bagażnika samochodu; dawniej nie wpadłby w taką rozpacz po nieudanej próbie dodzwonienia się do przyjaciela; dawniej nie straciłby orientacji, co robić dalej...

Przez nabrzmiałe czarne niebo przemknęła błyskawica, ale nawet ten świetlny skalpel nie rozciął brzucha burzy.

W końcu Benny stwierdził, że nie pozostaje mu nic innego, jak kontynuować podróż, jechać dalej do Vegas w nadziei, że wszystko będzie dobrze, na przekór wrażeniu, że nadzieja jest płonna. Mógł przecież jeszcze zatrzymać się w odległym o sto kilometrów Baker i spróbować stamtąd ponownie dodzwonić się do Whita.

Może za drugim razem dopisze mu szczęście. Musi dopisać.

Otworzył drzwi budki i pobiegł do skradzionego forda. I znów błyskawica rozjaśniła pociemniałe niebo. Kanonada grzmotów przetoczyła się między niebem a oczekującą deszczu ziemią. W powietrzu unosiła się woń ozonu.

Benny wskoczył do samochodu, zatrzasnął drzwiczki, włączył silnik. I wtedy wreszcie rozpętała się burza. Miliony ton wody lały się z nieba na pustynny piasek; to był prawdziwy potop.

Grzechotniki

Rachael wędrowała po dnie szerokiego *arroyo*. Wydawało jej się, że pokonuje całe kilometry, choć w rzeczywistości przeszła kilkaset metrów. To wrażenie większego dystansu wynikało częściowo z palącego bólu w zwichniętej kostce, który wprawdzie mijał, ale bardzo powoli.

Czuła się tak, jakby weszła do labiryntu-pułapki, z którego – mimo gorączkowych poszukiwań – nigdy nie znajdzie wyjścia. Mijała liczne węższe kanały, odnóża głównego *arroyo*, wszystkie znajdujące się po jej prawej ręce. Zastanowiła się, czy skręcić w jeden z tych wąwozów, ale każdy z nich jeszcze w zasięgu jej wzroku załamywał się pod pewnym kątem, tak że nie miała pewności, czy nie zapuści się po prostu w ślepią uliczkę.

Po lewej stronie miała Erica, który biegł wzdłuż krawędzi wyschniętego strumienia, na wysokości drugiego piętra, i śledził jej bezsilną ucieczkę. Wyglądał jak zmutowany mistrz labiryntu w grze „Lochy i smoki”. Gdyby zaczął schodzić po ścianie *arroyo*, Rachael musiałaby natychmiast rozpocząć wspinaczkę po przeciwległym zboczu, gdyż inaczej nie zdołałaby przed nim uciec. Jedyłą jej szansą ocalenia było znaleźć się nad nim, wyszukać kilka dużych odłamków skalnych i cisnąć nimi w prześladowcę. Tymczasem miała nadzieję, że w ciągu kilku najbliższych minut Eric nie zacznie opuszczać się na dno *arroyo*. Zanim bowiem ona rozpocznie wspinaczkę, musi odczekać jeszcze trochę, aż ustąpi ból w kostce.

Z zachodu, znad Barstow, przetoczył się głuchy grzmot: długa pojedyncza salwa, potem kolejna i jeszcze jedna, głośniejsza od poprzednich. Niebo nad tą częścią pustyni było szaroczarne jak pogorzelnisko złożone tylko z popiołów i wystygłych, zwęglonych elementów. Wypalone niebiosa opuszczały się ku ziemi niczym kłapa, która zaraz zatrzaśnie się nad wąwozem. Ciepły wiatr ponuro gwizdał i wył, ślizgając się po powierzchni pustyni. Co pewien czas jakiś podmuch wpadał do kanału, sypiąc Rachael w twarz ziarenkami piasku. Burza, która na dobre rozpetała się już na zachodzie, tu jeszcze nie dotarła, choć była już w drodze; ciężki jej zapach unosił się w naelektryzowanym powietrzu, które niedługo zaczną siekać strugi ulewnego deszczu.

Minęła zakręt i zatrzymała się, widząc kłęby suchych chwastów, które wiatr rzucił na dno *arroyo*. Popychane przez prąd zstępujący, kule pędziły prosto na nią, a towarzyszyło im przeciągłe syczenie, gwizd niemal, jakby to były żywe istoty. Chciała zejść z drogi tym najeżonym brązowym kłębom, potknęła się jednak i upadła jak długa na wyschnięte, pokryte osadem dno kanału. Padając zlekła się, że ponownie skręci bolącą kostkę, ale na szczęście uniknęła tego.

Jednocześnie usłyszała jakieś nowe hałasy. Przez chwilę myślała, że to kłęby chwastów ocierają się o siebie, pędząc niczym sfera psów po dnie kanału, ale głośniejszy łoskot skierował jej czujność na prawdziwe źródło dźwięku. Obejrzała się i uniosła głowę: ujrzała Erica zdrapującego się po ścianie *arroyo*. Widocznie czekał, aż Rachael upadnie lub trafi na przeszkodę. Teraz więc, kiedy leżała, szybko skorzystał z okazji. Zdążył już pokonać jedną trzecią wysokości i nadal zachowywał równowagę, w tym miejscu bowiem ściana nie była tak stroma jak tam, gdzie Rachael zdecydowała się opuścić na dno parowu. Schodząc Eric spowodował lawinę kurzu i kamieni, ale nie stanowiła ona dlań przeszkody. Za minutę będzie już na dnie. Wystarczy, że zrobi kilka kroków, a znajdzie się nad nią...

Przerażona tą wizją Rachael poderwała się i podbiegła do przeciwległej ściany wąwozu z zamiarem wspięcia się na górę. Uświadomiła sobie jednak, że zgubiła kluczyki od samochodu. Najprawdopodobniej Eric i tak dopadłby jej albo sama zgubiłaby się na tym pustkowiu, ale nawet gdyby jakimś cudem dotarła do mercedesa, potrzebne jej będą kluczyki.

Eric znajdował się już prawie w połowie wysokości i wciąż schodził w chmurze wzniesionego pyłu.

Rachael wróciła do miejsca swego upadku, gorączkowo szukając kluczyków i nie mogąc ich znaleźć. Nagle spostrzegła, że kawałek czegoś cienkiego i lśniącego wystaje spod suchego brązowego osadu. Najwyraźniej upadła na kluczyki i wcisnęła je ciałem w miękką glebę. Podniosła je teraz.

Eric miał jeszcze do pokonania mniej niż połowę wysokości. Wydawał z siebie dziwny dźwięk: cienkie, przenikliwe zawodzenie – pół szept, pół wrzask.

Po niebie przetoczył się grzmot, teraz już trochę bliżej. Rachael znów rzuciła się w stronę przeciwległej ściany, wkładając kluczyki do kieszeni dzinsów. Wciąż pociła się obficie, z trudem łąpała powietrze, oblizywała spieczone wargi i udawała, że nie czuje bólu w piersiach. Przeciwległe zbocze było równie łagodne jak ściana, po której schodził Eric, ale wspinanie się jest trudniejsze, zwłaszcza ze zwchniętą kostką. Po przebyciu kilku metrów – aby utrzymać równowagę i nie odpaść od ściany – musiała desperacko użyć rąk i kolan, i stóp.

Pełne grozy wycie Erica było coraz bliżej.

Bała się odwrócić głowę. Do krawędzi kanału zostało pięć metrów.

Szybsze poruszanie się utrudniała miękkość podłoża. W niektórych miejscach wyschnięta, krucha ziemia rozsypywała się pod jej stopami i dłońmi, gdy próbowała znaleźć pewny punkt oparcia. Żeby utrzymać dystans, który zdobyła, musiałaby być pajakiem. Panicznie bała się, że nagle odpadnie od ściany i polecą na dno wąwozu.

Do krawędzi *arroyo* pozostały prawie cztery metry, a więc musiała znajdować się na wysokości drugiego piętra.

– Rachael – usłyszała za sobą chrapliwy głos niby-Erica i przeszły ją ciarki.

Nie patrz w dół, nie patrz, nie patrz, na miłość boską, nie patrz...

Pionowe kanaliki erozyjne przecinały ścianę na całej jej wysokości. Niektóre miały kilka centymetrów szerokości i głębokości, inne kilkadziesiąt. Należało trzymać się od nich z daleka. Tam gdzie znaczyły zbocze zbyt blisko siebie, ziemia była szczególnie krucha i groziła osypaniem się pod ciężarem Rachael.

Na szczęście tu i ówdzie przebiegały pasma prążkowanego kamienia – różowe, szare, brązowe, z żyłami czegoś, co wyglądało na kwarc. To były zewnętrzne krawędzie warstw geologicznych, które erodujący *arroyo* zaczynał dopiero odsłaniać. Tam znalazła dobre punkty oparcia.

– Rachael...

Wyciągnęła rękę, by złapać wystający z miękkiej ziemi tuż nad jej głową kawałek skały. Miała nadzieję, że nie będzie on na tyle kruchy, by zarwać się pod jej ciężarem. Ale zanim zdążyła go dotknąć, poczuła, że coś trąca ją w prawą piętę. Dłużej nie mogła się wzbraniać, teraz musiała już spojrzeć za siebie. Dostrzegła – wielki Boże! – niby-Erica, który stał na zboczu tuż za nią, jedną ręką podpierając się o skarpe, a drugą starając się złapać ją za piętę. Brakowało mu tylko dwóch – trzech centymetrów.

Z przerażającą zręcznością – właściwą bardziej zwierzęciu niż ludzkiej istocie – Eric poderwał się i rzucił na ścianę wyżej. Jego ruchy cechowała niezwykła sprawność. Znów wyciągnął rękę. Był już tak blisko, że mógł nie tylko chwycić ją za piętę, ale nawet za łydkę. Jednakże Rachael też nie ruszała się jak leniwiec. Jak na swoje możliwości, szybko reagowała na zbliżanie się swego prześladowcy. Wysoki poziom adrenaliny wyzwolił w niej nowe siły. Złapała oburącz występ skalny i, desperacko dźwigając się całym swym ciężarem – mimo braku pewności, czy skała to wytrzyma – oderwała się od skarpy. Zawisła w powietrzu i natychmiast podciągnęła kolana. Potem z impetem wyprostowała je, mierząc obcasami w wyciągniętą dłoń niby-Erica i miażdżąc jego długie, kościste, zmutowane palce.

Stwórz wydobył z siebie niehumaniczny ryk.

Kopnęła jeszcze raz.

Rachael spodziewała się, że Eric odpadnie od ściany, ten jednak trzymał się mocno, znów skoczył w jej stronę i z rozmachem uderzył ją pięścią w lewą stopę, wydając przy tym tryumfalny wrzask.

Niemal w tej samej chwili Rachael ponownie go kopnęła, tym razem jedną nogą w ramię, a drugą – prosto w twarz.

Usłyszała trzask rozdieranego materiału, a następnie poczuła pieczenie w łydce. Domyśliła się, że potwór, nie zważając na kopniaki, przebił szponami jej dżinsy.

Po chwili ryknął jednak z bólu, stracił wreszcie równowagę i przez chwilę wisiał, trzymając się spodni Rachael. Potem jego szpony złamały się, tkanina rozerwała do końca i stwór spadł na dno *arroyo*.

Rachael nie traciła czasu na obserwację, jak prześladowca znów wspina się po skarpie, tylko od razu skoncentrowała się na swym najważniejszym zadaniu – wejściu na występ skalny, na którym niepewnie wisiała. Pulsowanie bólu przesywającego jej ramiona odpowiadało rytmowi, w jakim dziko waliło serce. Naprężone mięśnie rwały, odmawiając posłuszeństwa. Zaciśnęła zęby i zaczęła oddychać przez nos tak energicznie, że przypominało to chrapanie konia. Następnie podciągnęła się na rękach, stopami wspierając o ścianę. Nie było jej stać na lepszą asekurację. Dzięki wytrwałości i determinacji, wzmocnionym motywującym do działania strachem – wspięła się wreszcie na występ.

Była wyczerpana, wszystko ją bolało, ale nie pozwoliła sobie na odpoczynek. Podciągnęła się ostatnie trzy metry, znajdując punkty oparcia dla stóp i dłoni, w kończących się już odkrywkach skalnych i między odsłoniętymi przez erozję korzeniami *mesquite*, które rosły na krawędzi wąwozu. I tak dotarła na sam jego skraj, precyzyjnie się przemieszczając przez wyrwę w zaroślach i padła na piasek.

Z nieba spłynęła na ziemię, niczym schody dla zstępującego bóstwa, błyskawica i wszystkie rosnące wokół rośliny rzuciły wokół siebie gigantyczne, lecz przemijające, cienie. Potem nadszedł grzmot, głuchy i głęboki. Rachael, leżąc na plecach, poczuła jego wibracje.

Przesunęła się na skraj przepaści, modląc się w duchu, żeby niby-Eric wciąż leżał nieruchomo, już naprawdę martwy, na jej dnie. Może upadł na skałę? Na dnie kanału było dużo skał. To możliwe. Może wyładował na jednej z nich i skrzył sobie kark?

Spojrzała w dół: niby-Eric znajdował się w połowie wysokości ściany.

Kolejna błyskawica oświetliła jego zdeformowaną twarz, posrebrzając niehumaniczne oczy, a na ostrych zębach potwora kładąc drobne błyski, podobne do wyładowań elektrycznych.

Rachael zaczęła ryc czubkami butów miękką ziemię i zrzucić grudy, wraz z wyrwanymi przy tym krzakami, na głowę potwora. Ten jednak uporczywie trzymał się poprzecinanego żyłami kwarcu występu skalnego, chowając tylko głowę pod spód, dla ochrony przed spadającymi nań bryłami piaszczystego, pełnego łydy i korzeni gruntu. Rachael przestała kopać ziemię, rozejrzała się za kamieniami, znalazła kilka, wszystkie wielkości jaja, i rzuciła nimi w dłonie niby-Erica. Trafiony, puścił się występu, ale nie spadł na samo dno, gdyż zdołał zaczepić się pod skałą, w miejscu gdzie Rachael nie zdołała go już dosięgnąć.

Mogła tak czekać długo, nawet całymi godzinami, aż znowu się pojawi, i wtedy ponownie bombardowanie, tylko co by to dało? Zmarnowałyby tylko czas i energię, a gdy zabrakłoby już w zasięgu jej ręki kamieni, Eric ze zwierzęcą zwinnością, nie zważając na grudy ziemi – jedyny oręż, jaki by pozostał Rachael – wspiąłby się na powierzchnię i wykończył ją.

Niewidzialny niebiański moździerz znów wypalił i w górze po raz trzeci rozlało się światło błyskawicy. Tym razem nastąpiło to na znacznie mniejszej wysokości, zaledwie kilkuset metrów.

Następnie rozległa się donośna, godna Armageddonu, pełna trzasków salwa – niczym głos Śmierci, mówiącej językiem elektryczności.

Obojętny na grzmoty i błyskawice, ośmielony zawieszeniem ataku, niby-Eric wystawił rękę spod krawędzi występu.

Rachael natychmiast odpowiedziała zrzuceniem kolejnych zwałów ziemi. Potwór cofnął rękę, która znów zniknęła pod skałą, ale kobieta nie przestała ryc miękkiej krawędzi kanału, aż wreszcie olbrzymia masa gruntu zapadła się pod jej nogami, o mało co nie pociągając jej ze sobą na dno wąwozu. Rachael zdążyła jednak w porę się cofnąć, unikając katastrofy, choć straciła równowagę i wylądowała twardo na pośladkach. Miała nadzieję, że widząc takie zwały ziemi zsuwające się po skarpie, prześladowca dłużej pomyśli, zanim znów wychyli się spod występu. Jego ostrożność dałaby jej kilka minut przewagi. Wstała więc i zaczęła biec przed siebie po rozpalonym piasku pustyni.

W nadwężonych mięśniach nóg poczuła znów klucie i rwanie. Prawa kostka zupełnie już zeszywniała, a łydka – tam gdzie niby-Eric podrapał ją pazurami – paliła piekielnym ogniem.

Usta miała tak suche jak jeszcze nigdy dotąd, a gardło wprost pękało. W płucach czuła żar gorącego pustynnego powietrza, które wciągała głębokimi, nerwowymi haustami.

Nie uległa pokusie spoczynku, nie mogła sobie pozwolić na narażanie życia dla kilku sekund relaksu. Biegła wciąż przed siebie; wolniej niż przedtem, ale najszybciej jak tylko potrafiła.

Zobaczyła, że teren zaczyna być bardziej urozmaicony: płaska równina przechodziła w skupisko niewysokich wzgórz i dolin. Musiała teraz to wspinać się, to zbiegać; szukała przy tym takiej drogi, by – wykorzystując ukształtowanie terenu – zgubić Erica, zanim ten wygrzebie się z *arroyo*. Wreszcie znalazła wąwóz, biegnący jej zdaniem na północ, i postanowiła w nim pozostać, podążając wciąż naprzód. Oczywiście, w czasie tej szaleńczej ucieczki mogły się jej pomylić kierunki, ale zakładała, że – chcąc wrócić do mercedesa odległego teraz o co najmniej półtora kilometra – musi iść najpierw na północ, a potem na wschód.

I znów błyskawica...

Tym razem wylądowanie trwało niezwykle długo, przynajmniej dziesięć sekund, a świecąca na granicy nieba i ziemi nitka popłynęła z południa na północ, jakby była przewleczona przez ucho niewidzialnej igły, która miała zeszyć mocno i na zawsze te dwa światy.

Błysk i empirejski grzmot, który po nim nastąpił, wystarczyły, by sprowadzić wreszcie deszcz. Twarde krople spadały na Rachael, kłując ją w twarz, niszcząc fryzurę, ale przynosząc też upragnioną ochłodę. Polizwała spierzchnięte, mokre usta, dziękując niebiosom za ten dar.

Kilkakrotnie jeszcze obejrzała się za siebie, pełna obaw, że ujrzy Erica, ale nigdzie go nie było.

Zgubiła go. I nawet jeśli zostawiła za sobą ślady stóp, to teraz zmyje je deszcz. Wilgoć mogła być również jej sprzymierzeńcem i w takim wypadku, gdyby Eric – w swej zwierzęcej postaci – miał wyostrzony węch. Krople deszczu niewątpliwie rozmyją w powietrzu jej zapach. Gdyby zaś zmienione oczy Erica widziały teraz lepiej niż poprzednio, to mrok i strugi deszczu skutecznie przesłonią perspektywę.

– Uciekłaś mu – powiedziała do siebie, pędząc na północ. – Będziesz bezpieczna.

Może miała rację. Ale nie wierzyła w to.

Parę kilometrów za Barstow deszcz nie tylko wypełnił świat, ale i sam stał się światem. Wszystkie dźwięki, oprócz miarowego tarcia wycieraczek o przednią szybę, pochodziły od ulewy: nieprzerwane bębnienie na dachu samochodu, walenie strug wody z dużą prędkością o szyby, szum mokrej nawierzchni pod kołami forda. Na zewnątrz wygodnego, choć wypełnionego nagle wilgocią pojazdu zrobiło się

ciemno. Prawie całe światło słońca skryło się za burzowymi chmurami i niewiele było widać przez kaskady deszczu. Czasami wiatr dmuchał na nie jak na zasłony w otwartym oknie, a wtedy szare przejrzyste warstwy gnały falującym ruchem po nie zamieszkanym pustynnym dywanie, kładąc się jedna na drugiej. Kiedy się błyskało, a następowało to teraz z niepokojącą częstotliwością, biliony kropelek jaśniały przez kilka chwil srebrzystym światłem, i wyglądało to tak, jakby na pustynię Mojave padał śnieg, czasami jednak oświetlany błyskawicami deszcz przypominał bardziej wzburzony górski potok.

Opad nasilił się tak bardzo, że wycieraczki nie nadążały z usuwaniem wody z przedniej szyby. Pochylony nad kierownicą Ben wyteżał wzrok, ale droga była ledwo widoczna. Włączył światła drogowe, jednakże nie poprawiły one widoczności. Natomiast światła nadjeżdżających z przeciwka aut, choć nie było ich wiele, załamywały się na powleczonej wodą powierzchni szyby i raziły Shadwaya w oczy.

Zwolnił do sześćdziesięciu, potem do pięćdziesięciu kilometrów na godzinę, aż wreszcie zjechał na pobocze i, nie wyłączając silnika, włączył światła awaryjne. Najbliższy parking znajdował się w odległości ponad trzydziestu kilometrów. Od chwili kiedy nie udało mu się złapać w domu Whitneya Gavisa, niepokój o Rachael sięgnął zenitu. Benny był świadom uciekającego czasu, wiedział jednak, że teraz nie pozostaje mu nic innego, jak przeczekać burzę. Jazda w tych warunkach byłaby co najmniej nierozsądna. Gdyby stracił panowanie nad samochodem na tej mokrej nawierzchni, dostał się pod jedną z tych olbrzymich ciężarówek, które dominowały dziś na drodze, i zginął, to nigdy już nie mógłby pomóc Rachael.

Minęło dziesięć minut takiej ulewy, jakiej Benny jeszcze nie widział w swoim życiu, i zaczynał się już zastanawiać, czy ta burza kiedykolwiek się skończy. I nagle spostrzegł, że w rowie wykopanym wzdłuż pobocza pojawiła się wezbrana fala brudnej wody. Autostradę wzniesiono na skarpie, więc zalanie jej nie groziło, ale woda mogła po wystąpieniu z kanału zająć znaczne połacie pustyni. Patrząc dalej przez boczną szybę samochodu, ujrzał czarny sinusoidalny kształt, wijący się gładko po żółtobrazowej powierzchni wody, potem jeszcze jeden podobny kształt i dwa następne. Przez chwilę patrzył na nie zdumiony, aż zrozumiał, że muszą to być grzechotniki porwane przez falę, która zalała ich siedliska. W najbliższej okolicy znajdowało się zapewne kilka gniazd węży, gdyż po chwili pojawiło się ich całe mnóstwo. Pływały teraz w poprzek wezbranego strumienia, kierując się w stronę wyżej położonej i suchszej powierzchni. Kiedy wreszcie osiągnęły przeciwległy brzeg kanału, spłoty swe oślizgłe ciała, nieprzerwanie wijąc się i skręcając, tworząc spazmatycznie drgającą masę, jakby nie były pojedynczymi stworzeniami, lecz częściami rozerwanej przez wezbrane wody całości, która pragnie teraz na powrót się połączyć.

Błysnęło.

Wijące się grzechotniki, niczym włosy zapomnianej skądinąd Meduzy, wyglądały w stroboskopowym świetle błyskawicy bardziej dramatycznie, ich połyskliwe ciała poruszały się z większą wściekłością.

Widok ten zmroził Bena do szpiku kości. Odwrócił wzrok od węży i wlepił go w drogę przed sobą. Z minuty na minutę opuszczał go optymizm, a wzrastała rozpacz. Niepokój o Rachael osiągnął takie szczyty i natężenie, że ogarnęły go wewnętrzne, psychiczne dreszcze. Siedział więc tak w skradzionym samochodzie pośród ulewnego deszczu, gdzieś pośrodku zaatakowanej przez burzę pustyni...

Ulewa na pewno zatarła wszystkie ślady, jakie Rachael mogła zostawić, ale pogorszenie pogody miało i swoje ujemne strony. Wprawdzie temperatura spadła tylko o parę stopni i nadal było dosyć ciepło, to jednak Rachael – choć nie czuła chłodu – przemokła już do suchej nitki. A to jeszcze nie wszystko. Deszcz lał strumieniami, co w połączeniu z panującym mrokiem utrudniało orientację w terenie. Nawet

gdy odważyła się na opuszczenie kotliny i wdrapała się na skarpe, by określić swoje położenie, słaba widoczność nie utwierdziła jej w przekonaniu, że zmierza we właściwym kierunku i wkrótce znajdzie się przy swoim mercedesie. Co gorsza, błyskawice rozdierały czarne chmury z taką częstotliwością, że kobieta doszła do wniosku, iż tylko kwestią czasu jest, kiedy jeden z towarzyszących im piorunów trafi ją wreszcie i zamieni w kupkę popiołu.

Ale najgorsze ze wszystkiego były związane z ulewą dźwięki: szum, brzęczenie, huk, łomot, gulgotanie, kapanie, mruczenie i głucho bębnienie, które skutecznie zagłuszyłyby każdy odgłos wydany przez zbliżającego się niby-Erica. Istniało więc duże niebezpieczeństwo, że Rachael może zostać przez niego zaatakowana z zaskoczenia. Kobieta wciąż oglądała się za siebie, jak również zerknęła na szczyty wzniesień otaczających dolinę, po której dnie biegła. Przed każdym zakrętem zwalniała w obawie, że czai się za nim niby-Eric, że wyłoni się z mrocznej ściany deszczu, ze świecącymi oczami, i chwyci ją w swe szkaradne łapy.

Ale kiedy niespodziewanie natknęła się na niego, potwór nie spostrzegł jej. Wybiegła właśnie zza jednego z tych zatrważających zakrętów i ujrzała go w odległości pięciu, może dziesięciu metrów. Klęczał na środku doliny i był zajęty czymś, czego Rachael nie mogła zrazu pojąć. Ze zbocza wyrastała oszlifowana przez wiatr, pełna okrągłych żłobień formacja skalna w kształcie klina. Kobieta szybko schowała się za nią, by pozostać nie zauważoną. W pierwszej chwili chciała zawrócić na pięcie i pobiec w drugą stronę, ale zaintrygowała ją przedziwna pozycja niby-Erica. Nagle bardzo ważne stało się dla niej to, by dowiedzieć się, co on robi. Obserwując go z ukrycia, mogłaby spostrzec coś, co być może pomogłoby jej w ucieczce, a nawet w przyszłości dało przewagę w czasie konfrontacji. Zaczęła więc badać podziurawioną skałę, aż znalazła wyżłobiony przez wiatr duży, prawie dziesięciocentymetrowej średnicy, otwór na wylot, przez który mogła obserwować niby-Erica.

Stwór wciąż klęczał na mokrej ziemi, pochylony, a deszcz siekał jego szerokie, garbate plecy. Wyglądał, jakby... się zmienił. Nie przypominał już tego człowieka, którego spotkała przed toaletą. Był strasznie zdeformowany, jak poprzednio, ale w inny sposób. Subtelna różnica, niemniej istotna... Co to właściwie było? Rachael patrzyła przez tulejowaty otwór, a wiatr dmuchał jej delikatnie w twarz. Wyteżyła wzrok, by lepiej widzieć. Deszcz i przytłumione światło utrudniały obserwację, odniosła jednak wrażenie, że ten, który był jej mężem, przypomina teraz mniej gada, bardziej zaś małpę. Był cięższy, niezdarzy, miał opuszczone długie ramiona i nadal długie kościste palce, zakończone pazurami.

Nie, nie, zapewne wszystkie te „zmiany” to tylko złudzenie, przecież struktura kości i mięśni nie mogła ulec tak istotnej metamorfozie w ciągu mniej niż kwadransa. A może...? W końcu... dlaczego nie? Jeśli integralność genetyczna kompletnie się u niego załamała od minionej nocy, kiedy to skatował Sarah Kiel, a wtedy jeszcze wyglądem wciąż przypominał człowieka, jeśli przez ostatnie dwanaście godzin jego twarz, ciało i kończyny mogły zmienić się tak drastycznie, to nie ulegało wątpliwości, że tempo tego przeobrażenia było tak szalone, że różnice uwidaczniały się już po upływie kwadransa.

Było to zatrważające odkrycie.

A po nim nastąpiło jeszcze gorsze: Eric trzymał w dłoniach węża. Jedną ręką chwycił gada tuż za łbem, a drugą przy końcu wijącego się ciała i jadł go żywcem! Rachael widziała rozwarłe, zwisające bezwładnie szczęki grzechotnika, zęby jadowe, połyskujące w świetle błyskawic niczym dwa kawałki kości słoniowej, widziała, jak zwierzę daremnie stara się odwrócić łeb i ukąsić dłoń niby-człowieka, który go ściska. Eric szarpał swymi ostrymi kłami wężowe mięso, poczynając od środka ofiary, i pożerał je gwałtownie. Ponieważ jego szczęki były dłuższe i cięższe od ludzkich, ich nieprzyzwoicie łapczywe ruchy – rozrywanie i przeżuwanie grzechotnika – widać było nawet z większej odległości.

Zaszokowana Rachael chciała odwrócić oczy od tego widoku, zbierało jej się na wymioty. Ale ani nie odwróciła się, ani nie zwymiotowała – obrzydzenie ustąpiło miejsca zaciekawieniu i potrzebie zrozumienia Erica.

Zważywszy, jak bardzo zależało mu na schwytaniu Rachael, niejasne było, dlaczego zarzucił pościg. Czy o niej zapomniał? Czy może ukąsił go wąż i teraz wściekle mści się na nim w myśl zasady „oko za oko”?

Ale niby-Eric nie znęcał się bynajmniej nad wężem – on go po prostu jadł, pożerał łączywie kęs za kęsem! W pewnej chwili stwór spojrział na przecinane piorunami niebo. Oświetlona błyskawicami twarz była wykrzywiona w zatrważającym wyrazie nieludzkiej ekstazy. Najwyraźniej rozkoszował się rozrywaniem węża na kawałki. Jego ciało drgało przy tym spazmatycznie. Głód niby-Erica zdawał się równie wielki i nienasycony, jak trudny do opisanego.

Deszcz szemrał, wiatr zawodził, gromy strzelały, do tego błyskawice raz po raz rozdzierały niebo. Rachael miała wrażenie, jakby patrzyła przez dziurę w ścianie piekła na demona spożywającego dusze potępionych. Serce biło jej wystarczająco silnie, by móc współzawodniczyć z szumem ulewy. Wiedziała, że powinna uciec z tego miejsca, ale zahipnotyzował ją widok diabła wcielonego w znajomą sylwetkę.

Zobaczyła drugiego grzechotnika, potem trzeciego, czwartego, piątego – wszystkie wiły się w kałużach wokół kolan niby-Erica, który klęczał przy wejściu do ich legowiska – gniazda wypełnionego już zapewne po brzegi wodą. Wężę posuwały się ruchem falistym i natrafiając po drodze na istotę człecoształtną, natychmiast rzucały się na jej uda i ręce, kęsając zapamiętale. Choć Eric ani nie krzyczał, ani nie uchylał się przed ukąszeniami, to jednak Rachael wypełniło poczucie ulgi, że już wkrótce monstrum padnie, zatrute jadem. Tymczasem potwór wyrzucił niedojedzonego węża i chwycił drugiego. Bez jakichkolwiek oznak wskazujących na zmniejszenie perwersyjnego głodu zanurzył w żywym mięsie swe ostre siekacze i znów zaczął odrywać kęs za kęsem. Może zmieniona przemiana materii pozwalała mu na przyswajanie wężowego jadu, rozkładanego w organizmie na nieszkodliwe substancje? A może zabijane przez truciznę komórki po prostu błyskawicznie się odradzały?

Po zachmurzonym niebie przemknęło kilka błyskawic i w ich blasku długie, ostre, wężowe zęby Erica załśniły jak odłamki stłuczonego lustra. Dziwnie połyskliwe oczy monstrum odbiły zimne refleksy niebieskiego ognia, a jego mokre, splątane włosy świeciły przez chwilę srebrzystą poświatą. Skąpana w deszczu twarz niby-Erica wyglądała niczym pokryta warstwą stopionego srebra, a ziemia wokół niego zaskwierczała, jakby kałuże wody były tłuszczem rozgrzanym na patelni.

Wreszcie Rachael wyrwała się z hipnotycznego uścisku, w jaki chwyciła ją przerażająca scena z wężami, odwróciła się i znów zaczęła biec na północ. Rozglądała się przy tym za jakimś odgałęzieniem wąwozu, którym – podążając na wschód – mogłaby dotrzeć wreszcie do swego mercedesa, zaparkowanego na przydrożnym parkingu.

Minęła pagórkowaty obszar i ponownie znalazła się na płaskim terenie. Była jedynym tak wysokim obiektem w tej najbardziej jałowej części pustyni. Powrócił strach, by nie trafił jej piorun. W dziwnym stroboskopowym świetle ta niegościnna i nieurodzajna kraina zdawała się podrygiwać nerwowo, jak gdyby eony aktywności geologicznej zostały sprasowane do kilku szalonych sekund.

Próbowała wejść do któregoś z *arroyo*, gdzie nie groziłoby jej porażenie piorunem, ale głęboki wąwóz wypełniała już w dwóch trzecich błotnista, spieniona woda. Flotylle skłębionych w kule chwastów i tratwy *mesquite* unosiły się, kołysząc, na grzbietach fal.

Musiała więc znaleźć drogę, która omijała sieć wzbierających strumieni. W końcu udało jej się dotrzeć do miejsca, gdzie po raz pierwszy od chwili jego śmierci spotkała Erica. Jej torebka leżała wciąż

w tym samym miejscu, Rachael podniosła ją. Mercedes też stał tam, gdzie go zostawiła.

Kilka kroków przed samochodem zatrzymała się gwałtownie, gdyż spostrzegła, że otwarty uprzednio bagażnik teraz jest zamknięty. Przestraszyła się, że Eric – a raczej to, co kiedyś było Erikiem – powrócił tu wcześniej, wszedł do bagażnika i zamknął za sobą klapę.

Stała tak przez dłuższą chwilę w ulewnym deszczu – trzęsąca się, niezdecydowana, przestraszona. Bała się podejść do samochodu. Tymczasem przydrożny parking, gdzie nie było odpowiednich studzienek odpływowych, zamienił się w małe jezioro i woda przelewała się przez cholewki do butów Rachael.

Pistolet leżał pod siedzeniem kierowcy. Gdyby zdążyła go stamtąd wyciągnąć, zanim Eric otworzy bagażnik i rzuci się na nią...

Gdzieś z tyłu brzmiało równe *staccato* kropli deszczu uderzających o blat drewnianego stołu do spożywania posiłków; dźwięki te przypominały Rachael tupot przebiegającego stada szczurów. Z dachu nad stolikami spływała deszczówka, rozpryskując się na chodniku. Wszędzie dokoła wytworzyły się jeziora, a szum ulewy narastał z minuty na minutę.

Zrobiła krok w stronę samochodu, jeszcze jeden i zatrzymała się.

A może Eric nie jest w bagażniku, tylko w środku mercedesa? Może zamknął klapę, ale sam wślizgnął się na tylne – lub może nawet przednie siedzenie i teraz leży tam cicho i spokojnie, przez nikogo nie zauważony i czeka, aż ona otworzy drzwi? Czekaj, aż będzie miał okazję zanurzyć zęby w jej mięsie tak, jak to robił z węzami?

Strugi deszczu spływały z dachu samochodu na przednią szybę, nie pozwalając na dokładne wniknięcie wzrokiem do i tak ciemnego wnętrza.

Bojąc się zbliżyć do auta, lecz i nie mniej lękając się zawrócić, Rachael zrobiła wreszcie kolejny krok do przodu.

Błysnęło. Czarny mercedes, w drgającym świetle przerażająco duży i tajemniczy, nagle skojarzył jej się z karawanem.

Gdzieś po autostradzie przemknęła z wyciem silnika ciężarówka, a jej koła zaszumiły miękko na mokrej nawierzchni.

Rachael dopadła mercedesa, otworzyła szybko drzwi od strony kierowcy i zobaczyła, że w środku nie ma nikogo. Wsunęła dłoń pod siedzenie w poszukiwaniu pistoletu. Znalazła go. Jakoś nie opuszczała jej jeszcze odwaga działania, obeszła więc samochód i zatrzymała się przy bagażniku. Wahala się tylko przez chwilę. Potem wcisnęła przycisk zamka i podniosła klapę, przygotowana na opróżnienie magazynka – gdyby czał się tam niby-Eric. Ale bagażnik był pusty, a wyścielająca go wykładzina – mokra, jakby strugi deszczu przez dłuższy czas lały się do środka. Rachael pomyślała, że widocznie klapa pozostawała tak długo podniesiona, aż zatrasnęła ją jakiś szczególnie silny podmuch wiatru.

Opuściła wieko i zamknęła bagażnik na kluczyk, po czym usiadła za kierownicą. Pistolet położyła na siedzeniu pasażera, tak żeby mieć go w zasięgu ręki.

Przekręciła kluczyk w stacyjce. Silnik zapalił bez trudu. Następnie włączyła wycieraczki, które usunęły wodę z przedniej szyby. Rozejrzała się po okolicy. Cały pejzaż wokół parkingu zlał się w jedną statyczną, wymalowaną w szaroburych barwach plamę, gdzie trochę ruchu wprowadzały tylko strumienie deszczu oraz toczony przez wiatr kule chwastów, z kolorów zaś dominowały różne odcienie czerni, szarości i brązów.

Eric nie podążał za nią.

Może w końcu grzechotniki go uśmierciły? Przecież nie sposób przeżyć tylu jadowitych ukąszeń.

Może jego genetycznie zmienione ciało, choć zdolne do regeneracji poważnie zniszczonej tkanki, nie mogło zwalczyć skutków tak silnej trucizny?

Rachael opuściła parking i wróciła na autostradę, kierując się w stronę Las Vegas, na wschód, wdzięczna losowi, że zachował ją przy życiu. Deszcz wciąż padał zbyt obficie, by można było prowadzić bezpiecznie z prędkością osiemdziesięciu czy nawet sześćdziesięciu kilometrów na godzinę, zwolniła więc i zjechała na prawy pas, pozwalając wyprzedzać się odważniejszym kierowcom. Kilometr za kilometrem starała się przekonać sama siebie, że najgorsze już minęło. Ale nie była tego tak bardzo pewna.

Ben wrzucił bieg i powrócił na autostradę.

Burza przemieszczała się szybko na wschód, w kierunku Las Vegas. Grzmoty były już słabsze, jakby dochodziły z większej odległości, przypominało to bardziej głucho dudnienie niż mrozące krew w żyłach huki i trzaski. Błyskawice, które niedawno jeszcze atakowały ziemię złowrogo ze wszystkich stron, teraz migały gdzieś w oddali, na horyzoncie. Deszcz wciąż padał intensywnie, ale nie były to już zasłaniające widoczność strugi, więc Benny mógł kontynuować jazdę.

Elektroniczny zegar na desce rozdzielczej potwierdził czas wskazywany przez zegarek mężczyzny: siedemnasta piętnaście. Nadal jednak ten letni dzień był bardziej mroczny, niż powinien być o tej porze. Zakryte burzowymi chmurami niebo spowodowało wcześniejszą szarówkę, okolica zanurzała się powoli, acz nieubłaganie w objęcia pseudozmierzchu.

Utrzymując obecną prędkość, Ben nie mógł dojechać do Vegas przed dwudziestą trzydzieści; zapewne dotrze tam dwie-trzy godziny później niż Rachael. Zwłaszcza że będzie musiał zatrzymać się w Baker, jedynym w tej części Mojave cywilizowanym miejscu, aby ponownie zadzwonić do Whitneya Gavis. Benny czuł jednak, że nie uda mu się skontaktować z przyjacielem, czuł, że dobry los opuszcza jego i Rachael.

Szał jedzenia

Eric zachował niejasną pamięć o grzechotnikach. Ich zęby zostały na jego dłoniach, ramionach i udach punktowe ranki, ale były one już dawno zaleczone, deszcz zaś zmył z przemoczonego ubrania krwawe plamy. Zmutowane wnętrzości paliły tym dziwnym, nie sprawiającym bólu ogniem nadchodzącej przemiany, co zupełnie nie pozbawiło go zdolności odczuwania krążącego w żyłach jadu. Od czasu do czasu słabły mu kolana, żołądek podchodził do gardła, oczy zachodziły mgłą lub dostawał zawrotów głowy, ale z minuty na minutę wszystkie te objawy zatrucia ustępowały. Gdy szedł przez spowitą w mroku pustynię, powracało doń wspomnienie węży: oślizgłe kształty, wijące się wokół niego jak języki ognia, szepczące coś w języku, który prawie rozumiał. Z trudem mógł uwierzyć, że węże istniały naprawdę. Kilka razy przypomniał sobie, jak – ogarnięty szałem jedzenia – odgryzał kawałki wężowego mięsa, żuł je i przełykał. Jakaś jego część reagowała na te krwawe wspomnienia z podnieceniem i satysfakcją. Inna jednak część – ta, która wciąż pozostawała Erikiem Lebenem – była zdegustowana i oburzona. Szybko przestał o tym myśleć, świadom, że jeśli tego nie zrobi, to zagrożona zostanie z trudem przywrócona jasność jego umysłu.

Szedł szybko w nie znanym mu kierunku, wiedziony jedynie instynktem. Prawie cały czas był zupełnie wyprostowany, mniej lub bardziej jak człowiek, ale czasami garbił się i powłóczył nogami, zwieszając ramiona niczym małpa. Niekiedy ogarniało go pragnienie, by opaść na wszystkie cztery kończyny i szorować brzuchem po mokrym piasku; ta dziwna żądza napawała go jednak lękiem i na razie udawało mu się jej oprzeć.

Tu i ówdzie na powierzchni pustyni paliły się cieniste ognie, ale nie ciągnęło go do nich tak jak przedtem. Nie były już tak tajemnicze i intrygujące, podejrzewał, że są to wrota do piekła. Kiedy ostatnim razem widział te eteryczne płomienie, pojawił się też od dawna nieżyjący wuj Barry, który zapewne wyszedł z nich. Eric nie wątpił, że Barry Hampstead przebywał w piekle, tak więc wszystkie drzwi prowadziły do potępienia. Kiedy Eric zginął poprzedniego dnia w Santa Ana, stał się własnością szatana i miał spędzić z Barrym Hampsteadem całą wieczność. Ale w ostatniej chwili wyrwał się z objęć śmierci i w ten sposób uratował duszę przed ogniem piekielnym. Teraz szatan otwierał przed nim te drzwi w nadziei, że kierowany ciekawością Eric przekroczy próg jednych lub drugich i wyląduje w zarezerwowanej już dla niego wypełnionej siarką, celi. Rodzice ostrzegali go, że jego potępienia za poddawanie się lubieżnym żądzom wuja oraz za późniejszy mord na swym dręczycielu dusza może pójść do piekła. Teraz wiedział, że mieli rację. Piekło było tuż-tuż. Bał się spojrzeć w jego ogień, z którego coś uśmiechało się do niego i kiwało nań.

Pędził przed siebie, tratując drobne krzaczki. Burza, niczym ścierające się armie, wypełniła przestworza kanonadą głuchych grzmotów i oślepiających błysków.

Wkrótce okazało się, że instynkt wiódł go na parking przy autostradzie, gdzie po raz pierwszy od swego zmartwychwstania spotkał Rachael. Solenoidy, które błędnie odczytały mrok jako zapadanie zmierzchu, uruchomiły lampy fluorescencyjne, zawieszane na frontowej ścianie budynku i nad wszystkimi drzwiami. Zapaliły się również latarnie na parkingu, rzucając niebieskawe światło na pokrytą kałużami nawierzchnię.

Kiedy w skąpanym w deszczu mroku ujrzał betonową sześcienne bryłę budynku z toaletami, w umyśle Erica rozjaśniło się i nagle przypomniał sobie wszystko, co dotyczyło Rachael. Pamiętał, że przejechała go ciężarówka na Main Street – i to była jej sprawka – a ponieważ gwałtowny szok śmierci wyzwolił jego niebezpieczny rozwój, ją również winił za potworną mutację swojego organizmu. Już

prawie ją miał, już prawie rozrywał jej ciało na kawałki, ale zdołała mu się wymknąć, kiedy opanował go straszliwy głód, niepohamowana potrzeba dostarczenia paliwa wyrwanemu spod kontroli metabolizmowi. Teraz, kiedy myślał o niej, czuł, że zimna, gadzia nienawiść znów zaczyna nim władać. Wydobył z siebie cienki krzyk wściekłości, który zginął jednak wśród odgłosów burzy.

Obchodząc dookoła budynek, poczuł, że ktoś jest w pobliżu. Przebiegł go dreszcz. Rzucił się na kolana i podczołgał pod betonową ścianę, gdzie znalazł się w cieniu, poza kręgiem światła rzucanego przez lampę. Podniósł głowę, wstrzymując oddech i nasłuchiwał. Wysoko umieszczone okno w męskiej toalecie było otwarte, a w środku ktoś się ruszał, potem zakaszłał, następnie Erica dobiegło cienie, słodkie podśpiewywanie: *All Alone in the Moonlight* z musicalu *Cats*. Szuranie i stukanie butów na betonowej posadzce, po czym drzwi otwarły się na zewnątrz, może ze trzy metry od miejsca, gdzie kłęczał Eric, i z toalety wyszedł mężczyzna.

Facet zbliżał się do trzydziestki, był dobrze zbudowany, z wyglądu kostyczny, miał na sobie kowbojskie buty, koszulę, dzinsy i brązowy kapelusz typu stetson. Przez chwilę, patrząc na padający deszcz, stał osłonięty daszkiem. Nagle wyczuł obecność Erica, odwrócił się w jego stronę, przestał podśpiewywać i tylko spoglądał na to monstrum, pełen niewiary i przerażenia.

Kiedy mężczyzna zwrócił się ku niemu, Eric zareagował tak szybko, jak gdyby był odbiciem błyskawicy, która zaświeciła na horyzoncie. Wysoki i barczysty kowboj mógłby być niebezpiecznym przeciwnikiem dla normalnego człowieka, który chciałby z nim stoczyć walkę, ale Eric już dawno nie był normalnym człowiekiem – on już w ogóle nie był człowiekiem. Poza tym przewagę potwora zwiększał szok, który sparaliżował mężczyznę na jego widok. Niby-Eric rzucił się na swą ofiarę i rozpruł jej brzuch wszystkimi pięcioma pazurami prawej łapy. W tym samym czasie, ściskając kowboja drugą łapą za gardło, zniszczył mu tchawicę i struny głosowe, wskutek czego ten nie zdążył nawet krzyknąć. Krew trysnęła z przerwanych tętnic szyjnych. Śmierć zajrzała w oczy mężczyzny, jeszcze zanim Eric zdążył przeorać mu pazurami cały brzuch. Kaskada parujących flaków wylała się na mokry beton, a martwy człowiek osunął się na swe gorące jeszcze wnętrzności.

Eric czuł się podniecony, wolny i potężny. Pochylił się nad ciepłymi zwłokami. Dziwne, ale zabijanie nie przerażało go już ani nie napawało wstrętem. Stawał się pierwotną bestią, której sprawiało to dziką radość. Nawet ta jego część, która pozostała ludzka, która była jeszcze Erikiem Lebenem, niezaprzeczalnie odprężyła się po dokonaniu tego mordu; odczuwała też satysfakcję z powodu niezwyklej siły i kociej zwinności zmutowanego ciała. Eric wiedział, że powinno go to szokować, przyprawiać o mdłości, ale nie miał takich objawów. Całe życie kierowała nim potrzeba dominacji nad otoczeniem, niszczenia przeciwników i teraz ta żądza znalazła wyraz w swej najczystszej formie: okrutnym, bezlitosnym zabijaniu.

Po raz pierwszy mógł sobie wyraźnie przypomnieć zabójstwo dwóch dziewcząt, którym w poniedziałek wieczorem odebrał w Santa Ana samochód. Nie czuł się już odpowiedzialny za ich śmierć, nie miał żadnych wyrzutów sumienia – ogarnęły go tylko słodkie, okrutne zadowolenie i nieopisana radość. W istocie, wspomnienie przelanej krwi, wspomnienie nagiej kobiety, którą przybił gwoździami do ściany, tylko zwiększyły odprężenie po zamordowaniu kowboja. Serce Erica biło obłądny rytm dzikiej radości.

A potem, nachylając się jeszcze bardziej nad leżącym przy drzwiach do toalety ciałem, na chwilę stracił świadomość własnego ja, świadomość istnienia jako istota rozumna, jako istota wyróżniająca czas przeszły i przyszły. Zapadł w podobny do snu stan, w którym jedynymi wrażeniami były zapach i smak krwi. Szum i dudnienie deszczu też hipnotyzowały go lekko, ale dźwięki te odbierał raczej jako

wewnętrzne, nie zewnętrzne, jako odgłosy przemian w organizmie dobiegające z jego żył, kości i tkanek.

Jakiś krzyk wyrwał go z transu. Spojrzał w górę znad rozerwanego gardła swej ofiary, gdzie zanurzał właśnie pysk. Zza rogu wyszła kobieta i stała teraz z wytrzeszczonymi oczami, trzymając jedną rękę w obronnym geście na piersiach. Sądząc po kowbojskich butach, koszuli i dżinsach, była towarzyszką mężczyzny, którego potwór właśnie zamordował.

Eric zorientował się, że w chwili nieświadomości jadł swą ofiarę. Konstatacja ta nie wzbudziła w nim wstrętu ani niesmaku. Lew nie byłby zaskoczony ni skonsternowany własną dzikością. Galopujący metabolizm Erica wyzwalał głód niepodobny do niczego znanego mu dotąd. Potrzebował bogatych środków odżywczych, by zaspokoić ten nienasycony apetyt. W mięsie swej ofiary znalazł właściwe pożywienie, tak jak lew znajduje to, czego mu trzeba, w mięsie gazeli.

Kobieta chciała jeszcze raz krzyknąć, ale nie mogła wydobyć z siebie głosu.

Eric wstał znad zwłok i oblizał skrwawione wargi.

Kobieta zaczęła uciekać, nie zważając na wiatr i deszcz. Na głowie też miała stetsona, który teraz sfrunął, odsłaniając długie blond włosy – jedyna jasna plama w tym morzu szarości.

Eric podążył za nią. Znajdował niewiarygodną przyjemność w tym, że czuł, jak jego stopy opierają się najpierw na twardym betonie, a potem zapadają w mokrym piasku. Wreszcie znaleźli się na płycie parkingu i odległość między nimi z każdą sekundą malała.

Kobieta uciekała w stronę pokrytego matowym czerwonym lakierem pickupa. Obejrzała się i zobaczyła, że napastnik jest coraz bliżej. Musiała zrozumieć, że nie zdąży dobiec do samochodu na tyle szybko, by zapalić silnik i odjechać, dlatego skręciła w stronę autostrady, mając najwyraźniej nadzieję, że pomoże jej któryś z kierowców nieregularnie przejeżdżających samochodów osobowych i ciężarowych.

Pościg był krótki. Eric powalił ją na ziemię, zanim zdążyła dobiec do końca parkingu. Zaczęli tarzać się w brudnej, głębokiej po łokcie wodzie. Kobieta zamachnęła się, chcąc zapewne podrapać napastnika paznokciami, ale Eric zanurzył w jej przegubie swe ostre szpony, tak że wydała tylko z siebie przerażający okrzyk cierpienia. Gwałtownie się szamocząc, przetoczyli się raz jeszcze w głębokiej kałuży i potwór unieruchomił ją wreszcie pod ciężarem swego ciała. Poczul chłód, pewnie dlatego, że przemoczone ubranie owiewał silny wiatr.

Stwierdził, że słabnie mu tętno i zdziwił się, ale już po chwili, kiedy spojrzał w dół na kobietę, znów ogarnął go przeraźliwy głód, nie mniejszy niż żądza mordowania. Ofiara przejrzała chyba jego zamiary, gdyż podjęła desperacką próbę zrzucenia go z siebie. Początkowe okrzyki cierpienia przeszły w piskliwe miauczenie, będące wyrazem zgrozy w najczystszej jej postaci. Eric wyciągnął szpony z jej ciała, rozerwał koszulę i położył czarną, kosmatą, nieludzką łapę na jej nagich piersiach.

Pisk ustąpił. Teraz patrzyła na niego zrezygnowana – niema, rozedrgana, sparaliżowana strachem.

Chwilę później zerwał z niej spodnie i pospiesznie wyciągnął z rozporoka swą męskość. Mimo napięcia seksualnego dostrzegł, że nabrzmiały organ, który trzyma w dłoni, nie jest ludzki: był olbrzymi, dziwny, odrażający. Kiedy wzrok kobiety padł na ten straszliwy narząd, zaczęła łkać i szlochać. Na pewno pomyślała, że oto otwarły się bramy piekieł i na ziemię wyszły demony. Przerazenie i skrajna rozpacz w oczach kobiety jeszcze bardziej podnieciły Erica.

Oddalająca się burza na chwilę wzmogła się jeszcze, jakby chcąc stworzyć ponury akompaniament dla brutalnego aktu, który miał się właśnie rozegrać.

Eric wszedł w kobietę.

Krople deszczu spadały na ich ciała. Woda zbierała się wokół nich. Kilka minut później Eric zabił swoją ofiarę.

Pojawiła się błyskawica, a jej światło przemknęło po zalanym parkingu, ujawniając krwawe plamy w kałużach, które wyglądały jak wielkie oka czerwonego tłuszczu.

Eric zabił swoją ofiarę i zaczął ją jeść.

Kiedy nasycił głód, pierwotne żądze uciszyły się i przewagę nad dziką bestią zyskała rozumna część jego istoty. Powoli zrozumiał, jakie niebezpieczeństwa wiążą się z byciem widzianym. Wprawdzie ruch na autostradzie nie jest zbyt duży, ale wystarczy, że jedno z przejeżdżających aut skręci na parking i znów go ktoś wypatrzy. Pośpiesznie przeciągnął więc kobiece zwłoki po płycie parkingu wzdłuż toalet i ukrył je na pustyni, za szpalerem *mesquite*. Tam również zawłókł ciało jej towarzysza.

W stacyjce pickupa znajdowały się kluczyki. Usiadł za kierownicą i przekręcił je. Silnik zapalił od razu.

Wcześniej zabrał kowbojowi kapelusz. Teraz założył go na głowę, nisko opuszczając rondo, w nadziei, że zakryje jego szkaradną twarz. Wskaźnik poziomu paliwa oznajmiał, że bak jest pełny, tak więc Eric nie będzie musiał zatrzymywać się aż do Vegas. A jeśli jakiś mijający go kierowca zobaczy ukryte pod rondem oblicze... Trzeba zachować czujność, dobrze prowadzić, nie wzbudzać niczyjego zainteresowania, a przede wszystkim opierać się tej wstecznej ewolucji, która mogła w każdej chwili uczynić zeń bezrozumnego potwora. Należy pamiętać, by podczas mijania i wyprzedzania odwracać twarz w drugą stronę. Jeśli będzie przestrzegał wszystkich środków ostrożności, to kapelusz w połączeniu z przedwczesną szarówką zapewnią mu wystarczającą osłonę.

Spojrzał we wsteczne lusterko i ujrzał parę niesymetrycznych oczu. Jedno świecące, o bladozielonym zabarwieniu, miało pomarańczową pionową szparę tęczęwki, która jarzyła się jak rozpalony węgielek. Drugie, większe i ciemniejsze, było okiem... złożonym, jak u stawonoga!

Spostrzeżenie to wywołało w nim krótkotrwały wstrząs, natychmiast więc odwrócił się od lusterka. Oko złożone? To było tak nieprawdopodobne, że nie mieściło się w głowie. Oko złożone nie występowało na żadnym szczeblu ewolucji człowieka, nawet w okresie prehistorycznym, kiedy wyszły z oceanów na ląd pierwsze zwierzęta skrzelołuczne. To był dowód nie tylko na to, że Eric cofał się w rozwoju, że jego ciało z trudem chciało pokazać cały potencjał tkwiący w genetycznym dziedzictwie ludzkości, ale także na to, że jego struktura genetyczna całkowicie straciła panowanie nad sobą, pchając go w stronę formy i świadomości, które nie miały nic wspólnego z gatunkiem ludzkim. Stawał się czymś obcym – ani gadem, ani małpą, ani neandertalczykiem, ani człowiekiem z Cro-Magnon, ani współczesnym Europejczykiem, stawał się czymś tak dziwnym, że stracił chęć przyjrzenia się tej anomalii, co więcej – bał się jej panicznie.

Odtąd będzie spoglądał w lusterko wyłącznie po to, by sprawdzić drogę za sobą, ani przez chwilę nie będzie rozważał zmian na swym obliczu.

Włączył światła i z parkingu wyjechał na autostradę. Dziwnie się czuł, trzymając kierownicę w zdeformowanych, monstrualnych łapach. Prowadzenie samochodu, które powinno być mu znane nie gorzej niż chodzenie, wydało się niepowtarzalnie egzotyczną czynnością. Przychodziło mu też z trudnością, gorzej nawet – nieomal przekraczało jego zdolności. Chwycił mocno kierownicę i skoncentrował się na skąpanej w deszczu autostradzie.

Szum kół i równomierny skrzyp wycieraczek zdawały się prowadzić go przez burze i zapadającą ciemność w stronę specjalnego przeznaczenia. W pewnym momencie, kiedy na krótko odzyskał wszystkie zmysły, przypomniał sobie stosowny fragment z wiersza wielkiego poety, Williama Butlera Yeatsa:

*Jakaż to dzika bestia zbudziła się wreszcie
i zdąży do Betlejem, by przyjść na świat?*

Różowa sukienka

We wtorek po południu wciąż przebywający na zwolnieniu detektywi Julio Verdad i Reese Hagerstrom zakończyli w Irvine rozmowę z doktorem Eastonem Solbergiem i pojechali do Tustin. Tam, na parterze dwupiętrowego budynku wzniesionego w stylu hiszpańskim, krytego niebieską dachówką, znajdowało się główne biuro firmy Shadway-Nieruchomości. Julio od razu wypatrzył zaparkowany za skrzyżowaniem, po przeciwnej stronie ulicy, samochód służący do inwigilacji – ciemnozielonego forda bez tablic rejestracyjnych. Siedzący agenci mieli doskonały widok na biura Shadwaya, a także na jezdnię prowadzącą wzdłuż budynku na służbowy parking. W fordzie siedzieli dwaj mężczyźni w błękitnych koszulach. Jeden z nich czytał gazetę, a drugi rozglądał się ostrożnie.

– Federalni – powiedział Julio, kiedy przejeżdżali obok nich.

– A może to ludzie Sharpa? DSA? – zastanowił się Reese.

– Chyba masz rację.

– Specjalnie się nie kryją, nie sądzisz?

– Nie sądzę, żeby liczyli na to, że Shadway się tu pojawi – powiedział Julio. – Ale muszą stwarzać pozory.

Julio zaparkował kilkanaście metrów dalej, od ciemnozielonego forda dzieliło ich parę samochodów. Chciał obserwować agentów, sam pozostając nie zauważony.

Reese uczestniczył z Juliem w podobnych akcjach. Zadania polegające na inwigilacji, z tym właśnie partnerem, nigdy nie wydawały mu się uciążliwe. Julio to człowiek wszechstronny i rozmowa z nim, choćby trwała godzinami, zawsze była interesująca. Ale jeśli jeden z nich, lub obaj, nie mieli ochoty na konwersację, mogli swobodnie siedzieć obok siebie w milczeniu przez długi czas – to najlepszy sprawdzian przyjaźni. Tego dnia, kiedy obserwowali obserwowanych, jak również mieli oko na biuro firmy Shadway-Nieruchomości, rozmawiali o Ericu Lebenie, inżynierii genetycznej i marzeniach o nieśmiertelności. Takie marzenia w żadnym razie nie dotyczyły tylko Erica Lebena. Głębokie pragnienie nieśmiertelności lub przynajmniej złagodzenia wyroku śmierci zapewne wypełniało ludzkość od chwili, kiedy pierwsi przedstawiciele gatunku osiągnęli samoświadomość i surową jeszcze inteligencję. Temat ten miał dla Reese'a i Julia specjalną wymowę, jako że obaj byli świadkami śmierci swych ukochanych żon i nigdy nie pogodzili się z ich utratą.

Reese mógł sympatyzować z marzeniami Lebena i nawet rozumieć, dlaczego naukowiec uczynił siebie samego obiektem niebezpiecznego eksperymentu genetycznego. To prawda, że eksperyment wymknął się spod kontroli: dwa zabójstwa i ukrzyżowanie jednej z kobiet stanowiły dowód, że Leben powrócił z zaświatów jako nie całkiem człowiek i że należy go ujarzmić. Jednakże ciemna strona owego doświadczenia i jego wariacki wymiar nie wykluczały sympatii dla samej idei. W końcu przeciwni zachłanności kostuchy są ludzie na całej ziemi.

Wiatr przygnał znad oceanu szarobure obłoki, które przestłoniły słońce. Reese poczuł, że popada w melancholię. Gdyby nie miał przed sobą ważnych zadań, zapewne zupełnie poddałby się temu stanowi. Ale on – choć na zwolnieniu – musiał przecież działać.

Julio i Reese – podobnie jak agenci DSA – nie spodziewali się, że dopadną tu Shadwaya, mieli jednak nadzieję, że poznają któregoś z pracowników biura obrotu nieruchomości. Im późniejsze popołudnie, tym więcej osób wchodziło i wychodziło z biurowca. Szczególną ich uwagę zwróciła wysoka, szczupła kobieta o bujnej czarnej czuprynie i kościstej bocianie sylwetce, którą podkreślała obcisła różowa sukienka. Nie był to jasny, delikatny róż, lecz ognista plama, jak na skrzydłach flaminga.

Kobieta dwukrotnie wchodziła i wychodziła, za każdym razem prowadząc pary w średnim wieku, podjeżdżające do biura samochodem – najwyraźniej klientów, dla których szukała odpowiednich domów. Do niej samej należał kanarkowy cadillac seville o kołach ze szprychami, mający specjalne numery rejestracyjne REQUEEN, co zapewne stanowiło skrót od: Królowa Nieruchomości (Real Estate Queen). Auto rzucało się w oczy nie mniej niż jego właścicielka.

– Bierzemy tę – powiedział Julio, kiedy kobieta weszła do budynku z drugą parą klientów.

– Trudno byłoby ją zgubić w ruchu ulicznym – zgodził się Reese.

O szesnastej pięćdziesiąt znów opuściła biurowiec i jak opętana pobiegła do swego cadillaca. Julio i Reese stwierdzili, że widocznie zakończyła już pracę i udaje się do domu. Zostawiając tedy agentów DSA, aby sobie dalej bezowocnie czekali na pojawienie się Benjamin Shadwaya, pojechali za żółtym seville'em w dół Pierwszej Ulicy do Newport Avenue, którą kobieta zdążyła w stronę wzgórz Cowan. Mieszkała w jednopiętrowym domu o pokrytych chropowatą fakturą betonowych ścianach i balkonach z drewna sekwoi, wzniesionym przy jednej z bardziej stromych ulic na wzgórzach.

Kiedy cadillac Różowej Damy zniknął za automatycznymi drzwiami garażu, Julio zaparkował przed domem. Wysiadł z samochodu i popełnił przestępstwo, zaglądając do skrzynki na listy w nadziei, że odczyta na korespondencji nazwisko kobiety. Chwilę później wrócił i powiedział:

– Theodora Bertlesman. Chyba używa zdrobnienia Teddy, bo znalazłem je na jednym z listów.

Odczekali parę minut, po czym poszli w stronę domu. Reese nacisnął dzwonek u drzwi.

Letni wiatr, ciepły mimo zbierających się chmur, które zakryły słońce, dmuchnął przez tropikalne pnącza o barwnych przylistkach, przez czerwone kwiaty hibiscusa i wonny jaśmin. Ulica była cicha, spokojna; odgłosy świata zewnętrznego wyeliminowały tu najbardziej efektywne spośród znanych człowiekowi ekrany – pieniądze.

– Powiniennem być chyba zająć się handlem nieruchomościami – powiedział Reese. – Co mnie podkusiło, żeby zostać gliną?

– Zapewne byłeś nim w poprzednim wcieleniu – odrzekł oschle Julio. – Dawno temu, kiedy policjant znaczył więcej niż handlarz. Po prostu powtórzyłeś ten sam schemat, nie zważając, że zmieniły się warunki.

– Nie wiedziałem, że wierzysz w reinkarnację.

Chwilę później drzwi się otwały. Kobieta o bocianym sylwetce, ubrana w jaskraworóżową sukienkę, spojrzała z góry na Julia, potem zaledwie musnęła wzrokiem Reese'a. Z bliska jeszcze bardziej przypominała bociana niż z daleka. Obserwując ją z samochodu, Reese nie mógł dostrzec porcelanowej czystości jej skóry, jej intensywnie szarych oczu czy innych subtelności aparycji. Bujna czupryna, która z odległości wyglądała na lakierowaną lub wprost wykonaną z ceramiki, okazała się miękka i delikatna. Dziewczyna nie była też tak płaska, na jaką wyglądała z daleka, a nóg mogłaby jej pozazdrościć niejedna kobieta. Jeśli zaś chodzi o wzrost i tuszę, to pierwsze wrażenie się potwierdziło.

– Czym mogę służyć? – spytała Teddy Bertlesman.

Miała niski, jedwabisty głos. Promieniowała taką spokojną pewnością siebie, że gdyby Julio i Reese byli niebezpiecznymi przestępcami, nie ważyliby się zrobić jej krzywdy.

Julio pokazał legitymację i odznakę, przedstawił się, po czym wskazał na Reese'a:

– To jest mój partner, detektyw Hagerstrom. – Następnie wyjaśnił, że chcieliby przesłuchać ją w związku ze sprawą pana Lebena. – Może mam nieaktualne informacje, ale zdaje się, że pracuje pani w biurze obrotu nieruchomościami Shadwaya.

– Ależ pana informacje są jak najbardziej aktualne – potwierdziła bez szyderstwa, aczkolwiek

z pewnym rozbawieniem. – Proszę wejść.

Zaprowadziła ich do salonu, tak oszczędnego w wystroju jak jej ubiór, mającego jednak niezaprzeczalny smak i styl: masywny stolicek do kawy wykonany z białego marmuru; nowoczesne kanapy pokryte intensywnie zieloną tkaniną; obite jedwabną morą w kolorze brzoskwiniowym krzesła o bogato rzeźbionych oparciach i nogach; szmaragdowe wazy ponadmetrowej wysokości, a w nich olbrzymie grzebieniaste źdźbła białej trawy z południowoamerykańskiej pampy. Na wysokich ścianach, zwieńczonych sklepieniem krzyżowym niczym w jakiejś katedrze, wisiały dużych rozmiarów obrazy współczesnych malarzy, nadając temu bezosobowemu miejscu bardziej ludzki wymiar. Jedną ze ścian zajmowało olbrzymie panoramiczne okno, za którym rozciągał się widok okręgu Orange. Teddy Bertlesman usiadła na zielonej kanapie, na tle okna, wskutek czego wokół jej głowy pojawił się świetlisty nimb. Reese i Julio usadowili się na brzoskwiniowych krzesłach, oddzieleni od kobiety wielkim marmurowym stołem, który wyglądał jak ołtarz.

– Pam Bertlesman... – zaczął Julio.

– Nie, nie – przerwała, zsuwając z nóg kaptcie i wkładając nogi pod siebie. – Proszę mi mówić po imieniu lub jeśli chcecie być bardziej oficjalni: panno Bertlesman. Ale ja pogardzam tą formą. Nie żyjemy na Południu przed wojną domową, kiedy to filigranowe panienki w krynolinach chęptały w cieniu magnolii koktajle miętowe, podczas gdy czarne niańki wachlowały je.

– Panno Bertlesman – ciągnął Julio – bardzo zależy nam na rozmowie z panem Shadwayem i mamy nadzieję, że podpowie nam pani, gdzie on w tej chwili przebywa. Zdajemy sobie sprawę z tego, że pracując w nieruchomościach, jako inwestor oraz pośrednik, dysponuje licznymi posiadłościami. Wiele z nich jest nie wykorzystanych i w jednej z nich może właśnie przebywać...

– Przepraszam, ale nie rozumiem, w jaki sposób możemy podlegać waszej jurysdykcji. Według legitymacji jesteście policjantami z Santa Ana. Ben ma swoje biura w Tustin, Costa Mesa, Orange, Newport Beach, Laguna Beach i Laguna Niguel, ale nie w Santa Ana. On sam zaś mieszka w Orange Park Acres.

Julio zapewnił kobietę, że sprawa Lebena częściowo podlega również uprawnieniom policji w Santa Ana. Wyjaśnił, że zazębianie się uprawnień w tym rejonie nie należy do rzadkości, ale Teddy Bertlesman pozostała grzecznie sceptyczna i małowówna. Reese podziwiał jej dyplomację, finezję i opanowanie w unikaniu pytań testujących. Odpowiadała tak, żeby nic nie powiedzieć. Szacunek dla szefa i determinacja, z jaką go ochraniała, były aż nadto widoczne. Nie dała jednak żadnego powodu, by można ją było oskarżyć o kłamstwo czy ukrywanie poszukiwanego przestępcy.

Julio zorientował się, że nic nie wskóra, występując z pozycji przedstawiciela władzy. Miał nadzieję, że skuteczniejsze okaże się odsłonięcie prawdziwych motywów przesłuchania, jak również prośba o okazanie odrobiny sympatii. Westchnął, odchylił się do tyłu i powiedział:

– Proszę posłuchać, panno Bertlesman. Okłamaliśmy panią. Nie jesteśmy tutaj oficjalnie. A przynajmniej nie całkiem oficjalnie. Prawdę mówiąc, to nasz szef myśli, że jesteśmy na chorobowym. Wściekłby się, gdyby dowiedział się, że wciąż zajmujemy się tą sprawą, ponieważ przejęli ją agenci federalni i zabronili nam mieszać się do tego. Istnieje jednak wiele powodów, dla których nie możemy tego zrobić. W przeciwnym razie stracilibyśmy dla siebie szacunek.

Teddy Bertlesman zmarszczyła brwi (ładnie jej z tym, pomyślał Reese) i odrzekła:

– Nie rozumiem.

Julio podniósł swą szczupłą rękę.

– Chwileczkę, proszę wysłuchać mnie do końca.

Miękkim, szczerym, intymnym głosem, bardzo dalekim od oficjalnego tonu, opowiedział o tym, jak Ernestina Hernandez i Becky Klienstad zostały brutalnie zamordowane, po czym ciało jednej z nich wrzucono do kontenera na śmieci, a drugiej – ukrzyżowano na ścianie. Opowiedział jej też o swym braciszku, Erneście, którego dawno temu i daleko stąd zagryzły szczury. Wyjaśnił, w jaki sposób ta tragedia przyczyniła się do jego obsesji na punkcie niesprawiedliwej śmierci, a podobieństwo imion: Ernesto i Ernestina, sprawiło, że poszukiwania zabójcy córki państwa Hernandez nabrało dlań wymiaru osobistej kruczaty.

– Choć muszę przyznać, że gdyby nie ta zbieżność imion i nie te okoliczności, znalazłbym inne motywy, by przeprowadzić gruntowne śledztwo. Ponieważ ja prawie zawsze przeprowadzam gruntowne śledztwo. Mam już taki brzydki nawyk.

– Wspaniały nawyk – wtrącił Reese.

Julio wzruszył ramionami.

Reese zdumiał się, że Julio tak dobrze uświadamia sobie motywy własnego działania. Słuchając swego partnera, podziwiając jego umiejętność wnikania w głąb samego siebie, Reese nabrał jeszcze większego szacunku dla tego człowieka.

– Zmierzam do tego – ciągnął Julio – że wierzę w niewinność pani szefa oraz Rachael Leben, jak również jestem przekonany, że są pionkami w grze, której nawet do końca nie rozumieją. Myślę, że ktoś ich wykorzystuje, by potem zabić jako kozły ofiarne na ołtarzu czyichś interesów, może nawet interesów rządu. Potrzebna jest im pomoc. My chcemy im pomóc i prosimy panią o wsparcie, Teddy.

Monolog Julia był zadziwiający i osobie postronnej mógł się wydać popisem aktorskim. Ale nie należało go podejrzewać o nieszczerść czy brak prawdziwego zaangażowania. Choć ciemne oczy policjanta pozostawały czujne i przenikliwe, to jednak jego oddanie sprawiedliwości i uczciwość było niekwestionowane.

Teddy Bertlesman miała dość rozumu, by poznać, że Julio nie kłamie i nie wyszał całej historii z palca. Udało mu się ją pozyskać. Wysunęła spod siebie swe długie nogi i przeniosła je na podłogę, a towarzyszył temu delikatny szelest jej różowej sukienki. Ten dźwięk podziałał na Reese'a jak orzeźwiający podmuch wiatru – małe włoski na wierzchu jego dłoni zjeżyły się, a po plecach przebiegł mu przyjemny dreszcz.

– Kurczę, ja wiem doskonale, że Ben Shadway nie stanowi żadnego zagrożenia dla bezpieczeństwa narodowego – powiedziała Teddy. – Kręcili się tu już różni agenci federalni i ledwo się mogłam powstrzymać, żeby nie roześmiać się im w twarz, nie... Ledwo mogłam się powstrzymać, żeby nie splunąć im w twarz.

– Dokąd mógł się udać Ben Shadway wraz z panią Leben? – spytał Julio. – Prędzej czy później feds ich znajdą. Myślę więc, że dla ich dobra Reese i ja powinniśmy być pierwsi. Czy ma pani jakiś pomysł, skąd należy rozpocząć poszukiwania?

Kobieta wstała z kanapy. W swej błyszczącej jaskraworóżowej sukience przespacerowała się po salonie. Jej szczudłowate nogi powinny wyglądać niezgrabnie, były zaś kwintesencją gracji. Wciąż siedzącemu na brzoskwińowym krześle Reese'owi wydała się niezwykle wysoka. Nagle przystanęła, prowokacyjnie kołysząc biodrami, po czym znów zaczęła chodzić. Głośno przy tym myślała, wymieniając wszystkie możliwości:

– No dobra, a więc pan Shadway ma domy, głównie małe domy, w całym kraju. W chwili obecnej jedynymi, których nie wynajął, są... Chwileczkę, niech pomyślę... Jeden domek jest w Orange na Pine Street, ale wątpię, by tam teraz przebywał, bo właśnie jest w nim remont – nowa łazienka, zmiany

w kuchni... Nie ukryłby się w domu pełnym murarzy i hydraulików. Ma też połowę bliźniaka w Yorba Linda...

Reese słuchał, ale ani przez chwilę nie zwrócił uwagi na to, co kobieta mówi; to zadanie rezerwował dla Julia. Wszystko, do czego Reese był teraz zdolny, to obserwować jej wygląd, głos i sposób poruszania się; wypełniła sobą wszystkie jego zmysły, nie pozostawiając miejsca na nic innego. Na odległość wyglądała jak chudzielec, stąd podobieństwo do bociana, ale z bliska była zgrabna, zwinna, bynajmniej nie wychudła gazela. Jej figura jednak nie wywierała takiego wrażenia jak właściwa zawodowym tancerkom płynność ruchów, owa gracia zaś nie wywierała takiego wrażenia jak sprężystość jej ciała; sprężystość z kolei była mniej impresywna od urody tej kobiety, a uroda mniej impresywna od jej inteligencji, witalności i sprytu.

Nawet gdy, przechadzając się, odeszła od okna, wokół jej głowy nadal unosiła się aureola, która wprost jaśniała w oczach Reese'a.

Przez ostatnie pięć lat nigdy nie czuł czegoś takiego. Wszystko skończyło się po śmierci jego ukochanej Janet, zamordowanej przez zbirów z furgonetki, którzy wcześniej chcieli uprowadzić w parku małą Esther. Intrygowało go, czy Teddy Bertlesman również zwróciła na niego uwagę, czy też był dla niej jeszcze jednym tępym gliną. Zastanawiał się, jak mógłby się do niej zbliżyć bez narażania się na śmieszność i nie obrażając jej; czy w ogóle kiedykolwiek mogłoby się coś nawiązać między taką jak ona kobietą i takim jak on mężczyzną; czy mógłby bez niej żyć, kiedy wreszcie uda mu się zaczerpnąć w płuca powietrza i czy widać na zewnątrz jego uczucia. Zresztą nie dbał o to.

– ...motel! – Teddy przestała chodzić po salonie, przez chwilę miała nieprzytomny wzrok, potem uśmiechnęła się. To był uroczy uśmiech. – Ależ oczywiście, to najlepsze miejsce!

– Shadway jest właścicielem motelu? – spytał Julio.

– To taka rudera w Las Vegas – odpowiedziała. – Dopiero co kupił ten budynek. W tym celu utworzył nową korporację. Feds mogą tak prędko nie trafić na ślad motelu, bo to świeży nabytek, a poza tym leży poza granicami stanu. Obiekt jest nieczynny, ale sprzedano go wraz z wyposażeniem. Jeśli dobrze pamiętam, umeblowane było nawet biuro, myślę więc, że Ben i Rachael mogliby się tam zaszyć w przyzwoitych warunkach.

Julio spojrział na Reese'a i spytał:

– Co o tym myślisz?

Żeby móc nabrać tchu i coś powiedzieć, Reese musiał odwrócić wzrok od Teddy. Piejąc śmiesznie, odezwał się:

– To interesujące.

Teddy znów zaczęła spacerować, a jej obcisła różowa sukienka opinała uda.

– Jestem pewna, że oni są właśnie tam. Wspólnikiem Bena w tym przedsięwzięciu jest Whitney Gavis, bodaj jedyny człowiek na ziemi, któremu Benny bezgranicznie ufa.

– Kim jest ten Gavis? – spytał Julio.

– Byli obaj w Wietnamie – odpowiedziała kobieta. – Są więcej niż przyjaciółmi, są dla siebie jak bracia. Albo jeszcze bliżej. Ben to naprawdę miły facet, niewielu jest lepszych od niego – każdy wam to powie. Jest uprzejmy, otwarty i tak cholernie uczciwy i honorowy, że ludzie czasami nie wierzą w czystość jego intencji, dopóki nie poznają go bliżej. To śmieszne... ale on wszystkich trzyma od siebie na wyciągnięcie ręki, nigdy nie dopuszcza bliżej, nigdy nie odsłania się całkowicie. Myślę, że nie dotyczy to tylko Whita Gavis. To tak, jakby na wojnie wydarzyło się coś, co uczyniło go innym od reszty ludzi, co uniemożliwia mu całkowite zbliżenie do tych, którzy nie przeszli tego samego co on i nie wyszli ze

zdrowymi zmysłami. Chyba tylko Whit...

– Czy pani Leben też zalicza się do grupy, w której jest Gavis? – spytał Julio.

– Myślę, że tak. Myślę, że on ją kocha – powiedziała Teddy. – To znaczy, że ma wielkie szczęście.

Reese wyczuł zazdrość w głosie pani Bertlesman i serce zabiło mu tak mocno, jakby za chwilę miało się rozerwać.

Najwyraźniej Julio wyczuł tę samą nutę, gdyż odezwał się:

– Proszę mi wybaczyć, Teddy, ale jestem gliną i z natury wtykam wszędzie swój nos. To, co pani powiedziała, zabrzmiało tak, jakby nie miała pani nic przeciwko temu, żeby Shadway zakochał się w pani.

Mrugnęła powiekami, zaskoczona, potem roześmiała się.

– Ja i Ben? Nie, nie. Po pierwsze, jestem od niego wyższa i w szpilkach wprost góruję nad nim. Poza tym to domator – cichy, spokojny miłośnik starych kryminałów oraz modeli kolejek żelaznych. Nie, Ben to wspaniały facet, ale ja jestem dla niego zbyt żywiołowa, a on dla mnie zbyt stonowany.

Serce Reese'a przestało walić jak młot.

– Zazdrość Rachael tylko tego – wyjaśniła Teddy – że znalazła sobie właściwego mężczyznę, czego ja nie mogę powiedzieć o sobie. Z moim wzrostem trudno mi znaleźć kogoś, kto nie byłby koszykarzem. A ja nie znoszę tych tyczek. Poza tym niedługo skończę trzydzieści dwa lata i niełatwo mi zachować obojętność, gdy widzę, że inna złapała już sobie faceta. Trudno mi nie zazdrościć, nawet jeśli cieszę się z czyjegoś szczęścia.

Serce Reese'a uskrzydliło się.

Następnie Julio zadał kobiecie jeszcze kilka pytań dotyczących motelu w Las Vegas, a zwłaszcza jego lokalizacji, po czym obaj policjanci wstali, a Teddy odprowadziła ich do drzwi. Z każdym krokiem w Reesie rosła chęć nawiązania z nią kontaktu i kiedy Julio otwierał już drzwi, mężczyzna odwrócił się do Teddy i powiedział:

– Hmm... przepraszam, panno Bertlesman, ale jestem gliną i zadawanie pytań należy do moich obowiązków... rozumie pani... Zastanawiałem się, czy pani... – Nie bardzo wiedział, co ma powiedzieć – ...czy ma pani może... już kogoś na oku... – Słuchając samego siebie, Reese nie rozumiał, jak to możliwe, że Julio mówi tak pięknie i gładko, podczas gdy to, co wypowiadał on, starając się go naśladować, brzmiało szorstko i banalnie.

Teddy uśmiechnęła się do niego i spytała:

– Czy to ma coś wspólnego ze sprawą, którą prowadzicie?

– Noo... Ja tylko pomyślałem... To znaczy... Proszę to zachować dla siebie. To znaczy, my nie boimy się naszego szefa, ale gdyby pani komuś wspomniała o tym motelu, mogłaby narazić pani Shadwaya i Leben na... No cóż...

Chciał się zastrzelić i położyć kres temu samoupokarzaniu.

– Nie, nie mam nikogo na oku ani nikogo innego, z kim mogłabym dzielić takie tajemnice – odrzekła kobieta.

Reese odchrząknął.

– No, to... to dobrze. Wszystko w porządku.

Odwrócił się do drzwi, a Julio popatrzył na niego jakoś dziwnie.

– Wielkolud z pana – powiedziała Teddy.

Reese znowu na nią spojrział.

– Że co?

– Jest pan wysokim facetem. Szkoda, że nie ma takich więcej. Przy panu wyglądam jak karlica.

Co ona chciała przez to powiedzieć? – pomyślał Reese. – Nic? Taka gadka-szmatka? A może to zachęta? Jeśli to zachęta, to jak mam się zachować?

– Miło choć raz czuć się jak karlica – dodała.

Hagerstrom chciał coś powiedzieć, ale nie mógł wydobyć z siebie głosu. Czuł się głupio i śmiesznie, jakby znów miał szesnaście lat i palnął coś nieprzyzwoitego.

Nagle odzyskał mowę, ale pytanie, które z siebie wykrztusił, było właśnie godne szesnastolatka:

– Panno... Bertlesman... czy... umówiłaby się... pani... ze mną?

– Tak – odparła z uśmiechem.

– Naprawdę?

– Tak.

– W sobotę wieczorem? Na kolację? O dziewiętnastej?

– Fajnie.

Patrzył na nią zdumiony.

– Naprawdę?

Roześmiała się.

– Naprawdę.

Minutę później, w samochodzie, Reese powiedział:

– Cholera, niech mnie piorun strzeli.

– Nigdy nie przypuszczałem, że masz takie zdolności – zauważył Julio nie bez ironii.

Reese zarumienił się i odpowiedział:

– Kurczę, życie jest śmieszne, czyż nie? Nigdy nie wiadomo, kiedy spłata ci jakiegoś figla.

– Nie podniecaj się jeszcze – rzekł Julio. Włączył silnik i odjechał od krawężnika. – To tylko randka.

– Tak. Może tylko randka. Ale... mam przeczucie, że z tego wyjdzie coś więcej.

– Romantyczny idiota – powiedział Julio, opuszczając wzgórza i kierując samochód w stronę Newport Avenue.

Reese myślał przez jakiś czas i wreszcie odezwał się:

– Wiesz, o czym zapomniał Eric Leben? Opętała go myśl o wiecznym życiu, ale zapomniał o tym, by korzystać z tego życia, które już ma. Życie może okazać się krótkie, ale i tak dużo się w nim zmieści. A Leben tak się zajął planowaniem wieczności, że zapomniał o korzystaniu z chwili.

– Słuchaj – powiedział Julio – jeśli romans ma uczynić z ciebie filozofa, muszę się zacząć rozglądać za nowym partnerem.

Przez kilka minut Reese nic nie mówił, tylko pogrążył się we wspomnieniach o zgrabnych nogach i obcisłej różowej sukience. Kiedy znów wypłynął na powierzchnię, zorientował się, że Julio nie jedzie przed siebie bez celu.

– Dokąd jedziemy? – zapytał.

– Na lotnisko Wayne'a.

– Vegas?

– Czy masz coś przeciwko temu?

– Nie, zdaje się, że nie pozostaje nam nic innego.

– Za bilety trzeba będzie zapłacić z własnej kieszeni.

– Wiem.

– Jeśli chcesz zostać, to w porządku.

– Lecę z tobą – powiedział Reese.

– Sam też dam sobie radę.

– Lecę z tobą.

– Od tej chwili może być niebezpiecznie, a ty masz przecież Esther.

Esther i może jeszcze Theodore, Teddy, Bertlesman – pomyślał Reese. – A właśnie wtedy, kiedy masz kogoś i kiedy chcesz się o niego troszczyć, życie staje się nagle złośliwe i okrutne, tracisz wszystko, co miałeś najcenniejszego. – Na myśl o śmierci wzdrygnął się. Ale mimo to powtórzył:

– Lecę z tobą. Czy nie słyszałeś, że lecę z tobą? Na miłość boską, Julio, lecę z tobą!

Viva Las Vegas!

Posuwając się w ślad za burzą przez pustynię, Ben Shadway dojechał do Baker, wrót do Doliny Śmierci. Była godzina osiemnasta dwadzieścia.

Tutaj wiał silniejszy niż do tej pory wiatr, a ciskane przezeń strugi deszczu spadały na przednią szybę samochodu niczym kule karabinowe. Tablice informujące o lokalizacji stacji obsługi samochodów, restauracji i motelu drgały na słupach, do których je przytwierdzono, jakby chciały się uwolnić i odlecieć. Znak STOP kiwał się nerwowo w tył i przód pod działaniem turbulentnych prądów powietrza; wyglądał tak, jakby za chwilę miał wyskoczyć z ziemi. Na stacji benzynowej Shella krzątało się dwóch mężczyzn z obsługi w żółtych płaszczach przeciwdeszczowych, z głowami wtulonymi w ramiona, a długie płachty błyszczącego winylu opinały się im na nogach i biodrach, z tyłu zaś powiewały za nimi. Mnóstwo najeżonych kul ze skręconych chwastów, niektóre o średnicy przekraczającej metr, toczyło się we wszystkich kierunkach na przemian po jedynej ulicy w Baker, trasie przelotowej ze wschodu na zachód.

Ben ponowił próbę dodzwonienia się do Whitneya Gavisa. Wszedł do małego sklepiku, gdzie znajdował się automat telefoniczny, nie mógł jednak wyjść na międzymiastową. Wykręcał kierunkowy trzy razy i wciąż słyszał nagrany na taśmę głos informujący, że z powodu awarii sieci połączenie na razie jest niemożliwe. Wiatr wył i łomotał o plastikowe szyby w oknach sklepu, deszcz zaś tłukł wściekle o dach; warunki atmosferyczne rzeczywiście mogły tłumaczyć kłopoty kompanii telefonicznej.

Przestraszył się. Co prawda bał się już od chwili, gdy w Arrowhead znalazł siekierę opartą o ścianę lodówki, ale teraz nastąpiła eskalacja strachu. Zdał sobie bowiem sprawę, że wszystko nawala, że dobry los odwrócił się od niego. Spotkanie z Sharpem, katastrofalna zmiana pogody, nieobecność Gavisa w domu, kiedy telefony jeszcze działały, a teraz awaria na łączach z Vegas – wszystko to sprawiało, że uznał niebiosa za instytucję piekielną, która czyni wszystko, by już nigdy nie ujrzał Rachael żywą.

Mimo strachu, frustracji i pragnienia, by znów ruszyć w drogę, pozostał jeszcze w Baker, by kupić coś do jedzenia i spokojnie spożyć to w samochodzie. Od śniadania w Palm Springs nic nie jadł i czuł wielki głód.

Poprosił o trzy batony czekoladowe, kilka torebek orzeszków ziemnych i sześć puszek coca-coli w kartonie. Przy kasie stała ubrana w komplet dżinsowy kobieta w średnim wieku o spłowiałych na słońcu włosach i ogorzalej cerze, świadczącej o przebywaniu na pustyni przez całe lata.

Zapytana o telefony, odpowiedziała:

– Słyszałam, jak gadali, że na wschód od Baker zalało duże obszary, głównie koło Cal Neva i jeszcze bardziej wokół Stateline. Podmyte są centrale telefoniczne i zerwane połączenia. Mówią, że za parę godzin wszystko będzie naprawione.

– Nie wiedziałem, że na pustyni może tak strasznie padać – powiedział, odbierając resztę.

– Bo w ogóle to nie pada. Deszcz mamy tu trzy razy do roku. Ale jak już przyjdzie burza, to czasami wygląda na to, że Bóg się rozgniewał i znów zsyła na nas potop.

Skradziony merkur stał kilka kroków od wyjścia ze sklepu, ale w ciągu kilku sekund potrzebnych, by dobiec do niego, Benny przemókł do suchej nitki. W środku otworzył sobie colę, pociągnął duży łyk, wsadził puszkę między nogi, zdarł papierek z batona, włączył silnik i ruszył w kierunku autostrady.

Niezależnie od tego, jak straszne były warunki atmosferyczne, musiał z największą możliwą prędkością posuwać się w stronę Las Vegas; sto dziesięć – sto dwadzieścia na godzinę, a jak się da, to jeszcze szybciej. Nieważne, że na śliskiej nawierzchni prawdopodobieństwo utraty panowania nad samochodem było bardzo duże. Niemożność połączenia się z Whitem Gavisem nie pozostawiła mu

żadnego wyboru.

Kiedy zjeżdżał właśnie na „piętnastkę”, samochód prychnął i zatrząsł się, ale silnik nie zgasł. Jadąc dalej na wschód i północny wschód w kierunku Nevady, Benny wsłuchiwał się uważnie w jego pracę i spoglądał na tablicę rozdzielczą, spodziewając się, że zobaczy jakieś ostrzegawcze światełko. Ale samochód jechał płynnie, żadne światełko się nie zapaliło i nic nie wskazywało, że mogą być jakieś kłopoty. Benny odprężył się więc, zaczął gryźć swój baton i powoli przyspieszył do stu dziesięciu na godzinę, ostrożnie sprawdzając przyczepność auta do niebezpiecznie mokrej nawierzchni.

Anson Sharp obudził się już i doprowadził do porządku. Był wtorek, godzina dziewiętnasta dziesięć. Za oknem padał ulewny deszcz, bębniąc o dach i łoskocząc w pobliskiej rynnie. Nie wychodząc z pokoju, Sharp zadzwonił po kolei do wszystkich swoich podwładnych rozmieszczonych w różnych miejscach południowej Kalifornii.

Od Dirka Cringera, agenta w centrum dowodzenia akcją na okręg Orange, dowiedział się, że Julio Verdad i Reese Hagerstrom prawdopodobnie nie zastosowali się do poleceń i nadal prowadzą sprawę Lebena. Sharp, dowiedziawszy się już poprzedniego dnia, że obaj detektywi znani są ze swej zaciętości i nieprzejednania w prowadzeniu nawet najbardziej beznadziejnych spraw, polecił, by do ich prywatnych samochodów przyczepiono „pluskwy”. Wyznaczył też kilku ludzi, którzy za pomocą aparatury elektronicznej mieli śledzić ich ruchy, nie wzbudzając podejrzeń. Wszystko to się opłaciło, gdyż teraz Sharp dowiedział się, że po południu obaj detektywi odwiedzili na UCI doktora Eastona Solberga, byłego współpracownika Lebena, a następnie spędzili parę godzin na obserwacji głównego biura firmy Shadway-Nieruchomości w Tustin.

– Wypatrzyli naszych ludzi i zainstalowali się kilkadziesiąt metrów dalej – poinformował Cringer – skąd mogli obserwować zarówno ich, jak i budynek.

– Pewnie myśleli, że są bardzo sprytni – powiedział Sharp. – Kto tu kogo naprawdę obserwował...

– Potem pojechali za jedną z pracownic biura do jej domu. Kobieta nazywa się Theodora Bertlesman.

– Już ją przesłuchiwałeś w sprawie Shadwaya, prawda?

– Tak, przesłuchiwałem każdego pracownika biura. Ta Bertlesman specjalnie nam nie pomogła, chociaż i tak bardziej niż pozostali.

– Jak długo Verdad i Hagerstrom u niej siedzieli?

– Ponad dwadzieścia minut.

– Zdaje się, że przed nimi była bardziej otwarta. Czy wiesz, co mogła im powiedzieć?

– Nie – odparł Cringer. – Mieszka na wzgórzach, więc było bardzo trudno dopasować mikrofon kierunkowy do któregoś z okien. Zanim się zainstalowaliśmy, już wychodzili. Prosto od niej pojechali na lotnisko.

– Co?! – wykrzyknął zdumiony Sharp. – LAX?* [*LAX – skrótowe określenie lotniska w Los Angeles (*przyp. tłum.*).]

– Nie. Pojechali na John Wayne, lokalne lotnisko okręgu Orange. Siedzą tam teraz i czekają na swój lot.

– Jaki lot?! Dokąd?!

– Do Vegas. Kupili bilety na najbliższy lot do Vegas. Ten o dwudziestej.

– Dlaczego do Vegas? – Sharp spytał bardziej siebie niż Cringera.

– Może wreszcie dali sobie spokój z tą sprawą, tak jak mieli przykazane, i teraz wybierają się na małe wakacje.

– Na wakacje nie jedzie się bez spakowania walizek. Sam powiedziałaś, że na lotnisko udali się

prosto od tej kobiety. Chyba że po drodze wstąpił do domu, by szybko zabrać jakieś rzeczy.

– Nie. Pojechali od razu na lotnisko – potwierdził Cringer.

– Dobra. W porządku – odrzekł Sharp, niespodziewanie podniecony. – Prawdopodobnie chcą dotrzeć do Shadwaya i Leben, zanim my to zrobimy, i mają powody przypuszczać, że znajdą ich w Las Vegas. – A jednak pojawiła się szansa, że dopadnie Shadwaya. Tym razem sukinsyn się nie wymknie. – Jeśli są jeszcze jakieś wolne miejsca na ten rejs, to umieść na pokładzie dwóch naszych ludzi.

– Tak jest.

– Tu, w Palm Springs, też mam swoich agentów i gdy tylko będziemy gotowi, również udamy się do Vegas. Chcę być na lotnisku wtedy, kiedy wylądaje samolot z Verdadem i Hagerstromem.

Sharp odłożył słuchawkę i po chwili zadzwonił do pokoju Jerry'ego Peake'a.

Na dworze zagrzmiał piorun i przetoczył się, cichnąc, z północy na południe wzdłuż doliny Coachella.

Telefon odebrał Peake. Głos miał bełkotliwy.

– Już prawie dziewiętnasta trzydzieści – powiedział Sharp. – Bądź gotów do wymarszu za piętnaście minut.

– Co się stało?

– Lecimy za Shadwayem do Vegas i tym razem szczęście jest po naszej stronie.

Jednym z problemów związanych z jazdą kradzionym wozem jest niepewność co do jego stanu technicznego. W takich wypadkach nie pyta się przecież właściciela pojazdu, jak daleko się nim zajędzie i na co trzeba uważać. Po prostu jedzie się i już.

Skradziony merkur zepsuł się sześćdziesiąt kilometrów na wschód od Baker. Zaczął prychać, rzezić i podskakiwać, podobnie jak wcześniej przy zjeździe na autostradę. Ale tym razem prychał tak długo, aż zgasł silnik. Benny zjechał na pobocze i spróbował ponownie uruchomić samochód. Bezskutecznie. Jedyne efektem jego prób mogło być rozładowanie akumulatora, więc ich zaprzestał. Przez chwilę siedział zrozpaczony, a deszcz walił o dach niczym ziarna grochu.

Ale poddawanie się rozpaczcy nie było w jego stylu. Już więc po kilku sekundach miał plan i – choćby później okazał się on zły – zaczął go realizować.

Znowu wsunął za pas na plecach swój combat magnum kaliber 357 i przykrył go wyciągniętą ze spodni koszulą. Nie mógł wziąć ze sobą karabinu i bardzo tego żałował.

Włączył światła awaryjne i wysiadł na lejący strumieniami deszcz. Na szczęście burza przesunęła się bardziej na wschód. Stał w szarówce obok niesprawnego samochodu i dłonią osłonił oczy, by lepiej widzieć. Patrzył w kierunku zachodnim, skąd nadjeżdżał – sądząc po światłach – jakiś samochód ciężarowy.

Na autostradzie międzystanowej numer piętnaście wciąż panował niewielki ruch. Kilku zawziętych graczy podróżowało do swej mekki i nie zawróciłyby ich z drogi nawet bitwa na polach Armageddonu. Na razie jednak więcej było ciężarówek. Benny zaczął machać rękami, chcąc zatrzymać jakiś pojazd, ale dwa auta osobowe i trzy ciężarówki minęły go, nawet nie zwolniwszy. Przecinając kołami przydrożne kałuże, wzniewały kaskady wody, które spadały na Bena, pogarszając jego i tak żałosny wygląd.

Mniej więcej dwie minuty później pojawiła się jeszcze jedna wielka ciężarówka, obwieszona lampkami niczym choinka bożonarodzeniowa. Ben odetchnął z ulgą, gdy jej kierowca zaczął hamować na długo przed miejscem, gdzie stał merkur, po czym zatrzymał się tuż obok.

Benny podbiegł do wielkiej kabiny i wspiał się do otwartej bocznej szyby, przez którą wyjrzał wąsaty mężczyzna o surowej twarzy.

– Zepsuł mi się – powiedział Benny, przekrzykując kakofonię wiatru i deszczu.

– Najbliższy warsztat ma pan w Baker! – odrzyknął kierowca. – Niech pan przejdzie na drugą stronę autostrady i postara się złapać coś w tamtą stronę.

– Nie mam czasu na szukanie mechanika i czekanie, aż naprawi tego grata! – odparł Ben. – Muszę jak najszybciej dostać się do Vegas. – Czekaając na okazję, wymyślił odpowiednie kłamstwo. – Moja żona leży tam w szpitalu, bardzo z nią źle, może już umiera...

– O Boże – powiedział szofer. – W takim razie wsiadaj pan!

Ben obiegił kabinę i otworzył drzwi od strony pasażera, modląc się, by jego wybawiciel miał żyłkę sportową i nie zważając na pogodę, wciskał pedał gazu do deski.

Jadąc przez skąpaną w deszczu pustynię Mojave – a był to już ostatni odcinek drogi do Las Vegas – Rachael poczuła się samotna jak jeszcze nigdy, choć samotność nie była jej raczej obca. Wciąż panował mrok, tym razem jednak to nie chmury zakryły słońce, lecz ono samo się chowało, dzień chylił się bowiem ku końcowi. Intensywność opadu nie malała, Rachael przemieszczała się w tym samym kierunku co burza, na dodatek z nieco większą prędkością, zbliżając się coraz bardziej do jej jądra. Miarowe skrzypienie wycieraczek i szum kół na mokrej jezdni brzmiały jak czótenka tkackie. Nie produkowały jednak tkaniny, lecz izolację od świata.

Rachael większą część swego życia spędziła w samotności i w emocjonalnej – jeśli nie fizycznej – izolacji. Jeszcze przed jej urodzeniem się, rodzice stwierdzili, że nie potrafią ze sobą żyć, jednakże ze względów religijnych nie zdecydowali się na rozwód. Pierwsze lata życia małej Rachael upłynęły więc w domu bez miłości, gdzie dwoje dorosłych ludzi nie potrafiło ukryć wzajemnej niechęci. Co gorsza, każde z nich zdawało się postrzegać Rachael jako dziecko drugiej strony i ją odrzucało. Ani ojciec, ani matka nie okazywali jej więcej uczuć, niż uważali to za swój obowiązek.

Kiedy osiągnęła odpowiedni wiek, wysłali ją do katolickich szkół z internatem, gdzie – z wyjątkiem okresu wakacji – przebywała następnych jedenaście lat. W tych prowadzonych przez zakonnice przybytkach nauki nawiązała niewiele przyjaźni, a żadna z nich nie była bliska. Częściowo wynikało to z niskiej samooceny: Rachael nie wierzyła bowiem, że ktoś chciałby się z nią naprawdę zaprzyjaźnić.

Kilka dni po uzyskaniu przez nią świadectwa ukończenia szkoły powszechnej jej rodzice zginęli w katastrofie lotniczej. Lecieli właśnie do domu po odbyciu służbowej podróży. Dziewczynka miała po wakacjach rozpocząć naukę w college'u. Marzyła o studiach na Uniwersytecie Browna. Była przekonana, że ojciec zbił fortunę w przemyśle odzieżowym, umiejętnie inwestując pieniądze, które matka odziedziczyła jeszcze przed ślubem. Ale po odczytaniu testamentu i oszacowaniu wartości majątku, pozostawionego przez rodziców, okazało się, że rodzinny interes już od wielu lat balansował na krawędzi bankructwa i że na „światowe życie” wydawali oni każdego zarobionego dolara. Rachael została dosłownie bez grosza i musiała zacząć zarabiać jako kelnerka. Mieszkała w internacie i oszczędzała, ile się dało, by móc podjąć edukację na mniej ekskluzywnym, dofinansowywanym z pieniędzy podatników, uniwersytecie stanowym.

Rok później, kiedy zaczęła wreszcie naukę, również nie nawiązała żadnych przyjaźni, gdyż nie miała na to czasu. Pracując jednocześnie w restauracji, nie mogła uczestniczyć w życiu towarzyskim college'u, gdzie właśnie zawierało się znajomości. W końcu zdała egzaminy końcowe i została dopuszczona do podjęcia studiów. W tym czasie miała już za sobą osiem tysięcy samotnych nocy.

Stanowiła łatwą zdobycz dla Erica, który wówczas łaknął jej młodości tak jak wampir łaknie krwi. Dlatego ożenił się z nią. Był od niej starszy o dwanaście lat, wiedział lepiej od jej rówieśników, jak czarować i zdobywać młode kobiety. Rachael po raz pierwszy w życiu poczuła się wtedy potrzebna

i chciana. Biorąc pod uwagę różnicę wieku między nimi, należy przypuszczać, że widziała w nim typ ojca, zdolnego dać jej nie tylko miłość małżeńską, lecz również rodzicielską, której nigdy nie zaznała.

Oczywiście, wszystko skończyło się dużo gorzej, niż się zapowiadało. Zrozumiała, że Eric nie ją kocha, lecz uosabiane przez nią: żywotność, zdrowie, dynamizm, młodość. Ich małżeństwo niebawem okazało się tak pozbawione miłości jak w wypadku rodziców Rachael.

Wtedy poznała Bena. I po raz pierwszy w życiu nie była sama. Ale teraz Benny znajdował się gdzieś daleko i Rachael nie wiedziała, czy jeszcze kiedykolwiek go zobaczy.

Wycieraczki w jej mercedesie wybijały monotony rytm, a opony śpiewały wciąż na jedną nutę pieśń samotności, pustki, rozpaczy.

Próbowała pocieszyć się myślą, że przynajmniej Eric nie stanowił już zagrożenia ani dla niej, ani dla Bena. Na pewno zginął od serii ukąszeń jadowitych węży. A nawet jeśli jego genetycznie zmienione ciało potrafiło bez żadnego ryzyka przyswajać te olbrzymie ilości śmiertelnej trucizny, nawet jeśli potrafiłby on zmartwychwstać po raz drugi, to przecież był fizycznym i umysłowym degeneratem. (Rachael wciąż miała w pamięci sugestywny obraz Erica klęczącego na mokrej ziemi i pożerającego żywego węża; obraz równie przerażający i nieziemski, jak pojawiające się nad nim błyskawice). Jeśli przeżył, to na pewno pozostał na pustyni już nie jako ludzka istota, ale jako rzecz, jako galopujący zwierz o pochylonej sylwetce albo pełzający na brzuchu po piaszczystych wzgórkach gad, ześlizgujący się na dno kanałów, żywiący się żarłocznie innymi mieszkańcami pustyni, stanowiący zagrożenie dla każdej napotkanej istoty, lecz nie dla Rachael. I nawet jeśli ma jeszcze przebliski ludzkiej świadomości i inteligencji, jeśli wciąż jeszcze odczuwa potrzebę zemsty na swej żonie, to przecież opuszczenie pustyni i swobodne poruszanie się w cywilizowanym świecie będzie dla niego trudne, o ile w ogóle możliwe. Jeśli pokusi się o to, wywoła przerażenie, panikę, sensację... Dokądkolwiek się uda, stanie się obiektem pościgu, a po schwytaniu będzie zastrzelony.

Niemniej jednak Rachael wciąż czuła przed nim lęk.

Pamiętała, jak patrzyła na niego, gdy podążał za nią w dół po ścianie *arroyo*; pamiętała, jak patrzyła na niego, gdy to ona znajdowała się na górze, a niby-Eric wdrapywał się jej śladem; pamiętała jego straszny wygląd, gdy po raz ostatni patrzyła na niego, otoczonego kłębowiskiem węży. We wszystkich tych wspomnieniach istniało coś, co dotyczyło jego osoby... coś... coś prawie mitycznego, transcendentalnego, ponadnaturalnego, a przy tym potężnego, wiecznego i nieodwracalnego.

Zimny dreszcz przeniknął ją do szpiku kości.

Chwilę później, pokonując kolejne wzniesienie, zauważyła, że zbliża się do kresu swej podróży. Na horyzoncie widniały, wieńczące ginącą w ciemnościach autostradę, światła Las Vegas; wyglądały w tych strugach deszczu jak cudowna, senna wizja. Było tam tyle milionów różnobarwnych świateł, że miasto wyglądało na większe od Nowego Jorku, choć w istocie stanowiło jego dwudziestą część. Nawet z tej odległości, odległości ponad dwudziestu kilometrów, Rachael mogła dostrzec dzielnicę rozrywkową, ze wszystkimi hotelami i ze śródmiejskim kompleksem kasyn nazywanym przez niektórych Kopalnią Złota. Dzielnica ta wyróżniała się większą koncentracją świateł, a każde z nich zdawało się iskrzyć, migać i pulsować.

Nie minęło dwadzieścia minut, kiedy Rachael opuściła wreszcie rozległe i puste połacie niegościnniej Mojave i jechała Bulwarem Południowym w stronę centrum Las Vegas. Powleczone wodą asfaltowa nawierzchnia niczym lustro odbijała plamy szkarłatu, różu, czerwieni, zieleni i złota. Podjechała pod frontowe drzwi hotelu „Bally's Grand” i o mało nie wydała z siebie okrzyku ulgi na widok portierów, bagażowych i stojących pod *porte cochere* kilku gości. Z powodu mroku wszystkie samochody, które

mijała na autostradzie, zdawały się jechać bez kierowców i pasażerów. Jak cudownie było po tylu strasznych godzinach znów ujrzeć żywych ludzi, nawet zupełnie obcych.

Początkowo wahała się, czy przekazać mercedesa parkingowemu, ze względu na bezcenne akta „Wildcard” leżące za jej siedzeniem w plastikowym worku na odpadki. Po chwili jednak stwierdziła, że raczej nikt nie będzie kradł śmieci, zwłaszcza zmiętych i podartych papierów. Zresztą parking hotelowy jest bezpieczniejszy od miejskiego. Zostawiła więc chłopcu kluczyki i odebrała pokwitowanie.

Ból związany ze skręceniem kostki podczas ucieczki przed Erikiem już prawie minął. Wprawdzie w miejscu, gdzie została podrapana, wciąż jeszcze czuła nieprzyjemne pieczenie, ale i ta dolegliwość powoli ustępowała. Do hotelu weszła, nieznacznie utykając.

Przez chwilę była oszołomiona kontrastem między dzikością burzliwej nocy, która została za nią, a przepychem *foyer*. Znalazła się w połyskującym świetle kryształowych żyrandoli, aksamitu, brokatu, pluszowych dywanów, marmurów, polerowanego mosiądzu i zielonego filcu, gdzie odgłosy wiatru i deszczu nie mogły się przedrzeć przez krzyki graczy zaklinających Fortunę, przez dzwoniące automatów i chrypienie wokalisty pop-rockowej grupy grającej w restauracji.

Stopniowo Rachael zyskiwała niemiłą świadomość, że jej pojawienie się w tym otoczeniu wywołało niemałe zaciekawienie. Oczywiście, nie każdy, nawet nie większość, przybywających tu gości ubiera się wytwornie, by spędzić noc na picciu, oglądaniu rewii i grach hazardowych. Sporo kobiet było w sukniach koktajlowych, a mężczyźni w eleganckich garniturach, reszta jednak towarzystwa miała na sobie bardziej codzienną garderobę: mężczyźni – sportowe garnitury z poliestru, kobiety – także kostiumy, jedni i drudzy – także spodnie dżinsowe i bawełniane koszulki. Jednakże nie przyszedł tu nikt ubrany w podartą i poplamioną bluzkę (tak jak Rachael), dżinsy wyglądające, jakby człowiek uczestniczył w nich w rodeo (tak jak Rachael), brudne, zabłocone adidas z na wpół oderwaną w czasie wspinaczki po stromych skarpach podeszwą (tak jak Rachael). Nie zjawił się tu również nikt nie domyty, o włosach w wielkim nieładzie (tak jak Rachael). Ponadto musiała przyznać, że nawet w tak eskapistycznym świecie, jakim jest Vegas, ludzie czasami oglądają jednak telewizyjne wiadomości i mogą rozpoznać w niej niesławną zdrajczynię ojczyzny i poszukiwanego na całym Południowym Zachodzie zbiega. Zwracanie na siebie uwagi było ostatnią rzeczą, na jakiej jej zależało. Na szczęście gracze są ludźmi o niepodzielnej uwadze, bardziej martwiącymi się o swoje zakłady niż o tlen do oddychania, wielu z nich wprawdzie podniosło na nią wzrok, ale nikt nie zatrzymał go na niej ani nie powrócił spojrzeniem do tej niezwykle wyglądającej postaci.

Przeszła przez całe kasyno do automatów telefonicznych znajdujących się w niszy, dzięki czemu cały zgiełk redukowal się tam do cichego szumu. Zadzwońiła do informacji z prośbą o numer telefonu Whitneya Gavisa. Ten zgłosił się już po pierwszym dzwonku.

– Przepraszam, pan mnie nie zna – powiedziała bez tchu. – Mam na imię Rachael...

– Ta od Bena? – przerwał jej rozmówca.

– Tak – odpowiedziała zaskoczona.

– Znam panią, wiem o pani wszystko. – Ten człowiek miał głos zdumiewająco podobny do głosu Bena: spokojny, wyważony, łagodny. – Godzinę temu wysłuchałem właśnie wiadomości. Co za kretyńskie wymysły z tym bezpieczeństwem narodowym! Co za herezje! Nikt, kto zna Bena, ani przez chwilę w to nie uwierzy. Nie wiem, o co w tym wszystkim chodzi, ale przypuszczałem, że jeśli będziecie potrzebowali na jakiś czas schronienia, to zwróćcie się do mnie.

– Bena nie ma ze mną, ale to on wysłał mnie do pana – wyjaśniła Rachael.

– Proszę nic więcej nie mówić. Gdzie pani jest?

– W „Grandzie”.

– Mamy teraz ósmą. Postaram się przyjechać w ciągu dziesięciu minut. Proszę się za bardzo nie kręcić. Kasyna naszpikowane są agentami. Jeśli wjedzie pani na piętro hotelowe, będą panią mieli na monitorze. A jeśli któryś z nich oglądał wiadomości... Rozumie pani?

– Czy mogę wejść do toalety? Wyglądam jak strach na wróble. Muszę choć trochę doprowadzić się do porządku.

– Dobrze. Tylko proszę nie jeździć po piętrach. I niech pani wróci do telefonów dziesięć po ósmej, bo tam się właśnie spotkamy. Przy telefonach nie ma żadnych kamer. Trzymaj się, dziecko!

– Chwileczkę.

– O co chodzi?

– Jak pan wygląda? Jak mam pana rozpoznać?

– Proszę się nie martwić, złotko. Ja panią rozpoznam – odpowiedział mężczyzna. – Ben tyle razy pokazywał mi pani zdjęcie, że mam wryty w pamięci każdy szczegół pani wspaniałej fizjonomii. Trzymaj się, mała!

Gavis wyłączył się i Rachael również odłożyła słuchawkę.

Jerry Peake nie był już pewien, czy chce zostać legendą DSA. Nie był nawet pewien, czy w ogóle chce być agentem DSA, nawet nielegendarnym. Zbyt dużo się działo i zbyt szybko. Jerry nie potrafił się przystosować do nowych warunków. Wydawało mu się, że wszedł na ścieżkę z toczących się walców, jakie często znajdowały się w karnawale przy wejściu do wesołego miasteczka. Tylko że teraz walce toczyły się pięciokrotnie szybciej, niż pozwoliłby na to najbardziej sadystyczny operator, a ścieżka zdawała się nie mieć końca. Peake wątpił, czy kiedykolwiek postawi stopy na pewnym gruncie i odzyska równowagę.

Telefon Ansona Sharpa wyrwał go z głębokiego, kamiennego snu. Nawet szybki zimny tusz nie obudził go do końca. Rajd po splukanych deszczem ulicach Palm Springs w stronę lokalnego portu lotniczego, na wyjących syrenach i z błyskającym „kogutem” na dachu, zdawał się częścią koszmaru. O dwudziestą dziesiątą na płycie lotniska wylądował lekki turbinowy samolot transportowy z pobliskiego Centrum Treningowego Marynarki Wojennej w Twentynine Palms. Wicedyrektor DSA poprosił o niego niewiele ponad pół godziny wcześniej i otrzymał go na zasadzie koleżeńskiej grzeczności. Wsiedli na pokład i natychmiast odlecieli w sam środek burzy. Gwałtowne, straceńcze wznoszenie się pilotowanego przez wojskowego zucha samolotu, połączone z wyciem wiatru i lejącym z nieba deszczem, odegnały w końcu resztki snu spod powiek agenta Peake’a. Jerry znów był czujny i tak mocno uchwycił się oparcia fotela, że białe kłykcie omal nie przebiły mu skóry na wylot.

– Jeśli będziemy mieć szczęście – powiedział Sharp do niego oraz do Nelsona Gossera (którego również zabrał ze sobą) – to wylądujemy w Vegas na międzynarodowym lotnisku McCarran dziesięć – piętnaście minut przed przylotem samolotu rejsowego z Orange. Kiedy Verdad i Hagerstrom znajdą się w terminalu, będziemy mogli rozpocząć dyskretną inwigilację.

– Dziesięć po ósmej samolot do Vegas z godziny dwudziestej jeszcze nie wystartował z lotniska John Wayne w Orange, ale pilot zapewnił pasażerów, że wkrótce to nastąpi. Tymczasem, aby uprzyjemnić im oczekiwanie, serwowano napoje, orzeszki oraz słodycze.

– Bardzo dobre orzeszki – zauważył Reese. – A przy okazji coś sobie przypomniałem.

– Co takiego? – spytał Julio.

– Że nie znoszę latania.

– To krótki lot.

– Kiedy się rozpoczyna pracę jako stróż prawa, to człowiek nie oczekuje, że będzie musiał latać.
– To tylko czterdzieści pięć, może pięćdziesiąt minut – próbował uspokoić go Julio.
– Lecę z tobą – rzucił szybko Reese, zanim jego partner zdążył wyrobić sobie błędne mniemanie o przyczynach tych obiekcji. – Nie opuszczę cię aż do zakończenia sprawy, chociaż żałuję, że do Vegas nie można popłynąć statkiem.

O dwudziestej dwanaście samolot zaczął kołować do startu i wreszcie wzniósł się w powietrze.

Jadąc na wschód czerwonym pickupem, Eric nieustannie walczył o zachowanie minimum ludzkiej świadomości, potrzebnej do kierowania pojazdem. Czasami nachodziły go dziwaczne myśli i uczucia: nieodparte pragnienie, by opuścić auto i nago, z rozwianymi włosami, rzucić się przez pustynię, wystawiając ciało na deszcz; to znów natrętne pragnienie, żeby zagrzebać się i ukryć w jakiejś wilgotnej, ciemnej norze, albo dzikie, gorące pożądanie seksualne, pod żadnym względem niepodobne do ludzkiego – bardziej jak u zwierzęcia w okresie rui. Doświadczył także wspomnień – żywych obrazów przed oczyma wyobraźni – które nie były jego własne, lecz przechowywane w genetycznym zafunku pamięci. Widział, jak jakaś wygłodniała istota przeoruje próchniejące konary w poszukiwaniu wijących się gąsienic i owadów, jak za chwilę w ociekającej wilgocią ciemnej jaskini parzy się z woniejącym piżmem zwierzęciem... Gdyby pozwolił swej świadomości zatrzymać się dłużej na którejś z tych impresji, to niewątpliwie znów zanurzyłby się w tym bezrozumnym podludzkim stanie, którego doznał już dwukrotnie na parkingu przy autostradzie po tym, jak zabił kowboja i jego towarzyszkę. W efekcie szybko wylądowałby w rowie. Dlatego całą siłą woli odpierał te nęcące poniekąd obrazy i żądze, koncentrując uwagę na rozpościerającej się przed nim, skąpanej w deszczu, autostradzie. W dużej mierze osiągał sukces, choć czasami oczy zasnuwała mu mgła, oddech się urywał, a syreni śpiew odmiennych stanów świadomości stawał się wprost nie do zniesienia.

Przez długi czas nie czuł, ażeby fizycznie działo się z nim coś niezwykłego. Tylko od czasu do czasu uświadamiał sobie, że zachodzą w nim jakieś zmiany, i wtedy miał wrażenie, jakby jego ciało stanowiło rój splątanych robaków, które – do tej pory spokojne i nieruchome – nagle zaczęły wić się i skręcać jak opętane. Po tym, jak we wstecznym lusterku zobaczył swe nieludzkie oczy – jedno pomarańczowo-zielone z pionowo wyciętą tęczówką, drugie zaś złożone jak u stawonoga i jeszcze bardziej dziwne – bał się już patrzeć na siebie. Jasność umysłu była w tej chwili najważniejsza. Jednakże, chcąc nie chcąc, widział na kierownicy swe dłonie i zdawał sobie sprawę z dalszych zachodzących w nim zmian. Na pewien czas wydłużone dotąd palce skróciły się i zgrubiały, a długie zakrzywione pazury cofnęły się nieco. Zniknęła też błona między kciukiem i palcem wskazującym. Wkrótce jednak cały proces zaczął ulegać odwróceniu: dłonie Erica znów się wydłużyły, kłykie powiększyły się, szpony zaś stały się jeszcze ostrzejsze i groźniej zagięte niż poprzednio. Jego ręce były tak szkaradne – poczerniałe, cętkowane, zrogowaciałe u nasady paznokci i powiększone o jeszcze jeden staw – że Eric starał się w ogóle nie spoglądać w dół, tylko patrzeć na drogę.

Niezdolność do zaakceptowania własnego wyglądu nie wynikała jedynie z lęku przed tym, czym się stawał. Owszem, bał się, ale z transformacji czerpał zarazem doprowadzającą do szaleństwa przyjemność. Przynajmniej na razie był niezwykle silny, szybki jak strzała i śmiertelny. Mimo swego nieludzkiego wyglądu stanowił uosobienie męskiego marzenia o władzy absolutnej i potężnej sile; marzenia obecnego w wyobraźni każdego chłopca; marzenia, z którego nigdy się tak do końca nie wyrasta. Nie mógł jednak skoncentrować się na tym wszystkim, bo takie fantazje znów uczyniłyby zeń zwierzę.

Dziwne i całkiem przyjemne palenie we wnętrzościach, żyłach i kościach towarzyszyło mu teraz nieprzerwanie; w gruncie rzeczy z upływem czasu nawet narastało. Początkowo myślał, że rozplywa się,

by stworzyć nowy kształt, teraz jednak wydawało mu się, iż nie rozplywa się, lecz pali od środka, a za chwilę ogień buchnie mu z palców. Miał na to nawet własne określenie, ogień przemian.

Na szczęście osłabiające ataki przejmującego bólu, który męczył go we wczesnej fazie metamorfozy, ustąpiły zupełnie. Cały czas odczuwał tu, to tam jakieś ćmienie, ale nie były to bóleści tak intensywne jak poprzednio i nie trwały dłużej niż minutę lub dwie. Najwyraźniej amorfizm stał się przez ostatnich dziesięć godzin genetycznie zaprogramowanym stanem jego organizmu tak dlań naturalnym – i przeto bezbolesnym – jak oddychanie, regularny puls, trawienie i wydalanie.

Okresowe napady przeraźliwego głodu były wszystkim, co mu dokuczało. Jednakże wiedział, że męki te mogą stać się nie do wytrzymania. Jego organizm niszczył stare komórki i w straszliwym tempie produkował nowe, potrzebował więc paliwa dla podtrzymania tego procesu. Eric zauważył także, że znacznie częściej niż dotąd oddaje mocz; za każdym razem, gdy zjeżdżał na pobocze i dawał ulgę pęcherzowi, czuł, że uryna coraz bardziej cuchnie amoniakiem i innymi związkami chemicznymi.

Teraz, kiedy pokonywał wzgórze, za którym rozpościerała się świetlista panorama Las Vegas, znów chwycił go za żołądek okropny skurcz: to głód zaciskał na nim swą żelazną pięść. Eric zaczął się pocić i trząść.

Zjechał na pobocze i zatrzymał się. Wymacał hamulec ręczny i zaciągnął go.

Kiedy uderzyła go pierwsza fala bólu, zaczął skamleć. Po chwili usłyszał, że z jego gardła wydobywa się ryk. Poczuł, iż traci kontrolę nad sobą, w miarę jak zwierzęce potrzeby stawały się bardziej zdecydowane i nieodparte.

Bał się tego, co może zrobić. Jeśli wyjdzie z samochodu, by zapolować na pustyni, to na tym pustkowiu – choć blisko Vegas – zgubi się po prostu. Jeśli zaś, co gorsza, bezrozumny i wiedziony tylko zwierzęcym instynktem wyjdzie na autostradę i zatrzyma jakiś samochód, to niewątpliwie wywlecze jego kierowcę na drogę i rozerwie na kawałki. W takim wypadku na pewno znajdą się świadkowie i nie będzie już żadnej nadziei na to, że nie zauważony dotrze do starego motelu w Vegas, gdzie kryła się Rachael.

Nic nie może go zatrzymać, zanim tam dotrze. Na samą myśl o żonie, wizja Erica zabarwiła się na czerwono, on sam zaś mimowolnie wrzasnął, pełen gniewu, a jego przenikliwy krzyk odbił się echem od zalanych deszczem szyb kabiny. Zemścić się na niej, zabić ją – to pragnienie było na tyle silne, że oparło się postępującej w ostatnich godzinach degeneracji. Szansa na rewanż za wszystkie upokorzenia utrzymywała go w przytomności umysłu i w formie.

Rozpaczliwie tłumiąc pierwotny stan świadomości, znów rozbudzany w nim przez fale głodu, Eric odwrócił się w stronę turystycznej chłodziarki, która stała za przednimi siedzeniami wewnątrz kabiny. Widział ją już wcześniej, kiedy wsiadał do pickupa, ale jeszcze nie zbadał jej zawartości. Teraz podniósł wieko i z ulgą stwierdził, że młodzi ludzie zamierzali w drodze do Vegas urządzić sobie piknik. Lodówka zawierała starannie zapakowane w foliowe woreczki kanapki, dwa jabłka i sześciopuszkowy karton piwa.

Smoczymi łapami Eric wydobywał jedzenie z folii i błyskawicznie pakował je sobie do ust. Omal się nie udławił gumowatymi kęsami bułki z wędliną; należało się skupić na staranniejszym przeżuwaniu kanapek.

Cztery z nich zawierały grube kawałki nie dopieczzonego rostbefu. Smak i zapach na wpół surowego mięsa podnieciły go do granic wytrzymałości. Żałował, że rostbef nie jest zupełnie surowy i nie ocieka krwią. Tak bardzo chciał zanurzyć zęby w ciele żywego zwierzęcia i rwać mięso na strzępy.

Dwie następne – i ostatnie – kanapki przełożono plastrami szwajcarskiego sera z musztardą. Też je zjadł, choć nie zawierały mięsa i nie pachniały krwią, a więc nie mogły być smaczne; Eric potrzebował jednak kalorii bez względu na to, jakiego pochodzenia. Pamiętał smak krwi kowboja, pamiętał smak krwi

jego kobiety – metaliczny smak krwi wysanej z gardła i piersi... Zaczął syczeć i kiwać się na siedzeniu, ożywiony tymi wspomnieniami. Żarłocznie pochłonał również oba jabłka, choć jego powiększone szczęki, dziwnie zdeformowany język i ostro zakończone zęby nie były przeznaczone do spożywania owoców.

Dławiąc się i pryskając śliną, wypił całe piwo. Nie bał się oszołomienia alkoholem, gdyż wiedział, że przyspieszona przemiana materii spali go, zanim Eric poczuje jego działanie.

Kiedy wreszcie lodówka została ogołocona ze wszystkich produktów, zziębnięty Eric rozparł się na swym siedzeniu. Patrzył bez celu na ociekające wodą szyby, a bestia w jego wnętrzu chwilowo ucichła. Koszmarne wspomnienia związane z morderstwem uprzednio zgwałconej kobiety uleciały jak dym gdzieś w najgłębsze pokłady pamięci.

I nagle za oknem, przez czarną zasłonę nocy, rozbłysły cieniste ognie.

Wrota piekieł? Czy przypominają mu o jego przeznaczeniu, o tym, że jest przeklęty, mimo iż udało mu się oszukać śmierć i uciec jej?

A może to zwykłe halucynacje? Może jego torturowana podświadomość, przerażona zmianami, które zachodziły w zamieszkiwanym przez nią ciele, rozpaczliwie próbowała uzewnętrznić ogień przemian, przenieść żar metamorfozy z wnętrza organizmu na sugestywne obrazy?

To był najbardziej rozumny ciąg myśli, jaki pojawił się w umyśle Erica w ciągu ostatnich kilku godzin. Przez chwilę czuł w sobie krzepiące ożywienie władz umysłowych, które w pewnej dziedzinie zyskały mu miano geniusza. Ale tylko przez chwilę. Potem powróciła pamięć krwi; po karku tego, który kiedyś nazywał się Erikiem Lebenem, przebiegł dreszcz dzikiego podniecenia, a on sam wy dobył z głębi gardła rozziewający ryk.

Z lewej strony minęło go kilka samochodów osobowych i ciężarówek. Wszystkie jechały na wschód, wszystkie pędziły do Vegas. Vegas...

Powoli przypomniał sobie, że on też jedzie do Vegas, gdzie ma znaleźć motel o nazwie „The Golden Sand Inn” i sprawić komuś przykrą niespodziankę...

Część trzecia
Największy mrok

*Noc pełna może być słodczy;
Tej nocy to nie dotyczy.*

Księga znaczącego smutku

Konwergencja

Rachael umyła twarz w toalecie i uczesała swe proste – teraz strasznie potargane – włosy, po czym wróciła w pobliże automatów telefonicznych. Tam usiadła na kanapce ze sztucznej skóry, skąd mogła widzieć wszystkich wchodzących od strony *foyer* hotelowego, jak również od strony schodów do kasyna, tej oazy zbytku. W jasno oświetlonej sali gier znajdował się tłum ludzi, także w *foyer* przesuwały się dziesiątki gości.

Obserwowała ich wszystkich możliwie najbardziej dyskretnie. Nie starała się wyszukać Whitneya Gavisa, gdyż nie wiedziała, jak on wygląda. Bała się natomiast, że ktoś mógł ją rozpoznać na podstawie pokazywanego w telewizji zdjęcia. Wydawało jej się, że otaczają ją sami wrogowie i zaciskają wokół niej pierścieni. Może to paranoja, a może prawda...

Nie pamiętała, by kiedykolwiek czuła się bardziej słaba i zmęczona. Kilka godzin snu w Palm Springs nie wystarczało do tak szalonej dzisiejszej aktywności. Od biegania i wspinaczki bolały ją nogi, ręce miała zdrętwiałe i ciężkie. Tępy ból promieniował wzdłuż całego kręgosłupa. Oczy były przekrwione, a pod powiekami czuła ziarenka piasku. Chociaż podczas postoju w Baker kupiła sześć puszek napoju i wszystko w drodze wypila, to jednak usta miała wyschnięte i popękane.

– Kiepsko wyglądasz, dziecino – powiedział Whitney Gavis, zbliżając się do kanapy, na której siedziała, i wprawiając ją w zakłopotanie.

Widziała, jak ten mężczyzna zbliża się od strony *foyer*, ale przeniosła uwagę na innych ludzi, przekonana, że to nie może być Whitney Gavis. Miał około stu siedemdziesięciu pięciu centymetrów wzrostu, był trochę niższy od Bena, ale chyba lepiej zbudowany, bardziej barczysty. Szerokie białe spodnie i koszula z dzianiny w pastelowym błękitcie nadawałyby mu wygląd a la Miami Vice, gdyby nie brak białej marynarki. Jednakże lewa połowa jego twarzy była zniekształcona przez sieć czerwonych i brązowych blizn, jak gdyby ktoś zadał mu głębokie rany kłute lub próbował podpalić (albo jedno i drugie). Lewe ucho miał zdeformowane i pokryte krostami. Poruszał się niepewnym, sztywnym krokiem, z trudem podnosząc lewą nogę, co wskazywało na to, że jest ona sparaliżowana – lub nawet zastąpiona protezą. Jego lewa ręka była amputowana w połowie między łokciem i dłonią, a kikut wystawał z krótkiego rękawa koszulki.

Widząc zaskoczenie Rachael, Gavis roześmiał się.

– Najwyraźniej Benny nie ostrzegł pani... Musiałem coś złożyć w ofierze, aby ocalić życie.

Rachael zamrugnęła powiekami i rzekła:

– Nie, nie... Cieszę się, że pana widzę... Cieszę się, że mam przyjaciela i nieważne... To znaczy, ja nie... Myślę, że pan... O kurczę, nie ma powodu, żeby...

Chciała wstać z kanapy, ale zdała sobie sprawę, że może wygodniej będzie jej siedzieć, choć z drugiej strony to przecież lenistwo, w konsekwencji więc zawisała, niezdecydowana, biodrami w powietrzu.

Whitney znów się uśmiechnął i zdrową ręką ujął ją pod ramię.

– Odpręż się, dziecko. Nie obraziłem się. Nie znam nikogo na świecie, kto by mniej zwracał uwagę na sprawy aparycji niż Benny. On ocenia ludzi na podstawie ich cech wewnętrznych, a nie powierzchowności; to bardzo do niego podobne, że zapomniał powiedzieć pani o mojej... powiedzmy... osobliwości. Nie uważam się za kalekę. Chociaż miała pani pełne prawo poczuć się nieswojo, dziecino.

– Myślę, że Ben nie miał nawet czasu, żeby mi o tym powiedzieć, nawet jeśli chciał... – odrzekła, decydując się, że nie będzie już siadać. – Czas nas gonił...

Była zaskoczona. Wiedziała, że Benny i Whitney walczyli razem w Wietnamie, ale Gavis nie wyglądał jej na żołnierza. Dopiero po chwili zrozumiała, że przed wyjazdem do południowo-wschodniej Azji był normalnym zdrowym mężczyzną, pozbawionym ułomności i że to na wojnie stracił nogę i kawałek ręki.

– Czy u Bena wszystko w porządku? – spytał Whitney.

– Nie wiem.

– Gdzie on jest?

– W drodze do Vegas. Przynajmniej taką mam nadzieję. Ale nie jestem pewna.

Nagle uderzyła ją przerażająca myśl. Przecież Benny też mógł teraz wyglądać tak jak Gavis! Też mógł wrócić z wojny ze zdeformowaną twarzą, bez nogi i kawałka jednej ręki! Od poprzedniego wieczora, kiedy to Ben odebrał Vincentowi Baresco jego magnum kaliber 357, Rachael – mniej lub bardziej podświadomie – myślała o swym przyjacielu jako o człowieku nieugiętym, niepokonanym, obdarzonym niewyczerpanymi pokładami energii. Wcześniej bała się o niego, a od chwili gdy zostawiła go samego na górze nad jeziorem Arrowhead, obawiała się bez przerwy. Ale przez cały czas gorąco pragnęła uwierzyć, że Ben jest zbyt silny i szybki, by mogło mu grozić cokolwiek złego. Teraz, widząc, w jakim stanie Whitney Gavis wrócił z wojny, wiedząc, że walczyli ramię w ramię, nagle zrozumiała – i wreszcie dotarło do niej – że Benny też jest istotą śmiertelną, wrażliwą na rany jak każdy człowiek i uczepioną życia żałośnie cieniutkimi nitczkami.

– Czy wszystko w porządku? – spytał Whitney.

– Zaraz... zaraz mi przejdzie – powiedziała Rachael, trzęsąc się. – Jestem po prostu wyczerpana... i martwię się.

– Chcę wiedzieć wszystko, co się naprawdę wydarzyło. Wersję oficjalną znam z telewizji.

– Jest dużo do opowiadania – odparła kobieta. – Ale nie tutaj.

– Dobrze – zgodził się Gavis, patrząc na przechodzących ludzi. – Nie tutaj.

– Benny ma się ze mną spotkać w swoim motelu.

– W motelu? Tak, myślę, że to dobra kryjówka. Lepsza niż luksusowy hotel.

– Ja nie mam wyboru.

Opuścili *foyer* i Whitney, który także umieścił samochód na hotelowym parkingu, kazał boyowi przyprowadzić oba pojazdy.

Stali pod wysokim *porte cochere*, osłonięci przed szalejącą na zewnątrz burzą. Błyskawice już się nie pojawiały, a lejące się z nieba strugi deszczu nie były tu, wokół rozświetlonego tysiącami lampek budynku, ani szare, ani mroczne jak na pustyni. Miliony kropli odbijały bursztynowe i żółte światła zdobiące wejście do „Grandu”; wyglądało to tak, jakby cała ulica pokryta była cienką warstwą roztopionego złota.

Najpierw przyprowadzono samochód Whitneya, śnieżnobiały karmann ghia, ale czarny mercedes pojawił się tuż za nim. Chociaż wiedziała, że zwraca tym na siebie uwagę, Rachael nalegała, by – zanim odjadą – sprawdzić bagażnik i tylne siedzenie jej auta. Plastykowy worek zawierający akta „Wildcard” znajdował się tam, gdzie go zostawiła, ale szukała czego innego. Wiedziała, że to przesada – w końcu Eric już nie żył lub przynajmniej został zredukowany do jakiejś podludzkiej formy, która pełzała teraz po pustyni sto pięćdziesiąt kilometrów stąd albo i dalej. Nie istniała możliwość, że wyszedł jej obecność w „Grandzie” i ukrył się w zaparkowanym samochodzie. Mimo to Rachael dokładnie sprawdziła bagażnik i odetchnęła z ulgą, kiedy nic nie znalazła.

Wyjechała za Whitneyem na Flamingo Boulevard, skręciła w Paradise Boulevard, potem

w Tropicana i pomknęła w stronę motelu „The Golden Sand Inn”.

Nawet w nocy, pośród strug deszczu, Eric nie odważył się pojechać Bulwarem Południowym, tą jaskrawo oświetloną, barokowo zdobioną ulicą nazywaną przez miejscową ludność „Strip”. Tutaj nie było widać nocy. Tutaj dominowały ośmio-, dziesięciopiętrowe reklamy złożone z migoczących, pulsujących, błyskających żarówek; tysiące kilometrów jarzących się neonów, poskręcanych jak świecące jelita przezroczystych ryb głębinowych. Zasłona z deszczu przykrywająca szyby pickupa i maksymalnie opuszczone rondo kowbojskiego kapelusza nie stanowiły należytego zabezpieczenia przed ciekawością kierowców, którzy mogliby dojrzeć straszne oblicze Erica. Zjechał więc z Bulwaru Południowego, zanim pojawiły się hotele, w pierwszą przecnicę na wschód, mijając międzynarodowe lotnisko McCarran. Tu nie było żadnych hoteli, karnawałowych lampek ani zbyt wielu samochodów. Okrężną drogą dojechał do Tropicana Boulevard.

Słyszał, jak Shadway mówił Rachael o motelu w Vegas, i bez trudu odnalazł go na pustawej, słabo zabudowanej ulicy. Parterowy budynek w kształcie litery U otoczony był odsłoniętym od strony Tropicana basenem. Ściany, wykładane poczerniałymi na słońcu deskami, wymagały pomalowania. Betonowa faktura była brudna, popękana i nieświeża. Typowy w strefie pustynnej smołowany kamienny dach prosił się o remont. Wiele szyb popękało, a stolarkę okienną należało wymienić. Wszędzie wokół rosły wielkie chwasty. Pod jedną ze ścian leżała sterta zwiędłych liści i starych papierów. Na kilkumetrowej wysokości metalowej konstrukcji dyndał w rytm podmuchów zachodniego wiatru zepsuty, nieczynny neon.

Teren po obu stronach budynku był zaśmiecony i nie wykorzystany. Na wprost motelu budowano nowy dom mieszkalny; teraz nikt tam nie pracował i w mroku nocy straszyl szkielet konstrukcji o różnym stopniu zaawansowania. Jeśli nie liczyć przejeżdżających ulicą samochodów, okolica była raczej pusta.

Sądząc po braku jakiegokolwiek światła, Rachael jeszcze nie przybyła. Gdzie ona jest? Jechała przecież bardzo szybko, Eric nie wierzył, że mógł ją wyprzedzić na autostradzie. Kiedy pomyślał o niej, serce zaczęło mu mocniej bić. Oczy znów zaszyły czerwonawą mgiełką. Wspomnienie krwi spowodowało obfite ślinienie. Znana mu już zimna wściekłość rozeszła się po jego ciele kryształkami lodu. Eric zacisnął olbrzymie jak u rekina szczęki i walczył ze sobą, by zachować choć trochę przytomności umysłu, która potrzebna mu była do prawidłowego funkcjonowania.

Zatrzymał pickupa na zwirowym poboczu kilkadziesiąt metrów za motelem, wjeżdżając przednimi kołami do rowu. Chciał sprawić wrażenie, że kierowca wróci po unieruchomione auto dopiero nad ranem. Wyłączył światła i silnik; dudnienie deszczu o dach było teraz głośniejsze, niż gdy rywalizował z nim warkot silnika. Odczekał, aż droga będzie pusta otworzył drzwi na drugą stronę i wyszedł na ulewę.

Rowem wypełnionym brudną, brunatną wodą ruszył w stronę motelu. Biegł, bo gdyby na ulicy pojawił się samochód, nie miałby się gdzie ukryć. Ale na razie jedyną oznaką życia w tym pustym, martwym terenie były targane wiatrem kule skłębionych chwastów.

Znów ogarnęło go pragnienie zerwania z siebie odzieży. Nie mógł oprzeć się głębokiej pokusie, by pobiec nago wśród wietrznej, deszczowej nocy – byle dalej od świateł wielkiego miasta – do dzikiego świata przyrody. Ale żądza zemsty była silniejsza, i to ona trzymała go ubranego, skupionego na jednym jedynym celu.

Małe biuro hotelowe mieściło się w północno-wschodnim rogu budynku. Przez duże okno widać było tylko fragment nie oświetlonego pokoju: mroczne kształty kanapy, krzesła, pustego stojaka na pocztówki, stołu z lampą oraz kontuaru do obsługi gości. Do części mieszkalnej, gdzie Shadway polecił skryć się Rachael, wchodziło się zapewne przez ten właśnie pokój. Eric spróbował przekręcić gałkę – która

całkowicie zniknęła w jego olbrzymiej, twardej jak podeszwa łapie – ale drzwi były zamknięte na klucz. Spodziewał się tego.

Przez chwilę mignęło mu w mokrej szybie własne odbicie: rogata bestia z piekła rodem o lekko błyszczących kłach i licznych naroślach na skórze. Szybko odwrócił wzrok, dusząc w sobie krzyk.

Wszedł od strony ulicy na dziedziniec motelu. Wszędzie było ciemno, ale on postrzegał zdumiewającą liczbę szczegółów, nawet odcień farby, którą pomalowano drzwi do pokoi. W cokolwiek się przemieniał, istota owa miała niewątpliwie lepszą zdolność widzenia w nocy niż człowiek.

W opłakanym stanie były również aluminiowe markizy osłaniające prowadzący do wszystkich pokoi dziurawy chodnik. Strugi wody lały się z góry na krawężnik i na doszczętnie zachwaszczony trawnik, gdzie tworzyły się wielkie kałuże. Buty Erica wydawały ciche skrzypienie, kiedy szedł po betonie wokół basenu. Oczywiście, woda z basenu została spuszczone – to deszcz zaczynał napełniać go z powrotem. W zagłębieniach dna zebrało się już kilkadziesiąt centymetrów deszczówki. Pod wodą mignęło mu coś ulotnego, jakiś nieregularny, rozmywający się szkarłatny kształt o srebrnych brzegach – cieniste ognie! Nie, to przywidzenie.

A jednak teraz, jak jeszcze nigdy dotąd, cieniste ognie wzbudziły w nim ogromny lęk. Kiedy patrzył w mroku na napełniający się wodą basen, ogarnęła go paniczna chęć ucieczki, byle dalej od tego strasznego miejsca!

Szybko odwrócił się plecami do basenu.

Wszedł pod markizy. Głuche dudnienie deszczu o aluminiowy dach przyprawiło go o klaustrofobię. Czuł się jak zamknięty w puszcze. Skierował się do pokoju numer piętnaście, który znajdował się mniej więcej w połowie litery U. Tu drzwi były również zamknięte na klucz, ale zamek nie wyglądał na solidny. Eric cofnął się i zaczął napierać na nie całym swym ciężarem. Przy trzecim uderzeniu szła destrukcji, który go ogarnął, okazał się tak silny, że w podniecaniu, nie panując nad sobą, zaczął krzyżeć. Przy czwartym uderzeniu zamek puścił i drzwi z chrzęstem miazdzonego metalu runęły do wewnątrz pokoju.

Eric wszedł do środka.

Pamiętał, jak Shadway mówił Rachael, że nie odcięto prądu. Nie włączył jednak światła. Po pierwsze, nie chciał w ten sposób wzbudzać podejrzliwości żony, kiedy tu wreszcie przyjedzie. Po drugie, miał lepszą zdolność widzenia w nocy; mógł bez wpadania na meble poruszać się po ciemnym pokoju, ponieważ zadowalająco odróżniał wszystkie wymiary i kształty.

Ostrożnie zamknął za sobą drzwi.

Podszedł do okna, które wychodziło na dziedziniec, odsunął lekko brudne i zakurzone zasłony i wyjrzał na zewnątrz. Stąd miał doskonały widok na oba skrzydła motelu oraz wejście do biura. Będzie ją widział, kiedy przyjedzie. A gdy już ją ujrzy, podąży za nią.

Niecierpliwie przestąpił z nogi na nogę. Pisnął lekko z podniecenia. Tak bardzo łaknął krwi.

Kierowca ciężarówki nazywał się Amos Zachariah Tate i był zezowatym mężczyzną o zaciętym wyrazie twarzy i szerokich wąsach. Wyglądał tak, że mógłby uchodzić za wcielenie zbója, jakich całe bandy grasowały w czasach Dzikiego Zachodu na tych odludnych ziemiach Mojave, napadając na dylizansy i kurierów. Jednakże sposobem bycia przypominał bardziej wędrownego kaznodzieję z tego samego okresu: miał łagodny głos, był wielkoduszny, uprzejmy i twardy zarazem, niezachwianie przekonany o możliwości zbawienia duszy przez miłość Jezusa.

Nie tylko zaoferował Benowi bezpłatny przejazd do Las Vegas, ale również wełniany koc (zimne powietrze z klimatyzatora w kabinie owiewało przemoczone ubranie Shadwaya), kawę z jednego

z dwóch wielkich termosów, baton czekoladowy z orzeszkami oraz wsparcie duchowe. Naprawdę zatroszczył się o wygodę swego pasażera i jego dobre samopoczucie. Tate był zaiste urodzonym samarytaninem, którego zawstydziała okazywana mu wdzięczność, całkowicie oddanym swej sprawie i czerpiącym siłę z dobrze pojętej, nie przeznaczanej na pokaz wiary.

Poza tym Amos uwierzył w łgarstwo Bena o ciężko chorej, może nawet umierającej, żonie, która leży w Vegas w Sunrise Hospital. I chociaż – jak sam powiedział – nigdy nie łamał prawa, a nawet przepisów drogowych, to w tym wypadku zrobił wyjątek i przekroczył dozwoloną prędkość. Rozpędził swoją ciężarówkę do stu dziesięciu na godzinę, a zapewne pojechałby jeszcze szybciej, gdyby nie zła pogoda.

Grzejąc się pod wełnianym kocem, pijąc kawę, jedząc baton i myśląc gorzko o śmierci, Ben był wdzięczny Amosowi Tate'owi, ale żałował, że ten nie może bardziej nacisnąć na pedał gazu. Jeśli miłość najbliższa była wieczności, co przyszło mu do głowy, kiedy leżał z Rachael w łóżku, to spotykając ją, otrzymał klucz do nieśmiertelności. I teraz, u samych wrót do raj, zły los wyrwał mu ten klucz z ręki. Gdy pomyślał, jak straszne byłoby bez niej jego życie, chciał odebrać Amosowi kierownicę, przesadzić go na swoje miejsce i sprawić, że ciężarówka poleciałaby do Vegas.

Ale wszystko, co mógł zrobić, to owinąć się mocniej kocem, opanować drzenie i patrzeć przez okno w mrok nocy.

Części mieszkalnej przy biurze w motelu „The Golden Sand Inn” nie używano co najmniej od miesiąca i czuć w niej było stęchlizną. Choć zapach nie był silny, Rachael wciąż z niesmakiem marszczyła nos. Zwłaszcza że unosząca się w powietrzu woń rozkładu zaczęła przyprawiać ją o mdłości.

Pokój był duży, sypialnia mała, łazienka i kuchnia zaś – mikroskopijne (choć kuchnię wyposażono w niezbędny sprzęt gospodarstwa domowego). Ściany wyglądały tak, jakby nie malowano ich przez całą minioną dekadę. Poprzecierane wykładziny podłogowe należało wymienić, podobnie jak spękane i spłowiałe linoleum w kuchni. Meble były porysowane i zniszczone, a większość sprzętów w kuchni – poobijana i zakurzona.

– Nie jest to wnętrze, jakie zwykło się oglądać w „Architectural Digest” – powiedział Whitney Gavis, opierając się kikutem o lodówkę, a zdrową ręką sięgając po przewód, by podłączyć ją do sieci. Od razu rozległo się warczenie silnika. – Ale wszystko działa nie najgorzej, poza tym nikt nie wpadnie na myśl, żeby was tu szukać.

Kiedy przechodzili z pomieszczenia do pomieszczenia, zapalając w nich światła, Rachael zaczęła opowiadać Whitowi prawdziwą historię, która kryła się za wydanymi na nią i Bena listem gończym i nakazem aresztowania. Potem usiedli przy zakurzonej kuchennym stole, na którego blacie ktoś na dodatek reklamował kiedyś papierosy, i dokończyła opowiadania jak tylko potrafiła najzwyczajniej.

Wyjący za oknem wiatr był niczym czuwająca bestia, która przywiera do okien swym bezkształtnym obliczem, jakby chciała podsłuchać historię lub coś do niej dodać.

Stojąc przy oknie pokoju numer piętnaście i czekając na pojawienie się Rachael, Eric poczuł, że ogarniają go cieniste ognie. Zaczął pocić się obficie, całe strugi słonej ciecży spływały mu po policzkach, wydzielane przez wszystkie pory, jakby te chciały dorównać tempem prędkości, z jaką z aluminiowych markiz lała się na chodnik deszczówka. Czuł się tak, jak gdyby znajdował się wewnątrz hutniczego pieca, każdy łyk powietrza dosłownie palił mu płuca. Wszędzie dookoła niego, w każdym zakamarku pokoju, strzelały teraz fantomatyczne cieniste ognie. Bał się na nie patrzeć. Kości miał miękkie jak z waty, a jego wnętrzości trawił ogień – nie zdziwiłby się wcale, gdyby płomień trysnął mu z palców.

– Topię się... – powiedział głębokim, gardłowym i nieludzkim głosem. – ...Topię...

Nagle jego twarz przesunęła się. Przez chwilę w uszach Erica dźwięczały straszliwy chrzęst

i chrupanie dobiegające z wnętrza czaszki, ale zaraz potem odgłosy te przemieniły się w przyprawiające o zawroty głowy bulgotanie. Ten chorobliwy proces narastał. Przerażony, sparaliżowany strachem, ale jednocześnie wypełniony dziką, diabelską radością Eric poczuł, że jego twarz ulega przekształceniu. Przez chwilę obserwował, jak z czoła wyrasta mu kość tak długa, że widział ją bez lustra. Szybko jednak cofnęła się i znikła, ale coś zaczęło dziać się z kością nosową i dolną szczęką, zmieniając do niedawna jeszcze ludzkie oblicze Erica w wykrzywiony pysk istoty pierwotnej. Nogi zaczęły się pod nim ugiąć, odwrócił się więc niechętnie od okna i z łoskotem osunął na podłogę. Coś uciskało go w piersi. Wargi zaczęły rozszerzać się i wydłużać, tnąc policzki po obu stronach szczątkowej twarzy. Padł na łóżko, przewrócił się na plecy i całkowicie poddał temu wyniszczającemu, choć nie do końca nieprzyjemnemu procesowi rewolucyjnych zmian w swoim organizmie. Niczym z oddali słyszał dziwne dźwięki, które sam produkował: warczenie, jakby był psem, syk, jakby był wężem, oraz nieartykułowany, bez wątpienia ludzki, krzyk.

Na chwilę ogarnęła go ciemność.

Kiedy po paru minutach częściowo odzyskał zmysły, stwierdził, że spadł z łóżka i leży pod oknem, przy którym wcześniej wypatrywał Rachael. Choć ogień przemian w jego wnętrzu nie ostygł, choć czuł, że jego tkanki wciąż szukają nowych form w każdym zakątku ciała, stanowczym ruchem odsunął zasłony i wyciągnął rękę w stronę okna. W słabym świetle ujrzał olbrzymią łapę pokrytą chitynową skorupą, jakby należała do kraba lub homara, który obdarzony został palcami zamiast szczypiec. Złapał za kłamek i podniósł się na nogi. Następnie, dysząc ciężko, oparł się o szybę, która zaraz pokryła się parą.

W biurze paliło się światło.

Rachael musiała już przyjechać.

W mgnieniu oka powróciła nienawiść do tej kobiety, a nozdrza Erica wypełnił zapach krwi, której łaknął.

Ale jednocześnie osiągnął niebывały wzwód i najpierw pragnął ją pokryć, a dopiero potem zabić, tak jak to zrobił z dziewczyną kowboja. W swym zregenerowanym, zmutowanym stanie nie potrafił już dostrzec, że ma kłopoty z określeniem jej tożsamości. W tej chwili istniała dla niego wyłącznie jako samica... oraz ofiara.

Odwrócił się od okna i chciał podejść do drzwi, ale podlegające metamorfozie nogi nie mogły już utrzymać jego ciężaru. I znów przez jakiś czas leżał na podłodze, wijąc się i skręcając w cierpieniu, a ogień przemian w jego wnętrzu rozpalał się na dobre.

Geny i chromosomy, ongiś wzorce i regulatory jego formy i funkcji, teraz same stały się plastyczne. Już nie odtwarzały jedynie poprzednich szczebli w ewolucji człowieka, ale dokonywały eksploracji osobliwie dziwnych form, które nie miały nic wspólnego z historią fizjologii gatunku ludzkiego. Dokonywały mutacji albo chaotycznie i bez planu, albo zgodnie z nie znanym mu schematem, którego i tak nigdy by nie pojął. W czasie trwania procesu mutacji geny i chromosomy kazały jego organizmowi wytwarzać tak szaloną ilość hormonów i protein, że stąd brało się uczucie topnienia wnętrzości.

Eric stawał się potworem, jaki nigdy jeszcze nie stapał po powierzchni Ziemi i nigdy nie miał stapać.

We wtorek o dwudziestą pierwszą zero trzy dwusilnikowy samolot transportowy z bazy w Twentynine Palms wylądował w rześnym deszczu na międzynarodowym lotnisku McCarran w Las Vegas. Tylko dziesięć minut dzieliło jego pasażerów od planowego czasu przylotu maszyny z Orange, którą lecieli Julio Verdad i Reese Hagerstrom.

Harold Ince, agent DSA w stanie Newada, powitał Ansona Sharpa, Jerry'ego Peake'a oraz Nelsona Gosserra przy wejściu do terminalu.

Gosser natychmiast pospieszył do innego wyjścia, gdzie mieli pojawić się pasażerowie z Orange. To jemu przypadło w udziale pilnowanie Verdada i Hagerstroma do czasu opuszczenia terminalu. Potem mieli się nimi zająć czekający na zewnątrz agenci.

– Panie Sharp, przylecieliście „na styk” – powiedział Ince.

– Myśli pan, że nie wiem? – odburknął Sharp, kierując się przez poczekalnię w stronę frontowej części terminalu.

Peake pospieszył za szefem, a dużo niższy od Sharpa Ince musiał biec, żeby dotrzymać mu kroku.

– Samochód czeka na pana, zgodnie z życzeniem, przed budynkiem, dyskretnie ustawiony na końcu postoju taksówek.

– Dobrze, a jeśli nie wezmą taksówki?

– Jedno z biur wynajmowania samochodów jest jeszcze otwarte. Gdyby pojechali tam, zdążę pana uprzedzić.

– Dobrze.

Doszli do ruchomego chodnika i skorzystali z niego. Korytarz był zupełnie pusty, gdyż o tej porze lądował tu tylko jeden samolot – z Orange o dwudziestej pierwszej trzynastce. Z umieszczonych na ścianach długiego hallu głośników płynęły kiepskie skecze, nagrane w tutejszych lokalach przez takich wykonawców, jak Joan Rivers, Paul Anka, Rodney Dangerfield, Tom Dreesen, Bill Cosby i inni, oraz uwagi dotyczące zachowania bezpieczeństwa, w rodzaju: „W czasie jazdy ruchomym chodnikiem proszę trzymać się poręczy, stać po prawej stronie i pozwolić przejść pasażerom idącym z lewej strony. Proszę uważać, by nie potknąć się przy końcu chodnika”.

Niezadowolony z powolnego tempa, w jakim jechał chodnik, Sharp znów zaczął iść swymi wielkimi krokami i, patrząc bardziej pod nogi niż na Ince’a, spytał go:

– Jakie ma pan układy z tutejszą policją?

– Są mi bardzo pomocni.

– To wszystko?

– No, może nawet więcej – powiedział Ince. – To porządni faceci. Mają w tym mieście strasznie dużo roboty, bo to i miejscowy element, i przyjezdni... Ale radzą sobie świetnie. To trzeba im przyznać. Nie są mięczaki, a ponieważ wiedzą, jak ciężko jest utrzymać porządek, mają dużo szacunku dla innych służb.

– Takich jak nasza?

– Takich jak nasza.

– Jeśli dojdzie do strzelaniny – odezwał się Sharp – i ktoś zadzwoni po nich, a my nie zdążymy ulotnić się przed ich przybyciem, to czy możemy liczyć na to, że zaniechają oficjalnego raportu?

Ince zamrugnął powiekami, zaskoczony:

– No cóż... ja... może...

– Rozumiem – powiedział chłodno Sharp.

Ruchomy chodnik już się kończył. Kiedy wyszli do głównej hali terminalu, dodał:

– Ince, w najbliższych dniach musi pan nawiązać bliższe kontakty z miejscowymi glinami. Nie chcę więcej słyszeć „może...”

– Tak jest. Ale...

– Niech pan tu zostanie, może za stoiskiem z gazetami. Proszę nie zwracać na siebie uwagi.

– Dlatego właśnie tak się ubrałem – powiedział Ince.

Miał na sobie zielony garnitur sportowy z poliestru i pomarańczową koszulę od Banlona.

Sharp zostawił Ince’a i wyszedł przez duże przeszklone drzwi na zewnątrz, gdzie o dach nad jego

głową bębnił deszcz. Nareszcie dogonił go Jerry Peake.

– Ile mamy czasu, Jerry?

Peake spojrzął na zegarek i odrzekł:

– Samolot ląduje za pięć minut.

Sznur taksówek o tej porze był krótki – tylko cztery wozy. Samochód przeznaczony dla Sharpa stał przy krawężniku z napisem: PRZYLOTY – ZAKAZ PARKOWANIA, około piętnastu metrów za ostatnią taksówką. Był to brązowy ford, stanowiący standardowe wyposażenie agencji. Równie dobrze można było jeszcze na jego drzwiczkach umieścić olbrzymi napis: NIE OZNAKOWANY SAMOCHÓD TAJNYCH SŁUŻB. Cała nadzieja w strugach deszczu, że Verdad i Hagerstrom nie zauważą typowo tajniackiego wozu i pozwolą się śledzić. Peake siadł za kierownicą, a Sharp obok niego, kładąc na swych kolanach nieodłączną teczkę.

– Jeśli wezmą taksówkę – powiedział – podjedź bliżej, żebyśmy mogli odczytać jej numery, a potem zostań w tyle. Nawet gdybyśmy ich zgubili, będziemy mogli dowiedzieć się przez radio od dysponenta taksówek, dokąd pojechali.

Peake skinął głową.

Ich samochód w połowie stał pod dachem terminalu, w połowie zaś był wystawiony na deszcz. Krople tłukły w dach forda tylko po stronie Sharpa i tylko jego szyby zalane były wodą.

Anson otworzył teczkę i wyjął dwa pistolety, których numery rejestracyjne nie doprowadziłyby ani do DSA, ani do niego osobiście. Jeden z tłumików był nowy, drugi – bardzo już zużyty podczas polowania na Shadwaya i Leben nad jeziorem Arrowhead. Założył nowy tłumik na jeden z pistoletów i tę broń zachował dla siebie. Drugi pistolet wręczył Peake'owi, który przyjął go raczej z wahaniem.

– Coś nie tak? – spytał Sharp.

– No... czy... czy wciąż chce pan zabić Shadwaya? – odpowiedział Peake pytaniem.

Sharp spojrzął na niego krzywo.

– Tu nie chodzi o to, że ja chcę, Jerry. Ja po prostu mam takie rozkazy: zlikwidować Shadwaya. Rozkazy od władzy tak wysokiej, że nawet mi się nie śni, żeby się nad nimi zastanawiać.

– Ale...

– O co chodzi?

– Jeśli Verdad i Hagerstrom zaprowadzą nas do Shadwaya i pani Leben, to obaj też tam będą. Nie może pan nikogo zlikwidować w ich obecności. Przecież ci detektywi nie będą milczeć. Nie oni.

– Myślę, że dam sobie radę z odsunięciem Verdada i Hagerstroma od całej sprawy – zapewnił go Sharp, sprawdzając, czy broń jest naładowana. – Te sukinsyny mają się trzymać od tego z daleka i wiedzą o tym. Kiedy ich tutaj zdybiemy, zrozumieją, że ich kariera i emerytura wiszą na włosku i wycofają się. A gdy ich już nie będzie, weźmiemy się za Shadwaya i tę babę.

– A jeśli się nie wycofają?

– To wtedy i za nich się weźmiemy – odrzekł Sharp i kciukiem wsunął magazynek na miejsce.

Lodówka pracowała hałaśliwie. Duszne powietrze wciąż śmierdziało stęchlizną z domieszką odoru gnicia.

Siedzieli pochyleni nad kuchennym stołem jak dwójka konspiratorów ze starych filmów wojennych o ruchu oporu w Europie. Pistolet Rachael leżał w zasięgu ręki na podziurawionej papierosami ceracie. Kobieta nie liczyła się jednak z koniecznością jego użycia, przynajmniej nie tej nocy.

Whitney Gavis wysłuchał jej zwięzłej opowieści z widocznym zaskoczeniem, ale bez sceptycyzmu, co ją bardzo zdziwiło. Nie wyglądał na łatwowiernego. Nie wyglądał na kogoś, kto uwierzy w pierwszą

lepszą historyjkę. A jednak uwierzył w jej niesamowite przygody. Może ufał jej wyłącznie dlatego, że kochał ją Ben?

– Benny pokazywał ci moje zdjęcia? – spytała.

– Tak, moje dziecko. Ostatnio nie potrafił rozmawiać o niczym innym tylko o tobie.

– A więc wiedział, że między nami jest coś więcej niż tylko przyjaźń, wiedział o tym, zanim ja wiedziałam...

– Nie. On mówił, że wiesz, tylko na razie boisz się do tego przyznać. Mówił, że na wszystko przyjdzie czas, i nie mylił się.

– Jeśli pokazywał ci moje zdjęcia, to dlaczego mnie nie pokazał nigdy ciebie? Dlaczego, aż do dzisiaj, nigdy mi o tobie nie mówił? Przecież jesteście najlepszymi przyjaciółmi!

– Benny i ja jesteśmy sobie szczerze oddani. Od powrotu z Wietnamu żyjemy jak bracia, może nawet bliżej niż bracia – wiemy o sobie wszystko. Do niedawna nie byłeś z nim równie blisko, więc nie mógł dzielić się z tobą wszystkimi informacjami. Nie wini go za to. To Wietnam nauczył go nieufności.

To zapewne również z powodu Wietnamu Gavis uwierzył w tę niesłychaną historię, nawet w tę jej część, w której występuje zmutowana bestia na pustyni Mojave. Ktoś, kto przeżył szaleństwo wojny w Wietnamie, niczemu się chyba nie dziwi.

– Ale nie masz pewności, że te węże go uśmierciły? – spytał Whitney.

– Nie – przyznała Rachael.

– Jeśli po tym, jak wpadł pod ciężarówkę, wrócił do życia, zapewne istnieje też możliwość, że zmartwychwstał po śmierci od ukąszeń węży.

– Myślę, że tak.

– A jeśli zmartwychwstał, to nie możesz być pewna, że przeistoczył się w coś, co już na zawsze zostanie tam na pustyni.

– Racja – odparła. – Nie mogę być pewna.

Whit zmarszczył brwi, a zeszpecona część jego poza tym przystojnego oblicza pokryła się czymś na kształt pajęczej sieci.

Z dworu dobiegały złowrogie odgłosy, ale wszystkie wywołane burzą: liście palmowe drapały o dach, huśtany przez wiatr szyld motelu skrzypiał na skorodowanych śrubach, a rynna miotła się w swych obejmach. Rachael wyteżyła słuch, lecz nie dobiegły jej żadne nienaturalne dźwięki. Nie uspiła jednak czujności.

– Najbardziej niepokoi to, że Eric musiał podsłuchać waszą rozmowę i wie o tym motelu – powiedział Whitney.

– Chyba tak – westchnęła Rachael.

– Jestem pewien, że tak jest, moje dziecko.

– W porządku. Ale wzięwszy pod uwagę jego wygląd, kiedy ostatni raz go widziałam, nie zdołałby utrzymać się na nogach, żeby złapać jakąś okazję. Poza tym zdaje się, że on cofa się w rozwoju nie tylko fizycznie, ale i umysłowo. To znaczy... Whitney, gdybyś go wtedy widział z tymi węzami, zrozumiałbyś, że to wysoce nieprawdopodobne, ażeby miał on dość władz umysłowych na wydostanie się z pustyni i na dojechanie do Vegas.

– Nieprawdopodobne nie znaczy niemożliwe – odrzekł mężczyzna. – Nic nie jest niemożliwe, moje dziecko. Kiedy w Wietnamie wdepnąłem na minę, powiedzieli mojej rodzinie, że jest wysoce nieprawdopodobne, iż przeżyję. Ale ja przeżyłem. Potem orzekli, że raczej nie odzyskam na tyle siły w mięśniach twarzy, by mówić bez przeszkód. A ja mówię. Kurczę, oni tam ułożyli całą listę wysoce

nieprawdopodobnych rzeczy, z których żadna nie okazała się niemożliwa. I wszystko to bez jakichkolwiek genetycznych sztuczek twojego męża.

– Marne to sztuczki – powiedziała Rachael, mając w pamięci okropną narośl na czole Erica, tworzące się rogi, dzikie spojrzenie, nieludzkie łapy...

– Muszę ci znaleźć inne schronienie.

– Nie – odparła, błyskawicznie. – Benny tu właśnie po mnie przyjedzie. Jeśli nie będzie mnie tutaj...

– Nie martw się, moje dziecko. Wtedy zadzwoni do mnie.

– Nie. Ja chcę tu być, kiedy Benny przyjedzie.

– Ale...

– Chcę tu być! – Rachael nie ustępowała, zdecydowana nie zmieniać planów. – Jak tylko Benny się tu pojawi, chcę... muszę... go zobaczyć. Tak, muszę go zobaczyć.

Whitney Gavis patrzył na nią przez chwilę. Miał przenikliwe, zbijające z tropu spojrzenie. Wreszcie odezwał się:

– Boże, ty go naprawdę kochasz, prawda?

– Tak – odparła Rachael drżącym głosem.

– To znaczy naprawdę go kochasz.

– Tak – powtórzyła, starając się uniknąć załamania głosu. – I martwię się o niego... Tak bardzo się martwię.

– Nic mu nie będzie. Nie takie rzeczy już przeżył.

– Jeśli coś mu się stanie...

– Nic mu się nie stanie. I myślę, że na jedną noc możesz tu zostać. Nawet jeśli twój mąż... nawet jeśli Eric dostanie się do Vegas, to chyba nie będzie chciał rzucać się w oczy i zacznie powoli i ostrożnie szukać motelu. Może nawet poświęci na to kilka dni...

– O ile w ogóle tu dotrze.

– A więc poczekamy do jutra, a potem znajdziemy ci nową kryjówkę. Możesz tu dzisiaj zostać i czekać na Bena. On na pewno przyjedzie. Wiem, że on przyjedzie, Rachael.

W oczach kobiety zalśniły łzy. Bała się, że nie zdoła wydobyć z siebie głosu, więc tylko kiwnęła głową.

Whitney taktownie udał, że nie widzi jej łez i nie starał się jej pocieszać. Wstał od stołu i powiedział:

– Tak. No... to co? Nawet jeśli chcesz spędzić w tym chlewie tylko jedną noc, musimy tu zrobić trochę porządku. Pościel i ręczniki są na pewno w szafie, ale z pewnością zakurzone, wilgotne – po prostu wylęgarnia chorób. Muszę więc na chwilę wyskoczyć i kupić czyste. Może przy okazji coś do jedzenia...?

– Umieram z głodu – odrzekła. – Jadłam tylko rano kanapkę, a potem trochę słodczy i wszystkie kalorie zdążyłam już spalić sto razy. Zatrzymałam się na chwilę w Baker, ale to było zaraz po spotkaniu Erica i nie miałam apetytu. Kupiłam tylko sześć puszek coli, bo czułam, że mam odwodniony organizm.

– A więc przyniosę też wałówkę. Czy masz jakieś specjalne życzenia, czy zdajesz się na mój smak?

Rachael wstała od stołu i powoli przeciągnęła drżącą bladą dłonią po włosach:

– Zjem wszystko, z wyjątkiem rzepy i kałamarnicy.

Mężczyzna uśmiechnął się.

– Masz szczęście, że jesteś w Vegas. W każdym innym mieście o tej porze otwarty byłby tylko sklep z rzepą i kałamarnicami. Ale w Vegas prawie wszystko czynne jest non stop. A może pojedziesz ze mną?

– Nie powinnam się za bardzo pokazywać.

Skinął głową.

– Masz rację. Dobrze, powinienem wrócić za godzinę. Dasz sobie radę?

– Oczywiście – odrzekła. – To jest najbezpieczniejsze miejsce, w jakim przebywam od wczoraj rano.

W aksamitnej ciemności pokoju numer piętnaście czołgał się po podłodze ten, który był Erikiem; najpierw w jedną stronę, potem z powrotem. Jego ciało drgało spazmatycznie, wiło się i miało chaotycznie, bez celu, jak niedokładnie rozgnieciony karaluch.

– Rachael...

Usłyszał, że mówi do siebie to słowo, tylko to jedno słowo, ale za każdym razem z inną intonacją, jak gdyby na nim kończył się jego słownik. Choć głos wiązał mu w gardle, te dwie sylaby pozostawały zawsze wyraźne. Czasami wiedział, co znaczy to słowo, pamiętał, kim jest Rachael, ale czasami wyraz ten nie miał dlań desygnatu. Ale niezależnie od wszystkiego, imię to za każdym razem, gdy je wypowiadał, wywoływało w nim tę samą reakcję: zimną, beznamiętną wściekłość.

– Rachael...

Schwytany bez ratunku w sidła przemiany, ryknął, syknął i załkał. Czasami z głębi jego gardła dobywał się też łagodny śmiech. Coś zaczęło go dławić, zaczerpnął więc powietrza. Wciąż leżał na plecach, trząsł się i skręcał, w miarę jak postępowała metamorfoza. Kiedy wyciągnął w górę łapy, zobaczył, że są dwukrotnie dłuższe i grubsze niż ręce, które miał, gdy był jeszcze człowiekiem.

Od czerwonej koszuli zaczęły mu odskakiwać guziki. Jeden ze szwów na rękawie pękł, gdy ciało nabrzmiało w tym miejscu i wygięło się w nowy, groteskowy kształt.

– Rachael...

W ciągu ostatnich kilku godzin, kiedy stopy mu rosły, kurczyły się i znów rosły, buty uciskały go od czasu do czasu. Teraz piły aż do bólu i krępowały tak bardzo, że nie potrafił w nich dłużej wytrzymać. Dosłownie zerwał je z nóg – gwałtownym ruchem oddzielił zółwki od cholewek, szarpał je tak długo w swych mocarnych łapach, aż popękały wszystkie szwy, a następnie ostrymi kłami rozerwał skórę na kawałki.

Bose stopy okazały się zmienione nie mniej niż ręce. Były szersze, bardziej płaskie, wyjątkowo guzowate i kościste, o palcach tak długich jak przy dłoniach i zakończonych równie ostrymi szponami.

– Rachael...

Kolejna zmiana przeszła całe jego ciało jak piorun, który uderza w drzewo, wchodząc swym elektrycznym strumieniem przez najdalej wysunięte partie najwyższych konarów i schodząc do najgłębiej zanurzonych końców najdłuższych korzeni.

Zadrgał spazmatycznie i zaszlochał. Zadudnił piętami po podłodze. Gorące łzy popłynęły po jego policzkach, a z ust pociekły strużki gęstej piany.

Pocąc się obficie, żywcem kremowany przez ogień przemian, poczuł jednak gdzieś głęboko w swym wnętrzu dotkliwe zimno. To był lód w sercu i lód w umyśle.

Przeczołgał się do rogu pokoju i zwinął w kłębek, obejmując ciało ramionami. Nagle trzasnął mostek – zaczął drgać i nabrzmiwać, zyskując nowe kształty; zachrzęścił także kręgosłup i Eric poczuł, jak skręca się on, by dostosować do wszystkich zmian zachodzących w organizmie.

Kilka sekund później wypełził, niczym olbrzymi krab, na środek pokoju i podniósł się na kolana. Oddychał ciężko, a z głębi gardła wydobywało mu się rżenie. Brodę opuścił na piersi, czekając, aż razem ze zjełczałym potem odpłynie zawrót głowy.

Wreszcie ogień przemian osłabł. Na jakiś czas Eric zastygł w nowym kształcie.

Kołysząc się powstał.

– Rachael...

Otworzył oczy i rozejrzał się po hotelowym pokoju. Bez zaskoczenia spostrzegł, że w ciemności widzi tak dobrze jak w pełnym świetle dnia. Co więcej, znacznie poszerzyło się pole jego widzenia – kiedy patrzył na wprost, obiekty znajdujące się po lewej i po prawej stronie były równie ostre i wyraźne jak te przed nim.

Podszedł do drzwi. Niektóre części jego zmutowanego ciała zdawały się uformowane błędnie, niesfunkcjonalnie, zmuszając go do kuśtykania, jak gdyby był skorupiakiem, który dopiero co rozwinął zdolność stania prosto jak człowiek. Deformacja nie okaleczyła go jednak, wciąż mógł poruszać się szybko i bezgłośnie; miał przy tym poczucie wielkiej siły, większej niż jakakolwiek znana mu istota.

Wydał z siebie cichy syk, który zginął w gwiździe wiatru i szemraniu deszczu, po czym otworzył drzwi i wyszedł w zapraszający mrok nocy.

Coś co kocha ciemność

Tylnymi kuchennymi drzwiami Whitney Gavis opuścił mieszkanie służbowe w motelu „The Golden Sand Inn”. Znalazł się w zakurzonym garażu, dokąd wcześniej wprowadzili czarnego mercedesa Rachael. Teraz jej 560 SEL ociekał drobnymi strumykami wody, która kapłała przez dziurawy dach. Samochód Whita znajdował się na zewnątrz, na służbowym podjeździe za motelem.

Odwracając się do Rachael, która stała na progu między kuchnią a garażem, powiedział:

– Zamknij za mną dobrze drzwi i nie hałasuj. Postaram się wrócić jak najszybciej.

– Nie martw się. Nic mi nie będzie – odrzekła. – Muszę uporządkować akta „Wildcard”. To mnie zajmie na jakiś czas.

Whitney nie dziwił się, dlaczego Benny zakochał się w Rachael. Nawet tak zaniedbana jak teraz, blada z wyczerpania i troski, wyglądała wspaniale. Ale uroda nie stanowiła jej jedyne atrybutu. Była też opiekuńcza, wrażliwa, inteligentna i twarda – niepospolita to mieszanka cech.

– Możliwe, że Ben pojawi się przede mną – dorzucił Whit, chcąc dodać jej otuchy.

Uśmiechnęła się lekko, wdzięczna za życzliwość, ale nie odezwała się. Kiwnęła tylko głową i przygryzła dolną wargę. Wciąż była przekonana, że już nigdy nie ujrzy Bena żywego.

Whitney wprowadził ją do kuchni, wyszedł i zamknął drzwi. Odczekał, aż z drugiej strony dobiegł go szcęk przekręcane klucza. Wtedy przeszedł po zalanej smarami i olejami betonowej podłodze w stronę mercedesa, minął go i znalazł się przy bocznych drzwiach. Nie chciał otwierać automatycznie podnoszonych wrót. Garaż był duży, przeznaczony na trzy samochody, oświetlony pojedynczą gołą żarówką, zwisającą na drucie z belki pod sufitem. Panował w nim smród stęchlizny i nieopisany bałagan. Garaż stanowił obecnie skład starych, nierzadko zepsutych, narzędzi oraz zwykłych rupieci, takich jak zardzewiałe wiadra, połamane miotły, postrzępione, zżerane przez mole zmywaki do podłogi, popsute odkurzacze, przeznaczone do remontu krzesła z połamanymi nogami i podartą tapicerką, zwoje drutu i węży do polewania, wanny łazienkowe, miedziane głowice do spryskiwaczy trawników, wysypujące się z przewróconego pudełka: bawełniana rękawica ogrodowa, zwrócona palcami ku górze, niczym odrąbana dłoń, puszki farb i lakierów, których skamieniała zawartość na pewno nie nadawała się już do użytku, oraz sterty innych gratów. Śmieci te ciągnęły się wzdłuż ścian, niektóre leżały porozrzucane na podłodze, inne sterczały w przypadkowych pryzmach.

Whit nie zdążył jeszcze otworzyć drzwi garażu, kiedy usłyszał za sobą jakieś krótkie szurnięcie, na tyle krótkie, że ustało, zanim się odwrócił, chcąc ustalić jego źródło.

Zmarszczył brwi i zaczął penetrować wzrokiem sterty gratów, prześlizgnął się spojrzeniem po mercedesie, gazowym piecu centralnego ogrzewania, który stał w przeciwległym rogu, przekrzywionym blacie do prac technicznych i bojlerze. Nie dostrzegł nic niezwykłego.

Wyteżył słuch.

Jedynie dźwięki dochodziły z zewnątrz – szum wiatru pod okapem i bębnienie deszczu o dach.

Odwrócił się od drzwi, powoli podszedł do samochodu, okrążył go, ale nie znalazł nic, co mogłoby stanowić źródło hałasu.

Może jakaś pryzma rupieci przesunęła się pod własnym ciężarem? A może poruszył ją szczur? Whit nie zdziwiłby się, gdyby ta stara rudera roiała się od szczurów, aczkolwiek nie zauważył dotąd żadnych śladów gryzoni. Graty leżały jeden na drugim w takim nieładzie, że trudno było ocenić, czy w danej chwili wyglądają tak samo jak nieco wcześniej.

Zawrócił do drzwi, jeszcze raz się obejrzał i wyszedł na deszcz.

Dopiero gdy uderzyły weń targane wiatrem strugi wody, uświadomił sobie poniewczasie, co wywołało szuranie w garażu: ktoś próbował od zewnątrz otworzyć metalowe wrota. Ale to były drzwi automatyczne, których nie można otworzyć, kiedy przełącznik jest nastawiony na obsługę silnikiem elektrycznym. Dzięki temu stanowiły dobre zabezpieczenie przed rabusiami. Ktokolwiek chciał je teraz otworzyć, na pewno zdał sobie od razu sprawę z daremności wysiłków, co wyjaśnia, dlaczego hałas trwał tak krótko. Whitney pokuśtykał ostrożnie w stronę automatycznych drzwi, które wychodziły z sąsiedniej ściany garażu. Wyrzał za róg, sprawdzając, czy intruz nadal tam jest. Deszcz padał grubymi kroplami, które rozbiły się z trzaskiem o chodnik i bardziej miękko o gołą ziemię, tworząc rozlewisko w miejscu, gdzie brakowało rynny. Wszystkie te odgłosy doskonale maskowały jego kroki; niestety, zagłuszały też wszelkie odgłosy, które ewentualnie mógł wydawać nieznajomy. Choć nie dobiegł go już żaden niepokojący dźwięk, Whitney znów wyteżył słuch. Wykonał kilka kroków, dwukrotnie zatrzymując się, by lepiej słyszeć, aż nagle monotony szmer deszczu przeciął zatrważający odgłos. Za jego plecami. Było to coś na podobieństwo syku powietrza uciekającego z dziurawej dętki, połączonego z żalnym miauczeniem kota i gardłowym rykiem – dźwięki tak przerażające, że włosy stanęły mu dęba.

Odwrócił się błyskawicznie, krzyknął i cofnął, kiedy zobaczył wyłaniającą się z ciemności bestię. Patrzyła na niego z wysokości co najmniej dwu metrów swymi niewyobrażalnie dziwnymi, wylupiastymi, nie odpowiadającymi sobie oczami, z których jedno było bładozielone, a drugie pomarańczowe, oba jednak wielkie jak kurze jaja i błyszczące niesamowitym blaskiem. Ponadto jedno wyglądało jak oko kota, który cierpi na nadczynność tarczycy, a drugie miało pionowo rozciętą tęczę jak u węża. Oba były ukośne i... złożone – na miłość boską – jak oczy owada.

Przez chwilę Whit stał zdezorientowany. Nagle mocarna łapa wyciągnęła się w jego stronę i zdzieliła go na odlew po twarzy. Mężczyzna upadł poślizgiem na beton, tłukąc sobie dotkliwie kość ogonową, zatrzymał się na błotnistym, zachwaszczonym trawniku.

Łapa potwora – łapa Erica, gdyż Whit wiedział, iż ma do czynienia ze zmienionym nie do poznania Erikiem Lebenem – zdawała się przytwierdzona do tułowia inaczej niż ręce u człowieka; zdawała się też mieć budowę segmentową i składać się z czterech lub pięciu odcinków połączonych stawami, co zapewniało jej płynność ruchów we wszystkich kierunkach. Zamroczony siłą otrzymanego ciosu, na wpół sparaliżowany strachem, Whit podniósł oczy na zbliżającą się bestię i spostrzegł, że jest ona przygarbiona i nisko pochylona jak mała człekokształtna. Poruszała się jednak z jakimś dziwnym wdziękiem, może dlatego, że jej nogi, zakryte w większości przez podarte dzinsy, przypominały budowę segmentowe łapy.

Whit usłyszał własny krzyk. Do tej pory raz tylko krzyczał w swym życiu, naprawdę krzyczał. Było to w Wietnamie, kiedy mina rozrywała mu się pod nogami, a potem, kiedy leżał na ziemi w dżungli i widział dolną część swojej nogi znajdującą się pięć metrów dalej oraz zalane krwią palce wystające z rozerwanych siłą wybuchu i ogniem butów. Teraz krzyczał po raz drugi i nie mógł przestać.

Przez własny krzyk usłyszał przeraźliwy ryk swego przeciwnika, który mógł być okrzykiem triumfu.

Głowa potwora trzęsła się i kiwała na wszystkie strony, a kiedy na chwilę otworzył paszczę, błysnęły straszliwe, ostre kły.

Gavis zaczął wycofywać się po grząskiej ziemi, podpierając się na zdrowej ręce i kikucie drugiej, ale nie mógł tego robić wystarczająco szybko. Nie zdążył powstać na nogi, kiedy już po paru metrach Leben dogonił go, schylił się i podniósł za stopę lewej nogi – na szczęście była to proteza – i zaczął ciągnąć go za sobą do garażu.

Mimo ciemności i deszczu Whit widział wystarczająco dużo szczegółów budowy potwora, by mieć pewność, że niewątpliwie nie ma do czynienia z człowiekiem. Łapa, która trzymała go za protezę, była

nieładzko silna i wielka.

Gavis podkurczył zdrową nogę, zebrał się w sobie i z całej siły kopnął Lebena w udo. Potwór zaryczał, ale bardziej chyba z wściekłości niż bólu. W rewanżu tak mocno szarpnął protezę Whita, że zerwały się paski mocujące i sztuczna noga odpadła. Whitney Gavis znalazł się w jeszcze gorszym położeniu.

Po powrocie do kuchni Rachael otworzyła plastikową torbę i wyjęła z niej garść pogniecionych, brudnych arkuszy, które stanowiły kiedyś kopię akt „Wildcard”. I wtedy usłyszała pierwszy krzyk. Od razu poznała, że to Whitney. Wiedziała też, że może być tylko jedna przyczyna tego krzyku: Eric.

Rzuciła papiery i chwyciła leżącą na stole broń. Pobiegła do tylnych drzwi, pomyślała chwilę, po czym przekręciła klucz i otworzyła je.

Weszła do ociekającego wodą garażu i zatrzymała się, ponieważ silny podmuch wiatru, który wpadł przez otwarte drzwi, rozhuśtał wiszącą na drucie żarówkę, powodując, że na wszystkich ścianach zaczęły tańczyć cienie. Rozejrzała się uważnie dookoła. Cienie wychodziły ze wszystkich kątów i oświetlone niesamowicie sterty gratów sprawiały na ich tle wrażenie, jakby nagle ożyły.

Krzyk Whitneya dobiegał z zewnątrz, domyśliła się więc, że Eric tam właśnie musi być, a nie w garażu. Zapomniała o czujności i zaczęła iść szybkim krokiem, omijając mercedesa, puszek z farbą i zwoje węży do podlewania.

Przenikliwy, mrozący krew w żyłach ryk nałożył się na wołanie Whita. Rachael nie miała wątpliwości, że to Eric. Odgłos ten przypominał wydawane przez niego dźwięki, kiedy gonił ją po pustyni. Teraz jednak był bardziej dziki i wściekły, potężniejszy, mniej ludzki niż wtedy. Słyszając ten okropny ryk, miała ochotę odwrócić się i uciec. Ale przecież nie mogła opuścić Gavisę w potrzebie.

Przez otwarte drzwi, z pistoletem wymierzonym przed siebie, dała nura w mrok i nawałnicę. Niby-Eric znajdował się parę metrów dalej, odwrócony do niej plecami. Rachael krzyknęła z przerażenia, widząc, że potwór chwycił Whita za nogę, a ta została mu w łapach.

W chwilę później zdała sobie sprawę, że to proteza, ale już zdążyła zwrócić na siebie uwagę niby-Erica. Ten odrzucił sztuczną nogę Whita i zwrócił się ku niej. Oczy jaśniały mu strasznym blaskiem.

Wygląd potwora – odwrotnie niż w wypadku Gavisę – odebrał jej mowę. Chciała krzyczeć, ale nie mogła. Ciemność i deszcz łaskawie zamaskowały niektóre szczegóły anatomii mutanty, ale kobieta i tak widziała olbrzymi zdeformowany łeb, na wpół krokodyl, na wpół wilcze szczęki oraz obfitość śmiercionośnych kłów. Nie miał na sobie ani koszuli, ani butów – jedynie dżinsy. Wzrostem przewyższał dawnego Erica o kilka centymetrów. Jego kręgosłup był dziwnie wykrzywiony i przechodził w pochylone, ściśnięte ramiona. Niezwykle powiększony mostek wyglądał tak, jakby porastały go jakieś rogi, kolce czy inne zaokrąglone na końcach guzowate narośla. Długie i dziwnie połączone ramiona zwisały mu prawie do kolan, a jego szponiastych łap nie powstydziliby się sam diabeł, który podobnymi rozpruwa w piekielnych czeluściach ludzkie dusze i zjada ich treść.

– Rachael... Rachael... przyszedłem po ciebie... Rachael – odezwał się niby-Eric głosem cichym i ohydny.

Każde słowo artykułował powoli i opornie, jakby zapomniał już, jak posługiwać się językiem. Krtań, wargi, podniebienie i język potwora przestały służyć produkowaniu ludzkiej mowy, tworzenie każdej sylaby niewątpliwie wymagało wielkiego wysiłku i zapewne trochę cierpienia.

– Przyszedłem... po... ciebie...

Stwór zrobił krok w jej stronę, a długie ramiona obijały się o jego tułów, wydając odgłos podobny do uderzania twardego przedmiotu o chitynowy pancerz.

Stwór.

Rachael nie potrafiła już o nim myśleć: mąż. Teraz był tylko stworem, szkaradą, która samym faktem swego istnienia urągała wszelkiemu boskiemu stworzeniu.

Strzeliła mu prosto w pierś. Stwór ani drgnął, wydał tylko przenikliwy skowyt, który wydawał się jednak bardziej wyrazem podniecenia niż bólu, i zrobił kolejny krok do przodu. Rachael strzeliła po raz drugi, trzeci i czwarty.

Kilkakrotnie trafiony, zaczął słańać się na jeden bok, ale nie upadł.

– Rachael... Rachael...

Whitney krzyknął do niej:

– Strzelaj, zabij go!

Magazynek zawierał dziesięć naboii. Rachael wystrzeliła sześć ostatnich najszybciej, jak tylko potrafiła. Trafiła go w brzuch, klatkę piersiową, a nawet w głowę. Potwór zaryczał wreszcie z bólu i runął na kolana, a potem upadł mordą w błotnistą ziemię.

– Dzięki Bogu – powiedziała drżącym głosem. – Dzięki Bogu.

Nagle poczuła się tak słaba, że musiała oprzeć się o ścianę garażu.

Niby-Eric zwymiotował, poruszył się, szarpnął ciałem i pomagając sobie łapami, podniósł się na kolana.

– Nie – szepnęła Rachael powątpiewająco.

Stwór podniósł swój przerażający łeb i spojrzał na nią groźnie błyszczącymi oczami, z których każde było inne. Potem spuścił wolno powieki, znów uniósł je powoli, a wtedy świecące kule, które odsłonił, były już jaśniejsze niż przed chwilą.

Nawet jeśli zmieniona genetycznie struktura jego organizmu pozwala na niewiarygodnie szybkie zdrowienie i powrót do życia po śmierci, niby-Eric na pewno z tego nie wygrzebie się tak szybko. Gdyby potrafił wyleczyć się i reanimować w ciągu kilku sekund od zranienia dziesięcioma kulami, oznaczałoby to, że jest praktycznie niezwyciężony, odporny na wszelkie rodzaje broni.

– Umieraj, cholera jasna! – krzyknęła Rachael.

Ciałem potwora wstrząsnął dreszcz, potem wypluł coś w błoto i gwałtownie powstał na obie nogi.

– Uciekaj! – krzyknął Whitney. – Na miłość boską, uciekaj, Rachael!

Nie miała już nadziei, że uda jej się pomóc Gavisowi. Należało ratować własną skórę.

– Rachael – odezwał się stwór, a w jego niskim, bełkotliwym głosie obecne były złość, głód, nienawiść i wściekłe pożądanie.

W pistolecie zabrakło już kul. Wprawdzie w mercedesie Rachael miała zapas amunicji, nie zdążyłaby jednak dobiec do auta i przeładować broni. Rzuciła pistolet na ziemię.

– Uciekaj! – znów krzyknął Whit Gavis.

Z biciem serca kobieta wbiegła do garażu i przeskoczyła stertę puszek z farbą oraz zwoje węży ogrodowych. W kostce, którą skrzyła w czasie ucieczki po pustyni, odezwał się nagły ból, a na łydce w miejscach, gdzie podrapał ją niby-Eric, zaczęła odczuwać pieczenie, jak gdyby chodziło o świeże rany.

Diabeł zaryczał gdzieś z tyłu.

Po drodze przewróciła wolno stojące metalowe półki z narzędziami i pudełkami gwoździ w nadziei, że opóźni to pościg stwora (o ile od razu pobiegnie za nią, nie rozprawiając się uprzednio z Gavisem). Półki runęły na ziemię z głośnym hukiem i gdy dobiegła do drzwi od kuchni, usłyszała, jak bestia gramoli się poprzez rumowisko. To, co kiedyś było Erikiem, naprawdę zostawiło w spokoju Gavisę, albowiem opanowane było wyłączną żądzą schwywania Rachael.

Kobieta przeskoczyła przez próg, zatrzasnęła za sobą drzwi, ale nim zdążyła przekreślić klucz, z łoskotem otwały się one do wewnątrz. Rachael rzuciła się przed siebie, niewiele brakowało, żeby się przewróciła, ale jakoś udało jej się utrzymać równowagę, biodrem zawadziła jednak o kant jakiegoś mebla i uderzyła plecami o lodówkę. Uderzenie było na tyle silne, że mroźne ciarki przeszły jej po grzbiecie.

Stwór wszedł do brudnej kuchni. W pełnym świetle wydawał się jeszcze większy i straszniejszy, niż Rachael mogła przypuszczać.

Przez chwilę stał na progu i patrzył. Następnie podniósł głowę i wyprężył klatkę piersiową, jakby chciał, żeby Rachael go podziwiała. Jego skóra, miejscami kremowa i bardzo podobna do ludzkiej, w większości pokryta była jednak barwnymi – brązowymi, szarymi, zielonymi i czarnymi plamami, łuskami i fałdami jak u słonia. Łeb miał w kształcie odwróconej gruszki, osadzony na grubym, muskularnym karku. Dolna, węższa część „gruszki” kończyła się sterczącym ryjem o mocnych szczękach. Kiedy stwór otworzył je, by wydobyć z siebie przeraźliwy syk, wewnątrz jego olbrzymiego pyska błysnęło obfitością ostrych rekinich zębów. Pulsujący języczek był czarny i szybki jak u węża. Całą mordę stwora pokrywały jakieś guzy; jako uzupełnienie pary rogowych narośli na czole znajdowały się tam jeszcze dziwne wypukłości i wklęsłości, których funkcje biologiczne trudno było określić. Ponadto dały się zauważyć wystające spod skóry miejscowe zgrubienia kości oraz pulsujące arterie i niebywale nabrzmiałe żyły.

Kiedy zobaczyła go dziś na pustyni Mojave, pomyślała, że podlega on wstecznej ewolucji, że jego genetycznie zmieniony organizm staje się czymś w rodzaju zlepka cech pradawnych form życia. Ale ten stwór wymykał się wszelkim prawidłom. To był koszmarny wytwór genetycznego chaosu, potwór, który nie szedł ani w dół, ani w górę po drabinie ludzkiej ewolucji, lecz uczestniczył w mrocznym procesie biologicznej rewolucji. To była istota, której nie łączyło już prawie nic – lub zupełnie nic – z ludzkim nasieniem, z którego powstała. Częstka świadomości człowieka nazwiskiem Eric Leben bez wątpienia wciąż jeszcze tkwiła w tym potworze, choć Rachael podejrzewała, że była to już tylko iskierka jego dawnej świadomości czy inteligencji, która zresztą niedługo wygaśnie na zawsze.

– Widzisz... mnie... – wydusiła z siebie istota, potwierdzając niejasne przeczucie Rachael, że to, co kiedyś było Erikiem, chce się popisać swą sylwetką.

Kobieta odepchnęła się od lodówki i pobiegła w stronę drzwi do pokoju.

Potwór wznosił swą szkaradną łapę, jakby chciał powiedzieć: „Stop! Ani kroku dalej!” Jej segmentowa budowa umożliwiała zginanie w przód i w tył we wszystkich czterech stawach, a każdy z nich przykryty był twardą, brązowoczną płytką zgrubiałej tkanki, podobną do pancerza chrabąszcza. Długie, ostro zakończone pazury zatrwożyły Rachael, ale pośrodku dłoni znajdowało się coś znacznie gorszego: otwór ssący wielkości półdolarówki. Kiedy kobieta stała, patrząc na tę dantejską zjawę, dziura powoli zasklepiła się i otwierała jak świeża rana, na powrót zbliżniała się, aby po chwili znów rozewrzeć swe brzegi. Funkcja tych szkaradnych ust pośrodku dłoni była po części tajemnicza, a po części – gdy Rachael ujrzała, jak czerwienieją i wilgotnieją pod wpływem obscenicznego głodu – złowrogo jasna.

Kobieta rzuciła się do otwartych drzwi i usłyszała za sobą, jak stopy bestii, która podążyła za nią, stukają o linoleum niczym rozszczerzone kopyta. Przebiegła pięć-sześć metrów do drzwi biura, gdzie chciała się zamknąć, zostało jej już tylko kilka kroków, kiedy po swej prawej ręce ujrzała stwora.

Poruszał się tak szybko!

Krzycząc rzuciła się na podłogę i przeturlała w bok, by uniknąć długich łap nieludzkiej istoty.

Wpadła na fotel, szybko wstała i zasłoniła się nim.

Kiedy nagle zmieniła kierunek ucieczki, wróg nie od razu zareagował. Stał pośrodku pokoju, patrzył na swą ofiarę, najwyraźniej świadom, że odciął Rachael jedyną drogę ucieczki i że ma teraz dużo czasu na rozkoszowanie się jej przerażeniem. Nie musi zabijać jej od razu.

Rachael zaczęła wycofywać się w stronę sypialni.

– Raysheeeel, Raysheeeel – wybełkotał stwór, niezdolny już do prawidłowej wymowy.

Guzowate narośle na jego czole drgnęły i zaczęły się przekształcać. Nadeszła kolejna faza przemian: na oczach kobiety jeden z mniejszych rogów zniknął całkowicie, a wzdłuż twarzy, niczym szczelina w glebie tworząca się podczas trzęsienia ziemi, popłynęła nowa nitka podskórnej arterii.

Rachael wciąż cofała się.

Potwór zbliżał się do niej powoli, niespiesznym krokiem.

– Raysheeeel...

Przekonany, że umierająca żona Bena Shadwaya naprawdę leży na oddziale intensywnej terapii, czekając na męża, Amos Tate chciał podwieźć go do samego szpitala. Było to jednak zbyt daleko od motelu. Benny więc musiał stanowczo nalegać, by uprzejmy kierowca wysadził go na rogu Las Vegas Boulevard i Tropicana. Ponieważ jednak nie sposób było znaleźć logicznego wytłumaczenia odmowy skorzystania z życzliwej propozycji Tate'a, Ben przyznał się do kłamstwa, choć nie wyjaśnił jego prawdziwych motywów. Oddał Amosowi koc, otworzył drzwi kabiny i wyskoczył na ulicę. Minął hotel „Tropicana” i pobiegł na wschód bulwarem o tej samej nazwie. Zdumiony Tate patrzył za nim, nic nie rozumiejąc.

„The Golden Sand Inn” znajdował się w odległości półtora kilometra; normalnie dystans ten Benny pokonałby w ciągu nie więcej niż pięciu minut. Teraz jednak, w ulewnym deszczu, nie chciał biec zbyt szybko, by nie poślizgnąć się, nie upaść i nie złamać ręki lub nogi, bo wtedy nie mógłby pomóc Rachael (o ile jeszcze potrzebowała pomocy; Boże, pomyślał, niech się okaże, że jest cała, zdrowa, bezpieczna i nie potrzebuje żadnej pomocy). Biegł po krawędzi szerokiego bulwaru, a rewolwer – ukryty za pasem – uciskał go w plecy. Kiedy wpadał w kałuże wypełniające dziury w nawierzchni, woda rozpryskiwała się na wszystkie strony. Minęło go tylko parę samochodów, niektórzy kierowcy zwalniali, by przyjrzeć mu się, ale żaden nie zaproponował, że go podwiezie. Ben nawet nie próbował autostopu, bo wiedział, że nie ma czasu do stracenia.

Półtora kilometra to żadna odległość, ale teraz wydawała się długa jak podróż na koniec świata.

Julio i Reese musieli pokazać swe legitymacje i odznaki pracownikowi lotniska w Orange, który obsługiwał „bramkę” z detektorem metali, ale dzięki temu mogli zabrać ze sobą na pokład samolotu służbową broń ukrytą pod płaszczami. Po wylądowaniu na McCarran International w Las Vegas znów okazali dokumenty, by szybciej obsłużono ich w biurze wynajmu samochodów. Za kontuarem stała atrakcyjna brunetka imieniem Ruth. Zamiast po prostu dać im do ręki kluczyki i wysłać na parking, ażeby sami odszukali swój samochód, zadzwoniła do dyżurnego mechanika, by podstawił auto przed główne wyjście z terminalu.

Ponieważ nie spodziewali się deszczu i byli nieodpowiednio ubrani jak na takie warunki, zaczekali w budynku za szklaną ścianą, dopóki nie ujrzeni, że ich dodge parkuje przy krawężniku. Dopiero wtedy wyszli na dwór. Mechanik w winylowym płaszczu przeciwdeszczowym z kapturem rzucił okiem na dokumenty wynajmu i dał im kluczyki.

Choć jeszcze w Orange na niebie zbierały się ciemne chmury, Reese nie przypuszczał, że na wschodzie kraju może być gorzej, że wylądują w strugach deszczu. Mimo iż podchodzenie do lądowania

i samo lądowanie odbyły się gładko, jak po maśle, ze strachu tak mocno chwycił się fotela, że jeszcze teraz bolały go dłonie.

Znów bezpieczny, mając grunt pod nogami, powinien poczuć ulgę, ale on nie mógł przestać myśleć o Teddy Bertlesman, wysokiej kobiecie w różowej sukience, oraz czekającej na niego w domu Esther. Jeszcze dziś rano miał tylko to dziecko, dla którego żył, tę małą istotkę, zbyt drobną, by kusić zły los. A teraz, kiedy pojawiła się jeszcze wspaniała pracownica biura obrotu nieruchomościami, Reese zaczął się obawiać, że kiedy człowiek odnajduje sens życia, wzrasta prawdopodobieństwo, iż umrze.

Może to bezsensowny zabobon...

Detektyw oczekiwał pogodnej nocy nad pustynią. Deszcz wydawał się złą wróżbą i wprowadził go w posepny nastrój.

Kiedy Julio ruszał spod terminalu, Reese otarł z twarzy krople deszczu i rzekł:

– Niech cholera weźmie te wszystkie reklamy Vegas, które pokazują w telewizji!

– Bo co?

– Gdzie to słońce? Gdzie te dziewczyny w skąpych bikini?

– Co cię obchodzi dziewczyny w bikini, skoro w sobotę masz randkę z Teddy Bertlesman?

Żebyś nie zapeszył, pomyślał Reese, na głos zaś powiedział:

– Kurczę, to wcale nie wygląda na Vegas. To mi bardziej przypomina Seattle.

Rachael zatrzasnęła za sobą drzwi sypialni i przekreśliła gałkę, przekreślając słaby zameczek. Potem podbiegła do jedyne go okna, rozsunała czarne od brudu zasłony i ujrzała metalowe żaluzje pomiędzy szybami. Nie stanowiło to ułatwienia w ucieczce. Rozejrzała się dookoła za jakimś przedmiotem, którego mogłaby użyć jako broni. Zobaczyła łóżko, dwie szafki nocne, lampę i krzesło.

Spodziewała się, że drzwi wyskoczą za chwilę z zawiasów, ale nic takiego nie nastąpiło.

Nie słychać też było, co stwór robi w sąsiednim pomieszczeniu. Ta cisza, choć pożądana, była bardzo denerwująca. Co on kombinuje?

Podbiegła do wbudowanej w ścianę szafy, otworzyła ją i zajrzała do środka. Nic, co mogłoby się przydać. Jedną połowę szafy wypełniały puste półki, a drugą pręt, na którym wisały wieszaki. Z ich metalowych ramion nie da się jednak sklecić żadnego oręża.

Zgrzytnęła gałka u drzwi.

– Raysheeeeel – syknął komicznie potwór.

Mutant najwyraźniej zachował część świadomości Erica i ta właśnie ludzka część jego jaźni uwzięła się na biedną kobietę i znęcała, zwlekając z ostatecznym atakiem. Kazała jej myśleć, co się niedługo stanie, i Rachael rzeczywiście myślała, że umrze tu straszną, powolną śmiercią.

Zrozpaczona już chciała zamknąć szafę, kiedy w suficie dostrzegła klapę, prowadzącą zapewne na poddasze.

Tymczasem twarda łapa potwora grzmotnęła kilkakrotnie w drzwi.

– Raysheeeeel...

Rachael wślizgnęła się do szafy i oparła na kilku z rzędu półkach, by sprawdzić ich wytrzymałość. Z ulgą stwierdziła, że są wmontowane na stałe w konstrukcję szafy i przykręcone śrubami do słupków w przepierzeniu. Mogła więc wspinać się po nich jak po szczeblach drabiny. Kiedy znajdowała się na czwartej od dołu półce, spojrzała w górę. Sufit miała trzydzieści centymetrów nad głową. Trzymając się jedną ręką za pręt na wieszaki, drugą sięgnęła kłapy na zawiasach. Pchnęła ją spokojnie.

– Raysheeeeel, Raysheeeeel! – zaryczał potwór, drapiąc pazurami po zewnętrznej stronie zamkniętych od wewnątrz drzwi. Potem rzucił się na nie lekko, niemalże z czułością.

Rachael, wciąż ukryta w szafie, wspięła się jeszcze jeden „stopień”, złapała rękami za przeciwległe krawędzie otworu w suficie, odbiła od półki, na której stała, i przez chwilę zawisła w powietrzu, oparta piersiami o pręt na wieszaki. Potem podciągnęła się na rękach i wspięła na strych. W bladym świetle sączącym się z dołu zobaczyła, że poddasze jest bardzo niskie; miała niewiele ponad metr przestrzeni nad głową. W wielu miejscach z dachu sterczały długie kołki, tu i ówdzie widać było także gwoździe łączące krokwie. Ku zaskoczeniu Rachael strych nie obejmował tylko powierzchni nad pomieszczeniami służbowymi, ale rozpościerał się na całej długości tego skrzydła budynku.

Na dole coś trzasnęło tak silnie, że poczuła, jak drżą belki, na których klęczała. Drugiemu uderzeniu towarzyszył odgłos pęknięcia deski i gięcia metalu. Kobieta szybko zamknęła za sobą kłapę, wskutek czego na poddaszu zapanowała absolutna ciemność. Przesunęła się jak tylko potrafiła najciszej po dwóch równoległych biegnących belkach, opierając się jedną ręką i jednym kolaniem na każdej z nich. Kiedy oddaliła się ze trzy metry od otworu w suficie, zatrzymała się. Zaczęła nasłuchiwać poprzez mrok. Ponieważ kłapa była zamknięta, a deszcz walił głośno o dach, z trudem docierały do niej dźwięki z dołu.

Modliła się, by zdegenerowany stwór, który kiedyś był Erikiem, a teraz miał iloraz inteligencji mały, nie mógł rozwiązać zagadki jej zniknięcia.

Pozbawiony protezy Whitney Gavis zaczął czołgać się w stronę garażu, w ślad za potworem, który oderwał mu sztuczną nogę. Kiedy jednak dotarł do drzwi, zdał sobie sprawę, że – będąc teraz podwójnie okaleczonym – nie ma żadnych szans, by pomóc dziewczynie. Kaleka, oto kim był. Powiedział Rachael, że nie uważa się za kalekę, i żartobliwie nazwał brak nogi i części ręki swoją „osobliwością”. Jednakże w obecnej sytuacji nie istniało już miejsce na złudzenia. Należało spojrzeć w twarz bolesnej prawdy. Kaleka! Był wściekły na siebie za te fizyczne ograniczenia, wściekły na dawno zakończoną wojnę, na Vietcong i życie w ogóle. Przez chwilę chciało mu się nawet płakać.

Ale wściekłość nie przynosi nic dobrego. Whit Gavis nie ma czasu na nieefektywne myśli i rozczulanie się nad sobą.

– Daj spokój, Whit – powiedział na głos.

Odwrócił się w drugą stronę i zaczął mozolnie posuwać się po błotnistym gruncie w stronę ścieżki wyłożonej betonowymi płytami. Chciał wydostać się na Tropicana i wyjść na środek bulwaru. Widok bezradnego kaleki sprawi chyba, że zatrzyma się nawet najmniej życzliwy kierowca.

Pokonał odległość sześcioro, może ośmiu metrów, kiedy zaczęła go palić i kłuć twarz, w którą oberwał od bestii. Przewrócił się na plecy i wystawił ją na chłodny deszcz, zdrową zaś ręką pomacał zraniony policzek. W miejscach gdzie skóra pokryta była pochodzącymi z Wietnamu bliznami, poczuł świeże rany.

Gavis mógłby przysiąc, że Leben nie pociął go pazurami. Uderzenie, które powaliło go na ziemię, zadane zostało wierzchem olbrzymiej kościstej łapy. Ale policzek był bez wątpienia przecięty w kilku miejscach, z których ciekła krew. Najbardziej krwawiła największa, ciągnąca się aż po brew, rana. Czy ten gość, który urwał się z zabawy na Dzień Duchów, ma na kłykciach kolce albo coś w tym rodzaju? Ponieważ dotykanie ran sprawiało mu nieznośny ból, Gavis czym prędzej opuścił rękę.

Przekreślił się z powrotem na brzuch i kontynuował czołganie się w stronę ulicy.

– Wszystko jedno – powiedział. – Z tą połową twarzy i tak nigdy nie wygrałbym konkursu piękności.

Nie chciał myśleć o rwącym strumieniu gęstej krwi, który lał mu się od skroni po całym policzku.

Skulona na belkach poddasza Rachael zaczynała wierzyć, że udało jej się przechytryć niby-Erica. Jego degeneracja, podejrzewała, dotyczyła bez wątpienia również sfery umysłowej, nie tylko fizycznej. Stwór nie miał już na tyle zdolności intelektualnych, aby domyślić się, co się stało z jego niedoszłą ofiarą.

Tak przynajmniej się łudziła. Jednakże jej serce wciąż biło przyspieszonym rytmem, a ciało trzęsło się niespokojnie.

Nagle cienka sklejka, z której wykonano klapę, poderwała się do góry i na poddasze wlało się trochę światła z sypialni. Przez otwór w suficie wsunęły się szkaradne łapy mutanta. Potem pojawił się jego łeb, a następnie wpełzło na strych całe cielsko; potwór nieprzerwanie patrzył na Rachael.

Kobieta rzuciła się do ucieczki, jak tylko mogła najszybciej. Niestety, świadomość kołków i gwoździ sterczących z belek kilka milimetrów nad jej głową znacznie ograniczała jej odwagę. Wiedziała także, że nie może stawiać nóg na płyty między belkami, gdyż te nie wytrzymają jej ciężaru nawet przez sekundę, cienka tafla załame się, a ona spadnie do jednego z krytych w ten sposób pomieszczeń. Nawet gdyby nie zaplątała się przy tym w przewody elektryczne i uniknęła porażenia prądem, to istniało duże niebezpieczeństwo, że w zetknięciu z twardą podłogą złamie nogę lub kręgosłup. A wtedy wszystko, na co będzie ją stać, sprowadzi się do bezwładnego leżenia w oczekiwaniu na bestię, która zejdzie, by się z nią zabawić.

Przeszła około dziesięciu metrów i przed sobą miała wciąż jeszcze pięćdziesiąt metrów przestrzeni nad hotelowymi pokojami. Odwróciła się. Stwór stał wciąż przy wejściu na strych i patrzył na nią.

– Rayeeshuuuul! – zawył, a klarowność jego wymowy spadała z sekundy na sekundę.

Potem zatrzasnął klapę i poddasze wypełniła absolutna ciemność. Teraz miał przewagę.

Przemoczone adidas Bena zawierały już tyle wody, że zaczęło w nich chlupać. Na lewej pięcie pojawił się świeży pęcherz, co go trochę zirytowało.

Kiedy wreszcie w zasięgu jego wzroku pojawił się motel „The Golden Sand Inn”, kiedy ujrzał światło w oknach pomieszczeń służbowych, zwolnił na tyle, by wsunąć rękę pod mokrą na plecach koszulę i wyciągnąć z pasa swój combat magnum.

Żałował, że nie ma ze sobą remingtona, którego musiał zostawić w zepsutym merkurze.

Kiedy był już przy betonowym podjeździe do motelu, spostrzegł, że jakiś człowiek czołga się stamtąd w stronę Tropicana. Po chwili poznał go. To był Whit Gavis pozbawiony protezy i chyba poważnie ranny.

Przemienił się w coś, co kocha ciemność. Nie wiedział, kim jest, nie pamiętał dokładnie, czym – lub kim – był kiedyś, nie wiedział, dokąd zmierza i po co w ogóle istnieje. Wiedział jedno – że właściwym dlań miejscem jest mrok, gdzie nie tylko dobrze się czuł, ale i gdzie rządził.

Ofiara, którą miał przed sobą, ostrożnie pełzała w ciemności, najwyraźniej nic nie widząc bez światła. Poruszała się zbyt wolno, by długo pozostawać poza zasięgiem jego łap. Jemu nie przeszkadzał brak światła. Widział ją dokładnie, rozróżniał też większość szczegółów miejsca, w którym oboje się znajdowali.

Jednakże czuł się tu nieswojo. Wprawdzie sam wdrapał się do tego długiego, wąskiego tunelu, poznał na węch, że zbudowany jest on z drewna, ale jednocześnie wyczuwał, że powinien znajdować się gdzieś głęboko pod ziemią. To miejsce przypominało mu wilgotne, ciemne nory, które pamiętał z przeszłości i które – z niejasnych mu na razie powodów – wydawały się bardziej pociągające.

Nagle wokół niego znów wyrosły cieniste ognie, przez chwilę błyskały w ciemności, po czym znikły. Wiedział, że kiedyś się ich bał, ale nie potrafił przypomnieć sobie dlaczego. Teraz owe fantomy zdawały się w ogóle nań nie działać i nie wyrządzać mu krzywdy, jeśli nie zwracał na nie uwagi. Zapach samicy, zapach jego ofiary unosił się w powietrzu i podniecał go. Żądza odebrała mu rozwagę, musiał walczyć z przemożnym pragnieniem, by rzucić się na oślep w jej stronę. Podejrzewał, że podłoga kryje w sobie jakieś niebezpieczeństwo, ale ostrożność była dużo mniej pociągająca niż perspektywa rozładowania

napięcia seksualnego.

Coś mu podpowiadało, żeby lepiej trzymać się belek i nie schodzić na płyty wypełniające przestrzeń między nimi. Dla niego stanowiło to zresztą mniejszy problem niż dla ofiary, która była mniejsza, mniej zręczna i – w przeciwieństwie do niego – nie widziała, dokąd się posuwa.

Za każdym razem, gdy samica odwracała się w jego stronę, spuszczał powieki, żeby – widząc dwoje świecących oczu – nie mogła zlokalizować jego położenia. Gdy zatrzymała się i zaczęła nasłuchiwać, na pewno usłyszała, jak się zbliża, ale brak możliwości skonfrontowania dźwięku z obrazem musiał ją przerażać.

Smród jej strachu był równie intensywny jak płci, może nieco bardziej kwaśny. Ten pierwszy pobudził w nim pragnienie krwi tak mocno jak ten drugi – pożądanie seksualne. Chciał, by jej krew kapłała mu na wargi, chciał smakować ją na języku, chciał zanurzyć pysk w jej rozprutym brzuchu w poszukiwaniu bogatej w potrzebne mu składniki, smakowitej wątroby.

Dzieliło go od niej niecałe dziesięć metrów.

Pięć metrów.

Dwa metry.

Ben pomógł Whitowi oprzeć się o niewysoki płótek ogradzający poletko chwastów, na którym kiedyś rosły kwiaty. Nad ich głowami skrzypiał i postukiwał targany wiatrem szyld motelu.

– Nie martw się o mnie – powiedział Whit, odpychając przyjaciela.

– Twoja twarz...

– Pomóż Rachael. Idź do niej.

– Ty krwawisz.

– Będę żył, będę żył. Ale ten potwór ściga Rachael – rzekł Whit, a w jego głosie Ben rozpoznał ten straszny ton najczystsze przerażenia i desperacji, który słyszał tylko u żołnierzy w Wietnamie. – Mnie zostawił w spokoju i pobiegł za nią.

– Potwór?

– Czy masz broń? Dobrze. Magnum. Dobrze.

– Potwór? – jeszcze raz zapytał Benny.

Nagle zerwał się jeszcze bardziej porywisty wiatr, a z nieba zwały się takie masy wody, jakby gdzieś nad ich głowami pękła tama. Whit zaczął krzyczeć, żeby Ben mógł go usłyszeć:

– Leben. To Leben, ale potwornie zmieniony. O Boże, naprawdę potwornie zmieniony. To już nie jest Leben. Rachael nazwała go genetycznym chaosem. Ewolucja wsteczna, cofanie się w rozwoju. Kompleksowa mutacja. Benny, pospiesz się! Biegnij do biura!

Ben nie mógł zrozumieć, o czym mówi jego przyjaciel, ale czuł, że Rachael jest w jeszcze większym niebezpieczeństwie, niż podejrzewał. Zostawił więc Whita opartego o płótek i pobiegł w stronę wejścia do motelu.

Rachael posuwała się po belkach jak tylko mogła najszybciej. Na poddaszu panowała ciemność niczym w podziemnym tunelu. Kobieta nic nie widziała, a na dodatek ogłuszał ją łoskot, z jakim krople deszczu waliły w dach nad jej głową. Bała się, że ucieka zbyt wolno, by ująć bestii, a mimo to szybciej, niż przypuszczała, dotarła do końca korytarza. Uderzyła głową w ścianę zamykającą strych w tym skrzydle motelu.

Dziwne, że do tej pory nie zastanowiła się, co robi, gdy znajdzie się w tym miejscu. Jej umysł tak bardzo zaabsorbowany był ucieczką, byle dalej od łap niby-Erica, że podświadomie wydawało jej się, iż poddasze ciągnie się w nieskończoność.

Jęknęła, zrozpaczona, gdy zrozumiała, że zabrnęła w ślepią uliczkę. Rzuciła się w prawo, mając nadzieję, że może ciemny korytarz skręca nad środkowe skrzydło budynku. Zapewne tam również był podobny strych, ale od lewego skrzydła dzieliła go murowana ściana przeciwpożarowa. Tłukąc na oślep rękami, wyczuła pod palcami zimną, chropowatą powierzchnię betonu, granicę śmierci i życia, której nie zdoła przekroczyć.

Gdzieś bardzo blisko za jej plecami niby-Eric wydał nieartykułowany okrzyk tryumfu i obscenicznego głodu, który zagłuszył nawet dźwięki burzy.

Zaczerpnęła gwałtownie tchu i zatoczyła wokół głową. Bliskość potwora zaszokowała ją. Myślała, że ma jeszcze minutę – lub choćby pół minuty – żeby coś wymyślić. Ale po raz pierwszy od chwili, kiedy bestia zatrzasnęła za sobą kłapę, pograżając strych w absolutnej ciemności, Rachael ujrzała jej żądne krwi oczy. Błyszcząca jasnozielonym światłem gałka podlegała zmianom, które najwyraźniej miały upodobnić ją do drugiego, pomarańczowego oka węża. Rachael znajdowała się tak blisko nich, że widziała w spojrzeniu potwora trudną do opisanego nienawiść. Stał bowiem w odległości... niecałych dwóch metrów od niej.

Jego oddech cuchnął.

Rachael wyczuła, że potwór widzi ją bardzo dobrze.

A on już wyciągał po nią w ciemności swe mocarne łapy... Czowała, że zdeformowana kończyna zmierza w jej stronę...

Z całych sił wtuliła się w betonową ścianę, którą miała za plecami.

Pomyśl, pomyśl.

Zabrnęła w ślepią uliczkę. Nie pozostało jej nic innego, jak zdecydować się na ryzykowny krok, którego cały czas starała się uniknąć. Zamiast kurczowo trzymać się belek, zeskoczyła z nich prosto na cienką płytę sufitową. Dykta zarwała się pod jej ciężarem i Rachael zaczęła lecieć w dół do jakiegoś pomieszczenia, modląc się w duchu, żeby nie wylądować na brzegu szafy czy oparciu krzesła i nie skrócić karku, bo w ten sposób stałaby się łatwym łupem dla swego prześladowcy...

...i spadła prosto na środek łóżka o pękniętych sprężynach, którego wilgotny materac stanowił świetną pożywkę dla różnego rodzaju grzybów. Zgniotła swym ciężarem te chłodne, wilgotne narośle, które trysnęły lepka cieczą z zarodnikami, wydając przy tym odór tak przykry jak smród zepsutych jaj. Rachael to jednak nie przeszkadzało. Była cała i zdrowa, bez obrzydzenia wdychała więc skażone powietrze.

Niby-Eric wciąż pozostawał na górze. W tej chwili nie dorównywał brawurą swej niedoszłej ofierze. Ostrożnie trzymając się belek, strącał w dół resztki dykty, by zrobić sobie więcej miejsca do schodzenia.

Rachael zerwała się z łóżka i zaczęła szukać drzwi.

Ben zastał w biurze strzaskane drzwi do sypialni, ale wewnątrz nie znalazł nikogo; podobnie w salonie i w kuchni. Zajrzał też do garażu, ale i tam nie było Rachael ani Erica. Lepsze to niż ślady krwi ukochanej, chociaż „lepsze” nie znaczyło w tym wypadku „dobre”.

Jak echo wracały wciąż do niego ostrzeżenia Whita. Ben szybko wycofał się z mieszkania i przez biuro wyszedł na dwór. I wówczas kątem oka dostrzegł jakiś ruch na drugim końcu lewego skrzydła motelu.

Rachael. Nawet w ciemności nie pomyliłby jej z kimś innym.

Wyszła z jednego z pokoi. Poruszała się szybko. Ben z ulgą zawołał ją po imieniu. Spojrzała i zaczęła biec ku niemu po betonowej ścieżce wzdłuż budynku. W pierwszej chwili pomyślał, że to wyraz radości, a nawet podniecenie na jego widok. Szybko jednak zrozumiał, że Rachael ucieka przed czymś,

śmiertelnie przerażona.

– Benny, uciekaj! – krzyknęła, gdy była już bliżej. – Uciekaj, na miłość boską, uciekaj!

Oczywiście, Ben nie mógł uciekać, bo nie mógł zostawić Whita samego, opartego o płotek przy grządkach; nie mógł też dźwigać przyjaciela i jednocześnie biec. Dlatego stał i czekał. Jednakże gdy ujrzał potwora, który wyszedł z tego samego pokoju co Rachael, chciał uciekać, co do tego nie miał już żadnych wątpliwości. W jednej sekundzie odeszła go cała odwaga, chociaż w mroku nie widział wszystkich szczegółów wyglądu tego koszmarnego stworzenia, które goniło Rachael.

„Chaos genetyczny”, powiedział Whit. „Cofanie się w rozwoju”. Jeszcze przed chwilą te słowa nic dla Bena nie znaczyły, a przynajmniej niewiele. Teraz, kiedy tylko rzucił okiem na to, co było kiedyś Erikiem Lebenem, zrozumiał wszystko, co w tej sytuacji musiał rozumieć: Leben był doktorem Frankensteinem i jego potworem w jednej osobie; zarówno eksperymentatorem, jak i nieszczęśliwym przedmiotem eksperymentu; geniuszem i potępioną duszą.

Rachael dobiegła do Bena, złapała go za rękę i wydyszała:

– Chodź, chodź, pospiesz się!

– Nie mogę zostawić Whita – odparł. – Cofnij się. Będę do niego strzelał.

– Nie! To nic nie da, nic nie da. Boże, wypaliłam do niego dziesięć razy, a jemu nic się nie stało.

– Ja mam bardziej niszczycielską broń – nalegał Ben.

Niesamowita istota zbliżała się do nich wielkimi krokami wzdłuż ściany budynku. Właściwie nawet biegła, i to całkiem zgrabnie. Ben spodziewał się, że będzie się ona chwiać i zataczać na zdeformowanych kończynach dolnych, a tymczasem spotkała go niespodzianka. Potwór biegł szybko i zwinnie, a jego ciało połyskiwało w słabym świetle miejscami jak polerowana zbroja z obsydianu, gdzieś tam zaś jak srebrzysta rybia łuska.

W ostatniej chwili Ben rozstawił nogi, podniósł oburącz rewolwer i wypalił. Combat magnum kaszlnął, a z lufy błysnął ogień.

Potwór, który był już w odległości pięciu metrów, zachwiał się pod wpływem siły, z jaką trafił go pocisk, ale nie upadł. Cholera, on się nawet nie zatrzymał! Posuwał się nieco wolniej, ale nadal zbyt szybko.

Ben strzelił drugi raz i trzeci.

Bestia zatrzymała się wreszcie, rycząc przeraźliwie, a dźwięku takiego Benny nie słyszał nigdy w życiu i nigdy więcej nie pragnął usłyszeć. Następnie potwór upadł na metalowy słupek podtrzymujący aluminiowe zadaszenie chodnika i złapał się go, by nie runąć na ziemię.

Ben strzelił jeszcze raz. Teraz trafił go w gardło.

Siła uderzenia pocisku kalibru 357 oderwała bestię od słupka i cisnęła nią do tyłu.

Wreszcie piąty strzał powalił stwora, choć tylko na kolana. Łapą wielkości szufli koparki zbadał swe gardło, a drugie ramię wyginało się we wszystkie strony, aż wreszcie wycelowało w kark.

– Jeszcze raz, jeszcze raz! – ponaglała Rachael.

Benny wpakował w kłęczącą bestię szóstą i ostatnią kulę. Potwór upadł na plecy, przekręcił się na bok i leżał spokojnie, bez ruchu.

Huk wystrzału zabrzmiał prawie jak armatnia salwa. Kiedy echo umilkło i zapadła cisza, bębnienie deszczu o dach wydało się ulotnym szeptem.

– Czy masz więcej amunicji? – dopytywała się Rachael, wciąż opanowana śmiertelnym strachem.

– Wszystko w porządku – uspokajał Ben drżącym głosem. – On już nie żyje, on nie żyje.

– Jeśli masz jeszcze naboje, załaduj je! – krzyknęła.

Nie zaszokowały go jej ton ani panika w głosie, lecz to, że Rachael wcale nie histeryzowała. Szybko zdał sobie sprawę, że chociaż była wystraszona, o tak, cholernie wystraszona, to jednak nie utraciła nad sobą kontroli. Wiedziała, o czym mówi; bała się, ale nie panikowała – ona wiedziała, że Ben naprawdę musi ponownie załadować broń, i to szybko.

Rano, kiedy jechali do domku Erica nad jeziorem – a zdawało mu się, że to było całą wieczność temu – Ben schował do kieszeni wraz z pociskami karabinowymi także kilka dodatkowych naboji do rewolweru. Amunicję do remingtona wyrzucił, kiedy zmuszony był zostawić w zepsutym samochodzie swój dwunastostrzałowy karabin. Teraz, sprawdzając kieszenie, znalazł tylko dwa naboje do combat magnum, choć spodziewał się co najmniej sześciu. Na pewno resztę wyrzucił razem z tymi, które nie były już potrzebne.

Ale bez paniki, wszystko jest okay, nie ma strachu; leżąca na chodniku kreatura nie ruszała się i chyba już się nie poruszy.

– Pospiesz się – ponagliła go Rachael.

Ręce mu się trzęsły. Odchylił jednak bęben rewolweru i wprowadził nabój do komory.

– Benny! – krzyknęła Rachael ostrzegawczo.

Podniósł głowę i zobaczył, że bestia poruszyła się. Podłożyła swe olbrzymie łapy pod własne cielsko i próbowała pchać je po betonowych płytach.

– O kurwa! – zaklął Benny i wprowadził drugi nabój, po czym przesunął bęben na jego miejsce.

Trudno mu było w to uwierzyć, ale potwór naprawdę podniósł się tymczasem na kolana i wyciągnął łapy, żeby chwycić się metalowego słupka.

Ben dokładnie wymierzył i nacisnął spust. Combat magnum raz jeszcze zahuczał.

Stwór cofnął się pod wpływem siły, z jaką ugodził go pocisk, ale nie upadł, gdyż zdążył się już przytrzymać. Zaskrzeczał przy tym jak śmiertelnie raniony ptak, a potem zwrócił ku mężczyźnie świecące, wyrażające bezczelne wyzwanie, pełne nienawiści oczy.

Ręce Bena trzęsły się tak bardzo, iż bał się, że zmarnuje drugi – i ostatni – strzał. Od czasu swej pierwszej misji zwiadowczej w Wietnamie nigdy nie był tak bardzo roztrzęsiony.

Potwór zacisnął łapy na słupku i podniósł się na nogi.

Pewność siebie Bena zniknęła, ale wciąż nie chciał uwierzyć, że taka śmiertcionośna broń jak magnum kaliber 357 jest zbyt słaba, by załatwić jakieś zwierzę. Wystrzelił po raz ostatni.

Bestia znów upadła i tym razem nie wydawała żadnych dźwięków przez kilka sekund. Drgała tylko i rzucała się w agonii, a jej twardy pancerz objął się o podłoże.

Ben bardzo chciał uwierzyć, że stwór znajduje się wreszcie w objęciach śmierci, ale zdążył się już przekonać, że zwykłą bronią nie sposób pokonać bestii. Może udałoby się zabić gada za pomocą uzi albo całkowicie automatycznego AK-91, ale nie normalnym rewolwerem.

Rachael pociągnęła Bena za rękaw, chcąc, by zaczął uciekać, zanim bestia znów powstanie, ale wciąż jeszcze był nie rozwiązany problem Whitneya Gavis. Ben i Rachael mogli się ratować ucieczką, ale dopóki Whit nie znajdował się w bezpiecznym miejscu, Benny musiał tu zostać i walczyć z mutantem na śmierć i życie.

Może dlatego, że czuł się jak w czasie działań wojennych, znów pomyślał o Wietnamie i przyszła mu na myśl szczególnie straszna broń, która odegrała niechlubną rolę w tej wojnie: napalm. Napalm to zagęszczone paliwo o konsystencji galarety, które zabija wszystko, czego dotknie; zżera ciało aż do kości, a kość aż do szpiku. W Wietnamie siał postrach, bo rozpuszczony przynosił nieuchronną śmierć. Gdyby Ben miał trochę czasu, zrobiłby na własny użytek namiastkę napalmu; wiedział o tym wystarczająco

dużo. Problem jednak w tym, że nie miał czasu. W takim razie może użyć zwykłej ciekłej benzyny? Wprawdzie w postaci galaretowatej zadziałałaby efektywniej, ale i zwyczajne paliwo mogłoby okazać się pomocne w zniszczeniu potwora.

Kiedy mutant przestał zwijać się i drgać, ponownie próbował podnieść się na kolana. Ben złapał Rachael za ramię i zapytał:

– Gdzie mercedes?

– W garażu.

Spojrzał w stronę ulicy i zobaczył, że przewidujący Whit przeczołgał się na drugą stronę płotu, tak że nie było go widać od strony motelu. Stara nauka wyniesiona z Wietnamu mówi: „Pomagaj kumplom ile tylko możesz, a potem ratuj własną dupę”. Uczestnicy tamtej wojny nigdy nie zapomnieli lekcji, których im udzieliła. Dopóki Leben będzie ścigać Rachael i Bena po terenie motelu, nie wyjdzie na bulwar, by przypadkowo znaleźć tam bezbronnego mężczyznę, opartego o płotek. Przez najbliższych kilka minut Whit był więc zupełnie bezpieczny.

Ben wyrzucił bezużyteczny już rewolwer, chwycił Rachael za rękę i krzyknął:

– Chodź!

Pobiegli wzdłuż biurowej części motelu w stronę garażu. Tam, na tyłach budynku, szalejący wiatr walił o ściany otwartymi drzwiami.

Wielość form ognia

Oparty o płot po stronie Tropicana Boulevard, Whitney Gavis czuł się jak figura ulepiona z błota, którą rozmywa padający deszcz. Słabł z minuty na minutę, nie miał już siły, by podnieść dłoń i sprawdzić, czy krwawią jeszcze rany na skroni i policzku, by wołać do kierowców tych przeraźliwie nielicznych samochodów, które przejeżdżały ulicą. Leżał w głębokim cieniu, dziesięć metrów od jezdni, poza zasięgiem reflektorów, przypuszczał więc, że nikt go dotychczas nie zauważył.

Widział, jak Ben opróżnia magazynek, celując w mutanta, i jak niezgrabiasz ponownie powstaje z ziemi. W niczym nie mógł pomóc przyjacielowi, postanowił więc, czołgając się, okrążyć płot, który oddzielał od ulicy zaniedbane rabaty. Miał nadzieję, że po jego drugiej stronie będzie lepiej widoczny niż na terenie motelu i być może ktoś go wreszcie dostrzeże i zatrzyma się. Miał nawet czelność marzyć o przejeżdżającym bulwarem samochodzie policyjnym, w którym siedzieliby uzbrojeni po zęby gliniarze. Okazało się jednak, że sama nadzieja nie wystarczy.

Usłyszał, że Ben strzelił jeszcze dwa razy, a potem gorączkowo o czymś rozmawiał z Rachael. Później dobiegł go odgłos ich szybkich kroków, jak gdyby dokądś pędzili. Wiedział, że Ben nigdy nie wystawiłby go do wiatru, domyślił się więc, że wpadli na jakiś pomysł. Martwiło go jedynie to, że był bardzo osłabiony, i wątpił, czy uda mu się dotrzeć do chwili, w której mógłby poznać fortel Shadwaya. Po Tropicana przejeżdżał w kierunku zachodnim kolejny samochód. Chciał krzyknąć, ale mu nie wyszło; chciał podnieść rękę, pomachać i zwrócić na siebie uwagę, lecz nie mógł jej ruszyć, jak gdyby została przygwożdżona do reszty ciała.

I wtedy zobaczył pojazd poruszający się dużo wolniej niż wszystkie inne. Jechał częściowo po swoim pasie, a częściowo poboczem. Im mniejsza odległość dzieliła go od motelu, tym wolniej się poruszał.

Sanitariusze, pomyślał Whit i ta myśl zatrwożyła go nieco, bo przecież nie znajdował się w Wietnamie, na miłość boską, ale w Vegas, a w Vegas nie było oddziałów sanitarnych. Poza tym to zbliżał się wszakże samochód, a nie śmigłowiec.

Potrząsnął głową, chcąc doprowadzić umysł do przytomności, a kiedy znów spojrział na drogę, samochód był już bardzo blisko.

Oni skręcają do motelu, pomyślał Whit i powinien się z tego ucieszyć, ale nagle zabrakło mu siły do radości i odniósł wrażenie, że ciemna noc szczelniej owija go swym kokonem.

Kiedy tylko znaleźli się w garażu, Ben i Rachael zamknęli za sobą drzwi na klucz. Niestety, nie mieli klucza do drzwi, którymi można było dostać się do tego pomieszczenia przez kuchnię. Pozostało im więc tylko modlić się, by Leben nadszedł od podwórza.

– Zresztą żadne drzwi go nie zatrzymają – powiedziała Rachael. – Jeśli będzie wiedział, że tu jesteśmy, wejdzie, nie zważając na przeszkody.

Ben pamiętał, że w stercie złomu, którą pozostawili w garażu poprzedni właściciele, znajduje się ogrodowy wąż ze sztucznego tworzywa. („Części zamienne do urządzeń, narzędzia, materiały i inne przydatne rzeczy” – mówili, próbując podbić cenę). Podniósł więc zardzewiały sekator, zamierzając odciąć potrzebny odcinek węża, który posłużyłby za rurę przelewową, a wtedy dostrzegł też zwój cienkiego gumowego węża do polewania, zwisający z kółka na ścianie. Taki przyda się bardziej.

Odciął kawałek gumy i czym prędzej wprowadził jeden koniec rurki do zbiornika z paliwem. Klęcząc przy mercedesie, wciągnął do płuc powietrze z drugiej strony; o mało nie napił się przy tym benzyny.

Rachael zajęta była szukaniem wśród rupieci jakiegoś niedziurawego naczynia. W ostatniej chwili podstawiła pod rurkę łatanę na dnie wiadro. Popłynęło paliwo.

– Nigdy nie myślałem, że opary benzyny mogą tak słodko pachnieć – powiedział Ben, patrząc na strugę złocistej cieczy.

– Nawet to nie musi zatrzymać bestii – rzekła Rachael, pełna obaw.

– Jeśli oblejemy go benzyną, to zadamy mu gorsze rany niż...

– Masz zapalki? – przerwała Rachael.

Ben zamrugał oczami.

– Nie mam.

– Ja też.

– Cholera.

Rachael zaczęła rozglądać się po niechlujnym garażu.

– Może tu gdzieś będą zapalki?

Zanim Ben zdążył odpowiedzieć, gwałtownie poruszyła się klamka po zewnętrznej stronie drzwi. Widocznie niby-Leben zobaczył, że biegną do garażu, lub trafił za nimi po zapachu. Tylko Bóg wie, do czego zdolna jest ta kreatura, a może i on załamuje tylko ręce.

– Kuchnia – rzucił Ben. – Poprzedni właściciele nie raczyli posprzątać ani pozbierać niepotrzebnych rzeczy z szaf i szuflad. Może zostawili też w kuchni zapalki.

Rachael przebiegła przez garaż i zniknęła w części mieszkalnej.

Tymczasem bestia rzuciła się na frontowe drzwi. Te nie były jednak wykonane z dykty i sklejk, jak drzwi do sypialni, które stwór bez trudu sforsował. Tutaj napotkał poważniejszą przeszkodę. Drzwi drgnęły i trzęsły się w zawiasach, ale nie zanosiło się na to, że tak prędko zostaną wyłamane. Mutant uderzył w nie jeszcze raz, rozległ się suchy trzask pękających desek, ale drzwi wciąż trzymały. Potem nastąpiło trzecie uderzenie.

Pół minuty, pomyślał Ben, przenosząc wzrok z drgających drzwi na napełniane benzyną wiadro i z powrotem na drzwi. Boże, niech one wytrzymają jeszcze pół minuty.

Bestia po raz kolejny zaatakowała przeszkodę.

Whit Gavis nie znał tych dwóch mężczyzn. Zatrzymali samochód i podbiegli do niego. Wyższy zbadał mu tętno, a mniejszy – który wyglądał na Meksykanina – oświetlił kieszonkową latarką rany na jego skroni i policzku. Ich ciemne garnitury szybko nasiąkły deszczem i stały się jeszcze ciemniejsze.

Może to ci agenci federalni, którzy poszukiwali Bena i Rachael, ale w obecnej sytuacji Whit nie dbał, kim są; mogli być nawet żołnierzami przybocznej gwardii szatana, i tak największe niebezpieczeństwo stanowił teraz potwór szalejący po terenie motelu. Wszyscy musieliby się zjednoczyć, by pokonać tego wroga. Nawet agenci FBI oraz DSA staliby się sojusznikami. Zostaliby zmuszeni do ujawnienia szczegółów dotyczących projektu „Wildcard”; zrozumieliby, że niemożliwa jest w pełni bezpieczna kontynuacja badań nad tą osobliwą formą przedłużania życia. Wtedy nie zależałoby im już na uciszeniu Bena i Rachael, pomogliby w powstrzymaniu stwora, w którego przekształcił się Leben; tak, musieliby pomóc. Dlatego Whitney opowiedział im, co zaszło, poprosił o pospieszenie na ratunek Benowi i Rachael, zwrócił ich uwagę na naturę niebezpieczeństwa, na które mieli się narazić...

– Co on mówi? – spytał ten wyższy.

– Nie bardzo rozumiem – odrzekł niższy, elegancko ubrany mężczyzna, reprezentujący typ Meksykanina.

Przestał oglądać rany na policzku Gavis'a i wyciągnął z jego kieszeni portfel.

Wyższy ostrożnie zbadał lewą nogę Whitneya.

– To nie jest świeże obrażenie. Musiał już dawno stracić tę nogę. Myślę, że razem z tym kawałkiem

ręki.

Gavis zauważył, że jego głos nie był silniejszy od szeptu, a i tak zagłuszał go szum deszczu. Jeszcze raz spróbował coś powiedzieć.

– Musi być pijany – orzekł wyższy.

Nie jestem pijany, do jasnej cholery, tylko osłabiony! – chciał krzyknąć Whitney, ale przez cały ten czas nie mógł już dobyć z gardła ani jednego słowa. Przestraszył się niesłychanie.

– Nazywa się Gavis – oznajmił mały, odczytując nazwisko z prawa jazdy, które znajdowało się w portfelu. – Przyjaciel Shadwaya. Ten, o którym mówiła nam Teddy Bertlesman.

– On jest w stanie krytycznym, Julio.

– Musisz przenieść go do samochodu i zawieźć do szpitala.

– Ja? – spytał duży. – A dlaczego nie ty?

– Ja muszę tu zostać.

– Nie możesz zostać tu sam – powiedział duży, a jego błyszczącą od deszczu twarz pokryły bruzdy zatroskania.

– Reese, nic mi się nie stanie – uspokajał mały. – Tu są tylko Shadway i pani Leben. Oni nie stanowią dla mnie żadnego zagrożenia.

– Gówno prawda! – odparł duży. – Julio, tu jest jeszcze ktoś. Ani Shadway, ani pani Leben nie urządzili tak tego Gavisia.

– Leben! – Whitney zdołał wydusić z siebie to nazwisko na tyle głośno, by przebiło się przez dźwiękoszczelną ścianę deszczu.

Obaj mężczyźni spojrzeli na niego zakłopotani.

– Leben – udało mu się jeszcze raz.

– Eric Leben? – spytał Julio.

– Tak. – Whitney zaczerpnął głęboko tchu. – Genetyczny... chaos... chaos, mutacja... kule... kule...

– Jakie kule? – spytał duży imieniem Reese.

– Kule go... nie... powstrzymały – dokończył wyczerpany Whitney.

– Zabierz go do samochodu, Reese – nakazał Julio. – Jeśli za dziesięć-piętnaście minut nie znajdzie się w szpitalu, to nie przeżyje.

– Co on chciał powiedzieć przez to, że nie powstrzymały go kule? – spytał Reese.

– On jest pijany – orzekł Julio. – A teraz bierz go!

Reese zmarszczył brwi i podniósł Gavisia z taką łatwością, z jaką ojciec podnosi małe dziecko.

Agent imieniem Julio, rozpryskując na boki kałuże brudnej wody, poszedł do samochodu i otworzył tylne drzwi.

Reese delikatnie położył Whita na siedzeniu, a potem zwrócił się do kolegi.

– To mi się nie podoba.

– Jedź! – powiedział Julio.

– Przysięgałem, że cię nigdy samego nie zostawię, nie opuszczę w potrzebie i będę zawsze tam, gdzie będziesz mnie potrzebował.

– A właśnie teraz potrzebuję, żebyś zawiózł tego człowieka do szpitala – odparł Julio i zatrasnął tylne drzwi.

Chwilę później Reese otworzył przednie drzwi i siadł za kierownicą.

– Postaram się wrócić jak najszybciej – rzekł do Julia.

– Chaos... chaos... chaos... chaos... – powtarzał Whitney, leżąc na tylnym siedzeniu. Chciał

powiedzieć dużo innych rzeczy, przekazać bardziej sugestywne ostrzeżenie, ale z gardła dobywał mu się tylko ten jeden dźwięk.

Samochód ruszył.

Kiedy Hagerstrom i Verdad zatrzymali się na poboczu Tropicana Boulevard, Peake uczynił to samo kilkaset metrów za nimi i wyłączył światła.

Sharp przechylił się do przodu, zmrużył oczy i zaczął wypatrywać przez zapaćkaną, przecinaną co chwila pracującymi wycieraczkami przednią szybę. Dwukrotnie przecierał okulary, które zachodziły mu mgłą, a w końcu odezwał się:

– Wygląda na to... że znaleźli kogoś leżącego przy podjeździe do... Właśnie, co to jest?

– Chyba jakiś nieczynny obiekt, zamknięty motel czy coś w tym rodzaju – powiedział Peake. – Nie mogę dobrze odczytać tego straszego szyldu. „The Golden...” i coś jeszcze.

– Co oni tam robią? – zastanawiał się Sharp. Co ja tu robię, zastanawiał się w duchu Peake. – Może tu ukrywają się Shadway i ta dziwka Leben? – pomyślał głośno Sharp.

O Boże, mam nadzieję, że nie. Mam nadzieję, że nigdy ich nie znajdziemy. Mam nadzieję, że oboje leżą na plaży na Tahiti.

– Kimkolwiek był ten, którego znaleźli – mówił dalej Sharp – pakują skurczybyka do samochodu.

Peake nie miał już żadnej nadziei, że kiedykolwiek stanie się legendą. Nie miał już także nadziei, że stanie się jednym z lepszych agentów Ansona Sharpa. Jedyne, czego pragnął, to przeżyć tę noc oraz zapobiec, na ile się da, zabijaniu i upokarzaniu własnej osoby.

Atakowane od zewnątrz drzwi znów trzasnęły, tym razem na całej swej wysokości, w jednym miejscu pękła framuga i wypadł zawias. Wreszcie zamek puścił i oba skrzydła z hukiem otworzyły się do środka garażu. Za nimi pojawił się Leben, ten potwór wyglądający jak koszmarna zjawa, która przedostała się do rzeczywistego świata.

Ben podniósł napełnione do połowy wiadro i uważając, by nie wylać cennej benzyny, pobiegł do kuchni.

Bestia dojrzała go i wydobyła z gardła okrzyk tak strasznej nienawiści, że dźwięk ten przeniknął Bena aż do szpiku kości, gdzie jeszcze wibrował. Potwór kopnął zawadzający mu odkurzacz i z niebywałą zręcznością pająka zaczął pokonywać sterty rupieci, w tym przewrócone metalowe półki.

Będąc już w kuchni, Ben usłyszał, że bestia dogania go. Nie odważył się jednak obejrzeć.

Rachael zdążyła pootwierać połowę szafek i szuflad, właśnie wysuwała kolejną, kiedy wpadł Benny.

– Mam! – krzyknęła i złapała pudełko zapalek.

– Uciekaj! – rozkazał Ben. – Zrobimy to na dworze! Musieli absolutnie zwiększyć odległość dzielącą ich od bestii, zyskać trochę czasu i miejsca, by wykonać swój plan.

Pobiegli do pokoju, po drodze rozlało się trochę benzyny na wykładzinę i buty Bena.

Tymczasem bestia szalała w kuchni, zatraskując pootwierane szafki i ciskając na boki stół, krzesła, nawet te meble, które jej nie zawadzały. Najwyraźniej opanowało ją szaleństwo destrukcji.

Ben miał wrażenie, że porusza się w zwolnionym tempie, jakby powietrze było gęste niczym woda. Pokój wydawał się długi jak boisko do piłki nożnej i kiedy wreszcie dotarli na jego drugi koniec, nagle przestraszyli się, że drzwi prowadzące do części biurowej okażą się zamknięte na klucz, że będą musieli się tam zatrzymać, stracą przewagę nad bestią i gdy zechcą ją tam podpalić, sami znajdą się w rejonie zagrożenia. Ale Rachael z łatwością otworzyła drzwi i Ben odetchnął z ulgą. Wbiegli do biura, minęli kontuar do obsługi gości, niewielką poczekalnię i przez oszklone frontowe drzwi wypadli na dwór. Tam niemal zderzyli się z detektywem Verdadem, którego spotkali już wcześniej w kostnicy w Santa Ana.

– Co się tu dzieje, na Boga? – zapytał Verdad, kiedy usłyszał wrzaski bestii wewnątrz biura.

Ben spostrzegł, że przemoknięty policjant trzyma w ręce rewolwer.

– Niech pan się cofnie – powiedział – i zacznie strzelać, gdy to wyjdzie. Nie zabije pan tego, ale może na jakiś czas przyblokuje.

To chciało samicy oraz krwi; to wypełniała zimna wściekłość wraz z gorącym pożądaniem. Nic nie może go zatrzymać – żadne kule ani drzwi, nic, dopóki nie dostanie tej kobiety, dopóki nie wprowadzi w nią swego palącego członka, dopóki nie zabije jej oraz tego mężczyzny i nie spożyje ich mięsa. Pragnął wysać im oczy, miękkie, słodkie oczy, zanurzyć swój pysk w ich rozerwanych, tryskających krwią gardłach, zjeść bijące jeszcze, krwawiące serca, odszukać w ich wypatroszonych wnętrzach wątrobę i nerki... Poczuł, że ogarnia go coraz większy głód, że ogień przemian w jego wnętrzu potrzebuje więcej paliwa, że wzmożony apetyt wkrótce stanie się głodem nie do wytrzymania, takim jaki czuł wtedy, na pustyni, kiedy nie potrafił się powstrzymać przed zjedzeniem wszystkiego, co się tylko poruszało. Potrzebował mięsa, więc przez oszklone frontowe drzwi motelu wypadł na zewnątrz, gdzie wciąż padało, gdzie hulał wiatr, i zobaczył tam jeszcze jednego mężczyznę, niższego niż pozostali ludzie, a z przedmiotu, który mały trzymał w ręce, wystrzelił ogień. Ogień ugodził go w pierś, poczuł ostry ból, potem ogień wystrzelił jeszcze raz, i znów poczuł ból. Ryknął więc wściekle, rzucając wyzwanie naiwnemu agresorowi...

Tego samego dnia rano Julio Verdad był w bibliotece, w związku z prowadzonym przez siebie i Reese'a Hagerstroma nieoficjalnym śledztwem w sprawie Erica Lebena. Tam przeczytał kilka jego artykułów zamieszczonych w prasie popularnonaukowej, które dotyczyły inżynierii genetycznej oraz perspektyw osiągnięcia pozytywnych wyników w pracach nad przedłużeniem ludzkiego życia. Później Julio rozmawiał z doktorem Eastonem Solbergiem z Uniwersytetu Kalifornijskiego, dużo od tamtego czasu myślał, a na koniec – od Whitneya Gavisia – usłyszał bełkotliwe urywki zdań o genetycznym chaosie i mutacji. Nie był głupi, więc kiedy zobaczył koszmarnego stwora, który podążał śladami Shadwaya i pani Leben, w lot pojął, że eksperyment Lebena musiał pójść w nieprzewidzianym, złym kierunku i że owo monstrum jest w istocie samym naukowcem.

Julio bez wahania otworzył ogień w kierunku potwora, a wtedy pani Leben i Shadway – którzy, sądząc po zapachu, nieśli ze sobą wiadro benzyny – wybiegli spod dachu na deszcz i zniknęli mu z oczu. Dwa pierwsze pociski nawet nie przestraszyły mutanta, choć na chwilę zatrzymał się, najwyraźniej zdumiony nagłym pojawieniem się jeszcze jednego człowieka. Julio też był zaskoczony faktem, że jego strzały nie powaliły na ziemię bestii.

Potwór kroczył naprzód, sycząc i wyciągając w stronę Julia segmentowe ramię. Chciał złapać napastnika za głowę i oderwać ją od reszty tułowia.

Verdad pochylił się, ale i tak poczuł na głowie dotyk chitynowego pancerza. W ostatniej chwili strzelił, celując w pierś bestii, najeżoną kolcami i dziwnie uformowanymi guzami. Gdyby został przyciśnięty do tego ciała, nadziałby się na te wszystkie narośle, a ta przerażająca perspektywa kazała mu jeszcze raz nacisnąć spust pistoletu, i jeszcze raz, i jeszcze...

Dopiero te trzy strzały odrzuciły bestię do tyłu; padając na szklaną płytę frontowych drzwi budynku, cięła łapami powietrze.

Julio wystrzelił szósty i ostatni nabój. Znów trafił w cel, mimo to potwór wciąż stał na własnych nogach. Detektyw zawsze nosił w kieszeni marynarki kilka zapasowych pocisków, choć jeszcze nigdy w swej policyjnej karierze z nich nie skorzystał. Teraz zaczął ich szukać drżącymi palcami.

Tymczasem mutant najwyraźniej wygrzebał się już z odniesionych obrażeń, ruszył bowiem przed

siebie, rycząc tak przeraźliwie i nienawistnie, że Julio natychmiast odwrócił się i uciekł. Kiedy dobiegł do basenu, zobaczył, że po przeciwnej stronie stoją Shadway i pani Leben.

Peake miał nadzieję, że Sharp wyśle go w ślad za Hagerstromem i tym nieznanym mężczyzną, którego gliniarz załadował na tylne siedzenie wypożyczonego auta. Wtedy, gdyby na terenie nieczynnego motelu doszło do strzelaniny, nie miałby z nią nic wspólnego.

Ale Sharp powiedział:

– Niech jadą. Zdaje się, że Hagerstrom wiezie go do lekarza. A zresztą mózgiem duetu jest Verdad. Jeśli Verdad zostaje na miejscu, to akcja rozegra się tutaj. Tu znajdziemy Shadwaya i jego babę.

Kiedy porucznik Verdad biegł podjazdem w stronę oświetlonego biura, Sharp nakazał Peake'owi podjechać jeszcze kawałek i zaparkować na ulicy przed motelem. Gdy zbliżyli się do zwisającego bezwładnie, targanego wiatrem szyldu z napisem „The Golden Sand Inn”, usłyszeli pierwsze strzały.

O kurde, pomyślał zrozpaczony Peake.

Porucznik Verdad dobiegł do Shadwaya, zatrzymał się i zaczął gorączkowo ładować rewolwer.

Rachael stała z drugiej strony, chroniąc przed deszczem pudełko zapalek. Nagle wyjęła jedno drewnienko i trzymała je w pogotowiu pod osłoną dłoni, złorzecząc w duchu wiatrowi i ulewie, które zechcą zgasić każdy płomyk, kiedy tylko się pojawi.

Frontowymi drzwiami motelu, oświetlony od tyłu pomarańczowym światłem płynącym z wnętrza budynku, wyszedł ten, który kiedyś był Erikiem Lebenem. Poruszał się tym dziwnym, nie pasującym do jego potężnej, niezgrabnej sylwetki, szybkim i wdzięcznym krokiem pająka. Skrzeczał przy tym przenikliwie i najwyraźniej nikogo się nie bał.

Rachael trwożnie myślała o tym, że może wcale nie mają nad nim przewagi, że benzyna nie musi okazać się bardziej skuteczna od broni palnej.

Potwór był już w połowie odległości piętnastometrowego basenu. Kiedy dojdzie do końca, wystarczy, że skreśli i przejdzie jeszcze pięć metrów, by znaleźć się przy niej i Benie.

Porucznik nie skończył ładować rewolweru, ale widać uznał, że nie ma czasu na umieszczanie w komorach dwóch ostatnich naboju, gdyż przesunął bęben na miejsce.

Bestia dotarła już do końca długości basenu.

Benny złapał obiema rękami wiadro z benzyną, jedną trzymając je od dołu, a drugą za brzeg. Wziął rozmach i chlusnął całą jego zawartość na pysk i pierś mutanta, kiedy ten skreślił i zaczął pokonywać ostatnie pięć metrów dzielące go od zwierzyny.

Peake przebiegł za Sharpem przez biuro i obaj wypadli na wewnętrzne podwórko akurat w chwili, kiedy Shadway wylewał z wiadra jakiś płyn na twarz...czyją twarz? Boże, co to było?

Także Sharp zatrzymał się, zdumiony.

Potwór ryknął rozzłoszczony, ale cofnął się. Następnie zaczął wycierać swą monstrualną twarz i pierś długimi łapami, starając się usunąć to, co wylał na niego Shadway. Peake widział jego straszne pomarańczowe oczy, które świeciły jak rozżarzone węgle.

– Leben – powiedział Sharp. – Kurwa, to musi być Leben.

Jerry Peake natychmiast zrozumiał, o co chodzi, chociaż nie chciał rozumieć, nie chciał mieć nic wspólnego z tą zagrażającą mu nie tylko fizycznie, ale i niebezpieczną dla jego zdrowia psychicznego tajemnicą.

Wyglądało na to, że benzyna chwilowo oślepiła potwora, dostała mu się też do przetyku, gdyż zaczął się dławić. Rachael wiedziała jednak, że i to minie równie szybko jak rany odniesione w wyniku postrzelenia. Kiedy więc Benny wyrzucił puste wiadro i cofnął się, ona zapaliła zapalniczkę. Ale dopiero

wtedy uprzytomniła sobie, że tu przydałaby się raczej pochodnia, a w każdym razie coś, czym mogłaby rzucić w potwora. Ale cóż, nie miała innego wyboru. Musiała z płonąca zapałką zbliżyć się do bestii.

Niby-Eric zatrzymał się, skrzecząc, i odurzony oparami benzyny, pochylił się, łapiąc głęboko powietrze.

Rachael zdążyła podejść ku niemu tylko trzy kroki, kiedy wiatr i deszcz zgasiły zapałkę.

Mimowolnie wydobyła z siebie krzyk rozpacz, wyciągnęła z pudełka drugą zapałkę i zapaliła ją. Tym razem nie zdążyła uczynić nawet kroku, kiedy płomień zgasł.

Diabelski mutant zdawał się oddychać już normalnie, zaczął się prostować i podnosić swój olbrzymi łeb.

Deszcz, myślała Rachael, ten deszcz zmywa z niego benzynę.

Drżącymi palcami wyciągnęła trzecią zapałkę, a wtedy Ben postawił na ziemi przewrócone wiadro po benzynie i powiedział:

– Tutaj.

Od razu wiedziała, o co chodzi. Potarła siarczanym łebkiem o draskę, ale nie mogła wzniecić ognia.

Potwór zaczerpnął głęboko tchu, najwyraźniej wracając do formy, i przeraźliwie zaryczał.

Rachael ponowiła próbę i krzyknęła radośnie, kiedy zapałka zapłonęła. W tej samej chwili rzuciła ją do wiadra, a resztką benzyny buchnęła jasnym ogniem. Porucznik Verdad, który czekał na swoją kolej, podbiegł szybko i kopnął wiadro na cielsko niby-Erica.

Najpierw zajęło się dobrze nasiąknięte benzyną płótno dzinsów opinających zmutowane kończyny. Potem ze spodni ogień przeniósł się na kolczastą klatkę piersiową potwora i szybko objął zdeformowaną głowę.

Ale nawet ogień nie powstrzymał bestii.

Ryczący z bólu słup ognia posuwał się naprzód szybciej, niż Rachael mogła się spodziewać. W żółtoczerwonym świetle płomieni widziała, jak wyciągają się ku niej potworne łapy, jak otwierają się i zamykają szczeliny w dłoniach bestii, a wreszcie poczuła je na sobie. Nie mogła przeżyć nic gorszego. Nawet piekło nie wydawało się tak straszne. Myślała, że umrze ze strachu. Potwór chwycił ją za ramię i kark i wtedy poczuła, że otwory na jego dłoniach wsysają jej ciało; poczuła, że ogień sięga i po nią; zobaczyła kolce na piersi mutant, na które z łatwością mogła się nadziać – taka różnorodność śmierci – i wtedy bestia podniosła ją, i Rachael wiedziała, że jest już martwa, skończona, ale wówczas Verdad otworzył ogień z rewolweru, dwa strzały z rzędu, oba trafiły niby-Erica w łeb, zanim rozległ się trzeci, Benny zaś wyskoczył w powietrze i z całej siły uderzył nogami w pierś bestii – wyglądało to jak jakaś szalona figura karate – i Rachael poczuła, że ucisk słabnie, zaczęła więc miotać się i walić pięściami w płonący tors... Nagle była wolna, potwór runął na dno pustego basenu, a Rachael padła na betonowe płyty, wolna, wolna... Tyle że paliły się jej buty.

Po ataku na bestię Ben rzucił się w bok, spadł na ziemię, przeturlał się kawałek i błyskawicznie powstał. Zdążył akurat zobaczyć, jak potwór wali się na dno basenu, Rachael zaś leży na brzegu w płonących butach. Rzucił się jej na pomoc i ugasił ogień.

Rachael przylgnęła do niego gorączkowo i tak trzymał ją w ramionach, nie mniej wystraszony i spragniony otuchy. Nigdy jeszcze nie czuł nic przyjemniejszego od szalonego bicia serca swej ukochanej, które teraz wybijało mu na piersi przyspieszony rytm.

– Nic ci nie jest?

– Mogło być gorzej – odpowiedziała drżącym głosem.

Objął ją mocniej, a potem dokładnie obejrzał. Na ramieniu i karku, w miejscach gdzie wsysały się

szkaradne otwory na dłoniach bestii, miała okrągłe krwawiące ranki, ale żadna nie wyglądała groźnie.

Sama bestia zaś leżała w basenie i ryczała jak jeszcze nigdy dotąd. Ben wiedział, choć nie założyłby się, że musi to być jej śmiertelny krzyk. Wstali z ziemi i obejmując się podeszli do krawędzi basenu. Stał tam już porucznik Verdad.

Płonąca jak świeca bestia, słaniając się na nogach, zaczęła iść po pochyłym dnie basenu w stronę jego przeciwległego końca, gdzie było najgłębiej i gdzie zebrało się trochę deszczówki. Ale skoro woda lejąca się z nieba nie gasiła płomieni na ciele potwora, Ben przypuszczał, że i ta z basenu ich nie ugasi. Ogień był niezwykle silny, jakby benzyna nie stanowiła jedyne spalonego produktu, jak gdyby w organizmie bestii znajdowały się substancje podtrzymujące i podsycające żywioł. W połowie drogi potwór zachwiał się i upadł na kolana, wymachując w powietrzu łapami, a potem tłukąc nimi o mokry beton. Wreszcie zaczął kontynuować wędrówkę w stronę domniemanego ratunku, tym razem pełzając na brzuchu i odpychając się od dna zdeformowanymi kończynami.

Ciągnęło go ku cienistym ogniom, które paliły się pod powierzchnią chłodnej wody, bardziej zależało mu na zduszeniu ognia przemian, który zżerał go od wewnątrz, niż na ugaszeniu płomieni, które trawiły jego ciało. Nieznośny ból ponoszonej ofiary wstrząsnął resztką jego ludzkiej świadomości i wyrwał go ze zbliżonego do transu stanu, w który zapadł po tym, jak obecna w nim dzika bestia przejęła nad wszystkim kontrolę. Przez chwilę wiedział, kim był przedtem, a kim jest teraz, i co w ogóle zaszło. Ale wiedział też, że ta wiedza jest już nieistotna, że świadomość zniknie, że szczątkowe pozostałości jego inteligencji i osobowości zostaną ostatecznie zniszczone w procesie wzrostu i przemian. Wiedział, że jedynym ratunkiem jest śmierć.

Śmierć.

Tak bardzo starał się jej uniknąć, tak wiele ryzykował, by uchronić się od trumny, a teraz czekał na Charona.

Trawiony żywcem przez ogień, rzucił się w dół, na cieniste ognie migoczące pod powierzchnią wody, w stronę dziwnych płomieni palących się na drugim brzegu.

Przestał krzyczeć. Przekroczył już granicę cierpienia i trwogi, znalazł się w cudownej krainie spokoju.

Wiedział, że płonąca na nim benzyna nie zabije go, a przynajmniej nie ona sama. Gorszy od zewnętrznych płomieni był ogień przemian w jego wnętrzu; rozszerzał się, szalał, palił każdą komórkę z osobna. Erica ogarnął tak wielki, tak bolesny i tak dręczący głód jak jeszcze nigdy dotąd. Rozpaczliwie pragnął węglowodanów, protein, witamin i minerałów, czyli paliwa do podtrzymania nie kontrolowanych procesów przemiany materii. A ponieważ nie był w stanie polować i zabijać dla zyskania pożywienia, nie mógł dostarczyć organizmowi potrzebnych składników. Dlatego jego ciało zaczynało uprawiać autokanibalizm: ogień przemian nie budował już nowych tkanek, lecz spalał niektóre spośród istniejących, aby dostarczać olbrzymie ilości energii niezbędnej do rozwoju tych, których nie pożerał. Jego ciało błyskawicznie traciło na wadze, ale nie dlatego, że trawiła je podpalona benzyna, lecz dlatego, że organizm sam siebie zżerał od środka. Poczuł, że jego głowa zmienia kształt, ramiona kurczą się, a prosto spod klatki piersiowej wyrasta druga para górnych kończyn. Każda zmiana pociągała za sobą konsumowanie coraz to większej liczby jego tkanek, lecz ognie mutacji nie słabły.

Wreszcie zabrakło mu sił, by czołgać się dalej w stronę cienistych ogni, które płonęły pod powierzchnią wody. Zatrzymał się i leżał, a ciałem jego wstrząsały drgawki.

Nagle zobaczył – ku swemu zaskoczeniu – że cieniste ognie wyszły spod wody i zaczęły go otaczać. Cały jego świat stał się jednym wielkim ogniskiem, płonącym tak w jego wnętrzu, jak i wokół niego.

Leżąc w agonii, Eric pojął wreszcie, że tajemnicze cieniste ognie nie są ani wrotami piekieł, ani tym bardziej pozbawionym treści wytworem oszalałych synaps w jego mózgu. Owszem, to ułudy lub może dokładniej – halucynacje produkowane przez podświadomość, które miały go ostrzegać przed niebezpieczeństwami, związanymi z wybraną przez niego drogą; drogą, której początek stanowiła ucieczka ze stołu do sekcji zwłok. Uszkodzony mózg pracował jednak zbyt słabo, żeby zrozumieć logiczny rozwój wydarzeń, przynajmniej na poziomie świadomości. Bo jego podświadomość знаła prawdę i starała się – przez tworzenie iluzji cienistych ogni – zakomunikować mu: „Ogień, ogień jest twoim przeznaczeniem; niegasnący ogień wewnętrzny nadludzkiego metabolizmu, który prędzej czy później spali cię żywcem”.

Nagle kark zaczął mu się kurczyć i po chwili głowę miał osadzoną bezpośrednio na ramionach.

Z kręgosłupa wyrósł mu ogon.

Czoło nabrzmiało, a oczy cofnęły się w głąb czaszki.

Poczuł, że ma więcej niż jedną parę nóg.

A potem nie czuł już nic, bo zalał go żarłoczny ogień przemian, konsumujący resztki paliwa wewnątrz zmutowanego organizmu. Zaczął poznawać wielość form ognia.

Bestia spaliła się na oczach Bena w ciągu niecałej minuty. Płomienie strzelały wysoko ku niebu, a towarzyszyły temu różne niesamowite dźwięki. Wreszcie z olbrzymiego cielska pozostała na dnie basenu tylko kałuża cuchnącego szlamu i kilka tłących się w ciemności płomyczków. Nie ogarniający jeszcze tego wszystkiego, co zobaczył, Ben stał w milczeniu. Nawet nie wiedział, co mógłby w tej chwili powiedzieć. Porucznik Verdad i Rachael byli najwyraźniej równie jak on zdezorientowani. Oni także nie przerywali panującej ciszy.

Przerwał ją wreszcie Anson Sharp, który nadchodził powoli wzdłuż brzegu. W ręce trzymał rewolwer i wyglądało na to, że ma zamiar go użyć.

– Co mu się, cholera, stało? – zapytał.

Ben nie widział do tej pory agentów DSA. Teraz, zaskoczony pojawieniem się jego starego wroga, odpowiedział:

– To samo, co stanie się z tobą, Sharp. Też zgotujesz sobie kiedyś ten sam los, tylko w innej formie.

– O czym ty mówisz? – spytał ostro Sharp.

– Leben nie lubił świata takim, jakim on jest, i postanowił zmienić go na swoją zwariowaną modłę. Ale zamiast raję stworzył dla siebie piekło na ziemi. Ty też się kiedyś tego doigrasz.

– Odwal się – powiedział Anson Sharp. – To ty wdepnąłeś w niezłe gówno, Shadway. – Odwrócił się do Verdada i rozkazał: – Poruczniku, proszę odłożyć rewolwer.

– Co? O czym pan mówi? Ja... – zaczął Verdad.

Sharp strzelił do detektywa. Pocisk zważył go z nóg na błotnisty trawnik.

Jerry Peake, zapalony czytelnik powieści kryminalnych, marzący o dokonaniu legendarnych czynów, miał zwyczaj dramatyzowania każdej sytuacji. Kiedy patrzył, jak olbrzymie cielsko Erica Lebena spala się na dnie pustego basenu, zamieniając się w kałużę szlamu, był zaszokowany, wystraszony i spanikowany, jednocześnie jednak myślał, i to w niezwykle dla siebie tempie. Najpierw sporządził listę podobieństw między Erikiem Lebenem a Ansonem Sharpem: obaj kochali władzę i czerpali przyjemność z jej używania; obaj działali z zimną krwią, zdolni do wszystkiego; obaj mieli perwersyjną skłonność do młodych dziewcząt... Potem, słysząc, co mówi Ben Shadway na temat piekła na ziemi, które Sharp stworzy dla siebie, pomyślał o tym samym. Wreszcie spojrzawszy na żalosne szczątki mutanty i zauważył, że sam znajduje się na rozstaju dróg, z których jedna prowadziła do raję na ziemi, druga zaś

do piekła... Jeśli podejmie współpracę z Sharpem, dopuści do morderstwa i będzie żył z poczuciem winy, potępiony tak w obecnym, jak i następnym wcieleniu. A gdyby oparł się Sharpowi, zachowałby godność i szacunek dla samego siebie, żyłby ze spokojnym sumieniem, nie troszcząc się o karierę w DSA. Wybór należał do niego. Kim chciał być – tą rzeczą na dnie basenu, czy człowiekiem?

Wtedy Sharp rozkazał porucznikowi odłożyć broń. Verdad zaczął się stawiać i Sharp strzelił do niego, po prostu strzelił, bez dodatkowej argumentacji czy wahania.

Dlatego Jerry Peake wyjął własny rewolwer i strzelił do Sharpa. Pierwszy pocisk trafił wicedyrektora w ramię.

Peake zdążył w ostatniej chwili. Sharp widać węszył już zdradę, bo akurat odwracał się w jego stronę z wycelowaną bronią i strzelił prawie w tej samej chwili. Kula trafiła Jerry'ego w nogę. Kiedy padał, z prawdziwą przyjemnością zauważył, że głowa Ansona Sharpa eksploduje.

Rachael ściągnęła Juliowi marynarkę oraz koszulę i zaczęła badać jego ramię.

– Będę żył – powiedział detektyw. – Boli jak jasna cholera, ale będę żył.

Przeciągłe wycie syren rozległo się gdzieś w oddali i zaczęło przybliżać.

– To robota Reese'a – oznajmił Verdad. – Odstawił Gavisę do szpitala i natychmiast powiadomił lokalną policję.

– Rana istotnie nie krwawi tak bardzo – zauważyła Rachael, najwyraźniej zadowolona, że może potwierdzić autodiagnozę, której dokonał Julio.

– Mówiłem przecież – powiedział detektyw. – Kurde, ja nie mogę umrzeć. Zamierzam dożyć ślubu mojego partnera z Różową Damą. – Roześmiał się, widząc zakłopotanie na twarzy Rachael: – Wszystko w porządku, nie dostałem pomieszania zmysłów.

Peake leżał wyciągnięty na plecach, z głową wspartą na twardej poduszce, którą stanowiła krawędź basenu.

Ben podarł własną koszulę i zrobił z niej opaskę uciskową; założył ją na nogę agenta, pomagając sobie przy tym jedynym dostępnym w zasięgu ręki przedmiotem, czyli lufą leżącego na ziemi pistoletu Ansona Sharpa.

– Chyba nie jest ci potrzebna opaska – powiedział Shadway, kiedy policyjne syreny były już tak blisko, że zagłuszały odgłosy padającego deszczu – ale lepiej ją mieć na wszelki wypadek. Dużo tu krwi, choć nie widzę krwotoku. Żyły są w porządku. Na pewno cholernie boli.

– To śmieszne, ale wcale tak bardzo nie boli – zapewnił Peake.

– Musisz być w szoku – zatroskał się Benny.

– Nie – odrzekł Peake i potrząsnął przecząco głową. – Nie sądzę, żebym był w szoku. Nie mam takich objawów, a znam je. Wiesz, co to może być?

– No?

– To, czego dokonałem – strzał do własnego szefa, kiedy ten okazał się przestępcą – uczyni ze mnie w agencji legendę. Niech mnie cholera weźmie, jeśli tak nie będzie. Gdyby on żył, nie miałbym najmniejszej szansy. A może kogoś, kto jest legendą, nie boli tak bardzo jak innych ludzi? – powiedział i uśmiechnął się lekko.

Ben odpowiedział, marszcząc brwi:

– Spokojnie, odpreż się...

Jerry Peake roześmiał się.

– Naprawdę nie jestem w szoku, Shadway. Naprawdę. Nie widzisz tego? Nie tylko jestem legendą, ale potrafię śmiać się z siebie. Może ja naprawdę nie jestem taki zły i jeszcze zajdę daleko, a w głowie mi

się nie przewróci. Czy to nie jest miłe, odkryć coś takiego na swój temat?

– Tak, to miłe – potwierdził Benny.

Wycie syren wypełniło mroczną przestrzeń, potem słychać było pisk hamulców, syreny ucichły, rozległ się natomiast stukot obcasów biegnących po betonowych płytach ludzi.

Już niedługo zaczną się pytania, tysiące pytań ze strony policji z Las Vegas, Palm Springs, Lake Arrowhead, Santa Ana, Placentia i innych miejscowości.

W ślad za stróżami prawa ruszą dziennikarze. („Jak się pani czuje, pani Leben? Słucham? Co pani czuje jako żona mutanta-mordercy, która o mało sama nie zginęła w jego łapach? Jak się pani czuje?”) Ci będą bardziej nachalni i bezwzględni niż policja.

Ale na razie, kiedy Jerry Peake i Julio Verdad zostali przeniesieni do karetki, a umundurowani policjanci z komisariatu w Las Vegas pilnowali zwłok Sharpa, żeby nikt niczego nie dotykał, zanim przybędzie koroner, Rachael i Ben mieli trochę czasu tylko dla siebie. Detektyw Hagerstrom oznajmił jeszcze, że Whitney Gavis został dowieziony do szpitala na czas i będzie żył, po czym siadł w sanitarnej furgonetce obok Julia.

Jakże byli szczęśliwi tylko we dwoje! Stali, trzymając się w objęciach, pod metalowym daszkiem wzdłuż ściany budynku i żadne z nich nie chciało odezwać się pierwsze. Potem chyba zdali sobie sprawę, że już niedługo potrwa ten błogi stan, że wkrótce zaczną się niemiłe procedury. I nagle zapragnęli mówić oboje naraz.

– Zaczynij pierwsza – rzekł Ben, obejmując ją całym ramieniem i zaglądając jej w oczy.

– Nie, ty zaczynij. Co chciałeś powiedzieć?

– Zastanawiałem się...

– Nad czym?

– ...Czy pamiętasz.

– Ach – odparła, gdyż instynktownie czuła, o co mu chodzi.

– Kiedy zatrzymaliśmy się przy drodze do Palm Springs – ciągnął Benny.

– Pamiętam – powiedziała.

– Coś zaproponowałem.

– Tak.

– Małżeństwo.

– Tak.

– Nigdy jeszcze czegoś takiego nie proponowałem.

– Cieszę się.

– To nie było szczególnie romantyczne, prawda?

– Dobrze ci to wyszło – zapewniła. – Czy oferta jest nadal aktualna?

– Tak. A czy wciąż jest dla ciebie interesująca?

– Nawet bardzo – odrzekła.

Objęła go obiema rękami i poczuła się bezpiecznie. Nagle dreszcz przeszedł jej po plecach.

– Nie bój się – uspokoił ją. – Już po wszystkim.

– Tak – powiedziała, kładąc mu rękę na piersi. – Wrócimy w nasze rodzinne strony, gdzie wiecznie panuje lato, pobierzemy się i zacznę wraz z tobą zbierać modele kolejek. Myślę, że to mogłoby mnie zainteresować. Będziemy słuchać starych, dobrych nagrań swingowych, oglądać na wideo stare, dobre filmy i razem zmienimy dla siebie świat na lepszy, prawda?

– Tak, zmienimy świat na lepszy – zgodził się Benny. – Ale nie w ten sposób, nie przez ukrywanie

się przed światem takim, jaki on jest w rzeczywistości. Razem nie musimy się ukrywać. Razem mamy wielką siłę, nie uważasz?

– Tak – przyznała. – Masz rację. Wiem o tym.

Deszcz osłabł i przeszedł w mżawkę. Burza przesuwała się na wschód, zabierając ze sobą przeraźliwie wyjący wiatr.